

WERONIKA ANNA MARCZAK

RODZINA MONET

Perelka



tom 3 część 1

Welcome to the family, Perelki

Ilustracja i projekt okładki: *Dixie Leota*

Redakcja: *Maria Śleszyńska*

Redaktor prowadzący: *Anna Wyżykowska*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Kornelia Dąbrowska, Karolina Mrozek*

Droga Czytelniczko/Drogi Czytelniku,

ponieważ niektóre motywy i zachowania opisane w książce mogą urazić uczucia odbiorców, zalecamy ostrożność podczas czytania. Wszystkie wydarzenia i postacie przedstawione w powieści są fikcyjne.

Życzymy dobrej lektury,

Autorka i Wydawnictwo

© for the text by Weronika Anna Marczak

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2683-3

You&YA

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2023

Spis treści

[1 FRANCJA](#)

[2 ŻELAZNA ZASADA](#)

[3 SIOSTRZANO-BRATERSKIE NEGOCJACJE](#)

[4 DYLAN JEST ZAZDROSNY](#)

[5 PRECIOSA](#)

[6 ŻŁOTE PORSCHE](#)

[7 ZEPSUTA SIOSTRA DAMESA](#)

[8 ELITA](#)

[9 NIESKOŃCZENIE WIELKIE ŹRÓDEŁKO](#)

[10 ZIMA](#)

[11 OPERA](#)

[12 PRZEPEŁNIONA GRZECHEM AURA](#)

[13 MŁODE DAMY](#)

[14 ZAGADKA](#)

[15 KWIATY I PSZCZOŁY](#)

[16 MOKRZY PASAŻEROWIE](#)

[17 SMĘTNE MYŚLI](#)

[18 SAPIOSEKSUALNY](#)

[19 HANIEBNY CZYN](#)

[20 DOMÓWKA U MONETÓW](#)

[21 LOS DYLANOS](#)

[22 BIAŁA I KORONKOWA BIELIZNA](#)

[23 TRZECH NAJGORSZYCH BRACI POD SŁOŃCEM](#)

[24 KAZANIE VINCE'A](#)

[25 MAŁY GBUREK](#)

[26 BOGATA BRYTYJKA NA WAKACJACH](#)

[27 HEDONISTA](#)

[28 SŁODKA TAJEMNICA](#)

[29 GROŹNY PAN I WŁADCA](#)

[30 STOLIK NA STOŁÓWCE](#)

[31 INSTYNYKT WOJOWNICZKI](#)

[32 INNY WYMIAR PODŁOŚCI](#)

[33 ZWYKŁA FORMALNOŚĆ](#)

[34 TAK JEST, SZEPIE](#)

[35 TONY WATY CUKROWEJ](#)

[36 HOLLYWOOD](#)

[37 DZIEWCZYNKĄ](#)

[38 LEPIEJ PÓŹNO NIŻ WCAŁE](#)

[39 W OKU PĄPROCH](#)

[40 CHOP-CHOP](#)

[41 UPARTY DZIECIUCH](#)

[42 DIABEŁ I PIENIĄDZE](#)



1 FRANCJA

Na jednej z pierwszych sesji terapeutka zapytała mnie, do czego mogłabym porównać swoje życie. Odpowiedź sprawiła mi wtedy nie lada problem. Dziś, półtora roku później, u boku braci Monet, łatwiej było mi się określić.

Wtulwszy się w oparcie fotela, wertowałam w głowie pomysły w poszukiwaniu dobrej metafory. W końcu znalazłam właściwą i rozsiadłam się wygodniej.

Cyrk. Moje życie to cyrk. Tylko taki bez zwierząt, bo temu jestem przeciwna. I bez klaunów, bo są upiorne.

Chociaż nie, chwila. Po krótkim namyśle stwierdziłam, że tak właściwie to w skład mojego cyrku wchodziło aż pięciu klaunów. Tak się złożyło, że wszyscy byli ode mnie starsi, a także rozpuszczeni, władczy i obrzydliwie bogaci...

Kąciki ust psycholożki zdrząły, gdy wypowiadałam te myśli na głos. Lata doświadczenia w zawodzie pomogły jej jednak zachować powagę.

– Uważasz, że twoi bracia są upiorni? – zapytała melodyjnym głosem.

Za ten głos ją lubiłam. Niewiele obchodziły mnie dyplomy, na które brakowało już miejsca na ścianach. Według mnie cechą dobrej terapeutki był taki właśnie śpiewnie monotony ton. Sam w sobie działał na mnie kojąco.

– Na początku, kiedy ich jeszcze w ogóle nie znałam, tak właśnie myślałam – przyznałam, gładząc opuszkami palców obity brązową skórą podłokietnik. – Pamiętam, jak Dylan patrzył na mnie z takim... dystansem.

– Jak się wtedy czułaś?

Wzięłam wdech, z dreszczem wspominając swoje początki w Rezydencji Monetów.

– Jak intruz – wymamrotałam najpierw cichutko do siebie, po czym zdecydowawszy, że będzie to odpowiednie określenie, odchrząknęłam i powiedziałam głośno: – Czułam się jak intruz.

– Czy oprócz Dylana ktoś jeszcze sprawiał na tobie takie wrażenie?

Zamyśliłam się, tym razem błędząc wzrokiem po idealnie gładkim suficie, którego nieskazitelna biel przynosiła mojej duszy niewyjaśniony spokój.

– Może Tony? – zasugerowałam i zamilkłam, ale tylko na chwilę, bo byłam jedną z tych pacjentek, którym zbyt długa cisza w gabinecie terapeutycznym za bardzo dzwoniła w uszach. – Raz słyszałam, jak mówi, że ich dom to nie miejsce dla mnie.

To jedno z tych wspomnień, których bardzo nie lubiłam roztrząsać. Hailie z tamtego okresu była niezwykle zagubiona, a jej życie koszmarnie chaotyczne. Nie przepadałam za cofaniem się do tego przykrego etapu.

– Czy kiedykolwiek poprosiłaś go o wyjaśnienie tych słów?

– Nie... – Cmoknęłam z irytacją, nie mogąc dobrać odpowiednich zwrotów. – Na początku nie miałam odwagi. Nie było okazji. A potem... potem dużo się działo.

– Co się działo?

– Tony mnie uratował – odparłam z wahaniem, bo zawsze gdy zbliżałam się do wrażliwych tematów, w mojej głowie zapalała się czerwona lampka. Dostałam przyzwolenie na mówienie na terapii o własnych doświadczeniach, nawet tych niebezpiecznie mocno związanych z nie-całkiem-legalną częścią interesów braci Monet. Mimo to dzielenie się nimi z osobami spoza rodziny było dla mnie niekomfortowe, dlatego kontynuując, nerwowo wbijałam paznokcie we wnętrze dłoni. – Własnym ciałem osłonił mnie przed strzałem.

Za każdym razem, gdy wyskakiwałam z takimi wyznaniem, dostrzegałam zgrozę w oczach terapeutki, które nieustannie obserwowały mnie zza przypominających kocie ślepie okularów. Na szczęście przygotowano ją na to, że jej pacjentką będzie siostra Monetów, więc z większością usłyszanych ode mnie rewelacji radziła sobie całkiem nieźle.

– Wtedy pomyślałam sobie, że przecież nie zrobiłby tego, gdyby mnie nienawidził – ciągnęłam. – Z czasem zobaczyłam, że on po prostu, no, ma taki styl bycia. Taki jest i już. Tak samo jak Dylan. – Automatycznie wywróciłam oczami. – Potrzebowałam tylko czasu, żeby to zrozumieć.

Kobieta skinęła lekko głową, zadowolona z tego, że wyciągam własne wnioski. Gorąco zachęcała mnie do tego od początku terapii.

– Czy kiedykolwiek rozmawiałaś o tych obawach ze swoim prawnym opiekunem?

Pokręciłam głową.

– Trudno się z nim rozmawia... On to właściwie jest najupiorniejszy z nich wszystkich – zaśmiałam się nerwowo.

– Co masz na myśli?

– Vincent jest przerażający. Kiedyś się go bałam.

– Nadal się go boisz?

– Już chyba nie... – Zamyśliłam się. – Nadal jest czasem straszny, ale już się do tego przyzwyczyłam. Prawda jest taka, że wszyscy się go trochę boją.

– Hm. – Terapeutka poprawiła okulary i odgarnęła za ucho kosmyk farbowanych na popielaty blond włosów.

– Vince jest w porządku, naprawdę.

– Co z resztą twojego rodzeństwa?

– Co z nimi? – wymamrotałam.

– Jak byś ich scharakteryzowała?

– Will jest super. Zawsze był. Zawsze jest miły i dobry, nigdy mi nie dokucza. Na przykład nigdy nie wysmarowałby mi twarzy mułem jak Dylan. – Terapeutka uniosła brew, ale ciągnęłam dalej: – Shane’a też bardzo lubię. Czasami mnie wkurza, ale ma swoje momenty. Kiedyś, jak mi było smutno, obejrzał ze mną bajkę.

Kobieta uśmiechnęła się delikatnie.

– Miło z jego strony. Pamiętasz, dlaczego było ci wtedy smutno?

Znowu skinęłam głową.

– Shane mnie pocieszał, bo posprzeczałam się z Vincentem. To była duża kłótnia. Jedna z większych, jakie mieliśmy...

– Pamiętasz, o co się pokłóciliście?

– Pamiętam, że Vince przydzielił mi ochroniarza, ale takiego, który miał wszędzie za mną chodzić.

– Zrobił to wbrew twojej woli?

– To była forma kary. Teraz już mi to tak bardzo nie przeszkadza. To znaczy ochroniarz. Lubię go nawet. – Wzruszyłam ramionami. – Można się przyzwyczyać.

– Czym sobie zasłużyłaś na tę karę?

– Vince jest... bardzo wrażliwy na kłamstwa i działanie przeciwko rodzinie. Zrobiłam coś, co było i jednym, i drugim – westchnęłam, niezbyt dumna z podjętych w przeszłości decyzji.

– Działałaś przeciwko rodzinie? – powtórzyła terapeutka.

– Można tak powiedzieć. Teraz rozegrałabym to inaczej.

Terapeutka milczała, ale wzrokiem zachęcała, bym kontynuowała.

– Nie knułaś za plecami swojego rodzeństwa na temat czegoś, co bezpośrednio ich dotyczy – wyrecytowałam. Wcześniej zdążyłam już przewalkować tę myśl w głowie na wszystkie strony.

– Co się zmieniło?

Potrzebowałam kilku sekund, by podnieść głowę i spojrzeć kobiecie prosto w oczy.

– Zrozumiałam, że oni są moją jedyną rodziną, a rodzina jest najważniejsza.



To nie był wietrzny dzień, spokój płaskiego, połyskującego w słońcu morza udzielał się wszystkim. Dało się to odczuć i docenić w rzadkich momentach takich jak ten, gdy obecne na pokładzie jachtu osoby zamilkły. Nawet bobas w ramionach wujka Monty’ego przestał na chwilę gaworzyć.

Łagodny szum wody muskał moje uszy, a ciepłe promienie – twarz, dekolt i ramiona. Leżałam wyciągnięta na białej kanapie w kształcie litery U. Drgnęłam, gdy tę błogość przerwał hałas rozbrzmiewający zza burty.

– Ogarnij dupsko i się zamień! – zawołał Shane. Od dobrych dwudziestu minut wkurzał się, że jego bliźniak zaanektował jedyny

dostępny skuter wodny.

Tak wywracał oczami, marszczył czoło i meł pod nosem przekleństwa, że mogłoby się wydawać, iż ma góra siedem lat, jednak liczył ich sobie już dziewiętnaście. Ja natomiast ze swoimi marnymi, nieskończonymi nawet jeszcze siedemnastoma, plasowałam się na z góry przebranej pozycji najmłodszej spośród rodzeństwa Monet.

Upoważniało mnie to do niewielu rzeczy, i to raczej tych z rodzaju bezużytecznych. Mogłam na przykład gromić braci spojrzeniem, czym nikt się nigdy nie przejmował. Otworzyłam właśnie oczy, żeby zaprezentować jedno z takich spojrzeń, i akurat udało mi się przyłapać Tony'ego, jak ze środkowym palcem w górze odpływa tą hałaśliwą maszyną, zostawiając za sobą jedynie echo swojego rechotu.

– Debil – burknął pod nosem Shane i kręcąc głową, oparł się o barierkę, po czym zatopił spojrzenie we wciąż zmaconej przez skuter wodzie.

Dylan z Willem, którzy przyglądali się zajściu z bulgoczącego jacuzzi, wyszczerzyli zęby w uśmiechach. Dylan nawet zakrztusił się, pociągnąwszy łyk z butelki, przez co przechylił ją niechcący i do wanny wleciało trochę piwnej pianki.

Poziom rozleniwienia na pokładzie był tak wysoki, że to powinno być nielegalne. Oczywiście nawet gdyby naprawdę było, nikt z tej rodziny by sobie z tego nic nie robił.

Najbardziej obrazowym potwierdzeniem moich słów był Vincent, który na tej samej co ja kanapie leżał w luźnej śnieżnobiałej koszuli z butelką piwa w dłoni i przymkniętymi oczami, smacznie sobie drzemiąc. W rzeczywistości wiedziałam, że jest jak kot, który nie traci czujności nawet we śnie i że każda najmniejsza nieprawidłowość w otoczeniu w mig postawiłaby go na nogi, ale chodziło tu o sam fakt, że mój najstarszy, wiecznie przecież spięty brat pracoholik chociaż trochę się odprężył.

– Będziemy razem pływać jachtem, co, Flynn? – zagruchał wujek Monty, po czym ucałował drobną rączkę, którą trzymane przez niego dziecko wyciągnęło w stronę horyzontu. – Albo kupimy żaglówkę. Nauczę cię wiązać węzły.

Leżąca naprzeciwko mnie Maya uniosła brwi.

– Co ty bredzisz, jakie ty niby węzły umiesz wiązać? – parsknął ojciec. Stał na dziobie jachtu, zachowując bezpieczny dystans od swojego bratanka, by nie truć go dymem z cygara.

Gdy tylko zobaczyłam Camdena i wujka Monty'ego razem, od razu rzuciło mi się w oczy ich podobieństwo. Ojciec miał oczywiście więcej zmarszczek, no i wciąż wytrwale hodował ciemną brodę, którą za każdym razem, gdy go widziałam, przeplatało coraz więcej siwych pasemek. Wujek Monty natomiast był bardziej wymuskany, ze swoimi mocno nażelowanymi włosami, które akurat teraz zakrywała chusta, nadająca mu wygląd eleganckiego pirata z wyższych sfer.

– Nie umiem żadnych, ale się nauczę, jeszcze zanim młody zacznie kumać.

Nawet brzmieli identycznie.

– Ta, jeszcze zobaczymy – westchnął ojciec z wyraźną nutą rozżalenia w głosie. – Wydaje ci się, że masz czas, a w rzeczywistości nim się obejrzysz, zleci jak z bicza strzelił i nagle będziesz miał szóstkę dorosłych, najbardziej rozpuszczonych dzieciaków pod słońcem. To znaczy piątkę rozpuszczonych i jedną królową. – Cam puścił do mnie oczko, gdy zobaczył, że na niego patrzę.

Z uśmiechem przymknęłam powieki. Nie spodziewałam się, że ojciec, którego istnienie przez zdecydowaną większość mojego życia stało pod znakiem zapytania, teraz, zaledwie po ponad roku naszej znajomości, będzie budził we mnie taką sympatię i przywiązanie.

– Prędej mi pisior wyrośnie na czole, niż pozwolę sobie na zmajstrowanie aż sześciu bachorów.

– Też kiedyś planowałam, że będę miał parkę, chłopczyka i dziewczynkę, i ani dzieciaka więcej. – Cam pokręcił głową, zaciągając się cygarem. – Życie i tak potoczy się po swojemu, więc równie dobrze możesz już zacząć zapuszczać sobie grzywkę.

Maya wstała z kanapy, a jej dwa wysokie, złote kucyki podskoczyły, gdy ruszyła w stronę męża, który już otwierał usta, żeby się kłócić.

– Możecie łaskawie nie rozmawiać przy moim dziecku o pisiorach na czole? – fuknęła, a wujek Monty wyszczerzył się wesoło, gdy posłusznie oddawał w jej wyciągnięte ręce Flynnę.

Z jacuzzi rozległy się chichoty. Will i Dylan wybornie się dziś dobrali: obaj z ciemnymi okularami na nosach, w których wyglądali jak tajni agenci na urlopie.

Maya usiadła z dzieckiem obok mnie, a ja od razu wyciągnęłam do malucha rękę.

– Mogę go potrzymać?

Jako największa fanka dzieci korzystałam z każdej okazji, by ponianczyć swojego małego kuzyna. Cmokałam i gaworzyłam tak głośno, że wybudziłam Vince'a. Postanowiłam go trochę pozaczepiać.

– Kiedy będziesz miał takiego? Proszę, żeby to było jak najszybciej! – Mówiąc to, złożyłam soczystego buziaka na skroni Flynnę i zerknęłam na brata. – No kiedy?

Vincent zabawnie wyglądał, łypiąc tak na dziecko z miną, jakby było jakimś podsuniętym mu pod nos kontraktem na wyjątkowo nieopłacalną kwotę.

– Nieprędko – odparł.

– Jeju – westchnęłam, z zachwytem tonąc w pięknych oczach małego Flynna. – Chcę dzidziusia.

Kiedy znów zerknęłam na Vince'a, ponownie przymykał powieki. Nawet nie chciało mu się komentować moich słów.

Za to z jacuzzi odezwał się Dylan:

– Dzieci nie powinny mieć dzieci, mała dziewczynko.

– Jeśli chcesz, to mogłabyś. Biologia jest po twojej stronie – rzucił wujek Monty typowym dla siebie bez troskim tonem. Teraz też odpalił sobie cygaro, przez co jeszcze bardziej upodobnił się do Cama.

– Przymknij się, co? – warknął na niego ojciec.

– Co? Ja tylko mówię...

– To nie mów.

Śmiałam się pod nosem, a Maya mi wtórowała.

– Którekolwiek z waszego rodzeństwa jako pierwsze będzie miało dziecko, jedno jest pewne. Będzie ono najbardziej rozpieszczonym stworzeniem na całym świecie!

– Bardziej niż Dylan? – zdziwił się Will i strużka piwa poleciała mu po brodzie, gdy oberwał od brata kuksańca.

Starł ją, ledwo hamując śmiech.

– Wyobraźcie sobie, jak rozpieszczone będzie dziecko właśnie takiego na przykład Dylana – podłapał wujek Monty, rechocząc głośno.

– Ta, taki ciul – prychnął kpiarsko Dylan. – Pod moim dachem będzie dys-cy-pli-na.

Chyba wszyscy parsknęliśmy prześmiewczo, nawet Vincent, który wciąż miał zamknięte oczy.

– Ty i dyscyplina, tere-fere, kuźwa, kuku. – Ojciec wywrócił oczami i odwrócił się do nas plecami, chłonąc widok morza, lądu w oddali oraz Shane'a, wydurniającego się na skuterze nieopodał.

Za to, by chwile takie jak ta trwały wiecznie, dałabym się poćwiartować. Ja, bracia, ojciec i nawet ekstra dodatek do pakietu w osobach wujka Monty'ego i jego małej rodzinki to było doborowe towarzystwo, z którym zawsze i wszędzie mogłam czuć się dobrze. Zwłaszcza wiosną, na luksusowym jachcie, dryfując po wodach Morza Śródziemnego na słonecznym południu Francji.

Tony rozwalił się na ręczniku, który rozłożył na pokładowych deskach, łapiąc pierwszą w tym roku opaleniznę i eksponując tatuaże, których ostatnio sporo mu przybyło. Wyglądał trochę jak młodociany zbir, ale może uważałam tak dlatego, że jestem typem osoby, która przez pół życia wahałaby się, czy aby na pewno może wytatuować sobie małeńki kwiatek w jakimś niewidocznym miejscu.

Tak spędziliśmy cały dzień i dopiero bardzo późnym popołudniem zacumowaliśmy w porcie, wśród innych eleganckich jachtów. Turyści, których o tej porze roku i tak jeszcze nie było tu za wielu, zerkali na nas z ciekawością, gdy schodziliśmy z łodzi. Zastanawiali się pewnie, kim, u licha, trzeba być, by móc pozwolić sobie na zakup takiego cacka.

Cóż, na przykład trzeba należeć do Rodziny Monet.



2

ŻELAZNA ZASADA

Wieczorem wyszliśmy do eleganckiej restauracji, a potem Monetowie, jak to Monetowie, zniknęli na noc. Cieszyłam się, że mam Mayę, z którą mogłam spędzić miło czas i nie przejmować się swoimi braćmi. Gdy położyła Flynnę spać, natychmiast wzięła się za przyrządzanie bezalkoholowych mojito.

– Czy to prawda, że wujek Monty ma klub ze striptizem? – zagadnęłam, sadowiąc się na wysokim hokerze przy barku, który łączył się z nowoczesną kuchnią urządzoną w surowych kolorach stali, gdzie krzątała się teraz ciocia.

– Usłyszałaś, jak mówili o tym przy kolacji?

– Średnio byli dyskretni. Zwłaszcza Monty.

Maya pokiwała głową z uśmiechem.

– Bardzo się nim ekscytuje, ledwo go otworzył.

– Dlaczego akurat ze striptizem?

– Takie przynoszą więcej zysku – oznajmiła, urywając gałązki mięty z krzaczka.

– To jest... legalne?

– Jasne, że tak. To nie burdel. Oczywiście należy być ostrożnym, bo mieliśmy kilka takich sytuacji, że po pracę przysły nieletnie dziewczyny z fałszywymi dokumentami. Po prostu trzeba wszystkich dokładnie prześwietlać i tyle.

– Hm – mruknęłam, opierając brodę na dłoniach. – A nie przeszkadza ci, że twój mąż chodzi w takie miejsca?

Maya zerknęła na mnie przez ramię z rozbawieniem.

– Pytasz, czy nie jestem zazdrosna?

– No.

– W żadnym razie. Dla Monty'ego jestem najseksowniejsza i oboje dobrze o tym wiemy. On nie ma potrzeby oglądać się za striptizerkami. Wie, że ja zatańczę dla niego najlepiej.

– Mogłabyś oddać mi trochę swojej pewności siebie?

Maya obdarowała mnie uśmiechem godnym dobrodusznej wróżki chrestnej i postawiła przede mną mętne drinka z dużą ilością mięty, plasterków limonki i pokruszonego lodu.

– Proszę. Nie ma w nim alkoholu, ale nie martw się, w odpowiedniej atmosferze takie drineczki też dają kopa.

– Dzięki – odparłam, unosząc mokrą, zimną szklankę w toaście.

– Żaden problem. A co do pewności siebie... Zdaje się, że i tak zrobiłaś ogromny progres, prawda?

– Zrobiłam?

– I to jaki, popatrz na siebie!

Spojrzałam na białą koszulę bez rękawów, którą włożyłam w dzinsową spódniczkę. Była na granicy zakwalifikowania jako „zbyt krótka” według standardów moich w dalszym ciągu nadopiekuńczych braci. Złoty zegarek od ojca nosiłam na nadgarstku praktycznie codziennie. Dodawał elegancji każdemu strojowi.

– Robisz się coraz bardziej kobieca. Widzisz to wcięcie w talii? Nie miałaś aż takiego.

– Aha – przytaknęłam grzecznie.

– Ale największą zmianę, Hailie Monet, widzę w twoich oczach.

– Co z nimi?

Maya przycupnęła na siedzeniu naprzeciwko mnie tak, że miała idealny widok na moją buzię, do której sięgnęła, by odgarnąć mi włosy za ucho.

– Widać w nich siłę i ambicję. Ty nie jesteś już tamtą małą, zagubioną i onieśmiałą dziewczynką. Coś się zmieniło. – Przekrzywiła głowę. – Mam rację?

– Nie wiem – mruknęłam z zażenowaniem. – Słyszałaś o Ryderze Hardym?

– Tym ćpunie, którego załatwiłaś chińską pałeczką?

– Eee, no tak.

– Monty wszystko mi opowiedział. Oboje byliśmy z ciebie tacy dumni! A Cam? Aż mu się łezka w oku zakręciła, gdy usłyszał, jaką ma córę.

Ta rodzina jest niezwykła, naprawdę.

– Przytrafiło mi się mnóstwo dziwnych zdarzeń, po których miałam różne przemyślenia, ale to z Ryderem... ono było kulminacyjne. Ono tak jakby, no wiesz, coś przypieczętało. Mój wewnętrzny bunt. – Grzebałam w drinku metalową słomką, szukając odpowiednich słów. Gdy ich nie znalazłam, puściłam ją i westchnęłam, podnosząc wzrok na ciotkę. – Rozmawiałam z chłopakami, przede wszystkim z Vincentem, o zmianach.

– Dobrze – przytaknęła z uwagą Maya. – Wysłuchali cię?

– Niby tak, zawarliśmy nawet coś na kształt, można powiedzieć, układu. Maya, ja się tylko boję, że to nie wyjdzie.

– Co to za układ?

– Głównie chodziło o większą swobodę dla mnie. Vince zgodził się ze mną, że jego dotychczasowa taktyka nie działała, więc pozwolił mi na więcej wolności w zamian za spełnienie kilku warunków.

– I co, warunki Vince'a psują całą zabawę?

Pokręciłam głową.

– Nawet nie o to chodzi. Nie są aż takie uciążliwe. No, może trochę. – Skrzywiłam się na wspomnienie ostatniego miesiąca. – Mój ochroniarz wszędzie za mną chodzi, nawet w szkole. Wszyscy strasznie się gapią i plotkują, bardziej niż zwykle.

– Czekaj, czy twoim ochroniarzem nadal jest ten dyskretny przystojniak?

Ledwo się powstrzymałam, żeby nie wyrwać oczami.

– Jezu, Maya. – Uniosłam brew. – Tak, Sonny nadal jest moim ochroniarzem. Myślę, że zadurzyła się w nim połowa dziewczyn w szkole.

– To świetnie, pokaż im, że mogą sobie o nim co najwyżej pomarzyć.

– Maya, ty wiesz, że on ma dziecko?

– Jedyne, co jest istotne, to czy ma żonę.

– Nie, nie ma. – Tym razem wyrwałam oczami. – Ale to mój ochroniarz! Jakakolwiek relacja z nim byłaby dziwna, niestosowna i tragicznie kiczowata. A także krzywdząca. Dla niego. Bo gdyby któryś z chłopców się dowiedział... – Zawiesiłam teatralnie głos.

Już w połowie mojej wypowiedzi Maya zaczęła chichotać.

– Wiem, oczywiście, masz rację. Ale chcę powiedzieć, byś pamiętała, że gdy w grę wchodzi miłość, nie patrz, czy coś jest kiczowate lub nawet niestosowne, bo później będziesz żałować.

Z jakiegoś powodu spodobała mi się ta rada. Maya przechyliła głowę, zaglądając mi z ciekawością w twarz, aż nagle jej oczy rozbłysły.

– Oho, Hailie Monet! Ja znam takie zadumy. Mów mi szybko, o kim tam myślisz, hę?

Zaśmiałam się i upiłam łyk drinka, by przedłużyć chwilę milczenia.

– To skomplikowane.

– O, kochana. Przykro mi to mówić, ale z takimi braćmi na ogonie i nazwiskiem wszelkie twoje romantyczne podboje będą skomplikowane, dlatego radzę ci w ogóle nie zwracać sobie tym głowy. – Maya wzruszyła ramionami. – Powiedz mi lepiej, kto ci w niej siedzi.

Spuściłam wzrok na drinka, wiedząc dobrze, że ona i tak wyciągnie ze mnie, co tylko będzie chciała.

– Taki chłopak ze szkoły.

– Szczegóły?

– Leo Hardy.

– Och. – Maya zmarszczyła na moment brwi. – Chwila, Hardy? Jak ten cały Ryder?

Skinęłam głową.

– Och. Okej, to faktycznie skomplikowane – przyznała.

– Mówiłam! – jęknęłam i ukryłam twarz w dłoniach.

– Ale nie, nie, czekaj. Nie szkodzi – powiedziała prędko. – Słuchaj, nie szkodzi. Trochę to pokręcone, ale, jak powiedziałam, w twoim przypadku zawsze takie będzie. A im bardziej pokręcona jest miłość, tym piękniejsza. Szczerze ci to mówię.

Maya nawet położyła sobie dłoń na sercu, podczas gdy drugą chwyciła za mój nadgarstek. Podniosłam głowę, by na nią spojrzeć.

– Nie wiem, czy to miłość, czy tylko zauroczenie, ale często o nim myślę – wyznałam.

– Okej. Opowiedz mi o nim. – Maya przysunęła się bliżej, a potem zaraz sięgnęła po swój napój.

– Jest... bardzo ambitny i inteligentny. Poznałam go w szkole i wiesz, on się tak ogromnie różni od innych chłopaków. Tamci zdają się mieć inteligencję emocjonalną na poziomie, nie wiem, ujemnym. To bogate dzieciaki z prywatnej szkoły, które nie muszą martwić się o swoją przyszłość, bo cokolwiek się stanie, i tak spadną na cztery łapy. Wszystko biorą za pewnik. A Leo... jest inny. Do wszystkiego dąży sam i chyba to najbardziej mi w nim imponuje. Uczy się w akademii dzięki stypendium, chce pójść na medycynę...

– Okej, to brzmi nie najgorzej.

Rzuciłam Mai spojrzenie spode łba.

– Tak, poza tym, że jego brat narkoman najpierw zadłużył ich rodzinę u Vincenta, zwał na odwyk, a potem z odwyku, po czym chciał mnie zabić kwasem zawartym w perfumach, a potem jednak zmienił zdanie i spróbował porwać mnie dla okupu, po czym znowu prawie mnie zabił.

Maya patrzyła na mnie i mrugała, jakby coś wpadło jej do oka.

– Okej, to brzmi trochę gorzej...

Westchnęłam ciężko.

– Wygląda na to, że Leo zawarł z Vince'em jakąś umowę. Coś w tym stylu, że pomoże mu znaleźć Rydera i doniesie mu, jak tylko ten skontaktuje się z rodziną, ale nie znam szczegółów. – Potarłam zmęczone oczy, zapominając na chwilę, że przed wyjściem do restauracji pomalowałam rzęsy, i cmoknęłam z irytacją, zabierając ręce od twarzy. Gapiąc się na ubrudzone tuszem palce, kontynuowałam: – Vince tradycyjnie o niczym mi nie mówi, a z Leo też mam ograniczony kontakt. Trochę ze sobą piszemy, ale wróciłam do szkoły dopiero jakiś miesiąc temu. Tak, od marca. No i nie wiem, czasem spotkamy się na korytarzu i pogadamy o niczym, ale wyczuwam między nami jakiś taki dystans. Wcześniej pisaliśmy jakoś więcej. Nawet trudno nam usiąść razem na lunchu, bo czuję wtedy na karku oddechy Shane'a i Tony'ego. A wszędzie indziej łązi za mną Sonny – żaliłam się.

Maya słuchała uważnie.

– Rozumiem – powiedziała w końcu. – Trudna sytuacja, nie przeczę. Zwłaszcza że brat Leo próbował cię skrzywdzić. Wyobrażam sobie, że twoi bracia nie są mu przychylni. Ale... spójrz na mnie. Mój ojciec to król czubków, a mimo to przyjęto mnie do waszej rodziny. Wiem, że Cam i Vince mieli obiekcje, na początku. Monty się za mną wstawił i udowodnił, że nasza relacja ma przyszłość.

– Ale ty jesteś częścią ich pokręconego świata, a Leo nie.

Maya pociągnęła spory łyk mojito, taki, od którego od razu zakręciłoby jej się w głowie, gdyby napój zawierał choć procent alkoholu.

– Hailie, żelazną zasadą tego świata jest tak naprawdę brak żadnych zasad.

– Vince i Will mówili co innego... – zaoponowałam.

Pokręciła głową, jakbym była małym dzieckiem, które nic nie rozumie.

– Mój ojciec, Vince, Adrien i reszta tych wszystkich bossów grają według reguł, jak im się spodoba. Nie rzucają się sobie do gardeł nie dlatego, że tak ktoś kiedyś ustanowił, tylko dlatego, że nie są na tyle głupi, by chcieć wojny. Oni wszyscy dbają o własne interesy. Wygodnie im mówić, że postępują według zasad, bo brzmi to podniosłe, ale prawda jest taka, że naginają je sobie jak origami.

– Vince mówił...

– Hailie, przykład! Rzucając w Adriena nożem, wtedy w restauracji, straciłaś u niego swoje prawo do ochrony. Nie wolno podnosić ręki na głowę rodziny. On mógł cię tam wtedy zastrzelić i Monetowie, według tych gównianych zasad, nie mogliby nic z tym zrobić. Oczywiście byłoby inaczej, rozpętaliby wojnę. Ale powtarzam, nikt nie jest tak głupi, by ślepo podążać za zasadami. Dlatego Adrien machnął ręką na twój wybryk, bo w gruncie rzeczy był on nieszkodliwy. Wiedział też, że więcej by sobie narobił problemów z roztrząsania go, niż to warte.

– No, ale...

– Oni zajmują tak wysokie stanowiska między innymi dlatego, żeby właśnie nie musieć przestrzegać zasad jak reszta społeczeństwa,

a nie po to, by sobie ich jeszcze dokładać.

– No, ale...

– A sytuacja sprzed kilku miesięcy? Po twoim wypadku, kto cię znalazł?

– Adrien.

– Wcale nie on. Kto cię znalazł?

– Najpierw jego ludzie, ale potem zadzwonili...

– Znaleźli cię jego ludzie... – Maya wycelowała we mnie palec. – I zamiast od razu dać znać, że znaleźli poszukiwaną siostrę Monetów, najpierw poinformowali o tym swojego szefa na wypadek, gdyby miał on wobec ciebie inne plany.

Patrzyłam na nią zmieszana.

– Tak, Hailie, witamy w bezlitosnej rzeczywistości. – Maya uśmiechnęła się cierpko. – Wszyscy tańczą, a oni nawet nie muszą im grać. Oni komponują muzykę.

Zmarzłam. Może to wina lodowatego drinka, a może późnej pory. A może to ciarki wywołane tym, że nazbyt wczułam się w słowa Mai.

– Dlatego jeśli naprawdę zależy ci na tym chłopaku, tym Leo, to nie analizuj za bardzo sytuacji, tylko pozwól jej się rozwinąć i, cóż, obserwuj ją. Czyli wiesz, wejdź w to, ale z głową – doradziła.

– Muszę najpierw wy badać, czy on nadal coś... do mnie... no wiesz.

Maya prychnęła i nawet odrzuciła do tyłu głowę, a jej złociste włosy zafalowały z gracją.

– Hailie Monet, naucz się w końcu używać swoich wdzięków, a każdy będzie twój.

– Masz rację – przyznałam, obejmując teraz drinka obiema rękami. – Czasem czuję, jakbym marnowała najlepsze lata swojego życia.

– To nie są najlepsze lata w życiu. Bycie nastolatką to na ogół trudne i męczące zadanie. Każdy, kto przebrnie przez ten okres, powinien dostać złoty medal i gratulacje na piśmie. – Maya nachyliła się w moją stronę. – Najlepsze lata życia zaczynają się później.

Uśmiechnęłam się.

– Co nie znaczy – ciągnęła Maya – że będąc nastolatką, nie możesz się zabawić. Im więcej głupich błędów popełnisz teraz, tym mniej popełnisz ich w przyszłości. W teorii.

– Czy ty kogoś cytujesz?

– Siebie.

Zaśmiałam się, a ona uniosła kąciki ust.

– Co? Hailie, mówię ci, słuchaj cioci Mai. Nie pożałujesz.



3

SIOSTRZANO-BRATERSKIE NEGOCJACJE

Napisz mu, że o nim myślisz.

Zrobiło się bardzo późno i przeniosłyśmy się na kanapę, gdzie wygodnie się ułożyłyśmy. Maya zasunęła już zasłony i zapaliła lampy, dzięki czemu atmosfera zrobiła się przytulna, ale i senna. Ja cieszyłam się takimi leniwymi chwilami, ale Maya za nimi nie przepadała i niczym znudzona pięciolatka szukała tylko okazji do psot. Na moje nieszczęście planowała zabawić się moim kosztem, bo zerkała wymownie na komórkę, którą położyłam na stoliku kawowym tuż obok kolejnego drinka.

Natychmiast się ożywiłam.

– Nie! Nie mogę być taka bezpośrednia.

– Wyluzuj. Możesz wszystko.

– Co, jeśli mnie wyśmieję? – Przygryzłam wargę.

– Wtedy pośmiejesz się z nim.

– Serio, Maya?

– Nie wiem, czym ty się martwisz. Z tego, co mówiłaś, sam się do ciebie zalecał. Przytulał, odwiedzał z kwiatami...

– To było, zanim jego brat mnie porwał.

– Przez to wydarzenie w jego oczach jesteś dla niego jeszcze bardziej nieosiągalna, co tylko zwiększa twoją atrakcyjność – stwierdziła ciotka i nachyliła się po mój telefon. – Jeśli ty nie napiszesz, ja to zrobię.

– Nie! – zawołałam.

– No dalej, Hailie, zrób pierwszy krok.

Chwilę biłam się z myślami, ale prowokowana przez Mayę oblizałam wargi i zaczęłam kiwać wolno głową.

– Może napiszę, ale coś zwyczajnego...

Ciotka upiła łyk mojito i zapatrzyła się na mnie z uśmiechem.

– O to chodzi. Od czego zaczniesz?

– Zapytam: „Co tam?”.

Mina jej zrzędła.

– Rany, czuję się, jakbym znowu wylądowała w liceum.

Wzruszyłam ramionami, odblokowując komórkę.

– Cóż, ja chodzę do liceum.

– Ale ja nie – mruknęła Maya i wyrwała mi ją z rąk.

– Hej! Oddawaj!

Ciocia Maya okazała się zwinniejsza ode mnie. Uciekła na drugi koniec salonu, a ja, zanim do niej dobiegłam, rozlałam drinka, którego nie zdążyłam odstawić na stolik. Jeszcze trochę i bym się na nim poślizgnęła. Pozostało mi wpatrywać się z niepocieszoną miną w swoją ulubioną ciotkę, której aktualnie nienawidziłam.

– Poszło. – Uśmiechnęła się.

– Coś ty zrobiła?! – zawołałam i ukryłam twarz w dłoniach.

– Dodałam kolorów twojemu szaremu życiu.

– Ja wolę, gdy jest szare – jęknęłam, patrząc na rozlany napój i żałując, że nie zawierał alkoholu, który przytłumiłby wstyd, który

właśnie poczułam. Zdrętwiały mi kończyny, a żołądek zacisnął się w supeł.

Maya napisała do Leo!

Pewnie długo robiłabym jej wyrzuty, a może nawet nakreśliłabym się i na nią pogniewała, gdyby nie fakt, że już po minucie mój telefon zawibrował.

– „Ja o tobie też” – przeczytała Maya z triumfalnym wyrazem twarzy.

Zamrugalam i znieruchomiałam.

– Tak... Tak napisał?

– Czarno na białym.

– Nie napisał tak – powiedziałam z niedowierzaniem.

– Co innego miałby napisać?

– Pokaż!

Napisał. Gdy Maya oddała mi w końcu telefon, zobaczyłam tę wiadomość.

Leo naprawdę odpisał, że też o mnie myśli.

Myśli o mnie.

– O Boże! – wykrzyknęłam cała rozdygotana. – Nie wierzę, że mu to napisałaś!

– Widzisz? – Maya uklękła obok mnie z papierowymi ręcznikami w ręce. Wycierając kałużę, uniosła głowę i ciągle szczerząc się do mnie, powiedziała: – Możesz wszystko, Hailie.



Choć przed Mayą udawałam naburmuszoną, w rzeczywistości podziwiałam ją jeszcze bardziej. Aktualnie w swoim życiu nie miałam wielu kobiet, które potrafiłyby obdarzyć mnie tak dużym wsparciem, dlatego oficjalnie coraz bardziej zaczynałam traktować ją jak upragnioną siostrę.

Powoli wybaczałam jej już tę idiotyczną propozycję aranżowanego małżeństwa, którą w moich oczach pogrzebała swoje pierwsze dobre wrażenie.

W oczekiwaniu, aż Leo odpisze na kolejną wiadomość, dużo rozmawiałyśmy. Opowiadałam jej ze szczegółami o swoich styczniowych przeżyciach oraz o tym, jak z powrotem coraz bardziej angażuję się w sprawy fundacji. Ona podzieliła się zaś ze mną wrażeniami z szybkiego ślubu, na który ostatecznie zdecydowali się z Montym, oraz z pasją rozgadała się o macierzyństwie, tak jak to tylko młode matki potrafią.

Około drugiej przerwali nam chłopcy, którzy wrócili z klubu i od razu narobili hałasu. Dylan złapał za szklankę mojego mojito i powąchał zawartość, by upewnić się, że na pewno nie ma w niej alkoholu. Nawet gdyby było inaczej, to prawdopodobnie nie wyczułby różnicy, bo sam był nieźle zaprawiony.

To miał być koniec posiadowy, ale wujek Monty nagle znikąd wytrzasnął jakiś koniak z limitowanej edycji i nagle wszyscy bracia Monet koniecznie musieli go spróbować. Maya co chwila uciszała towarzystwo, biegając w kółko do Flynna, by sprawdzić, czy nadal śpi.

– To mój syn, kotku, moja krew – śmiał się Monty. – Nie obudzą go nawet najbardziej ekstremalne warunki.

– To akurat prawda – przyznała Maya. – Niesamowite, nie drgnie mu nawet powieka.

– Można krzyczeć, puszczać głośną muzykę, mogą dzwonić telefony... – wymieniał Monty. – Właśnie, coś ci tam brzdąknęło, Hailie.

Z tego całego zamieszania zapomniałam, że czekam na odpowiedź od Leo! Zerwałam się po swoją komórkę. Chwilę sobie pisaliśmy i zaczynaliśmy wchodzić na tematy, które naprawdę pragnęłam poruszyć z nim od dłuższego czasu. Niestety, nieumiejętnie to rozegrałam. Przytuliwszy telefon do piersi w obronnym geście, dostrzegłam, jak Maya przymyka powieki.

Pierwszy uaktywnił się Dylan.

– Kto to?

– Nikt.

– Co, telefon ci dzwoni sam z siebie?

– Nie dzwoni przecież.

– Mów, kto to.

– Mona.

– Pokaż – zażądał siedzący obok mnie Shane.

– To nie twoja sprawa – syknęłam i odsunęłam się od niego.

– Dajcie jej spokój – wtrącił się Cam. – Niech sobie pisze.

Uśmiechnęłam się jak zawsze, gdy tato stawał w mojej obronie.

– Przecież i tak masz dostęp do jej wiadomości, nie? – rzucił ze znużeniem Tony.

Patrzył na Vincenta.

Serce zabiło mi mocniej, gdy dotarł do mnie sens tych słów. Natychmiast się wyprostowałam i wybałuszyłam oczy.

– Że co proszę?

W zakłopotanej minie ojca doszukałam się potwierdzenia.

– To jest jakiś żart, prawda? – zawołałam, omiatając wszystkich spojrzeniem i na końcu zatrzymując się na Vincencie. – Szpiegujesz mnie nawet w telefonie?

Cam patrzył na Tony'ego z niechęcią, ten za to przybrał lekko ogłupiały wyraz twarzy, jakby dopiero się zorientował, że popełnił gafę. Ukrył wzrok w kieliszku i długo go potem nie podnosił.

– Odpowiedz! – warknęłam, a wtedy Vince wreszcie zgodził się nawiązać ze mną kontakt wzrokowy.

– Oczywiście, że mam dostęp do twoich wiadomości, Hailie.

– Oczywiście? – sapnęłam z niedowierzaniem. – To jest dla ciebie oczywiste? Mało mi prywatności odbieracie?

– Chwila, malutka, nikt nie czyta twoich prywatnych wiadomości, o to możesz być spokojna – zapewnił Will.

– Vincent nie ma prawa ich przeglądać bez powodu – dodał ojciec.

– Nie ma też pewnie ochoty – mruknął Monty. – Kto by chciał czytać romanse małałotów?

– Romanse? – Dylan nastroszył brwi.

– Bez powodu? – zwróciłam się do ojca. – A co według ciebie byłoby dobrym powodem, by je przejrzeć?

– Zagrożenie twojego bezpieczeństwa przykład – odpowiedział mi Vincent.

Widząc moją niepocieszoną minę, Maya pospieszyła na ratunek. Zamachała ręką i nachyliła się.

– Słuchaj, Hailie, kochana, mi też kiedyś ojciec przetrzepywał komórkę. Wiesz, co zrobiłam? W końcu się zdenerwowałam i wysłałam komuś tak intymne zdjęcia, że gdy je zobaczył, dostał traumy i już nigdy więcej nie odważył się tego zrobić.

Monty zachichotał, a ja się skrzywiłam.

– Faj.

– Maya, na Lorda – westchnął Will.

Ojciec potarł powieki, Dylan wyglądał, jakby miał się zaraz na nią rzucić, a Tony i Shane wybuchnęli śmiechem, którego nawet nie próbowali ukryć.



Maya czekała na mnie w uroczej kawiarence umiejscowionej nad samym brzegiem morza. Smagana nadchodzącą znad niego lekką bryzą, usiadła pod parasolem. Na perfekcyjnie błękitnym niebie wisiały może ze dwie białe chmury. Nie dałam się jednak porwać temu kojącemu klimatowi i opadłam na wolne krzesło tak ciężko, że zatrzęsł się cały stół.

– Hej, spokojnie – upomniała mnie Maya, zerkając na mnie znad ciemnych okularów. – Coś się stało?

Pokręciłam naburmuszona głową.

– Nadal jesteś zła na chłopców za wczoraj?

Teraz nią skinęłam.

– Zaczęłaś pić kawę? – zapytała łagodnie Maya, gdy zaraz podszedł do nas kelner i złożyłyśmy swoje zamówienia. Wiedziałam, że próbuje mnie zagadać i sprawić, żebym wyluzowała, ale tylko wzruszyłam ramionami.

– Nauczyłam się tego przy chłopakach – burknęłam.

– A ćwiczysz nadal?

– Czasami, gdy nie ma ich na siłowni.

– Przeszali cię trenować?

– A nie, treningi odbywają się swoją drogą. Tyle że nieregularnie. – Zmrużyłam oczy i dodałam: – Zwykle wtedy, gdy Dylanowi się nudzi i ma ochotę się na mnie powyżywać.

– Kochany Dylan.

– Jest idiotą. Wpadłam na niego dziś rano. Znowu pytał o moje wiadomości. Nie ma za grosz wstydu, przecież to moje prywatne sprawy. Chociaż nie, wychodzi na to, że wcale nie są takie prywatne. Po co mi w ogóle telefon, skoro... Hej, nie śmiej się ze mnie!

– Przepraszam – wydusiła Maya i podziękowała za dzbanek wody, który kelner przyniósł nam razem z dwoma szklankami. Gdy odchodził, rzucił mi dłuższe spojrzenie i słodki uśmiech, co nie uszło uwadze mojej cioci, bo zaraz wymruczała: – Mmm, przystojniaczek.

– Maya, weź – westchnęłam, ale gdy następnym razem kelner przyniósł nam do stolika dwie kawy i francuskie naleśniki z owocami, odwzajemniłam jego uśmiech.

– Oho, ktoś tu chyba dostanie dziś spory napiwek – mruknęła Maya, unosząc swoją filiżankę do ust i odprowadzając chłopaka figlarnym spojrzeniem.

– Jestem po prostu miła! – zaprotestowałam, tym razem łapiąc za telefon, by nie zdążyć się za bardzo zawstydzić.

– Mhm. A teraz sprawdzasz, czy czasem nie masz wiadomości od Leo?

– Nie sprawdzam! – westchnęłam i odłożyłam komórkę z powrotem na stół. – Niech już lepiej nic nie pisze, skoro Vince ma to przeczytać.

– Will przysiągł, że nikt nie czyta twoich wiadomości.

– Co z tego, że twierdzą, że ich nie czytają? Sam fakt, że mogliby, jest nie na miejscu.

– A tam, twoi bracia święci nie są. Nic im się nie stanie, jeśli im to czasem wypomnisz.

Nabiłam malinę na widelec i przyjrzałam się jej ze zmarnowaną miną.

– Ale Vince i Will nie są tacy jak Dylan i bliźniacy.

– Co nie znaczy, że żyją w celibacie.

Wrzuciłam owoc do ust i go rozgryzłam, gdy nagle coś mi się przypomniało.

– Maya, pytanie – zagadnęłam. – Znasz może przypadkiem... siostry Adriana?

Ona uniosła brew i upiła łyk kawy.

– Santana? – Odstawiła filiżankę na talerzyk. – Aha. Są dwie. Keira była nawet w porządku. Zawsze trzymała się z boku. Znakomicie jeździła konno, zawsze coś tam wygrywała. Ale była ogromnie zdystansowana. Wyjechała do college'u i już nie wróciła. Teraz jest... bodajże ortodontką. Ma gabinety w całym Houston. Z tego, co mi wiadomo, rzadko odwiedza rodzinę. Ma chyba dziecko i męża... A może już dwójkę? Dzieci, nie mężów...

– A ta druga?

Maya rzuciła mi spojrzenie.

– Grace Janderau. Tak, mają inne nazwiska. Grace jest najstarsza i ma innego ojca – oświadczyła i mlasnęła językiem.

– Nie przepadasz za nią?

– Aż tak to widać?

Wzruszyłam ramionami i kiwnęłam głową, na co moja ciocia się uśmiechnęła.

– Trochę z niej suka.

Oho.

– Ty na pewno wiesz, który z moich braci... się z nią spotyka?

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem, a kąciki jej ust drgnęły.

– Ach, no jasne, przecież to żadna tajemnica.

– Jaka tajemnica?

Dylan pojawił się znikąd i swoim wścibstwem tradycyjnie wszystko zepsuł. Natychmiast rozwalił się na krzesło obok mnie i rzucił moim naleśnikom o sekundę zbyt długie spojrzenie.

– Nie twoja sprawa – westchnęłam, godząc się z tym, że w tej chwili odpowiedzi na to pytanie nie dostanę.

Gdy tylko Monetowie do nas dołączyli, uwaga Mai się rozproszyła. Zaczęła oglądać się za resztą chłopców, tak naprawdę wypatrując tylko jednego, najważniejszego mężczyzny w jej życiu. Szeroko się uśmiechnęła, kiedy wujek Monty zaparkował wózek ze słodko drzemącym sobie Flynnem tuż obok niej.

Vince polecił przystojnemu kelnerowi przyłączenie do naszego stolika jeszcze ze dwóch sąsiednich, a bliźniacy sami już przytachali po dwa krzesła, tak że nowo przybyli mogli się do nas dosiąść. Brakowało tylko Willa oraz ojca, który wciąż stronił od pokazywania się publicznie, zwłaszcza w towarzystwie naszej rodziny. Podobno razem poszli się przebiec. Uznałam to za uroczę.

Przez chwilę toczyła się rozmowa na temat klubu, który męska część rodziny odwiedziła wczorajszego wieczora. Z Mayą wywracałyśmy trochę oczami, choć panowie omawiali wyłącznie aspekt biznesowy swojego wyjścia. No, może poza bliźniakami, którzy nie mogli przestać głupio się szczerzyć z tylko sobie zrozumiałych żartów.

W pewnym momencie zrobiłam małą dramę o truskawkę, którą dostałam wciśniętą na czubek pokrytego bitą śmietaną naleśnika. Dylan wrzucił ją sobie do ust, gdy nie patrzyłam, i wyjątkowo mnie tym rozdrażnił. Naprawdę miałam na nią ochotę. Chyba nie spodziewał się, że aż tak się wkurzę, bo dość szybko się poddał, uniósł ręce i wkrótce na naszym stole zawitała cała miska świeżych truskawek, zamówionych specjalnie dla mnie.

– A co z obiadem w Monako? – zapytał Shane, gdy rozmowa powoli zaczęła schodzić na ustalanie szczegółów powrotu do domu.

Vince pokręcił sztywno głową.

– Jutro muszę być w Nowym Jorku, więc najlepiej by było, gdyby udało nam się wylecieć wieczorem.

– Dziewczynko – zagadnął do mnie szeptem Dylan – lecisz ze mną na Kanary?

– Co, teraz? – zdziwiłam się.

– A czemu nie?

– A czemu chcesz, żebym leciała z tobą na Kanary? – spytałam podejrzliwie.

– Babcia Blanche się za tobą stęskniła.

Słyszac to, Maya prychnęła z przekąsem.

– Ta wiedźma nie jest zdolna do żadnych uczuć, a na pewno nie do tęsknoty.

– Co ty mówisz, słońce, mamusia jest wspaniała – zaprotestował wujek Monty, obficie słodząc kawę, którą właśnie mu przyniesiono.

Kelner na widok tyłu facetów wkoło już się do mnie nie uśmiechał.

– Nienawidzi mnie i vice versa.

– Uwielbia cię.

– Powiedziała mi, że wolałaby być głucha niż ślepa, bo przynajmniej nie musiałaby słuchać, jak trajkoczę.

– Wiesz przecież, że to takie niewinne dogryzki.

– To co, Hailie – mruknął do mnie znowu Dylan, szturchając mnie w ramię – lecisz ze mną?

– No ale dlaczego akurat ja?

– Tony i Shane muszą wracać z Vince’em i Willem, bo mają projekty do skończenia. Tylko ty możesz przedłużyć sobie ferie wiosenne o dzień czy dwa.

– No dobrze, ale po co w ogóle chcesz tam lecieć? – zapytałam i patrząc zamilkłemu nagle Dylanowi w oczy, sama w końcu się domyśliłam i aż zmrużyłam powieki. – Chodzi o tamtą dziewczynę? Martine?

– Po prostu mam sprawę do załatwienia.

– I po cholere ja ci tam jestem potrzebna?

– Nie mów „cholera” – upomniał mnie automatycznie, ale nie brzmiał nazbyt czepialsko. Zapewne dlatego, że miał do mnie interes. – Nie chce mi się lecieć, a potem wracać samemu.

– „Cholera” to nie przekleństwo – zauważyłam. – I nie jestem jakimś twoim błaznem, żeby cię zabawiać, jak ci się nudzi.

– Po prostu nie mów „cholera” – ciągnął. – I no weź, poleć ze mną. Będę dla ciebie miły, słowo.

Oczywiście, że się zgodziłam.

Można by rzec, że nie potrafiłam odmówić Dylanowi i jako dobra młodsza siostra dałam mu się po raz setny wykorzystać, ale prawda była taka, że zwyczajnie skusiła mnie perspektywa uatrakcyjnienia mojego pobytu w Europie o dodatkowe dwa dni na Kanarach. Nie chciałam wracać do ledwo wkraczającej w wiosenny klimat Pensylwanii. Tu, we Francji, już prawie zaczynało się lato, a na wyspach już w ogóle szalała pełną parą i jeśli miałam okazję z niego skorzystać, to nie zamierzałam jej marnować.

Wieczorem Vince i reszta chłopaków wrócili do Stanów prywatnym samolotem Monetów, tym, którym tu wszyscy przylecieliśmy. Ja z Dylanem zostaliśmy jeszcze na jedną noc w Saint-Tropez. Do około północy siedzieliśmy (ja przytulona do boku ojca) na jachcie wujka zacumowanym w magicznie oświetlonym porcie i rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym w towarzystwie ogromnej i niezwykle różnorodnej deski serów, urozmaiconej o kilka rodzajów oliwy i francuskie bagietki. Tato, Dylan i Monty dodatkowo popijali też czerwone wino, którym zachwycali się niczym wytrawni koneserzy, i to bardziej, niż miałam ochotę wysłuchiwać.

Rano zaś, po śniadaniu, wyściskałam się z ojcem, wyciąłowałam Flynną, który na koniec zaczął strasznie płakać, wprowadzając mnóstwo zamieszania, i pożegnaliśmy się z całą resztą, po czym razem z Dylanem wsiedliśmy do taksówki i ruszyliśmy do Nicei.

Czy muszę wspominać, że przemierzając schludne, malownicze uliczki miasta, czułam się jak gwiazda filmowa? Ludzie oglądali się za mną i za Dylanem, bo choć głupio tak otwarcie to przyznać, mieliśmy absolutnie wszystko i każdy, kto na nas spojrzeł, automatycznie o tym wiedział. Byliśmy młodzi i atrakcyjni, świetnie ubrani i bogaci. Do niedawna nie dopuszczałam do swojej głowy takich myśli, uważając je za niestosowne, ale dłużej nie mogłam ich wypierać. Przynależność do rodziny Monet uplasowała mnie na mocno uprzywilejowanej w tym świecie pozycji i zaprzeczanie temu byłoby zupełnym nietaktem. Wolałam zaakceptować tę myśl i zwyczajnie być wdzięczną, doceniać te dobre rzeczy, które mi się od życia tak niespodziewanie dostały.

Dziewczyny oglądały się za Dylanem, który w zebranych do tyłu włosach, markowych okularach przeciwsłonecznych i z zaczepnym uśmiechem nieustannie błędzącym na ustach był dla nich jak lep na muchy, choć ja tam nadal uważałam, że jest brzydki. Od czasu do czasu napinał też mięśnie, gdy mijani przez nas chłopcy rzucali mi spojrzenia o pół sekundy za długie. A ku mojej ucieście było ich całkiem sporo. Przy Dylanie absolutnie nie mogło być mowy o żadnej na nie reakcji, ale przed sobą samą musiałam przyznać, że lechtały one moje ego. Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę jedną z tych dziewczyn, za którymi ktoś na ulicy zechce się obejrzeć.

W porze obiadowej upatrzyliśmy sobie restaurację ze stolikami ustawionymi na uroczym patio, otoczonym ścianami starych budynków, których kolorowe, obdrapane mury oplecione były zielonymi pnączami, a nieopodal, w małej kamiennej fontannie, radośnie chlupała sobie woda. To panujący tam magiczny klimat sprawił, że zdecydowaliśmy się tam zjeść.

Ja skusiłam się na słynną zupę cebulową i poskubałam trochę sałatki z kozim serem, którą później dokończył za mnie Dylan. Sam zamówił quiche, cudownie kruchy i przepyszny, o czym mogłam się przekonać, bo łaskawie dał mi spróbować. Na deser za to wsunęliśmy kolorowe makaroniki.

Dylan był... fajny. Zauważyłam to już dawno temu, że gdy spędzam z nim czas sam na sam, ale nie na treningach, kiedy to się na mnie wyżywał, robi się z niego dobry kompan do żartów, śmiechów i wymiany opinii. Żałowałam, że nie może być taki zawsze, ale też po prostu cieszyłam się momentami, gdy hamował się od okazywania mi typowego dla siebie chamstwa.

Najedliśmy się tak bardzo, że przez chwilę nie mieliśmy siły się ruszyć, więc tylko odchyliłiśmy się w naszych krzesłach, ciesząc się bajkowym otoczeniem i czekając, aż w naszych żołądkach wszystko się poukłada.

– Chcesz poznać nasz plan pobytu u Blanche? – zagadnął Dylan.

– Mój plan pobytu jest taki – odparłam odprężona i z zamkniętymi oczami – że będę chodzić na plażę i jeść dobre jedzenie.

– Brzmi fajnie, jeszcze wciśniesz gdzieś pomoc dla brata i będzie miódzio.

– Jaką pomoc? – jęknęłam, zabierając twarz od słońca, by rzucić mu poirytowane spojrzenie. – Nie było mowy o żadnej pomocy. Miałam ci tylko towarzyszyć.

– No i o to właśnie chodzi. Chcę, żebyś mi towarzyszyła podczas spotkania z Martiną.

– Po co?

– Nie wiem, może być tak, że będzie chciała mnie zamordować, to wtedy będziesz świadkiem.

– Dylan, proszę cię, ja nie mam ochoty na twoje dramy.

– Cicho. To są twoje obowiązki młodszej siostry.

– Jakie niby obowiązki? – prychnęłam.

– Na przykład ratowanie mojego wizerunku w oczach moich byłych dziewczyn, z którymi chcę się zejść.

– Kiedy ja bym z chęcią im to odradziła.

– Mam cię zaszantażować, żebyś mi pomogła? – westchnął Dylan, jakby naprawdę z całych sił nie chciał tego robić.

– W dupie mam twoje szantaże – burknęłam.

– Nie mów „dupa”. I okej, w takim razie jak wrócimy, masz załatwiony szlaban na prowadzenie auta.

– Co?! – Zerwałam się i usiadłam prosto, patrząc na Dylana z niechęcią i oburzeniem.

– Słyszałaś. Nawet nie wiesz, dziewczynko, z jaką łatwością mogę to zrobić.

Wiedziałam. Wiedziałam doskonale, bo dopiero co otrzymałam prawo jazdy i mimo iż wszyscy moi bracia mi go pogratulowali, to miałam wrażenie, że woleliby, żebym oblała egzamin i nigdy nie siadała za kółko.

Nie chciałam wyjść na niewdzięcznicę, bo przecież Vince (ze sporadyczną pomocą Shane'a) w jakieś półtora miesiąca zrobił ze mnie całkiem przyzwoitego kierowcę, ale faktem jest, że przejażdżki moim złotym porsche trwały krótko i zawsze towarzyszył mi podczas nich któryś z braci. Oni po prostu dusili się na samą myśl, że ich młodsza siostra miałaby sama prowadzić samochód, dlatego spodziewałam się, że Vincent podłapie każdy pretekst, by zabrać mi kluczyki i więcej ich nie oddać.

Zabrać, oczywiście, w cudzysłowie, bo i tak na co dzień nimi nie dysponowałam.

– Wredny jesteś – mruknęłam.

– Fajnie, że się dogadaliśmy.

– Nie tak szybko, co? – warknęłam. – Wrobiłeś mnie w tę całą pomoc, nie taka była umowa, więc przynajmniej zachowaj twarz. Wiś mi przysługę.

Dylan, dotychczas wyluzowany i rozbawiony, teraz zmrużył oczy.

– Jaką?

Ależ byłam dumna z tych siostrzano-braterskich negocjacji.

– Wesprzyj mnie, żebym mogła wreszcie pojechać autem do szkoły.

Do tej pory nikt nie chciał się na to zgodzić, a ich wymówki były irytujące. A bo pogoda za brzydka, a bo jestem zbyt świeżym kierowcą, a bo droga do szkoły jest dla mnie za trudna (guzik prawda, droga jak droga) i inne takie.

Teraz wyczułam okazję do przeciwnięcia choć jednego brata na swoją stronę.

Dylan wpatrywał się we mnie przez chwilę.

– Tak właściwie to co ci tak na tym zależy? – zapytał w końcu.

– Wszyscy moi znajomi jeżdżą już własnymi samochodami i gadają o prowadzeniu i prawie jazdy, a ja nigdy nie jestem w temacie. Mam wrażenie, że nikt nie wierzy, że w ogóle zdałam egzamin – poskarżyłam się.

– Co cię obchodzi zdanie innych?

– Dylan! Nie w tym rzecz. I nieważne. Zgadzasz się czy nie?

Jeszcze chwilę się ociągał, zanim odpowiedział:

– Okej, niech ci będzie. Ale. – Uniósł palec do góry, żeby pohamować mój głupkowaty triumfalny uśmiech. – Wstawię się, żebyś pojechała do szkoły swoim autem tylko w obecności Shane'a albo Tony'ego. Sama nie.

– Dobrze, Dylan – odparłam przymilnie, szczerząc zęby, na co on sam parsknął, niby to wcale nierozbawiony, i pokręcił głową.

– Małej dziewczynce zachciało się prowadzić – mruknął do siebie.

– Interesy z tobą to przyjemność – powiedziała mu, z powrotem rozpięrając się na krześle i kierując twarz z powrotem ku słońcu.

– Przestań, wstawaj już – burknął, trącając mnie w ramię, gdy sam się podnosił. – Czas się zbierać.



4

DYLAN JEST ZAZDROSNY

No, kłaniajcie się narody, miłościwe wnuczeta przyjechały.

Gdyby Blanche nie otworzyła ramion, by nas uściskać, nie uwierzyłabym, że rzeczywiście szczerze ucieszyła się z naszych odwiedzin.

– Sęskniłem się za twoim łagodnym głosem – zakpił Dylan i ucałował ją w policzek. Dla babci było to o jeden gest za dużo, bo odsunęła od niego twarz i wykrzywiła ją z niechęcią.

Głos Blanche w ogóle nie był łagodny. Przypominał trochę dźwięk papieru ściernego, którym ktoś tarł o tablicę kredową. Na szczęście zdążyłam przyzwyczaić się do jej stylu bycia i obecnie nawet nie próbowałam powstrzymać chichotu.

Blanche przeniosła na mnie swoje niewidzące oczy, zaskakująco trafnie oceniając, gdzie stoję.

– A ty co rżysz?

– Cześć, babciu – przywitałam się, pozwalając, by szeroki uśmiech zagościł mi na ustach. Przytuliłam ją do siebie. Była drobna i krucha, ale nie martwiłam się, że ją połamię, skoro przetrwała w objęciach Dylana.

– Co ty w ogóle masz na sobie? – zapytał z drwiną.

– Dylan – upomniałam go szeptem, chociaż sama z uniesionymi brwiami patrzyłam na kreację Blanche, na którą składała się długa, lekko pożółkła sukienka z koronki. Zabawnie kontrastowała z jej długimi, siwymi włosami.

Babcia szybko wypuściła mnie z objęć i jedną dłonią przejechała po swoim boku, jakby dotykiem musiała przypomnieć sobie, w co się dziś ubrała.

– Domowy łań. – Wzruszyła ramionami. – Przerobiony z mojej starej sukni ślubnej.

– Powaga? – parsknęła Dylan. – Trochę brzydka jak na suknię ślubną.

– Przyjrzyj się dobrze, bo jak umrę, będę cię w niej nawiedzać.

Zadrzałam na samo wyobrażenie ducha Blanche i objęłam się ramionami.

– Może zrobię herbaty? – zaproponował Benny, błędnie odczytując mój gest.

– Najpierw kolacja – zarządziła babcia, machając rękoma. – Dajcie mi przejść.

– Mamy burgery – pochwalił się Benny. – A Blanche zrobiła sałatkę.

– Nie trzeba było – powiedziałam, jak zwykle pod wrażeniem umiejętności naszej niewidomej babci.

– Nic wielkiego, to sałatka na winie.

– Na czym? – zapytał podejrzliwie Dylan.

– Zrobiona z tego, co się nawinie – wyjaśniła spokojnie Blanche.

Wyśmiewałam Dylana przez kilka dobrych minut. Należało mu się. Widziałam, że jest gotów zabrać mi talerz sprzed nosa, jeśli okazałoby się, że posiłek zawiera choć ślad alkoholu. Kretyn.

Zachęceni ciepłym wieczorem, do stołu zasiedliśmy na dworze. Wcześniej spędziłam na wyspach cały grudzień i mimo iż zima charakteryzowała się tu wyjątkową łagodnością, to nie równała się aktualnej pogodzie. I już wiedziałam, dlaczego Blanche i Benny uciekli na Wyspy Kanaryjskie. Genialnie się ustawili.

– Flynn jest cudowny – mówiłam, smarując burgera drugą warstwą sosu barbecue.

– Z pewnością – mruknęła Blanche.

– Co, nie interesuje cię twój własny wnuk? – zdumiałam się.

– Dzidziusie są nudne – prychnęła lekceważąco, po czym trochę się ożywiła. – Bardziej interesują mnie wnuki, które na przykład leją się ze swoimi porywaczami. Powiedz mi: to prawda, że wbiłaś pewnemu narkomanowi pałeczkę chińską w tętnicę?

Zamrugalam.

– Nie w tętnicę... Ja tylko drasnęłam go w twarz.

– Ach.

– Czekaj, źle to opowiadasz – wtrącił się Dylan. – Zaczęło się od tego, że rozsypała mu kokainę.

– Ach, kokainę? Co ty nie powiesz...

– Użyła też kilku chwytów z samoobrony, których nauczył ją jej ulubiony brat – pochwalił się, jednocześnie szturchając mnie znacząco w ramię, na co szybko zaprotestowałam:

– Tylko niektóre z nich pokazał mi Will.

Blanche i Benny zaśmiali się.

– No dobrze, Dylan też dużo mnie nauczył – sprostowałam, żeby go udobruchać. – Jest wyjątkowo wrednym nauczycielem, ale przyznaję, że skutecznym.

– Cztery słowa, mała dziewczynko: dys-cy-pli-na.

– To tylko jedno słowo podzielone na cztery sylaby.

Dylan wrzucił sobie do ust plaster ogórka konserwowego i omiół mnie spojrzeniem pełnym niechęci.

– Nudziara z ciebie.

– Przed chwilą Blanche uznała mnie za interesującą.

Sądząc po drżących ciągle kącikach ust Blanche i Benny'ego, dostarczyliśmy im z Dylanem rozrywki. W ogóle wieczór był przyjemny i gdy nadszedł czas, by iść do łóżka, po tak intensywnym dniu miałam problemy z zaśnięciem. Kręciłam się pod kołdrą, gapiąc się na krzywy sufit i nasłuchując odgłosów szalejącego na zewnątrz wiatru.

W momentach takich jak ten, gdy głowy nie zaprzętały mi żadne większe problemy i mogłam przyznać, że czuję się szczęśliwa, dopadały mnie wyrzuty sumienia.

Uczucie to było paskudne – jakby ktoś przeciągał mi miedziany drut przez wnętrze. Robiło mi się niedobrze i zaczynała pobolewać mnie głowa. Czasem brałam głębokie wdechy, żeby się uspokoić, ale niewiele pomagały.

Terapia pomogła mi radzić sobie z tą dolegliwością, ale wciąż czekało mnie sporo pracy, by nauczyć się nad nią w pełni zapanować. Moje wyrzuty sumienia bowiem łączyły się z największą traumą, jakiej doświadczyłam w życiu – utratą mamy i babci.

Za każdym razem, gdy kładłam się do łóżka z uśmiechem na twarzy, on rzedł, bo co ze mnie za odrażająca osoba, która tak łatwo odnalazła szczęście i podniosła się po takiej tragedii?

– Ale Hailie – mówiła terapeutka, kręcąc delikatnie głową – sam fakt, że masz takie myśli, oznacza, że ty się wcale po tym nie podniosłaś.

Nie potrafiłabym zliczyć godzin, które przegadałam z nią na temat śmierci mamy. To był przełomowy moment na osi czasu mojego życia. To wtedy wszystko wywróciło się do góry nogami.

Vincent miał rację. Czas nie leczy ran.

Zawsze więc, gdy atakowały mnie bezlitosne wyrzuty sumienia, ja wbijałam sobie do głowy te wszystkie formułki, które miały pomóc mi ująć sobie nieco cierpienia.

I w końcu zasypiałam. A kiedy się budziłam, było już lepiej. Nieraz rano nie pamiętałam nawet walki, jaką stoczyłam przed zamknięciem powiek.

Tym razem tak właśnie było i wstałam z powrotem w dobrym humorze. W końcu byłam na Wyspach Kanaryjskich, jaskrawe słońce dobijało się do gościnnego pokoju już od świtu, a śniadanie na ganku zapowiadało się niezwykle klimatycznie.

Niestety nie przyszło mi długo się nim cieszyć.

– Wiem, że wróciła na długi weekend do domu – mówił Dylan, gdy załadowaliśmy się do pożyczonej od Benny'ego terenówki. – Na pewno zajrzy dziś na tę swoją plażę. Zawsze tam chodzi, zwłaszcza jak stęskniona wraca na wyspy.

Na nierównej drodze bardzo nami telepało. Zapach samochodowy w kształcie czerwonego serca bujał się zawieszony na lusterku wstecznym, a klimatyzacja nawalała do tego stopnia, że Dylan się wkurzył i po prostu opuścił wszystkie możliwe szyby. Zerknął też asekuracyjnie, czy zapięłam pas, gdy jedno z kół najechało na kamień i podskoczyliśmy. Auto było masywne, ale i rozklekotane – czyli takie, jakiego mój brat nie zwykł prowadzić. Ciągłe wzdychał z poirytowaniem.

– Dalej nie do końca rozumiem, po co mnie tam ze sobą ciągniesz – wyznałam.

– Po pierwsze, muszę mieć wymówkę, dlaczego tam będę. W tym jej zakichanym „miejscu”. Żeby nie myślała, że łączę tam celowo,

żeby się z nią spotkać. Powiem, że to tobie się tam spodobało i trulaś mi dupę, żeby znowu tu przyjechać.

– Super – mruknęłam. – Słuchaj, a skoro ty chcesz ją odzyskać, to nie lepiej żebyś, no nie wiem, był szczerzy?

Dylan rzucił mi pobłażliwe spojrzenie.

– Serio mówię. Na pewno doceniłaby to bardziej niż takie głupie gierki. Powiedz jej, że przemyślałeś waszą relację i jesteś gotowy na związek.

– Nie przemyślałem. I nie jestem.

Cmoknęłam z frustracją.

– No to o co chodzi? Dlaczego nie zostawisz jej w spokoju?

– Może trochę przemyślałem – westchnął Dylan, patrząc przed siebie. – Nie wiem.

– Dylan, weź się w garść – upomniałam go, samą siebie zadziwiając ostrością swojego tonu. – Zaciągnąłeś mnie aż na Wyspy Kanaryjskie! Myślałam, że lepiej się przygotowałeś.

– Przecież i tak byliśmy w pobliżu.

– Byliśmy we Francji! To jakieś trzy tysiące kilometrów stąd.

On zamilkł, a ja patrzyłam na niego, co chwila odgarniając sobie z twarzy szarpane przez wiatr włosy.

– Problem w tym – odezwał się nagle – że cokolwiek jej powiem, ona raczej mi nie uwierzy.

– Dlaczego?

Uśmiechnął się kwaśno.

– Bo możliwe, że wcześniej kilka razy mówiłem jej podobne rzeczy.

– To może jednak zostaw tę biedną dziewczynę w spokoju, co?

– Nie mogę, Hailie. – Oderwał dłoń od kierownicy i potarł powiekę. – Próbowałem, ale jestem o nią w chuj zazdrosny. Wiesz, niby mam wyrąbane i wszystko jest super, a potem nagle widzę w internecie, jak dodaje zdjęcie z jakimś, nie wiem, brodatym Enrique czy kimś, i aż mi się ciśnienie podnosi.

Chyba podniosło mu się też na samą o tym myśl, bo palce zacisnął mocniej na kierownicy.

– Jej, Dylan jest zazdrosny o dziewczynę? – Uśmiechnęłam się zaczepnie.

– Nie jestem zazdrosny, nie o to chodzi.

Przestałam się uśmiechać.

– Przecież przed chwilą dokładnie to powiedziałaś.

– Przesłyszałaś się.

Typowa rozmowa z Dylaniem – zagmatwana i wyczerpująca. Przestałam się odzywać, bo wolałam rozkoszować się widokiem granatowego oceanu, którego linia brzegowa przez chwilę ciągnęła się wzdłuż drogi, a potem została oddzielona przez łyse skały, które nawarstwiały się stopniowo, aż w końcu utworzyły wysokie i strome klify.

Dylan wymyślił sobie, że zostawimy auto i sprawdzimy, czy Martiny aby nie ma w jej ulubionej zatoczce, a gdy tamta okazała się pusta, stwierdził, że na razie rozłożymy się na plaży obok.

– Jak nas zobaczy tam w zatoce, to nie wiadomo, jak zareaguje. Mogłaby zwać, więc pójdziemy tam dopiero, jak ona już tam usiądzie – wyjaśniał mi Dylan. – Będziemy co jakiś czas sprawdzać.

– Mnie to obojętne, chcę po prostu pobyć na plaży – westchnęłam, kompletnie niezainteresowana jego misternym planem.

Zdjęłam luźną koszulkę, przez którą prześwitywał mój króciutki top w wisienki. Maya kupiła mi go w jednym z butików w Saint-Tropez. Szorty zostawiłam, bo nie było tak ciepło, by rozbierać się do stroju kąpielowego. Chciałam tylko wystawić do słońca ramiona i brzuch.

Dylan, wierny swojej naturze, już otwierał usta, by rzucić jakiś komentarz, ale uprzedziłam go groźnie:

– Nawet nie waż się zaczynać.

I nie odezwał się.

Spędziliśmy tak aż sześć godzin. Zdażyłam zgłodnieć dziesięć razy i dobrać się do wszystkich przekąsek, które Dylan zabrał ze sobą do plecaka. Męczyło mnie też, gdy co chwilę latał do zatoczki sprawdzić, czy Martina się już pojawiła. Kosztowało nas to

dziesięciominutowy spacer w tę i z powrotem średnio co godzinę.

– Idziemy tam ostatni raz – zastrzegłam, kiedy po raz kolejny pokonywaliśmy bujne, ale wyschnięte krzaki. – Potem wracamy. Już mam dość, jestem głodna.

Wtedy Dylan nagle się zatrzymał tak gwałtownie, że moja twarz odbiła się od jego plecaka, który miał zarzucony na nagie i umięśnione plecy.

Potałam nos i zanim syknęłam coś niemiłego, zobaczyłam dziewczynę o zebranych w gęsty kucyk czarnych włosach. Siedziała kawalek dalej, plecami do nas. Patrzyła na ocean i wystawiała głowę do słońca.

– Dylan? – ponagliłam brata ściszonego głosem, bo wpatrywał się w nią, jakby go zamurowało.

Szybko się ocknął i wrócił do starego siebie, bo uśmiechnął się złośliwie.

– Mamy to, mała Hailie – mruknął bardziej do siebie niż do mnie i ruszył do przodu, a kamyczki, którymi usłana była tutejsza plaża, zaczęły grzechotać pod jego sportowymi butami.

Westchnęłam i podążyłam za nim, chociaż czułam, że to nie najlepszy pomysł.

Stanął blisko brzegu, ale wciąż w rozsądnej odległości od dziewczyny, traktując ją jak obcą osobę, której przestrzeni nie chce naruszać. Ona odwróciła głowę w jego stronę i zdębiała, a oczy wyszły jej z orbit. Jej ciemne, mocno zarysowane brwi się zmarszczyły, a dłonie, które do tej pory leżały płasko na kamyczkach, zacisnęły się na nich w pięści.

– Ty! – sapnęła.

– Cześć, Martina.



5 PRECIOSA

Dylan mrugnął, jak gdyby nigdy nic. Zrzucił plecak i zaczął rozkładać ręcznik, który wcześniej trzymał przerzucony przez kark.

Poniekąd byłam w stanie utożsamić się z biedną Martiną. Dobrze znałam smak użerania się z irytującym Dylaniem.

Obserwacja tej dwójki jednocześnie intrygowała mnie i peszyła. Czułam się jak małe dziecko, które ogląda film z odważnymi scenami seksu w towarzystwie rodziców.

– Co tu robisz? – spytała Martina głośno i ostro. Zerwała się na równe nogi, czemu towarzyszył chrzęst kamyczków.

– Siostra mnie tu zaciągnę... – Dylan odetchnął. – No dobra, przyleciałem się zobaczyć.

Martina zaczęła się trząść, oburzona, i wywarczała:

– Ja nie mam na to ochoty.

Ech, szykowała się drama. Nie chciałam się ruszać, by nie szurać kamieniami i nie zwracać na siebie uwagi. Nie powinno mnie tutaj być. To ich prywatne sprawy. Ja tylko chciałam sobie popłażować...

– Po co tu jesteś? – spytała opryskliwie Martina.

– Pogadać. – Dylan wzruszył ramionami. – Nie odpowiadałaś na wiadomości.

– No to chyba miałam powód, nie? Bez powodu bym cię nie zablokowała, co?

Ależ drżał jej głos.

– Zablokowałaś mój numer, ale nie social media – parsknęła. – No co ty, myślisz, że ja nie znam tych zagrywek?

– Ty jesteś jakiś popieprzony czy co? Nie każdy robi ze wszystkiego zabawę.

– Daj spokój, Martina, za dobrze cię znam, wiesz przecież.

Ona zaciskała dłonie w pięści i świdrowała go spojrzeniem, o którego intensywności przekonałam się na własnej skórze, gdy nagle przeniosła je na mnie.

– A ona co? – warknęła. – Ona po co tu?

– To moja siostra, mówiłem ci. Nie zwracaj na nią uwagi.

Uniosłam brew, ale nie mieszałam się. Niech Dylan załatwia sobie swoje sprawy po swojemu. Ja tylko ruszyłam się, żeby przysiąść na ziemi. Ignorowałam gromy, które ciskały we mnie czarne tęczówki dziewczyny. Skrzywiłam się z niewygody, gdy twarde kamyczki wbiły mi się w pośladki, a wtedy usłyszałam prychnięcie Martiny.

– Świetnie! Może zamiast robić jej show na żywo, zabrałbyś ją do kina!

Musiałam jej przyznać, że tak to wyglądało. Byłam jak publiczność, a przede mną rozgrywał się spektakl na żywo. I to na tle oceanu.

– Nie zwracaj na nią uwagi – powtórzył Dylan monotonnym głosem.

– Albo wiesz co? – kontynuowała ze wzburzeniem Martina. – Niech ci będzie, jak sobie chcesz! Chcesz rozmawiać? Świetnie. Przy siostrze? Jeszcze lepiej. Opowiedz jej, jaki to biedny jesteś, niezdecydowany! Powiedz, że spędziliśmy razem sylwestra pod gwiazdami i że było jak w bajce, a potem powiedz, jak Dylan zrobił *adiós!* – Wiatr targał jej długi ciemny kucyk i kosmyki, które zdołały się z niego wydostać. – Bo tak to z tobą jest, jesteś i cię nie ma, nie jest tak? Najpierw wielce zakochany, a potem nagle co? Potem nagle jest... – Tu zniżyła ton, nieudolnie naśladowując głos Dylana. – „Nie, Martina, to nie wyjdzie, nie teraz, związek na odległość nie wyjdzie, ty w Hiszpanii, ja w Stanach, powinniśmy cieszyć się życiem, potem się zobaczy”... – Martina zaśmiała się krótko i bez rozbawienia. – Kurczę, no, okej! Zrywasz? Okej! To zrywaj, a nie potem piszesz do mnie, dzwonisz i mi mieszasz.

Na koniec załamał jej się głos, jakby cała ta złość była tylko uzewnętrznieniem żalu, który czuła. Jej klatka piersiowa falowała niczym woda tuż za jej plecami, a w oczach rozblęły łzy.

– Mieszasz mi w głowie, Dylan – wychrypiąła już dużo ciszej.

Wgapiłam się w Dylana, siłą umysłu rozkazując mu zrobić jakiś ruch, by udobruchać tę biedną dziewczynę. Chyba podziałało, bo zrobił kilka kroków w jej stronę.

– Wiem, słuchaj, mi też nie jest łatwo... – zaczął przyciszonym głosem, ale nie zdążył dokończyć, bo Martina poczerwieniała ze złości, uniosła rękę i płynnym ruchem otwartej dłoni uderzyła mojego brata prosto w policzek.

Wzdrygnęłam się i zamarłam. Martina nie spoczęła na laurach. Spoliczkowała go raz jeszcze. I znowu. A potem zmieniła cel i walnęła go w pierś. A następnie w ramię. Rozlegał się plask za plaskiem i mogłam się założyć, że Dylan żałuje, że nie włożył koszulki.

– Nie ściemniaj mi tu, że ci niełatwo! W dupie mam, czy łatwo, czy trudno! Myślisz, że mi łatwo? – wrzeszczała, raz po raz tłukąc go w klatkę piersiową. – Cholerny *hijo de puta!*

Dylan próbował przebić się przez jej wrzaski, odchyłając jednocześnie głowę, by nie dostać znowu w twarz, ale Martina zbyt się nakręciła, by go słuchać, dlatego w końcu wyciągnął dłonie i złapał ją za nadgarstki.

Martina wyglądała na wysportowaną dziewczynę, ale mimo to nie dorastała napakowanemu Dylanowi do pięt, dlatego udało mu się unieruchomić jej ręce. Trzymała je teraz zaciśnięte w pięści i próbowała wyrwać z uścisku.

– Uspokój się – powiedział do niej, na co oberwał świdrującym spojrzeniem.

– Spierdalaj!

– Martina... Ej! Przestań się wrywać! Wiem, okej? Wiem, że to moja wina. Biorę to na siebie, wszystko. Słowo. Słyszysz? Uspokój się. – Dylan najpierw podniósł głos, ale ten powoli łagodniał, wprost proporcjonalnie do nastroju Martiny, która z każdym słowem uspokajała się coraz bardziej. Na koniec mruczał tak cicho, że musiałam mocno wyłożyć słuch. – Przepraszam, okej? Jestem chujem, wiem.

Szkoda, że tego nie nagrywałam.

Pojedyncze łzy spływały po zarumienionych od gniewu policzkach dziewczyny.

– Jesteś. Straszny – potwierdziła, ścierając je wierzchem dłoni, gdy Dylan w końcu uwolnił jej ręce.

Poruszyłam się, co Martina wyłapała kątem oka.

– Twoja siostra na mnie patrzy – powiedziała.

– Przyszła ze mną, bo ją o to poprosiłem – wyjaśnił Dylan, skinąwszy głową.

– Ale po co poprosiłeś?

Dobre pytanie. Oby Dylan umiał na nie ładnie odpowiedzieć.

– Nie wiem, *preciosa* – zamruczał i widziałam, jakie wrażenie zrobiło na Martinie to słowo, którym ją nazwał. Aż znowu zadrżała jej broda. – Myślałem, że po to, by ci skłamać, po co tu przyszedłem...

– No, ty lubisz kłamać.

– ...ale może miałem inny powód...

Dylan zbliżył się do niej i Martina musiała zadrzeć głowę jeszcze wyżej, żeby nie przerwać z nim kontaktu wzrokowego.

Mój brat świetnie wiedział, jak trafić w czuły punkt dziewczyny. Nie wiem, czy mi się to podobało, ale miałam nadzieję, że kolejne słowa, które padły z jego ust, przynajmniej były szczerze.

– Może przyprowadziłem tu swoją siostrę tobie na dowód. Bo ona jest dla mnie ważna i nie ciągnąłbym jej na spotkanie z byle jaką dziewczyną.

Czarodziej. Istny czarodziej, który jednym zdaniem wyczarował komplement i dla mnie, i dla Martiny.

Ona zagryzła dolną wargę i spojrzała na ocean. Pokręciła lekko głową, aż w końcu westchnęła głośno. Wydechając powietrze, oparła czoło na jego piersi.

– Daj mi jeszcze jedną szansę. Tym razem tego nie zepsuję. Słowo – mówił ściszym głosem. W pewnym momencie chciał ją objąć, ale Martina drgnęła i odskoczyła od niego jak oparzona.

– Czekaj – syknęła i uniosła palec, zamachawszy mu nim przed nosem. – Nie myśl sobie, że to będzie tak prosto. Ja jestem na ciebie zła i nie rzucę ci się w ramiona jak pierwsza lepsza idiotka.

Dylan uniósł ręce do góry w poddańczym geście.

– Okej, jasne.

– I też nie myśl, że ty mi teraz powiesz kilka ładnych rzeczy, a ja od razu padnę na kolana.

– No wiadomo, że nie od razu – zażartował Dylan i mrugnął. – Poza tym moja mała siostra patrzy.

W myślach uderzyłam się w czoło. Chyba było za wcześnie na takie żarty, bo jego humor nie udzielił się Martinie, która zgromiła go spojrzeniem po raz kolejny.

– Pilnuj się, Dylan – warknęła – bo stąpasz po cienkim lodzie. Stepujesz znaczy. Nie, „stąpasz” było dobrze...

Dylan uśmiechnął się, ale ona wciąż była poważna.

– Masz pamiętać, że ja wiem, że ty umiesz pięknie mówić, ale to mnie już nie interesuje. Masz mi pokazywać, Dylan, rozumiesz? Masz mi pokazywać miłość. Ja chcę ją widzieć i czuć. Chcę czuć, że się starasz, rozumiesz to?

– Rozumiem, *preciosa*.

Ta dosłyszalna nutka triumfu w jego głosie mówiła, że on już wie, że wygrał.

Martina położyła dłoń na jego torsie, żeby go pohamować.

– Nie preciosuj mi tu, jasne?

Dylan skinął posłusznie głową.

Dłoń Martiny opadła bezwładnie wzdłuż jej tułowia. Patrzyli tak na siebie, a ja już miałam naprawdę dość. Nie czułam się kompetentna do przerywania tych amorów, ale nie chciałam być ich świadkiem. Ja też pragnęłam przytulić się do ukochanego w takiej urokliwej scenerii. Przykro mi było, bo aktualnie moje życie miłosne można było porównać do kupy gruzu.

Odciągnęłam wzrok od tej dwójki i sama zapatrzyłam się na ocean. Piękny był, a horyzont taki długi i szeroki. Hen daleko majaczyło kilka łódek. Totalnie rozumiałam, dlaczego Martina tak często przesiaduje w tym miejscu. Dużo bym dała, żeby mieć w pobliżu domu taką świątynię dumania zamiast samych lasów, do których przez niedźwiedzie aż strach się zapuszczać.

Zaburczało mi w brzuchu i ze szczerą ulgą przywitałam te oznaki głodu. Motywowały mnie do pospieszenia Dylana. W tym momencie oplatały go w pasie ramiona Martiny. Bok głowy przycisnęła do jego piersi. Z kolei on obejmował ją na wysokości łopatek, a na twarzy malowała mu się wyraźna satysfakcja.

Jak zwykle dostał to, czego chciał. Głupek.

– Nie tak długo – mruknęła Martina i zaczęła wyplątywać się z uścisku. – Za wcześniej na prawdziwe obściskiwanie. Tym razem robimy wszystko wolno, po mojemu.

– Będzie po twojemu – zgodził się Dylan.

Ze mną zachowywał się podobnie, gdy czegoś potrzebował. Potrafił okazać skrucę i przez to, że na co dzień był tak pewny siebie i wredny, to momenty, w których zachowywał się jak uroczy pokutnik, łąpały za serce.

Martina wydawała się zadowolona z tego zapewnienia i trochę rozluźniła spięte mięśnie. Rozejrzała się też i wtedy przypomniała sobie o mojej obecności.

– No a twoja siostra tak siedzi i patrzy – powiedziała na głos, ale brzmiała milej niż jeszcze przed chwilą.

Dylan odwrócił się i rzucił mi swój typowy uśmieszek.

– Wszystko okej?

– Głodna jestem – odpowiedziałam z przeciągłym westchnięciem, a brodę ułożyłam na podwiniętych przy piersi kolanach.

Dylan spojrział na Martinę.

– Muszę nakarmić siostrę. Idziesz z nami?

Dziewczyna przez chwilę przygryzała wargę, zastanawiając się, czy wspólny obiad nie będzie zbyt drastycznym krokiem w ich relacji.

– Nie masz nic przeciwko? – zapytała i chwilę zajęło mi zorientowanie się, że zwraca się do mnie.

– Ja? – Zamrugałam. – Nie, oczywiście, że nie mam.

– No to... chyba czemu nie.

I posłała mi bardzo nieśmiały uśmiech.

Wtedy zrozumiałam, co się dzieje.

Martina próbowała być dla mnie miła. Nasze pierwsze spotkanie pozostawiało wiele do życzenia. Nawrzeszczała na mnie, myśląc, że jestem nową dziewczyną Dylana. Teraz, gdy znowu miała wejść w poważną relację z moim bratem, czuła się w obowiązku mieć ze mną dobre relacje. Zwłaszcza że Dylan podkreślił, iż jestem dla niego ważna.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że mi się to nie spodobało.

Martina rzucała propozycje restauracji. Szłam z tyłu, ale w ogóle nie czułam się pominięta, bo ona co chwila odwracała się, by zadać mi pytanie – czy lubię owoce morza, czy przepadam za sushi, czy może wolę tapas, a czy próbowałam paelli.

W aucie od razu wsiadła do tyłu i tylko nachylała się między siedzeniem moim i Dylana, by wskazywać mu drogę do jednej z lepszych

burgerowni, na którą się ostatecznie zdecydowaliśmy.

Restauracja mieściła się w jednej z okolicznych wiosek, w małym ryneczku. Stoliki na zewnątrz stały rozstawione bez ładu i mieszały się z tymi należącymi do kawiarni obok. Była dość późna pora na obiad jak na hiszpańskie standardy. Właściciel knajpy miał już zamykać kuchnię i nie otworzyłby jej do wieczora. Jakiś starszy pan czytał sobie gazetę i popijał małe piwo w cieniu. Kilkoro dzieci bawiło się w pobliżu i raz po raz przejeżdżało na rowerach przez wybrukowane starą kostką centrum.

Gdy na początek zamówiliśmy dzbanek wody, mój żołądek zrobił fikołka na widok sangrii w menu, bo przypomniały mi się stare czasy. Dylan nawet rzucił na ten temat jakiś żart. Oficjalnie też nas sobie przedstawił, a ja wymieniałam z Martiną przyjacielskie, ale nieco zdystansowane uśmiechy. Dopiero gdy Dylanowi zadzwonił telefon i odszedł, by go odebrać, Martina odważyła się przełamać lody między nami.

– Słuchaj, Hailie, ja bym cię chciała tak oficjalnie przeprosić. Za to, jak zachowałam się ostatnio. – Zagryzła na chwilę wargi i zapatrzyła się na plecy Dylana, który spacerował w tę i w tę z komórką przy uchu, marszcząc brwi i słuchając rozmowy. – Byłam wściekła, ale to żadna wymówka.

– Było, minęło. – Machnęłam ręką. – Nie szkodzi.

– Doceniam, że z nim tu przyjechałaś.

Wzruszyłam ramionami.

– Poprosił mnie, to przyjechałam.

– Mogłaś mu to odradzić.

– Jego związki to nie moja sprawa.

Martina pokręciła głową i złapała się za nią.

– Boże, tak mi głupio, że ci nie wierzyłam, że jesteś jego siostrą!

– Daj spokój, ja wiem, że to skomplikowana sytuacja – odparłam. – Sama przez długi czas w nią nie wierzyłam.

– No tak, ale to nawet widać, wy jesteście do siebie tak podobni!

– Nie aż tak bardzo – wymamrotałam bardziej na przekór, ale nikt już chyba tego nie usłyszał, bo Dylan wrócił do stolika, chowając telefon do kieszeni.

– Dzwonił Vince – oznajmił. – Jego człowiek ogarnął nam bilety powrotne na pojutrze.

– Pojutrze? – westchnęłam zawiedziona i odchyliłam się w krzesło, wyginając usta w podkówkę.

– Mendził coś o szkole i college'u.

– Pojutrze to szybko – zgodziła się ze mną Martina, wyraźnie zawiedziona.

– Poradzimy sobie – uspokoił ją Dylan. – Tym razem sobie poradzimy. Będę miał trochę wolnego pod koniec maja, to przylecę do ciebie, do Madrytu. Zrobimy coś razem w wakacje. A od przyszłego semestru mogłabyś przyjechać do Stanów, na wymianę.

– Za późno na wymianę – burknęła Martina.

– Przecież rozmawialiśmy o tym jeszcze w sylwestra.

– Tak, ale potem ci się odwidziało, a ja przestałam być zainteresowana przebywaniem z tobą na tym samym kontynencie, więc sobie odpuściłam. Zgłoszenia były do zeszłego miesiąca. Teraz będzie problem, żeby dostać stypendium.

– Zawsze zostają wolne miejsca na drugi nabór.

– Zobaczymy, Dylan – westchnęła Martina. – Zobaczymy, czy przetrwamy chociaż miesiąc w tym naszym całym związku, co?

Dylan chciał dyskutować, co poznałam po determinacji w jego oczach, ale przyniesiono właśnie nasze burgery, więc szczęśliwie jego uwaga została rozproszona. Później zrobiliśmy się senni, zwłaszcza ja, po długim dniu na plaży i sutym posiłku, dlatego zamówiliśmy sobie jeszcze po kawie.

– To może opowiedz dokładniej, jak się poznaliście? – zapytałam i wiedząc, że opowieść Martiny będzie ciekawsza niż wersja Dylana, zwróciłam się do niej: – Wiem tylko, że twój pies zaatakował Dylana.

Martina natychmiast posmutniała.

– Och, Bambus już nie żyje.

Wiem, że to było dla niej przykre, więc z całych sił próbowałam opanować drżenie kącików ust, gdy przenosiłam wzrok na Dylana.

– Ugryzł cię pies o imieniu Bambus?

– To było wielkie, wściekle bydlę – mruknął.

– Był dobrym psem. Bronił posesji, na której teren się włamaliście – zaoponowała Martina.

– Lipne mieliście to ogrodzenie.

– Lipne ogrodzenie to wciąż ogrodzenie.

Martina i Dylan patrzyli chwilę na siebie, ale ona zaraz skupiła swoją uwagę z powrotem na mnie. Jej usta rozciągały się we wciąż delikatnym, ale już dużo wyraźniejszym uśmiechu.

– Dylan z braćmi, tymi bliźniakami, zapuścili się na naszą działkę. A działkę mamy dużą, ciągnie się daleko, wiesz, jest sad i tak dalej.
– Gestykulowała dłońmi, podkreślając swoje słowa. – No a Bambus zwykle był przy domu, na łańcuchu, ale papa go często spuszczał, żeby się wybiegał. No i wtedy akurat go spuścił.

– Jak dawno to było?

– Mieliliśmy z Dylanem po dwanaście lat. I właśnie był już takim chłopcem, że już zaczął rosnąć i tak dalej, a te bliźniaki, z którymi biegał, to jeszcze takie chuchra były. Bo to taki wiek, że wiesz, rok różnicy dużo robił.

– Dalej robi. – Dylan patrzył w dół, na swoją kawę, której filizankę okręcał na talerzyku. Zdawał się trochę zażenowany.

– Ja siedziałam na huśtawce i nagle widzę, że Bambus leci do przodu jak oszalały. Z jęzorem wywalonym, śliną i wszystkim. A on to był takie masywne psisko, że wiesz, łapę to miał jak moja ręka. – Martina uniosła swój nadgarstek, na którym dyndała delikatna złota bransoletka. – No i szcekać zaczął. To patrzę, za czym on tak biegnie. Aż stanęłam na tej huśtawce, żeby lepiej widzieć. I zobaczyłam, że dzieci jakieś uciekają. To i ja zaczęłam krzyczeć, że Bambus stój, i że przestań, że do nogi.

Dylan wziął łyk kawy i zapatrzył się w bok.

– Ale on był tak nauczony, że słuchał tylko papy. To ja zaczęłam go wołać, bo sama bym nie dała rady psa odciągnąć. Ja to byłam mała jak piórko. Ale biegłam tam i wiesz, włosy mi latały, opaska się zsunęła, spódnica płątała, prawie bym sobie nogi połamala. – Martina poprawiła swojego kucyka i zatarła ręce. – A potem było najlepsze. Dylan był największy z chłopców, to i z nich najszybszy, i on by uciekł, gdyby był sam. Ale tamci dwaj byli młodszy i ja widziałam, jak on oglądał się za siebie i jak zobaczył, że któryś z nich, nie wiem, czy to Shane był, czy Tony, nie dawał już rady i pies prawie by go capnął, to zawrócił.

– I co dalej? – zapytałam, szczerze zaangażowana w historię.

– Zawrócił i darł się do tamtych, żeby uciekali, jak najszybciej mogą, a sam wziął i tak z rozpędu skoczył na psa. Kopnął go w pysk i Bambus się rozkojarzył, ale tylko na chwilę. Wtedy też zobaczyłam, że papa biegnie z drugiej strony i, matko, jak mi ulżyło wtedy. Bo Bambus ugryzł Dylana w nogę i by go może i zabił, jakby papa wtedy nie szarpnął nim za obroże.

– To brzmi strasznie!

– Wyglądało nieciekawie – przyznała Martina. – Ale wtedy właśnie mnie tak za serce złapał, że się tak poświęcił dla młodszych braci.

– Nie poświęcił się. – Dylan wywrócił oczami. – Po prostu te małe łamagi były za wolne.

– Poświęcił się – ciągnęła Martina, ignorując go. – Wtedy papa przywiązał psa do drzewa i wziął Dylana ręce, a do mnie krzyczał, żebym matce powiedziała, co się stało, i że bierze auto, że wiezie dziecko do szpitala.

– A Tony'emu i Shane'owi udało się uciec? – drążyłam.

– Coś ty. – Pokręciła głową. – Oni to od razu zawrócili, za Dylanem. Papa pytał, od kogo oni są, a oni, że od tych Amerykanów z za wzgórze, to papa mówi, żeby biegli powiedzieć, co się stało, a oni, że nie. Nie i koniec. Że brata nie zostawią i jak on jedzie do szpitala, to oni też.

– I co, pojechali?

– Ja już pobiegłam do domu, ale potem papa opowiadał, że tamci się uparli, że jadą też, a on się przecież z dziećmi kłócić nie będzie, nie było czasu. To pojechali wszyscy.

Znowu spojrzałam na brata, który tym razem odwzajemnił moje spojrzenie.

– Dylan, to słodkie.

– Masz sos na nosie – burknął do mnie.

Rozczulenie, z jakim na niego patrzyłam, wyjątkowo go peszyło.

– Potem, jak wyszedł ze szpitala, to biedny długo nie mógł chodzić – kontynuowała Martina. – Wiem, bo odwiedzałam go u Amerykanów, bo mi przykro było, że to mój pies tak go urządził.

Uniosłam brew, a Dylan podstępnie się uśmiechnął i puścił jej oczko.

– Wtedy się we mnie zabujałaś, *preciosa*.

Martina westchnęła.

– No ja miałam wtedy tylko dwanaście lat, to wiesz, naiwna byłam i od razu wpadłam w sidła tego idioty. A teraz mam za swoje, bo trudno się z nich wydostać.

– Chwila, to wy się jakoś bardzo długo znacie, prawda? – zapytałam.

– Jeszcze trochę i będzie z pół życia – przytaknęła Martina, po czym wzięła łyk kawy i się skrzywiła: – Ale nigdy nie byliśmy za długo razem, bo to wszystko zawsze takie burzliwe było. Spędzaliśmy ze sobą dużo czasu, jak Dylan przyjeżdżał tu z braćmi, do ich babci. Waszej w sensie. A tak to przez resztę roku próbowaliśmy być razem na odległość, a potem się zawsze kłóciliśmy. A potem spotykaliśmy się na żywo i znowu to samo. I tak w kółko... W sylwestra było to samo... Dlatego teraz mam dystans. Dystans, rozumiesz, Dylan?

Martina zdawała się zdecydowana, ale trudno było jej ukryć wątpliwości. Kiedy Dylan odszedł, by uregulować rachunek, zostałam z nią sam na sam i widziałam, że coś ją gryzie. Właśnie się podnosiłam, gdy ona nagle złapała mnie za łokieć.

– Słuchaj, co myślisz, jestem głupia?

Zmarszczyłam brwi, zadziwiona nagłym przejściem na jej twarzy.

– Dlaczego miałabym tak myśleć?

– Bo ot tak zgodziłam się na to całe próbowanie z Dylanem jeszcze raz.

Westchnęłam.

– Nie wiem, Martina, chyba nie powinnam cię oceniać. Nie znam dobrze waszej historii. Wydaje mi się, że tylko ty możesz odpowiedzieć sobie na to pytanie.

– Ja mu nie dam tak łatwo teraz się odzyskać – mówiła bardziej chyba do siebie. – To, że przyjął go z powrotem, to nie znaczy, że wszystko mu pójdzie tak łatwo, jak wcześniej.

Patrzyłam na jej skoncentrowane spojrzenie. Nawet nie chciałam wyobrazić sobie, jaki bałagan ta dziewczyna ma teraz w głowie.

– Naprawdę masz do niego słabość, co? – zapytałam łagodnie.

Martina zacisnęła powieki.

– Boże, Hailie, to jest straszne – wyszeptała. – On jakby rzucił na mnie urok. Czasem czuję się przy nim jak frajerka, że mu pozwalam na zbyt dużo.

– Nie martw się, ja mam tak samo – mruknęłam.

Martina uśmiechnęła się lekko.

– A wiesz, czemu my tak mamy?

Pokręciłam głową.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Już ci mówię, Hailie. Sama uświadomiłam to sobie niedawno. Bo Dylan jest takim facetem, co jak coś robi, to na maksa. Jak kocha, to całym, pełnym sercem, tak szczerze, że aż do bólu. I niewiele jest takich osób na świecie. Takich narwanych idiotów, którzy dla tych, na których im zależy, zrobią absolutnie wszystko.



6 ZŁOTE PORSCHE

Stałam za siedzącym przy stole Vincentem i owinęłam ręce wokół jego klatki piersiowej.

– Proooszę – zaskomlałam mu do ucha, aż odchylił głowę, by uciec przed moimi jękami.

Poczułam, że się napiął, jak zawsze, gdy zaskakiwałam go mocno spoufalającymi się gestami. Po wypadku i słodkich słowach, jakie mi powiedział, gdy leżałam w szpitalu, zrobiłam się w naszych relacjach śmielsza niż kiedykolwiek wcześniej.

Wiedziałam, że Vince powoli się łamie, więc żeby zagwarantować sobie zwycięstwo, potrzebowałam tylko jeszcze wsparcia z zewnątrz. Spojrzałam na twarze bliźniaków i Dylana, którzy towarzyszyli nam przy śniadaniu. Zatrzymałam się na tym ostatnim, rzucając mu znaczące spojrzenie.

Dylan najpierw próbował go unikać, ale pamiętał, że wisi mi przysługę, więc w końcu westchnął i odłożył łyżkę do miski ze swoim śniadaniem.

– No pozwól jej prowadzić – powiedział, choć minę miał niezadowoloną – przecież zdała prawko. Będzie w aucie z chłopakami, w razie czego. Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

– Właśnie – potwierdziłam od razu, wciąż uwieszona na Vincencie.

Bliźniacy w tym samym momencie przestali przeżuwać. Razem z Tonym mieli ten sam zaskoczony wyraz twarzy, gdy patrzyli na Dylana z niedowierzaniem.

– No co, zrobiła prawko i chce go użyć. To chyba logiczne, nie?

Tony zmrużył oczy.

– Ta, mówisz tak, bo to nie ty masz z nią jechać.

– No i co, korona ci z głowy nie spadnie, królewiczu.

– Weź spierdalaj.

W jednej chwili zabierałam ramiona od Vince'a, ze zwieszoną głową oraz żałośnie wysuniętą dolną wargą i zajmowałam krzesło obok niego, czując na sobie jego na pozór niewzruszone spojrzenie, a w drugiej już Shane wyprowadzał moje porsche z garażu.

Szczerząc w uśmiechu wszystkie zęby, czekałam na podjeździe, aż wpuści mnie na skórzany fotel kierowcy. Moi bracia byli zbyt przewrażliwieni, by pozwolić mi samodzielnie wyjechać autem z garażu, w którym jednym fałszywym ruchem mogłabym poobijać ich drogocenne fury.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się słodko, gdy mijałam się z milczącym Shane'em.

Początkowo samochód ten przerażał mnie swoją ekstrawagancją. Zmieniłam zdanie, gdy zaczęłam uczyć się nim kierować. Vincent chyba obiecał sobie w ramach pokuty po moim wypadku za wszelką cenę dopilnować moich lekcji jazdy. Trudno było mi przełamać strach powiązany z traumą, ale dzięki ciężkiej pracy i nauczycielowi, któremu ufałam w stu procentach, udało mi się go przewyciężyć.

Położyłam dłonie płasko na tarczy kierownicy, tak że pomiędzy nimi widniał złoty znaczek Porsche, do którego kolorystycznie jak ulał pasował zegarek, wystający zza mankietu mojego szkolnego mundurka.

Bliźniacy ociągali się z zajęciem swoich miejsc, czemu przyglądałam się z rosnącym w duchu rozbawieniem. Byli jak dzieci. Cierpliwie jednak czekałam, aż pogodzą się ze swoim losem, z przyjemnością rozglądając się po ciemnym wnętrzu mojego auta, do którego czułam coraz większe przywiązanie. Powoli zaczynałam rozumieć fascynację moich braci samochodami. Nie sądziłam, żeby kiedykolwiek moje zamilowanie dorównało ich miłości do motoryzacji, ale teraz byłam w stanie pojąć, dlaczego ich garaż ma tak wielką powierzchnię.

Moje porsche na ulicach wyglądało jak sztabka złota na kółkach. Lakier mienił się w słońcu jak diamenty. Egzaminator krztusił się kaszlem przez dwie minuty, gdy zobaczył, na czym będę zdawać. Nic dziwnego, to był samochód z absolutnie najwyższej półki.

I dostałam go ja, szesnastoletnia Hailie Monet, która ledwo potrafi odróżnić pedał gazu od hamulca, heh.

Drzwi się otworzyły i najpierw nadąsany Tony wskoczył na tylne siedzenie, burcząc, że mało tam miejsca, a potem do auta wsiadł Shane, po czym od razu zapiął pas.

– Tylko nas nie zabij, okej?

– Więc mnie nie stresuj – odparłam.

Ciarki ekscytacji rozbiegły mi się po plecach, kiedy odpaliłam silnik. Auto rozbudziło się i zamruczało jak rozleniwiony kot, którego ktoś właśnie podrapał za uchem. Polubiłam ten dźwięk i uśmiechnęłam się do siebie lekko, a potem ruszyłam.

Brama na posesji Monetów otworzyła się przede mną automatycznie i chwilę jechałam jeszcze leśną, ale uporządkowaną drogą. Moi bracia dbali o to, by była wystarczająco równa, żeby nie można było na niej uszkodzić aut z niskim podwoziem. W lusterku wstecznym widziałam, że podąża za mną ciemne auto Sonny'ego. A potem z walącym sercem wjechałam na szosę.

Jazda samochodem za miastem była banalnie prosta. To nie Nowy Jork, w którym, jak opowiadała mi Mona, na zakorkowanych, wąskich ulicach auta tłoczą się jedno przy drugim. Ani dziewięciopasmowe autostrady jak te na obrzeżach Los Angeles, o których mówił Shane. Tutaj drogi były szerokie i niezbyt ruchliwe.

– Tylko nie za szybko – upomniał mnie Shane, zupełnie niepotrzebnie, bo bardzo pilnowałam prędkości.

– No ale też nie za wolno – mruknął Tony.

– Uważaj tam, bo zaraz będzie pod górkę.

– Wolno jedziesz, za wolno.

– Tylko nie przyspieszaj gwałtownie.

– Ślimaczysz się.

– Cicho bądźcie! – syknęłam, zaciskając mocniej palce na kierownicy. – Lepiej mi się jedzie, jak się nie odzywacie.

Podziałało na jakąś chwilę, a potem znowu zaczęli marudzić, ale się wyłączyłam i niedługo później już wjeżdżałam na teren akademii, gotowa na sensację.

Tutaj nie istniały imienne miejsca parkingowe, ale każdy wiedział, gdzie zatrzymują się zawsze bracia Monet, i nikt nie odważyłby się wejść im w drogę. Ludzie woleliby już wrócić do domu i przyjechać jeszcze raz autobusem, niż wpakować się Monetom na ich teren, nie żartuję. Podobno to Vincent upatrywał sobie te konkretne miejsca i zapoczątkował tę tradycję, gdy jako pierwszy z rodzeństwa zaczął dojeżdżać na zajęcia swoim autem.

Właśnie tam się zatrzymałam, niedaleko grupki kumpli moich braci, którzy jak co dzień zaczynali gromadzić się przy schodach do bocznego wejścia szkoły. Parkować bardzo nie lubiłam i chętnie zostawiłabym tę robotę Shane'owi, ale nie dziś i nie tutaj. Wszyscy na pewno się na mnie gapili, a to była moja jazda i chciałam doprowadzić ją do końca. W pełnym skupieniu wykonałam o kilka obrotów kierownicą za dużo, ale udało się.

Wyłączywszy silnik, odetchnęłam głęboko, wewnętrznie przepełniona dumą.

Do momentu, aż Shane wyskoczył z auta, a za nim wypadł Tony. Wywróciłam oczami.

Któryś z kumpli moich braci krzyknął do mnie: „No, no, brawo, Hailie!”, ale nie zwracałam na nich uwagi. Zatrzasnęłam drzwi swojego złotego porsche i rozejrzałam się. Ludzie obracali się, by lepiej widzieć, nawet ci z najbardziej oddalonych zakątków parkingu. Większość z nich zbierała szczęki z podłogi, inni kręcili z niedowierzaniem głową.

Naszyły mnie wątpliwości. Może to porsche to jednak przesada? Jasne, wszyscy są tu przyzwyczajeni do faktu, że Monetowie mają najlepsze samochody. Nikt jednak nie spodziewał się, że ja, młodsza siostra, stroniąca od zwracania na siebie niepotrzebnej uwagi, przywiezie pod szkołę swoich gwiazdorskich braci złotym, cholera, porsche. To chyba najbardziej rzucające się w oczy auto w całym tym wielkim stanie.

Odgarnęłam włosy, zarzuciłam torbę na ramię, a kluczyki ścisnęłam w mokrej z nerwów dłoni. Machnęłam do braci, nawet na nich nie patrząc, i ruszyłam do budynku, czując, jak wszystkie ciekawskie spojrzenia palą mnie w plecy. Nawet Sonny, który szybko mnie dogonił, nie mógł mnie przed nimi ochronić.

– Hailie Monet, szalejesz! – zawołała Mona, która jakby znikąd pojawiła się przy mojej szafce.

Dźwięk jej głosu przyniósł mi ulgę, bo była jedną z niewielu osób w tej szkole, przy której nie musiałam czuć się nieswojo.

– Chyba przegięłam – szepnęłam, rzucając ukradkowe spojrzenia na boki.

Kucyk Mony zakołysał się, gdy pokręciła głową.

– Kiedy opowiadałaś, że dostałaś na urodziny złote porsche, to inaczej je sobie wyobraziłam.

– Jak inaczej mogłaś wyobrazić sobie złoty sportowy samochód?

– Nie wiem, nigdy wcześniej takiego nie widziałam. Po prostu pomyślałam sobie, że to będzie takie zwykłe cacko, ale jeny, ono jest tak odwalone!

Parsknęłam śmiechem, ale takim, który szybko zmienił się w jęknięcie.

– Nie przemyślałam tego.

– Nie ma tu nad czym myśleć, auto jest super, zmiotłaś nim wszystkich z powierzchni ziemi. I jeszcze na dodatek twoi hot bracia dali ci się nim przywieźć. Rządzisz, dziewczyno!

Mona nadawałaby się lepiej do radzenia sobie z moją popularnością niż ja. Ona potrafiła pławić się w jej blasku, a mnie stresowała sama myśl, że ktoś mógłby o mnie plotkować. Te obawy nie wzięły się znikąd i przekonałam się o ich słuszności już dwie przerwy później.

Zamknęłam się w jednej z kabin w szkolnej łazience, a chwilę później usłyszałam, jak do środka wchodzi kilka dziewczyn.

– ...złotym porsche.

Zamarłam.

– No trochę przesada moim zdaniem.

– Chyba trochę bardzo. To jest szkoła, a nie...

Zacisnął mi się żołądek.

– I co z tego? Gdyby ciebie było stać na taką furę, też byś nią jeździła.

– Ale do szkoły? Clay mówił, że to auto jest warte fortunę. Moim zdaniem to nie na miejscu. Masz puder?

– Ile? Ile niby jest warte?

– No... nie wiedział dokładnie, ale na bank sporo.

– Shane i Tony wyglądali, jakby byli wkurzeni.

– Tak! Widać było. Pewnie się pokłócili przed wyjściem.

– Nic dziwnego, że zaczynają się irytować. Widać, że megadużo kasy od nich bierze.

– Dokładnie. Robi się z niej trochę taka damesa, mam wrażenie.

– Nie wiem... Gadałam z nią mnóstwo razy i zawsze była bardzo w porządku. Ja tam ją lubię.

– No tak, do porozmawiania może jest spoko, ale wydaje mi się, że i tak się trochę zmieniła...

– No i weźcie w ogóle, nie zapominajmy o tym całym ochroniarzu...

– O Jezus, ja bym się pod ziemię zapadła, serio.

– Przecież wszyscy wiemy, co się stało na początku roku. Nic dziwnego, że ma ochroniarza.

– No dobra, ale bez przesady. To, że ktoś próbował ją uprowadzić raz, to nie znaczy, że wszyscy od razu będą ją porywać, lol.

– Właśnie.

Nie chciałam się ujawniać, ale one nie wychodziły, a ja nie miałam jeszcze większej ochoty na wysłuchiwanie wyssanych z palca domysłów na swój temat, dlatego wreszcie szala goryczy się przelała i szybkim ruchem szarpnęłam za zasuwkę kabiny.

Dziewczyny zamilkły. Tak jak się spodziewałam, wszystkie tłoczyły się przed lustrem. Dwie z nich z rozdziawionymi buziami poprawiały maskarę, jedna malowała usta błyszczkiem, a Lavinia, jedyna stająca w mojej obronie przy tych hienach, rozczesywała końcówki swoich blond włosów.

– Cześć – rzuciłam oschle.

Przeczisnęłam się do umywalki, unikając nawiązywania z nimi kontaktu wzrokowego. Niedbale przemyłam ręce i uciekłam, nawet ich nie susząc. Widok zgrozy, która odmalowała się na twarzach tych dziewczyn na mój widok, nie przyniósł mi satysfakcji. Gdy tylko znalazłam się na korytarzu, mój niewzruszony wyraz twarzy rozmył się jak farby na deszczu.

Bo zrobiło mi się po ludzku przykro.



7

ZEPSUTA SIOSTRA DAMESA

W moim starym życiu stroniłam od szkolnej społeczności. Byłam zwyczajną dziewczyną, znaną co najwyżej z dobrych ocen. Nikomu nie zawadzałam, czasem dawałam spisać zadanie domowe. Tutaj natomiast wszyscy interesowali się moim życiem, a ja nie umiałam sobie z tym radzić.

Szłam przez korytarz szkolny ze spuszczoną głową i dlatego nie zauważyłam, że to Leo złapał mnie za rękę i w pierwszej chwili rzuciłam mu wrogie spojrzenie spode łba.

– Co się stało? – zapytał z uśmiechem, który zaraz mu zrzędł, gdy nieposłuszne łyzy potoczyły się po moich policzkach.

– Nic – mruknęłam i starałam je wierzchem dłoni. – Naprawdę nic.

– Okej, dobrze, nic – zgodził się Leo. – Ale może chcesz pogadać?

Jego piękne oczy patrzyły na mnie łagodnie.

– Nie chcę.

– To może usiądziesz?

Ponurym wzrokiem podążyłam za jego dłonią. Wskazywała parapet, na którym zwykliśmy przesiadywać, zanim Ryder mnie porwał.

– Usiąść mogę.

Uparcie gapiłam się w dół, żeby ukrywać przed światem wilgotne policzki. Nawet nie rozglądałam się za Sonnym, bo wiedziałam, że na pewno mi towarzyszy, niewystarczająco od nas oddalony.

– Szkoda twoich łez, Hailie – powiedział do mnie Leo.

– Nie szkoda. Niech spadają.

Zadrzałam, gdy musnął dłonią moją twarz.

– Mnie szkoda.

– Leo? – zapytałam, pociągając nosem. – Czy ja jestem zepsuta?

Zmarszczył czoło.

– Zepsuta?

– W sensie, że rozpuszczona.

– Ty? – Zaśmiał się. – Hailie, jesteś jedną z najbardziej przyziemnych osób w tej szkole.

– Ale... – Przełknęłam ślinę i zadrzała mi broda, gdy ją unosiłam. – Ale przyjechałam złotym porsche.

– Widziałem. Robi wrażenie.

– Myślę, że kazałam je sobie kupić, żeby zabłysnąć.

– Kto tak myśli?

– Wszyscy!

– A kazałaś?

Oblizalam wargi.

– Nie. Dostałam go od chłopców, na urodziny.

– To dlaczego miałabyś być rozpuszczona? – zapytał. Przechylał głowę, żeby zajrzeć mi w oczy. – Wydaje mi się, że to właśnie nieprzyjęcie prezentu byłoby niegrzeczne.

Milczałam i opuszkami palców jednej dłoni wodziłam po drugiej.

– Hailie. Przecież to nie twoja wina, że masz bogatych braci.

– Tak, ale... – Odetchnęłam. – Może mogłam się tak nie afiszować...

On pokręcił głową.

– Każdy jeździ tym, na co może sobie pozwolić – powiedział. – To tak, jakby czepiali się ciebie, że mieszkasz w najładniejszym domu albo jeździsz na najlepsze wakacje. Masz się przeprowadzić do rudery, żeby inni poczuli się lepiej?

Uśmiechnęłam się smutno i przyjąłam chusteczkę, którą Leo wyjął z paczki wygrzebanej ze swojego plecaka.

– Nie chcę tylko, żeby ludzie myśleli, że jestem damesą – wymamrotałam.

– Ale kto tak myśli?

Spuściłam wzrok na kolana.

– Słyszałam, jak obgadywały mnie przyjaciółki Lavinii.

– Przyjaciółki Lavinii! – prychnął Leo. – Co one wiedzą? Każda z nich dałaby się pokroić za takie auto. Nie przejmuj się nimi.

– Łatwo powiedzieć – westchnęłam zniecierpliwiona. – Łatwo ci powiedzieć: nie przejmuj się. Nie chcę, żeby cała szkoła myślała, że naciągam braci na drogie rzeczy, a oni się denerwują, ale spełniają moje zachcianki, bo tak, i że jestem... że jestem, nie wiem, tą całą damesą.

– Ludzie tacy są. Zawsze będą gadać – odparł Leo. – Wiesz, że jeszcze przed chwilą plotkowali, że Monetowie nie traktują cię wcale jak siostry, bo mają przecież tyle pieniędzy, a nie kupili ci nawet własnego auta?

– Co? – Moja głowa wystrzeliła w górę.

– Jeszcze wcześniej mówiono, że mają chorą obsesję, bo zamknęli cię w domu. A potem, gdy już puścili cię do szkoły, plotkowano, że pewnie tak naprawdę to jesteś im obojętna.

– Nie no, świetnie. Super – prychnęłam zawiedziona społeczeństwem. – I po co mi to mówisz?

– Żeby ci udowodnić, że nie warto się przejmować tym, co inni gadają za twoimi plecami, bo czego byś nie zrobiła, to i tak ktoś spróbuje zrobić z tego sensację. Tym bardziej nie warto przez to płakać, Hailie.

– To wszystko jest jakieś porąbane – westchnęłam.

– Jest, ale naprawdę można nauczyć się sobie z tym radzić – przekonywał mnie i uśmiechnął się, tym razem zaczepnie. – Wiesz, co mi się podobało?

– Nie.

– To, jak dzisiaj rano wysiadłaś z tego swojego porsche.

Jęknęłam i ukryłam twarz w dłoniach, a Leo się zaśmiał.

– Dziewczyno, wyglądałaś jak królowa. Panna Idealna, jak się patrzy. To, jak odgarnęłaś sobie włosy, jak uniosłaś głowę, nikogo nie zaszczycając nawet spojrzeniem. Byłaś ponad tych wszystkich plotkarzy – mówił, a gdy nawiązałam z nim kontakt wzrokowy, dodał: – Ale mnie się spodobałaś.

Nie potrafiłam zignorować ciepła, jakie rozlało się w mojej klatce piersiowej, gdy z ust chłopaka padły te ostatnie słowa. Wrażenie podobne do tego, gdy w barze jednym haustem pochłonęłam kieliszek tequili.

– I wtedy nie wyglądałam jak damesa? – wymamrotałam, żeby zmienić temat, zanim się zaczerwienię.

– Trochę może i wyglądałaś. Ale nie szkodzi. Nieważne, jak wyglądasz. Każdy, kto cię zna, wie, że jesteś wspaniałą osobą. Dobrą, miłą i w ogóle niepepsutą.

– Dzięki, Leo – szepnęłam i znowu uniosłam chusteczkę do oczu, ale szybko ją opuściłam, bo okazało się, że przestałam już płakać. – Pomogłeś mi, naprawdę.

– Do usług.

Chwilkę siedzieliśmy w ciszy, a ja szarpałam w dłoniach wymiętą już chusteczkę.

– Zaczepiłeś mnie na korytarzu – odezwałam się. – Chciałeś coś?

– A... Miałem nadzieję... To znaczy... – Leo podrapał się po głowie. – Chciałem zapytać, jak tam.

– Jak tam? – Uniosłam brew.

– Jak tam było we Francji... Pisaliśmy, pamiętasz?

– Och. – Pokiwałam głową, przypominając sobie wiadomość, którą w moim imieniu wysłała mu ciocia Maya. – Oczywiście, że pamiętam. Ja...

– Potem przestałaś się rozpisywać. Pomyślałem, że może zmieniłaś zdanie. Nie chciałem być nachalny, ale sądzę, że warto to wyjaśnić – powiedział, patrząc na mnie ostrożnie i trochę nieśmiało.

Przymknęłam powieki.

– Przepraszam, Leo. Powinam była się wytłumaczyć. Przestałam się rozpisywać, bo dowiedziałam się, że Vincent ma dostęp do moich wiadomości.

Leo otworzył szeroko oczy, najwyraźniej nie tego się spodziewając, a potem się skrzywił.

– Czyta, o czym piszemy?

– Zarzeka się, że nie, ale odechciało mi się poruszania prywatnych spraw w esemesach.

– Już rozumiem. Myślałem, że... – Leo urwał.

– Że jednak zmieniłam zdanie?

– Nie wiem, to wszystko jest takie dziwne. Szczerze, Hailie, to myślałem najpierw, że ze względu na to, co się wydarzyło, lepiej by było, gdybym dał ci spokój. Ale potem widzę ciebie i mi się odmienia. I tak w kółko. – Przerwał na chwilę, po czym zaraz kontynuował cicho: – Czasem trochę cię unikam, tu, w szkole. Żeby wiesz, nie kusić losu.

Kiwałam wolno głową, wpatrując się w podłogę.

– Też mam mętlik w głowie – wyznałam. – Kontaktujesz się z moimi braćmi, prawda?

Minęła chwila, zanim odpowiedział.

– Co jakiś czas zdaję relacje Willowi.

Otworzyłam szeroko oczy i odetchnęłam z ulgą.

– Och, jak dobrze, że to z Willem rozmawiasz. Will jest najlepszy i najmiłszy.

– Dla ciebie na pewno – zaśmiał się Leo. – Dla mnie jest... w porządku.

Dzwonek obwieszczający koniec przerwy powstrzymał mnie od drążenia tematu. Złapałam książki i już miałam odchodzić, gdy Leo nagle zawołał:

– Hailie...

– Tak?

– Ja... mam urodziny. Niedługo.

– Och, wszystkiego najlepszego – odparłam automatycznie, po czym zapragnęłam uderzyć głową o ścianę. – To znaczy, nie teraz. Niedługo powiem ci „wszystkiego najlepszego”. To znaczy... Eee... – Westchnęłam. – Kiedy dokładnie masz te urodziny?

Leo się zaśmiał.

– W sobotę. Pierwszy weekend maja.

– O, to fajnie.

– Nie robię żadnej imprezy. Spotkam się po południu z dwoma znajomymi, zamówimy pizzę, może w coś zagramy – opowiadał, drapiąc się ręką po karku. – Tak sobie pomyślałem, że gdybyś miała ochotę wpaść, to byłoby super.

– Ja bardzo chętnie, Leo – powiedziałam. – Ale... wiesz, jak to u mnie jest.

– Wiem – odparł od razu. – Dlatego mówię ci wcześniej. Może uda ci się uprosić braci... Tylko błagam, nie wymykaj im się, bo i tak cię pewnie znajdą, a ja nie chcę, by dzień moich urodzin stał się także datą mojej śmierci.

Parsknęłam.

– Obiecuję, żadnego wymykania. Z nimi to i tak nie przejdzie.

Właśnie wtedy Leo do mnie mrugnął, a ja planowałam rzucić mu ostatni rozpromieniony uśmiech, ale ten już się na mojej twarzy nie pojawił, bo mój wzrok padł na wyrastającego zza pleców Leo Tony'ego.

– Uwważaj! – krzyknęłam w momencie, gdy ten szarpnął mojego przyjaciela za ramię.

– Hej, co robisz?! – zawołał Leo, przyszpilony teraz do ściany przez Tony’ego, który warknął:

– Czemu ona ryczy?

Zamarłam na ułamek sekundy, a potem natychmiast przetarłam twarz, która najwyraźniej wciąż nosiła na sobie ślady łez.

– Tony, to nie tak!

Wiedząc, że on zwykle najpierw robi, a potem myśli, rzuciłam się, by uwiesić się mu na marynarce i powstrzymać przed zrobieniem czegoś głupiego.

– To nie jego wina!

Nie słuchał mnie. Wolał wwiercać nieprzyjemne spojrzenie w Leo, który z kolei uniesiony rękami sygnalizował swoją niechęć do konfliktu.

– Tony, proszę. Ludzie się gapią.

– I?

– To nie przez Leo płakałam!

Tony spojrzął na mnie i, pchnąwszy chłopaka, stanął przede mną.

– A przez kogo?

Rękawy marynarki miał podwinięte, jakby zanim do nas podszedł, przyszykował się do bójki. Spod nich wystawały tatuaże na ramionach, a dłonie zaciskał w pięści.

Westchnęłam.

– To nieważne...

– Gadaj, mała Hailie.

Zrobiłam krok w jego stronę, marszcząc brwi.

– Przykro mi się zrobiło, bo mnie obgadują. Tyle.

Tony uniósł brwi.

– To wszystko?

– Nie jestem jak wy, nie mam wszystkiego gdzieś.

– Ale że co, tak cię obchodzi, co myślą jakieś randomy?

Spojrzałam na Leo, dając mu do zrozumienia, żeby odszedł, dopóki Tony jest zbyt zajęty dziwieniem się moim słowom. Zrobił to posłusznie, skinąwszy na mnie głową na pożegnanie.

– Widzimy się po lekcjach, Tony – powiedziałam sztywno, a potem odwróciłam się i odeszłam z Sonnym za plecami.

Pod koniec dnia zajęć poczułam się odrobinę lepiej. Dostałam kilka pochwał za aktywność, a w przerwach od spraw szkolnych szukałam w głowie sposobu na przekonanie Vincenta, by puścił mnie na urodziny Leo, mimo że uchodził on za kontrowersyjną postać w naszym domu.

Stres i smutek zaatakowały mnie ponownie, gdy szłam na parking i przypominałam sobie, że w oczach większości znajdujących się tu uczniów jestem zepsutą siostrą damasą, która terroryzuje swoich braci zachciankami.

Dlatego gdy dotarłam do stojących w grupie znajomych bliźniaków, rzuciłam Shane’owi kluczyki. On złapał je bez problemu, udowadniając, jak genialny ma refleks. Już się nauczyłam, że w moich braci mogę rzucać z zaskoczenia, czym popadnie, a oni i tak na dziewięćdziesiąt procent to złapią.

– Co jest? – zapytał Shane, a jego koledzy poprzesuwali się tak, by zrobić dla mnie miejsce.

– Nic – odmruknęłam.

Kluczyki zagrzecotały, gdy Shane zamachał nimi w powietrzu.

– Nie chcesz prowadzić?

– Nie.

– Czemu?

– Bo nie. – Wzruszyłam ramionami. – Nie mam ochoty. Ty poprowadź.

Bliźniacy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Shane cisnął kluczykami w Tony'ego, który przejął je obiema dłońmi, chwilowo przetrzymując palonego właśnie papierosa w ustach.

– Chodź no tu – powiedział do mnie Shane, wyciągając rękę.

Odchyliłam głowę, wzdychając.

– Czy możemy jechać do domu?

– Najpierw podejdź.

Ruszyłam się z niechęcią.

– Co?

Shane przyciągnął mnie do siebie i szepnął:

– Kto cię obgaduje?

– Nikt – westchnęłam. Pragnęłam po prostu wrócić do domu. Shane'owi się jednak nie spieszyło. Objął mnie ramieniem, a dłoń położył na boku mojej głowy, by spoczęła na jego ramieniu.

Tony w tym czasie zbliżył się do wozu i otworzył drzwi od strony kierowcy, zaglądając do środka.

– Hej, tylko nie nasmroń tam tym papierosem – upomniałam go, wciąż przytulając policzek do marynarki Shane'a i tylko wodząc spojrzeniem za ruchami Tony'ego.

Nie odpowiedział, ale posłusznie wyjął papierosa z ust. Wytatuowany nadgarstek dłoni, w której go trzymał, oparł o dach mojego porsche, podczas gdy jego głowa zanurkowała we wnętrzu samochodu. Obserwowałam go bez specjalnego zainteresowania, ale zaraz aż podskoczyłam, gdy z wypasionych głośników auta rozbrzmiała głośna muzyka. Jakiś mocno basowy bit, taki, do jakiego, jak sobie wyobrażałam, pijani ludzie tańczą w klubach nad ranem.

Momentalnie uwaga wszystkich na parkingu zwróciła się na nas. Przymknęłam powieki z zażenowania.

– Co wy wyprawiacie? – westchnęłam.

– Kto cię obgaduje? – powtórzył spokojnie Shane, ze znudzeniem omiatając spojrzeniem twarz, zwracając się w naszą stronę.

– Wszyscy.

Wiele osób unikało mojego spojrzenia. Inni patrzyli na mnie i braci z dystansem, ale też z zainteresowaniem. Niektórzy wywracali oczami, a inni kryli w nich zazdrość. Patrzyłam na nich wszystkich i zastanawiałam się, czy naprawdę obchodzi mnie, co oni myślą. Utrzymywałam obojętny wyraz twarzy dzięki temu, że Shane był obok mnie. Jego bliskość działała jak najlepsze wsparcie.

Nagle moje oczy zatrzymały się na grupce dziewczyn stojących nieopodal. Z niewesołymi minami wpatrywały się właśnie we mnie. Były skruszone i nie tak rozchichotane jak zazwyczaj. Wśród nich stała Lavinia, która jawnie unikała mojego spojrzenia, wbijając własne w ziemię.

– One? – zapytał Shane, mrużąc oczy.

Wciąż opierając głowę na jego ramieniu, skinęłam nią. Nie tylko Shane zaczął wgapiać się w nie tak pogardliwym, że aż onieśmielającym wzrokiem. Tony na dodatek powoli wypuszczał z płuc dym papierosowy, co dodawało jego spojrzeniu grozy i na pewno sprawiało dziewczyny w nie lada dyskomfort.

Nie rwałam się do przerwania tych niepozornych tortur braci Monet, które uprawiali na moich biednych rówieśniczkach.

W pewnym momencie Shane przycisnął usta do czubka mojej głowy. Od tego gestu moje serce napełniło się uczuciem słodkim jak cukier puder. Potarł też moje ramię i szepnął:

– Nie masz się go przejmować, dziewczynko. Jesteś naszą siostrą. Mogą ci skoczyć.

Naprawdę nie miałam. W jednym momencie doskonale to zrozumiałam. Poczułam niewyobrażalną lekkość na samą myśl, jak małym problemem w rzeczywistości jest ten, którym tak się przejęłam.

Gdy Shane i Tony skończyli gromić spojrzeniami kółeczko wzajemnej adoracji Lavinii, oczy wszystkich należących do niego dziewczyn rozsypały się po ziemi jak koraliki. Nawet zrobiło mi się ich żal.

Kiedy Tony dopalił papierosa, obszedł auto dookoła i po drodze wcisnął mi do rąk kluczyki.

– Prowadzisz.

Gdy otworzyłam usta, by zaprotestować, rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Korzystaj, póki masz szansę, młoda.

Zacisnęłam palce na kluczykach i pokiwałam głową.

– No dobra...

Wsiadając do porsche, wciąż miałam niemałą publiczność, dlatego starałam się zachowywać jak rano, gdy przypomniałam sobie, jakie wrażenie zrobiłam wtedy na Leo.

Usiadłam za kierownicą, krzywiąc się na zbyt głośną jak na moje uszy muzykę.

– Uważaj i skup się – ostrzegł mnie Shane, ładując się do tyłu i chuchając mi na kark.

Na potrzeby pokazówki wyjechałam ze szkolnego parkingu, nie ściszywszy muzyki. Maksymalnie skoncentrowałam się na opuszczeniu terenu akademii, zostawiając głodnych sensacji uczniów za sobą. Wiedziałam, że nie było ani jednej osoby na parkingu, która nie odprowadziłaby nas wzrokiem. Bo nie dość, że wyjeżdżałam z niego złotym, lśniącym porsche, to jeszcze w akompaniamencie basów i z toczącym się za mną SUV-em ochroniarza.

Dopiero gdy budynek szkoły zniknął za nami, Tony przykręcił głośność, mrużąc:

– Nie mów nikomu, że prowadziłaś przy muzyce.

– I przyspiesz trochę, nie wolno jeździć tak wolno – westchnął Shane.

– Ale stopniowo, nie tak szybko.

– No ale nie no, trochę szybciej, nie.

– Nie zwalniam.

– Zwolnij, ale tylko trochę.

– Teraz.

– Nie teraz.

Gdyby nie to, że przywiązywałam się do tego auta, celowo bym je rozbiła, by zamknąć im buzie.



8 ELITA

Kreatywność Vincenta w psuciu mnie nie znała granic.

Oczywiście on wierzył, że jego podarunki wcale nie świadczą o tym, iż mnie rozpieszcza. Sam wychował się wśród jeszcze większego bogactwa. Wydawało mu się, że stawia mi sporo granic. W odniesieniu do zwykłych zasad była to prawda, ale nie w stosunku do spełniania moich zachcianek materialnych. Potwierdził to w zupełności pewnego popołudnia, gdy zaprosił mnie do swojego gabinetu.

Korytarz pracowniczy nie robił już na mnie wrażenia. Mój kateryczny zakaz wkroczenia w jego rewiry się rozmył, od kiedy zaczęłam chodzić na strzelnicę, dlatego teraz szłam długim korytarzem bez większych dreszczy.

Vince ledwo obrzucił mnie spojrzeniem, gdy weszłam. Zajęty był wpatrywaniem się w ekran laptopa zza przymrużonych powiek. Siedział za masywnym biurkiem i właśnie unióśł dłoń, by kliknąć dokładnie trzy razy w klawisz na klawiaturze. Na moje przywitanie odmruknął coś w typowo Vince'owy sposób.

Cierpliwie czekając, aż skieruje na mnie swoją uwagę, zastanawiałam się, po co mnie tu wezwał. Czułam spokój, bo byłam pewna, że w ostatnim czasie niczego nie przeszkrobałam. Zwątpiłam tylko na chwilę, gdy Vince zamknął laptop, odsunął go na bok i wyprostował się, dostojnie podtrzymując dłońią brodę. Wtedy musiałam sobie przypomnieć, że on przecież tak już ma. Zawsze sprawia wrażenie, jakby był policjantem na przesłuchaniu.

– Chciałeś mnie widzieć? – zapytałam uprzejmie, by przerwać niepokojącą ciszę.

Kiwnął głową.

– Mam coś dla ciebie – oznajmił wypranym z emocji głosem i leniwym ruchem odsunął szufladę biurka.

Obserwowałam, jak wyjmuję płaskie, czarne pudełko. Nachylił się, by podsunąć je w moją stronę. Następnie z powrotem rozparł się w swoim eleganckim fotelu, gotowy do rejestrowania mojej reakcji.

– Co to jest? – zapytałam, z pewną nieufnością wpatrując się w to ekskluzywne opakowanie.

– Zobacz sama.

Palcem wskazującym i kciukiem jednej dłoni przytrzymałam podstawę pudełka z przyjemnie miękkiej skóry. Drugą chwyciłam wieczko, na którym wypisano błyszczącymi literami słowo „Elita”. Wywołało ono u mnie ciarki na plecach. Drżącym ruchem pociągnęłam górną część, a wtedy moim oczom ukazało się obite ciemnym aksamitem wnętrze. Na środku, w wydrążony w materiale dołek, wciśnięto połyskującą, czarną jak węgiel kartę bankową.

Gapiłam się na nią zaaferowana jej widokiem. Nie wiedzieć czemu podarunek przeraził mnie i onieśmielił jednocześnie. Kiedy uświadomiłam sobie, że Vincent mi się przygląda, uniosłam na niego zakłopotane spojrzenie. Jego błękitne tęczęwki nie wyrażały żadnych uczuć, a jedynie typowy dla Vince'a chłód i dystansowanie.

– Dajesz mi kartę bankową? – zapytałam słabym głosem.

Skinął głową.

Z powrotem spojrziałam na kartę. Odważyłam się podważyć ją paznokciami i ostrożnie wyjąć z pudełka. Palce trzymałam na krawędziach, żeby nie upaprać palcami jej błyszczącej powierzchni. Karta była ciężka i zimna. Nigdy nie miałam własnej, nie zdążyłam uprosić mamy, by założyła mi konto, na które mogłabym wpłacać swoje niewielkie oszczędności. Jednakże w swoim w życiu zdarzyło mi się trzymać kilka kart w ręku i żadna z nich nie umywała się do tej. Czerń karty mieniła się lekko, a przez całą jej długość biegł wypukły numer w kolorze platyny.

– I dajesz ją mi? – upewniłam się.

Vince znowu skinął głową, cierpliwym wobec moich wątpliwości.

Spojrziałam mu prosto w oczy.

– Dziękuję.

– Proszę.

Bałam się, że ją upuszczę, porysuję lub za bardzo na nią nachucham, mimo iż karta zdawała się prędzej zdolna do zrobienia krzywdy mnie niż na odwrót. Odłożyłam ją z powrotem do zdecydowanie zbyt dużego pudełka.

– Mam gotówkę od taty – zaczęłam, z powrotem przenosząc wzrok na brata. – Mogłabym ją tam wpłacić. Na konto. Bo... jest tam

jakieś konto, nie?

Kąciki ust Vince'a po raz pierwszy dziś zdrzały.

– Nie musisz tam nic wpłacać. Zostaw sobie tę gotówkę, może ci się przydać. – Wskazał na pudełko. – To karta kredytowa. Jedna z kilku podpisanych pod jedno z moich kont. Daję ci ją, bo ufam, że jesteś wystarczająco odpowiedzialna, by korzystać z niej z głową.

Patrzyłam na niego z rozchyloną buzią, zanim zreflektowałam się i ją zamknęłam, przełykając ślinę.

– Jaki jest limit?

– To nieistotne, Hailie – odparł wolno. – Nie sądzę, byś była w stanie go przekroczyć.

Zamrugałam, a on kontynuował:

– Jeśli jednak tak się stanie, będziemy mieli rozmowę. – Oczy mu błysnęły ostrzegawczo. – Istotne jest natomiast, na co będziesz wydawała te pieniądze. Prosiłbym cię, żebyś robiła przemyślane zakupy. Jeśli zobaczę wydatki, które mi się nie podobają, będziemy mieli kolejną rozmowę. A zobaczę je na pewno. – Tym razem podniósł swój telefon, leżący w zasięgu jego dłoni. – Karta podpisana jest pod moje konto. Co za tym idzie, dostanę powiadomienie za każdym razem, gdy zostanie użyta.

Nie szkodzi, pomyślałam. Vince daje mi przyzwolenie na korzystanie z pieniędzy, których dorobił się sam, i tych należących do naszej rodziny od pokoleń. Ot tak, mimo że niczym sobie na to nie zasłużyłam. Nie zamierzałam więc psioczyć na jego kontrolę rodzicielską.

– Z mojej strony to wszystko – powiedział.

– Ja mam jeszcze jedną sprawę – poinformowałam go, z nerwów głaszcząc pudełko. Odetchnęłam, wiedząc, że Vince woli konkretne wypowiedzi. – Leo zaprosił mnie na urodziny. Chciałabym na nie pójść.

– Chcesz iść na imprezę? – Uniósł brwi.

– Właściwie to nawet nie jest impreza.

– Ile osób tam będzie? – zapytał.

– Mało chyba jakoś...

– A gdzie te urodziny są organizowane?

Spojrzałam w dół.

– No też nie wiem.

– Mhm – podsumował, unosząc brew. – Jak myślisz, co mam ci na to odpowiedzieć?

Westchnęłam.

– Wiem, nie przygotowałam się – przyznałam, a on skinął głową. – Ale co to ma za znaczenie? Czy pytasz Tony'ego i Shane'a, kto będzie na imprezach, na które oni chodzą?

Vince prawie się uśmiechnął. Pokręcił głową.

– Nie idź w tę stronę, Hailie – poradził zadziwiająco szczerze. – Nie odpowiadam za Shane'a i Tony'ego tak jak za ciebie, dlatego to nie jest dobre porównanie. A nawet gdyby było, i tak by mnie nie przekonało. Takie argumenty są najslabsze. Zapamiętaj to sobie, proszę, na przyszłość.

Słuchałam go ze zmarszczonymi brwiami. Czy on mi właśnie tłumaczył, jak mam z nim rozmawiać, by dostać to, czego chcę?

– Jakich powinnam w takim razie użyć?

– Najlepiej przekonaj mnie, że będziesz bezpieczna i odpowiedzialna.

Wzięłam oddech.

– Będę, Vince – obiecałam. – Wiesz, że będę. Wiesz, że zależy mi na swobodzie, dlatego nie zawiodę twojego zaufania, przysięgam. Chcę po prostu pójść na urodziny przyjaciela i trochę się pobawić.

Milczał i patrzył na mnie, więc ciągnęłam dalej:

– Leo jest w porządku. Wiem, że został wplątany w różne dziwne sytuacje, ale on sam jest naprawdę porządną osobą i wierzę, że nigdy nic by mi nie zrobił. Zwłaszcza że przecież zależy mu na dobrych stosunkach z tobą – zauważyłam. – A nawet jeśli stałoby się coś nieprzewidzianego, to będzie ze mną Sonny, prawda?

Nadal nie odpowiadał.

– A poza tym... – Przechyliłam głowę. – Mieliśmy umowę. Ja się ze swojej części wywiązuję. Jestem grzeczna, chodzę na terapię, dobrze się uczę. Znoszę ochroniarza i co więcej, towarzyszącego mi zawsze w aucie Shane'a, mimo że doprowadza mnie do szału. To

naprawdę poświęcenie, Vince.

Tym razem pozwolił sobie na uśmiech.

– Już lepiej, Hailie – ocenił i westchnął, poważniejąc. – Nie ukrywam, że wolałbym, byś została w domu i nie wychodziła z niego najlepiej, cóż, nigdy...

Uniosłam brew.

– ...Ale rozumiem, że masz potrzeby towarzyskie, dlatego zgodzę się, żebyś poszła na tę imprezę. W imię naszej umowy nie będę ingerował w twoje plany i wyjścia, dopóki nie dasz mi ku temu powodów. Zdam się na twój własny osąd sytuacji. Zawsze jednak będziesz miała przy sobie Sonny'ego oraz telefon na potrzeby aktywnego nadajnika i bycia w stałym kontakcie ze mną. Jeśli zadzwonię, masz odebrać, choćby nie wiem co.

– Czekaj... – Zmarszczyłam brwi. – To znaczy, że mogę chodzić, gdzie mi się podoba i kiedy mi się podoba?

Vincent skinął sztywno głową.

– W granicach rozsądku.

– Co, ty tak na serio?

– Kilka miesięcy temu powiedziałaś, że do tej pory robiliśmy po mojemu, a i tak zostałam narażona na niebezpieczeństwo. Poprosiłaś, by dać szansę twojemu sposobowi. – Jego oczy wpatrywały się we mnie intensywnie. – Właśnie to robię.

Przełknęłam ślinę i nie mogłam przestać mrugać, przyswajając nowe informacje.

– Przepraszam – wymamrotałam – ale trudno mi uwierzyć w to, co słyszę.

– Mnie trudno uwierzyć w to, co mówię, jeśli mam być z tobą szczery, droga Hailie. – Z kolejnym westchnięciem przebiegł dłońią po swoich zalizanych do tyłu ciemnych włosach. – Uważam jednak, że poznaliśmy się już wystarczająco dobrze, by sobie zaufać i... przetestować nowe rozwiązania. W końcu masz prawie siedemnaście lat.

Na widok mojej miny kąciki jego ust zadrżały, zdradzając kolejne oznaki delikatnego rozbawienia.

– Eee... – Zastanawiałam się, jak zareagować na jego słowa, aż po prostu szepnęłam tylko: – Wow.

Vince wskazał podbródkiem na pudełko z kartą kredytową.

– Korzystaj z niej mądrze – powiedział – i nie każ mi żałować tej decyzji.



– Pasujecie do siebie – oznajmiła Mona. – Ty i Leo, wiesz? Oboje jesteście kujonami. Ty jesteś ładna, on przystojny. Tworzylibyście taką parę... państwa idealnych.

– Według ciebie Leo jest przystojny?

– Ma coś w sobie. Nie jest do końca w moim typie, bo ja to wolę ciemnowłosych z jasnymi oczami i długimi rzęsami, ciemnymi, mocno zarysowanymi brwiami, no i najlepiej tatuażami i...

– Przestań opisywać Tony'ego – upomniałam ją z niesmakiem.

– Ja wcale... – przerwała i odetchnęła. – Okej, sorry. Odpowiadając na twoje pytanie: tak. Uważam, że jest przystojny. Ma świetne ciało. Sama widziałam, jak kiedyś przechodziłam obok boiska. Połowa chłopów zdjęła koszulki, co to był za widok...

– Hej, ogarnij się! – Szturchnęłam ją, marszcząc brwi, bo właśnie się rozmarzyła, a z jakiegoś powodu nie chciałam, by fantazjowała o Leo bez koszulki.

– Jestem ogarnięta – zaoponowała z głupkowskim uśmiechem, po czym zgięła nogi w kolanach i oparła się o okno. – To co kupisz mi na prezent?

Popatrzyłam na nią z idiotycznym zaskoczeniem.

– Prezent – powtórzyłam tępo.

– Okej, czyli nie wiesz. A co na siebie włożysz?

Moja mina mówiła wszystko.

– Jeny, dziewczyno – westchnęła Mona. – Jedziemy do centrum handlowego. Kiedy możesz?

Spojrzałam na nią ze skupioną miną, bo analizowałam w głowie jedną prostą rzecz. A wtedy na moje usta wypłynął cwany uśmiech.

– Chyba... chyba kiedy chcę – odpowiedziałam, ogłupiała wizją takiej wolności.

Postawiliśmy na weekend, tak żeby wyjścia nie psuła nam świadomość, że nazajutrz musimy iść do szkoły. Teoretycznie nie musiałam nikogo pytać o pozwolenie, żeby coś zaplanować, ale i tak niewyjaśniona pozostawała kwestia transportu. Za kolejny cel ustanowiłam sobie przekonanie braci, bym mogła prowadzić bez nadzoru. Tylko wtedy swoboda od Vincenta będzie miała sens. Jednak jako że wciąż nie wolno mi było samej prowadzić, musiałam znaleźć kogoś, kto podrzuci mnie do centrum. Chętny okazał się Will, za co byłam mu wdzięczna, bo najbardziej ze wszystkich braci starał się mnie wspierać i nawet na koniec mnie skomplementował:

– Chciałbym ci powiedzieć, że jesteś doskonałym kierowcą. Prowadzisz o wiele bezpieczniej niż chłopaki.

Zrobiło mi się tak miło, że w uśmiechu pokazałam nawet zęby.

– Dzięki, Will.

– Baw się dobrze, malutka.

– Hej, Will? – zawahałam się. – Dostałam od Vince’a kartę. Wiesz może, jaki jest tam limit?

– Nie powiedział ci?

– Powiedział, żebym się tym nie przejmowała.

Will zaśmiał się krótko i serdecznie.

– Skoro Vince tak powiedział, to wierz mi, malutka, nie masz się czym martwić.



9

NIESKOŃCZENIE WIELKIE ŹRÓDEŁKO

Nie czujesz się dziwnie, że ktoś cię ciągle śledzi? – zapytała Mona, gdy weszliśmy do pierwszego sklepu z ubraniami. Wciąż oglądała się za siebie i rzucała mojemu ochroniarzowi ukradkowe spojrzenia.

Skupiona na oglądaniu uroczej błękitnej sukienki wzruszyłam ramionami.

– Kwestia przyzwyczajenia.

– Ja się czuję dziwnie.

– Nie zwracaj na niego uwagi – mruknęłam, szukając metki z rozmiarem.

Mona popatrzyła na mnie z uniesionymi brwiami, a wtedy zobaczyła, co trzymam w rękach, i się skrzywiła.

– Zostaw to, spójrz na materiał, jest okropny i będzie się ciągle gniótł.

Szybko wyszliśmy z tego sklepu, pokręciliśmy się jeszcze po paru innych i wkrótce ruchomymi schodami wjechałyśmy na drugie piętro, gdzie znajdowały się głównie butik z wyższej półki.

– Za prezentem dla Leo proponuję rozejrzeć się tutaj – oświadczyła Mona, a ja podążyłam za jej palcem, którym wskazywała na...

– W perfumerii?

– Perfumy to superprezent – przekonywała mnie. – Możesz sobie wybrać, jak ktoś, kto ci się podoba, będzie pachnieć.

Byłam gotowa się kłócić, że perfumy to wcale nie taki superprezent, ale ostatecznie dałam się zaciągnąć do środka. Posadzki błyszczą tu na biało, a regały i ściany na czarno. Towar eksponowano na półkach pojedynczo. Od razu poczułam się nieswojo, bo ekskluzywność biła tu po oczach, a ja wciąż czułam się onieśmielona, odwiedzając takie miejsca bez swoich pewnych siebie braci.

Poza nami nie było tu żadnych klientów. Nawet Sonny zatrzymał się przed wejściem. Stojąca prosto jak słup sprzedawczyni w pierwszej chwili się na nasz widok ożywiła, ale jej oczy szybko zmniejszyły się w cienkie szparki, zza których zdawałoby się, że przeanalizowała całe nasze życiorysy.

– Czekaj, gdzieś tu powinny być takie... – Mona mruzczała pod nosem, człapiąc od regału do regału, a ja podążałam za nią, żując dolną wargę.

Mona chciała wziąć do ręki jeden z flakonów, ale wszystkie chronione były szklaną, wypolerowaną na błysk szybą. Grzecznie rzucona do ekspedientki prośba o podanie wybranych perfum spotkała się ze sporą niechęcią z jej strony. Jej duże, pomalowane ciemnobrązową szminką usta mocno się zaciskały, a skóra wokół nich napinała, gdy nam usługiwała. Sztynnym ruchem złapała za kartonowy paseczek i popsikała go perfumami.

Automatycznie i możliwe jak najdyskretniej się cofnęłam, gdy wróciły do mnie traumatyczne wspomnienia związane z kwasem.

– Nie, te nie – zaprotekowałam, gdy doleciał do mnie zapach.

– Co ty mówisz, są cudowne – zdziwiła się Mona.

– Byłyby cudowne, gdyby tylko Dylan nie używał takich samych.

– Och, rozumiem.

Kolejne dwa zapachy, które sprawdziliśmy, zupełnie nam nie podeszły. Jeden był zbyt delikatny, a drugi pachniał jak kurz i nawet się rozkaszałam. Ekspedientka zaczęła przestępować z nogi na nogę.

– A te? – zapytała Mona.

Ekspedientka ruszyła się, by otworzyć regał i wyjąć kolejną butelkę – tym razem podłużną i matowoczną. Gdy poczułam kryjący się w niej zapach, włos zjeżył mi się na głowie.

– Takie ma Vince – szepnęłam.

– Ach. – Mona odłożyła flakon. – Wiesz co, trudno szuka się z tobą męskich perfum. Twoi bracia zaszachowali sobie wszystkie najlepsze zapachy.

– Wiem, przerażane – westchnęłam.

– A tamte? – zawołała. – Mój kuzyn ma podróby i są niesamowite. Oryginał musi zwałać z nóg.

Słyszac te bezwstydnie głośno wypowiedziane słowa Mony, ekspedientka się zatrzymała.

– Słuchajcie, dziewczyny – przemówiła chłodno – to chyba nie miejsce dla was, co? I tak nic tutaj nie kupicie. Idźcie sobie do jakiejś taniej drogerii.

Obie z Moną zastygłyśmy.

Gdybym straciła pamięć i ktoś opowiadał mi to wydarzenie po fakcie, to ja, znając przecież samą siebie, stawiałabym, że to Mona odpowiedziała na to bulwersujące chamstwo ekspedientki.

A tu, proszę, zaskoczenie. W rzeczywistości odezwałam się ja.

Może to przez tę misję – wyplenianie chamstwa – w tamtym momencie zrozumiałam, że musi ona wyjść poza mury szkoły, bo świat jest pełen niemiłych i zgorzkniałych ludzi. Zanim otworzyłam usta, wyobraziłam sobie, jakich słów w takiej sytuacji użyłby Vincent, mistrz lodowatej uprzejmości.

– Przepraszam, ale chyba pani nie usłyszała – przemówiłam z powagą, wpatrując się w nią znad uniesionych brwi. – Moja koleżanka życzy sobie zobaczyć tamte perfumy.

Przez kilka długich sekund toczyłyśmy bitwę na spojrzenia. Na jej szyi uwypukliła się wielka żyła sygnalizująca podniesione ciśnienie, ale ostatecznie wygrałam, bo nagle kobieta ruszyła się, a klucze w jej ręku zagrzechotały. Ukradkiem się uśmiechnęłam, ignorując Monę, która gapiła się na mnie oniemiała.

Vince'owe sposoby działają niezawodnie.

– Tak, to te. Są niezwykle, zobacz – westchnęła Mona.

– Pokaż – poprosiłam, powoli znużona tymi wszystkimi zapachami. Gdy jednak poczułam ten, uniosłam z zaskoczeniem brwi. – Faktycznie niezwykle.

Co ważne, zapach ten nie kojarzył mi się z żadnym z braci Monet.

Flakon był prostokątny, w kolorze lekko przydymionego błękitu. W jego szklanej powierzchni wydrążono eleganckie wywijasy. Perfumy więc nie tylko wspaniale pachniały, ale i prezentowały się efektownie.

Oddałam buteleczkę ekspedientce.

– Dobra, muszę się zastanowić – powiedziałam, na co kobieta nie omieszkała prychnąć.

– Jakiś problem? – zapytała z niedowierzaniem Mona.

– To luksusowa perfumeria, a nie targowisko. Nie marnujcie mojego czasu, jeśli nie zamierzacie nic kupować – wyburczała ekspedientka, zamykając gablotę.

Mona uniosła brwi.

– A czy to nie jest czasem pani praca?

– Moja praca to sprzedaż perfum, nie usługiwanie rozchichotanym nastolatkom.

– To ja jednak je poproszę – odezwałam się.

Monie zaświeciły się oczy.

– Co poprosisz? – zapytała ekspedientka, marszcząc czoło.

– Perfumy.

Nie uszło mojej uwadze, że odezwała się do mnie na „ty”, więc odszukałam przypiętą do jej marynarki plakietkę z imieniem i odpłaciłam się tym samym.

– Zapakujesz mi je, Mary?

– Chcesz kupić te perfumy?

– Dwa flakony, jeśli można.

Czułam w duchu, że przeginam, ale chciałam utrzyć ekspedientce nosa, więc się nie hamowałam.

Długo nie odwracała ode mnie wzroku, jakby próbowała się upewnić, że nie wybuchnę śmiechem i nie powiem, że to żart.

– Zapraszam do kasy.

Wypowiedziała te słowa wyzywająco, więc chyba naprawdę myślała, że sobie z niej kpię. Podążając za nią, zaczęłam się stresować. W tej głupiej perfumerii nie wystawili nawet cen, te zakupy mogły mnie wynieść fortunę. Co, jeśli przekroczą limit Vince'a? Will mówił, że bym się tym nie przejmowała, ale pewnie nie przypuszczał, że przyjdzie mi do głowy kupowanie zawrotnie drogich perfum.

A jeśli moja karta nie zadziała? To miał być pierwszy raz, gdy z niej skorzystam. Może coś się zablokuje? Może jest popsuta? Może Vince zapomniał ją aktywować?

– Po co ci aż dwa opakowania? – zapytała szeptem Mona.

Wzruszyłam ramionami i nie odpowiedziałam.

Gdy nadszedł moment płacenia, pilnowałam, by nie zadrżał mi na twarzy żaden mięsień, mimo że niewidzialna dłoń zacisnęła się na moim żołądku na widok czterocyfrowej liczby.

Grając swoją rolę najlepiej, jak potrafiłam, skupiłam się na sięgnięciu do torebki i wyłowieniu z niej portfela. To był taki śmieszny, kolorowy portfel w kwiatki, który miałam jeszcze sprzed czasów poznania moich braci. Znalazłam go w swoich starych rzeczach jakoś ostatnio. Jeśli chłopcy by go zobaczyli, pewnie wywróciliby oczami. Albo wnieśli je do sufitu, tak jak zrobiła to ekspedientka.

Naprawdę zaczynałam mieć jej po dziurki w nosie.

Mina szybko jej się jednak zmieniła, gdy z kiczowatego portfeliaka wyjęłam połyskującą czarną kartę kredytową, której elitarność nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Prawie widziałam krople potu wstępujące na jej czoło, gdy transakcja została zaakceptowana. Uniosła na mnie oczy, w których ku swojemu zaskoczeniu dojrzałam nie skruchę, lecz strach. Otóż w tej chwili kobieta zobaczyła we mnie już nie zwykłą nastolatkę z ubogim kieszonkowym, tylko realną, zamożną klientkę luksusowej perfumerii, w której pracowała.

I zrozumiała, jak wielki błąd zrobiła, lekceważąc mnie.

Z zupełnie innym już podejściem podsunęła mi do podpisania paragon i widziałam, jak dyskretnie porównuje mój podpis z tym na tyle karty. Przyglądałam się temu ze spokojem.

– Mogę? – zapytałam, wyciągając rękę po zakupy.

– Oczywiście – wymamrotała, a jej głos zrobił się nienaturalnie piskliwy. – Eee, może jakieś próbki dorzucę pani, hm?

Nerwowym ruchem otworzyła szufladę i złapała garść małych fiolek.

– I może jeszcze tych, jeszcze troszkę... Takie mamy próbki, ładne takie, fajne zapachy, naprawdę, będzie pani miała, żeby sobie popatrzeć, przejrzeć, fajne takie... – paplała coraz bardziej zestresowana, a ja bałam się, że ta żyła na jej szyi zaraz jej pęknie, więc odpowiedziałam uprzejmie i stanowczo:

– Dziękuję, Mary, tyle wystarczy.

– Pozwól, że to wezmę, panno Monet – zaoferował się kulturalnie Sonny, wskazując brodą na zakupy. Pojawił się znikąd i skradł uwagę coraz bardziej zdezorientowanej sprzedawczyni.

Torba nie była wcale ciężka, więc nie potrzebowałam jego pomocy, ale jego pojawienie się idealnie zwięźczyło całą tę szopkę, dlatego po prostu uśmiechnęłam się do niego miło.

– Dzięki, Sonny.

Mój ochroniarz, prezentujący się nienagannie w eleganckim ciemnym garniturze, kiwnął głową i przejął torbę od ekspedientki. Kobieta niemal się przewróciła, gdy odprowadzała nas do wyjścia.

– Dziękuję za zakupy. Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona. Zapraszamy ponownie, bardzo, ale to bardzo serdecznie. Dziękuję raz jeszcze, przyjemność, ekhm, przyjemność po mojej stronie, do widzenia, do widzenia!

Nie wiem, jak długo stała w progu sklepu i nam głupio machała, ale postanowiłam już oszczędzić jej wstydu i się nie odwracać, tylko, w towarzystwie Mony i Sonny'ego, odeszłam.

Zatrzymałam się dopiero przy najbliższej ławce, a Mona natychmiast na nią opadła.

– Łooo, dziewczyno! – zaczęła, a ja przymknęłam oczy, wiedząc, co zaraz powie. – Ale ją załatwiłaś!

– Przestań – jęknęłam. – Dałam się sprowokować.

– Co ty mówisz? Babka była wredna, a ty jej pokazałaś, gdzie jej miejsce. Ma szczęście, że nie poszczułaś jej Vincentem.

– Aha. Zamiast tego kupiłam dwa opakowania kosmicznie drogich perfum – westchnęłam, klepiąc się z irytacją w czoło. – Po cholere mi dwa opakowania?

– E tam, to genialne perfumy, nie zmarnują się. A ta twoja karta to prawdziwe cacko, mega zazdroścę. Szczerze to nie spodziewałam się, że cokolwiek kupisz w tej perfumerii, ja to chciałam tam w sumie wejść dla picu.

Westchnęłam i wyjęłam jeden flakon z torby.

– Trzymaj, weź je. – Gdy Mona chciała zaprotestować, powiedziałam: – Nie potrzebuję ich. I nie chcę mieć pamiątki po tej durnej prowokacji. Serio, weź. Dasz je temu swojemu kuzynowi. Skoro używa podróbki, to na pewno ucieszy się z oryginału.

– Jesteś pewna?

– Zabieraj je – rozkazałam jej stanowczo.

– Drugie dasz Leo na prezent? – zapytała Mona po dokładnych oględzinach swojej nowej własności.

– Nie ma mowy, to słaby prezent.

– Co ty mówisz, to świetny prezent!

– Nie wiem, czy ucieszy się z przesadnie drogich perfum – powiedziałam, pocierając czoło. – Ależ ja jestem głupia.

W końcu było to nieodpowiednio wymowne nawiązanie do podarku, jaki otrzymałam od jego szalonego brata.

– Hej, daj spokój – zaoponowała Mona, poważniejąc, gdy zobaczyła, że moje wątpliwości są na serio. – Daj spokój, dziewczyno. Co ma mu się nie spodobać? To świetne perfumy. Nie musi wiedzieć, ile za nie zapłaciłaś.

– Sama torba wygląda, jakby kosztowała krocie.

– Za bardzo to analizujesz. Jesteś bogata, to kupujesz drogie prezenty. Dla ciebie one nie są wcale drogie.

– Są – mruknęłam.

– Nie są, bo nie wyglądasz, jakbyś odczuła, że zbiedniałaś po ich zakupie – upierała się Mona. – Leo to zrozumie i doceni, że dostał ładny prezent. Zobaczysz. On jest normalny, nie będzie szukał dziury w całym, jestem przekonana.

– Nie dostanie ich – zdecydowałam.

– Hailie...

– Sonny? – Odwróciłam się, by nawiązać kontakt wzrokowy z moim czuwającym tuż obok ochroniarzem. – Chcesz?

Zamachałam opakowaniem.

– Nie, dziękuję, panno Monet.

Przekrzywiłam głowę.

– Weź to, proszę, nie mam co z nimi zrobić.

– Panno Monet, przyjęcie ich byłoby nieodpowiednie.

– Chcę ci dać prezent za to, że zawsze tak dzielnie przy mnie trwasz.

– To moja praca, panno Monet.

– Sonny, weź je, proszę.

– Panno...

– Jak jeszcze raz usłyszę „panno Monet”, to zacznę uciekać – zagroziłam.

Sonny się uśmiechnął.

– Dogonię cię.

– Weź je, inaczej będzie mi przykro.

Wyciągnęłam do niego dłoń z perfumami, na które patrzył przez chwilę, aż wreszcie westchnął i pokiwał głową.

– Dziękuję – powiedziałam.

– To ja dziękuję – odparł. – To bardzo... efektowne perfumy.

Parsknęłam, sięgając po torebkę. Zaczęłam grzebać w niej za telefonem.

– Po co ci on teraz? – zapytała Mona, gdy wreszcie go wyłowiłam.

– Chcę go mieć pod ręką. Karta podpisana jest pod konto Vince’a. Prawdopodobnie już wie albo zaraz się dowie, ile pieniędzy wydałam w tej durnej perfumerii. Muszę być gotowa, by odebrać i się wytłumaczyć, w razie gdyby zadzwonił.

Ale nie zadzwonił.

Przeszliśmy całą galerię. Nogi bolały mnie tak bardzo, że planowałam zrezygnować z prowadzenia w drodze powrotnej. Nie miałabym siły naciskać na pedały. A wcale nie kupiliśmy dużo rzeczy. Mona dorwała jakieś dzinsy i koszulkę, a ja znalazłam bluzę na prezent dla Leo i strój dla siebie na urodziny.

A Vincent nie zadzwonił.

Postawiłam na kombinezon, mimo że stanowczo większą sympatią darzę spódniczki. Był czarny, gęsto usiany białymi kwiatkami stokrotek, każda wielkości kciuka. Nogawki sięgały kostek, a ramiona i obojczyki odkrywał hiszpański dekolt. Zwężenie w talii podkreślone zostało ściągaczem, dzięki czemu ubranie idealnie uwypuklało zalety mojej figury, czego Mona nie omieszkała skomentować:

– Dziewczyno, zobacz na swój tyłek, wyglądasz tak seksownie!

– Na pewno nie lepiej byłoby znaleźć sukienkę? – zapytałam, oglądając się w lustrze. Złapałam w nim postać rozglądającego się na boki Sonny’ego.

– Pomyśl, z sukienką znowu będziesz miała problem z braćmi. Pewnie zwrócą uwagę na to, co na siebie włożysz, tak czy nie?

– No tak.

– No więc ten kombinezon to idealne rozwiązanie.

Wciąż przygryzałam niepewnie wargę, dlatego Mona w końcu cmoknęła z irytacją i odwróciła się.

– Przepraszam, panie... Sonny?

Mój ochroniarz spojrział w naszą stronę i zamrugał zdumiony.

– Tak?

– Mógłby pan tu podejść?

– Co robisz? – syknęłam.

Wyraz twarzy Sonny’ego wiele mówił o tym, jak nieswojo się czuje, wkraczając do damskiej przymierzalni okupowanej przez nastolatki. Przystanął obok Mony i uprzejmie uniósł brwi.

– W czym mogę pomóc?

– To nic, Sonny – powiedziałam. – Proszę, nie zwracaj na nią uwagi.

– Sonny jest mężczyzną, na pewno rozumie tok myślenia twoich zaborczych braci – przekonywała Mona. – Sonny, powiedz nam, czy Hailie wygląda wyzywająco?

– Mona!

– Co? Och, przestań się czerwienić.

– Sonny, nie musisz odpowiadać – zapewniłam go.

– Panna Monet wygląda bardzo ładnie – odrzekł.

– Tak, to wiemy, ale czy myśli pan, że bracia się do niej przywalą?

– Możliwe.

– Sonny, zignoruj ją... Zaraz, co? – Zmarszczyłam brwi i położyłam dłonie na biodrach. – Serio myślisz, że się przywalą? O co niby? Chodzi o te ramiona?

Sonny podrapał się po karku z zakłopotaniem.

– Z całym szacunkiem, panno Monet, myślę, że nie spodoba im się żaden strój, jaki włożysz.

Monie wymsknął się chichot, więc przykryła usta dłonią, a ja z niepocieszonym wyrazem twarzy zamknęłam się z powrotem w kabinie, oznajmiając głośno:

– Biorę go.

Kasjerka rzuciła dłuższe spojrzenie na moją kartę i zastanawiałam się, czy już zawsze będę się stresować każdym dokonywaniem płatności.

A gdy wróciłam do domu, nikt się nie zająknął na temat moich zakupów w perfumerii.

Pomyślałam sobie, że testowanie granic Vincenta było stresujące, ale jakże również... fascynujące.



Nim się obejrzałam, nadszedł pierwszy weekend maja, a ja stałam w sypialni ubrana w kombinezon i białe tenisówki, z długimi prostymi włosami opadającymi na plecy. Na ramię zarzuciłam sobie małą torebkę, a w rękę trzymałam większą, do której spakowałam rzeczy do spania, bo miałam zatrzymać się na noc u Mony. Mieszkała blisko Leo, więc uznałam to za plan idealny.

Will od razu podbiegł do mnie, by ją ode mnie zabrać, gdy zesłam na dół.

– Spójrz na siebie, czy to moja malutka siostra? – Gwizdnął.

– Boże, Will, przestań – mruknęłam zażenowana, ale się uśmiechnęłam.

– Ta, twoja malutka siostra, która idzie na imprezę do jakiegoś kutasa – warknął Dylan, któremu od początku ten pomysł się nie podobał. Oparł się o ścianę, mierząc mnie spojrzeniem. – I co ty niby masz na sobie?

Miałam ochotę parsknąć śmiechem, bo Dylan ewidentnie szukał w moim stroju czegoś, do czego mógłby się przyczepić, ale nic nie znajdował, więc tylko prychnął pogardliwie.

– Gotowy? – zapytał Willa. Skinął głową i sięgnął po kluczyki, a wtedy spróbowałam jeszcze raz: – Naprawdę mogę zawieźć się do Mony sama.

– Wiem, malutka. – Will pogłaskał mnie przelotnie po głowie i zaśmiał się, gdy z irytacją zaczęłam wygładzać włosy. – Jeszcze trochę, okej?

Zaczynały mnie denerwować te słowa. Na dokładkę dołączył do nas Vince. Prawdopodobnie zjawił się, by wygłosić mi ostatnie kazanie. Zanim zdążył się odezwać, Will złapał go za łokieć i pokręcił głową.

– Ja się tym zajmę. Przypomnę jej zasady w drodze.

Vince wskazał na mnie palcem.

– Telefon – powiedział. – Zawsze miej przy sobie.

– I przekaz koledze, że jak spróbuje cię dotknąć, to urwę mu jaja – dorzucił Dylan. – No i, oczywiście, sto lat i spełnienia marzeń.

Znikając za Willem w garażu, trzasnęłam drzwiami. Niektóre z zasad, które usłyszałam od niego w drodze, były zabawnie oczywiste, jak te, żeby nie pić alkoholu i zawsze wołać taksówki zamiast spacerować po ciemku, ale nie przerywałam mu ani nie demonstrowałam zniecierpliwienia.

– Pamiętaj, że w razie czego zawsze możesz do mnie zadzwonić. Dobrze? Zawsze, Hailie, nawet jeśli popełnisz głupi błąd.

Słuchałam, kiwając głową i myśląc sobie: Boże, co za przedsięwzięcie! Moi nadopiekuńczy bracia puścili mnie na urodziny. Zaczynałam doceniać to poświęcenie, bo widziałam, że nie przyszło im ono łatwo. Tak bardzo się martwili, a ja nawet pomyślałam sobie, że to całkiem urocze.

Całkiem urocze, że komuś zależy na mnie tak bardzo, by utrudniać mi zabawę.



10 ZIMA

To wygląda jak kryjówka mordercy – zachichotała nerwowo Mona, przyglądając się rzędomi drewnianych drzwi, rozciągającemu się na jednej ze ścian w obskurnym korytarzu.

Nie zawtórowałam jej. Sonny’emu też nie było do śmiechu – dosłownie czułam jego oddech na karku.

– Pierwsze z prawej – pokierował nas Leo.

Zbliżywszy się do wskazanych drzwi, uspokoiłam się. Dobiegała zza nich przytłumiona muzyka i jakieś głosy. W środku było tylko lepiej. Drewniane schody prowadziły w dół, do sporej, otwartej przestrzeni. Urządzono ją zaskakująco przytulnie. Sporo tu było gratów o dużych gabarytach, ale piwnica chyba nie pierwszy raz robiła za miejsce spotkań dla paczki przyjaciół. Niektóre meble owinięto sznurami kolorowych lampek choinkowych. Znajdowały się tu też puf, ogromny obskubany fotel i kanapa zrobiona z palet i materaca.

Sonny od razu się wyluzował. Szybko znalazł sobie nawet ulubioną ścianę, którą miał zamiar podpierać przez cały wieczór.

– Hej – zawołał Leo i zamachał, by zwrócić na siebie uwagę. – Przedstawiam wam moich dwóch ekstra gości. Hailie i Mona, znamy się ze szkoły.

– Myślałam, że kłamałeś o tych znajomych ze szkoły – zarechotał przyjaciel Leo, robiąc krok do przodu, by przywitać się z nami mocnym uściskiem dłoni. – Max, miło mi.

Mrugnął do Mony i dodał:

– Leo coś tam o was opowiadał, ale trudno nam było uwierzyć, że wyrwał dwie dziewczyny z akademii. Nie, Win?

Dziewczyna, do której się zwrócił, wzruszyła ramionami. Nie zmieniła też nachmurzonej miny.

Leo szturchnął go w bok.

– Przestań.

– No co? – Max wzruszył ramionami, a potem dostrzegł Sonny’ego i machnął do niego: – Hej, kimkolwiek jesteś, ciebie też miło poznać.

Sonny ledwo zaszczyił go spojrzeniem.

– To ochroniarz Hailie, raczej nie będzie się integrował – wyjaśniła Mona.

Spuściłam zażenowana głowę, a Max omiótł mnie ciekawskim spojrzeniem.

– Fajnie w końcu zobaczyć słynną Hailie Monet.

– Daj jej spokój – upomniał go Leo.

Zapadła chwila ciszy. Przyjaciółce Leo wypadało wykorzystać ją, by się przedstawić, co też niechętnie uczyniła. Z ciągle ponurym wyrazem twarzy podeszła do nas i niedbale podała nam rękę.

– Winter – rzuciła gdzieś w bok.

Na początku nie załapałam, że to jej imię. Mój głupi mózg zastanawiał się przez sekundę, dlaczego dziewczyna mówi o zimie, skoro mamy już późną wiosnę, a potem pomyślałam, że może jest jej zimno, dlatego użyła skrótu myślowego.

– Winter Hansen, towarzyska jak zawsze – zażartował z przekąsem Max i wtedy dopiero zrozumiałam, że tak się po prostu nazywa.

Leo też nie był specjalnie zaskoczony zachowaniem przyjaciółki, bo sprawnie wybrnął z sytuacji, proponując wszystkim, by usiedli. Max opadł na puf tak raptownie, że uniosła się nad nim chmura kurzu. Winter zajęła odseparowany od wszystkich fotel, a ja z Moną usiadłyśmy ostrożnie na siedzisku zrobionym z palet, odkrywając z zaskoczeniem jego wygodę.

Na niskim stoliku zbudowanym z betonowych bloczków i dużego kawałka blachy porzkładano dużo przekąsek jak chipsy i serowe krakersy z dipami do maczania. Wszystko tu było takie swojskie i nieprzesadzone. Mona szybko poczuła klimat, bo już zaraz zaczęła chrupać coś tuż nad moim uchem.

– No to jak, Hailie, powiesz nam? – zagaił Max, wrzucając do buzi garść nachosów.

– Ale co? – Zamrugałam zdezorientowana.

– Jak to jest być Hailie Monet?

Uniosłam brwi, a oczy rozbliły mi z ekscytacji, gdy dodał:

– I mieszkać pod jednym dachem z braćmi Monet.

– Eee... no... – zająknęłam się i potarłam dłonią kark.

– Daj jej spokój, co to w ogóle za pytania! – prychnął Leo, który wyciągnął właśnie z przenośnej lodówki kilka piw i uniósł je do góry.

– Komu?

Mona jako pierwsza ochoczo pokiwała głową, na co wywróciłam oczami.

– A ty? – zagadnął mnie Max. – Nie pijesz w ogóle czy tylko dziś?

– W ogóle.

– Na pewno jesteś siostrą Monetów? – parsknął.

– Nie przepadają, gdy piję alkohol – mruknęłam wymijająco.

– Moi rodzice też nie przepadają, gdy piję. – Puścił mi oczko. – Dlatego dobrze się kryję.

– Różnica jest taka, że za tobą nie chodzi ochroniarz, który w razie czego mógłby na ciebie nakablować – zauważył Leo, ruchem głowy wskazując Sonny'ego.

– A twoi rodzice to nie Vincent Monet – dodała Mona.

Skinięciem głowy potwierdziłam, że argumenty, które tu padły, są prawdziwe, i westchnęłam.

Mona nachyliła się do przodu, będąc w swoim żywiole, już od kiedy dostała w ręce butelkę.

– Hailie ma szlaban na alkohol, od kiedy upiła się w latynoskim barze na Kanarach.

Winter wbiła w podłogę wybałuszone oczy, a Max prawie się opluł.

– Co?! – parsknął.

Szturchnąwszy Monę, nawiązałam kontakt wzrokowy z rozbawionym Leo.

– To prawda? – zapytał.

– Tak jakby... – potwierdziłam, nieśmiało odgarniając kosmyk włosów za ucho.

– Jak...?

– Shane przez przypadek zamówił mi cały dzban owocowego wina i tak wyszło. Wiedcie, jak to jest.

Raczej nie wiedzieli, ale przynajmniej dostarczyłam im rozrywki, bo śmiali się i kręcili głowami, zastanawiając się na głos, jak, u licha, można niechcący zamówić cały dzbanek alkoholu.

– Pojechać do Hiszpanii to byłoby marzenie – wyznał Max.

Mona, machnęła lekceważąco dłonią.

– Hailie lata tam cały czas.

– To długi lot, nie? Takie podróże na dłuższą metę muszą męczyć...

Tym razem moja przyjaciółka parsknęła głośno.

– Jak się lata swoim prywatnym odrzutowcem, to chyba nie jest tak źle.

– Mona – syknęłam ostrzegawczo.

Czułam się nieswojo, gdy mówiła takie rzeczy. Max na pozór chłonał te rewelacje z głębokim zainteresowaniem, ale miałam wrażenie, że to wszystko brzmi niewłaściwie.

Kątem oka widziałam, jak brwi Winter wędrują coraz wyżej i wyżej.

– Luz, Hailie – powiedział Max. – Wszyscy i tak wiemy, że jesteś dziana. Fajnie jest posłuchać, jak żyją niektórzy ludzie.

Nastąpiła krótka chwila krępującej mnie ciszy, którą zaraz znowu przerwał Max.

– To prawda, że macie w domu tygrysa?

Spojrzałam na niego tępo.

– Co?

– Słyszałem też, że macie w chacie strzelnicę z sejfem pełnym broni.

– Eee...

– A ja, że gdzieś w waszym ogródku zakopano sztabki złota. Podobno tylko Vincent wie gdzie – dorzucił Leo, chichocąc.

– Kto wie – mruknęłam.

Wzruszyłam ramionami, bo wcale nie było to takie mało prawdopodobne, a gdzieś z boku dobiegł do nas cichy śmiech Sonny'ego.

– Dobra, a tak na serio to daj jej już spokój – powiedział Leo, szturchając Maxa, gdy przeciskał się akurat, by usiąść obok mnie. Ściszym głosem zwrócił się do mnie: – Wybacz, Hailie. Wszystko okej?

– Wszystko dobrze. Nie robi nic złego – odparłam.

– Ej, w ogóle to miejsce jest przekozackie – oświadczyła Mona, wzięwszy kolejny solidny łyk piwa. Ta dziewczyna jest zbyt łaśna na alkohol, pomyślałam i zanotowałam sobie w głowie, by później z nią o tym porozmawiać.

– To piwnica moich rodziców – poinformował Max. – Choć może raczej rupiecarnia.

– Spotykamy się tu od zawsze – dodał Leo i lekko się do siebie z Maxem uśmiechnęli, zapewne na myśl o licznych wspólnych chwilach, których wspomnienia dzielili. Nawet naburmuszona Winter się rozpromieniła, ale tylko na chwilę, bo zaraz prychnęła:

– Ostatnio prawie w ogóle.

– No, pozmieniało się – przyznał Max.

– Kiedyś chodziliśmy do tej samej szkoły – wyjaśnił mi Leo. – Spotykaliśmy się tutaj codziennie. A teraz... raz na jakiś czas.

– Bardzo rzadki czas – wypomniała mu Winter. – Odkąd dostałeś stypendium i jesteś w tej nowej szkole dla snobów, ciągle jesteś zajęty.

– Przestań, ta szkoła nie jest taka zła, mówiłem ci już – zaprotestował, ukradkiem zerkając na mnie i Monę, które puściłyśmy uwagę dziewczyny mimo uszu. – A widzimy się rzadziej, bo teraz mam nie tylko więcej nauki, ale i pracę.

Winter milczała, skubiąc etykietkę z butelki piwa.

– No dobra, nie spotykamy się już tak często, ale za to jak już się widzimy, to jest intensywniej! – zażartował Max, próbując wyrwać towarzystwo z zadumy. – Kto się dzisiaj pisze na bar?

– Bar? – podłapała od razu Mona.

– Mamy taki bar po znajomości, gdzie czasem nas wpuszczają – wytłumaczył i rozłożył pytająco ręce. – To jak? Leo? Winter? Hailie? Mona?

– Ja odpadam – powiedziałam od razu. – I Mona też.

Moja przyjaciółka miała zawiedzioną minę, ale nie oponowała.

– Ja mam jutro pracę, sorry. – Leo uśmiechnął się przeproszająco.

– Ja też mam... coś – mruknęła Winter.

– Ale wy jesteście nudni – westchnął Max i wziął łyk piwa, kręcąc głową. – Hailie, co jest, jesteś siostrą Monetów czy nie?

Uśmiechnęłam się cierpko.

– Właśnie dlatego, że jestem ich siostrą, nie zamierzam ryzykować.

– Oni są wobec niej straaasznie nadopiekuńczy – potwierdziła Mona tonem znawcy.

– Poważnie? Dziwnie słyszeć o nich takie rzeczy.

Odetchnęłam głęboko, pogodzona ze swoim losem.

– Nie lubią, gdy... w ogóle gdy wychodzę z domu. – Uniosłam brew i wydułam wargi. – To, że mnie tu puścili, to jakiś cud. Jak przegnę, to pewnie dostanę szlaban do końca życia.

Nawet Winter zapatrzyła się na mnie ze zdumieniem. Wtedy, jakby na potwierdzenie moich słów, po raz pierwszy tego wieczora zawibrował mój telefon. Wyjęłam go z torebki, zerkając na ekran.

Dzwonił Dylan.

Westchnęłam. Rozważałam, by odrzucić połączenie, bo wizja rozmowy z bratem była mało zachęcająca, albo chociaż je zignorować. Naprawdę jednak przekalkulowałam sobie, że bardziej opłaca mi się uniknąć pretensji Dylana za nieodebranie telefonu.

– Halo?

– Czemu tak długo nie odbierasz? – odezwał się.

– Przecież odebrałam.

– Długo nie odbierałaś, dlaczego?

Wykręciłam tułów, żeby zasłonić się przez towarzystwem, i wyszeptałam wściekle do telefonu:

– Dylan, po co dzwonisz?

– Co robisz?

Westchnęłam.

– Siedzę.

– Obok kogo?

– Co?

– Obok kogo siedzisz?

– Kończę tę rozmowę.

– Jest alkohol?

– Do widzenia.

Z kolejnym westchnięciem wyprostowałam się. Chowając komórkę, czułam na sobie spojrzenia pozostałych.

– Dylan dzwonił? – zaśmiała się Mona.

– Mhm...

– Martwi się?

– Zawraca dupę.

Max pokręcił głową z wymalowaną na twarzy fascynacją.

– Kto by pomyślał, że bracia Monet potrafią być tacy troskliwi.

– Nie masz nawet pojęcia – mruknęłam cichutko.

– Czasem są naprawdę przeuroczy – powiedziała Mona. – Dla Hailie, oczywiście.

– Z naciskiem na „czasem” – zastrzegłam, unosząc palec do góry.

– Hej, macie z Hansen prawie identyczne – zauważył Leo, wskazując na torebkę, którą właśnie odkładałam na bok.

– Co jest, Win szarpnęła się na markową torebkę? – zarechotał Max, choć jej nie było do śmiechu. Ja też poczułam się zażenowana. Rzucanie takimi tekstami nie pomoże nam w nawiązaniu nawet najcieńszej nici porozumienia.

– Nie jest markowa – mruknęłam. To była moja stara torebka: mała, czarna i idealnie uniwersalna. Winter rzeczywiście miała podobną. Co więcej, nie wyglądała na zachwyconą, że ma coś, co przypominało moją własność. Cóż, zaczynałam się przyzwyczajać do jej niechęci. Akceptowałam to, że jako siostra Monetów stałam się zbyt kontrowersyjną postacią, by każdy mnie lubił.

Max nadrabiał gościnnością za Winter – puszczał muzykę z przenośnego głośnika i odpowiadał za atrakcje. Znał chyba wszystkie planszówki. Podobała mi się swojskość tego spotkania, dawno nie otaczałam się tak przyziemnymi ludźmi. W przerwach od gier toczyły się tu zwyczajne rozmowy. Max mówił na głos o tym, że mało jeździ autem, bo oszczędza na paliwie, a Leo skarżył się na ludzi w pracy.

Czułam podświadomie, że przyjście na te urodziny wzbogaciło mnie duchowo. Na co dzień nurkowałam w morzu luksusu i bogactwa, a tutaj miałam okazję wynurzyć się ponad powierzchnię i wziąć głęboki oddech rzeczywistości.

Akurat graliśmy w czółko, gdy przerwał nam dzwonek mojej komórki. Rzuciłam się po nią z niechęcią na wypadek, gdyby telefonował mój najstarszy brat, ale gdy zobaczyłam, że to Shane, wywróciłam oczami. Wiedziałam, że on ostatni mógłby mieć do mnie jakąś istotną sprawę. Mimo to odebrałam.

– Shane?

– Zabrałaś mi bluzę. – Brzmiała odpowiedź.

– Co? Nic nie... Nieprawda – zaprotestowałam i zmarszczyłam brwi. – Którą?

– Widzę, że masz tę czerwoną, czarną i... A nie, za tę zwracam honor, nie jest moja...

Zmrużyłam oczy.

– Czy ty jesteś właśnie w mojej garderobie?

– ...ta niebieska ze znaczkiem na plecach...

– Shane, wypad. Już! – syknęłam wściekle, przytrzymując telefon obiema dłońmi.

– Co ty się tak denerwujesz? – zapytał z prowokacyjną nutą w głosie. – Piłás?

Odetchnęłam głęboko, próbując się uspokoić, ku uciesze mojej publiczności.

– Nie, ale zaraz chyba będę musiała.

– Ta, spróbuj tylko, mała dziewczynko.

– Żegnam, Shane.

Rozłączyłam się, kręcąc głową w towarzystwie śmiechów reszty.

– Ja oszaleję – mruknęłam.

– Wiesz, że tak w ogóle to ja kojarzę Shane'a? – pochwalił się Max. – Kiedyś byłem na imprezie, na której pojawił się też i on.

– Naprawdę?

– No! Ale to była impreza... – Max pokręcił głową, uśmiechając się do swoich wspomnień. – Taka wiesz, wielka, więc to nie tak, że sobie tam z nim siedziałem... W sumie to nie zamieniłem z nim ani słowa, tylko go widziałem... Ale. Gadałem chwilę z dziewczyną, z którą tamtej nocy kręcił.

– Trzeba było wziąć od niej autograf – zakpił Leo.

Mnie też bawiło coraz bardziej to, że z moich braci robią tutaj celebrytów.

Tylko Winter prychnęła cicho i lekceważąco. Jedyny moment, w którym widziałam ją prawdziwie wesołą, to gdy przyszedł czas na tort. Postawiła go na kulawym stole tenisowym, zapaliła świece i pochwaliła się, że udało jej się uknuć upieczenie go w cukierni mamy Leo tak, że się nawet nie zorientował. Dłubałam widelcem w swoim kawałku, obserwując, jak Leo ściska ją w podzięce.

Po raz drugi tak ją objął, gdy wręczyła mu prezent. Jakaś mgiełkę zapachową o smaku arbuza – coś, czego nie rozumiałam, bo był to ich prywatny żart, jak wyjaśnił mi Max. Pożałowałam przez chwilę, że nie dałam mu perfum. Wygrałabym tym obłędnym zapachem. Myślałam tak, zapomniawszy, że to przecież żaden konkurs.

Z zadumy wyrwał mnie telefon. Widząc, że połączenie pochodzi od brata, który dzwoni do mnie średnio, niech pomyślę, nigdy, miałam ochotę wyrzucić komórkę przez okno. Znajdowaliśmy się jednak w piwnicy i nie było tu okien, dlatego nacisnęłam na zieloną słuchawkę.

– Tony?

– Hm?

Wywróciłam oczami.

– Czego chcesz, Tony?

– Co? – mruknął, po czym odchrząknął prosto do głośnika i powiedział: – Dobra już, nie mogę gadać. Prowadzę.

– Chwila, przecież sam do mnie dzwonicz.

– Nara.

Rozłączył się.

Zamrugałam i pokręciłam głową nad bezsensownością tej rozmowy.

– Aż żal rozdzierać taki ładny papier.

Na te słowa uniosłam głowę, bo Leo właśnie złapał w ręce prezent ode mnie.

– Jeśli żal ci opakowania, to ja nie wiem, co zrobisz z zawartością – zaśmiała się Mona, otwierając sobie już trzecie piwo. Tak, liczyłam.

– O wow, Hailie... – powiedział, oglądając uważnie ubranie. – Nie musiałaś... To bardzo dobra marka.

– Chciałam. Mam nadzieję, że pasuje.

Leo włożył bluzę od razu, zachwycając się jakością i moim gustem, co tylko wydłużyło listę powodów, dla których Winter darzyła mnie coraz większą niechęcią. Kolejnym była jej nietrzeźwość. Nie spodziewałam się, że ktoś tu pobije Monę, ale gdy na koniec Max znowu zaproponował wyjście do baru, Winter nagle zmieniła zdanie. Ani ona, ani Max nie mieli nadopiekuńczych braci, dlatego najwidoczniej takie wycieczki do barów po nocach to dla nich normalka.

W ferworze najchaotyczniejszych pożegnań, kiedy to wszyscy zbierali się do wyjścia, ponownie zadzwonił do mnie telefon. W takim momencie odebrałabym tylko od dwóch osób i gdy na wyświetlaczu zobaczyłam imię jednej z nich, natychmiast przyjąłam połączenie, odchodząc na schody.

– Hej, malutka, jak tam? – zapytał mój ulubiony brat.

– Zaraz wracamy do domu. Wszystko jest w porządku. Przeżyłam. Żadnej dramy, nie piłam. Sonny jest z nami – wyrecytowałam.

– Cieszę się.

– Widzisz? Można mi zaufać.

– Nigdy w to nie wątpił, Hailie – powiedział i ziewnął.

– Zmęczony?

– Miałem dziś intensywny dzień.

– To idź już odpocząć, Will. Jest późno. Wszystko jest dobrze.

– Mhm. – Mój ulubiony brat zaśmiał się z moich poleceń. – Sonny jest z tobą cały czas, tak?

– Cały czas.

– Dobrze – wymruczał pod nosem i chyba znowu ziewnął.

Gdy się rozłączyłam, wymiñeli mnie Mona z Maxem. Wychodzili już na dwór. Kazałam jej na siebie zaczekać na zewnątrz i z powrotem weszłam do piwnicy po swoje rzeczy. Przystanąłam jednak, kiedy dostrzegłam, że Leo został tam sam na sam z Winter.

Przez chwilę serce zabiło mi mocniej. Jego twarzy nie widziałam, bo stał tyłem, ale dziewczyna wyglądała na mocno zdeterminowaną. Krótka kitka z tyłu jej głowy drgała, gdy energicznie coś tłumaczyła.

– Ty wiesz, ile ona kosztuje? – syknęła.

– Co?

– Co co? Bluza!

– Win, skąd mam to wiedzieć?

– Kupę. Kasy.

– No a ty skąd wiesz?

Leo złożył ręce na piersi, a ona się zawahała.

– Sprawdziłam.

– Co? Googlowałaś to? Teraz?... Serio?

Winter wyciągnęła dłoń w jego stronę.

– Kupiła ci bluzę z najwyższej półki... To trochę nie na miejscu, nie czujesz się dziwnie?

On pokręcił głową.

– Nie, nie czuję się dziwnie, Win. Kupiła, co chciała mi kupić, i już. Dlaczego miałbym to roztrząsać?

Winter chciała mu coś odpowiedzieć, ale uniosła wzrok wyżej i wtedy zobaczyła moje nogi. Zadzierając głowę wyżej, zamilkła, a ja wtedy się ruszyłam. Telefon, który ściszałam w ręce, wsunęłam do torebki, którą zostawiłam sobie przygotowaną na stole tenisowym, i udawałam, że w ogóle nie interesuje mnie ich konwersacja.

– Lepiej nigdzie nie jedź, Win. Jesteś pijana. Wracaj do domu, co? – zaproponował Leo poważnie, zbliżając się do mnie. Nachylił się, gdy stanął blisko, i mruknął: – Możemy pogadać?

Winter stała i patrzyła ogłupiała, jak Leo ciągnie mnie na stronę.

– Przepraszam cię, Hailie – wyszeptał. – Upiła się i straciła kontrolę. Nie wie, co mówi.

– Jeszcze zanim się upiła, zdawała się mieć ze mną jakiś problem – zauważyłam.

– To skomplikowane, ona nie jest zła, naprawdę. Dużo przeszła. Nie chcę usprawiedliwiać jej uprzedzeń, ale, proszę, nie bierz ich do siebie – mówił cicho, po czym niespodziewanie położył rękę na moim policzku, zmuszając mnie, bym spojrzała mu w oczy. – Hailie, jestem przeszczęśliwy, że mogłaś tu być.

Uśmiechnęłam się lekko.

– Ja też się cieszę.

– A twój prezent jest świetny, najchętniej nie zdejmowałbym tej bluzy już nigdy. – Pokręcił głową, po czym ściszył głos jeszcze bardziej. – Fajnie, że będę miał w swojej garderobie coś, co sama dla mnie wybrałaś...

Po czym złożył delikatny pocałunek na mojej kości policzkowej. Tam, gdzie wcześniej Mona nałożyła mi rozświetlacz. Zaskoczona zaśmiałam się cicho.

– Słodki masz ten uśmiech. – Mrugnął do mnie.

Zawstydziłam się na te słowa, ale spoważniałam, dopiero kiedy trzasnęły drzwi od piwnicy. Leo zerknął na nie i odetchnął.

– Powinna iść do domu, nie do baru – oceniłam.

– To nie pierwszy raz – odparł Leo. – Czasem tak robimy, że po spotkaniach tutaj jeszcze gdzieś jedziemy. Uważam, że Win zrobiłaby mądrze, gdyby dziś sobie darowała, ale to jej decyzja. Wie, co robi.

Na ulicy już stała taksówka, którą zamówił Max. Winter siedziała w środku i poganiała go, nagle złąkniona zabawy. Tak naciskała, że ledwo uściśnęłam się na pożegnanie z Maxem, a już odjechali.

– Rozumiem ją, sama bym pewnie dołączyła, gdyby nie to, że mamuśka u mnie nocuje – zażartowała Mona, trącając mnie w bok.

– Gdybym u ciebie nie nocowała, i tak nie pozwoliłabym ci jechać – oświadczyłam.

Pożegnałyśmy się z Leo, dopiero gdy światła taksówki rozjaśniły spowitą mrokiem ulicę. Znowu przytuliliśmy się mocno. Żałowałam, że ten świetny wieczór nie został zwieńczony pocałunkiem, ale potem przypomniałam sobie, że powiedział mi komplement, i to mi wystarczyło.

Sonny uprzejmie poprosił Monę, by zajęła miejsce z przodu, bo sam chciał siedzieć obok mnie. Wykręcała głowę, by rzucić mi senne spojrzenia spod ciężkich powiek, gdy ciągle coś paplała:

– I co, bracia zdali egzamin, nie? Szczerze mówiąc, to jestem w szoku. Spodziewałam się, że któryś z nich tu przyjedzie.

– Nie zdziwiłabym się.

– Fajnie by było, gdyby przyjechał Tony – westchnęła Mona.

– Znowu zaczynasz? – rzuciłam ostro.

Z głupiutkim uśmiechem wzruszyła ramionami.

– Może zainteresujesz się Maxem? Wydaje się sympatyczny – zasugerowałam. – O wiele sympatyczniejszy niż Tony.

– A wiesz, że dał mi swój numer?

– Serio?

– Serio, ale nie jestem przekonana.

Wtedy automatycznie sięgnęłam po swój telefon. Włożyłam palce do torebki i poczułam, że coś jest nie tak. Komórka zdawała się za lekka i toporna.

– O nie – sapnęłam, gdy pojęłam, co się stało. Gwałtownym ruchem wyszarpnęłam dłoń z torby.

– Co jest? – zapytała Mona. Wykręcała głowę, słysząc moją szamotaninę.

– Nie, nie, nie – szeptałam do siebie na widok nieznanej mi portmonetki, gum do żucia i jakiegoś durnego breloczka.

Nie musiałam odpowiadać. Rozejrzałam się po aucie bezsilnie, po czym utkwiałam zrozpaczone spojrzenie w oczach Mony.

– Winter ma moją torebkę.



11 OPERA

No nie! – Zakryłam twarz rękami.

– Czekaj, nie panikuj. Nic się nie dzieje. Jeśli Winter ma twoją torebkę, to po prostu ją odda i po problemie. Co się może zdarzyć? – przekonywała mnie z przedniego siedzenia Mona.

– To – zaczęłam, masując sobie skronie – że Winter pojechała do jakiegoś baru z moją torebką, w której znajduje się mój telefon z cholernym nadajnikiem.

– Przecież Sonny jest z nami.

Siedzący obok mnie ochroniarz patrzył w boczną szybę, ignorując moją małą dramę.

– A karta? – jęknęłam. – Jak mam powiedzieć Vincentowi, że zgubiłam kartę podpętą do jego konta? On sobie pomyśli, że jestem jakaś niepoważna!

– Nie zgubiłaś jej przecież.

– A co, jeśli Winter ją zgubi? Jest nietrzeźwa. – Wzięłam głęboki wdech, żeby spróbować się uspokoić. – Jezu, jak mogłam na to pozwolić...

– Hailie, luz. Nic się nie stało.

– Wcale nie luz! Muszę odzyskać te rzeczy.

– Teraz? – zdziwiła się Mona. – Może po prostu zadzwoń do braci.

– Nie mam telefonu!

– Halo! Sonny ma! – krzyknęła na mnie, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Uspokój się i myśl. To ja powinnam nie ogarniać, co się dzieje. Ja piłam, nie ty.

Ręce mi się trzęsły, a dudnienie mojego serca zapewne dało się słyszeć na kilometr. Obejrzałam się na Sonny'ego, który wciąż udawał, że nie uczestniczy w moim dramacie.

– Co ja mam zrobić? – zapytałam go drżącym głosem, zaszklonymi oczami błagając o pomoc.

Mój elegancki blondwłosy ochroniarz odwzajemnił wreszcie spojrzenie i chyba mi współczuł, ale jednocześnie nie wychodził ze swojej roli.

– Cokolwiek zdecydujesz, panno Monet.

Patrzyłam na niego przez chwilę, po czym westchnęłam dramatycznie.

– Koniec z moją swobodą. Zaczęła się tak szybko, jak się skończy.

– Przystań się mazać – syknęła na mnie przyjaciółka. Obrzuciła mnie ostrym, zadziwiająco byстрыm spojrzeniem. Tusz się jej rozmazał pod oczami, ale wyglądała na trzeźwą. Wyjęła swój telefon i zamachała nim. – Zadzwoń do Maxa. Wymieniliśmy się numerami, pamiętasz? Zapytam o tę torebkę.

Słuchałam jej z przejęciem, kiwając głową.

– Okej. – Przełknęłam ślinę. – Okej.

Dwa sygnały później Max odebrał. Właśnie wysiadali z taksówki. W słuchawce rozległ się rozbawiony okrzyk Winter, gdy z Moną poinformowałyśmy ich jedna przez drugą o zaistniałej sytuacji. Nie byłam zadowolona, że tak jej z tego powodu do śmiechu. Ulżyło mi jedynie, że potwierdziło się, iż Winter rzeczywiście ma moją torebkę. Niestety, jej chyba nie zależało tak bardzo na odzyskaniu własnej. Wybełkotała do Maxa, że najwyżej wymienimy się rzeczami jutro.

– Nie jutro! Dzisiaj – upierałam się, wyszarpując Monie z rąk telefon, by przejąć kontrolę nad rozmową.

Po chwili zamieszania i niewyraźnej wymianie zdań Max zwrócił się do mnie, chichocząc:

– Okej, jesteśmy pod Operą.

– Operą? – Mona uniosła brwi, a ja swoje zmarszczyłam.

– Taki klub. Bo nastąpiła zmiana planów. Pomyśl Winter, jak coś. Ma kuzyna, który zna menadżera. Próbuje szczęścia. Możemy się tu spotkać, to wymienicie się tymi swoimi torebkami, czy coś.

– To jakiś koszmar – szeptalam. Wolną rękę położyłam na czole. – Absolutny koszmar.

– Chcesz tam pojechać? – zapytała mnie Mona.

Odwzajemniłam jej spojrzenie.

– Nie!

– Czyli wolisz odebrać rzeczy jutro?

– Nie!

– Hailie, innych opcji nie widzę, przykro mi.

Odetchnęłam znowu, chyba po raz tysięczny w ciągu ostatnich kilku minut.

W słuchawce rozległ się rechot Winter i Maxa oraz jakieś szumy. Przymknęłam powieki.

– Mona, oni są nawaleni.

– No.

– Gdzieś już mam ten telefon, ale karta jest zbyt ważna. Nie mogę jej stracić. Ani pozwolić na taką sytuację, że obce, pijane osoby mają do niej dostęp.

– Czyli chcesz po nią jechać?

Zagryzłam wargę.

– Poproś Sonny'ego, żeby zadzwonił do któregoś z twoich braci – zasugerowała Mona. – I tak się pewnie dowiedzą, że tej nocy zajechałaś pod klub. Jeśli nie zobaczą tego dzięki nadajnikowi, to Sonny pewnie im wypaple.

Zerknęłam na ochroniarza.

– Przed chwilą rozmawiałam z Willem. Powiedziała, że wszystko jest okej. Pewnie już śpi...

– Bo przed chwilą wszystko było okej. Problem pojawił się teraz. Zadzwoni, obudź go i mu powiedz – poradziła mi Mona. – Albo pojedźmy po tę cholerną kartę i wtedy dopiero mu powiesz, jeśli chcesz mu tak koniecznie pokazać, że sama sobie poradziłaś.

– Nie chcę podnosić alarmu. Nie wiem, co robić...

– Cokolwiek poza uzalaniem się. – Mona klasnęła w ręce. – To co? Jedziemy? Możemy zmienić kurs. Ten cały klub na pewno nie jest daleko, Winter z Maxem zajechali tam bardzo szybko.

Zerknęłam na przyjaciółkę niepokieszona.

– Myślisz, że będą na mnie źli?

– Nie robisz nic złego. Jesteś bezpieczna, po prostu naprawiasz swój własny błąd. Plus jesteś z Sonnym. Wszystko będzie git.

Pokiwałam głową, wcale nieprzekonana. Mona, zadowolona, że wreszcie coś zostało postanowione, przekazała Maxowi naszą decyzję i odwróciła się do kierowcy, by podać mu nowy adres. Ja opadłam na oparcie fotela i zerknęłam na Sonny'ego.

– Dobrze robię?

Odwzajemnił moje spojrzenie i westchnął cicho.

– Panno Monet, ja nie mogę ingerować.

– Co to znaczy?

– Twój brat zabronił mi wpływania na twoje decyzje, chyba że bezpośrednio zagrażają one twojemu życiu lub zdrowiu – wyjaśnił monotonicznie. – Oczekuje, że sama będziesz odpowiadała za własne czyny.

Wściekle zacisnęłam usta i oparłam głowę o szybę. Klasyczny Vincent.

Moim jedynym celem było odzyskanie torebki wraz z zawartością. Pogodziłam się już z tym, że będę musiała wypowiadać się chłopcom ze swojej eskapady, ale liczyłam, że Vince uzna to za odpowiedzialne zachowanie. W końcu nie narażałam się na niebezpieczeństwo. Nastąpiła pomyłka, dlatego kulturalnie jadę taksówką, żeby ją naprostować. Will pozwolił mi jeździć taksówkami. Zaraz grzecznie wrócimy z Moną do domu.

Nieprzerwanie powtarzałam sobie te słowa, by przekonać samą siebie, i skubałam skórki przy kciukach. Jechaliśmy w ciszy. Mona chyba przysypiała, ale gdy stanęliśmy pod klubem, szybko się rozbudziła.

A ja przeraziłam.

Ta część miasta nie spała. Pod wejściem do klubu wiała się długa kolejka, a dobiegające ze środka basy wstrząsały całą ulicą. Rozmach organizowanej tu imprezy przestraszył mnie nie na żarty. To nie był mały hiszpański bar, w którym się kiedyś upiłam. To był wielki klub nocny. Ludzie nie przychodzili tu trzeźwi, a ochroniarze na bramkach wyposażeni byli w urządzenia do skanowania dowodów, by mieć pewność, że każdy z wchodzących ukończył przepisowe dwadzieścia jeden lat.

– Zadzwoń do Maxa – szepnęłam do Mony, gdy stanęliśmy w pobliżu kolejki.

Sonny stał obok wyczuwalnie spięty, ale nadal się nie odzywał. Nie zagadywałam go, bo udowodnił, że jako doradca jest beużyteczny.

– Nie odbiera – oznajmiła Mona.

– Spróbuj jeszcze raz – ponagliłam ją.

Max znowu nie odebrał, ale zanim zdążyłam zalać się łzami, dostałyśmy od niego wiadomość.

– Pisz, że jest za głośno, żeby rozmawiać, i żebyśmy spotkali się w środku przy głównym barze.

– Co?! Nie ma mowy, nie tak się umawialiśmy!

– Pisz, że nie może znaleźć Winter; gdzieś zniknęła. Szuka jej.

– Co?

– Pisz, że może być w łazience, ale straszny tam tłok i kolejka, a laski i tak go nie wpuszczą do damskiej.

– Chyba sobie żartujesz!

– Pisz, że... Co? Sorry, Hailie, nie mogę go rozczytać. Ledwo składa zdania.

– Ja pierdole! – westchnęłam głośno, łapiąc się za głowę.

Sonny i Mona zerknęli na mnie zaskoczeni.

– Nie martw się, Hailie – uspokajała mnie Mona. – Są tutaj i zaraz odzyskasz rzeczy. Max pisze, żeby wejść do środka i pomóc mu szukać. Chodź, we dwie szybko znajdziemy tę Winter i zaraz wrócimy do domu.

– Nie chcę tam wchodzić – jęknęłam. – I tak nas zresztą nie wpuszczą.

– Max pisze, że kuzyn Winter nas wprowadzi. Zna menadżera. Idziemy? Jestem już taka zmęczona, że zaraz zasnę na stojąco. Miejmy to z głowy.

– Sonny? – wymamrotałam, spoglądając na ochroniarza.

Odwzajemnił spojrzenie, ale tylko na chwilę i nic mi ono nie mówiło. Odetchnęłam. Byłam zdana na własny osąd. Także czułam się już zmęczona i chciało mi się spać. Niezwykle rozdrażniła mnie też Winter. Nie dość, że przez cały wieczór wysyłała w moim kierunku negatywną energię, to jeszcze na koniec tak mnie załatwiła.

– Napisz Maxowi, że idziemy – poleciłam przyjaciółce, wypuszczając powietrze z płuc, i przymknęłam powieki, szykując się na szybkie i ostateczne rozwiązanie tej sprawy.

– Pisz, że zaraz przyjdzie po nas jakiś Osmand – relacjonowała Mona, wpatrzona w rozświetlony ekran komórki. – Dziwne imię.

Nic mnie w tym momencie nie było w stanie rozbawić. Psychicznie szykowałam się na wkroczenie do nocnego klubu. Próbowałam też wyczuć, co mówi aura Sonny'ego. Mężczyzna był tak skryty, że jedyne, co wywęszyłam, to zapach dymu, gdy grupka rozchichotanych dziewczyn zatrzymała się obok nas na papierosa.

Pięć minut później Mona zwróciła moją uwagę na chłopaka, który zamasyżuje do nas machał spod wejścia do klubu. Stał na czerwonym dywanie obok ochrony na bramce. Mona pierwsza ruszyła w jego stronę. Ja, ociągając się, podążyłam za nią z Sonnym.

– Hej, dziewczyny – zawołał przesadnie głośno, zapewne ogłuszony muzyką.

– Ty jesteś Osmand? – zapytała Mona.

Pokiwał głową. Mona następnie zrobiła coś mądrego, czyli przedstawiła się imieniem swojej starszej siostry Kim. Ja, zbyt zestresowana, w ogóle się nie odezwałam.

– Wy po tę torebkę czy coś, tak? – upewnił się Osmand, przejeżdżając raz po raz dłonią po łysiejacej mimo raczej młodego wieku głowie.

Mona potwierdziła, a on mruknął coś do barczystych ochroniarzy o zblazowanych minach. Ludzie w kolejce przyglądali nam się z zainteresowaniem. Niektórzy unosili brwi, dziwiąc się, że dwie o przynajmniej pięć lat za młode dziewczyny zostały wpuszczone do takiego klubu bez kolejki. Samej mi trudno było uwierzyć w to, co się dzieje, ale nie potrafiłam się ekscytować, bo wiedziałam, że nazajutrz będę musiała się słono tłumaczyć.

Osmand prowadził nas przez długi i szeroki hol. Czerwony dywan był nieco przybrudzony tu i ówdzie, a na ścianach wisały obrazy i zapowiedzi klubowych imprez, wszystkie w ciężkich rzeźbionych ramach, wiernie odwzorowując operowe klimaty. Muzyka dudniła coraz bardziej, a kiedy Osmand otworzył szklane, przyciemniane drzwi, zaatakowała nasze uszy tak agresywnie, że aż się skrzywiłam.

Pierwszy raz byłam w klubie nocnym i fakt, że nie przyszłam tu dla zabawy, skutecznie rujnował mi to doświadczenie. Wszystko tu robiło wrażenie – porządne nagłośnienie, ogromnych rozmiarów parkiet... Muzyka odbijała się tu od ścian i nie mając gdzie ulecieć, wżerała się wręcz w kości. Czułam ją całym ciałem, wibrował mi nawet żołądek. Rozglądałam się, nie wiedząc, gdzie podziąć wzrok. Szukałam znajomej twarzy, ale już rozumiałam, czemu Max oczekiwał od nas pomocy. W takim miejscu było to niewykonalne.

Musieliśmy jednak spróbować.

Podążając za kuzynem Winter, złapałyśmy się z Moną za ręce, żeby nie zgubić się w oceanie ludzi i błyskających kolorowych świateł. Bar był oblegany, ale w końcu dostrzegłyśmy Maxa. Stał przy ścianie i obserwował ludzi, wydymając dziwnie usta. Z jakiegoś powodu poczułam potrzebę rzucenia się na niego z pazurami.

– Hej! – zawołałam, ale mój głos zginął wśród muzyki.

– HEJ!!! – wydarła się Mona.

Max zerknął na nas.

– HEJ! – huknął również, a na pytanie Mony o Winter rozłożył ręce. – Nie wiem, gdzie jest! Musi gdzieś tu być! Ostatnio widziałem ją tutaj i powiedziała, że zaraz wróci!

– CO!

– Że zaraz wróci!

Wrzeszczeliśmy tak do siebie przez kilka minut. Problemem był nie tylko hałas, ale i składnia zdań Maxa. Chłopak nadawał się co najwyżej do bujania na parkiecie, nie do przekazywania jakichkolwiek informacji.

Przytuliłyśmy się z Moną, by lepiej się słyszeć, gdy ustalałyśmy plan działania. Musiałyśmy znaleźć tę durną Winter. Waliło mi serce i oblewały mnie zimne poty. Wiedziałam, że muszę skrócić czas pobytu w Operze do minimum. Należało jak najszybciej zacząć przygotowywać dla Vincenta mowę usprawiedliwiającą wydarzenia tej nocy.

Nagle Osmand pociągnął mnie za nadgarstek. Zanim Sonny zdążył zareagować, puścił mnie, udowadniając, że nie miał złych zamiarów. Zrozumiałam to sekundę później, gdy dostrzegłam idącą kobietę, której chwilę wcześniej stałam na drodze. Szybko ucieszyłam się, że nie zostałam jej przeszkodą.

Wyglądała jak sława. W swoim świecie otaczałam się różnymi bogatymi ludźmi i już nauczyłam się, że każda majątna osoba może być piękna, ale ta kobieta miała w sobie rodzaj dostojności, z którym trzeba się urodzić, a potem całe życie go pielęgnować. Sprawiała wrażenie kogoś ważnego, na przykład królowej nieznanego mi dotąd państwa. Nie widziałam jej w kolejce pod klubem, więc musiała przybyć tu po nas i także zostać wpuszczona bez kolejki. Ja sama, gdybym stała na bramce, automatycznie dałabym jej przejść.

Kobieta była bardzo wysoka i to nie dzięki szpilkom, bo miała tylko gustowny obcas. Czarna obcisła sukienka sięgała jej przed kolano, nie była więc wyzywająca, a raczej elegancka. Podkreślała jej klasę. Jedynie dekolt sukienki był spory i zauważyłam, że przyciąga wzrok wielu mężczyzn, z Osmandem na czele.

– Czy to jakaś aktorka? – zapytała Mona. Też nie odrywała wzroku od kobiety, która właśnie nas minęła. Jej wyniosłe spojrzenie prześlizgnęło się po naszych twarzach bez cienia zainteresowania.

Wiem, dlaczego skojarzyła się Monie z aktorką. Wyglądała jak gwiazdy filmowe ze starych produkcji. Te blade kobiety z sięgającymi ledwo za uszy podkręconymi włosami, czerwoną szminką na ustach i czarem w oku nie do podrobienia.

– Gorzej – odpowiedział Osmand i zaśmiał się nerwowo. – Lepiej nie wchodźcie jej w drogę.

Pogłaskał się po świecącej głowie, a w jego oczach błysnęła cień pożądania, gdy odprowadzał wzrokiem kobietę aż do czerwonej kotary, strzeżonej przez kolejnego napakowanego ochroniarza. Ten odchylił ją specjalnie dla niej, a gdy za nią zniknęła, przez chwilę widoczne były tam szerokie, pnące się łukiem do góry schody.

– A tam co jest? – drążyła Mona, wyciągając głowę, by lepiej widzieć.

Osmand odwrócił wzrok od falującej kotary, by spojrzeć na nas z kwaśnym uśmiechem.

– Łoża Monetów.



12

PRZEPEŁNIONA GRZECHEM AURA

Moi bracia są wszędzie.

Nie tylko krew zlodowaciała mi w żyłach. Całe moje ciało skostniało. Serce zaczęło mi się tłuc w piersi tak głośno, jakby ktoś próbował oddzielić od siebie zmrożone razem kostki lodu, a zamrożnięte płuca utrudniały mi wzięcie choćby najpłytszego oddechu. Żołądek wypchnął z siebie niestrawione jeszcze resztki śmieciowego żarcia, którym objadłam się na urodzinach Leo. Podeszły mi aż do gardła. Ręką przytrzymałam się Mony, bo nogi się pode mną ugięły.

– Łoża Monetów? – powtórzyła moja przyjaciółka, starając się przebić się przez muzykę, co nie było łatwe, bo ochrypla. Też zdawała sobie sprawę z katastrofizmu sytuacji.

– Ano – potwierdził kuzyn Winter, przejeżdżając ręką po łysinie, na której tańczyły kolorowe refleksy. Następnie oderwał dłoń od głowy i wskazał nią czerwoną kotarę, za którą przed chwilą zniknęła tamta dama. Powiodł palcem w powietrzu po ciemnej ścianie w górę, wskazując nam niewidoczną drogę, którą biegly znajdujące się tam schody. Na koniec zwrócił naszą uwagę na dekorację pod sufitem. Był to ogromny trapez, wbudowany w przeciwległą ścianę, wysoko nad parkietem. Światła odbijały się od jego lustrzanej, złocistej powierzchni. Mimo swojej widowiskowości element gubił się wśród imponującego wystroju klubu i nie zawiesiłabym na nim spojrzenia na dłużej, gdyby nie wskazówka Osmanda.

– I to tam jest ta cała łoża? – upewniła się Mona. Obie zadarłyśmy brody do góry, z przestachem w oczach wpatrując się w złotą bryłę.

Osmand wyszczerzył się do nas z rozbawieniem.

– Tak, to vipowska łoża.

– Wow, eee, no nieźle! – krzyknęła Mona, zezując na mnie w napięciu.

Osmand nachylił się do niej, jakby sprzedawał jej teraz gorącą plotkę. Pewnie dlatego, że ona żywiej reagowała na jego słowa.

– Ta złota powierzchnia zrobiona jest ze specjalnego szkła. Wiecie, co to jest lustro weneckie? Totalny odjazd. Ze środka widać sporą część parkietu i większość barów.

Żołądek zacisnął mi się jeszcze mocniej.

– Zaraz zwymiotuję – wymamrotałam Monie do ucha.

– Zarąbista miejscowa, wierzcie mi – ciągnął Osmand.

– Może kiedyś zrobię tam urodziny – zażartowała nerwowo Mona, a ja wbiłam jej paznokcie w ramię.

– Musiałabyś mieć układy. Kumaszu, bo Monetowie raczej nikomu jej nie podnajmują.

– Ech, gdybym tylko znała któregoś z Monetów... AŁA! Cholera, Hailie, to bolało! – syknęła na mnie Mona i wyrwała się, pocierając swoje ramię, w którym wydrapałam jej pewnie nieźle szramy.

– Czy ktoś tam teraz jest? – zapytałam.

Kuzyn Winter wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem. Nikt nie każe im się meldować. Wiecie, w końcu to ich klub, he, he.

Przymknęłam powieki.

Przyrzekam, że nawet nie byłam już zaskoczona.

Znowu przytrzymałam się ramienia Mony, które ta zaoferowała mi ostrożnie.

– Ale – kontynuował Osmand – zważając na to, że mamy dziś sobotnią noc, to obstawiam, że na dziewięćdziesiąt dziewięć procent ktoś tam musi siedzieć... Chwila, nie, cofam. Na stówę ktoś tam jest. Inaczej czego szukałaby tam cholerna Grace Janderau?

Spojrzałam na niego.

– Kto?

– Ta damulka, co przed chwilą tędy szła, ta taka bułkę przez bibułkę.

Wbiłam spojrzenie w czerwoną kotarę. Chwila, moment. Czy to mogła być ta Grace? Ta sama, o której mówiła mi Maya? Grace, przyrodnia siostra Adriana? Ta, która spotyka się z jednym z moich braci?

– Znasz ją? – pytała zdezorientowana Mona.

– Co? Skąd ją niby znasz? – zainteresował się Osmand.

Machnęłam dłonią.

– Nie znam, nieważne. – Pokręciłam głową.

– To co robimy? – zapytała Mona.

– Pojęcia nie mam – westchnęłam jej do ucha. – I tak mam już przerabane. Chłopcy dowiedzą się, że tu byłam. Jeśli sama na nich tu nie wpadnę, to Sonny na pewno będzie musiał zdać im relację z dzisiejszej nocy! No i jest jeszcze ten głupi nadajnik!

Mona wpatrywała się we mnie ze współczuciem. Ja westchnęłam, ścierając z czoła krople potu, które pojawiły się na nim z powodu niecodziennej dawki stresu. Zbierając myśli, rozejrzałam się – od zatłoczonego baru przez Maxa, który gdzieś z boku bujał się, uwięziony w swoim własnym świecie, aż po pełen tańczących ciał parkiet. Odważyłam się nawet zerknąć w górę, na reflektory. Z sufitu wisiał potężny kryształowy żyrandol, jaki można by spotkać, na przykład, cóż, w operach. Ten mienił się wszystkimi kolorami, adaptując się do klubowych klimatów. Łuny uderzały o złotą ścianę vipowskiej łoży, ale nie przyglądałam się temu zjawisku. Zerkając w tamtą stronę, dostawałam gęsiej skórki, przez wrażenie, że ktoś mnie może właśnie stamtąd obserwować.

Daj spokój, nikt cię nie obserwuje, Hailie. Klub jest wielki, na pewno nikt by cię stamtąd nie wypatrzył.

Kątem oka dostrzegłam strzegącego mnie sumiennie Sonny'ego. Nie mogłam się powstrzymać, by nie wyładować na nim choćby małej porcji złości.

– Dlaczego, Sonny? – jęknęłam głośno. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?!

Miałam nadzieję, że w moim głosie słyhać było wyrzut, bo czułam, że na mojej twarzy jawi się jedynie gorycz. Mój ochroniarz starał się być niewzruszony, choć zdawało mi się, że w jego tęczęwkach widziałam współczucie i zmieszanie. Świetnie, oba te uczucia mógł sobie teraz z nich wydrapać i wsadzić w nos.

– Przepraszam, panno Monet, nie wolno mi...

– Ingerować, aha, już mówiłeś – warknęłam, kręcąc głową i odwracając się z powrotem do Mony. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale w tym momencie nie interesowało mnie już nic, co mógłby mi przekazać.

– Nie wiem, czy uda nam się znaleźć tutaj tę Winter – powiedziałam do niej.

– Wiem, to miejsce jest ogromne! Sam parkiet jest taki wielki!

– Łooo, dziewczyny – ryknął ze śmiechem Osmand – żebyście tylko wiedziały... To jest główny parkiet i prawda, jest największy, ale są jeszcze trzy inne, tam, tam iiii tam o jest najmniejszy. Każdy z inną muzyką. Tam są same reggae tony. Ja osobiście lubię go najbardziej, bo fajne dupy chodzą tam wywijać swoimi, ba, ha, ha, ha, dupami!

Skrzywiłam się i wróciłam wzrokiem do Mony, która sama odezwała się do mnie pierwsza:

– Słuchaj, to może po prostu stąd chodźmy, co? Wyjdziemy na zewnątrz, żebyś mogła zadzwonić do któregoś z braci. Hailie, ja chyba wolę, żebyś tak zrobiła, bo jeśli my tu gdzieś ich spotkamy, to ja zejść na zawał.

– Szczerze? Wszystko mi jedno – westchnęłam dramatycznie i palcem wskazałam na parkiet. – Równie dobrze mogłabym usiąść teraz na środku i czekać, aż któryś z moich braci potknie się o mnie podczas tańca.

– Tobie może i wszystko jedno, ale jeśli ja ich tu zobaczę, to się posikam ze stresu! – zapisała, a na widok moich uniesionych brwi dodała: – Naprawdę, ty ich znasz, ale ja nie i mnie przerażają...

– Nic ci nie zrobią. – Machnęłam ręką. – Będą zajęci mordowaniem mnie.

– Czyli co, chcesz tu zostać i szukać Winter?

– Chcę jak najszybciej odzyskać swoją kartę, to raz, a dwa... Kurczę, nie wiem co, jeśli coś jej się stało?

Mona wybałuszyła oczy.

– O, nie, nie. Hailie, nie. Ani mi się waź. Nie będziemy zawracać sobie tym głowy. Sorry, ale tej nocy musisz pohamować swoje samarytańskie zapędy. Niech Max ją ogarnie.

Zagryzłam wargę, bo wiedziałam, że Mona ma rację, ale wtedy zerknęłam na Maxa, który kiwał głową w rytm muzyki, oczy miał zamknięte i wyglądał, jakby błędził właśnie w słynnej krainie kucyków.

– On ją niby ogarnie? – Wskazałam na niego kciukiem.

– O jeny, no jak nie on, to jej kuzyn.

Osmand wykorzystał moment, gdy rozmawialiśmy, by zawołać znajomą barmankę, która podała mu ponad głowami innych ludzi otwartą wcześniej butelkę piwa.

– Hej! – zawołała go Mona.

– Hm? – Skinął głową, upijając łyk.

– Trzeba znaleźć Winter! – przypomniałam mu.

– Ha! – huknął ze śmiechem w odpowiedzi. – Win to dopiero jest agentka!

– Mhm, agentka – warknęłam, aż drząc z irytacji.

– Uciekła gdzieś z cudzą torebką, średnio to imponujące – zauważyła Mona.

– Nabombiła się, dawno jej takiej nie widziałem – zaśmiał się Osmand i pokręcił głową.

– Co cię tak bawi? – zapytałam go z nieskrywaną niechęcią. – To, że twoja pijana nastoletnia kuzynka zniknęła gdzieś w tym wielkim klubie pełnym innych pijanych osób? Rzeczywiście ubaw.

Osmand spojrział na mnie, marszcząc brwi, jakbym psuła tu dobrą zabawę.

– O co ci chodzi?

Pokręciłam głową. To był jakiś głupek, a ja byłam zbyt rozdrażniona kłopotami, które nade mną wisiły, by się z nim użerać. Skupiłam się na Monie, ale Osmand jeszcze nie skończył.

– Że niby to moja wina, że gdzieś zniknęła? Miałem ją trzymać za rączkę? Wszczepić w ramię nadajnik?

Drgnęłam i sapnęłam:

– Nadajnik!

– To jest takie, wiesz, GPS, coś jak pluskwa, że można kogoś śled...

– Wiem, co to jest nadajnik – przerwałam mu ostro, odwracając się do ochroniarza. – Sonny?

– Tak, panno Monet? – zapytał, a jego niski głos był bardzo słabo słyszalny.

– Możesz sprawdzić, gdzie według tej twojej aplikacji do naruszania mojej prywatności znajduje się mój telefon?

Sonny skinął głową i zwinnym ruchem wyciągnął zza pazuchy ciemnej marynarki komórkę. Była dla mnie na pewno za wielka, bym mogła obsłużyć ją w jednej ręce, ale on nie miał z tym problemu. Marszczył brwi, gdy ładowała mu się lokalizacja. Odwrócił ekran do mnie, gdy wyświetlił się rezultat.

– Dokładność do dziesięciu metrów – poinformował mnie.

Czerwona kropka, oznaczająca miejsce, w którym znajdowała się moja komórka, była blisko niebieskiej, która wskazywała naszą obecną lokalizację. Zerknęłam na Monę, która zaglądała mi przez ramię. Osmand też wyciągał szyję.

– Jest gdzieś tam – mruknęłam, wyciągając Sonny'emu telefon z rąk. Obróciłam się wokół własnej osi, by zrozumieć kierunki. Mój ochroniarz nie był zadowolony, że przejęłam jego własność, ale nie powstrzymywał mnie.

– Na parkiecie?! – jęknęła Mona.

– Tam są szatnie. Może tam go zostawiła – zasugerował Osmand, gładząc się po brodzie.

Opuściłam telefon i rzuciłam mu podejrzliwe spojrzenie. Ledwo poczułam, jak Sonny delikatnie wyciągnął mi z dłoni komórkę.

– Gdzie ta szatnia?

– No właśnie tam, gdzie wskazuje lokalizator.

– To brzmi całkiem logicznie. – Mona wzruszyła ramionami.

– Z której strony?! – warknęłam, mając ochotę tupnąć z wściekłości nogą. – Winter miała na nas poczekać pod klubem, tylko chwilę. To nie! Zostawiła moją torebkę w szatni i związała.

– Ale w sumie to lepiej dla nas. Jeśli torebka naprawdę jest w szatni, to przynajmniej pijana Winter jej nie zgubi, nie?

– Ta – westchnęłam. – No dobra, chodźmy tam.

– Nie no, czekajcie – zawołał Osmand. – I tak potrzebujecie numerka.

– Jakiego znowu numerka?

– Do szatni. Bez numerka nie wydadzą ci żadnej rzeczy.

Odchyliłam głowę do tyłu i gdybym była na świeżym powietrzu to chyba z bezradności zawyłabym rozpaczliwie do nieba.

– Dobra, wychodzimy – zarządziłam, znowu zwracając się do Mony. – Dzwonimy do Willa. Będę musiała go obudzić. Trudno.

Bo nie zamierzałam informować o sytuacji Dylana ani bliźniaków. Vincent też nie był najlepszym wyborem.

– Okej – zgodziła się, a chwilę potem zerknęła na Osmanda i zapytała: – Hej, a czy ty nie możesz iść z nami i załatwić, żeby wpuszczono nas do szatni? Przecież masz tu znajomości.

– Raczej średnio. Znają mnie na bramce, ale nie w szatni. Musiałbym znaleźć Pierre’a, który jest tutaj menadżerem. A Pierre w weekendowe noce zawsze jest zajęty. Już łatwiej będzie złapać Win niż jego.

– Dobra – burknęłam znowu, po czym nachyliłam się do Mony i mruknęłam: – Wiesz, kto jeszcze ma znajomości w tym klubie? Wygląda na to, że moi bracia. Zadzwońię do Willa i powiem, co się wydarzyło.

– Zawsze jeszcze możemy się przejść do tej szatni i powiedzieć, jaka jest sytuacja.

– No nie wiem...

– Sama mówiłaś, że sytuacja jest tak fatalna, że już i tak nie mamy nic do stracenia. No chodź, no dawaj, skoro i tak już tu jesteśmy... Szybko to załatwimy i wrócimy do domu. No proszę, bo padam.

Ja też byłam zmęczona. Gdyby nie adrenalina związana z obawą przed moimi braćmi, mogłabym zasnąć nawet na stojąco. Wzrokiem odszukałam Maxa. Stał kawałek dalej i też pocierał oczy, jakby szykował się do snu.

– Hej! Hej, Max! Zostań tu i napisz wiadomość do Mony, w razie gdyby Winter wróciła, okej? – zawołałam do niego, łapiąc go za łokieć, żeby wyrwać go z transu. Chłopak pokiwał głową i z powrotem łupnął plecami o ścianę tak mocno, że aż się skrzywiłam.

Miałam już dość tych mrugających świateł, klaustrofobicznego tłumu i pękających mi bębenków usznych. Na dodatek od tego ciągłego krzyku zaczynało mnie boleć gardło. Chyba kiepski ze mnie materiał na klubowiczkę.

Ruszyłam przed siebie. Podenerwowana starałam się trzymać głowę nisko i nie patrzeć ludziom w twarz w obawie, że któraś z par oczu, z którymi wymienię spojrzenia, okaże się należeć do jednego z moich braci. Unikałam też patrzenia w stronę złotego trapezu pod sufitem.

Niektórzy wyrazili na głos oburzenie, gdy z Moną i Sonnym przepchnęliśmy się przez kolejkę w wąskim korytarzu do lady. Oberwało nam się kilkoma zirytowanymi spojrzeniami. Wszystkie zignorowałam, słysząc, jak Mona mruczy coś w stylu: „My tylko chcemy o coś zapytać...”.

– Przepraszam, dobry wieczór – zaczęłam uprzejmie, opierając się dłońmi o blat, a szatniarz zerknął na mnie przez ramię, sięgając po czyjś kurtkę. Czułam na sobie wrogie spojrzenia oczekujących w kolejce osób. – Przepraszam, mam taką sprawę, jest tu gdzieś moja torebka...

– Do kolejki – burknął ktoś za mną.

Nachyliłam się jeszcze bardziej.

– Tylko że problem jest taki, że nie mam numerka...

Szatniarz w biegu rzucił mi spojrzenie pełne politowania.

– Bez numerka nic ci nie wydam.

Westchnęłam, wymieniając zmartwione spojrzenia z Moną.

– To co ja mam teraz zrobić?

– W takich sytuacjach należy poczekać do końca imprezy – powiedział, podając przez ladę dwie skórzane kurtki ich właścicielkom. Na sekundę się zatrzymał, by dokończyć swoje instrukcje, patrząc mi w twarz: – Dopiero gdy wszyscy opuszczą klub i zabiorą swoje rzeczy, będziesz mogła rozejrzeć się w tym, co zostało. Taką mamy politykę.

Zagryzłam wargę, a Mona zapytała:

– Kiedy impreza się skończy?

Szatniarz zniknął z kolejnym numerkiem i tylko słyszałam, jak podniesionym głosem rzuca:

– Okolice piątej, czasem szóstej.

Zerknęłam na swój złoty zegarek, który wskazywał, że jest ledwo po pierwszej. Zaciśnęłam dłoń na ladzie w pięść. Szatniarz zdawał się nieugięty, Osmand nawet nie pofatygował się, żeby tu z nami przyjść, a podejrzewałam, że nawet jeśli Winter wróciła do Maxa, to on już pewnie zapomniał, że miał nas o tym poinformować.

Już miałam po prostu zarządzić ewakuację z klubu, gdy wydarzyło się coś, co mnie zatrzymało.

– E, kolejka jest tutaj! – zagrziała ta sama dziewczyna, która wcześniej burzyła się do mnie.

– Dobrze więc, stój w niej grzecznie i daj mi przejść.

Zamarłam, bo rozpoznałam ten głos. O dziwo, nie należał do żadnego z moich braci.

– Sonny – rozbrzmiał znowu, tym razem nieco zaskoczony, a potem zamilkł na chwilę, a ja zacisnęłam powieki, bo poczułam, jak wzrok nowo przybyłego wypala mi dziurę w potylicy. Wiedziałam, co wydarzy się dalej. – Proszę, proszę.

Mona ściągnęła brwi. Patrzyła to na mężczyznę, to na mnie, moje zaciśnięte wargi i rozpacz w oczach.

– Witaj, Hailie Monet – powiedział Adrien Santan.

Odwrociłam się powoli. Popatrzyłam na niego z zaciśniętymi ustami i spode łba.

Szczerzył się, jak to on. Prawie zawsze wyglądał przy mnie na rozbawionego, więc chyba byłam dla niego wcieleniem dobrego żartu. W ciemnej bordowej koszuli, smolistym garniturze i z tymi jego oczami ciemnymi niczym wszechświat przypominał mrocznego hrabiego, który na co dzień mieszka w ponurym zamczysku i przesypia całe słoneczne dnie, żeby nocami chodzić na łowy.

Wszystko pasowało – miał nawet przy swoim boku dziewczynę, jedną z kolejnych ofiar. Zwróciłam uwagę na jej urocze niebieskie oczy, i to tylko dlatego, że zdawały się bardzo niewinne, przez co kontrastowały mocno z przepętnioną grzechem aurą Adriena.

Szepnęłam jego imię w ramach sztywnego przywitania. Gdy zobaczył, jaką niechęcią zareagowałam na jego widok, jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy.

– Co tu robi mała, grzeczna Hailie Monet? – zapytał, przekrzywiając głowę z zainteresowaniem i maglując mnie spojrzeniem.

– Wychodzi – odmruknęłam i złapałam Monę za nadgarstek, by wyciągnąć ją z tego okropnego miejsca. Wystarczyło nam już wrażeń.

Adrien może nawet pozwoliłby mi się wyminąć, gdyby nie to, że nagle odezwał się szatniarz, który widząc, że jeszcze z Moną nie odeszliśmy, westchnął z rozdrażnieniem:

– Ej, bo blokujecie przestrzeń. Nic tu nie wskóracie, bez numerka nie ma rzeczy. A jeśli zamierzacie czekać do rana, to weźcie stańcie chociaż z boku.

Rzuciłam mu cierpki uśmiech i odwróciłam się, by odejść, gdy na drodze stanął mi Adrien.

– Masz tu swoje rzeczy?

– Daj mi przejść.

– Dlaczego masz czekać do rana? – drążył swoim niskim głosem. – Dlaczego po prostu nie wejdiesz sobie do szatni i zabierzesz tego, co potrzebujesz?

Mona uniosła brwi.

– Bo... – zawahałam się.

Adrien patrzył na mnie z zaciekawieniem, jakbym była książką z dobrą fabułą, w którą nawet się wciągnął. Gdy zrozumiał, jak brzmi odpowiedź, kąciaki ust mu zadrżały. To nie wróżyło nic dobrego.

– O Lordzie – zaśmiał się cicho. – Czyżbyś się zgubiła, mała Hailie Monet?

– Nie.

– Ale wiesz, gdzie jesteś?

– Przepuść mnie.

– To dlaczego prosisz się o rzeczy jak sierotka, zamiast po prostu uświadomić szanownego – tutaj Adrien skinął w kierunku pracownika – pana szatniarza, z kim rozmawia?

Zerknęłam w bok.

– Zajmij się swoimi sprawami może, co?

– Bez nerwów – odparł. – Tak pytam, bo gdyby okazało się, przykładowo, że twoi bracia nie są świadomi twojej obecności tutaj, to przynasz, że byłoby to dosyć zabawne.

Z widoczną lubieżnością przyglądał się mojej męczarni.

– Przeszabawne – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

– Z drugiej strony wyglądasz na, nie wiedzieć czemu, zestresowaną. – Uniósł brew. – Czyżbyś nie przepadała za Operą?

– Bawię się tu cudownie – wyszczałam i poruszyłam palcami, bo zaczynały pocić mi się ręce.

– Też lubię ten klub. – Adrien pokiwał głową i rozejrzał się ostentacyjnie. – Trzeba przyznać twoim braciom, że potrafią się urządzać.
– Ściszył głos i dodał: – Jednak dobrze, że zostaliśmy współnikami. Dzięki temu mogę tu często bywać.

Świdrowałam go spojrzeniem, czekając, aż nasyci się swoimi drwinami, znudzi się mną i zostawi w spokoju.

– Idę właśnie do łoży – kontynuował Adrien swobodnym głosem. – Zabieram tam tę ślicznotkę. – Przyciągnął bliżej do siebie dziewczynę, która stała obok i milczała. – Wypatrzyłem ją na parkiecie. Piękne ma oczy, prawda?

Skinęłam ostrożnie głową. Były zjawiskowe, ale raczej mało mnie obchodziły. Ona, nie spuszczać ich ze mnie, stanęła na palcach i wyszeptwała coś Adrienowi do ucha.

– To, moja droga, jest młodsza siostra braci Monet – odpowiedział jej na głos. – Może kojarzysz... – podniósł na mnie intensywne spojrzenie. – ...słynna perełka Monetów.

Gapiałam się na niego, bo po raz pierwszy ktoś poza Ryderem użył w mojej obecności tego określenia i nie mogłam się zdecydować, jak się z tym czuję.

– Och – westchnęła ze zrozumieniem dziewczyna.

– Mhm, a teraz odbierz swoje rzeczy, moja droga – polecił Adrien, a ona posłusznie wyjęła sobie z głębin dekoltu plastikową plakietkę z numerkiem. Przecisnęła się pomiędzy mną i Moną, by stanąć przy ladzie. Adrien zaś znowu przeniósł spojrzenie na mnie. – Skoro już sobie rozmawiamy, to co zrobiłaś z moim płaszczem?

– Jakim płaszczem?

– Moim płaszczem, który ci pożyczyłem miesiąc temu, gdy marzyłaś w moim barze.

– Co? Nie pożyczyłaś mi żadnego... – zawiesiłam głos i zmarszczyłam brwi.

Oczy otworzyły mi się szeroko, a w tych Adriena znowu pojawiły się iskierki rozbawienia.

– Nie bądź niewdzięczna, Hailie Monet.

– Mogło może tak być – wymamrotałam, po czym dodałam ze szczerym zmieszaniem: – Nie mam pojęcia, co się stało z twoim płaszczem.

Adrien wzruszył ramionami.

– No już trudno. Niech stracę.

Przesunęłam się, gdy towarzyszka Adriena z powrotem przemknęła obok mnie, by stanąć u jego boku z dzinsową kataną przewieszoną w zgięciu łokcia. Znowu szepnęła mu coś do ucha.

– Już, moja droga, idziemy – zaśmiał się i mrugnął do mnie. – Obiecałem, że pokażę jej vipowską łożę, więc muszę dotrzymać słowa.

Uśmiechnęłam się kwaśno, błagając w myślach, by poszedł sobie jak najszybciej. On już robił w tył zwrot, ale zatrzymał się, jakby coś sobie jeszcze przypominał.

– Powiedz mi tylko, Hailie Monet, czy życzysz sobie, żebym przekazał Vincentowi, że się na ciebie tu natknąłem, czy może wolałabyś pójść na górę ze mną i sama mu się pokazać?

Mój uśmiech momentalnie się rozmył. Zastąpił go lęk. Nie potrafiłam nawet porządnie przełknąć śliny przez bolące od ciągłego przekrzykiwania muzyki gardło. Z rozchyłonymi ustami wpatrywałam się w Adriena.

– C-co?

Od kiedy Osmand poinformował, że Opera należy do Monetów, przyszło mi do głowy, że spotkam tu któregoś ze swoich braci, ale w głębi serca liczyłam, że jednak przyjdzie mi tłumaczyć się z całej sprawy dopiero jutro. Potrzebowałam czasu, by wszystko zaplanować i przemyśleć; nie byłam gotowa na starcie z Vincentem już teraz. Wolałabym, żeby Adrien kłamał i planował mnie porwać czy coś, ale Sonny był spokojny.

– Daję ci wybór – oznajmił Adrien.

Nie mogłam zapanować nad wyrazem twarzy. Musiałam wyglądać jak zmizerniałe szczenię, które właśnie mocno kopnął w brzuch. Może to dlatego Adrien przekrzywił z politowaniem głowę.

– Jesteś w klubie, należącym do twojej rodziny, z ochroniarzem i zapewne nadajnikami powciskanymi w każde akcesorium, jakie na siebie dziś włożyłaś. Jeśli twoi ukochani bracia jeszcze się nie zorientowali, że tu jesteś, to do rana na pewno się dowiedzą. A wtedy w ten czy inny sposób wyjdzie na jaw, że się na ciebie natknąłem i że rozmawialiśmy. Więc naprawdę, szczerze mi przykro, Hailie Monet, ale nie mogę cię kryć. Podważyłbym zaufanie, jakim się z Vince'em ostatnio darzymy. Na pewno rozumiesz, o czym mówię.

Popatrzyłam na ścianę na wypadek, gdyby lzy, które z bezsilności stanęły mi w oczach, miały być widoczne. Czułam na sobie wyczekujące spojrzenie Mony. Nie znała Adriena, ale napięcie musiało jej się udzielać.

– Dobrze, nie ma czasu do stracenia. Sama wiesz, Hailie Monet – odezwał się niecierpliwie. – Idę teraz do łoży, a ty możesz pójść za mną albo nie, twoja decyzja.

Odwrocił się i odszedł. Otwartą dłoń położył na plecach swojej towarzyszki i sprawnie pokierował ją w czeluści klubu. Wtedy spanikowałam. Już więcej się na mnie nie obejrzał. Wymieniłam ostatnie, pełne grozy spojrzenia z Moną i pociągnęłam ją za sobą, koncentrując się na tym, by nie stracić z oczu odzianych w czarną marynarkę ramion Adriena.

Nie miałabym nawet czasu, żeby stąd wyjść i zadzwonić. A jeśli Vincent miał usłyszeć od kogoś, że jego młodsza siostra znalazła się w jego klubie, to tą osobą musiałam być ja. Miałam wrażenie, że wtedy będzie bardziej skory do wysłuchania mnie.

– Naprawdę tam idziemy?! – wykrzyknęła Mona, gdy gnałam ślepo za Adrieniem. Przedzierałyśmy się przez parkiet. Znowu ogłuszyła nas muzyka.

– Musimy – odparłam z determinacją. Torowałam sobie drogę bez skrępułów. Zepchnęłam z niej jakąś dziewczynę, która krzyknęła za mną coś niemilego. Biedna Mona, całą noc pozwalała mi szarpać sobą jak kukiełka i jeśli to nie była jedna z cech prawdziwej przyjaciółki, to ja nie wiem, co nią jest.

Adrien zatrzymał się dopiero przed czerwoną kotarą. Skinął na ochroniarza, który puścił go dalej. Gdy stawiał pierwsze kroki na stopniach, ja z Moną dopiero tam dotarłyśmy. Dla nas ochroniarz nie był przychylny i od razu nastroszyły mu się brwi.

– Dokąd?

– Adrien! – zawołałam, wyczekująco wyciągając za nim szyję.

Zerknął na mnie obojętnie z małym, skrytym uśmiechem. Doskonale wiedział, że za nim pójde.

– Ta trójka też – rzucił cicho przez ramię, jakby wcale mu nie zależało, by ochroniarz go usłyszał. Na szczęście ten od razu grzecznie się usunął.

Serce łomotało mi głucho w przyśpieszonym tempie, gdy stawiałam stopę na pierwszym stopniu. Kotara za nami opadła, falując lekko. Czerwony dywan, którym obite były łagodnie wnoszące się po łuku schody, zachwycał miękkością. Po obu stronach wyrastały czarne, mieniące się brokatem ściany. Gdzieniedzie przecinały je podłużne żółtawe ledy. Muzyka była tu słyszalna, ale stłumiona.

– Hailie, może ja jednak poczekam na dole – zasugerowała cichutko Mona. Jej pobladła twarz zdradzała, że jest niewiele mniej przerażona niż ja.

– Nie rozdzielamy się – odparłam stanowczo.

Nadal trzymałam ją za rękę, choć nie musiałam, bo tutaj było pusto, więc byśmy się nie zgubiły. Ona jednak nie oponowała. Ta bliskość dodawała nam otuchy. Jeśli Vince zamierzał mnie udusić, to dzięki niej miałam lepiej to znieść.

Z każdym kolejnym szerokim i niskim stopniem czułam, jak ubywa mi odwagi. Zatrzymałam się dopiero na szczycie, zaraz za plecami Adriena i jego kobiety, przed szklanymi, połyskującymi drzwiami. On puścił swoją towarzyszkę przodem, a potem gestem dłoni zaprosił do wejścia również mnie.

Nogi miałam jak z waty, gdy wchodziłam do łoży. Zrobiło mi się zimno, bo w środku panowała mroźna atmosfera, i to najpewniej nie z winy klimatyzacji.

Pomieszczenie było mroczne – czarne ściany podsycaly uczucie niepokoju, a czerwone i złote akcenty je podtrzymywały. Wystrój onieśmiał ekshluzywnością i dyskretnym przepychem.

Przy słynnej ścianie z lustrem weneckiego stała kobieta, która minęła mnie wcześniej – Grace. Spoglądała obojętnie na parkiet niczym księżna obserwująca swoje włości. Nawet patrząc w dół, brodę trzymała dumnie wysoko. W dłoniach obejmowała kieliszek, w którym na wykałaczce dryfowała zielona oliwka.

Adrien zamknął za nami drzwi, a wtedy muzyka ucichła. Łoża była dźwiękoszczelna. Grace oderwała wzrok od lustra i uniosła swoje ciemne, zadbane brwi o milimetr.

– Masz obrzydliwy gust – przemówiła pogardliwym głosem, taksując wzrokiem mnie i Monę.

Zwracała się do Adriena, który od razu się odparł obronnym tonem:

– Te młode damy nie są dla mnie. Przyprowadziłem je dla Vincenta.

Mój wzrok padł na długi czerwony narożnik z pikowanym oparciem, przed którym stał niski czarny stolik. Nie zarejestrowałam szczegółów – przedmiotów, które na nim leżały – bo ważniejsze było, że osobą, która tam siedziała, był mój najstarszy brat.



13

MŁODE DAMY

Co ty tutaj robisz?

Pochylał się nad jakimiś papierzyskami. W jednej dłoni trzymał dymiące cygaro, obok stała szklanka z bursztynowym napojem. Jego koszula była ciemniejsza chyba nawet od oczu Adriena. Podniósł wzrok na dźwięk swojego imienia i spojrzał prosto na mnie.

Jego spojrzenie, które oderwał od dokumentów, zdawało się jeszcze bardziej chłodne i beznamienne niż zwykle. A gdy rozpoznał w mojej osobie swoją siostrę, trwające sekundę zaskoczenie zostało zastąpione przez przenikliwą surowość.

Adrien zaproponował swojej partnerce wino i z jego twarzy nie znikало rozbawienie, gdy obserwując nas, wyciągał korek z butelki.

Chciałam zacząć się tłumaczyć, bo im szybciej, tym lepiej, ale stałam jak wrośnieta w podłogę i nie potrafiłam otworzyć ust.

Vincent odchrząknął, a potem przykrył dłonią oczy, licząc zapewne, że ma zwidy. Następnie w kryształowej popielniczce zgasił swoje cygaro. Powiódł wzrokiem ponad moją głowę, sprawdzając obecność Sonny'ego. Następnie wstał powoli, przytrzymując krawat, a sławny sygnet na jego palcu błysnął w ciemnym oświetleniu i Vince ruszył w moją stronę.

Grace odwróciła się od lustra weneckiego, zaciekawiona uwagą, jaką obdarzył mnie Vincent. Mona drgnęła i normalnie zaśmiałabym się z jej reakcji, gdyby nie fakt, że sama miałam ochotę wybiec stąd z krzykiem.

Siłami zaczerpniętymi chyba z kosmosu powstrzymałam się przed zrobieniem kroku w tył. *To tylko Vince, jeszcze niedawno siedzieliście w kuchni i śmialiście się razem z Dylana, który przy otwieraniu puszki piwa prysnął nim sobie w oko.*

Poczułam jego palce na podbródku. Uniósł go lekko do góry, bym mogła spojrzeć mu w bystre oczy. Puściłam rękę Mony, gotowa na udźwignięcie ciężaru uwagi Vincenta w pojedynkę.

– Czy ktoś ci zrobił krzywdę? – zapytał. Głos miał cichy, wyraźny i surowy.

– To długa historia, daj mi tylko wytłumaczyć...

– Czy ktoś cię skrzywdził – powtórzył.

– Nie.

Chwila ciszy.

– Piłaś?

– Nie!

– Na pewno? – Marszczył brwi i wywierał tak wielką presję, że gdybym kłamała, poddałabym się.

– Na pewno, przysięgam.

Dzielnie odwzajemniałam jego spojrzenie, aż westchnął i mnie puścił. Odszedł do stolika, pochylając się po cygaro, które wcześniej zgasił. Odpalił je na nowo, a potem zaciągnął się nim i gestem wskazał na kanapę.

– Siadaj, proszę – polecił, a potem zerknął przelotnie na Monę i dodał: – Siadajcie.

Słyszałam, jak Adrien rzuca Grace krótkie wyjaśnienie, kim jestem.

Bez gadania wykonałyśmy z Moną polecenie. Moja przyjaciółka po drodze wpadła na kant stołu, powodując, że kieliszek z winem dla wybranki Adriena zakołysał się niebezpiecznie, podobnie jak alkohol w szklance Vince'a. Biedna Mona poczerwieniała na twarzy. Usiadłam obok niej, a i Vince zajął miejsce niedaleko, opadając na oparcie i zakładając nogę na nogę.

– No dobrze – powiedział i zaciągnął się cygarem. – Masz minutę na wyjaśnienie mi, jak się tu znalazłaś.

Spojrzał nawet na swój zegarek, jakby zamierzał liczyć czas co do sekundy. Czułam na sobie spojrzenia Grace i Adriena. Fakt, że miałam spowiadać się bratu w obecności tego rodzeństwa, dodatkowo mnie peszył.

Zacząłam opowieść od początku. Nie zagłębiałam się w szczegóły imprezy u Leo, ale zaznaczyłam, że miałyśmy z Winter podobne torebki. Wymijająco wspomniałam o alkoholu, żeby podkreślić nietrzeźwy stan dziewczyny. Vince zdawał się mieć do tego obojętny stosunek, póki ja sama nic nie tknęłam. Wtedy dotarłam do momentu, gdy w samochodzie zorientowałam się, że mam nie swoje rzeczy.

– Wiem, że mogłam do was zadzwonić, ale z drugiej strony byliśmy już w taksówce i miałam nadzieję, że po prostu podjedziemy pod

klub, odzyskam torebkę i wrócimy. Nie było sensu was angażować – powiedziałam. – Miałymy wejść, zabrać torebkę i wyjść. Ale Winter zniknęła. Mój lokalizator wskazywał, że jest w szatni. Chciałyśmy jeszcze tam zajrzeć, a potem ewentualnie zadzwonić do Willa. Tylko że... wpadłam na Adriena – zakończyłam, obdarowując mężczyznę ponurym spojrzeniem. W odpowiedzi do mnie mrugnął.

Widok sztywnego Vince'a z cygarem w dłoni wybijał mnie z rytmu. Przypominał mi ojca, z tym że Cam raczej wystrzegął się wywierania na mnie takiej brzydkiej presji.

Vince spalił resztkę cygara, znowu nachylił się, by je zgasić, i powolnymi ruchami otrzepał dłonie. Dopiero wtedy przemówił:

– Sonny. – Mój ochroniarz wyprostował się, gotów na przyjęcie instrukcji. – Odzyskaj, proszę, torebkę mojej siostry. W razie problemów powołaj się na mnie.

Sonny skinął głową i opuścił łóżko.

– Ty tam, wezwij tu Pierre'a – ciągnął Vince, kiwając na innego mężczyznę. Stał gdzieś z boku odziany w czerń i również wyglądał na jakiegoś ochroniarza.

Rozległ się cichy łoskot, który zwrócił uwagę wszystkich. Okazało się, że Mona szperała w swojej torebce i przez przypadek wypadło z niej kilka rzeczy. Na sekundę przymknęła powieki.

– Ups! Eee, to tylko... Ja zaraz... – mamrotała, rzuciwszy się natychmiast, by pozbierać to, co leżało na podłodze. Przy okazji zakołysała się i musiała przytrzymać kanapy, by nie stracić równowagi. Patrzyłam na nią ze współczuciem. Jej ciało najwyraźniej pamiętało, że wypija dziś o piwo czy dwa za dużo.

Nie ukryło się to również przed Vince'em, który dodał oschle:

– I przynieś dwie szklanki wody.

Irytowało mnie, że wszystko wkoło dzieje się w tak ślimaczym tempie. Vince rzucał swoje polecenia niespiesznie, jakby zależało mu na stworzeniu jak najbardziej przesiąkniętej grozą atmosfery. W pewnym momencie aż mnie zemdlilo od tej wszechobecnej, nieprędkiej elegancji.

Grace znudziło się stanie, bo dystygowanym krokiem, cały czas trzymając wysoko głowę, zbliżyła się do kanapy i zasiadła po lewej stronie Vincenta. Wyciągnęła z kopertówki brązową cygaretkę, którą uniosła do pociągniętych czerwona szminką, ust. Vince, choć zajęty w tej chwili innymi sprawami, nie przegapił momentu, w którym wypadało podsunąć damie ogień. Leniwym ruchem wyciągnął swoją żarową zapalniczkę z, na moje oko, białego złota i zbliżył ją do twarzy kobiety. Skorzystała z asysty, a następnie odchyliła się i wypuściła dym, podczas gdy Vince schował zapalniczkę z powrotem do marynarki.

Patrzyłam oczarowana na tę drobną interakcję pomiędzy moim bratem a siostrą Adriena. Dostojność przychodziła tej dwójce z niezwykłą naturalnością.

– W tej sytuacji – rzekł Vincent – nie uważam, żebyś zawiniła. – Zanim zdążyłam odetchnąć, uniósł na mnie palec i przyjrzał mi się uważnie. – Gdybyś zadzwoniła do któregoś z nas, można by było rozwiązać twój problem w prostszy sposób... Jednakże rozumiem, że oceniłaś sytuację, kierując się własnym rozumem, i zamierzam to uszanować. Mam jedynie obiekcje co do twojej decyzji o wejściu do klubu. Nie powinnaś była tego robić, bez względu na intencje. W przyszłości oczekuję, że bez mojego wyraźnego pozwolenia nie będziesz pchała się do miejsc, gdzie legalnie nie masz prawa przebywać.

Skinęłam głową.

– W przyszłości zważ też na to, by skrupulatniej pilnować swoich rzeczy.

– Wiem, to była chwila... I jeszcze fakt, że Winter przyjechała akurat do waszego klubu – westchnęłam żałośnie. – Co za beznadziejny zbieg okoliczności...

– Akurat, Hailie, nie sądzę, by to był zbieg okoliczności – odparł, unosząc brew.

– Hę?

– To samo miałem zasugerować – wtrącił Adrien, który z największą przyjemnością przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– O co wam chodzi? – zdziwiłam się.

– O to, że jeśli mowa o twojej osobie, Hailie, to rzadko można brać pod uwagę przypadek – wyjaśnił mi Vince. – W niektórych kręgach towarzyskich uchodzisz za nadzwyczajną postać. Nie każdemu będzie się to podobać.

– Twierdzisz, że Winter celowo zabrała moje rzeczy?

– Złapałyście wspólny język na tym przyjęciu?

Zawahałam się.

– Była o ciebie megazazdrosna – odezwała się cicho Mona, wspinając się na wyżyny swojej odwagi. – Na kilometr dało się wyczuć jej niechęć. Była zazdrosna, najbardziej o Leo i o to, jak jest w ciebie wpatrzony.

– Mona – upomniałam ją przez zaciśnięte zęby.

To nie były uwagi, jakie chciałabym, by rzucała w obecności mojego najstarszego brata. Niestety, on i Adrien wyraźnie ją usłyszeli. Ten drugi nawet się roześmiał.

– A oto twój zbieg okoliczności, droga Hailie – zakończył Vince i też się lekko uśmiechnął.

Wbiłam wzrok w swoje uda, zawiedziona postępowaniem Winter.

Muzyka na chwilę rozbrzmiała głośniejsz, bo drzwi do łoży się otworzyły. Weszło trzech mężczyzn. Sonny, który trzymał w rękach moją torebkę, ochroniarz z łoży, niosący dwie szklanki wody dla mnie i dla Mony, oraz ktoś, kogo jeszcze nie znałam. Miał rude włosy, zebrane z tyłu w niski kucyk i idealnie przystrzyżoną, równie rudą brodę, o którą na pewno dbał doświadczony barber.

Sonny wręczył mi torebkę, a ja od razu zerknęłam do środka i z ulgą zauważyłam, że jej zawartość nie została naruszona.

– Czy ktoś próbował użyć karty? Masz takie informacje? – zapytał Vincenta.

– Nikt – odpowiedział. – Zresztą akurat w tym klubie obsługa jest szczególnie wyczulona na płatności takimi kartami kredytowymi. Zwłaszcza jeśli są podpisane nazwiskiem Monet.

– Mhm – mruknęłam, patrząc, jak Mona przysysa się do szklanki wody.

W międzyczasie przed Vince'em stanął mężczyzna z rudą kitką. Ręce zaplótł za plecami, a jasne oczy wlepił uprzejmie i z pokorą w mojego brata.

– Pierre, dobry wieczór – przywitał się sztywno Vince. – Wynikła sprawa, którą chciałbym, żebyś mi wytłumaczył.

Pierre skinął głową, jakby chciał udowodnić, że jest gotowy wyjaśnić każde zagadnienie.

– Przypomnij mi, proszę, ile trzeba mieć lat, by móc bawić się w naszym klubie? – zapytał Vincent.

– Dwadzieścia jeden, panie Monet – odparł bez namysłu Pierre i zerknął na mnie i na Monę. Powoli orientował się, w czym problem, jednak posłusznie grał według zasad Vince'a i cierpliwie odpowiadał na pytania. – Poza wyjątkiem, wrześniową imprezą, kiedy wpuszczamy osiemnastolatków. Orzaz trzema specjalnymi imprezami w roku, kiedy goście muszą mieć ukończone lat dwadzieścia pięć.

Vince skinął głową.

– Zgadza się – potwierdził. – Powiedz mi więc, jak to się stało, że udało się tutaj wejść mojej szesnastoletniej siostrze? I to bez kolejki oraz, oczywiście, mojej ingerencji?

Spuściłam wzrok, bo zrobiło mi się głupio, że menadżer ma problemy przeze mnie. Przy okazji dostrzegłam, że moje białe tenisówki zostały zdeptane i trochę się przejęłam, bo nienawidziłam brudnych butów.

– Eee... nie wiem, kto ją wpuścił, panie Monet.

– Mhm.

– Przepraszam – zreflektował się. – To musiało być niedopilnowanie. Nie powinno było się zdarzyć.

– Nie powinno – zgodził się Vince.

– Postaram się ustalić, jak to się stało – obiecał Pierre.

Vince uniósł brwi.

– Postarasz się?

– Zrobię, co w mojej mocy.

Z boku doleciał do nas śmiech Adriena, a Vince westchnął ostentacyjnie.

– No dobrze, w takim razie podpowiem ci, co należy zrobić. Znajdź... – Mój brat zawiesił głos i pstryknął dwa razy palcami, jakby próbował sobie coś przypomnieć. Pokręcił głową i odwrócił się do mnie: – Hailie. Jak mu było?

Mimowolnie na moje usta wypłynął lekki uśmiech. Vince i jego pamięć do imion zawsze mnie rozbrajały.

– Osmand – podpowiedziałam mu.

– Właśnie. – Vince spojrział na menadżera ze złowieszczym błyskiem w jasnych oczach. – Osmand.

– Och – zrozumiał Pierre. – Jasne, panie Monet. Znajdę Osmanda i to wyjaśnię.

– Nie. Znajdziesz go, dowiesz się, ile nieletnich osób tu dzisiaj wpuścił, a następnie wyrzucisz stąd ich wszystkich, z naszym Osmandem na czele. Czy wyrażam się jasno?

– Tak, panie Monet, jasno – potwierdził, przelękając się.

– I na przyszłość pilnuj, proszę, porządku, Pierre – upomniął go Vince. – Wiem, że prowadzenie tak wielkiego klubu to nie spacer w parku i nierealne jest, byś miał kontrolę nad każdym, kto tu wchodzi i w jaki sposób to robi, jednak pozwolenie na wpuszczenie tu mojej młodszej siostry było doprawdy idiotyczną wpadką.

– Dziękuję za zrozumienie, panie Monet. W przyszłości będę bardziej uważny – obiecał Pierre.

– To wszystko.

Menadżer kiwnął głową i odwrócił się, ale wtedy wtrącił się ja.

– Chwila! – zawołałam. Machnęłam nie swoją torebką, wyciągając ją w stronę mężczyzny. – Mógłbyś oddać to Winter? To kuzynka Osmanda. To jej torebka, na pewno będzie chciała ją odzyskać.

Pierre nie miał zielonego pojęcia, o czym mówię, ale nie dyskutował, tylko dla świętego spokoju odebrał ode mnie torebkę i skinął głową.

– Oczywiście, panno Monet.

– Dziękuję.

Gdy wyszedł, vipowska loża pogryzła się w ciszy. Grace z cichym stuknięciem odstawiła kieliszek ze swoim drinkiem na stolik i znowu wstała, żeby przejść się do szklanej ściany i zerknąć na parkiet. Vince zaś odetchnął, jakby właśnie zdał sobie sprawę, że jeszcze przed nim spor o pracy tego wieczora.

Mona opróżniła szklankę i teraz tylko smutno ścisnęła ją w rękach.

Dopiero Adrien odchrząknął, przerywając milczenie.

– Ciekawe przedstawienie, bardzo przyjemnie się je oglądało – powiedział szczerze. – Niestety nie wiem, czy zostaną na ciąg dalszy. – Objął swoją milczącą partnerkę. – Mam już inne plany na resztę nocy. Czekam tylko na jeden podpis. – Zerknął znacząco na swojego brata.

– Musisz poczekać jeszcze chwilę – odparł Vincent i zerknął na zegarek. – Za pół godziny będzie tutaj Dylan. Chciałbym, żeby rzucił na nie okiem.

– Widzę, że wprowadzasz swoje rodzeństwo do biznesu jedno po drugim.

Vince tego nie skomentował, za to ja uniosłam zaalarmowaną głowę.

– Dylan będzie tu za pół godziny? – wyszeptalam do brata.

– Mhm.

– To może my już lepiej pójdziemy? – zasugerowałam.

– Miałem zamiar kazać mu was odwieźć.

– Proszę, Vince. Weźmiemy taksówkę. Ostatnie, czego potrzebuję tej nocy, to użeranie się z Dylanem.

Kąciki jego ust zadrżały.

– Niech będzie – zgodził się łaskawie i kiwnął na mojego ochroniarza. – Sonny. Jesteś odpowiedzialny za złapanie im taksówki. A ty, Hailie – spojrzał na mnie złowrogo – trzymaj się już dziś z dala od kłopotów. W razie najmniejszego problemu zadzwoń natychmiast do mnie albo, nie żartuję, dam ci szlaban do ostatniego dnia wakacji.

Uśmiechnęłam się do niego przymilnie, tak żeby spróbować zmiękczyć jego twarde serce.

– Do miłego zobaczenia, Hailie Monet – pożegnał się Adrien, rozbawiony groźbą Vince'a.



14 ZAGADKA

Otworzyłam oko.

Najpierw tylko jedno. Pierwsze, co zobaczyłam, to rozdziawiona buzia wciąż pogrążonej we śnie Mony.

Usiadłam powoli, sprawdzając, czy coś mi dolega, ale czułam się dobrze. Może poza zdartym gardłem.

Prywatna łazienka Mony była trochę mniejsza od mojej i na pewno mniej uporządkowana. Po prysznicu wskoczyłam w luźną koszulkę koloru spranej cytryny, która miała rozciągający się na piersi napis marki polecanej mi przez Shane'a. Doprowadziwszy się do porządku, weszłam z powrotem do sypialni, gdzie Mona nie ruszyła się nawet o milimetr. Rozczesując mokre włosy, odsłaniałam kotary. Dopiero wtedy Mona wydała z siebie jakiś bliżej niezidentyfikowany, przeciągły jęk i przewróciła się na plecy, dramatycznie unosząc dłoń do twarzy.

– No co, jest już po dziewiątej – oznajmiłam wesoło.

– Zabiję cię, Hailie...

– Żeby to zrobić, musisz wstać.

Wypisałam się mgiełką zapachową, wysmarowałam balsamem i byłam gotowa zrobić dziś jeszcze coś świetnego, ale Mona nie podzielała nawet w jednej trzeciej mojego entuzjazmu.

– Niedobrze mi – wymamrotała w poduszkę.

Nie potrzebowałam dużo czasu, by utwierdzić się w przekonaniu, że Mona miała być dziś nie do życia, dlatego wkrótce poprosiłam Willa, żeby się po mnie zjawił. Dzień zapowiadał się dziś piękny i nie chciałam go marnować. Na dworze ciepło słońca uderzyło we mnie, wysyłając do mózgu więcej endorfin niż najśłodsza czekolada. Westchnęłam zachwycona i w podskokach dotarłam do samochodu Willa.

Zawahałam się przez chwilę, bo co prawda rzucił mi uśmiech, ale delikatny. W jego oczach krył się niewielki wyrzut. Szybko spróbowałam zmiękczyć serce ulubionego brata, przylegając do niego i przekazując mu pozytywną energię, która ode mnie dziś biła.

– Will, mam taki dobry dzień! – westchnęłam.

Mimowolnie uśmiechnął się szerzej. Objął mnie jedną ręką i pogładził po plecach.

– Tak?

– Zrobimy dziś coś fajnego?

– Co fajnego?

– Cokolwiek! Dawno nie spędzaliśmy razem czasu... Ciągłe jesteś zajęty – wytknęłam mu niewinnie.

Patrzył na mnie z uniesioną brwią, dobrze wiedząc, że próbuję wzbudzić w nim litość.

– Moglibyśmy pojechać na wycieczkę – zasugerowałam, niewinnie wzsuszając ramionami. Wymyśliłam to na oczekaniu i w najśmielszych snach nie sądziłam, że Will weźmie to na serio.

– Chcesz jechać na wycieczkę?

– Jest tak ładnie, że szkoda dnia.

Zamyślił się.

– A masz siłę na taką całodzienną wyprawę? – zapytał, a gdy pokiwałam energicznie głową, dodał sceptycznie: – Na pewno? Po twoich nocnych ekscesach?

Rzuciłam mu przetestowane przeze mnie już wcześniej łagodne spojrzenie spod rzęs, które nieźle działało na większość moich braci. Tym razem zdawał się odporny na mój urok, dlatego wreszcie westchnęłam:

– Masz rację, jedźmy do domu. Tak rzuciłam z tą wycieczką. Nieważne.

Spróbowałam oderwać się od Willa, ale jego obejmujące mnie ramię mi na to nie pozwoliło.

– Dobrze, Hailie, zabiorę cię na wycieczkę – zgodził się, a gdy rozbłysły mi oczy, uniósł ostrzegawczo palec – ale zajmie ona cały

dzień, będziemy w domu późno, a mimo to jutro wstaniesz grzecznie do szkoły, rozumiemy się?

Pokiwałam głową, mile zaskoczona tym, że rzucając luźną propozycję, załatwiłam sobie niespodziewaną atrakcję, i to jeszcze w towarzystwie najlepszego pod słońcem brata.

– Ja poprowadzę, dobrze, malutka? – zapytał. – To będzie długa droga. Masz wygodne buty?

– Wygodne, ale brudne – westchnęłam, zerkając z irytacją na swoje zajechane tenisówki.

Will, który charakteryzował się tak jak ja pedantyczną naturą, wygrzebał skądś wilgotne chusteczki, którymi potem przez ponad godzinę drogi tarłam buty. Zgodnie z zapowiedzią to on kierował, ja za to rozwaliałam się na siedzeniu obok, obniżając sobie oparcie fotela i wyciągając nogi na desce rozdzielczej, dzięki czemu promienie słońca przyjemnie grzały mi w stopy.

W przydrożnym sklepie zaopatrzyliśmy się w butle wody i wielką paczkę naturalnych chipsów warzywnych, którą wybrałam ja, bo miałam dość niezdrowych przekąsek jak na jeden weekend i wiedziałam też, że Will ma lekkiego fioła na punkcie sprawdzania składu żywności.

Will odprawił też mojego ochroniarza, zmiennika Sonny'ego, biorąc dziś na siebie odpowiedzialność za moje bezpieczeństwo.

Do samego końca nie dałam rady wyciągnąć od niego, dokąd jedziemy. Mogłabym być bardziej dociekliwa, ale taka niewiedza sprawiała mi o wiele więcej frajdy.

Nie obyło się też oczywiście bez wywiadu na temat poprzedniej nocy.

– Powiedz mi, malutka, czego nie rozumiesz w słowach „jeśli masz jakikolwiek problem, to dzwoń”? – zagaił lekko Will.

– Nie zrozumiesz – mruknęłam, szczególnie uważnie trąc ściereczką okolice sznurówek.

– To mi wyjaśnij.

Wzięłam głęboki wdech i na chwilę przerwałam swoje zajęcie.

– To nie było nic poważnego, czym powinnam zawracać ci głowę.

Will oderwał oczy od drogi, by rzucić mi spojrzenie pełne niedowierzania.

– Nie? – zdziwił się. – Hailie Monet, wylądowałaś w klubie nocnym.

– Nie mów do mnie Hailie Monet.

Uśmiechnął się.

– Wolisz „malutka”?

– Cokolwiek, byle nie imię i nazwisko – mruknęłam. – Adrien tak do mnie mówi i strasznie mnie tym denerwuje.

– Ach, kolejna sprawa. – Will pokiwał głową. – Jakby wszystkiego było mało, wpadłaś na Santana.

– On jest wszędzie! – poskarżyłam się. – A tak w ogóle to co jest z jego siostrą i Vince'em?

– Jest zwykle tam, gdzie ty sama nie powinnaś być – odparł. – I co ma z nimi być?

– Czy oni są parą?

Mój brat oderwał dłoń od kierownicy, by przeczesać włosy.

– Nie – odpowiedział po chwili milczenia. – Nie są parą.

– To po co ona tam w ogóle była? W tej łóżce?

Will odchrząknął.

– Znają się z Vince'em od dawna... To skomplikowane, malutka.

– To mi wyjaśnij – powtórzyłam po nim.

– Dlaczego tak bardzo chcesz to wiedzieć?

– Nigdy nie potrafiłam wyobrazić sobie Vince'a z dziewczyną. Myślałam, że się nimi w ogóle nie interesuje – wyznałam. – Ale teraz, gdy zobaczyłam tę Grace... Ja chyba nigdy wcześniej nie widziałam kogoś tak... Kurczę no, nawet nie wiem, jak to opisać...

– Grace jest atrakcyjna, to prawda – przyznał Will, ważąc słowa. – Ale to nie jest osoba, z którą Vince planowałby przyszłość.

– Dlaczego?

Will zerknął na mnie z delikatnym uśmiechem.

– Nie kocha jej.

Wpatrywałam się w niego przez długą chwilę, zaskoczona prostotą tego wyjaśnienia. Nawet załaskotało mnie w brzuchu na samą myśl o tak niezbadanym uczuciu jak miłość.

– A czy ona... kocha jego? – wyszeptałam, nagle zaangażowana w życie prywatne swojego najstarszego brata niczym w akcję uzależniającej opery mydlanej.

– Nie sądzę.

– Naprawdę? – Opuściłam ręce, marszcząc brwi i wpatrując się w deskę rozdzielczą. Nic z tego nie rozumiałam. – Wyglądają, jakby byli stworzeni dla siebie...

– Rzeczywiście tak wyglądają – zgodził się Will. – Ale nie łączy ich żadne uczucie.

– Czyli co, przyjaźnią się?

Przekrzywił głowę.

– Eee... tak bym tego nie nazwał... – mruknął, a gdy uniosłam pytająco brew, dodał z westchnięciem: – Można powiedzieć, że świadomie wykorzystują się nawzajem.

– To nie brzmi romantycznie – skwitowałam rozczarowana.

– Bo w ogóle nie jest. Może otworzysz chipsy, hm?

Pozwoliłam mu na chwilę przerwy i sięgnęłam po nasze przekąski, wcześniej odłożywszy buty do wyschnięcia na deskę rozdzielczą. Wyczyściłam jeszcze dłonie, upiłam kilka łyków wody, a potem otworzyłam paczkę warzywnych chipsów i częstując brata, powróciłam zgrabnie do tematu.

– Jak Grace wykorzystuje Vince'a?

Will chyba spodziewał się, że to jeszcze nie koniec, więc z oczyma ciągle wlepionymi w przednią szybę i chrupiąc fioletowego chipsa o smaku buraka, kontynuował:

– Grace ma wysokie wymagania, które Vince spełnia. Pojawiając się u jego boku, umacnia swoją pozycję. Jest też... jak by to powiedzieć? – zawahał się. – Grace jest bardzo próżna. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak perfekcyjny duet tworzy z Vincentem. Lubi być podziwiana. I to, że inni mężczyźni myślą o niej, że jest dla nich nieosiągalna. Lubi, gdy inne kobiety patrzą na nią z zazdrością, i lubi oneśmielać innych.

Przypomniałam sobie jej pogardliwe spojrzenia. Lub gdy Vince podał jej ogień. Aż dostałam gęsiej skórki na samo wspomnienie bijącego od nich chłodu.

– I Vince'owi to nie przeszkadza? – wymamrotałam, nie mogąc pozbyć się sprzed oczu wizji spowitego dymem, obojętnego wyrazu twarzy siostry Adriana.

– Mówiłem, że to skomplikowane, Hailie. Vince czerpie z tego układu własne korzyści.

– Co, też lubi wzbudzać zazdrość? – zadrwiłam.

– Nie znasz naszego brata, malutka? – zaśmiał się Will. – On nie dba o zazdrość innych. Jest o wiele bardziej praktyczny. Grace świetnie odnajduje się w nawet najbardziej dystygowanym towarzystwie, a samą swoją obecnością potrafi rozkojarzyć lub oneśmielić wiele osób. Możesz sobie wyobrazić, że zwłaszcza przy dobijaniu interesów bardzo mu się przydaje.

– Fakt, jest oneśmielająca.

Will wrzucił sobie do ust pomarańczowego chrupka z batata lub może marchwi.

– Nie zwracaj na nią uwagi – poradził. – Nic ci nie robi, ale też raczej nie jest materiałem na koleżankę.

Wzruszyłam ramionami.

– Nigdy nic nie wiadomo. Na początku też nie spodziewałam się, że polubię Mayę.

Pokręcił głową, jakbym go dobrze nie zrozumiała.

– Maya zyskuje przy bliższym poznaniu, natomiast Grace odrzuca za każdym kolejnym razem coraz bardziej.

– Maya mówiła, że Grace to suka – wypaliłam, przypominając sobie naszą rozmowę we Francji, a gdy Will rzucił mi spojrzenie pełne dezaprobaty, dodałam: – Przepraszam, miałam na myśli, że... eee... jest niefajna.

Moje marne wysiłki skwitował przewróceniem oczami.

– Nie lubią się.

– Dobrze się znają?

Już mnie zaczynała boleć szyja od ciągłego wykręcania jej, by patrzeć na Willa.

– Wszyscy się znamy. Chodziliśmy razem do szkoły, na imprezy, różne spotkania. Chcąc nie chcąc, musieliśmy się tolerować przez wzgląd na nasze rodziny, które prowadziły wspólne interesy. – Will chyba przeraził się tym, jak bardzo zaświeciły mi się oczy, bo zacisnął na chwilę usta. – To wszystko, malutka, już wystarczy.

– Co wystarczy? – westchnęłam z żalem. – Jesteśmy w trasie, co mamy innego robić jak nie rozmawiać?

– Może chcesz pośpiewać piosenki? – zasugerował, a kąciki ust zadrżały mu na widok mojej miny.

– Will, proszę, powiedz mi coś jeszcze. Jak to było, gdy chodziliście do szkoły? To strasznie ciekawe.

Will przeciągnął sobie otwartą dłońią po twarzy.

– To w ogóle nie jest ciekawe. I niewarte twoich uszu, malutka.

Poprawiłam się na siedzeniu.

– Powiedz, jacy byliście w liceum.

– Dobrze się uczyliśmy, słuchaliśmy nauczycieli i zawsze byliśmy punktualni. Nie pchaliśmy się też do klubów nocnych.

Przechyliłam głowę.

– Ta, jasne. No weź, poważnie się pytam. Czy Grace i Vince już wtedy trzymali się razem?

– Można tak powiedzieć.

– Ale oni musieli razem wyglądać na szkolnym korytarzu...

– Hailie, Vincent i Grace nie mają takiej relacji, jaka chciałbym, żeby ci imponowała.

– Nie imponuje mi. Tylko intryguje.

– Nie ma w niej również nic intrygującego.

– Jak to nie? Tak długo się znają i się nie kochają, ani nawet nie przyjaźnią, a mimo to ciągle trzymają się razem... Och... – westchnęłam na koniec. – Czy chodzi o seks?

Will zrobił wielkie oczy i rzucił mi przerażone spojrzenie, jakbym właśnie wyznała mu, że planuję wyjechać do Azji tresować kobry czy inne jadowite węże.

– Słucham?

– Chodzi o seks – powtórzyłam, kiwając ze zrozumieniem głową. Ze zrozumieniem i trochę też zawodem, bo miałam nadzieję na ciekawsze rozwiązanie tej zagadki. Trudno było mi przyjąć do wiadomości, że Vincent interesuje się tak przyziemnymi rzeczami jak seks. Ależ to było z mojej strony naiwne!

– Kończymy tę rozmowę – zarządził Will, tym razem bardziej zdecydowanie. – Powiedz mi lepiej, co zrobisz następnym razem, gdy ktoś zabierze ci torebkę.

Westchnęłam ciężko.

– Will, jechałyśmy z Moną w taksówce do domu, jak zobaczyłam, że mam nie swoją torebkę, i po prostu zboczyłam z trasy. A potem chciałam odzyskać ją jak najszybciej. Nawet Vince zrozumiał, dlaczego tak postąpiłam.

– Aha – mruknął, a ja cieszyłam się, że musi kontrolować drogę, bo przynajmniej nie mógł świdrować mnie swoim sceptycznym spojrzeniem. – Vince stara się, jak może, dotrzymać danego ci słowa. Robi to wbrew sobie. Gdy zobaczył cię tam w loży, miał już w głowie tysiąc pomysłów na to, jak cię ukarać.

Uniosłam brwi, a on pokiwał głową.

– Tak, tak. Sam mi to powiedział. Przed chwilą nawet, gdy piliśmy razem poranną kawę. Udało ci się jednak zapunktować tym, że nie ruszyłaś alkoholu, z czego i ja jestem dumny. No i on próbuje dać ci tę obiecaną swobodę na podejmowanie własnych decyzji. O ile rozumiem, że to wcale nie jest najgorszy pomysł, bo przynajmniej uczysz się sama rozwiązywać swoje problemy, o tyle nie lubię, gdy narażasz swoje bezpieczeństwo.

Westchnęłam, a potem rzuciłam, żeby zmienić temat:

– Nie wiedziałam, że macie klub.

Will się uśmiechnął.

– Mamy – poprawił mnie. – Po części należy też do ciebie.

– O, świetnie, mam klub, do którego nie mogę nawet wejść – mruknęłam z przekąsem.

– Jak widać, wcale ci to nie przeszkadza, bo weszłaś tam z tego, co mi wiadomo, bez problemu – zauważył, unosząc brew. – Co więcej, także bez kolejki.

– A właśnie, co się stało z Osmandem?

– Z kim?

– Tym chłopakiem, co pomógł nam wejść do klubu. Znajomy menadżera.

Will wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Jeśli to on pomógł ci wejść, to prawdopodobnie dostał dożywotni zakaz wstępu.

– Och. Biedny, on chyba naprawdę lubił Operę.

– Więc powinien był uważać, kogo tam wprowadza.

Ku uldze Willa wkrótce rozmowa zesłała na kompletnie niezobowiązujący temat i tylko od czasu do czasu przerywałam ją pytaniem, czy zdradzi mi, dokąd jedziemy. Nie zrobił tego prawie do samego końca. Sama się domyśliłam, dopiero gdy zaczęliśmy mijać pierwsze znaki.

– O wow, serio?! – zawołałam z ekscytacją.

Will się uśmiechnął, a ja zapiszczałam uszczęśliwiona tym, że mam najlepszego brata na świecie, który nawet spontaniczne wycieczki potrafi zorganizować na poziomie.

Bo zabrał mnie nad wodospad Niagara.

Gdzieś mi się obilo o uszy, że mieszkamy w odległości kilku godzin jazdy od tego światowej sławy cudu natury, i kiedyś nawet przyszło mi do głowy, by rzucić propozycję takiej wycieczki, ale nigdy jakoś nie było ku temu dobrej okazji. Will nie respektował takich nędznych wymówek.

Z racji spontaniczności tego wyjazdu uprzedził mnie, że program naszej wycieczki będzie okrojony i gdybyśmy ją zaplanowali, wypadłaby na pewno lepiej.

– Wyjechalibyśmy o świcie, by spędzić tu pełny dzień, i zabrałibyśmy ze sobą paszporty, żeby zobaczyć wodospad z kanadyjskiej strony. Tam podobno widoki są atrakcyjniejsze...

– Przestań, będzie super – weszłam mu w słowo, przytulając się do niego.

Will zamówił nam bilety przez internet. Przy bramkach do wejścia na teren wodospadu kupił mi też jakąś śmiesznie taną białą czapkę z daszkiem, bo słońce zaczynało już razić.

– Byłeś tu kiedyś? – zapytałam, gdy stanęliśmy w kolejce.

Will skinął głową.

– Dzieciaki z okolic są zabierane tu na szkolne wycieczki. No i jeszcze lata temu byliśmy tu z ojcem.

– Wy? W sensie ty i chłopcy? – zainteresowałam się.

– Mhm. Oprócz Vince'a, bo to był ten rok, gdy studiował za granicą.

– Vince studiował za granicą?

Will popatrzył na mnie zaskoczony moim zaskoczeniem.

– Spędził rok w Szwajcarii.

– Nie wiedziałam.

– W Genewie.

– Nie spodziewałam się, że Vince jest zwolennikiem takich wyjazdów. Myślałam, że z niego to taki, wiesz, bardziej domator.

– Domator – zaśmiał się Will. – Trochę tak jest. To od ojca wyszła ta cała inicjatywa. Bo wiesz, malutka, nasz tato ma silne przekonania. Że trzeba zrobić studia i że podczas ich trwania należy wyjechać za granicę, by maksymalnie z nich skorzystać i poszerzyć horyzonty. Vince studiował na jednym z lepszych uniwersytetów w Europie i podszkolił francuski.

– To brzmi tak niesamowicie – westchnęłam zauroczona. – A gdzie ty byłeś?

– W Wiedniu.

– Jak cudownie...

– Piękne miasto, wspaniały okres w życiu – podsumował Will, kiwając głową z uśmiechem, gdy sięgał pamięcią do wspomnień.

– A Dylan też gdzieś pojedzie?

– Na pewno – odparł i wywróciwszy oczami, dodał: – Coś już nawet przebąkiwał nam o Madrycie, z wiadomych przyczyn, ale to pewnie dopiero za rok.

Zanim zadałam kolejne pytanie, zawahałam się przez chwilę.

– A ja?

Will popatrzył mi głęboko w oczy i sięgnął dłonią, by naprostować mi czapkę na głowie, którą chwilę temu przekrzywił silniejszy podmuch wiatru.

– Czy ja też będę mogła gdzieś pojechać?

Nie odpowiadała na tyle długo, że zdążyło mi się zrobić przykro. W oczach zalśniły mi ostrzegawcze łzy. Poczułam tak ogromną niesprawiedliwość, że aż zrobiło mi się niedobrze.

– Will?

– Hej, hej – mruknął do mnie i natychmiast objął mnie ramieniem. – Spokojnie, no co ty, Hailie...

Położył mi dłoń na policzku, tak żeby wygodnie spojrzeć mi w oczy i mieć pewność, że słowa, które do mnie wypowiada, są przeze mnie usłyszane.

– Nie mogę odpowiedzieć ci na to pytanie, bo to nie ja jestem osobą decyzyjną w tej sprawie. Nie chcę chlapać czegoś bez pokrycia. Ale to nic nie znaczy. Do twoich studiów zostało jeszcze dużo czasu, a zapewniam cię, że wszystkim nam zależy na twoim rozwoju i edukacji. Wszystko na pewno się poukłada, okej? Nie zwracaj sobie tym teraz głowy, malutka.

Odetchnęłam, a klatka piersiowa zdrząła mi nieprzyjemnie, ale udało mi się powstrzymać niechciane łzy.

Włożyliśmy na siebie żółte, wodoodporne płaszcze, w których wyglądaliśmy jak dwa skrzaty, i szybko zapomniałam o chwilowym smutku, gdy śmialiśmy się z naszych nowych strojów. Dołączyliśmy do tłumu innych ludzi, którzy wybrali się na tę samą wycieczkę, co my – czyli spacer pod kaskadami wodospadu.

Will był kochany. Nie odstępował mnie na krok, zawsze gotowy do asystowania, gdy miałam trudność z poruszaniem się po żelaznych schodkach. Skorzystałam z jego ramienia, gdy dotarliśmy bliżej jednej z kaskad wodospadu, gdzie woda rozbryzgiwała się na niektóre powierzchnie tak bardzo, że stały się okropnie śliskie. W moich zwykłych tenisówkach wyróżnęłabym się już kilka razy, gdyby nie refleks Willa. Raz jednak to on prawie by się wyrzucił i to ja go ocalałam.

– I jak? – zawołał do mnie, gdy zatrzymaliśmy się w jednym z punktów widokowych, a twarze i peleryny mokły nam od drobinek wody w powietrzu.

– Tu jest niesamowicie! – odparłam, walcząc z hukiem wodospadu, tak jak wczoraj przekrzykiwałam głośną muzykę w klubie. – Dziękuję, Will!

W odpowiedzi puścił mi oczko i przyciągnął mnie do swojego boku, by złożyć pocałunek na mojej przykrytej czapką i mokrym kapturem głowie.

Ja, zwykła Hailie Monet, stojąc w obliczu olbrzymiego, groźnego wodospadu, na który składała się woda nieprzerwanie spadająca ciężkimi tonami, czułam się jak mała mrówka i gdy tak podziwiałam to arcydzieło matki natury, myślałam sobie, jak potężne siły istnieją na tym świecie, takie, w starciu z którymi nie miałabym żadnych szans. Niagara napawała mnie grozą i fascynacją. Biała, ruchoma ściana ciągnęła się bez końca, a woda dudniła, nie dając zapomnieć o swojej olbrzymiej sile.

Akurat gdy twarz miałam całą mokrą i czułam się trochę, jakbym weszła do morza czy basenu z Dylanem, Tonym i Shane'em, którzy zawsze chlapali mnie do upadłego, Will postanowił ustawić się ze mną do zdjęcia. Wyciągnął telefon i zrobił nam szybkie selfie, na którym wyszłam wyjątkowo nieatrakcyjnie, bo moja twarz przypominała przemokłą, okoloną żółtym kapturem bułkę na tle spienionej ściany wody.

Przewodnik co chwila rzucał ciekawostkami. Szczególnie zapamiętałam jedną z nich, którą się podzielię, bo mogła ona być jedną z rzeczy, które skłoniły Willa do naszej późniejszej rozmowy przy obiedzie.

Podobno wody Niagary zasilają dwie elektrownie, a gdy jedna z nich w latach sześćdziesiątych przestała działać wskutek awarii, ponad trzydzieści milionów ludzi zostało pozbawionych elektryczności.

– I zgadnijcie co – mówił przewodnik, a kąciki jego ust drżały drwiąco. – Dziewięć miesięcy później odnotowano gigantyczny wzrost liczby urodzeń. No to, panie i panowie, wiadomo już, jak zachęcić ludzi do rozmnażania się: trzeba odciąć im prąd!

W grupie rozbrzmiało kilka śmiechów i ja sama też zachichotałam, a Will wywrócił oczami i spojrzał na mnie, z lekkim rozbawieniem kręcąc głową.

Na koniec wylądowaliśmy w barze, którego ponure wnętrze pozwalało wytchnąć po tak intensywnym spacerze pełnym słońca. Will, litując się i w drodze wyjątku zgadzając się na niezdrowe jedzenie, zamówił sobie wielkiego cheeseburgera z bekonem i frytkami, a ja wrapa z kurczakami i pałeczkami z mozzarelli w panierce, które później mój brat jeszcze za mnie dojadł w aucie podczas drogi powrotnej. Rzuciliśmy się na nasze jedzenie jak dzikusy, tak bardzo wycieńczyły nas wodospad, ale kiedy Will skończył swoją porcję, rozsiadł się wygodnie i odetchnął, wzięwszy do ręki telefon.

– Co robisz? – zagadnęłam go.

– Wysłałam nasze selfie chłopakom na grupę – odparł z uniesionym kącikiem ust.

– Grupę? – powtórzyłam, marszcząc brwi, po czym wymamrotałam: – Macie grupę beze mnie?

Will uniósł na mnie oczy.

– To taka stara grupa, założona dawno temu – wyjaśnił od razu.

– Czemu mnie do niej nie dodasz? – zapytałam, markotniejąc.

– Bo... – Will westchnął, stawiając na szczerość. – Chłopcy różne rzeczy tam piszą, malutka. Czasem o interesach. To nie na twoje oczy.

– Nie na moje oczy, nie na moje uszy, ciągle to słyszę – poskarżyłam się, kręcąc głową, po czym spuściłam ją, żeby już w milczeniu skupić się na jedzeniu, choć straciłam apetyt.

Leżący obok mojego talerza telefon zawibrował, gdy dostałam powiadomienie. Zerknęłam od niechcienia na ekran i nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Will, co prawda, nie dodał mnie do istniejącej grupy, ale utworzył nową, zapraszając do niej wszystkich naszych braci, i nie trzeba było długo czekać na ich reakcje.

Shane pytał, gdzie jesteśmy. Dylan skomentował, że zdjęcie jest tragiczne i że wyglądam jak preceł, cokolwiek to miało znaczyć. Tony tylko wyświetlił wiadomość, ale nic na nią nie odpisał, a Vince wysłał kciuk w górę, co z jakiegoś powodu wyjątkowo mnie rozbawiło.

Will poinformował chłopców, że, cytuję, „to grupa z Hailie, więc mają się pilnować i nie wysyłać na nią żadnych sprośnych memów”. Nie wiem, czy tylko przed tym chciał ich ostrzec, ale nie wnikałam, tylko zachichotałam pod nosem i to mniej więcej wtedy Will zdecydował się poruszyć ze mną temat, który prawie mnie zabił.



15 KWIATY I PSZCZOŁY

Usiadł prosto, odłożył telefon na bok i złożył ręce na blacie, wpatrując się we mnie uważnie.

– Okej, Hailie, jest taka sprawa – zaczął poważnie, czym mnie zaniepokoił. – Vince mówił, że ta dziewczyna, zabrała ci torebkę, bo była zazdrosna. Czy to prawda?

Wzruszyłam ramionami.

– Prawdopodobnie – odparłam ostrożnie. – Nie mam dowodów.

– Podobno Leo darzy cię szczególnymi względami? – ciągnął.

– Nie wiedziałam, że z Vince’a taki plotkarz.

– Cóż, nie zawsze sam wie, co robić, więc czasem o tobie rozmawiamy, malutka – przyznał, uśmiechając się do mnie łagodnie.

– Obgadujecie mnie.

– To nie jest obgadywanie. Chodzi o to, że pamiętam, jak mówiłaś, że lubisz tego chłopca. – Jego znaczące spojrzenie zaczynało mnie peszyć. – Najwyraźniej on ciebie też.

– Nie wiem, może, no i co? – mruknęłam obojętnie, biorąc przez słomkę łyk coli.

Will rozejrzał się.

– Eee, wydaje mi się... W zasadzie to wiem... To znaczy, to normalne, że... w pewnym wieku...

– O nie – mruknęłam do siebie.

Wiedziałam doskonale, że niewiele tematów na tym świecie jest w stanie tak zaplątać mu język.

– ...każdy zaczyna... interesować się...

– Will, nie – zaskomlałam.

– ...sekssem.

Gdy mówiłam, że ta rozmowa prawie mnie zabiła, to nie była żadna metafora, bo tak się zakrztusiłam, że kaszlałam chyba przez pół minuty. Sama nie wiem, czy poczerwieniałam na twarzy przez odcięty dopływ tlenu, czy przez zażenowanie, ale na pewno moje policzki przypominały w tej chwili odcień szminki, którą wczoraj wymalowane były usta Grace.

– Hej, hej. W porządku? – zmartwił się Will, pochylając się nad stołem, by poklepać mnie po plecach.

– Nie – wydusiłam z siebie, gdy tylko byłam w stanie już mówić. – Nie w porządku, Will, nie będę z tobą rozmawiać o seksie!

– Hailie, to normalne, że...

Zamachałam rękoma.

– Nie, proszę, nie używaj wyrażenia „to normalne”, „w pewnym wieku” i... „seks”. Bardzo, bardzo proszę!

Will westchnął głęboko.

– Cóż, prędzej czy później należy odbyć tę rozmowę.

– Później. Albo w ogóle nigdy. Niczego nie trzeba odbywać. – Przekrzywiłam błagalnie głowę. – Ja mam siedemnaście lat! Wiem, co trzeba.

– Jeszcze nie skończyłaś siedemnastu lat – zauważył. – Co więcej, poznaliśmy się, gdy nie miałaś skończonych nawet piętnastu. Nie wiem, co twoja mama zdążyła ci przekazać, a z czym chciała zaczekać.

– Wiem, co trzeba – powtórzyłam. To wtedy odsunęłam od siebie te palczki z mozzarelli. Najadłam się, a nawet gdybym wciąż była głodna, to ta rozmowa pozbawiłaby mnie apetytu.

– Co takiego wiesz?

– Co?

– Skoro wiesz, „co trzeba”, to chciałbym wiedzieć, co twoim zdaniem... trzeba?

Uśmiechał się tylko trochę drwiąco.

– Will... serio, nie traktuj mnie jak dziecko...

– Ja traktuję cię jak dziecko? – zaśmiał się serdecznie. – Malutka, ja chcę tylko normalnie porozmawiać, a to ty unikasz tematu, marudzisz i się czerwienisz.

Rozchyliłam buzię, oburzona tym zarzutem.

– Nie dlatego, że jestem dzieckiem, tylko dlatego, że nie chcę rozmawiać o kwiatkach i pszczołkach ze swoim bratem! – zapiszczałam.

– Kwiatkach i pszczołkach? – Teraz to Will zrobił się czerwony od śmiechu. – Hailie, z kim innym wolisz o tym porozmawiać?

– Nie z bratem.

– Z ojcem? – zasugerował, uśmiechając się kwaśno.

– Nie – burknęłam.

– No dobrze. W takim razie będę musiał przekazać Vincentowi, że musi wziąć sprawy w swoje ręce.

Spojrzałam na niego ze zgrozą w oczach.

– Co?

Wzruszył ramionami.

– Porozmawia z tobą sam albo może najpierw zleci to Dylanowi... – gdybał na głos.

– Dylanowi – wyszeptalam do siebie, po czym dodałam na głos: – Nie, tylko nie on.

– Stawiam, że zrobi prezentację multimedialną. – Will puścił mi oczko.

– To nie jest śmieszne!

Will przekrzywił głowę, wpatrując się we mnie pobłaźliwie.

– To jak będzie?

Przez chwilę się nie odzywałam. Wizja prowadzenia tej rozmowy z kimkolwiek sprawiała, że cierpła mi skóra, ale gdyby w niedalekiej przyszłości tak wrażliwy temat poruszył ze mną Dylan, Shane lub Tony, to chyba zeszyłabym z tego świata. A Vince? Słodki Jezu...

Spojrzałam w dobrotliwe, błękitne oczy mojego ulubionego brata i westchnęłam żałośnie.

– Muszę?

– Miejmy to za sobą.

Spuściłam zrezygnowany wzrok na swoją tacę z jedzeniem, przykrytą zmiętymi serwetkami.

– Zgaduję, że wiesz, skąd się biorą dzieci?

Jęknęłam i ukryłam twarz w dłoniach.

– Mam szóstkę z biologii, na litość boską! – syknęłam na niego, czując, że znowu palą mnie policzki. Na początku to on zdawał się stresować tą pogadanką, ale moje nerwy chyba ostudziły jego własne.

– Cudownie, malutka, jestem z ciebie bardzo dumny, naprawdę – odpowiedział Will. – Ale w szkole mogłaś nie dowiedzieć się wszystkiego.

Nie wiem, kiedy ostatni raz się tak męczyłam podczas rozmowy.

A wtedy do głowy przyszedł mi pewien pomysł i byłam tak zdesperowana, żeby sobie ulżyć, że postanowiłam go przetestować.

– Masz rację, Will – odezwałam się niewinnie. – Coś mogło mi się pomieszać. Gdybyś mógł dokładnie mi opisać, skąd się biorą dzieci, to byłoby bardzo pomocne...

Zamrugał, a kąciki jego ust opadły nieco, zostawiając na jego twarzy rozkoszne zmieszanie.

– Eee... – zaczął, drapiąc się po głowie. – No... jasne... Więc dzieci...

Położyłam łokcie na stole i oparłam brodę na dłoniach, wyczekująco wpatrując się w swojego ulubionego braciszka, który aktualnie główkował nad doborem odpowiednich słów.

– Może... Wiesz, malutka, te kwiaty i pszczoły to faktycznie nie najgorsza metafora... – uznał, a ja powstrzymałam chichot. – Powiedzmy, że panie to kwiatki, a...

Parsknęłam głośno przez nos.

– Przepraszam – wydusiłam, z powrotem opierając chybotające się teraz łokcie o blat. Will zmrużył oczy i już wiedziałam, że będzie chciał się odpłacić.

– Kiedy pani i pan bardzo się kochają – podjął znowu, celowo modelując głosem, by brzmieć, jakby tłumaczył coś małemu dziecku, na co zacisnęłam usta. – Wtedy idą do łóżka, zdejmują ubrania, chowają się pod kołdrę i bardzo, bardzo mocno się przytulają.

Zmięłam serwetkę i nią w niego rzuciłam. Odwrócił głowę w bok, a papier odbił się od otwartej dłoni, którą się osłonił. Zanosząc się śmiechem, schylił się, by podnieść go z ziemi.

Kręciłam głową.

– No dobrze, malutka – powiedział, wreszcie się uspokajając. – Teraz na poważnie.

– Dobrze. Skoro na poważnie, to wiedz, że nie musisz mi tłumaczyć, skąd się biorą dzieci, bo ja to wiem od dawna. Co chcesz mi pewnie powiedzieć, to to pewnie, że trzeba się zabezpieczać, tak?

– A wiesz, co jest najlepszym zabezpieczeniem? – zapytał.

– Uff... Prezerwatywy?

– Nieuprawianie seksu.

Wzniosłam oczy do sufitu.

– Nie będę pytał o twoje doświadczenia, ale...

Fala zażenowania, która mnie zalała, rozmiarem przewyższała wodospad Niagara.

– To dobrze – wystękałam, chowając twarz w dłoniach.

– Muszę tylko wiedzieć, że jesteś uświadomiona.

Westchnęłam, potarłam brew, a potem uniosłam dłoń do góry, niczym uczeń w klasie.

– Pytanie mam. Czy Shane, Dylan i Tony też musieli przez to przechodzić?

– Oczywiście, gdy przyszedł czas, ojciec objaśniał temat nam wszystkim – odparł. – Rozmowa na ten temat z tobą jest jednak szczególnie ważna.

– Niby dlaczego?

– Bo jeśli chłopak i dziewczyna zaliczają wpadkę, to mimo iż na barkach chłopaka spoczywa ogrom odpowiedzialności i stresu, jest on nieporównywalny z tym, co przechodzi dziewczyna. I nie umniejszając jego roli, to nieważne, jak porządny i pomocny ten chłopak będzie, nie da rady wyręczyć dziewczyny w donoszeniu ciąży, porodzie czy karmieniu piersią. Nie wspominając już o ewentualnym zabiegu aborcji – mówił Will. – I kiedy chłopak będzie mógł mimo wszystko kontynuować edukację i się rozwijać, dla dziewczyny będzie to bardzo utrudnione. Nie każda będzie potrafiła skupić się na nauce, walcząc z mdłościami. A potem siedzieć na wykładach, będąc zmuszoną ulatniać się co dwie godziny, żeby dać niemowlakowi jeść.

– Wniosek z tego taki, że dziewczyny mają przerąbane – skwitowałam.

– Wniosek z tego taki, że dziewczyny, poza szukaniem sobie partnerów, którzy będą dla nich oparciem, a nie dodatkowym kłopotem, dla własnego dobra powinny być bardzo ostrożne – zaznaczył Will dobitnie. – I o to cię proszę, malutka. O ostrożność.

W uważnym spojrzeniu Willa widziałam, jak bardzo zależy mu na tym, bym go dobrze zrozumiała.

– No i pamiętaj, że zabezpieczenie chroni nie tylko przed ciążą, ale i chorobami.

– Okej, Will, rozumiem.

– A teraz będzie najważniejsze – zapowiedział i tęczówki błysnęły mu jeszcze intensywniej. – Ta rozmowa to nie zielone światło ani zachęta z mojej strony do tego, żebyś szła teraz uprawiać seks. Jesteś taka młodziutka...

– A ty ile miałeś lat, kiedy to zrobiłeś? – wtrąciłam coraz bardziej ośmielona.

Will nie chciał odpowiadać – wyczytałam to po jego zawahaniu, ale w głębi ducha wiedział, że musi dać mi w zamian trochę szczerości, więc nachylił się i odparł:

– Szesnaście.

Uniosłam brwi.

– To nie wcześniej?

– Wcześniej – przytaknął.

– Według ciebie jaki wiek jest odpowiedni?

– Dla ciebie, malutka? – Przekrzywił głowę, przyglądając mi się, jakby to właśnie wyliczał. – Hm, powiedziałbym, że około trzydziestu pięć...

– Will, no! – jęknęłam głośno, krzywiąc się na jego nieśmieszne żarty.

– Cóż ci mogę powiedzieć... Radzę ci, żebyś z tym poczekała do momentu, aż będziesz czuła, że naprawdę tego chcesz. – Spojrzał na mnie tym razem z powagą. – Zrób to na swoich własnych warunkach. Nigdy do niczego się nie zmuszaj. Tego szczerze życzę każdej młodej kobiecie, a już zwłaszcza tobie, Hailie, i tego dla ciebie chcę.

Zagryzłam wargi, by nie dać po sobie poznać tego, jak bardzo rozczuliły mnie jego słowa. Patrząc na swojego ulubionego brata z nieudolnie skrywaną czułością, pokiwałam lekko głową.

– Okej, Will – powiedziałam cicho. – Dziękuję.



16

MOKRZY PASAŻEROWIE

Wtuliłam się w świeżo przebraną przez Eugenie pościel, przeglądając komentarze na swoim książkowym koncie. Powoli zbierałam się do spania, ale mój spokój został zmacony, gdy ktoś najpierw zapukał do drzwi mojej sypialni, a po chwili bezceremonialnie przekroczył jej próg.

– Wiem, że nie śpisz, mała dziewczynko – burknął Dylan.

Zacisnęłam powieki.

– Czego chcesz? – jęknęłam w poduszkę.

– Byłaś w Operze – oznajmił z wyrzutem, zbliżając się do mojego łóżka.

– Idź sobie.

– Co ty sobie wyobrazasz, dziewczynko?

Szarpnął za moją kołdrę.

– W tej chwili wyobrażam sobie, że śpię.

Spróbowałam naciągnąć ją z powrotem, ale siłowanie się z Dylanem było bezcelowe.

– Idź sobie!

– Najpierw wyjaśnisz mi, co ty sobie uroiłaś w tej swojej małej główce.

– Dylan, jest późno, jutro muszę wstać.

– To lepiej się pośpiesz i zacznij mówić.

– Dylan, no! – zezłościłam się. Nawet otworzyłam oczy. Moja sypialnia nie była już pogrążona w mroku, bo przez uchylone drzwi z korytarza, wpadało nagle światło. – Nie muszę ci się spowiadać.

– Jeszcze zobaczymy. Gadaj, co ci przyszło do głowy, żeby biegać po klubach nocnych.

– Rozmawiałam już z Vincentem i z Willem. Tobie nie muszę się tłumaczyć – odparłam, świdrując go wzrokiem.

Dylan chwycił za jeden z jaśków, którymi zwykle otaczałam się we śnie, i trzepnął mnie nim w ramię. Wydałam z siebie sfrustrowane warknięcie.

– Zawołam Willa – zagroziłam.

– Wołaj siebie.

– WILL!!! – wydarłam się na całe gardło.

– Ja pierdołę, cicho – syknął.

Poduszkę, którą wcześniej mnie szturchnął, teraz przytknął do mojej buzi, krzywiąc się. Pozbyłam się jej sprzed nosa ruchem dłoni i toczyłam z wrednym bratem bitwę na spojrzenia. Długo nie odpuszczał, więc znowu otworzyłam usta.

– WILL!!!

– Przestań się drzeć! – Tym razem Dylan przytknął do moich ust swoją wielką dłoń.

– Mwiyyyyy!p!

Moje krzyki musiały być skuteczne, bo najpierw w drzwiach mignął mi cień Sonny'ego, który już musiał wrócić na swoje stanowisko i sprawdzał, co mi się, u licha, dzieje, a niedługo potem zajrzał tu Will. Był w jasnych spodniach dresowych, bez koszulki, z wilgotnymi włosami i szczoteczką do zębów wystającą z ust. Na widok Dylana niepokój zniknął z jego twarzy.

– Co się dzieje, Hailie? – zapytał mnie, wyjąwszy sobie szczoteczkę z buzi.

– Dylan mnie nachodzi i nie daje spać – poskarżyłam się.

Otrzymałam pełne irytacji spojrzenie od Dylana, a on dostał podobne w wykonaniu Willa.

- Dylan, zostaw ją.
- Nic jej nie robię przecież, przyszedłem porozmawiać.
- Porozmawiasz w dzień, nie w nocy, gdy ma spać.
- W ogóle nie ma potrzeby, by odbywać tę rozmowę – mruknęłam pod nosem.
- Dylan – ponaglił go Will podniesionym głosem.

Dopiero wtedy Dylan wreszcie się ruszył, rzucając mi ostatnie, rozjuszony spojrzenie.

– Dobra – warknął. Wychodząc, zbliżył się do Willa i wskazał na niego palcem. – Na za wiele jej pozwalacie. Będą z tego kłopoty, zobaczysz – wywróżył i ostatni raz odwrócił się do mnie. – To jeszcze nie koniec. Pchły na noc, mała Hailie.

Zasypiałam zmartwiona, bo wiedziałam, że rozdrażniony Dylan to nie jest dobry znak.



Nazajutrz w drodze do szkoły Shane przepytał mnie z imprezy, jej finału w klubie, o którym też już oczywiście wiedział, potem stwierdził, że jak tak dalej pójdzie, to Vince się wkurzy i znowu mnie ograniczy, a następnie, kiedy już poczuł, że wystarczy mi reprimend, zagaił o wycieczkę.

Z Moną również obgadywałyśmy weekendowe przygody. Najbardziej oberwało się Winter. A gdy niespodziewanie tego dnia wypadło mi okienko, w drodze do biblioteki natknęłam się na parking na Leo.

- Szukałem cię wcześniej – oznajmił, gdy przestaliśmy się ścisnąć.
- Chcesz zapytać o wrażenia po imprezie? – zapytałam. Nie potrafiłam przestać się przy nim uśmiechać.
- Chciałem też zapytać, co się wydarzyło po tym, jak wsiadłaś do taksówki – zapytał, zakładając ręce na piersi.

Westchnęłam i oparłam się o złotą maskę swojego porsche, z którego przed chwilą wyciągałam książki.

- Chodzi ci o to, jak wylądowałam w klubie nocnym należącym do moich braci?

Twarz Leo napięła się nieznacznie, gdy pokręcił głową, patrząc gdzieś w dal.

- Winter dzwoniła do mnie wczoraj. Opowiedziała mi, jak to było. Hailie, strasznie cię za nią przepraszam.

Wzruszyłam ramionami.

- Pomyliła się, zdarza się.

Leo parsknął ponuro.

- Nie pomyliła się, Hailie. Zabrała twoją torebkę, gdy byliśmy zajęci rozmową.

Uniosłam brwi.

- Tak ci powiedziała?

– Przyznała się. Strasznie jej głupio. – Kręcił głową, zniesmaczony zachowaniem swojej przyjaciółki. – Nie wiem, co w nią wstąpiło. Znam ją od zawsze, nigdy się tak nie zachowywała.

Spojrzałam w bok, pozostawiając to bez komentarza.

- Prosiła mnie o twój numer. Chciała przeprosić.

- Nie przeprosiła.

– Bo jej go nie podałem. Nie wiedziałem, czy sobie tego życzysz. No i... nie wiem. Jestem na nią zły... – wyznał. – Wiedziała, że zależało mi na tym, żeby dobrze cię przyjąć... Max jakoś potrafił być miły, a ona...

Leo chyba nie miał o niczym pojęcia, ale ja nie czułam się odpowiednią osobą, by go uświadamiać.

– Winter ma w sobie dużo złości i... takiego poczucia niesprawiedliwości. Nie chcę jej usprawiedliwiać, ale warto, żebyś wiedziała, że ma trudną sytuację w domu. Nie akceptuje swojego życia, dlatego jest wkurzona na cały świat. Ma alergię na ludzi... bardziej uprzywilejowanych.

- W sensie na mnie?

Leo przewrócił oczami.

– Próbowałem jej wyjaśnić, że myśląc w ten sposób, nigdy nie zazna szczęścia, ale taka zmiana poglądu na życie wymaga długiej i ciężkiej pracy nad samym sobą. Mam nadzieję, że kiedyś uda jej się przerobić swoje problemy. Przepraszam, że... taka jest i że wyładowała się na tobie.

– Nie musisz mnie za nią przepraszać – powiedziałam. – Musisz przestać przepraszać mnie za innych.

Leo spuścił wzrok, zakłopotany.

– Dobrze się bawiłam na przyjęciu, to najważniejsze. Naprawdę, to było dla mnie jak powiew świeżego powietrza. Z chęcią się jeszcze kiedyś z tobą spotkam – ciągnęłam, gdy nagle poczułam pierwsze krople deszczu na skórze. Jedna skapnęła mi na zewnętrzną część dłoni, a druga na czubek nosa.

Spojrzałam w niebo. Chmurzyło się ostrzegawczo cały dzień, ale dopiero teraz ta groźba zaczynała się spełniać. Minęło kilka sekund i nagle lunęło z nieba jak z cebra.

Pisnęłam głośno i oboje z Leo spojrzeliśmy na siebie z zaskoczeniem. Przez moment obserwowaliśmy się nawzajem, jak mokniemy. Patrzyłam na jego ciemniejące blond włosy i na krople deszczu spływające po jego twarzy. Na chwilę zastygłam, ale gdy poczułam, jak woda dostaje mi się za kołnierz mundurka, oderwałam wzrok od piwnych tęczówek przyjaciela i rozejrzałam się w poszukiwaniu schronienia.

Zacisnęłam palce na ściskanych w rękę kluczykach i przypomniało mi się, że stoimy tuż obok mojego auta. Niewiele myśląc, zaczęłam pakować się do środka, rzucając do Leo ponagląjące: „Wskakuj!”.

Zawahał się, ale nie zaoponował. Kiedy drzwi się za nami zatrzasnęły, odgłos deszczu zamienił się w głucho bębnienie o dach samochodu.

– Jesteś pewna, że to był dobry pomysł? – zapytał Leo, patrząc pod nogi, by sprawdzić, czy w przestrzeni pod fotelem nie tworzy się kałuża.

– To samochód, a nie dzieło sztuki. Poradzi sobie z mokrymi pasażerami – odparłam.

– W środku prezentuje się nie gorzej niż na zewnątrz – stwierdził, rozglądając się z podziwem.

– Jest wspaniały – zgodziłam się, klepiąc czule kierownicę. – A co do przyjęcia, to tak jak mówiłam, chętnie je powtórzę. W sensie nie tak, że za rok. To znaczy, urodziny są co roku, wiadomo, ale co chcę powiedzieć, to że z chęcią powtórzę jakiekolwiek spotkanie.

Ucisz się może, co, Hailie?

– Jestem jak najbardziej za – zaśmiał się Leo, po czym spoważniał. – Proszę, tylko powiedz mi, że nie miałaś kłopotów przez Winter, bo naprawdę czuję się odpowiedzialny za to, co się wydarzyło...

– Nie, spokojnie. – Machnęłam ręką. – Co prawda, spotkałam w klubie Vince’a i prawie umarłam, ale tak poza tym...

– Co? – sapnęła, a oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki.

– Najwyraźniej mój brat prowadzi tam jakieś interesy – poinformowałam z kwaśną miną. – Przypadkiem wpadłam w szatni na jego wspólnika. Zaszantażował mnie, że mnie wyda przed Vince’em, więc poszłam z nim do tej vipowskiej łoży...

Leo kręcił głową z jeszcze większym niesmakiem niż wcześniej. Przy okazji wyjaśniło się, że Winter nie tylko celowo zabrała moją torebkę, żeby wpędzić mnie w kłopoty, ale jadąc taksówką do baru, zaoferowała Maxowi z premedytacją, że może zadzwonić do kuzyna i zagaić, czy nadal da radę wprowadzić ją do klubu nocnego, tak jak oferował kiedyś. Doskonale wiedziała, że Opera należy do Monetów, bo Osmand już dawno jej się tym chwalił. Składając tak wszystkie te informacje w całość, zagotowałam się na nowo.

– Zamknijmy już ten temat – zaproponowałam, nieco złęknioma tym, jak wielką złość poczułam.

Patrzyłam przez przednią szybę na szkolny parking. Ulewa zdążyła już przerodzić się w mżawkę.

– Zgoda. Chociaż i tak będę z nią jeszcze rozmawiał. Musi zmienić sposób myślenia.

– Mhm – mruknęłam, choć w głębi ducha wiedziałam, że jeśli naprawdę jest zakochana lub nawet tylko zauroczona w Leo, to nadal będzie mnie nienawidziła. Przy okazji zorientowałam się, że wizja jej rozmawiającej z Leo nie przypadła mi do gustu.

– O cholera – syknął nagle Leo. Wróciłam do rzeczywistości, podążając wzrokiem za jego spojrzeniem.

Idąc w stronę bocznego wejścia do szkoły, przemierzali właśnie parking zmoknięci bliźniacy z kilkoma kumplami.

– O cholera – powtórzyłam. Serce zabiło mi mocniej i rozejrzałam się spanikowana, na koniec zarządzając szybko: – Na dół!

Sama kucnęłam, ale przez kierownicę i pedały nie wystarczało mi tu miejsca, więc rzuciłam się na tył samochodu, gdzie mogłam się trochę wygodniej położyć. Leo też posłusznie się schował.

– Mogą wystawać mi włosy – wyszeptał.

– Nie mogą – jęknęłam. – Jak oni nas tu złapią, to zabiją.

– Tylko siedzimy razem w aucie – zaprotestował i słyszałam, jak się kręci, próbując znaleźć wygodną pozycję.

– Powiedz to Shane’owi i Tony’emu, którzy zapewne robili w autach z dziewczynami gorsze rzeczy niż w samym łóżku!

Usłyszałam chichot Leo i rąbnęłam pięścią w fotel pasażera.

– To nie jest śmieszne! Jeśli tu zajrzą, to po nas!

– Wiem, wiem. Jezu, ale tu niewygodnie.

– To chodź do tyłu, tu jest więcej miejsca.

– Z tyłu jesteś ty.

– Mogę się przesunąć.

– Jak nas złapią razem z tyłu, to dopiero będzie wyglądało.

– Masz rację. Lepiej zostań tam, gdzie jesteś.

Zamilkliśmy na chwilę.

– Chyba naprawdę wystają mi włosy – powiedział znowu.

Parsknęłam śmiechem.

– Leo!

– Ciii! Chyba słyszę ich głosy.

Przyłożyłam dłoń do ust i sama wyteżyłam słuch. Sytuacja w tej chwili stresowała mnie i bawiła, ale wiedziałam, że jeśli bracia mnie złapią, to już nie będzie mi do śmiechu.

– Nie, wydawało mi się – mruknął Leo.

– Czekaj chwilę, spróbuję zerknąć – powiedziałam i powoli się podniosłam, by dyskretnie wyjrzeć.

– I co?

– Są daleko. Zatrzymali się. Chyba palą fajki – relacjonowałam.

– To może uda nam się wysiąść?

– Od razu nas zobaczą – zaprotestowałam, z powrotem osuwając się w dół. – Poczekajmy. Pewnie pójdą spóźnieni na zajęcia. Przejdą prosto do szkoły, nie będą zaglądać do auta. Nie mają nawet kluczyków. Raczej.

Zamilkliśmy ponownie.

– A co z twoim ochroniarzem? Nie sterczy gdzieś na widoku? – zapytał po chwili Leo.

– Kuźwa! – sapnęłam i głośno pacnęłam się w czoło. – Na pewno sterczy!

– Powiedz mu, żeby, nie wiem, kucnął, czy coś.

– Jezu, Leo, zaraz będzie po nas – jęknęłam i nadal nie mogłam nic poradzić na to, że chce mi się śmiać. Leo był w podobnym nastroju, mimo że przecież jemu groziły nawet większe nieprzyjemności.

– Słuchaj, to może ja tu poczekam, a ty idź. Jak wyjdiesz z auta sama i to jeszcze z dobrą wymówką, dlaczego w nim siedziałas, to chyba nie będą podejrzliwi, co?

Odpowiedział mu dźwięk dzwonka obwieszczający rozpoczęcie zajęć.

– Kurczę, Leo, mocno się spóźnisz, jak będziesz tu siedział – powiedziałam zmartwiona.

– Spoko, Hailie, bardziej niż szkołę cenię sobie własne życie. Będę tu siedział, ile trzeba – obiecał.

– To przenieś się na tyły, tutaj są mniejsze szanse, że w razie czego cię wypatrzą – zaproponowałam i dodałam: – I jest wygodniej.

Leo przytaknął i zaczął się przemieszczać, a wtedy ja zapiszczałam cicho.

– Nie teraz! Najpierw ja miałam stąd wyjść!

Było już za późno, bo Leo wcisnął się pomiędzy fotele i teraz prawie na mnie leżał.

– Mówiłaś, że tu jest więcej miejsca! – wyszeptał.

– Mówiłam, że jest go więcej, a nie że dużo.

Czułam jego ciało na sobie. Dosłownie. Była to dwuznaczna poza i fakt, że nadal chciało nam się śmiać, był zapewne reakcją na tę stresującą sytuację. Leo wisiał nade mną i podtrzymywał się rękoma, żeby mnie nie przygnieść. A ja patrzyłam na jego schludnie zawiązany krawat, który miałam teraz centralnie przed oczami. Tak, że gdybym uniosła głowę o milimetr, mogłabym rozwiązać mu go zębami.

Nie żebym chciała to zrobić. Tak tylko mówię, że mogłabym. Żeby opisać sytuację.

Zrobiło mi się gorąco, ale Leo szybko zadziałał i przemieścił się tak, bym mogła się spod niego wyslizgnąć i z powrotem usiąść na przednim siedzeniu. Wzięłam głęboki wdech.

W oddali nadal stali bliźniacy. Za chwilę mieli mnie zobaczyć. Przeglądając się na szybko w lusterku wstecznym, palcami rozczesałam rozczochrane włosy i dyskretnie pomasowałam sobie policzki, jakby miało to pozbawić je czerwieni, której się nabawiły tam na tyłach auta.

A potem odetchnęłam, złapałam za podręcznik i jeszcze raz zerknąwszy na swoją zarumienioną twarz, wyszłam z samochodu, trzaskając drzwiami.

Twarze moich braci momentalnie zwróciły się w moją stronę, a ja ruszyłam do nich z ułożoną w głowie wymówką.



17 SMĘTNE MYŚLI

Jakby się zastanowić, to w moim życiu niewiele się dzieje. Dobra, tak, wiem, może i sporadycznie nabawię się nowej traumy, od czasu do czasu ktoś mnie porwie, czasem polecę prywatnym samolotem w miejsce, gdzie aktualnie ukrywa się mój ojciec, lub od święta wyjdę gdzieś z przyjaciółmi, ale to by było na tyle.

A to ostatnie zdarza się wyjątkowo rzadko, warto zaznaczyć.

Przeważnie jednak moje życie kręci się wokół spędzania większości czasu w rezydencji Monetów, gdzie w ciągu roku szkolnego każdą niemal wolną chwilę przywykłam poświęcać na naukę. Już w moim starym życiu uchodziłam za prymuskę i nigdy z tą opinią nie walczyłam. Nawet lubiłam ten tytuł. Podobało mi się to, że mama zawsze była ze mnie dumna, a babcia co roku płakała ze szczęścia, gdy pokazywałam jej świadectwo.

Mieszkając pod dachem moich braci, czułam, że przechodzę samą siebie, i stawałam się już uczennicą nie tylko bardzo dobrą, a wręcz najlepszą. Na ten mój rozwój składało się kilka czynników – z powodu nadopiekuńczości moich braci przesiadywałam dużo w domu, a więc nawet z samych nudów sięgałam do książek. U Monetów miałam też nieskończone możliwości – stać ich, by zapewnić mi największy komfort nauki. W razie problemów mogłam liczyć zawsze na pomoc prywatnych nauczycieli wyselekcjonowanych przez Vince'a, z którymi miałam zajęcia, gdy byłam skazana na prywatne lekcje.

Innym powodem mojego zdyscyplinowania mogła być świadomość, że Vincent miał wobec mnie wysokie wymagania. Wiedziałam, że gdyby był niezadowolony z moich wyników, na pewno szybko zaaranżowałby odpowiednią rozmowę.

Podsumowując, byłam dobra i oczekiwania szkoły względem mnie urosły już za wysoko. Nie miałam nic do gadania, gdy zostałam wybrana jako uczennica z jedną z najlepszych średnich i zmuszona do wzięcia udziału w szkolnym konkursie z wiedzy ogólnej.

– Dziewczyno, że też tobie się chce! – westchnęła Mona.

Stała ze mną przed salą, w której miał odbyć się test, towarzysząc mi przed rozpoczęciem.

– Pani Roberts powiedziała, że ze swoimi wynikami kwalifikuję się bez gadania – odparłam, wzruszając ramionami i zaciskając palce na długopisie. – Więc tak naprawdę nie miałam wyboru. Ale nie szkodzi – dodałam i wyprostowałam plecy – bo im więcej takich konkursów wygram, tym lepsza będzie moja aplikacja do college'u.

– Ja ci powiem, jak wygrasz, to za hajsik za zwycięstwo pójdziemy świętować zakończenie roku – zarządziła Mona, zacierając ręce, po czym mrugnęła do mnie zawiadacko. – Może w Operze?

– Nigdy więcej moja noga tam nie postanie – zarzekłam. – Chwila. Hajsik z wygranej?

– Jedną z nagród za pierwsze miejsce jest grant – odpowiedziała Mona, jakby to było najoczywistsze na świecie, po czym osłoniła usta, jak gdyby dzieliła się ze mną sekretem: – Mam teorię, że to dlatego nasza szkoła zajmuje się organizowaniem takich durnych konkursów. Mają za dużo kasy i nie wiedzą, na co ją wydawać. Co prawda, to nie jakaś szalona kwota, ale taka wiesz, akurat, żeby ją przewalić na świętowanie wakacji.

Zamilkłam, aż ktoś nie wyrwał mnie z zamyślenia.

– Powodzenia – szepnął mi do ucha Leo.

Odwrociłam się i obdarowałam go szerokim uśmiechem. Wypatrzyłam od razu, że także trzyma długopis.

– Też bierzesz w tym udział? – zapytałam zaskoczona, choć taka być nie powinnam, bo przecież nie od dziś wiedziałam, że ambicje Leo sięgają gwiazd.

– Podobno takie konkursy to dobra okazja, żeby umocnić podanie na studia – odparł. – No i w razie wygranej zawsze to jakiś dodatkowy pieniądź.

– No tak.

Uśmiechałam się, ale w głowie przytoczyłam słowa Mony sprzed kilku sekund. Dla nas nagroda pieniężna to dodatek, który prawdopodobnie wydamy w jedno popołudnie. Dla Leo natomiast to cenna pomoc.

I tak wpałam w sidła wątpliwości. Wkraczając na salę wraz z garstką najlepszych uczniów w akademii, przyjrzałam się im wszystkim ukradkiem. Część z obecnych tu dzieciaków to osoby ze stypendium. To by pasowało, bo żeby je dostać, trzeba było być naprawdę dobrym. Tym osobom dodatkowe pieniądze z wygranej na pewno by się przydały. Bardziej niż mnie.

Takie myśli kłębiły mi się w głowie, gdy wpatrywałam się w arkusz zadań. Leo siedział gdzieś z przodu sali, widziałam jego plecy. Chociażby jemu należała się ta nagroda bardziej niż mnie.

Wszyscy już skrobali długopisami po papierze, a ja nadal gapiłam się na pierwszą stronę. Nagle poczułam na sobie presję. Zdawało mi się, że jestem nie na swoim miejscu. Powinnam stąd wyjść. Zaczęła boleć mnie głowa.

– Panno Monet, wszystko w porządku? – zapytała pani Roberts. Dziś czuwała nad przebiegiem testu i jej łagodna twarz skrzywiła się zmartwiona, gdy dostrzegła, że jeszcze nie zaczęłam.

Odetchnęłam głęboko, odganiając z głowy smętne myśli.

– Tak, wszystko dobrze – zreflektowałam się naprędce i otworzyłam arkusz. Odwzajemniłam też uśmiech Leo, który odwrócił się i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Dłoń mi drżała, gdy wreszcie uniosłam ją i zaczęłam pisać.

Wyszłam z sali jako ostatnia. Bliźniacy już na mnie czekali. Obaj opierali się o parapety, wyjątkowo znudzeni. Ożywili się, gdy zobaczyli, że wreszcie skończyłam. Shane, widząc moją przygaszoną minę, zarzucił mi rękę na ramiona.

– Co to za mina, nie poszło ci? – zagadnął.

Wykonałam nieczytelny gest – wzruszyłam ramionami i zgarbiłam się.

– Ale kumasz, że tego nie da się nie zaliczyć? – westchnął Tony, prawdopodobnie zmęczony moim perfekcjonizmem.

– Nie o to chodzi – burknęłam.

– To o co?

– Nieważne.

Chłopcy widzieli, że nie mam ochoty na rozmowy. Poprzestali więc na wymienieniu między sobą znaczących spojrzeń.

A dwa tygodnie później na tablicy ogłoszeń w głównym korytarzu wywieszono kartkę z nazwiskami zwycięzców. Obok pogrubionej cyfry jeden widniało moje imię i nazwisko. Hailie Monet.

Po prostu, krótko mówiąc, roztrzaskałam tę ich, pożałuj Boże, olimpiadkę.

Odetchnęłam drżąc, a potem wyczułam, że ktoś stanął tuż za moimi plecami. Odwróciłam się do wyprostowanego Leo, który wodził spojrzeniem piwnych oczu po liście. Nagle przeniósł je na mnie i mrugnął wesoło.

– Gratulacje! – powiedział. Podał mi dłoń, którą po chwili uściśnęłam delikatnie, choć w klatce piersiowej poczułam nieprzyjemny ucisk.

– Dziękuję.

Nazwisko Leo znajdowało się tuż pod moim. Przy także imponującej, lecz nie zwycięskiej dwójeczce.

– Tobie też nieźle poszło – zauważyłam.

– Dzięki.

Usilnie szukałam na jego twarzy oznak zawodu, smutku, zdenerwowania... Ale on akceptował przegraną honorowo. Nawet pokręcił głową, jawnie będąc pod wrażeniem.

– Jesteś niesamowita.

Spuściłam wzrok.

– Co jest, nie cieszysz się? – zdziwił się, marszcząc brwi.

– To tylko głupi konkurs – mruknęłam. – Nie wiem, po co w ogóle je robią.

– Robią je po to, żeby za dwa lata uniwerki biły się o studentkę o nazwisku Hailie Monet.

Uśmiechnęłam się wreszcie. Przypomniałam sobie, że Leo potrafił czasem powiedzieć mi coś tak cudownego, że aż się rozplątam. Podbudowana jego postawą, zapragnęłam znowu zobaczyć się z nim poza szkołą. Byłam chętna na kolejne testy swobody darowanej mi przez Vince'a. Było to jednak skomplikowane, bo końcówka roku szkolnego to napięty czas, a każdą wolną od nauki chwilę Leo poświęcał na pracę.

Całe szczęście, że był akurat czwartek, bo w ten dzień tygodnia przypadała moja wizyta u terapeutki, z którą mogłam na świeżo podzielić się swoim problemem. Po szkole odwiózł mnie do niej Shane. Mimo iż już do tych wizyt przywykłam i nawet je polubiłam, to tym razem byłam mocno udręczona i pani doktor, asystując mi przy analizie uczuć, pomogła mi podjąć odpowiednią decyzję, co z nimi zrobić.

Otóż przegadać je z Willem.

Niby proste rozwiązanie, ale nie zawsze łatwo było mi się na nie samodzielnie zdecydować. Nad moimi braćmi po prostu roztaczała się gęsta, mroczna mgła, która kazała się mieć zawsze na baczności, bo nigdy nie wiedziałam, jakiej reakcji mogą się po nich

spodziewać. Nawet po Willu.

Co więcej, moja ostatnia rozmowa z ulubionym bratem nadal dźwięczała mi w uszach i wywoływała rumieńce.

– W porządku, malutka? – zagadnął, gdy po terapii wsiadłam za kierownicę swojego złotego porsche. Will zawsze nim po mnie przyjeżdżał, a potem się przesiadał na miejsce pasażera, żebym mogła prowadzić, gdy wracaliśmy do domu.

– Średnio, Will – odparłam. Będąc tuż po sesji terapii, nie zamierzałam owijać w bawełnę.

– Powiedz mi.

Wtedy westchnęłam, położyłam ręce na kierownicy i bez uruchamiania silnika wytłumaczyłam mu istotę problemu, który wpływał na moje przygnębienie. To poczucie niesprawiedliwości, które ostatnio dawało mi się we znaki. To, że wygrałam konkurs, za który dostanę niepotrzebne pieniądze, podczas gdy Leo, który był na liście tuż za mną, mógłby dzięki nim oszczędzić sobie z miesiąc harówki.

Gdy skończyłam, Will ściągnął z kierownicy jedną z moich dłoni i schował ją w uścisku swoich, o wiele większych. Patrzył na mnie uważnie, z łagodnym uśmiechem i czarem w oczach.

– Hailie, przede wszystkim cieszę się, że pomyślałaś o sobie – wyznał cicho, splatając palce nawet ciaśniej, żeby podkreślić moc swojej wypowiedzi. – Bo pomagając innym, nie możesz zapominać o swoim własnym dobru. Inaczej zamiast za osobę uczynną, będziesz uważana za naiwną.

– Ale to tylko jeden głupi konkurs. Nic by się nie stało, gdybym to ja zajęła drugie miejsce – wymamrotałam, patrząc przez okno na parking pod kliniką.

– To wcale nie tylko głupi konkurs. I to już nawet nie chodzi o to, że jest to coś, co wzmocni twoją aplikację. To także coś, co powinno wzmocnić twoją pewność siebie, co działa na psychikę. – Will wskazał palcem na moją skroń. – Malutka, ty masz być silna i zdecydowana. Zawsze stawiaj siebie na pierwszym miejscu. Możesz czynić dobro, nie ujmując swojemu własnemu sukcesowi. Im więcej sama osiągniesz, tym bardziej będziesz w stanie pomóc innym. W normalny sposób, a nie poświęcając swoje własne zwycięstwa.

Nic, co powiedziała pani psycholog ani co podpowiedział mi własny rozum, nie mogło równać się uczuciu spokoju, jakie rozlało się w mojej klatce piersiowej po tej krótkiej wymianie zdań z Willem.

– Niedługo organizujemy bankiet charytatywny. Możesz przekazać swoją wygraną na zbiórkę.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Tak zrobię.

– A co do Leo, to pomyślę, jak ewentualnie... można mu pomóc – dodał z niewielką dozą niechęci.

– Dziękuję, Will.

Pochyliłam się w jego stronę i uścisnęliśmy się krótko nad skrzynią biegów.

Ufałam Willowi i wiedziałam, że jeśli zaoferował, że spróbuje ułatwić Leo życie, to naprawdę da z siebie wszystko, żeby dotrzymać słowa. Tak się też stało. Nazajutrz w szkole mój przyjaciel oznajmił, że Will kontaktował się z nim kontrolnie w sprawie Rydera i przy okazji zaproponował mu pracę.

– Legalną?

Tak, to było moje pierwsze pytanie.

Marszczyłam czoło, obawiając się, że praca dla moich braci mogła dotyczyć dziedzin takich jak kluby nocne, hotele w Las Vegas, strzelnice z bronią, haracze czy bijatyki.

Leo uniósł brew.

– Będę pracował na recepcji w ich centrum sportowym.

– O! – Pokiwałam głową, od razu uspokojona. – Chwila, oni mają centrum sportowe?

– Mają tam spore udziały, z tego, co tłumaczył mi Will.

– I co... uważasz, że to dobra oferta? – zapytałam. Szczerze nie miałam pojęcia o przeciętnych warunkach zatrudnienia nastolatków na rynku pracy.

– Hailie – zaczął Leo, kręcąc wolno głową, a oczy mu błyszczały, jak zawsze, gdy mówił o czymś z podekscytowaniem. – To fantastyczna oferta. Zarobki są przynajmniej dwa razy większe, grafik elastyczny, a i sama praca jest przyjemniejsza, bo do tej pory robiłem jako pomoc w warsztacie samochodowym i ciągle musiałem być na nogach. A tu będę siedział za ladą. Jak nie będzie ruchu, to mogę zawsze przemyścić jakąś książkę, żeby się pouczyć. Twój brat sam to zaproponował. Więc tak, to absolutnie genialna oferta.

– Faktycznie, brzmi dobrze – ucieszyłam się.

– Co więcej, to dość ekskluzywne miejsce, a ja będę miał karnet pracowniczy, z którego będę mógł korzystać, kiedy chcę. Wiesz, co to znaczy?

– Co to znaczy?

– Zrobię sobie dwa razy większego bicka – odparł, unosząc napięte ramię do góry.

Odchyliłam głowę i zaśmiałam się serdecznie.

– Twój bicek jest idealnej wielkości.

– Na pewno? Mogę zrobić tak wielkiego, jakiego ma twój brat. Ten najzłośliwszy.

– Nie! – zaprotestowałam z udawanym przerażeniem. – Proszę, nie rób nic, co upodobni cię do Dylana.

Leo opuścił rękę, wtórując mojemu rozbawieniu, a potem przeczesał sobie włosy palcami.

– To co, zobaczymy się w niedzielę przed południem? W sobotę idę ostatni raz do warsztatu, a w niedzielę zaczynam nową pracę. Trochę napięty grafik, ale bardzo chciałbym cię zobaczyć znowu poza szkołą.

– Mogę umówić się na niedzielne popołudnie z Moną, a wcześniej spotkać się z tobą – odparłam po chwili namysłu.

– Super. Przyjdź do cukierni. Mama zainwestowała w nowy ekspres, robi obłędną kawę.



Sobotę spędziłam, wkurzając Dylana.

Wisiałam nad nim i z nudów krytykowałam każdą jego czynność, gdy się pakował. Skończył już rok akademicki i chyba nawet wszystko pozdawał. W nagrodę miał cieszyć się wakacjami, zaczynając je od kilkudniowego pobytu w Madrycie. Wybierał się tam z okazji urodzin Martiny, z którą jego wątpliwy związek jeszcze się nie rozsypał. Nieraz słyszałam, jak kłóć się przez telefon. Czasem też przyłapywałam Dylana z nosem w komórce, jak wystukiwał jakieś litanie. A jednak okazał się na tyle uroczym chłopakiem, by zrobić niespodziankę swojej dziewczynie.

– Dawaj to – warknął na mnie, wrywając mi bokserki w serduszka, które trzymałam między palcem wskazującym a kciukiem i przyglądałam się im jednocześnie z obrzydzeniem i drwiną.

– Ohyda.

– Mała dziewczynko, idź do spania.

– Jest godzina jedenasta. Rano.

– No właśnie, dzieci mają drzemkę – powiedział, domykając swoją walizkę, a potem uniósł wzrok i przez uchylone drzwi od swojej sypialni dostrzegł, że korytarzem przechodził akurat Tony. – Ej!

Tony zatrzymał się i zajrzał do środka.

– Pilnuj jej, żeby nie przeginała – powiedział Dylan, a Tony rzucił mi znudzone spojrzenie, burcząc:

– Co ja?

– Ja wyjeżdżam, więc ktoś musi niańczyć naszą małą siostrzyczkę. – Trzepnęłam go w rękę, gdy potarł mi włosy.

– Niech idzie spać – zaproponował Tony.

– Obudziłam się trzy godziny temu! – zawołałam.

– Dzieci powinny dużo spać.

– W takim razie okej – zgodziłam się i skoczyłam na zaścielone łóżko Dylana. Rozłożyłam się na nim jak rozgwiazda, marszcząc czarną kapę, którą było schludnie zasłane.

Dylan cmoknął z irytacją, a Tony oparł się bokiem o futrynę i z założonymi na piersi rękoma przyglądał mi się ze złośliwym uśmiechem, gdy mówił:

– Gdybyś wiedziała, co ten zjeb robił na tym łóżku, tobyś się w nim tak chętnie nie tarzała.

Mój rozdzierający uszy pisk odbił się od ścian całej rezydencji Monetów. Tuż po nim rozległ się głuchy łoskot, bo przez gwałtowny zryw straciłam równowagę i zsunęłam się na podłogę. Mój upadek musiał wyglądać niegroźnie, chłopcy się nim nie zaniepokoiili, a wręcz przeciwnie – wybuchnęli wrednym śmiechem.

– Jesteście obrzydliwi – warknęłam, podnosząc się z ziemi. Pocierając ramię, na które upadłam, i marszcząc nos, opuściłam pokój. A przemykając obok Tony'ego, nie omieszkałam go szturchnąć.



18

SAPIOSEKSUALNY

Leo zrobił mi obiecaną kawę i zaserwował kawałek tiramisu.

Serce łomotało mi, gdy wspinaliśmy się po schodach do jego mieszkania nad cukiernią. Will nie był zachwycony, gdy usłyszał, że wiezie mnie na spotkanie z Leo, ale dał się udobruchać, gdy mu powiedziałam, że będę u niego krótko, bo przecież Leo miał dziś iść do pracy, którą mój brat zresztą sam mu załatwił.

Leo zaprosił mnie do jadalni. Była ciasna i urządzona w ciemnych barwach – w oknach wisiały kotary w kolorze głębokiej zieleni, a meble były mahoniowe. Usiedliśmy przy jednym z krańców stołu.

– Jak dobrze mieć znajomości w cukierni – powiedziałam na głos, przewracając oczami z rozkoszy. Krem rozpląwał się w ustach.

– Wpadaj, kiedy tylko chcesz. Zawsze będziesz obsługiwana na koszt firmy – obiecał Leo.

– Daj spokój, nie potrzebuję specjalnych względów.

– To w ramach wdzięczności – wytłumaczył. – Za to, że twój brat załatwił mi pracę.

– Ona się tobie należała – stwierdziłam. – Will ciągle dzwoni do ciebie po informacje w sprawie... Wiesz.

– Cóż, jako że mój brat cię porwał, to raczej ja mam do spłacenia dług wobec ciebie.

– Cóż, wasza cukiernia była nachodzona przez jakichś zbirów pracujących dla moich braci – odparłam rzeczowo. – Dług więc jest po mojej stronie.

– Mój brat próbował cię zabić. Twoi mnie nie.

– Jeszcze.

Zapatrzyliśmy się na siebie i parsknęliśmy śmiechem. Musiałam odstawić filiżankę z kawą, żeby jej nie rozlać, tak mi się trzęsły ramiona.

– Co za porąbana sytuacja – podsumował Leo.

– Idiotyczna.

Gdy poczułam, że Leo znowu mi się przygląda, uśmiechnęłam się do niego, pilnując, żeby nie rozchyłać ust, w razie gdybym ubrudziła sobie zęby czekoladą. Na wszelki wypadek przejechałam po nich językiem.

– Ładna jesteś, Hailie – powiedział po prostu.

To był już kolejny raz, gdy usłyszałam taki komplement od Leo i teraz, zamiast się zarumienić, odważyłam się na inną reakcję.

– Podobam ci się? – zapytałam.

Leo uniósł kącik ust, doceniając moją pewność siebie.

– Zdecydowanie. Chociaż ja jestem raczej... sapioseksualny.

Patrząc prosto w jego złote tęczówki, z błędzącym na ustach, niepewnym uśmiechem, zapytałam:

– Co to znaczy?

Leo nachylił się nad blatem stołu, który nas dzielił, swoim szeptem łaskocząc moje ucho.

– To znaczy, że u dziewczyn najbardziej kręci mnie inteligencja.

Przez moje ciało przeszedł przyjemny dreszcz.

Przerwał nam odgłos bębnienia. Oboje automatycznie przenieśliśmy spojrzenia w stronę jego źródła.

Myszę, że bardzo łatwo sobie wyobrazić, jak wielką irytację poczułam, gdy niezapowiedzianym gościem okazała się zniechęcona przeze mnie Winter. Nie dość, że nie darzyłam jej sympatią, to jeszcze przerwała całkiem fajny moment pomiędzy mną a Leo.

Odsunął się ode mnie, zrywając tym samym cieniutką nitkę intymności, która się między nami nawiązała, gdy Winter stanęła u szczytu schodów z przejętą miną. Przygryzała dolną wargę, między jej brwiami tworzyła się pionowa kreska. Część włosów spięła

z tyłu w króciutką kitkę, a resztę wypuściła luźno. Fryzurę miała jednak potarganą, a wyglądająca na narzuconą na szybko koszulka z nazwą nieznanego mi zespołu była wyciągnięta.

– Hansen? – zdziwił się Leo. – Co ty tu robisz?

– Leo – wysapała dziewczyna, łapiąc oddech. Twarz, szyja i uszy lekko jej się rumieniły. – Potrzebuję...

Wtedy jej wzrok padł na mnie. Odchyliłam się w krzesło i założyłam ręce na piersi. Winter wybałuszyła oczy, co tylko rozdrażniło mnie jeszcze bardziej. Kim ona niby jest, żeby tak się dziwić na mój widok?

Przełknęła ślinę z widocznym zmieszaniem.

– ...pomocy – dokończyła cicho. – Potrzebuję pomocy.

– Wejdz.

Dziewczyna skorzystała z zaproszenia Leo i weszła do jadalni. Przez dłuższą chwilę wbijała oczy w podłogę, ale w końcu uniosła je na mnie.

– Hej – szepnęła.

Mile przywitałam pokorę, z jaką się do mnie odniosła.

– Hej – odparłam trochę cierpko. Nie chciałam robić tu kina, zwłaszcza w obecności Leo, ale oschłość z mojej strony jej się należała.

– Eee, sorry, nie wiedziałam, że masz gościa – wymamrotała Winter.

Leo również założył ręce na piersi. Cieszyło mnie, że on też wciąż gniewa się na tę dziewczynę.

– Ja... nie wiem, masz... chwilę? – zapytała drżącym głosem. Nie wyglądała najlepiej i Leo szybko zmiękło serce, bo opuścił ręce i zmarszczył brwi.

– Co jest, Win?

– Zawaliłam – wydusiła, a oczy zaszyły jej łzami.

Dobra, nawet mnie zrobiło się jej szkoda.

– Co zawaliłaś? – zapytał Leo, robiąc krok w jej stronę.

– Szkołę.

Winter ukryła twarz w dłoniach, a Leo wypuścił powietrze z płuc, patrząc na nią z mieszką zmartwienia i współczucia.

– Co tym razem? – zapytał bardzo łagodnie. – Hej, podejdz no tu, usiądź.

Winter zbliżyła się, a Leo wtedy podprowadził ją do krzesła, które wcześniej zajmował. Ukradkiem rzucił mi przeproszające spojrzenie, które zbyłam machnięciem ręki.

– Nie załamuj się. Na pewno można coś zaradzić, co? – powiedział do niej.

Win pokręciła głową, ale sięgnęła również do przewieszanej przez ramię torby. Wyciągnęła z niej pozaginane na rogach kartki i pomachała nimi w powietrzu.

– Muszę zrobić wszystkie zadania, inaczej nie zdam.

Leo chwycił plik i zaczął na szybko przeglądać jego zawartość.

– Tym razem matematyka? – westchnął.

– Jestem beznadziejna – jęknęła Winter, znowu chowając twarz w dłoniach.

– Ale większość z tych zadań jest zrobiona... – zauważył, marszcząc czoło.

– Źle – burknęła dziewczyna. – Zaczęłam je rozwiązywać, licząc, że nie jestem taką zupełną idiotką, ale potem coś mnie tknęło i poszukałam odpowiedzi w internecie. No i znalazłam, ale same wyniki, i to tylko do niektórych zadań. I okazało się, że prawie wszystko jest źle...

Leo pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Teraz widzę... – przyznał, wczytując się w to, co było na kartkach.

– Muszę zrobić wszystkie zadania z działaniami i pełnymi rozwiązaniami. Inaczej nie zdam. Tymczasem większość tego nadaje się do kosza.

– Okej, widzę, że źle rozumiesz, dlatego robisz błędy. Tu na przykład. Popatrz, tego nie można tak dzielić. Albo tu... A to już

w ogóle, potrzebny jest rysunek... – Leo przygryzł dolną wargę. – Na kiedy to?

Winter spuściła wzrok.

– Na jutro.

Leo wbił w nią spojrzenie.

– Żartujesz?

Dziewczyna pokręciła głową, nie podnosząc wzroku.

– Winter, tu jest z dziesięć stron pełnych zadań... Jak ty to sobie wyobrażasz? – Leo opuścił rękę, w której trzymał kartki, i popatrzył na Win. – Dlaczego nie przysłaś z tym do mnie wcześniej?

– Chciałam zrobić to sama, myślałam, że ogarnę – jęknęła. – No i wiem, że... że byłeś na mnie zły...

– Ale bym ci pomógł – powiedział dobitnie. – Przecież wiesz, że bym ci pomógł.

Winter milczała, wzrok wbiła w podłogę, a Leo kręcił z dezaprobatą głową.

– Tego jest dużo, a ja nie mam czasu. Idę zaraz do nowej pracy, do domu wrócę przed północą. To mój pierwszy dzień. Będę zajęchany – mówił ze słyszalną irytacją w głosie. – Zrobię, Winter, ile będę w stanie, ale nie obiecuję, że do jutra rana się ze wszystkim wyrobię.

Winter spojrzała na niego wielkimi oczami.

– Idziesz do pracy? – powtórzyła. – Nie wiedziałam. W niedzielne popołudnia zawsze już byłeś wolny...

– Jak mówiłem, mam nową pracę i nowe godziny.

Zmarszczka pomiędzy brwiami Winter pogłębiała się z chwili na chwilę. Leo, widząc, w jaką panikę wpada, znowu zaczął się nad nią litować. Cmoknął z niezadowoleniem, gdy ponownie zaczął przeglądać zadania.

– To nie jest trudne – mruknął do siebie, a potem do Winter: – Te zadania są proste, tyle że mozolne. Postaram się zrobić, ile mogę, jak wrócę z pracy. Wstanę wcześniej, to może rozwiążę też coś z rana... – mówił, patrząc na nią ze zmartwieniem. – Ale szczerze to nie wiem, czy nawet wtedy się z tym wyrobię.

Na czole Winter błysnęły kropelki potu. Dziewczyna przykryła sobie usta dłonią i zacisnęła powieki.

– Boże, jestem taka głupia! – krzyknęła.

Leo zerknął na zegarek.

– Muszę się zbierać – oznajmił, po czym spojrzał na dziewczynę. – Dobra, słuchaj, spróbuj ogarnąć, jak najwięcej się da. Poszperaj w internecie. Skoro nie ma tam pełnych odpowiedzi, to może chociaż znajdziesz podobne zadania, a wtedy, no nie wiem... łatwiej ci będzie zroz...

– Ja mogę pomóc – wypaliłam.

Leo i Winter spojrzeli na mnie, jakby dopiero sobie przypomnieli, że tam z nimi jestem.

Cały czas owijałam ramiona wokół swojej klatki piersiowej, a teraz dodatkowo zacisnęłam dłonie w pięści.

Obserwując rozterki dziewczyny, powtarzałam sobie w myślach, żeby się nie wtrącać. Nie wtrącać.

No i oczywiście się wtrąciłam.

Winter rozchyliła usta, a Leo swoje zamknął i zapatrzył się na mnie. W jego wzroku widziałam dużo szczerzej sympatii. Aż mi się zrobiło głupio, dlatego wzruszyłam ramionami, niby to obojętnie.

– To znaczy mogę spróbować pomóc. Zależy, co to za zadania.

– Poziom podstawowy – odparł Leo i znowu zaczął wertować kartki. – Materiał z całego roku.

– Jak podstawowy, to powinnam dać radę – stwierdziłam, wyciągając dłoń po arkusz.

Winter zmarszczyła brwi.

– Jesteś pewna? – zapytała i od razu poczuwszy chyba, że jej słowa zabrzmiały niewdzięcznie, dorzuciła: – To znaczy, bo ty jesteś rok niżej, nie?

– Hailie jest dobra – uciął Leo, przekazując mi kartki.

Zacęłam je przeglądać. Irytowało mnie, że nie są związane żadnym spinaczem. No i nic dziwnego, że tak jej się pogniotły. Powinna była wsadzić je do teczki.

Zadania były prostsze, niż się spodziewałam. Może lepiej byłoby skłamać i powiedzieć, że nie potrafię ich zrobić? W końcu miałam plany na popołudnie. A potem niechcący spojrzałam w bok i napotkałam zaczerwienione i przejęte oczy Winter.

Na imprezie takie nie były. Wtedy non stop wywracała nimi do góry. Teraz mogłam jej się za to odpłacić.

Westchnęłam znowu. Albo po prostu mogę jej pomóc. Inaczej nad tymi głupimi zadaniami będzie ślęczał po nocach Leo. Zerknęłam znowu na arkusz. Było ich sporo. Jedna osoba, nieważne jak zawzięta, w tak krótkim czasie się z nimi nie upora.

– Zrobię, ile zdołam. Mam czas do wieczora, wtedy przyjedzie po mnie Will – poinformowałam ich.

– Jesteś cudowna – skomplementował mnie Leo.

Winter spuściła wzrok.

– Dzięki – wymamrotała.

Nie odpowiedziałam.

Leo ulotnił się do pracy, upewniwszy się wcześniej, że mamy plac do nauki. Rozłożyliśmy się na stole. Winter wyjęła przygotowane przybory, na których widok skinęłam z aprobatą głową. Wiedziałam, że będą potrzebne. Zebrałam włosy na szybko w kitkę, a kosmyki, które z niej powylażyły, założyłam sobie za ucho.

– Okej, zaczniemy od środka na rozgrzewkę, a potem przeskoczmy na koniec. Tamte zadania są trudniejsze i bardziej czasochłonne. Leo ucieszy się, jak będą już rozwiązane – zarządziłam.

Winter kiwała głową, gotowa zgodzić się na wszystko, co zaproponuję.

Mona prychnęła, że powinnam olać Winter, ale ostatecznie zgłosiła się jako chętna do zerknięcia na te łatwiejsze zadania, jeśli ma to oszczędzić Leo nieprzespanej nocy. Nie była orłem z matematyki, ale dzięki dobrej korepetytorce spokojnie zaliczała ten przedmiot.

– Hailie, słuchaj – zaczęła Winter, gdy odchrząknęłam i z ołówkiem w ręku pochyliłam się nad pierwszym zadaniem. – Przepraszam za to, co wydarzyło się na urodzinach Leo.

Zagryzłam niecierpliwie wargi, wgapiając się w tekst, po czym nagle odwróciłam się do niej, trochę sfrustrowana samym wspomnieniem kłopotów, w które mnie wpakowała.

– Za co mnie dokładnie przepraszasz? – zapytałam ze szczerym zainteresowaniem. – Za to, że ukradłaś moją torebkę, za to, że celowo pojechałaś z nią do klubu moich braci, czy za to, że uciekłaś i nie można było cię znaleźć? Och, a może za to, że przez cały wieczór demonstrowałaś, jak bardzo nie podobała ci się moja obecność na przyjęciu? No chyba że za to, jak próbowałaś zrobić ze mnie idiotkę, przekonując Leo, że mój prezent dla niego był niestosownie drogi.

Winter zapatrzyła się na mnie zaskoczona.

– Ja... – Przełknęła ślinę. – Za wszystko.

– To dobrze, bo zrobiłaś mi świństwo, wiesz?

– Przepraszam. Upiłam się, a potem było tylko gorzej.

– Upicie się to nie wymówka – zauważyłam chłodno.

Przysięgam, że zabrzmiałam jak Vincent i aż sama się siebie wystraszyłam.

– Wiem, wiem, jasne, że nie, masz rację – zreflektowała się Winter.

– To – wskazałam ołówkiem na arkusz z zadaniami – robię dla Leo. Okej?

– Okej – przytaknęła cicho Winter, odwracając wzrok. – I tak jestem ci wdzięczna.

Już jej nie odpowiedziałam.

Na początku próbowałam tłumaczyć Winter, co robię, ale widząc u niej tępy wyraz twarzy któryś już raz z kolei, dałam sobie spokój. Poleciłam jej szukać w internecie wyników, żeby upewnić się, że zadania, które wykonałam, są zrobione bezbłędnie, choć w rzeczywistości wiedziałam, że tak było.

– Kurczę, naprawdę jesteś dobra – odezwała się Winter, gdy po raz kolejny wynik się zgadzał.

– Matematyka na takim poziomie to same schematy – odparłam krótko.

Jakiś czas później dołączyła do nas Mona, a wtedy ja złapałam za ostatnią stronę, przeskakując na trudniejsze zadania, a ona wzięła się za te najprostsze. Winter siedziała między nami ze zmarnowaną miną. Moja przyjaciółka wcale jej nie oszczędzała i co chwilę wdychała głośno, demonstrując, jak bardzo wolałaby w tym momencie robić cokolwiek innego.

– Wiem, że nie o to ci chodziło, jak proponowałaś spotkanie. – Uśmiechnęłam się do niej przepraszająco.

– Nie no, luz. To akurat jest łatwe – mruknęła. – Ale jakie nudne.

– Wiem, sorki.

– Może po wszystkim, w ramach wdzięczności, Winter załatwi nam wejściówki do Opery – zasugerowała, przymilnie uśmiechając się do dziewczyny, która nie dość, że czuła się upokorzona tym, że dwie młodsze od niej o rok dziewczyny, dla których wcześniej była nieuprzejma, ratują jej teraz tyłek, to jeszcze raz po raz obrywała od Mony przytykiem.

– Mogę się jakoś odwdziżyć – zaproponowała cicho Winter.

– Świetnie, jak? – zapytała Mona z zainteresowaniem.

– No... nie wiem...

– Też mi propozycja. Jak coś wymyślisz, to wtedy pogadamy, ok?

– Mona – upomniałam ją, ale bez specjalnie wybrzmiewającej nagany w głosie.

Tak spędziłam drugą połowę niedzieli. Trzech zadań przy końcu arkusza nie potrafiłam rozwiązać. Były trudniejsze i bazowały na zagadnieniach, których jeszcze nie przerabiałam.

W międzyczasie Gina przyniosła nam po kolejnej kawie i półmisek rogalików z czekoladą prosto z lady cukierni. Poczęstowała nimi nawet Sonny'ego, który, w moim odczuciu, miał oficjalnie najnudniejszą pracę świata. Siedział w fotelu w kącie i pilnował chyba, żeby Winter nie zamordowała mnie cyrklem, bo żadnych innych potencjalnych niebezpieczeństw tu nie widziałam.



19

HANIEBNY CZYN

Umówiłam się z Willem na osiedlu Mony – pomyślałam, że jako wyraz wdzięczności za jej pomoc odprowadzę ją do domu.

Winter dziękowała nam w nieskończoność. Na koniec ugodowo pokiwałam głową i życzyłam jej powodzenia. Nie umknęło mi, że Winter została u Leo w domu. Zapewne chciała zaczekać, aż wróci z pracy.

– I potem co, będzie tak siedzieć z nim do nocy? – mówiłam do Mony, gdy szliśmy w kierunku jej domu. – Bez sensu zupełnie, tak chyba nie wypada.

– Hailie Monet, nie bądź zazdrosna – zadrwiła.

– Nie jestem zazdrosna!

Odwrociłam się przestraszona, że ktoś mógł to usłyszeć. Ulica była jednak pusta, nie licząc Sonny'ego, ale on był już przyzwyczajony do różnych naszych głupot, których wysłuchiwał.

– Po prostu widziałś pewno, jak Winter się do niego łąszczy.

– Co robi? – Mona uniosła brew.

Pokręciłam niepocieszona głową. Naszą uwagę skupiła mama Mony, którą zobaczyliśmy stojącą przy jej samochodzie. Przywitała się ze mną serdecznie i zaproponowała córce spontaniczne zakupy. Monie zaświeciły się oczy, bo do zakupów to ona była pierwsza. Wyjście zaproponowano również mnie, ale ja byłam już umówiona z Willem i nie chciałam wprowadzać żadnych komplikacji, więc po prostu się z nimi pożegnałam.

Usiadłam sobie na ławce, by stamtąd cierpliwie wypatrywać Willa. Ledwo się oparłam, dostrzegłam, że zbliża się do mnie mężczyzna. Ubrany był w jakieś podarte łachy, a na głowę miał wciśniętą niechlujną czapkę z daszkiem. Wyciągnął do mnie rękę i gotowa byłam się odsunąć, ale zanim bezdomny zdołał cokolwiek zrobić lub powiedzieć, między nami wyrósł Sonny.

– Ja tylko o centa proszę. Centa lub dwa, wie pan – wychrypiał mężczyzna.

Automatycznie sięgnęłam do torebki, ale przypomniałam sobie, że mam przy sobie tylko kartę kredytową.

– Przykro mi, nie mam pieniędzy – odpowiedziałam, starając się wyrzucić zza ramienia Sonny'ego, który był o wiele mniej uprzejmy niż ja i warknął:

– Odejdź.

– Sonny, w porządku – upomniałam go, bo uważałam, że tak ostra reakcja nie była konieczna.

Bezdomny zmrużył oczy, przyglądając się ochroniarzowi.

– Sonny? – zapytał ze zdziwieniem w głosie.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie zbliżaj się – rozkazał mu Sonny. Nieznajomy uniosł ręce i powiedział zachrypniętym głosem:

– To ja.

– Wiem, poznaję – uciął Sonny. – Nie podchodź.

– Co jest?

Mężczyzna drgnął, a Sonny wycelował w niego ostrzegawczo palec.

– Mówię, nie zbliżaj się! – syknął ostro, po czym dodał ciszej: – Jestem w pracy. Nie chcę ci zrobić krzywdy, ale będę musiał, jeśli sobie nie pójdiesz.

Mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w Sonny'ego, a potem obrzuciwszy spojrzeniem mnie, bez słowa się odwrócił i ruszył w swoją stronę, szurając podniszczonymi butami. Patrzyłam na jego oddalające się, zgarbione plecy.

– Sonny? – zapytałam cicho, zmartwiona tą sceną. Mój ochroniarz patrzył chwilę w ślad za bezdomnym, po czym odwrócił się do mnie z kamienną twarzą.

– Proszę wybaczyć, panno Monet – powiedział sztywno. – Czy wszystko w porządku?

– Tak, nic się przecież nie stało. A u ciebie? Jeśli chcesz z nim pogadać... Mogę zaczekać... – wymamrotałam.

Sonny pokręcił przecząco głową, jeszcze zanim skończyłam.

– Dziękuję, panno Monet. Nie ma takiej potrzeby. Jestem w pracy.

– Na pewno? Naprawdę mogę...

– Nie ma potrzeby.

Zamilkłam i tylko przez dłuższy czas przyglądałam mu się bez słowa.

Powoli zaczynało zachodzić słońce i wkrótce Sonny wyciągnął okulary przeciwsłoneczne, w których w połączeniu z koszulą i czarnymi spodniami od garnituru wyglądał jak ochroniarz z prawdziwego zdarzenia. Z założonymi rękoma i twarzą bez wyrazu obserwował otoczenie.

Byliśmy tu sami i choć on wydawał się czuć swobodnie w ciszy, to ja miałam potrzebę zagadnięcia go, co zaraz znowu zrobiłam.

– Sonny? Czy ja byłam dla ciebie niemiła, wtedy, w klubie?

Kąciki jego ust drgnęły.

– Nie, panno Monet.

Pokiwałam zamysłona głową.

– To dobrze.

Zapadła cisza, którą znowu przerwałam.

– Sonny?

– Tak, panno Monet?

– Ciekawa jestem... jak często rozmawiasz o mnie z Vincentem?

Sonny się zaśmiał.

– Trudno powiedzieć, panno Monet – przyznał. – Nasze rozmowy są nieregularne.

– Naprawdę? – Zamyśliłam się. – Spodziewałam się, że zdajesz mu raporty... jakby... codziennie?

– Twój brat na szczęście tego ode mnie nie oczekuje, panno Monet.

– Trudno mi w to uwierzyć, biorąc pod uwagę jego manię kontroli.

Białe zęby Sonny'ego błysnęły w kolejnym uśmiechu.

– Cóż, czasami pyta o twoje... samopoczucie – przyznał.

Przekrzywiłam zaciekawiona głowę.

– O co na przykład pyta?

– Ostatnio chciał wiedzieć, ile alkoholu było na przyjęciu urodzinowym, na które poszłaś.

– Naprawdę?! – sapnęłam, wydając zduszony okrzyk. – Naprawdę o to pytał?

Wychyliłam się na ławce, zaintrygowana.

– Gdybym się napiła, naskarżyłbyś na mnie?

– To moja praca, panno Monet – odpowiedział dyplomatycznie. – Jestem zobowiązany udzielić mojemu pracodawcy każdej informacji, jakiej ode mnie zażąda.

Westchnęłam bardziej dramatycznie, niż było potrzeba.

– A o co jeszcze na przykład pytał? – drążyłam, przypominając sobie, jak kotłowałam się z Leo w swoim aucie w obawie, że zauważą nas bliźniacy.

Odpowiedział po krótkim namyśle.

– Na przykład o to, w jakich okolicznościach zrobiłaś w perfumerii jednorazowe zakupy o wartości ponad dwóch tysięcy dolarów.

– A, o to – mruknęłam, żałując, że zapytałam. – Był... zły?

– Zaciekawiony.

– Aha.

Wypytywanie go o Vince'a mnie zestresowało, dlatego szybko zmieniłam kierunek tej rozmowy.

– Sonny, kim był tamten mężczyzna?

– Ktoś niewart rozpamiętywania, panno Monet – odparł.

– Co to znaczy? To jakiś twój stary znajomy? – dopytywałam.

– Nikt ważny, panno Monet.

– Jeśli nie chcesz mówić, to w porządku – westchnęłam. – Nie chcę być wścibska i naciskać. Co prawda, moja prywatność nie istnieje, więc fajnie byłoby dla odmiany naruszyć czyjaś, ale w porządku, trudno...

Przerwałam, słysząc śmiech Sonny'ego.

– No dobrze, jeśli jesteś taka ciekawa, panno Monet, to mężczyzna, który nas zaczepił, to ktoś... z mojej przeszłości – wyjął.

– Tego już, Sonny, sama się domyśliłam – mruknęłam z przekąsem.

– Pomógł mi przetrwać na ulicy, gdy uciekłam z domu.

Gwałtownie uniosłam głowę i zapatrzyłam się na Sonny'ego z olbrzymim zainteresowaniem.

– Uciekłeś z domu?

Dobrze pamiętałam własne rozważania na temat ucieczki od braci tuż po tym, jak się do nich przeprowadziłam, a ich chłód niemożliwie mnie przytłaczał. Nawet wtedy jednak podświadomie wiedziałam, że nie byłabym zdolna do takiego kroku.

Sonny skinął głową.

– Ile miałeś wtedy lat?

– Trzynaście.

Szczęka opadła mi aż do ziemi.

– Trzynaście! Jak sobie poradziłeś?!

– Tak, jak mówiłem, tamten mężczyzna mi... pomógł – odparł, a jego głos był cichszy niż zazwyczaj. Może dlatego, że wyjątkowo mocno zaciskał szczękę.

Zmarszczyłam z przejęciem brwi.

– Może moglibyśmy go jeszcze odnaleźć? I jakoś wesprzeć?

Sonny popatrzył na mnie jak na kosmitkę.

– No, żeby mu się jakoś odplacić! – wyjaśniłam.

– Panno Monet, nie powiedziałbym, że jego pomoc była godna wdzięczności – powiedział wolno. – A już na pewno nie jest to moim zmartwieniem. Panno Monet.

Zamilkłam, próbując powściągnąć własną nadgorliwość.

– Jak wyglądała ta pomoc? – zapytałam już spokojniej.

– To długa historia. Nie jestem pewien, czy twoi bracia byliby zadowoleni, gdybym ci ją opowiedział – wyznał, uśmiechając się lekko.

– Oni zawsze są niezadowoleni – stwierdziłam, zbywając jego wątpliwość machnięciem ręki. – Powiedz mi, Sonny, proszę, chciałabym wiedzieć. Nic im na ten temat nie powiem.

Uśmiechnął się kwaśno, a mnie zaczęły denerwować jego okulary, przez które trudniej czytało mi się jego reakcje, bo nie widziałam jego oczu.

– Kradłem samochody.

Teraz już nie tylko zbierałam szczękę z ziemi, ale i szeroko otworzyłam oczy.

– Samochody? Naprawdę? W wieku trzynastu lat?!

Sonny wzruszył ramionami.

– Tak naprawdę, to kradłem wszystko, ale skupiałem się na samochodach, bo to było najbardziej opłacalne. A wiek miałem idealny. Mało kto podejrzewał trzynastolatka.

– Ja w wieku trzynastu lat bałabym się ukraść choćby cukierka.

Inaczej – ja, teraz, w wieku prawie siedemnastu lat, nadal bałabym się to zrobić.

Sonny uśmiechnął się sympatycznie.

– To przeszłość niewarta rozpamiętywania, panno Monet. Uciekłem z domu, co było dobrą decyzją, ale ulica jest bezwzględna, zwłaszcza dla dzieci i nastolatków. Takich najłatwiej wykorzystać.

– I ten mężczyzna cię wykorzystał?

Sonny skinął głową.

– Sądziłem, że mi pomaga. Trochę tak było, bo dzięki niemu byłem kryty, miałem kompana i kogoś, kto nauczył mnie kilku przydatnych rzeczy. W rzeczywistości jednak ja się narażałem, a całą śmietankę spijał on.

– I jak w końcu się zorientowałeś, to się od niego uwolniłeś? – domyśliłam się.

– Nie – odpowiedział sztywno. – O jego zakłamaniu dowiedziałem się, dopiero gdy mnie wystawił.

– Wystawił cię? Ale że policji? – pytałam, poprawiając się na ławce.

Sonny parsknął ponuro.

– Gorzej, panno Monet.

Wpatrywałam się w niego, niemal domagając się kontynuacji. Jak dziecko przed snem, które prosi rodzica o przeczytanie jeszcze jednego rozdziału ulubionej książeczki.

Mój ochroniarz westchnął. Wiedział, że już za dużo mi powiedział, żeby teraz się wycofać.

– Upatrzyliśmy sobie nowiuńskiego srebrnego rolls royce’a wraith. Z nieba nam spadł, obłądna fura – powiedział Sonny, wracając do wspomnień, a mnie pozostało uwierzyć mu na słowo, że auto było ładne i drogie, bo absolutnie nie miałam pojęcia, co to za samochód. – Kradzież tak luksusowych aut to wyższa szkoła jazdy. Mój... mentor... to wiedział, ale i tak się na nie połakomił. – Ochroniarz pokręcił głową z niechęcią. – Teraz już wiem, że gdyby udało mi się je zwinąć, to prawdopodobnie i tak nie uszłoby mi to na sucho, ale on, mimo rozwiniętych umiejętności przetrwania, nie grzeszył mądrością. Wiedział też, że w razie wpadki kłopoty będą miał ja.

– Czyli w końcu nie udało ci się go ukraść?

– Już się brałem za grzebanie w kablach, gdy za moimi plecami stanął właściciel samochodu.

Aż mnie przeszły ciarki.

– Gary, mężczyzna, który nas dzisiaj zaczepił, miał stać na czatach, ale stchórzył i uciekł, gdy sytuacja się skomplikowała.

– O Jezu, to brzmi strasznie – westchnęłam. – Czy ten właściciel coś ci zrobił?

Sonny wykrzywił usta w cierpkim uśmiechu.

– Był nim twój ojciec, panno Monet.

– Co?!

Zamrugałam, a serce zabiło mi szybciej na samo wspomnienie taty.

– Tak. – Sonny pokiwał głową. – I nie był zadowolony z faktu, że próbowałem go okraść.

– Wyobrażam sobie – wyszeptałam. – Co było dalej?

– Chciałem zwać. Nie miałem jak, ale strach uciszył rozsądek. Twój ojciec mógł mnie z łatwością złapać sam, ale niespecjalnie chciał mu się wysilać. I słusznie, bo już po kilku krokach wpadłem na jednego z jego ochroniarzy.

Z ekscytacji podwinęłam kolana pod brodę. Sonny z uniesionym kącikiem ust zerkał na moje przejęcie i zaangażowanie. Cóż moge rzec, jego historia była obiecująca od początku, a gdy pojawił się w niej mój ojciec, porwała mnie do cna.

– Doprowadzili mnie z powrotem do niego, a on po mojej próbie ucieczki był jeszcze mniej zadowolony niż wcześniej. Zastanawiał się na głos, co ze mną zrobić. Panno Monet – zaśmiał się Sonny – byłem przerażony.

Parsknęłam również, a na ramionach i udach pojawiła mi się gęsia skórka. Nie miałam żadnych wątpliwości co do tego, że obawy Sonny’ego były uzasadnione. Wierzyłam, że tata potrafił wystraszyć niejedną osobę.

– Podszedł do mnie, złapał mnie mocno za ucho, nachylił się nade mną i powiedział, że sam ma pięciu synów, kilku z nich nawet

mniej więcej w moim wieku, i gdyby któregoś z nich złapał na czynie tak haniebnym, jak ta bezczelna kradzież, to przysięga, że ukarałby ich bez wahania i litości.

Przełknęłam ślinę.

– Chyba nie miał na myśli nic poważnego? – zachichotałam nerwowo.

– Nie brzmiał, jakby sobie żartował, ale nie wiem. – Sonny znowu wzruszył ramionami. – Wiem za to, że jego groźba podziałała, bo moja maska młodocianego buntownika spadła. Byłem tylko dzieciakiem i pan Camden Monet, widząc to, jednak się ulitował. Ostatecznie, panno Monet, to on był człowiekiem, który mi pomógł.

Uśmiechnęłam się blado, ucieszona, że ojciec nie okazał się w tej historii czarnym charakterem.

– Jak? – zapytałam. – Chyba nie zatrudnił trzynastolatka jako ochroniarza, co?

Sonny pokręcił głową.

– Pomógł mi przez swoją fundację. Trafiłem do rodziny zastępczej, skończyłem szkołę, jej późniejszy etap zaocznie i w skrócie tak związałem się z twoją rodziną, panno Monet.

Historia Sonny'ego sprawiła, że zaczęłam postrzegać go nieco inaczej. Zawsze był dla mnie cichym cieniem, który wszędzie za mną podążył i nie odzywa się niepytany. Dziś stał się w moich oczach bardziej ludzki i zyskał jeszcze większą sympatię.

Z chęcią pogadałabym z nim dłużej. Może dowiedziałabym się, w jakich okolicznościach nastoletniemu Sonny'emu urodziła się córka. Poza tym fakt, że mój ochroniarz tak dobrze zna mojego ojca, był dla mnie szalenie interesujący. Niestety na razie musiałam zadowolić się informacjami, które dostałam, bo zanim zdążyłam otworzyć usta, by zadać kolejne pytanie, na ulicy przed nami zatrzymało się złote porsche, którego silnik zamruczał ponagląjąco.



Dla kontrastu – w tygodniu fundacja, w której wciąż oficjalnie trochę pomagałam (głównie poprzez udział w sporadycznych konferencjach przez Skype'a), organizowała bankiet, żeby zedrzeć nieco pieniędzy z bogatych ludzi. Wybrałam się na niego w towarzystwie wszystkich braci. Wszystkich poza Dylanem, który jeszcze nie wrócił z Madrytu.

Zabraliśmy się dwoma samochodami. Zajechaliśmy już na miejsce, a ja przez chwilę nie wysiadałam, bo walczyłam z obluzowanym zapięciem sandałka. Zrobiło mi się miło, gdy Vince, który już stanął na zewnątrz, otworzył dla mnie drzwi. Szarmancko wyciągnął nawet rękę, którą najnaturalniej w świecie przyjął jako podporę, i siląc się na neutralny wyraz twarzy, wyłoniłam się z auta.

Wielu gości kojarzyłam z przyjęcia charytatywnego z przeszłości. Pojawiła się też obowiązkowo Ruby, na której widok bardzo się ucieszyłam. Była najbardziej przyziemną osobą wśród całej tej śmietanki i lubiłam z nią rozmawiać. Ciągłe miałyśmy ze sobą wirtualny kontakt, ale miło było zobaczyć ją na żywo.

– Hailie! – zawołała do mnie, po czym wyściskała mnie przyjaźnie i obejrzała od stóp do głów. – Wyglądasz jak prawdziwa dama! Piękna sukienka, do twarzy ci w butelkowej zieleni.

– Dzięki, Ruby – odparłam radośnie. – Ty też wyglądasz pięknie.

Ruby machnęła ręką na swoją szarą marynarkę i luźne spodnie. Stałyśmy tak i trajkotałyśmy sobie, co sprawiało mi przyjemność, ale najwyraźniej nie wszyscy za nią przepadali – gdy akurat gestykulowała dłonią, niechcący załadowała ją pod żebra przechodzącej obok kobiecie.

– Ojej, przepraszam – powiedziała natychmiast Ruby, odwracając się do nieznajomej.

Na jej nieszczęście była to Grace. Zdążyłam już się zorientować, że gustowała w klasycznych czarnych i szykownych sukienkach, które eksponowały ładnie jej krągłe piersi. W uszach miała ogromne kolczyki, na pewno warte zawrotną sumę. Brązowe włosy sięgające ledwo za uszy podkreśliła i wystylizowała w stylu lat dwudziestych. Usta, wykrzywiające się teraz w grymasie, czerwone. No i ależ ona była wysoka! Myślałam, że moje metr siedemdziesiąt to wzrost idealny, a jednak teraz, patrząc na nią, żałowałam, że natura nie ofiarowała mi więcej centymetrów.

– Przestań machać tymi swoimi kurzymi łapami – warknęła do Ruby z niesmakiem.

Ruby nie odpowiedziała. Najwyraźniej uznała, że jedno przeprosiny powinny wystarczyć. Sądząc po wyrazie jej twarzy, znała Grace.

Następnie siostra Adriana przeniosła spojrzenie na mnie, gotowa dla samej zasady zgromić nim rozmówczynię osoby, która jej podpadła, ale od razu mnie rozpoznała. Ostatecznie jej taksujący mnie wzrok wyrażał jedynie typową dla niej wyższość. Bez słowa odwróciła się i odeszła.

– Brr. – Ruby aż się zatelepała. – Ależ nieprzyjemna babka.

– Bardzo – zgodziłam się, w zamyśleniu wpatrując się w na wpół nagie, proste plecy oddalającej się Grace.

Przyznaję, na początku jej postać mnie ciekawiła. W tym momencie czułam, że zaczyna działać mi na nerwy. Być silną i świadomą swoich walorów kobietą to jedno, ale to, co reprezentowała sobą Grace Janderau, to już przesada. Byłam naprawdę coraz bliżej podejścia do Vincenta i zapytania, czy ona naprawdę jest aż tak dobra w łóżku, że nie może zwyczajnie kopnąć ją w jej zadufany tyłek i pogonić gdzie pieprz rośnie?

Bankiet okazał się nudny. Kilka razy mignął mi przed oczami Adrien, raz nawet zdążył puścić mi oczko, ale na szczęście nie znalazł okazji do poprowadzenia wspólnej rozmowy, a ja na pewno o to nie zabiegałam. Wręcz przeciwnie. W ogóle nie czułam się swobodnie w tak snobistycznym towarzystwie i kiedy obok jednego ze szwedzkich stołów dostrzegłam bliźniaków, podeszłam do nich, nareszcie się trochę odprężając.

Zarówno Shane, jak i Tony obserwowali otoczenie podobnie znudzonym i lekko drwiącym wzrokiem. Gdy stanęłam obok nich, poczułam z nimi więź. Jakbym, chodząc po sali, była błakającym się po planszy puzzlem, który wreszcie znalazł swoje miejsce.

– Co tam, mała Hailie? – zagadnął Shane, wrzucając sobie do ust jedną z wystawionych na złotej tacy czekoladek.

– Nuda – mruknęłam, a bliźniacy zgodnie pokiwali głowami. – Daj mi jedną.

– Ach, ach, nu, nu – zaprotestował irytująco protekcyjnym tonem, odpychając lekko moją wyciągniętą dłoń. – To czekoladki z absyntem.

– Z czym?

Bliźniacy rzucili mi pobłażliwe spojrzenia.

– Takim mocnym alkoholem nie dla małych dziewczynek – wyjaśnił Shane.

Westchnęłam tylko, ale nie chciałam się kłócić. Nawet nie miałam ochoty na te głupie słodycze.

– Czy bankiety zawsze tak wyglądają? – zapytałam monotonnym głosem.

– Bo ja wiem? Mam wrażenie, że ten jest wyjątkowo zamulony – stwierdził Shane.

Tony pokiwał głową, wzdychając ciężko.

Jeden z kelnerów zaserwował obok nas półmisek z roladkami z łososiem i na chwilę się nimi zajęliśmy. Pochylając się nad stołem, napychaliśmy sobie nimi usta i parskaliśmy w tym samym czasie. Tony zdołał włożyć sobie do buzi dziesięć. Dziesięć roladek. Prawie popłakałam się ze śmiechu. Zwykle takie głupoty mnie nie bawią, ale ten bankiet był naprawdę nużący.

– E, Tony, mam dla ciebie wyzwanie – zagaił Shane, gdy wszystkie roladki zniknęły i znowu wyprostowaliśmy się, wracając do szarej rzeczywistości.

– Dawaj.

– Dam ci dwie stowy, jak podejdziesz i spojrzysz jej w cycki. – Shane wskazał na Grace, która stała z boku i popijała szampana ze smukłego kieliszka. Też wyglądała na znudzoną, ale ona zawsze sprawiała takie wrażenie.

Tony prychnął.

– Łatwizna.

Przetarł usta serwetką i ruszył. Z Shane'em staliśmy obok siebie i się przyglądaliśmy. Na ustach Shane'a błędził uśmiezek. Był zadowolony, że wreszcie coś się dzieje. Ja dyskretnie przykrywałam buzię dłonią, nie dowierzając, że Tony odważy się podejść do tej jędry.

– Ups – wymsknęło mu się, gdy udał, że przechodzi obok, potyka się i wpada na Grace, która natychmiast zmierzyła go spojrzeniem zza zmrużonych powiek.

Tony nie szturchnął jej, ani nawet nie dotknął. Trzymał rękę tuż nad jej na wpół przykrytym czarnym materiałem sukienki dekoltem i wgapił się w niego sekundę dłużej, niż wypadało. W końcu się odsunął bez cienia zażenowania. Nawet uśmiechnął się do Grace drwiąco.

Ta powoli popatrzyła na swoje piersi, potem na wytatuowaną dłoń Tony'ego, a na koniec spojrzała w jego oczy, unosząc wysoko brodę.

– Chciałbyś, żebym w zamian cię gdzieś pomacała czy o co ci chodzi? – zapytała, minimalnie się do niego zbliżając.

Tony wzruszył obojętnie ramionami.

– Jak chcesz, to możesz.

Kąciki jej ust uniosły się w pełnym wyższości uśmiechu. Podniosła swoją smukłą dłoń i poklepała nią leciutko policzek Tony'ego, prezentując swoje długie i perfekcyjne krwistoczerwone paznokcie. Następnie, wciąż z kieliszkiem szampana w ręce i głową uniesioną wyżej, niż było potrzeba, wyminęła go, rzucając kątem oka zadufane spojrzenie mnie i Shane'owi, którzy bezwstydnie i cali czerwoni kuliliśmy się ze śmiechu.

– Wisisz mi dwie stowy – rzucił luźno Tony do brata, gdy nieporuszony wrócił do nas.

– Było warto, bo przynajmniej przez pół minuty coś się działo – westchnął Shane.

– Odbijemy to sobie na zakończenie roku.

Shane natychmiast się ożywił.

– O tak – zasyczał, zacierając ręce.

– Ej, co sobie niby odbijecie? – zapytałam, marszcząc brwi. – Co będzie na zakończenie roku? O co chodzi?

Bliźniacy spojrzeli na mnie z czającymi się na ustach figlarnymi uśmiechami.

– Twoi bracia, mała Hailie – zaczął Shane z widocznym zadowoleniem – organizują imprezę na koniec szkoły.

– Organizujecie imprezę?

Tony parsknął na widok moich rozbłąsanych oczu.

– Tak, młoda, imprezę – potwierdził i nachylił się lekko w moją stronę, dodając: – Taką absolutnie wyjebaną w kosmos.



20 DOMÓWKA U MONETÓW

Blizniacy Monet mieli wiele ukrytych talentów. Jednym z nich bez wątpienia było zorganizowanie imprezy, na którą z założenia chcieli zaprosić całą masę ludzi, chyba nawet znaczącą większość szkoły, jednocześnie tworząc wokół niej tak sztucznie ekskluzywną aurę, że ludzie uwierzyli, iż znalezienie się na liście gości graniczy z cudem.

Wkrótce przekonałam się, że był to misternie zaplanowany zabieg, który miał na celu zapewnienie moim braciom ukończenie szkoły średniej z odpowiednim przytupem. Przez ostatnie momenty w murach akademii Shane i Tony błyszczeli jaśniej od gwiazd, napompowując przedimprezową atmosferę do absurdalnych rozmiarów.

Mówił o niej każdy. Szybko odkryłam, że z taką popularnością wiąże się ogromna odpowiedzialność, bowiem oczekiwania wszystkich wzrastały błyskawicznie. Ktoś podobno próbował nawet zhakować utworzone przez Shane'a wydarzenie na Facebooku, do którego, kierowany zwykle własnymi chimerami, dodawał sobie losowo osoby uznane przez niego i Tony'ego za godne zaproszenia. Na Twitterze zaś wręcz wrzało:

„Po imprezie u Monetów mogę umierać!!!”

„Nie istnieje lepsze rozpoczęcie studenckiego życia, don't change my mind”

„W sobotę o tej porze będę na***any u Monetów XD”

„Kocham ich #rodzinamonet”

„Shane, szykuj gumki”

– Boże, ohyda! – jęknęłam na widok tego ostatniego wpisu, na dodatek ozdobionego żenującą emotikonką uśmiechającego się grzesznie diabła.

Odepchnęłam telefon Mony, który trzymała przed moim nosem, przewijając palcem ekran w nieskończoność. Miałam po dziurki w nosie oglądania takich postów.

Moja irytacja sięgnęła zenitu, gdy niektóre zdesperowane dzieciaki zaczęły zaczepiać mnie na korytarzach. Sporo z nich ubzdurało sobie, że Hailie Monet ma coś do powiedzenia w sprawie listy gości, co było porażająco błędnym myśleniem, biorąc pod uwagę, że prawie do samego końca ja sama nie mogłam doprosić się o własne zaproszenie.

Cofnijmy się do bankietu, na którym dowiedziałam się o planach bliźniaków. Ręce trzymałam podparte na biodrach opiętych delikatnym materiałem sukienki i z uniesioną brwią patrzyłam na stojących przede mną chłopaków, którzy w jednym momencie pożałowali, że pochwalili mi się swoimi zamiarami.

– To impreza tylko dla naszego rocznika, no i dla kilku osób z uniwerku od Dylana... – tłumaczył mi Shane, zezując znacząco na swojego bliźniaka.

Patrzyłam, jak szarpie się z kłiszą winogron, która obficie wypełniała przestrzeń połączanej patery na środku stołu. Kręcąc głową, prychnęłam:

– Proszę cię. Nie wierzę ci.

– I tak nie bawiłabyś się dobrze – wtrącił się Tony. – To będzie zwykła nudna domówka. Taka z dużą ilością alkoholu i tak dalej. A tobie przecież nie wolno pić.

– Przed chwilą powiedziałeś, że to będzie impreza wyjebana w kosmos!

– Nie przeklinaj.

– I wcale nie powiedział, że będzie wyjebana, a... yyy... zjebana – dodał Shane, wrzucając sobie do ust kilka winogron jedno po drugim.

– Co? – Uniosłam brew jeszcze wyżej.

Tony zarechotał.

– No tak, tak właśnie powiedziałem. Będzie zjebana w kosmos, w sensie, że do dupy.

– Tylko byś się wynudziła, mała dziewczynko.

– Jesteście beznadziejni – oznajmiłam, a ręce mi opadły przy akompaniamencie ciężkiego westchnięcia.

– Jesteście niepoważni! – warknął ktoś głośno.

Wszyscy w trójkę podnieśliśmy zaalarmowani głowy. Przez jedną piękną chwilę myślałam, że ktoś tu właśnie staje w mojej obronie i zamierza ochrzanić bliźniaków za dyskryminowanie młodszej siostry, ale niestety nie o to się rozchodziło.

Podszedł do nas Will, który w tak eleganckim wydaniu i na dodatek z nastroszonymi teraz brwiami i zacisniętą mocno szczęką przypominał Vincenta jak nigdy. Mógłby być jego wierną kopią, gdyby nie jego o ton ciemniejsza karnacja i jaśniejsze włosy, których nie zaczesywał w tył, jak nasz najstarszy brat miał w zwyczaju. Także jego oczy, mimo iż teraz widocznie poirytowane, wciąż nosiły ślady ukrytego w nich ciepła.

Okazało się, że od dłuższego czasu przyglądał się nam z drugiego końca sali i widział, jak Tony podejmuje się głupkowatego wyzwania, które rzucił mu Shane.

– O co ci chodzi? – zdumieli się chłopcy, zadając to pytanie jednocześnie, jak na bliźniaków z krwi i kości przystało.

Nie wiem, czy tylko udawali głupich, ale ja wycofałam się nieco, żeby nie narażać się w pierwszej linii na złość ulubionego brata.

– Tak cię bawi molestowanie seksualne? – Will wpatrywał się w Tony’ego z powagą.

– Bez przesady, jakie molestowanie? Nawet jej nie dotknąłem.

Will złapał za kłapę jego czarnej marynarki, gdzieś na wysokości klatki piersiowej, i zacisnął na niej palce, przybliżając do niego swoją twarz. Poczulałam się niekomfortowo, widząc, jak wielka reprimenda kryje się w jego spojrzeniu.

– A co to miało być? – syknął. – Po co ją tak głupio zaczepiasz? Grace? Serio?

– Jaki masz problem? Nikogo nie obmacywałem – klócił się Tony, również zaczynając się wyraźnie irytować. – Przecież bym jej nie dotknął.

– Potknął się – wtrącił się Shane.

Will rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Nie pogrążajcie się.

– Dobra, słuchaj – westchnął w końcu Tony, wywracając oczami, i złapał Willa za nadgarstek, by ten rozluźnił chwyt na jego ubraniu.

– Normalnie bym tak nie zrobił. Ale to Grace. Ona wie, że to żarty.

W rezultacie palce Willa zacisnęły się chyba jeszcze mocniej.

– Nie obchodzi mnie, kto to. Masz się pilnować i zachowywać. Takie żarty są w ogóle nieśmieszne, rozumiesz?

– Dobra, już – odetchnął Tony, wywracając znowu oczami.

– Odpowiedz mi normalnie, chyba że wolisz porozmawiać z Vince’em.

Zrobiłam jeszcze jeden krok do tyłu. Maleńki, bo tuż za mną znajdował się stół. Złowieszczy ton Willa naprawdę mnie przerażał.

– No dobra, powiedziałem, że rozumiem – burknął Tony, odchylając głowę.

– Porozmawiać o czym? – wtrącił się Vincent.

Musiał zainteresować się zgromadzeniem swojego rodzeństwa w jednym z kątów sali. Na pewno też zobaczył wściekłość Willa i z pewnością to przyciągnęło jego uwagę najbardziej. Will zwykle przecież trzymał nerwy na wodzy.

Na widok poważnej, jakby wyrzeźbionej w kamieniu twarzy Vincenta, jego lekko zmarszczonych brwi i jasnych, przenikliwych oczu zapragnęłam obejrzeć dokładniej posadzkę sali, w której odbywał się bankiet. Jej dębowe, lakierowane deski wydały mi się nagle niezwykle warte kontemplacji.

Will nie spodziewał się, że jego groźba sama przyjdzie i się spełni. Spróbował zebrać się w sobie i wreszcie puścił Tony’ego, wycofując się i robiąc tym samym miejsce dla prawowitego przywódcy tej rodziny.

Teraz już bliźniacy się spięli, wiedząc, że pojawienie się Vincenta zagęści atmosferę. Shane patrzył w bok, a Tony w sufit. Ja wciąż w dół. To musiało wyglądać zabawnie, ale nikomu nie było do śmiechu.

Will lakonicznie przedstawił zaistniały problem i nawet nie patrząc na Vince’a, domyślałam się, jak mocno zaciska szczękę.

– Co wy sobą reprezentujecie? – syknął na nich cicho i ostro. – Nie życzę sobie nigdy więcej słyszeć, że zabijacie nudę w tak prymitywny sposób. I to z siostrą Santana. – Pokręcił głową. – A gdyby Adrien to widział i zdecydował, że podobnie pobawi się z waszą?

Tony bez słowa spojrział na Vincenta, a mnie zrobiło się sucho w ustach.

– Wiecie dobrze, jak to u nas działa, czyż nie? Zasada oko za oko coś wam mówi? – wyszeptał surowo.

Tony skinął głową, wreszcie z należytą powagą. Widząc to, Vince odsunął się od niego, a na koniec jeszcze swoje trzy grosze dorzucił

Will, palcem wskazującym celując w bliźniaków.

– Nie wspominając już o tym, że takie pokazówki na oczach waszej młodszej siostry nie są dla niej dobrym przykładem.

Pobladałam lekko. Czułam się trochę winna, bo mimo iż obrywało się w sumie tylko chłopcom, to w końcu ja też rechotałam głupio z wyzwania Shane'a.

Te słowa musiały wreszcie trafić gdzieś głęboko do świadomości Tony'ego, bo ten przestał już wywracać oczami, tylko skupił się na ich sensie. Taka reakcja wystarczyła, by usatysfakcjonować Vince'a, który na koniec tylko pokręcił jeszcze raz głową.

– Trzymajcie się z dala od siebie, jeśli nie potraficie się zachować, przebywając razem.

Następnie spojrzał na mnie, milcząco i w pełnej gotowości do usłyszenia jakiejś zasłużonej uwagi skierowanej w moją stronę, ale tylko wskazał na mnie podbródkiem, mrużąc oczy.

– A ty resztę tego wieczoru spędzisz obok mnie.

Nie śmiałam zaprzeczyć i tak chwilowy kryzys został zażegnany przez Vince'a, a rodzeństwo Monet rozdzieliło się i powróciło do uczestniczenia w bankiecie charytatywnym. Nie miałam już odwagi, żeby marudzić, jakie to przyjęcie jest nudne, ale gdybym tylko chciała, mogłabym napisać o tym całą książkę, i byłoby to o wiele ciekawsze zajęcie od przebywania tam.

Do samego końca sterczałam przy Vincencie, uśmiechając się do jego rozmówców tak szeroko, że potem w drodze do domu bolały mnie policzki. Wszyscy, z którymi rozmawiał mój brat, byli dla mnie niezwykle uprzejmi. Wszyscy poza Adrienem, który dyskretną drwiną kwitował wypisane na mojej twarzy znużenie.

Moje myśli błądziły wokół imprezy bliźniaków. Później ich o nią zagadywałam. Czasem też przyłapywałam ich na prowadzeniu dyskusji na jej temat, ale gdy próbowałam się wtrącić, zawsze mnie zbywali.

To była taka frustrująca, stereotypowa sytuacja, w której biedna młodsza siostra została wykluczona z szalonych planów snutych przez złych starszych braci.

W pewnym momencie byłam już tak rozdrażniona walką o uczestnictwo w tym przedsięwzięciu, że gdyby nie żałosne jęki Mony, to olałabym zarówno tę imprezę, jak i bliźniaków. Dałabym sobie spokój i tę noc spędziła pod kołdrą, z pudełkiem lodów i książką w ręku.

Moja przyjaciółka za bardzo się jednak napaliła na domówkę u Monetów, żeby pozwolić mi odpuścić, a ja byłam zbyt miękką bułą, by się jej postawić. W rzeczywistości sama chyba odrobinę chciałam się tam pojawić, mimo wszystko. Finalnie udało się to dzięki wstawiennictwu Willa i Vincenta, którym przez jakiś tydzień płakałam przy każdej możliwej okazji, jak bardzo mi jest przykro, że jako siostra braci Monet nie mogę się nawet pojawić na wydarzeniu oznaczonym swoim nazwiskiem.

Bliźniacy i Dylan, który wrócił z Hiszpanii na dwa dni przed imprezą, nie skakali z radości, że będą musieli bawić się na niej ze swoją młodszą siostrą, a ja zaczęłam się stresować, że przez nich nie będę tam mieć życia.

Na dodatek dowiedziałam się, że na krótko po imprezie lecę z chłopakami na wakacje. Nie żeby był to problem, ale krzyżowało to plany, które robiliśmy z Leo. Naiwnie uwierzyliśmy, że skoro rok szkolny się skończył, to znajdziemy choć jeden pełny dzień, który on będzie miał wolny od pracy, żeby spędzić go razem. Niestety, zapowiadało się, że wakacje nie będą sprzyjały naszym spotkaniom. Leo miał pracować teraz więcej i wyszło tak, że żeby spędzić z nim czas, zaprosiłam go na imprezę braci.

Leo na pewno potrafiłby wymienić ze sto innych miejsc, w których wolałby się znaleźć zamiast na domówce organizowanej przez moje zawzięte rodzeństwo, ale ze względu na mnie przyjął zaproszenie.

– Czekajcie, to impreza nie odbędzie się tutaj? – zdziwiłam się, gdy w obecności bliźniaków zastanawiałam się na głos, jak najlepiej umówić się z przyjaciółmi.

– Vince dostałby chyba piany na ustach – prychnął Tony.

– Szkoda chałupy – dodał Shane.

– To gdzie ją zrobicie?

– W wynajętej willi.

– Zajebista miejscóweczka.

– Basen jest wielki.

– Ma parter i dwa piętra, więc jest dużo pomieszczeń.

– Jest też otoczona lasem, dlatego żaden sąsiad się nie spłaczy, że muzyka gra za głośno.

– A działka ogrodzona jest wysokim murem. W razie czego policja dostanie się tam tylko przez główne wejście. A tak zawsze łatwiej kontrolować sytuację.

– To... – zaczęłam, ale zabrakło mi słów, więc mruknęłam cicho: – Wow.

Naprawdę byłam pod wrażeniem, bo pierwszy raz widziałam, żeby bliźniacy aż tak zaangażowali się w jakiś projekt. Sama nie uczestniczyłam w przygotowaniach do imprezy, bo z traktującymi mnie na każdym kroku protekcyjnie chłopakami żadna to dla mnie frajda.

Za to sporo czasu spędziliśmy razem w dniu zakończenia roku szkolnego. Moje nie było niczym nadzwyczajnym, ot otrzymałam jedno z najlepszych świadectw w szkole, gratulowano mi i dodatkowo obdarowano kosztem prezentowym, który dumny Will zapakował do samochodu i którego zawartość do teraz jest mi nie do końca znana, bo zajęli się nim za mnie Dylan z bliźniakami.

Ważniejsze było zakończenie bliźniaków – podniosłe wydarzenie, w którym uczestniczyliśmy wszyscy. Nawet Vincent wyrwał się z pracy, by towarzyszyć chłopcom w tak ważnym w ich karierze akademickiej momencie.

Rodzeństwo Monet w komplecie w miejscu tak przyziemnym jak akademia wzbudzało nie lada zainteresowanie. Zwłaszcza na Vincenta zerkano częściej, niż wypadało, ale mój najstarszy brat radził sobie z tym z fenomenalną obojętnością.

Shane i Tony wyglądali identycznie w bordowych szatach absolwenckich i tych śmiesznych, kanciastych czapeczkach z frędzlem. Wydurniali się do końca, a gdy z widowni oglądaliśmy, jak odbierają na scenie swoje dyplomy, ja i Dylan krzyczeliśmy i klaskaliśmy najgłośniej. Prosto ze szkoły pojechaliśmy wszyscy dwoma autami do restauracji, w której ten uroczy dzień zwieńczyliśmy obiadem i deserami.

Przez cały dzień nie zerkałam w telefon, więc dopiero wieczorem zobaczyłam, że otrzymałam wiadomość od Winter. Wcześniej Leo przekazał mi, że zadania okazały się rozwiązane bezbłędnie i że dziewczyna znowu prosi o mój numer, by mi podziękować. Tym razem łaskawie się zgodziłam, by jej go podała, no i potem tego pożałowałam. Dlaczego?

Bo Winter w ramach rewanżu zaproponowała, że zabierze mnie i Monę na kawę. Chyba wzięła sobie do serca bezpośrednie uwagi mojej przyjaciółki, których nasłuchiwała się u Leo. Niestety, nie miałam czasu na jej miłe gesty, zwłaszcza gdy zaproponowała akurat sobotni wieczór.

– Pewnie nie ma za wielu znajomych, a chciała z kimś poświętować zakończenie roku szkolnego, dlatego wybrała taki termin – stwierdziła Mona z właściwą naszej antypatii do Winter dozą pogardy.

Szybko zaczęła pluć sobie w brodę za wypowiedzenie tych słów, bo wzbudziły we mnie litość. Zrobiło mi się smutno. Szczególnie że przypominałam sobie, jak Winter robiła wyrzuty swoim przyjaciołom, że nie mają czasu się spotykać. Może ona naprawdę jest samotna? To nie tak, że miałam ochotę z tego powodu ją zabawić, ale ostatecznie zaproponowałam jej, żeby poszła na imprezę moich braci z nami.

Mona do samego końca kręciła głową i mruzczała „nie wierzę” za każdym razem, gdy jej się przypominało, że zaprosiłam naszego „wroga”, ale ja zbywałam ją machnięciem ręki, nie chcąc tego roztrząsać, zwłaszcza że sama też nie byłam przekonana do tej decyzji.

Na imprezę zawiózł nas Shane. Nie powiedziałam mu, że biorę ze sobą Leo, i gdy mój przyjaciel wcisnął się na tyły auta z Moną i Winter, został przywitany jego wrogim spojrzeniem. Trwało to tylko chwilę, bo szturchnęłam brata ostrzegawczo, a zaraz potem ktoś do niego zadzwonił i Shane przez całą prawie drogę wisi na telefonie. Miał założone słuchawki i rozmawiał najpierw z Tonym, potem z jakimś dwoma innymi chłopakami, potem z dziewczyną, a potem znowu z Tonym. W tym czasie ja zerkałam przez okno na mroczne, ciemniejące już niebo, drzewa i pojedyncze auta, które oslepiły nas światłami, gdy się mijaliśmy. Z głośników leciała muzyka, trochę przyciszona, żeby nie przeszkadzać Shane’owi w telefonowaniu, ale wystarczająco głośna, żeby uniemożliwić mi uczestnictwo w wymianie zdań, która miała miejsce między pasażerami na tylnym siedzeniu.

W rzeczywistości tylko Mona i Leo coś do siebie bąkali, bo w bocznym lusterku widziałam, jak Winter z ponurą miną zerka przez szybę. Nie skakała z radości, że jedzie autem Monetów na imprezę Monetów, i to w towarzystwie dwójki Monetów.

Obserwując jej pobladłą twarz i pochmurne spojrzenie, próbowałam zrozumieć, czy rzeczywiście przyjęła moje zaproszenie, bo jest tak bardzo samotna, czy może chciała być blisko Leo...?

Na szczęście, zanim zdążyłam się nakręcić, dotarliśmy na przepelniony ludźmi podjazd wynajętej willi.

– O Jezu, Jezu! – Mona aż zatupała nogami z ekscytacji, odpinając pas, żeby wychylić się do przodu.

– Impreza oficjalnie miała rozpocząć się o ósmej, więc większość ludzi przyszła na dziewiątą, a my wpuścimy ich o dziesiątą. Na razie robimy sztuczny tłum na podjeździe i od czasu do czasu pozwalamy wejść jakiejś grupie, żeby powoli zapełniać przestrzeń – wyjaśnił Shane, ignorując nasze uniesione brwi. – No dobra, to wysiadka, ja mam jeszcze coś do załatwienia.

Zostawił nas na podjeździe – zbitych w grupkę, zdezorientowanych i czujących się nieswojo. Sam odjechał, cudem nikogo nie potrącając i mrużąc coś pod nosem. Mogły to być obelgi albo ktoś znowu do niego zadzwonił.

Na trawniku obok zatrzymał się czarny wóz, z którego wyłonił się Sonny. Nie przejmował się szukaniem ustronniejszego parkingu. Nie bał się, że ktoś mu zniszczy samochód. Prawdopodobnie i tak opłacał go Vincent.

Willi była nowoczesną bryłą o nieregularnych kształtach. Tak jak mówili bliźniacy, otaczał ją ciemny las. Jej białe ściany wyróżniały się na czarnym tle drzew. Okna oświetlały ukryte lampy, tak samo drzwi wejściowe, spod których ciągnął się wężyk ludzi. Stali w grupach, śmiali się, hałasowali, palili papierosy i czekali. Niektórzy z nich zaczęli swoją własną imprezę już na podjeździe.

– Spora kolejka – zauważyła nieśmiało Winter.

– Nie będziemy w niej stać – powiedziałam. – W końcu to impreza moich braci.

Mona uśmiechnęła się dumnie i szeroko, słysząc, jak pewnie zabrzmiał mój głos.

Wkroczyłam w sam środek tłumu. Sprawnie się w nim przeciskałam, brodę trzymając w górze i nikogo nie zaszczycając zbyt długim spojrzeniem. Za mną podążali posłusznie mój ochroniarz, przyjaciele i Winter. Sporo osób zerkało na nas z zaciekawieniem lub z irytacją, ale na twarzach większości pojawiało się po prostu zrozumienie, gdy tylko dostrzegali, że to Hailie Monet omija właśnie kolejkę. Nikt nie odważył się na głos negować mojego prawa do specjalnego traktowania.

Młody chłopak stojący w drzwiach w jaskrawej koszulce i z bawełnianą czapką na głowie co chwila gubił wzrok w tablecie, przewijając listę gości. Gdy spróbowałam przepchnąć się obok, zareagował i złapał mnie za ramię.

– Chwila – zawołał, ale od razu mnie rozpoznał i natychmiast zabrał rękę. – O.

– Ta czwórka jest ze mną – poinformowałam go, kciukiem wskazując za plecy.

– Jasne.

– Rany, Hailie, ale to genialnie zabrzmiało! – wyszeptła Mona do mojego ucha, prawie sikając po nogach z ekscytacji, gdy znalazłyśmy się już w środku.

Salon z kuchnią był olbrzymi, a przez szklane ściany można było zobaczyć ogród i wiedziałam, że to właśnie tam będzie się rozgrywała prawdziwa impreza. W oczy rzucał się najbardziej głęboki błękit ogromnego basenu, to tam było też najwięcej światła i to stamtąd dochodziła coraz głośniejsza muzyka.

Chciałam się przebrać, ale nie było nawet gdzie usiąść. Wielka kremowa kanapa pomieściłaby co prawda z piętnaście osób i choć aktualnie siedziało na niej nie więcej niż siedem, nie byłam jeszcze gotowa, by się socjalizować.

– Co on tu robi? – Rozbrzmiał głos oburzonego Dylana, który wyrósł jak spod ziemi tuż przede mną.

Na tle czarnej luźnej koszulki majtał mu się jakiś wisiorek na długim drobnym łańcuszku. W Madrycie spędził niecały tydzień, a mimo to zdążył się nieźle opalić, tak że jego skóra kontrastowała mocno z jasnymi ciuchami. Rozbawił mnie tym, że na twarzy miał okulary przeciwsłoneczne, choć był już wieczór.

– Cześć – przywitał się uprzejmie Leo, machnąwszy mu obojętnie ręką. Był przygotowany na radzenie sobie tego wieczoru z niechęcią braci Monet.

Dylan pokręcił z niedowierzaniem głową, jakby nie mieściło mu się w niej, że po pierwsze, Leo miał czelność rzucić mu tak przyziemne pozdrowienie, a po drugie, że ja śmiałam go tu w ogóle przyprowadzić.

– Chcemy się przebrać i przygotować – oznajmiłam, ignorując jego fochy.

Gdy tylko Dylan przestał gromić Leo spojrzeniem, wprowadził nas na schody. Każdy drewniany stopień osobno podwieszony był na cieniutkich, przezroczystych żyłkach, tak że w efekcie wyglądały, jakby lewitowały w powietrzu, ale były zaskakująco stabilne. Pokój, do którego nas wprowadził, był niewielkich rozmiarów, zdecydowanie zagracony przez ogromne łóżko. W ogóle mi to nie przeszkadzało, bo nie zamierzałam spędzać w nim dużo czasu.

– Tu macie spanie – oznajmił Dylan, a potem sprostował, wskazując na mnie i Monę: – Wy. A ty... – Tutaj machnęła palcem w stronę Leo. – Tobie powodzenia w znalezieniu sobie jakiegoś innego pokoju. Najlepiej jak najdalej od mojej siostry, *capisci*?

Leo skinął głową, rozsądnie nie wdając się z Dylanem w dyskusję. Mój brat bowiem uparcie go testował, mierząc go spojrzeniem, aż dostrzegł czającą się z tyłu Winter.

– A ta to kto? – zapytał, ale tak naprawdę go to nie obchodziło, bo wyrócił oczami, po czym zwrócił się z powrotem do mnie i burknął: – Ile żeś naspraszała tu osób, co?

– Nie zaczynaj – mruknęłam, podchodząc do łóżka i kładąc na nim torbę z rzeczami.

– Pamiętaj, że masz lulać równo przed północą.

– Dylan, nie rób mi siary – westchnęłam.

Mona, chichocząc, też zaczęła się rozpakowywać.

– Robi enie ci siary to moje drugie imię, dziewczynko. – Dylan mrugnął do mnie złośliwie. – Dobra, lecę na dół. Jak zejdziesz, masz się u mnie zameldować, jasne? A, zawsze pamiętaj, żeby zamykać drzwi na klucz, bo inaczej gwarantuję, że nim się obejrzyysz, ktoś ci tu po pijaku wlezie i skubnie rzeczy, zarzyga łóżko albo, nie wiem, zorganizuje orgię.

– Fuj.

– *Adiós i see ya.* – Machnęła na odchodne i zamknęła za sobą drzwi. Na szczęście nie kazał wygonić Leo. Zarówno on, jak i Winter zdawali się czuć tu wystarczająco nieswojo.

Oba okna w pokoju wychodziły na las i dach, ale gdy Mona wychyliła się wystarczająco, krzyknęła, że widać kawałek basenu i okolicę, która z minuty na minutę coraz liczniej zapełniała się gośćmi.

– Tu jest dużo pomieszczeń, na pewno znajdziemy wam miejsce do spania – obiecałam przeproszającym tonem Leo i Winter. Czuję się odpowiedzialna za ludzi, których zaprosiłam, zwłaszcza że Dylan zademonstrował, jak bardzo się nimi nie przejmuje. – A jeśli będzie problem, to Winter może położyć się z nami, a wtedy już na pewno ogarniemy coś dla jednej osoby.

Żeby nie było, że jestem taka wspaniałomyślna – po prostu drżałam na samą myśl, że z powodu deficytu łóżek Leo miałby wyładować z nią w jednym.

Podczas szykowania się doceniłam nadopiekuńczość moich braci. Czasami wychodziła mi na dobre – dziś chłopcy załatwili mi pokój z osobną łazienką, co ułatwiło nam cały proces.

Mona malowała mnie przy akompaniamencie imprezowej playlisty, którą puściła z telefonu. Łaskawie zaproponowała nawet zrobienie kresek Winter, ale ta odmówiła i może się mylę, ale wyglądała, jakby resztkami woli powstrzymywała się przed wygłoszeniem wywodu na temat naturalności. Nawet ją trochę podziwiałam, bo ja, żeby poczuć się komfortowo w tym oceniającym towarzystwie, potrzebowałam profesjonalnie i starannie nałożonej tapety.

Winter siedziała na fotelu w kącie, nic się nie odzywała, co chwila zerkała w telefon i wyglądała generalnie, jakby to było ostatnie miejsce na świecie, w jakim pragnęła teraz być. Nie zwracałam na nią uwagi, więc nie przeszkadzała mi jej zła energia. Zamiast tego skupiałam się na chichotach z Moną.

– Czuję się, jakbym oglądał serial dla nastolatek – skomentował Leo z rozbawieniem. – Ile można gadać o butach?

– To ważna sprawa, Hailie po raz pierwszy będzie miała na nogach wyższy obcas – odparła Mona, po czym zwróciła się do mnie, bo właśnie wstałam: – I jak?

– Dziwnie – odparłam z czającą się w głosie ekscytacją. – Nie jestem za wysoka?

Ukradkiem zerknęłam na Leo, a on uśmiechnął się lekko.

– Wyglądasz pięknie.

Uśmiechnęłam się też i spojrzałam na siebie w lustrze. Naprawdę trzeba było się postarać, by dobrać taki strój na imprezę, by wyglądać ładnie i dziewczęco, a jednocześnie seksownie, ale nie wulgarnie.

Schodząc po schodach, uważnie stawiałam kroki. Co prawda miałam dość stabilny, acz wysoki obcas. Minęłam ciągnące się od podłogi aż po sufit akwarium pełne kolorowych egzotycznych ryb i roślin, podświetlane na wszystkie barwy tęczy. Tutaj kazał mi czekać Dylan. Chciał, żebym mu się zameldowała, i doskonale wiedziałam, po co oraz dlaczego tego nie zrobię. Na pewno planował przywalić się do mojego stroju.

Raczej nie powinien mieć obiekcji do długich spodni w kolorze bieli powlekanej srebrną nitką, które były tak luźne i pofalowane jak harmonijka, ale już czarna bluzeczka, która odkrywała trochę brzucha, mogła być problemem. Trzymała się na cieniutkich ramiączkach, które krzyżowały się na moich do połowy nagich plecach. Specjalnie po zakręceniu włosów nie spięłam ich, żeby w razie czego móc je nimi przykryć.

Mona wcisnęła się w jasne podarte szorty i biały top z długimi frędzlami, które drgały przy każdym jej ruchu, i jedynie Winter wyraźnie od nas odstawała, bo nawet się nie przebrała. Włosy miała spięte w tę samą co zwykle krótką kiteczkę, a czarną koszulkę wpuściła na równie czarne szorty.

Najbardziej podobało mi się to, że Leo założył moją bluzę.

Skierowaliśmy się do kuchni. Podczas naszej nieobecności przybyło więcej ludzi. Było głośno, a szczególnie oblegane stały się szerokie blaty w kuchni, gdzie każdy przygotowywał drinki. Mona, Leo i Winter też nimi nie pogardzili i tylko ja schyliłam się, by sięgnąć po karton soku ananasowego.

– Pomóc, mała?



21

LOS DYLANOS

Zacisnęłam palce na opakowaniu i wyprostowałam się, nie dowierzając. Nikt nigdy tak do mnie nie mówił. Z chłopakami najwięcej do czynienia miałam w akademii, a tam każdy wiedział, że kilka niewłaściwych słów skierowanych w moją stronę mogło załatwić im miejsce na cementarzu.

Odwrociłam się, unosząc brwi.

– Czy ty właśnie nazwałaś mnie „mała”? – prychnęłam w twarz uśmiechającego się do mnie zalotnie Tylera. Toż to kumpel bliźniaków ze szkoły.

Często im na mnie skarżył.

– O kurwa. – Mina natychmiast mu zredła. – Sorry. Nie poznałem cię, Hailie, sorry.

Może i bym odpuściła, ale nie przepadałam za Tylerem i jego długim jęzorem, a poza tym akurat podszedł do nas Shane. Od czasu, gdy przywiózł mnie na imprezę, zdążył gdzieś pojechać, wrócić i już się trochę podpić, sądząc po jego głupkowskim uśmiechu, który rozmył się na mój widok. Nawet zmarszczył brwi.

– Hailie? – Obejrzał mnie z góry na dół. – Jak ty wyglądasz?

Odstawiłam sok na blat i rozłożyłam ręce z poirytowaniem, podczas gdy Tyler lypał na niego lekliwie.

– Co ci się nie podoba, Shane? – warknęłam.

– No już, nic, nie chodzi o to, że mi się nie podoba – zmieszał się, widząc moją wrogość. Musiał mieć dobry humor. – Po prostu wyglądasz jak niezła laska, a przecież jesteś moją małą siostrzyczką. – Wyciągnąwszy do mnie rękę, objął mnie delikatnie, niby to niechcący naciągnął mi bluzkę na odkrytą część brzucha i łagodnym tonem szepnął do ucha: – Uważaj na siebie, okej?

Rozejrzał się też, pewnie za Sonnym, a ja uśmiechnęłam się i zmrużywszy oczy, spojrzałam na Tylera, który cichaczem zaczął się wycofywać.

– Okej – odparłam miękko, po czym dodałam niewinnie: – Możesz też upomnieć swoich kolegów, żeby się pilnowali i nie zaczepiali chamsko dziewczyn. Tyler na przykład właśnie próbował do mnie zarywać.

Tyler, słysząc moje oskarżenie, zastygł w miejscu, a oczy wyszły mu z orbit. Przełknął też ślinę, gdy Shane momentalnie uniósł głowę i rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Co? – syknął, a ramię, którym mnie obejmował, zeszywniało.

– Nie jestem pewna, co miał na myśli, mówiąc do mnie „mała”.

Shane wystrzelił w jego kierunku tak błyskawicznie, że poczułam powiew wiatru na twarzy.

– Stary, to nie tak, nie rozpoznałem jej! – wołał Tyler.

Shane popchnął go gdzieś w tłum i zniknęli, a wtedy przy mnie akurat stanęli Mona z Leo i Winter. Dziewczyny ścisnęły w dłoniach czerwone kubki, a Leo trzymał ciemną butelkę piwa.

Wyszliśmy najpierw na wyłożony ciemnymi deskami taras. Oświetlały go okrągłe lampki poustawiane na balustradzie, przyniesiono tutaj też głośniki. W jednym z kątów zaaranżowano strefę relaksu, w której stały szerokie kanapy, teraz zaanektowane przez Dylana i jego kumpli ze studiów. Rozpoznałam go po jego głośnym rechocie. Właśnie otwierał sobie piwo, które wyciągnął z dmuchanego brodzika. Tak, na niskim stoliku stał kolorowy basenik w pszczołki, taki dla malców. Wystawały z niego butelki i puszki piwa. Leżały w kostkach lodu, którymi zbiornik był wypełniony aż po brzegi.

Przy prawdziwym basenie co chwilę rozlegał się plusk, gdy jacyś chłopcy wskakiwali do wody, albo piski dziewcząt, które siedziały w szpanerskich bikini, mocząc zgrabne, nasmarowane błyszczącymi olejkami nogi.

Jeszcze inni ludzie tańczyli lub tylko bujali się w rytm muzyki, za którą odpowiedzialny był wynajęty przez moich braci DJ – śmieszny chudy facet w ufarbowanych na zielono włosach.

Im dłużej trwała impreza, tym więcej głupich pomysłów się pojawiało. Jakaś dziewczyna kuciała i piła na czas wódkę przez wężyk podłączony do lejka. Wygrała, a potem zasnęła na leżaku. Zorganizowano też konkurs, kto pierwszy opróżni puszkę piwa. Najpierw trzeba było nią wstrząsnąć, a potem dziabnąć jej ściankę nożem i przyłożyć usta do dziury, z której pod ciśnieniem lała się zawartość. Jeden z takich pojedynków wygrał Tony. Musiało go niezłe trząchnąć, bo potem widziałam go w basenie, jak ujeżdżał dmuchanego delfina w rytm muzyki, rozbawiając wszystkich do łez. Mona aż się zarumieniła i musiała powachlować się dłonią.

Coś huknęło i posypała się lawina konfetti. Co chwilę ktoś przebijał też balony – czasem specjalnie, a czasem przez przypadek. Jako osoba trzeźwa widziałam, że pod wpływem alkoholu ludzie pomału tracą nad sobą kontrolę. Zaczynał panować chaos.

Dużo tańczyliśmy z Moną. Moje wysokie buty naprawdę zdawały egzamin. Przez jakieś pół minuty udało mi się pobujać się z Leo, ale wtedy szybko odbił mu mnie Dylan, na co zareagowałam głośnym i dramatycznym westchnięciem. Mój brat podszedł też do mnie kilka razy z zaskoczenia, żeby upić łyk tego, co miałam w kubeczku, i upewnić się, że to nie alkohol.

Grałam też z Moną i Leo oraz innymi w Jengę. Gdy wieża przeze mnie runęła, musiałam udać, że wraz z sokiem popijam również wódkę. Nawet skrzywiłam się dla efektu. Leo wkręcił się zaś do beer-ponga. Wygrał w drużynie z Shane'em.

W którymś momencie ludzie zaczęli wchodzić na dach, tak że z lotu ptaka willa musiała wyglądać na obłożoną, trochę jak w filmach o zombie. Do dziś dziwię się, że nikt nie zrobił sobie krzywdy. Sama miałam ochotę się tam wspiąć, bo panujący tu szal zwyczajnie mi się udzielił, ale wtedy napotkałam wzrokiem znaczące spojrzenie Sonny'ego, które przywołało mnie do porządku.

Późno w nocy przyjechał dostawca z horrendalną liczbą pizz, które zamówili moi bracia. Ludzie rzucili się na nie jak opętani i nie sądziłam, że uda mi się dorwać choć jeden kawałek, ale zadbał o mnie Tony, przechwytyjąc dla mnie całe jedno wielkie pudełko pysznej, cieplej i pachnącej pizzy, którą zjadłam zaraz z Leo.

Usiedliśmy sobie na tarasowych deskach i miałam szczerą nadzieję, że uda nam się pogadać na spokojnie, a może nawet przytulić. Chciałam tego, tym bardziej że wokół było sporo par i udzielił mi się romantyczny nastrój.

Po tarasie jednak ciągle ktoś się kręcił i nie mieliśmy tu prywatności. Grupka chłopaków ze studenckiej ekipy Dylana rozsiadła się niedaleko nas w wielkim kręgu. Głośno się śmiali, grając w jakąś grę i dużo pijąc.

Nie mogłam przestać się dziwić, jakimi strumieniami lał się tu alkohol. Nawet Leo trzymał przy swoim boku już którąś chyba z kolei butelkę piwa. Ja natomiast przestałam nosić ze sobą wszędzie swój kubeczek. I tak już za bardzo opilałam się sokiem. Było mi za słodko i na dodatek co chwila musiałam chodzić do toalety.

Teraz też mi się zachciało i przeprosiłam Leo na chwilę. Łazienka na dole była zbyt oblegana, więc potruczałam po schodach na górę, by skorzystać z tej znajdującej się w moim pokoju. Przy okazji przeraziłam się na widok wnętrza willi. Panował tu ogromny burdel. Ludzie siedzieli na kanapach, niektórzy rozwalali się na schodach, inni leżeli nawet na podłodze. W powietrzu unosił się też intensywnie ziołowy, ziemisty i trochę leśny zapach z nutą cytryny i jakby... oleju napędowego.

Wróciwszy na taras, odkryłam, że Leo został zwerbowany przez kumpli Dylana i grał teraz z nimi w najlepsze. W ich grupie co chwila wybuchały salwy śmiechu. Z uśmiechem błędzącym na ustach i rękami założonymi na piersi zbliżyłam się do nich i przystanęłam za plecami swojego przyjaciela.

Jeden z chłopców mnie dostrzegł i mrugnął do mnie.

– Co tam, chcesz zagrać? – zagadnął, machając w powietrzu butelką, którą właśnie miał zakreścić.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, któryś mądry się odezwał:

– Powaliło cię? To siostra Dylana.

– O. W takim razie nie było pytania. – Chłopak uśmiechnął się do mnie przepraszająco.

– Dzięki, popatrzę tylko – mruknęłam, z góry zerkając na blond włosy Leo.

– Chłopaki, dzięki za grę, ja spadam – rzucił do nich i chciał podeprzeć się ziemi, żeby wstać, ale wtedy pojawił się Dylan. Księżę, oczywiście, musiał od razu znaleźć się w centrum uwagi.

– A co to, podstawówka? – parsknął.

Dołączył do wianuszka, w jednej ręce ściskając butelkę piwa, a łokciem drugiej torując sobie drogę między kolegami. Nie podobało mi się to intensywne spojrzenie, jakie rzucił mnie, a potem mojemu przyjacielowi.

– Oho, Los Dylanos dołączył – zarechotał któryś z chłopaków.

– Ta. – Dylan machnął władczą ręką. – Dawajcie mi tę butelkę.

– Najpierw musisz odpowiedzieć na pytanie.

– Pytania zadawać będę ja.

– Najdziwniejsze miejsce, w jakim uprawiałeś seks? Dawaj.

Dylan westchnął.

– Krater wulkanu.

Wszyscy najpierw zamilkli, a potem ryknęli śmiechem. Ja skrzywiłam się, wzdychając głośno i przeciągle. Naprawdę nie chciałam tego słuchać.

– Tego się nie spodziewałem.

– Grubo.

– Co to był za wulkan?

– Teide na Kanarach – odparł Dylan, nieskromnie wzruszając ramionami.

– Dziewczyna musiała być jak lawa, gorąca – rzucił ktoś.

– Już, ogarnijcie się – upomniął ich Dylan, choć sam szczyrzył zęby. Nie prosił więcej o butelkę do gry, tylko opróżnił swoją i nachylił się, by jej użyć.

Pochyliwszy się nad Leo, dziabnęłam go w ramię.

– Chodźmy stąd, co? – zaproponowałam szeptem.

– Nie panikuj, mała siostrzyczko – odezwał się głośno Dylan, po czym zerknął na Leo ze złowrogim błyskiem w oku. – Tylko sobie gramy, nie, rycerzyku?

Leo uniósł brew na dźwięk przezwiska, ale zmilczał. Wiedziałam, że wolałby odejść ze mną, niż dawać się torturować Dylanowi, ale z jakiegoś powodu się nie ruszył.

– Jak chcesz grać, to graj, a nie gadaj – odpowiedział, a ja przygryzłam wargę, wiedząc, że Dylan niedobrze znosi pyskowanie.

Mój brat zmrzążył oczy. Jeszcze bardziej się rozepchnął, żeby mieć więcej miejsca, i położył butelkę na ziemi. Zakręcił nią i nawet nie sprawdzając, na kogo wypadło, palcem przesunął jej szyjkę tak, żeby wskazywała na biednego Leo, który nie spodziewał się niczego innego, jak nieczystego zagrania.

– O, co za zbieg okoliczności – skomentował Dylan, uśmiechając się cierpko. – Padło na rycerzyka.

– Bo oszukujesz! – zawołałam oburzona.

– Miałś iść do spanka przed północą, mała Hailie.

Westchnęłam niecierpliwie.

– Spoko, Hailie – powiedział do mnie Leo, nie odrywając wzroku od Dylana. – Twój brat musi mieć ważne pytanie. Niech je zada i będziemy mieć spokój.

Z Dylaniem nigdy nie będziemy mieć spokoju – chciałam to powiedzieć na głos, ale mój wredny brat uprzedził mnie.

– Fantazjujesz o mojej siostrze?

Rozległ się cichy plask, gdy dłonią uderzyłam o swoje czoło. Boże, co za idiota.

– Czasami – przyznał Leo. Aż sama rzuciłam mu złęknione spojrzenie, nie wierząc, że właśnie to powiedział. Zanim jednak mój brat zdążył przetworzyć jego śmiałą odpowiedź, dodał: – Czasami fantazjuję o tym, jak by to było, gdyby bracia Hailie trochę wyluzowali i dali jej żyć.

Z ust wyrwał mi się chichot.

Dylan zmrzążył oczy jeszcze bardziej.

– No okej, w takim razie teraz zobaczymy... Kto dostanie wpierdol... – Dylan znowu złapał za butelkę i udał, że nią zakręca, ale w rzeczywistości, cały czas kontrolując ją swoimi palcami, obrócił ją tak, żeby wskazywała na mojego przyjaciela. – Oho, kogo my tu mamy. Wygląda na to, że Leo dostanie wpierdol od Dylana.

Leo uniósł brew, a ja wtedy miałam już dość i pochyliłam się wściekle nad ramieniem jednego z licealnych kumpli bliźniaków, głupkowato chichrającego się teraz półgłówka, by wyrwać szklaną butelkę z rąk Dylana. Małpując jego wcześniejszy ruch, obróciłam nią, aby wskazywała w jego stronę i gromiąc go spojrzeniem, syknęłam:

– Wygląda na to, że Dylan dostanie wpierdol od Hailie.

Naszą publiczność zawyła z rozbawieniem na moją kontrę. Ktoś zaklaskał, ktoś wybuchnął śmiechem, a kilka osób wydało z siebie chóralne „Uuuu” zabarwione drwiną.

Leo i Dylan patrzyli na mnie zawieszeni jak komputery ze starym oprogramowaniem. Pierwszy ocknął się mój brat. Wyprostował się i zaczął wolno kręcić głową.

– Nie powiedziałaś tego.

Wyprostowałam się również, od razu żałując, że nie podniosłam butelki, bo w razie rękoczynów mogłaby okazać się bardzo użyteczna.

– Mam powtórzyć? – zapytałam zaczepnie.

Hailie, luz, przecież Dylan nie może cię zamordować na oczach tak licznej publiczności.

Zrobił krok do przodu, wkraczając w środek kółka i stawiając stopę obok butelki. Wpatrywał się we mnie, próbując mnie wystraszyć, a ja robiłam, co mogłam, by nie dać po sobie poznać, że jego sztuczki działają. Nawet cała się napięłam, byle tylko się przed nim nie cofnąć. Jeszcze nie teraz.

– Tak, mała dziewczynko, powtórz.

Świdrowałam Dylana spojrzeniem, ale bardziej niż na konfrontacji zależało mi na tym, żeby dał Leo spokój, więc zerknęłam na przyjaciela i ruchem głowy pokazałam w stronę wejścia do domu.

– Chodźmy stąd.

Zanim zdążył wstać, mój brat znowu się wtrącił:

– Nie tak szybko. – Postawił kolejne kroki w moją stronę. – Trochę się zagalopowałaś, dziewczynko.

Zacisnęłam palce w pięści. Siłą podświadomości zmusiłam się, by nie drgnąć i nie pokazać Dylanowi, że jego wielka, powoli zbliżająca się sylwetka mnie stresuje, choć w rzeczywistości cała zeszytniałam.

Nic ci nie robi, to Dylan, wielki i straszny, ale nieszkodliwy.

Kolejny krok.

Na ogół nieszkodliwy.

Kolejny.

No i przecież Vincent byłby niezadowolony, gdyby uśmiercił mu siostrę.

Jeszcze jeden.

Dylan wyciągnął rękę, by mnie złapać, przyciągnąć do siebie, szarpnąć mną, rzucić czy zrobić cokolwiek – tylko jemu były znane jego zamiary. Ostatecznie poddałam się na widok jego zbliżającej się ku mnie dłoni. Po prostu obróciłam się na pięcie i wystrzeliłam przed siebie.

Zbiegłam po drewnianych schodkach na brukowaną alejkę, przeklinając się w duchu za wybranie na imprezę butów na wyższym obcasie. Akurat dziś, kiedy muszę uciekać przed rozwścieżonym bratem!

Przepychałam się między ludźmi i gdy odwróciłam się kontrolnie, żeby zobaczyć lecącego za mną Dylana, wydarłam się na całe gardło, przekrzykując nawet muzykę. Wszyscy goście bawiący się na zewnątrz wiedzieli już, że Dylan goni Hailie, i coraz więcej z nich przerywało rozmowę, by popatrzeć na przedstawienie.

A było co oglądać. Dylan nie potrzebował wiele czasu, by mnie dogonić. Wydarłam się znowu, gdy jego ramię owinęło się wokół mojej talii. Z jękiem wpadłam na jego klatkę piersiową.

– ZOSTAW! – huknęłam, gdy ten kretyn podrzucił mnie, jakbym była piłką na sali gimnastycznej, i zrobił jakiś dziwny manewr, wskutek którego zawisłam przewieszona przez jego ramię.

Jak dobrze, że włożyłam spodnie – gdybym miała na sobie sukienkę, imprezowicze wkoło mogliby nacieszyć oczy jeszcze ciekawszym widokiem. A patrzyli na nas już chyba wszyscy. Widziałam ich odwrócone do góry nogami twarze. Prawie każda z nich była rozbawiona. Tylko mnie nie było do śmiechu. Czułam, jak krew napływa mi do twarzy, a włosy merdały się po niej irytująco. Ramię Dylana było zbyt silne, by się spod niego wyrwać, nawet mimo iż kilka razy udało mi się go całkiem mocno kopnąć.

– PUSZCZAJ! – darłam się dalej. Wkrótce zaczęłam dodatkowo walić go pięściami w plecy.

Dylan mnie ignorował i siedł ze mną szamoczącą mu się na ramieniu. Nie trzeba było być geniuszem zła, by zgadnąć, co zamierzał ze mną zrobić na imprezie w ogrodzie, którego przestrzeń zdominowana była przez wielki basen.

– Nawet się nie wa...

Nie skończyłam, bo moje groźby robiły na nim zerowe wrażenie. Nim się obejrzałam, z głośnym pluskiem wylądowałam w podświetlonym na różowo i fioletowo zbiorniku z wodą o bajecznie błękitnym odcieniu.

Miałam déjà vu. Już raz wrzucono mnie tak do basenu, z tym że było to na wakacjach, a nie jak teraz na imprezie. Nawet nie musiałam szukać lustra, by wiedzieć, że loki, które tak pieczołowicie kręciłam, wyprostowały się w jednej sekundzie. Nie tylko one ucierpiały. Makijaż od Mony musiał mi się rozmasać. Na samą myśl o szkodach, jakie wyrządził właśnie bezmyślnie Dylan, uderzyłam pięścią w taflę wody.

– Głupi jesteś, jak mogłeś?!

– Uczę cię kultury, mała siostró – odparł. Stał na skraju brzegu basenu z rękoma triumfalnie założonymi na piersi.

– Sam się jej najpierw naucz! – krzyknęłam. – Nie możesz zostawić mnie w spokoju?! Choć raz?! Zawsze musisz mnie męczyć?! I mi dokuczać?! Nudzi ci się?! Nie potrafisz się zachować?! Normalnie?! Jak brat?!

Brew Dylana wędrowała coraz wyżej i wyżej. Byłam zde gustowana i rozdrażniona, więc darłam się, co mi ślina na język przyniosła.

– Jesteś idiotą, wiesz?!

Dylan ściągnął brwi, niezadowolony z moich wrzasków, zwłaszcza że przysłuchiwał się temu tłum ludzi. Dlatego nie odwracając ode mnie wzroku, zdjął sobie but. Najpierw jeden, a potem drugi. Następnie kucnął, przytrzymał się brzegu basenu jedną dłonią i wskoczył do środka. Woda sięgała mi do żeber, jemu trochę niżej. Idąc w moją stronę, rozbryzgiwał ją na boki. W ogóle nie przejmował się przemoczonymi ubraniami.

– Nie podchodź do mnie! – wykrzyknęłam, trzęsąc się cała. Nie z zimna, woda była podgrzewana, a letni wieczór bardzo ciepły. – Słyszysz?! Nawet nie podchodź, idź sobie! Stój!

Gdy zrozumiałam, że rozdrażniłam go za bardzo, by dało się mu przemówić do rozsądku, znowu odwróciłam się i rzuciłam w stronę brzegu, irytująco spowalniana przez wodę. Przy najbliższej krawędzi basenu siedziały jakieś dziewczyny. Takie wszystkie identyczne – z płaskimi brzuchami, w dżinsowych szortach i z biustami ukrytymi pod skąpyimi kolorowymi stanikami. Patrzyły na rozgrywający się spektakl, chichocząc pod nosem i popijając chciwie drinki z parasolkami; czekały pewnie na więcej dramy. A gdy zobaczyły, że ruszyłam w ich stronę, zaczęły się do mnie śmiać i ostatecznie okazały się pomocne, bo dwie z nich usunęły się na boki i podały mi ręce, by ułatwić mi wyjście z basenu.

Prostując się, wiedziałam, że nie miałam czasu wycisnąć nasączonych wodą włosów i ubrań. Poleciałam w stronę domu, słysząc za plecami piski dziewczyn. Podążając moim śladem, Dylan musiał opryskać je wodą, gdy wyskakiwał na brzeg.

Wskoczyłam na taras i zwolełam przy dmuchanym baseniku w pszczołki. Został już opróżniony z alkoholu. Był też sflaczały i wypełniony wodą utworzoną z na wpół roztopionych kostek lodu. Widziałam, że Dylan wciąż mnie goni, i skorzystałam z przewagi bycia na podwyższeniu. Złapałam za kraniec baseniku i z całej siły cisnęłam nim w stronę brata, przechylając go tak, że oberwał całą jego zawartością.

Z jego ust wymknęło się głośne przekleństwo, gdy poczuł na własnej skórze chłód lodowatej wody. To nie mogło być przyjemne. Na dodatek musiał dwa razy wściekle szarpnąć basenem, żeby strzepnąć go sobie z głowy i ramienia, o które ten się zahaczył.

Ponabijałabym się z niego, ale wiedziałam, że to jeszcze nie koniec. Prawie poślizgnęłam się na posadzce, gdy wpadłam do willi. Zabolęła mnie kostka i mało brakowało, bym ją sobie skrzyła, dlatego skorzystałam z panującego tu tłoku, by skryć się w kącie, przykucnąć i zdjąć buty. Zostawiłam je wciśnięte pod kanapę, żeby nikt mi ich nie zdeptał, a gdy się wyprostowałam, zobaczyłam, że jedną z siedzących na niej osób była Winter.

Opierała się o poduchy i patrzyła w sufit nieobecny wzrokiem. Oczy miała zaczerwienione, a na ustach błędził jej uśmiech. W pewnym momencie parsknęła śmiechem, a potem siedzący obok niej chłopak w o przynajmniej dwa rozmiary za wielkich ciuchach podał jej coś, co wyglądało jak opasła cygaretką.

Albo skręt. Oooch. Tak, to musiał być skręt.

Zapatrzyłam się na nią z niedowierzaniem, gdy się nim zaciągała, ale nie miałam czasu na reakcję, bo Dylan był tuż-tuż.

Podniosłam się, a w miejscu, w którym przykucnęłam, utworzyła się całkiem spora kałuża. Dobiegłam do schodów. Na bosaka już się nie ślizgałam, choć do stopy przykleił mi się jakiś chrupek. Na piętrze też kręciło się sporo osób. Na podłodze w korytarzu leżała jakaś para. Ktoś inny drzemał na łóżku przy otwartych drzwiach. Natychmiast rzuciłam się w stronę kolejnych, błagając, żeby była to łazienka, w której doprowadzę się do ładu i ukryję przed Dylanem. Wiedziałam, że nie powinnam iść do swojej sypialni, bo będzie to pierwsze miejsce, do którego zajrzy.

Zacisnęłam ręce na klamce, licząc, że za drzwiami ujrę pomieszczenie wyłożone kafelkami, z wanną lub prysznicem i najlepiej z ręcznikami wiszącymi na haczykach na ścianie. Lub ułożonymi w kosteczkę na półce. Potrzebowałam pilnie się osuszyć.

Ale tak naprawdę to jakikolwiek widok byłby lepszy niż ten, który ostatecznie ukazał się moim oczom – wielkie łóżko, na którym Tony obściskował się z Moną.



BIAŁA I KORONKOWA BIELIZNA

Mokre ubrania i włosy lepiły mi się do wilgotnej skóry. W miejscu, gdzie moje nagie stopy dotykały chłodnej posadzki, formowała się kałuża. Jednak pomimo tego dyskomfortu nie potrafiłam się ruszyć.

Mogłam jedynie gapić się na rozgrywającą się przed moimi oczami scenę, która była niczym wstęp do filmu dla dorosłych. Zadrzała mi broda, gdy dostrzegłam, jak ozdobiona fantazyjnym tatuażem dłoń Tony'ego znika pod fikuśnym topem mojej przyjaciółki. Sama jej go doradziłam, bo podobało mi się, jak frędzle bluzeczki tańczyły przy każdym ruchu.

Teraz też merdały się w różne strony, gdy błdziły pod nimi palce mojego brata. Zajęty odkrywaniem jej ciała, pochylał się nad na wpół leżącą na brzegu łóżka Moną. Włosy miała odgarnięte do tyłu, a oczy zamknięte. Wydymała wilgotne usta w oczekiwaniu na pocałunki, którymi Tony hojnie obdarowywał ją w przerwach od wodzenia wargami po jej wyciągniętej szyi i dekolcie.

– Mona...

Głos mnie zawiódł i się załamiał, ale nawet gdyby tak się nie stało, to pewnie i tak tych dwoje zabawiających się na łóżku by mnie nie usłyszało. A ja tak bardzo chciałam, żeby te odgłosy pocałunków i wdychanie ustało. Robiło mi się od nich niedobrze. Autentycznie czułam, że jednocześnie zbiera mi się na płacz i na wymioty.

To się nie dzieje naprawdę, proszę. Proszę, proszę, proszę.

Mona jęknęła, gdy Tony ścisnął jej pierś, i to był moment, w którym odzyskałam władzę nad swoim ciałem. Ono po prostu wiedziało, że więcej tego widoku nie zniosę. Nogi miałam jak z waty, gdy zbliżyłam się do nich, uniosłam powoli ręce i napędzana wściekłością, a także innymi gwałtownymi emocjami z całej siły zacisnęłam palce na koszulce Tony'ego. Nie dbałam o to, czy robię mu krzywdę. Musiało go zabołeć, gdy wbiłam paznokcie w materiał na jego plecach, bo od razu odkleił się od Mony i syknął, odwracając się zdezorientowany.

Szarpnęłam go za koszulkę, jakbym chciała go ściągnąć ze swojej przyjaciółki, co nawet mi się udało. Tony opadł na materac obok niej, patrząc na mnie z początku tak, jakby mnie nie poznawał.

– Hailie! – Oddech Mony był irytująco przyspieszony, a ona sama próbowała odepchnąć się od łóżka na łokciach. W przeciwieństwie do mojego brata wpatrywała się we mnie całkiem trzeźwo, a w jej wybałuszonych oczach malowało się przerażenie.

Nie zwracałam jednak na nią uwagi, bo skupiłam się na Tonym. Leż ał teraz na boku, pocierając przymknięte powieki palcami, jakby był zmęczony i potrzebował drzemki.

– Jak mogłeś! – wrzasnęłam wściekle i rzuciłam się na niego, szarpiąc za przód jego koszulki.

– Uspokój się – odparował z obojętnym westchnięciem, jakby był zirytowany, że gniotę mu ubranie.

Jakbym to ja czymś zawiniła. Zaczęłam drzeć ze złości i poczucia niesprawiedliwości. A także z głębokiego rozczarowania swoim bratem i przyjaciółką. Jak mogli?

W oczach stanęły mi łzy, a od przemoczonych ciuchów zaczynała już swędzieć mnie skóra. Wszystko przez to, że głupi Dylan wrzucił mnie do basenu na oczach całej imprezy. Wisienką na torcie mojego rozgoryczenia okazała się mina Tony'ego – oczy wznosił właśnie do góry i wydychał powietrze ze zblazowanym sapnięciem.

To właśnie wyraz jego twarzy zadziałał na mnie jak płachta na byka. Analizowałam ją wściekle, szukając w niej oznak wstydu czy poczucia winy, ale widziałam tylko cwaniactwo i jeśli Tony czegoś żałował, to jedynie tego, że został przyłapany na gorącym uczynku.

Ten rozpuszczony chłopak, który od urodzenia prowadzi uprzywilejowane życie i zawsze dostaje to, czego chce, nie potrafił mi nawet spojrzeć teraz w oczy. Jego ignorancja była dla mnie jak policzek – może to dlatego zareagowałam tak, a nie inaczej...

Lewą pięść wciąż zaciskałam na jego koszulce, gdy unosiłam prawą. Rozprostowałam ją i kierowana furją, pragnąc skrzywdzić go choć w części tak, jak on właśnie skrzywdził mnie – uderzyłam go.

Rozległo się głośne plaśnięcie, a jego głowę szarpnęło lekko w bok.

Natychmiast poczułam ból i pieczenie w dłoni. Potarłam jej wnętrze o wilgotną bluzkę, a drugą rękę zabrałam z ubrania Tony'ego jak oparzona. Odsunęłam się o krok, zdezorientowana własnym czynem. Cała się napięłam, obserwując brata i mrugając z niedowierzaniem.

Czerwony ślad na jego policzku był nie większy od małej smugi – mój cios, choć w miarę efektowny, nie okazał się tak silny, jak planowałam.

Tony powoli odwrócił z powrotem głowę. Ściągną na jego szyi się napięły, a szczęka zacisnęła. W bładych tęczęwkach błysnęła furia, gdy odwzajemnił moje spojrzenie. Powoli wyprostował się do pozycji siedzącej i wytatuowaną dłonią dotknął policzka, jakby sprawdzając, czy mój atak mu się nie przysnił. Szybko opuścił tę dłoń i nie odwracając już ode mnie wrogiego wzroku, zerwał się na równe nogi.

Przełknęłam ślinę, gdy sylwetka Tony'ego momentalnie zaczęła nade mną górować. Skuliłam się w sobie i zrobiłam jeszcze jeden krok do tyłu, jedną z dłoni nadal pocierając o top, jakbym próbowała zetrzeć z niej piekący dowód na to, że spoliczkowałam swojego brata.

Tony był wściekły. Zbliżył się do mnie tak szybko, że gdy znowu się cofnęłam, uderzyłam plecami o wysoką szafę i zadrżałam, bo poczułam się, jakby ścigał mnie niedźwiedź, w którego wcześniej rzuciłam kamieniem. Celowo zapewne próbował mnie onieśmielić i dobrze mu się to udawało.

– No to sobie pozwoliłaś.

Jego spojrzenie było tak dosadne, że w mig mnie zawstydziło, a może nawet przestraszyło. Serce waliło mi za mocno, gdy wpatrywałam się w jego zimne tęczęwki. Nie do takiego wzroku byłam przyzwyczajona – ten konkretny brat zwykle patrzył na mnie obojętnie, dlatego teraz widziałam w nim kogoś obcego.

Nie odpowiedziałam, bo nie miałam pojęcia co. Przeprasiny nie przeszłyby mi przez gardło, bo przecież kątem oka widziałam, jak Mona nerwowymi ruchami poprawia dekolt swojej bluzki. Mona! A Tony ją całował. Byłam o krok od uderzenia go raz jeszcze.

Jedynie, co mogłabym mu teraz powiedzieć, to coś chamskiego, ale mój mózg, mimo całej złości, która go zalewała, rozsądnie mi to odradzał, Tony bowiem wyglądał naprawdę złowrogo i szczerze się go wystraszyłam.

Ból, który poczułam, zmusił mnie do przerwania z nim kontaktu wzrokowego. Zerknęłam zaskoczona w dół w poszukiwaniu jego źródła i przełknęłam ślinę, gdy zobaczyłam zaciśnięte na moim nadgarstku palce brata. Puste oczodoły czaszki wytatuowanej na jego dłoni wpatrywały się we mnie z upiornym ostrzeżeniem. Zapatrzyłam się na nie, niezdolna do uniesienia z powrotem głowy.

– Tony.

To nie była delikatna, wypowiedziana miękkim głosem uwaga, a ostre i twarde upomnienie, które padło z ust... mojego ochroniarza.

Spojrzałam na niego zdezorientowana. To wszystko było jak sen. Byłam zmęczona całonocną imprezą i ta scena wydawała mi się kompletnie nierealna.

Sonny stał kilka kroków od nas, gotowy do wkroczenia do akcji nawet bardziej niż zwykle. Pochylał się leciutko ku nam, twarz miał poważną i skupioną, widać było, że nie żartuje. Wzrok miał uważny, a brwi lekko zmarszczone.

– Co? – spytał go opryskliwie Tony.

Wtedy odważyłam się zerknąć na niego ostrożnie. Z jeszcze większym poirytowaniem, a nawet niedowierzaniem, wpatrywał się teraz w ochroniarza, który odparł spokojnie:

– Puść ją.

Oblał mnie zimny pot. Fakt, iż Sonny musiał zareagować, nawet jeśli tylko słownie, świadczył o tym, że sytuacja naprawdę była nieciekawa.

W Tonym buzowała wściekłość. Komentarz Sonny'ego rozjuszył go już do cna, a mimo to posłuchał go, bo ostentacyjnie puścił mój nadgarstek. Zaczęłam pocierać palcami obolałe miejsce, nie odwracając zaniepokojonego wzroku od obydwu mężczyzn.

– Przecież nic jej nie zrobię – warknął Tony z pobrzmiwającą w głosie szyderczą nutą, jakby samo to, że Sonny się wtrącił, należało złośliwie obśmiać.

Ochroniarz tylko skinął głową, zwyczajnie usatysfakcjonowany, że dopiął swego. Spojrzałam na napiętą szczękę stojącego nade mną Tony'ego. Sposób, w jaki zaciskał pięści, utwierdzał mnie w przekonaniu, że ma ochotę uderzyć coś lub kogoś bardzo, bardzo mocno.

Dlatego ulżyło mi, gdy w końcu po prostu się cofnął i nie patrząc już na mnie ani na nikogo innego, wzburzony wyszedł z sypialni. Mijając Sonny'ego, szturchnął go – niezbyt mocno, ale tylko dlatego, że mój ochroniarz usunął mu się z drogi.

Kolejną osobą, na którą padł mój wzrok, była Mona. Podnosiła się z właśnie łóżka, chwiejąc się nieco i odgarniając włosy z twarzy. Gdy Tony zniknął za drzwiami, wbiła swoje wielkie oczy w podłogę. Zacisnęłam zęby, czując złość i pogardę. Patrzyłam przez chwilę na swoją przyjaciółkę, ale zaraz odwróciłam wzrok, bo zwyczajnie nie mogłam znieść jej widoku. Irytowało mnie to, jak przygryzała wciąż jeszcze błyszczącą od pocałunków Tony'ego wargę, irytował widok jej dłoni, z którymi nie wiedziała, co począć. Irytowały mnie frędzle jej bluzki, które drżały od jej przyspieszonego oddechu.

Nie miałam ochoty przebywać z nią w tym samym pokoju ani chwili dłużej, dlatego uniosłam głowę i udając zupełną obojętność, śpiesznie wyszłam z sypialni.

Idąc korytarzem przed siebie, czułam się jak w transie. Muzyka grała gdzieś w oddali, a ja byłam dziwnie świadoma własnych zmysłów. Czułam chropowatość ściany, na której oparłam rękę, a do moich nozdrzy doleciał zidentyfikowany przeze mnie już wcześniej zapach marihuany. Mrużyłam oczy, bo panował tu półmrok, i prawie potknęłam się o podwinięty dywanik. Ktoś za mną szedł; domyślałam się, że to Sonny.

Poczułam coś gorącego na policzku i o moment za długo zajęło mi zorientowanie się, że to jedna z łez, które zebrały się w moich oczach, zaczęła powoli spływać. Dotarła aż do podbródka, gdzie załaskotała mnie nieprzyjemnie. Uniosłam dłoń, by ją zetrzeć. Przeknęłam gulę w gardle.

Doszłam do schodów, u których szczytu właśnie niczym zbawienie pojawił się Leo. Rozglądał się za kimś, wyraźnie zaferowany. Chciałam wierzyć, że to mnie szuka. Zatrzymałam się na chwilę i wtedy spojrzeliśmy na siebie. Patrzył na mnie zaskoczony, a kiedy z moich oczu trysnęły łzy, nad którymi nie miałam już żadnej kontroli, pomiędzy jego brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka.

– Hailie... – powiedział cicho, zaniepokojony moim stanem, a ja zapłakałam głośno i wpadłam w jego ramiona.

To było uczucie, jakby zakłęto mnie w skorupie, która na widok mojego przyjaciela pękła nagle i cały mój ból, zawód i cierpienie zawaliło się jak lawina w stromych, wysokich górach.

– Ciii – szeptał Leo, przyciskając mnie mocno do swojej twardej klatki piersiowej.

Moczyłam mu bluzę, płacząc i płacząc bez końca.

Mój lament trwał tak długo, że w końcu zmartwiony Leo nachylił się, by spojrzeć w moją zabeczaną twarz.

– Hailie, no już, weź głęboki oddech. Musisz spróbować się uspokoić, bo zrobisz sobie krzywdę – tłumaczył mi spokojnie, masując dłonią moje plecy. – Będziesz się źle czuła.

– Gdzieś to mam – wybełkotałam.

– Co się stało? – zapytał łagodnie.

– Tony... Mona... I Dylan też... – zapłakałam.

– Już, spokojnie.

Ale ja nie mogłam się uspokoić, więc w końcu Leo wziął sprawy w swoje ręce i powoli zaczął wypłatywać się z moich ramion, tym razem bardziej stanowczo. Nie pozbawił mnie całkiem podparcia, bo wciąż mnie obejmował, ale delikatnie skierował mnie ku schodom na drugie piętro.

– Chodź, odpoczniesz – naciskał. – Tak, Hailie, zobacz, cała jesteś przemoczona.

Nie wiem, czemu protestowałam, skoro tego przecież potrzebowałam. Ostatecznie Leo i tak udało się postawić na swoim i zaciągnął mnie do pokoju. Wyciągnęłam klucz z wewnętrznej kieszonki przesiąkniętych do suchej nitki spodni.

Zanim zamknęłam za sobą drzwi, spojrzałam w oczy Sonny'emu, który posłusznie zatrzymał się w korytarzu, rzucając nieufne spojrzenie w stronę Leo. Wiedziałam, że jego obowiązkiem jest zapewnienie mi nie tylko bezpieczeństwa, ale i mimo wszystko podstawowej intymności, w każdym razie na pewno w sytuacjach takich jak zmiana ubrań. Zamierzałam zrobić z tego użytek i przekręcić kluczyk, zostawiając go w zamku.

– Od razu lepiej, co? – zagadnął Leo, przymknąwszy okna, dzięki czemu przytłumił dochodzącą z dworu muzykę.

– Zaraz przyleci tu Dylan – wymamrotałam, pociągając nosem.

– Może nie tak szybko. Gonił cię, ale potem widziałem, jak wpadł na Tony'ego, który szedł gdzieś cały nabuzowany... – oznajmił i zamilkł na chwilę. – Co tak właściwie miałaś na myśli, mówiąc o nim i o Monie?

Zerknęłam na niego, przygryzając wargę, a w moich oczach znowu załśniły łzy, i już znał odpowiedź. Odetchnął głęboko i przymknął powieki.

– Cholera – westchnął, po czym otworzył oczy i spojrzał na mnie, mówiąc do mnie pocieszająco: – Nie przejmuj się. To impreza, ludzie tu nie myślą, tylko szaleją. Jutro połowa z nich będzie żałować.

– Ta, już widzę, jak Tony będzie czegoś żałował – prychnęłam. – Idę się przebrać.

W łazience poczułam, że boli mnie głowa. Zerwałam kilka listków papieru toaletowego i wysmarkałam w nie nos. Wycisnęłam z włosów resztki wody. Makijaż zepsuł mi się tylko trochę, co mnie zaskoczyło, bo sporo w końcu przeszedł. Jedynie maskara rozmazała mi się pod oczami, więc byle jak wytarłam jej pozostałości zwilżonym ręcznikiem, ignorując swoje zaczerwienione spojówki i spuchnięte powieki.

Następnie pomasażowałam sobie skronie. Zdjęłam bluzkę. Stanik pod nią też był cały mokry. Spojrzałam w lustro i przekrzywiłam głowę, palcem wodząc po obojczykach. Lubiłam je, odciągały wzrok od mojej klatki piersiowej. Mona to miała czym się pochwalić. Albo taka Grace, ta to dopiero robiła wrażenie. Każdy się za nią oglądał, zawsze i wszędzie. Udało jej się uwieść nawet Vincenta. Gdybym wyglądała jak Grace i wyszła teraz tam do Leo, na pewno by zaniemował z wrażenia. Albo gdybym chociaż miała charakter jak ona, jej odwagę i śmiałość...

Następnie na kafelkach wylądowały moje spodnie. Skórę miałam chłodną w dotyku. Dotknęłam swoich pośladków i potarłam je dłońmi, jakby próbując je rozgrzać. Zaczynało mi być zimno, a wszystko to przez moje powolne ruchy i analizowanie tego, co zwykle przykrywają ubrania.

Syknęłam nagle, gdy zakłuła mnie dłoń. Ta, którą uderzyłam Tony'ego. Czy ona naprawdę mnie zakłuła? Czy to mój mózg karze mnie

wyimaginowanym bólem za uderzenie brata?

Bielizna Mony była koronkowa – widziałam, gdy wspólnie się szykowałyśmy. Bardzo ładna, nie taka zwykła jak moja. Ależ Tony musiał wymacać jej ten stanik.

Zadrżała mi broda. Ohyda.

Znowu kilka łez poleciało mi po policzkach, ale na tym etapie to była już dla mnie normalka.

Czy to ja jestem taka okropna, że mnie to zniesmacza, czy to jednak nie jest normalne i mam prawo drżeć za każdym razem, gdy wyobrażam sobie Tony'ego i Monę razem?

Gdyby to były żarty, to udałabym, że zbiera mi się na wymioty, ale to była prawda i nagle łazienka zrobiła się zbyt mała, by dostarczyć mi wystarczającą ilość tlenu. Na dodatek ręka, którą przyłożyłam Tony'emu, zaczęła mi cierpnąć, jakby działo się z nią coś poważnego. Zerwałam się z miejsca, pragnąc czym prędzej wydostać się z ciasnego pomieszczenia.

Zaskoczony Leo uniósł głowę znad telefonu, a gdy uświadomił sobie, że stoję przed nim w samej bieliźnie, natychmiast odłożył komórkę i zmarszczył brwi, powoli podnosząc się z fotela, na którym wcześniej przysiadł. Przestał też patrzeć na moje roznieglizowane ciało, gdy dostrzegł rozpacz na twarzy.

Nie pozwoliłam mu wypowiedzieć ani słowa – ruszyłam w jego stronę i położyłam mu dłonie na ramionach. Stanęłam na palcach i usta przycisnęłam do jego ust, a potem zaczęłam składać pocałunki na jego zuchwie i szyi. Były coraz gwałtowniejsze, a ja coraz bardziej energicznie szarpałam jego bluzę.

Leo stał nieruchomo. Nie wiedziałam, co kryje się w jego spojrzeniu, bo zaciskałam powieki, nie chcąc widzieć nic. Żądza, którą czułam, nie miała związku z pożądaniem, lecz z czymś bardziej wyrafinowanym. Jak zemsta. Na kim chciałam się zemścić, całując Leo, nie mam pojęcia. Potrafiłam jedynie atakować go swoją nagłą namiętnością. Na początku jego usta nawet zaczęły współpracować z moimi. Zareagował, dopiero gdy włożyłam mu ręce pod bluzę i dotknęłam jego ciepłej skóry. Byłam bliska zderzenia jej z niego, gdyby nie powstrzymała mnie jego dłoń.

– Hailie, nie – zaprotestował miękko.

Wtedy ja napałam na niego jeszcze bardziej. Zależało mi, by go uciszyć. Chciałam i, co ważniejsze, potrzebowałam bliskości.

Dziwnym trafem wszyscy dookoła mieli ją na wyciągnięcie ręki, tylko nie ja.

– Hailie... – odezwał się znowu, tym razem z większym zdecydowaniem pobrzmiwającym w głosie. Złapał mnie też twardo za łokcie, delikatnie, acz stanowczo odczepiając od siebie moje ręce. – Hailie, nie chcesz tego.

– Chcę!

Nie przestawałam na niego napierać, a on odsunął mnie w końcu od siebie na długość ramion, tak żeby móc widzieć moją twarz. Wpatrywał się we mnie z widocznym zmartwieniem, ale odwróciłam wzrok, by sama na niego nie patrzeć.

– Nie chcesz – upierał się. – Nie tak. Nie w ten sposób.

Wyprostowałam się i odetchnawszy, opuściłam ręce, momentalnie czując, jak z mojego organizmu ulatnia się ta niezbadana, napędzająca mnie chyba z kosmosu energia. W jednej chwili stałam się świadoma swoich czynów i tego, że paradowałam właśnie przed Leo w bieliźnie, smutna i rozgoryczona.

Oblizalam nerwowo wargi, na których wciąż czułam słodkawy smak skóry przyjaciela, i wzięłam kilka niespokojnych wdechów. Patrzyłam na bluzę Leo i nie śmiałam unieść wzroku.

Co za wstyd. O Lordzie, co za wstyd.

Klatkę piersiową oplotłam ramionami, bo nagle poczułam się niemal naga. W uszach zaszumiała mi krew, pragnęłam teraz zemdleć i obudzić się w innej rzeczywistości. W takiej, w której zdecydowałam się nie przyjść na imprezę Monetów.

Zrobiłam krok do tyłu, żeby odsunąć się od Leo. Miałam wrażenie, że upokorzenie wręcz ode mnie promieniuje i że stojąc za blisko, jeszcze bardziej się kompromituję.

– P-przebiore się – wymamrotałam. Gdy potarłam ramiona, wyczułam gęsią skórę i była to dobra wymówka, by uciec z powrotem do łazienki.

– Masz tam rzeczy? – zapytał Leo mocnym głosem, starając się panować nad sytuacją i nie tracić głowy. – Może ci pomóc? Potrzebujesz czegoś?

Westchnęłam. Głupia jestem, nawet nie zabrałam piżamy do łazienki.

– Podaj mi torbę, jeśli możesz – poprosiłam, wyciągając rękę, a drugą wciąż osłaniając stanik.

Leo przyniósł mi ją w mgnieniu oka. Położył ją na łóżku, a ja od razu zaczęłam w niej grzebać, niepotrzebnie rozwalając schludnie poukładane w środku ubrania. Wyciągnęłam piżamę, za którą robiły krótkie, luźne szorty, i znoszona oraz zapomniana koszulka w kolorze czerwieni, należąca kiedyś do któregoś z moich braci. Wtedy praktycznie uciekłam do łazienki i błyskawicznie zamknęłam za sobą drzwi, wdychając głęboko.

Ale wstyd.

Zerknęłam w lustro na swoją żalną minę. Dziwną miałam tę twarz, taką zmęczoną. Figura też zdawała mi się jakoś niewymiarowa. Nagle poczułam potrzebę przykrycia się. Złapałam za ręcznik kąpielowy, który leżał obok umywalki, i okryłam się nim, pragnąc, by osuszył mnie nie tylko z wilgoci, ale i fatalnego samopoczucia.

Długo zwlekałam, zanim nabrałam śmiałości, by wyjść z powrotem do sypialni. Przez chwilę nasłuchiwałam nawet z nadzieją, że może któryś z moich braci wtargnie do środka i rozkaże Leo ją opuścić, ale oni już tak mieli, że zwykle nie zjawiali się wtedy, gdy byli potrzebni. No i przypomniałam sobie przecież, że co najmniej dwójka mojego rodzeństwa podpadła mi tak bardzo, że chyba jednak wolałam sama radzić sobie z własnym zażenowaniem.

Tym razem Leo pokazałam się już ubrana i z potarganymi włosami spiętymi w rozwalającego się koka.

– W porządku? – zapytał.

Chyba mu ulżyło, że mam na sobie piżamę. Jednocześnie wciąż zdawał się spięty, widocznie czuł wcześniejszy dyskomfort.

– Tak – mruknęłam, błędząc spojrzeniem po podłodze i łóżku. – Położę się.

– Jasne – odparł od razu i się rozejrzał. – Eee, potrzebujesz czegoś?

Atmosfera między nami była sztywniejsza niż ta, która tworzyła się zwykle, gdy coś przeskrobałam i odpowiadałam przed rozdrażnionym Vincentem.

– Tylko snu – odrzekłam i przysiadłam na łóżku. Ręce złożyłam na kolanach i zapatrzyłam się na nie bez zainteresowania, aż wreszcie nagle przełamalam się i uniosłam wzrok. – Jeśli chcesz, połóż się obok.

Leo patrzył na mnie dość długo, a mnie to, o dziwo, nie przeszkadzało, bo dobrze mi było tak błędzić w jego złocistych oczach i zapomnieć na chwilę o okropnej rzeczywistości.

– Nie wiem, czy to dobry...

– Tylko do spania – wtrąciłam prędko i z westchnięciem. Miał mnie pewnie za napaloną świruskę i nie mogłam mu się dziwić. – Pełno tu pijanych ludzi, po co masz szukać wolnego łóżka, skoro ja sama nie potrzebuję tak wielkiego.

A gdy Leo jeszcze nie był przekonany, dodałam:

– Więcej się na ciebie nie rzucę, słowo.

Chłopak odetchnął i się zaśmiał.

– To nie tak, że mam coś przeciwko... – zaczął, a mnie na te słowa załaskotało w brzuchu. – Po prostu wydaje mi się, że to nie czas i nie miejsce. Okoliczności też są... nie najlepsze.

Zakryłam twarz rękoma, licząc, że się nie czerwienię.

– Wiem, Leo – wymamrotałam w swoje dłonie. – Przepraszam. Nie wiem, co mnie napadło.

– Zdaje się, że wszyscy tu powariowali.

Leo już śmielej zbliżył się do mnie i usiadł obok na materacu, obejmując mnie i przechylając się tak, bym znowu mogła się do niego przytulić, z czego chętnie skorzystałam.

– Chcę już zasnąć i obudzić się wczoraj – wymamrotałam sennie, po czym złapałam go za ramię. – Ale zostań ze mną. Proszę.

Gdy wślizgnęłam się pod kołdrę, Leo faktycznie położył się obok mnie, choć sam leżał na niej, a to i tak nie powstrzymało mnie przed tuleniem się do niego. Gdy zasypiałam, czułam zapowiedź niespokojnego snu, a jednak finalnie okazał się on dość głęboki, bo prawie przegapiłam moment, w którym moi bracia zrobili nam nalot.

Oczywiście to było do przewidzenia. Ja jednak chwilowo miałam tak wielki burdel w głowie, że nie myślałam o konsekwencjach zamknięcia się w sypialni z chłopakiem, a Leo widocznie bardzo chciał mnie uszczęśliwić, dlatego poświęcił się w imię mojego komfortu.

Obudziło mnie głośne walenie w drzwi. Ktoś dudnił w nie pięścią. Z jakiegoś powodu w pierwszej chwili wyobraziłam sobie, że to może być Mona, i uznałam, że moja przyjaciółka nie jest warta tego, bym dla niej wygrzebała się z ciepłego łóżka. Niech śpi na korytarzu. Niech Tony o nią zadba.

– Hailie?! – huknął głos Dylana i wtedy jęknęłam, bo już wiedziałam, że jego trudniej będzie mi tak po prostu zignorować.

Wtuliłam się mocniej w bok Leo. Bez otwierania oczu wiedziałam, że wciąż leży obok mnie.

– EJ, JESTEŚ TAM? HAILIE! – wydarł się Shane.

– Nie ma mnie – wymruczałam cichutko.

Łupanie w drzwi nie ustępowało i wreszcie poczułam, jak moja dająca mi podporę i ciepło opoka zaczęła się ode mnie odsuwać.

Chciałam zaprotestować, ale udało mi się tylko pisnąć. Materac się poruszył, gdy Leo z niego zszedł, i mimo iż straciłam jego obecność u swojego boku, to ucieszyłam się, że zamierza zająć się tym irytującym hałasem, a ja wciąż będę mogła sobie smacznie spać.

Leo się wszystkim zajmie. Załatwi sprawę z moimi braćmi.

Rzeczywistość była jak wycelowany w moją głowę strzał. Uderzyła mnie nagle i odebrała mi oddech. Otworzyłam szeroko oczy.

Wokół panował półmrok, ale nie miałam czasu na kontemplowanie otoczenia, bo natychmiast oderwałam głowę od poduszki i rozejrzałam się za Leo.

– Czekaj! – wyszeptałam gorączkowo, ale było za późno. Przekręcił klucz, wpuszczając do pokoju nikłe światło i dwie rozsierdzone bestie.

Mignęły mi ich twarze. Najpierw były zaskoczone, a może nawet zadowolone, że ktoś wreszcie zareagował na ich łomotanie. Ich wyraz zmienił się jednak o sto osiemdziesiąt stopni, gdy zorientowali się, kto zrobił im tę uprzejmość i że to wcale nie byłam ja.

Dylan zacisnął palce na bluzie Leo, tak jak ja wcześniej zrobiłam to z Tonym, ale nie uderzył go, tylko odsunął go sobie z drogi, rozglądając się po sypialni. Shane wpadł do niej jako pierwszy i zapalił światło.

– Zgaś to! – fuknęłam, przykrywając dłonią oczy.

– Hailie – westchnął na mój widok Shane, wyraźnie uspokojony, i dodał głupio: – ...śpisz?

– Próbuję!

– Z nim? – warknął Dylan, odpychając mojego przyjaciela na bok i wskazując na niego palcem. – Z nim?!

– Uspokój się – syknęłam jadowicie. Dobrze pamiętałam ostatnie wydarzenia. Zwróciłam się też znowu do Shane'a: – No zgaś to światło!

Okrywająca mnie kołdra opadła i widziałam w oczach moich dwóch braci, jak pobieżnie analizują zastaną sytuację. Na jwyraźniej zarejestrowali, że leżałam w jednym łóżku z Leo, co ich podminowało, ale też przecież byłam ubrana. Mój przyjaciel również. Nie byliśmy zgrzani, podekscytowani, zarumienieni ani nawet zawstydzeni, a bracia Monet lepiej niż ktokolwiek inny wiedzieli, jakie emocje buzują w człowieku w trakcie intymnych uniesień, i dzięki temu utwierdzili się, że takowe tu nie miały miejsca.

Dylan powoli opuścił rękę, którą oskarżycielsko celował w Leo. Shane otwartą dłonią trzepnął w wyłącznik i w sypialni znowu zapanowały względne ciemności.

– Czemu zamknęliście się od środka? – zapytał Dylan.

– Bo twoja siostra chciała się doprowadzić do porządku po tym, jak wrzuciłeś ją do basenu? – prychnął w odpowiedzi Leo.

– I co, potrzebowała cię tutaj do pomocy?

– Lepiej, że tu z nią byłem, bo nie wiesz nawet, jak jest jej przykro.

– Daj spokój – mruknęłam do chłopaka. Nie chciałam tego teraz roztrząsać.

– Taka prawda – warknął Leo, patrząc zmrużonymi oczami na Dylana, i tym razem to on unióśł palec i go w niego wymierzył: – Brawo, trzeba się naprawdę postarać, żeby tak uprzykrzać życie własnej siostrze.

– Leo, przestań – szepnęłam.

Byłam zbyt zmęczona na tak poważną konfrontację.

– Spadaj stąd, już – burknął Dylan, popychając drzwi, by otworzyły się szerzej i jeszcze bardziej zapraszająco do wyjścia.

Leo odwrócił się do mnie, a ja od razu skinęłam głową. W tej chwili wolałabym zostać z nim niż z braćmi, ale użeranie się z rodzeństwem było ponad moje siły.

– Dziękuję, Leo – szepnęłam tylko trochę zdławionym głosem.

– Dobranoc, Hailie – odpowiedział, rzucając mi na odchodne lekki uśmiech, i zniknął na korytarzu.

Wtedy ja z powrotem opadłam całym ciałem na materac, wcisnęłam się w niego, a głowę wepchnęłam w poduszkę, nie zamierzając zaszczycić Dylana i Shane'a choćby spojrzeniem.

– Czemu zostawiłaś Sonny'ego na korytarzu?

– I zamknęłaś się tu z rycerzykiem?

– I co wy niby tu robiliście?

Ignorowałam ich pytania, bo uznałam je za niewarte odpowiedzi. Zwłaszcza że chłopakom wyraźnie płątały się języki – jak nic byli niezłe dziabnięci, chociaż mimo wszystko zachowywali się całkiem trzeźwo, biorąc pod uwagę ilość alkoholu, jaką spożyli. Musieli

być zahartowani.

I choć na pewno minęło przynajmniej kilka długich minut, zanim znowu zapadłam w sen, tym razem dużo głębszy, to wyparłam je z pamięci, bo gdy obudziłam się rano, znowu potrzebowałam chwili, żeby zrozumieć, co się dzieje...



23

TRZECH NAJGORSZYCH BRACI POD SŁOŃCEM

Coś mnie przygniatało na wysokości mostka.

Chciałam to zignorować i zasnąć znowu, ale dość głośne pochrapywanie rozlegające się w sypialni uczyniło to niemożliwym. Otworzyłam zirytowana oczy, mrugając, bo w pomieszczeniu było już jasno. Leżałam na plecach na łóżku w zaklepanej dla mnie sypialni, a przyciskała mnie do niego niedbale odrzucona na bok ręka Dylana, który rozwalił się na połowie materaca i spał z rozchyłonymi ustami.

Zapatrzyłam się na niego przez chwilę, bo w stanie spoczynku nie wyglądał tak morderczo jak wczoraj.

Ale to nie on chrapał i wtedy zorientowałam się, że po drugiej stronie mam plecy Shane'a, leżącego na boku. Aż uniosłam o milimetr głowę, zerkając na nie z niedowierzaniem. Prawie mnie tu zgnieśli, głupki! Poza tym to miała być moja sypialnia.

Prychnęłam z rozdrażnieniem, że już od samego rana muszę się irytować. Nie zamierzałam cisnąć się pomiędzy braćmi, zwłaszcza gdy roztaczała się wokół nich aura kaca. Nie po to nie piłam, żeby teraz się w niej dusić. Z nie lada wysiłkiem odepchnęłam od siebie wielkie, umięśnione ramię Dylana. Gdy zabrał je wreszcie przez sen, usiadłam i wysunęłam się spomiędzy chłopaków. Ziewałam, kiedy otwierałam okno, by wypuścić do pokoju świeże powietrze. Paranoja.

Gdy usiadłam na ubikacji, w oczy rzuciły mi się moje białe spodnie, wciąż leżące na posadzce, a wtedy wspomnienie mojego wczorajszego występu uderzyło mnie pięścią w brzuch i aż stęknęłam głośno.

Czy ja naprawdę rzuciłam się na Leo? Co ze mnie za idiotka do potęgi! Nawet gdybym mu zdjęła tę bluzę, to co zrobiłabym dalej? *Głupia Hailie, przecież ty nie wiesz nic o seksie.* No dobra, teorię znałam, ale praktyka to nie to samo. Jak dobrze, że Leo przerwał moje wygłupy, zanim zdążyłam się na poważnie zbłaźnić!

Tak w ogóle to biedny Leo. Stał się moją ofiarą przez to, że było mi tak smutno.

Wtedy przypominałam sobie o przyczynie tego smutku. Mona. Znowu zabolął mnie żołądek. Cholerna Mona i cholerny Tony. Skrzywiłam się, gdy przed oczami stanął mi widok ich pieszczot. Te dumowate frędzle jej bluzki, które poruszały się w rytm pocałunków...

Niewidzialna pięść, która biła mnie po brzuchu, teraz zacisnęła swoje kościste palce na moich wnętrznościach, bo uświadomiłam sobie, że w następstwie tej sytuacji uderzyłam brata.

Aż zakryłam usta dłonią.

Przemoc fizyczna w stosunku do mojego rodzeństwa wydawała mi się przekroczeniem jakiejś granicy. To nie to samo co wpadka na treningu, gdy niechący przyłożyłam Dylanowi, tylko coś znacznie poważniejszego.

Mogłam na poczekaniu wymyślić z dziesięć lepszych reakcji na to, co zobaczyłam ostatniej nocy. Mogłam zacząć wrzeszczeć, mogłam uciec, mogłam wzbudzić w samych zainteresowanych poczucie winy albo mogłam chociażby walnąć Monę zamiast Tony'ego.

Z drugiej strony to na nim najbardziej się zawiodłam. Na Monie też, oczywiście, ale Tony był moim bratem, rodziną, a z tą całą gadką o tym, że rodzina jest najważniejsza, czułam się podwójnie zawiedziona, że ktoś, kto powinien być dla mnie najważniejszy i dla kogo ja również powinnam być najważniejsza, dopuścił się takiego świństwa.

W dalszym ciągu nie wiedziałam, czy jestem bardziej zła, czy smutna. Wiedziałam tylko, że ze wszystkich osób, które znajdowały się pod tym dachem, obecność tylko jednej jestem w stanie w tej chwili tolerować.

Wiedziona tym przekonaniem wymknęłam się na korytarz, zmieniawszy najpierw kuse spodenki od piżamy na długie dresy. Na nogi założyłam miłe i miękkie skarpetki oraz sportowe buty, ale to by było na tyle. Nawet się nie wykapałam ani nie rozczesałam włosów. Na głowie miałam jeden wielki kołtun; nie starczyłoby mi nerwów, żeby teraz się z nim szarpać.

Dylan i Shane spali twardo, gdy zamykałam za sobą drzwi. Na korytarzu zaskoczyła mnie obecność mężczyzny, którego kojarzyłam z poranka po urodzinach Leo. Był to zastępca Sonny'ego. Obejrzałam go od stóp do głów. Wyglądał trochę jak bramkarze w Operze: napakowany, o szerokiej szczęce i mięsistych wargach. Jeszcze brakowało, żeby wystawała mu z nich do połowy wypalona fajka. Zerknąwszy na mnie spod ciężkich powiek, skinął mi głową, jakby na przywitanie. Z kwaśną miną leniwie mu zasalutowałam, zastanawiając się w duchu, skąd, u licha, Vincent bierze takich przyjemniaczków.

Willa przypominała dziś miejsce zbrodni, w którym doszło do masowego morderstwa. Drzwi do większości sypialni były raczej pozamykane, ale te, które zostały uchylone lub nawet otwarte na oścież, ujawniały ciekawe widoki. Widziałam, że na jednym z łóżek leży chyba z sześć osób. Jakaś para spała przytulona do siebie w tym samym miejscu. Wiszący na ścianie obraz przechylił się na bok

jak w horrorze.

Przystanąłam u podnóża schodów, przez chwilę starając się ogarnąć wzrokiem cały ten bajzel. Ktoś namalował na akwarium coś zboczonego czerwoną szminką do ust, ale grube, solidne szkło ochroniło biedne rybki przed fizyczną krzywdą. Martwiłam się jednak o ich zdrowie psychiczne, bo to, czego one się tu musiały naogładać, na pewno zapewniło im traumę do końca życia.

Wszędzie walały się pudełka po pizzy, czerwone jednorazowe kubki, konfetti i bletki. Na środku pomieszczenia leżało wywrócone krzesło barowe, ktoś zostawił otwarte drzwi od lodówki, na blacie rzucono worek kostek lodu, które już się stopiły i teraz woda kapiała na podłogę, a w kącie zmieciono kawałki zbitego klosza lampy.

Na tarasie sprawy wcale nie miały się lepiej, jedynie basen ładnie błyszczał w porannym słońcu. Pływało w nim kilka porzuconych dmuchanych zabawek i czyjaś bluza. Na brzegu siedziało kilka osób z mocno podkrążonymi oczami. Wszyscy popijali jeszcze piwo, rozmawiali ścisłymi głosami i od czasu do czasu chichotali. Obejrzeni się na mnie z ciekawością.

Na dworze odetchnęłam i wyciągnęłam telefon, by napisać do Leo. Nie łudziłam się, że znajdę go w tym wielkim domu. Czekałam na wiadomość zwrotną, rozejrzałam się jeszcze za miejscem, w którym mogłabym przysiąść. Już miałam wybrać jedyny wolny leżak, gdy zobaczyłam, że na leżaku leży wyciągnięty Tony. Aż mi stanęło serce na jego widok.

Miał zamknięte oczy i chyba dobrze mu się spało. Nogi skrzyżował w łydkach, na brzuchu spoczywała wytatuowana dłoń, ściskająca piersiówkę. Zbliżyłam się do niego na bezpieczną odległość, mrużąc oczy i szukając na jego twarzy siniaka. Bez skutku – jego oliwkowa skóra zdawała się irytująco idealna i nietknięta.

Ręka mi drgnęła; miałam wielką ochotę uderzyć go znowu, tak wiele agresji się we mnie zebrało. Podsycała ją jedno bolesne wspomnienie z poprzedniej nocy. Dobrze, że się wyspałam i byłam w stanie zapanować nad swoimi emocjami. Teraz, choć miałam ochotę trzepnąć Tony'ego raz jeszcze, nie zrobiłabym tego.

Stałam tak nad nim przez dwie minuty, czując kotłujące się we mnie złość, zawód i wstyd. Ulżyło mi dopiero, gdy Leo mi odpisał, a kilka minut później dołączył do mnie na tarasie.

– Znalazłeś sobie miejsce do spania? – zapytałam, bo nie umknęły mojej uwadze jego podkrążone oczy.

– Ta, dorwałam rozkładany fotel w jednym z pokoi – odparł, rzucając mi nikły uśmiech.

– Przepraszam za Shane'a i Dylana.

– Nie przepraszaj za innych ludzi.

Odwzajemniłam jego uśmiech, gdy użył tych samych słów, które kiedyś sama do niego skierowałam.

– No to przepraszam za siebie. Strasznie mi głupio, nie wiem, co we mnie wstąpiło. I no... prawie zniszczyłam ci bluzę, którą sama ci podarowałam...

Leo zaśmiał się serdecznie.

– Muszę przyznać, że niełatwo być tym rozsądnym. Niewiele brakowało, a bym przegapił moment, w którym należało powiedzieć „stop”.

Gdy mówił takie rzeczy, robiło mi się miło i czułam zarazem zawstydzenie. Leo potrafił być nieco bardziej bezpośredni w słowach niż ja i trochę mnie tym fascynował. Czułam, że powoli się tego od niego uczę. Postanowiłam jednak, że tym razem bezpieczniej będzie, jeśli zmienimy temat.

– Chciałabym już wrócić do domu – westchnęłam, mimochodem zerkając na Tony'ego. Byłam w tej kwestii uzależniona od chłopaków.

– Ja w sumie też, za kilka godzin idę do pracy – powiedział Leo, przeciągając się i zerkając na zegarek w telefonie.

– Ty idziesz do pracy! – zawołałam.

– No tak.

– Zapomniałam!

– Nie patrz na mnie z takim współczuciem – zaśmiał się. – Nie pierwszy i nie ostatni raz mam zmianę po imprezie. Nic mi nie będzie.

Nie mogłam przestać rzucać mu życzliwych spojrzeń. Zaczęłam kombinować, czy może jest jakiś sposób, żeby wrócić do domu wcześniej, nie czekając na łaskę Dylana i bliźniaków. Jedyne, co wymyśliłam, to taksówka. Dzielnie wybrałam numer Vincenta, żeby upewnić się, że mnie nie zabije, jak nagle pojawię się w domu bez reszty rodzeństwa.

Zapytał oczywiście o chłopaków i choć na pewno nie był zadowolony z faktu, że się sponiewierali, to nie udawał nawet zaskoczonego, że tak się stało. Przystała na to, bym wróciła sama.

– Co z Winter i... Moną? – zapytałam niechętnie Leo.

– Mona wróciła do domu w nocy. Też wzięła taksówkę – odparł ostrożnie Leo.

– Skąd wiesz? – zdziwiłam się.

– Pisałam do niej... – przyznał. – Żeby sprawdzić, czy nic głupiego nie przyszło jej do głowy.

– Głupszego niż migdalenie się z moim bratem?

– Głupszego może nie, ale bardziej niebezpiecznego.

Westchnęłam.

– Dobrze, że do niej napisałeś – powiedziałam w końcu, odwracając wzrok. – Ja sama nie zamierzam się do niej odzywać, ale lepiej mi, jak wiem, że dotarła do domu. No i przynajmniej z nami nie wraca i nie muszę jej oglądać.

– Prosiła, żeby zabrać jej rzeczy, bo wczoraj nie miała odwagi, żeby wrócić do waszego pokoju – ciągnął, a gdy miałam prychnąć i zapytać, co ona sobie wyobraża i co mam niby zrobić z jej torbami, Leo dokończył: – Wezmę je do domu, to podejdzie sobie po nie wolnej chwili.

Mona odwiedzająca Leo za moimi plecami to nie było moje ulubione wyobrażenie, ale nie chciałam zbyt otwarcie się bulwersować, więc wzruszyłam tylko ramionami.

– A Winter śpi w salonie, na kanapie. Widziałem ją przed chwilą. – Westchnął. – Chyba mocno się zjarała. – Pokręcił głową, po czym uniósł lekko telefon. – Zamówię taksówkę i ją obudzę. Spotkajmy się na podjeździe.

Przystałam na to i wróciłam do sypialni, gdzie Shane i Dylan dalej byli pogrążeni we śnie, choć teraz leżeli rozwaleni na łóżku w nieco innych pozycjach.

Jako że Dylan aktualnie plasował się na miejscu numer zero w moim rankingu braci (wyprzedzając jedynie Tony’ego, który miał zaszczyt zajmować godne podziwu ujemne miejsce), zdecydowałam się podejść do Shane’a.

Niezbyt delikatnie trąciłam go w ramię.

– Ej – syknęłam. – Ej, Shane!

Chwilę wzbraniał się przed wybudzeniem, ale w końcu uchylił minimalnie jedną powiekę.

– Co robisz? – jęknął, chowając twarz w zgięciu łokcia.

– Jadę do domu. Taksówką. Rozmawiałam z Vince’em.

– Po co?

– Wstałam już i nie chce mi się na was czekać.

– Sonny?

– Jest ze mną jego zmiennik. Zobaczymy się później, pa.

– Naha.

Wywróciłam oczami, ale spełniłam swój obowiązek grzecznej młodszej siostry, więc teraz już tylko pozbierałam prędko moje rzeczy i zarzuciłam torbę na ramię, a potem z nadąsaną miną złapałam też tę Mony i wyszłam z pokoju. Mój wzbudzający grozę ochroniarz spojrział na mnie w korytarzu i wyciągnął rękę, by mnie odciążyć, a ja chętnie oddałam mu własność mojej przyjaciółki. Zanim opuściłam tę luksusową willę, która w jedną noc zamieniła się w luksusową melinę, przypomniałam sobie o swoich butach, które wcześniej wrzuciłam pod kanapę, i szybko je spod niej wyłowiałam. Zdały egzamin, więc nie chciałam ich tu zostawiać.

W taksówce Leo usiadł z przodu, obok kierowcy, a ja zasiadłam z Winter na tylnej kanapie, bo miałam okazję przyjrzeć się jej uważniej. Jej twarz była pobladła, głowę odchyliła do tyłu, powieki miała przymknięte. Dłońmi przytulała do siebie niemal już opróżnioną butelkę wody. Już miałam otworzyć usta i zagadać uprzejmie, czy wszystko u niej dobrze, ale wtedy zaczął tarabanić jej telefon. Dziewczyna się ocknęła i zaczęła wygrzebywać go z kieszeni. Na ekranie wyświetlał się numer podpisany „Ojciec”.

Odchrząknęła kilka razy, zanim odebrała.

– Halo? – wymruczała do słuchawki, celowo zapewne ścisząc głos.

– Gdzie jesteś? – warknął ktoś głośno.

– Wracam do domu.

– Nie było cię całą noc, co to ma być?!

Winter próbowała ściszyć głośnik w telefonie, niby to dyskretnie przyciskając boczne guziki na obudowie. Na niewiele to się zdało, bo rozmówca był wyjątkowo hałaśliwy. – Gdzie ty łazisz?

– Świętowałam zakończenie – wymamrotała do głośnika, odwracając głowę ode mnie, od kierowcy i od Leo, widocznie zażenowana.

– No, zakończenie szkoły, a jakie...

– Szwendasz się gdzieś nie wiadomo gdzie, jak jakaś lafiryń...

– Zaraz będę w domu – ucięła szorstko Winter i się rozłączyła.

Wpatrywałam się w boczne okno, próbując ukryć, jak bardzo zszokowana byłam tym, co właśnie usłyszałam.

– Hansen – odezwał się Leo z przedniego siedzenia. – Wszystko gra?

– Mhm, jest spoko.

Nie brzmiało to jak spoko, ale poczułam, że to w ogóle nie jest moja sprawa, zwłaszcza że my się przecież z Winter nawet za bardzo nie lubiliśmy. Na pewno nie życzyła sobie, bym wściubiała nos w jej prywatne sprawy.

Taksówka najpierw podjechała pod Rezydencję Monetów i widziałam, jak na jej widok Winter, która od czasu telefonu ojca trochę się rozbudziła i teraz wyglądała przez okno, obgryzając paznokcie, opada szczęką.

– Dzięki, Hailie, jak dla mnie, mimo wszystko, to był cudowny wieczór – rzucił do mnie Leo, wykręcając głowę, żeby jeszcze zerknąć na mnie ostatni raz.

Gdyby siedział obok, to na bank zrobiłabym, co mogę, by zbliżyć się do niego i go przytulić albo nawet pocałować, bo co mi szkodziło, zwłaszcza już po tej wczorajszej nocy. Ale obecność Winter jakoś dziwnie mi ciążyła, więc tylko przelotnie mu pomachałam.

Poczułam się o jeden malutki promil dojralsza, gdy wysiadałam samodzielnie z taksówki na podjeździe robiącej spore wrażenie posiadłości Monetów. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zajechałam tu sama, bez towarzystwa braci. Wpatrując się w spokojną, jakby uśpioną na pozór, i efektownie prezentującą się rezydencję, zmarszczyłam nawet brwi, gdy uświadomiłam sobie, że jak dotąd nigdy. Dziwnie poczułam się z tą myślą.

Weszłam do środka przez frontowe drzwi i zamknęłam je zaraz za sobą, gdy dostrzegłam, że mój ochroniarz zatrzymuje się obok jednego z filarów i podpała papierosa. Wkraczając do znajomego holu, westchnęłam z zadowoleniem, bo mimo mocno zwarzonego po wydarzeniach z imprezy nastroju ucieszyłam się, że jestem już w domu.

– Dzień dobry – odezwał się Vince swoim klasycznie formalnym tonem.

Byłam już na schodach, ale przystanęłam. Stał w przejściu do kuchni, pewnie wyłoniwszy się z niej, gdy usłyszał moje wejście.

Vincent był dziś tym samym Vincentem, co zawsze, czyli eleganckim i w koszuli, co tworzyło między mną a nim spory kontrast.

– Cześć, Vince – odpowiedziałam, wdychając w duchu.

– Czy wszystko w porządku?

– Tak, wszystko okej. – Wzruszyłam ramionami, ale dłoń zacisnęłam mocniej na poręczy i mogło mi się to wydawać, ale jego bystre oczy na sekundę dyskretnie na nią zerknęły.

Jest okej, tylko uderzyłam Tony’ego, nie jesteś zły, nie? Na pewno by był. Wyobrażałam sobie, że nie pochwała takich czynów, i wołałabym, żeby nie dowiedział się o tym, co się wydarzyło, chociaż znając jego nadprzyrodzone zmysły (albo skarżypoctwo Tony’ego), on już mógł o wszystkim wiedzieć.

Nie, na pewno nie.

– Dylan, Shane i Tony się zachowywali?

– No... wiesz. Jak to oni. – Znowu wzruszyłam ramionami.

– Mhm.

Patrzył na mnie przenikliwie, co obudziło we mnie reakcję obronną, zaczęłam więc paplać:

– Taka jestem, wiesz, zmęczona. W ogóle nieprzyzwyczajona do imprezowania, haha. – Mój śmiech był tak sztuczny, że prawie wydał się sarkastyczny. Kłykcie mi zbieły, gdy palce na balustradzie zacisnęłam jeszcze mocniej. – Ale generalnie to wszystko dobrze.

Vincent uniósł lekko brwi, na co ja odetchnęłam głęboko.

– Naprawdę jestem zmęczona. Muszę się jeszcze przespać.

– Dobry pomysł – zgodził się ze mną.

Skinął nawet głową, a ja wzięłam to sobie do serca i pokonałam ze dwa kolejne schodki, naprawdę pragnąc zamknąć się w swojej sypialni. Szybko jednak przystanęłam i zawahałam się, po czym znowu się odwróciłam.

– Vince?

– Tak? – Spojrzył na mnie.

Przez chwilę zbierałam się w sobie, by wypluć z siebie kolejne pytanie. Chciałam mu je zadać już od jakiegoś czasu, a teraz, po

imprezie, miałam potrzebę poznać odpowiedź jeszcze bardziej.

– Czy na wakacjach zobaczę tatę?

Zanim się odezwał, zajął mi głęboko w oczy. Przez to, że tak zwlekał z odpowiedzią, nie wytrzymałam i przełknąwszy ślinę, dodałam żałośnie drżącym głosem:

– Muszę go zobaczyć, Vince.

Jego spojrzenie złągodniało.

– Zobaczysz go.

Fala radości i ulgi, jaka rozlała się w moim ciele, prawie zepchnęłaby mnie ze schodów, gdyby nie to, że wciąż przytrzymywałam się barierki. Jeśli byłaby szansa, żeby wsiąść w samolot już teraz, w tej chwili, i polecieć tam, gdzie był teraz tata, nie zawahałabym się ani sekundy.

Byłam pewna, że szczęście wypisało się na mojej twarzy – rozjaśniło ją, a oczy rozblęsnęły. Starłam się jednak nie afiszować tak otwarcie ze swoimi emocjami, choć broda zaczęła mi drżeć, co pewnie nietrudno było zauważyć. Skinęłam lekko głową, modelując głos tak, żeby brzmiał jak najbardziej neutralnie, gdy odpowiadałam:

– Dziękuję.

Resztki energii poświęciłam na wspięcie się po schodach na górę, do sypialni. Ulżyło mi, gdy znalazłam się w swojej małej świątyni, gdzie mogłam się sobie smucić i płakać bez końca. Dopiero tutaj wzięłam porządną prysznic. Cieszyłam się też, że wreszcie przestało mnie mdlić, chociaż nadal krzywiłam się na wspomnienie obmacujących się Tony'ego i Mony.

Świeża i w wygodnych ubraniach zwinęłam się w kłębek na swoim łóżku, tęskniąc za bliskością Leo. Smutno mi też było ze świadomością, że w tym domu prawdopodobnie nigdy nie uda mu się przekroczyć progu mojej sypialni. To było głupie i niesprawiedliwe.

Tony mógł sobie obmacywać moją przyjaciółkę i wszystko było cacy, a mnie zabraniano nawet szukać pocieszenia u kogoś płci przeciwnej. Bezsens totalny. Nie żałowałam, że go uderzyłam.

Jak na zawołanie dłoń, którą wymierzyłam mu policzek, lekko mi zadrżała. Tak jakby już na zawsze została naznaczona. Byłam prawie pewna, że ten akt agresji kosztował mnie dużo więcej niż Tony'ego. On pewnie wciąż spał na tamym leżaku, a kiedy się obudzi, może nawet nie będzie pamiętał, co się wydarzyło. Albo spłynie to po nim jak po kacze. Bo to tylko ja miałam tak porąbany charakter, że wszystkim się przejmowałam.

Rozmyślenia przerwało mi wibrowanie telefonu. Niechętnie zerknęłam na ekran i zmarszczyłam czoło, przeczytawszy nową wiadomość zawierającą jedno krótkie słowo: „Przepraszam”.

Mona. Prawie zaśmiałam się ponuro. Ona mnie przeprosza. Nie radząc sobie z przetworzeniem tej idiotycznej wiadomości, po prostu wyłączyłam telefon. Niech spada.

Gdy odkryłam, że najbardziej koi mnie myśl o tym, iż niedługo zobaczę tatę, zaczęłam skupiać się właśnie na niej. Spotkam Cama i wszystko będzie lepiej. Nazwie mnie królową i pocałuje w czubek głowy.

Z jakiegoś powodu pomyślałam też o Winter, którą jej własny ojciec przyrównał do labiryndy, i zrobiło mi się przykro.

W swojej apteczce na smutki miałam jeszcze jedno lekarstwo oprócz Leo i taty, a był nim nie kto inny, jak mój ulubiony Will, który odwiedził mnie ze dwie lub trzy godziny po moim powrocie.

Pytał mnie, czy aby wszystko w porządku, a ja nie za bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć. Na pewno było po mnie widać, że coś mnie dręczy. Najgorsze było to, że tym razem nie mogłam wylać przed Willem swoich żali. Bałam się powiedzieć mu, że uderzyłam Tony'ego. A musiałabym mu to wyznać, gdybym chciała opowiedzieć mu o tym, że Tony obściskował się z moją przyjaciółką. To samo dotyczyło złośliwości Dylana. Wszystkie te nieprzyjemności gdzieś tam się ze sobą łączyły.

Udzielałam więc Willowi zdawkowych odpowiedzi, zatajając przed nim, dlaczego tak naprawdę jest mi smutno. On wiedział, że nic ode mnie nie wyciągnął, ale w Willu świetne było to, że nie naciskał na mnie, tylko wolał poczekać, aż sama poczuje potrzebę rozmowy. Ostatecznie więc po prostu zabrał mnie do kuchni i wmusił we mnie obiad, a wtedy niestety akurat wielka trójca powróciła do domu.

Po drodze odwiedzili jakiś fast food, nie zasiedli więc z nami do stołu, ale gdy potem byłam w kuchni sama, przypałał się Shane po kawę. Na początku ulżyło mi, że był to akurat on, jednak w rekordowo szybkim czasie i jemu udało się mnie zirytować.

– Czemu nie powiedziałaś nam, że wracasz sama?

Zadając to pytanie, zerkał na mnie znad ekspresu z wyrzutem.

Moja ręka z widelcem zatrzymała się w powietrzu w połowie drogi.

– Przecież ci mówiłam.

– Kiedy niby?

– Jak spałeś.

Shane uniósł brew.

– Było mnie obudzić.

– Hej! Obudziłam! – zirytowałam się.

– No chyba nie, skoro tego nie pamiętam.

– To, że na kacu masz słabą pamięć, to nie moje zmartwienie.

– I jeszcze miałaś wyłączony telefon. Musieliśmy dzwonić do Vince’a, żeby ogarnął, gdzie jesteś. Dopiero wtedy nam powiedział, że wróciłeś do domu. I opierdolił przy okazji, że cię nie pilnujemy.

Teraz to ja uniosłam brwi i opuściłam widelec, darując sobie kolejny kęs.

– I co, to niby moja wina?

– A moja? – Shane przekrzywił głowę i niby nie był zły, ale na pewno trochę rozdrażniony, a ja nie miałam cierpliwości, by znosić jego zarzuty od czapy. Zwłaszcza gdy próbował wmówić mi nieprawdę.

– Wiesz co? Zostaw mnie w spokoju – burknęłam.

Shane złapał za ucho kubka, w którym właśnie zrobiła mu się aromatyczna kawa, pokręcił głową i mruknął:

– Za mała jesteś na imprezy.

Wyszedł z kuchni, a ja aż poczerwieniałam ze złości. Ogień wręcz promieniował z moich nagranych policzków. Rzuciłam widelcem w talerz i robiąc, co w mojej mocy, by nie wybuchnąć jak bomba wrzaskiem lub, co gorsza, płaczem, wstałam i podeszłam z naczyńmi do śmieci, by wyrzucić resztki z obiadu, na który przeszedł mi apetyt. Rysowałam metalowym widelcem po ceramicznej powierzchni, czerpiąc chorą satysfakcję z nieznośnych pisków.

– Ogarnij się – upomniał mnie ostry głos Tony’ego.

Drugi z bliźniaków pojawił się w kuchni i sięgał właśnie do lodówki, z której wyciągnął sobie piwo. Na chwilę zeszytniałam, zestresowana jego obecnością, ale byłam też wyjątkowo rozemocjonowana, więc może dlatego zaczęłam szorować widelcem jeszcze mocniej. Przeraziłowy skrzek stawał na baczność włoski na całym ciele.

Tony cmoknął z irytacją i sięgnął ponad moim ramieniem, uważając, żeby nawet przypadkiem mnie nie dotknąć, po czym wyrwał mi z ręki widelec. Cisnął nim do zlewu z głośnym łoskotem, używając przesadnie dużo siły.

Najpierw zamarłam, totalnie zaskoczona, ale potem zacisnęłam usta w prostą linię i odszukałam wzrokiem sztuciec, rozważając, by z powrotem złapać go w dłoń.

– Zostaw to – warknęła na mnie, wiedząc doskonale, co mi chodzi po głowie. – Przestań być wkurwiająca.

Zacisnęłam ręce na talerzu i zaczęłam lustrować brata wrogim spojrzeniem.

– Przestanę być wkurwiająca, jak ty przestaniesz przystawiać się do moich przyjaciółek.

Tony parsknął. Odłożył zimną butelkę piwa na blat i odwrócił się z powrotem do mnie, patrząc na mnie z niedowierzaniem. Postawę miał tak nieprzyjemną, że w normalnych okolicznościach zrobiłoby mi się przykro.

– Jeśli sobie wyobrażasz, że pozwolę, żeby moja młodsza siostra dyktowała mi warunki, to chyba śnisz i czas na pobudkę.

Milczałam, czując się jak dziecko, małe i głupie.

– A jeśli jeszcze raz mnie uderzysz... – ciągnął, ale mu przerwałam, zupełnie automatycznie:

– To co?

Zabrzmiało to wyzywająco, ale ja wcale nie czułam się tak pewnie. Tony nachylił się lekko i bez cienia rozbawienia wycedził:

– To robi się nieprzyjemnie. I nie myśl, że rzucam słowa na wiatr. Sama się przekonasz. – Odsunął się i pogroził mi palcem, dodając złowieszczco: – Jeszcze raz.

Następnie wyluzował się, złapał swoje piwo, które syknęło, gdy szybkim ruchem je otworzył, i opuścił kuchnię, pozostawiając w niej mnie – z nogami wrośniętymi w podłogę.

Zagryzłam wargi, by nie eksplodować. Wciąż trzymany przeze mnie talerz uniosłam w górę, a następnie rzuciłam nim do zlewu, jak to wcześniej Tony zrobił z widelcem. Ceramiczne naczynie narobiło o wiele więcej hałasu, pękając na kawałeczki, ale nie zostałam, by je podziwiać lub po sobie posprzątać, tylko biegiem uciekałam na górę, do jedyne miejsce w tym domu, w którym mogłam skutecznie skryć się przed całą tą trójką najgorszych pod słońcem braci.

KAZANIE VINCE'A

Gdy Tony wszedł do gabinetu Vincenta, dźwięk jego kroków naruszył panującą tu niepokojącą ciszę. Choć jej ciężar miażdżył mi uszy, sama nie zrobiłam do tej pory nic, by ją przerwać. Siedziałam w jednym z dwóch dobrze znanych mi foteli, ustawionych przed masywnym biurkiem, i tępo błądziłam oczami po jego prostych liniach. Nie kwapiłam się, by unieść wzrok, bo wtedy mogłabym napotkać spojrzenie swojego najstarszego brata.

A on stał, nie siedział. Był odwrócony tyłem, ale ja i tak nie miałam śmiałości patrzeć na jego plecy. Nawet gdyby chwilę temu nie zadzwonił i nie wezwał mnie do siebie koszmarnie szorstkim – nawet jak na siebie – głosem, to i tak wystarczyło mi przekroczyć próg jego biura, by na własnej skórze odczuć jego złość. On nie wybuchał i się nie pieklił, gdy się denerwował, a wręcz przeciwnie – zamieniał się w skutą lodem Antarktydę. To wyjaśniało gęsią skórę, której błyskawicznie się tu nabawiłam.

Przybycie Tony'ego nie polepszyło sytuacji. Właściwie to wskaźnik jej beznadziejności nawet nie drgnął. Miałam wrażenie, że niedługo może zabraknąć nam tlenu, jeśli ktoś nie rozładuje atmosfery.

Tony nie zajął wolnego fotela obok mnie, tylko zatrzymał się za nim i położył obie ręce na jego oparciu, jakby przyszedł tu z największą łaską. Nie obdarował mnie nawet najbardziej przelotnym spojrzeniem.

Ja za to dyskretnie zerknęłam na niego kątem oka. Siedziałam zgarbiona, z twarzą schowaną za kurtyną włosów, bo wiedziałam, że czekająca mnie tutaj rozmowa nie będzie należała do przyjemnych. Trochę się denerwowałam, a Tony z kolei emanował obojętnością – swoją ulubioną pozą, za którą ja tak bardzo u niego nie przepadałam. Bo chyba wszystko inne byłoby lepsze: nienawiść, złość, żal. Zawsze byłyby to jakieś emocje. Obojętność zaś charakteryzowała się bolesną pustką.

I choć wciąż chowałam urazę wobec Tony'ego, to zdecydowanie byłam bardziej otwarta na wszelkie kompromisy niż on. Ja po prostu dusiłam się w takim nieoficjalnym konflikcie między nami.

– Zechce mi któreś łaskawie wyjaśnić, co się wydarzyło na tej waszej pozał się imprezie?

Vincent odwrócił się w naszą stronę, gotowy, by świdrować nas spojrzeniem. Nie pomagał fakt, że w słabo oświetlonym aktualnie gabinecie jego twarz wydawała się jeszcze bardziej marmurowa, co bynajmniej nie ocieplało jego i tak chłodnego wizerunku. Twarz Vince'a kontrastowała z czarną koszulą, na którą postanowił dziś włożyć równie czarną, opinającą jego smukłą sylwetkę kamizelkę z ciemnozłotymi guzikami. Było ich cztery, na samym środku; policzyłam je, bo stokroć bardziej wolałam gapić się na nie niż w lodowate tęczówki mojego zagniewanego brata.

Ani ja, ani Tony nie wrywaliśmy się do odpowiedzi. On patrzył teraz w bok, pochylając się lekko w przód, oba nadgarstki luźno trzymał na oparciu fotela, dłonie miał splecione i mógłby uchodzić za zakłętego w kamień, gdyby nie jego kciuki, którymi pocierał jeden o drugiego. W ten sposób radził sobie ze stresem, bo nie wierzyłam, że nie odczuwa go ani trochę.

Ja na przykład miałam wrażenie, że nerwy wałkują mnie niczym ciasto na włoską pizzę. Brzmi smakowicie, ale smak pizzy z dodatkami takimi jak strach, złość i smutek na grubym cieście żalu i z sosem z goryczy musiałyby być paskudny.

Skup się, Hailie.

Vince zadał pytanie, a kiedy tak robił, to zawsze oczekiwał odpowiedzi i nie lubił, gdy się na nią nie zapowiadało. W swoim sprycie doskonale wiedział też, że łatwiej będzie mu wydostać cokolwiek od swojej młodszej, wrażliwej siostry niż gruboskórnego brata buntownika, dlatego postanowił wwiercać swoje intensywne, mroźne jak zima na Alasce spojrzenie właśnie we mnie.

Obiema dłońmi opierał się o szeroki i twardy blat biurka, tylko na pozór cierpliwie czekając, aż zacznę mówić. Bardzo się cieszyłam, że dzieli nas to biurko. Jakkolwiek onieśmielającą granicę zarysowywało między nami, mimo wszystko było też swego rodzaju ścianą bezpieczeństwa.

– Hailie, podziel się, proszę, swoimi spostrzeżeniami na temat sobotniej nocy.

Westchnęłam pokonana. W mojej duszy wściekłość na brata walczyła zaciekle z wyrzutami sumienia i była to bitwa tak wyrównana, że nie potrafiłam przewidzieć jej wyniku.

– Uderzyłam Tony'ego – przyznałam się.

Wiszący nad nami ciężar nie zmaleł, a Vince wcale nie zdawał się zaskoczony. Wiedział już, co się wydarzyło. Inaczej by nas tutaj nie było.

Tony się nie odzywał. Musiałam mu przyznać, że nie robił z siebie ofiary na siłę, co przekonało mnie, że to nie od niego Vincent dowiedział się o tej sytuacji.

– Uderzyłaś Tony'ego – powtórzył, krótką chwilę poświęcając na to, by słowa te zostały przez nas posmakowane. – Dlaczego?

Nic, co bym teraz odpowiedziała, nie miało szans mnie uratować, więc wzruszyłam ramionami i mruknęłam:

– Bo się zdenerwowałam.

– Uderzyłaś Tony’ego, bo się zdenerwowałeś – podsumował i pokręcił głową. – Hailie, powiedz mi, ile ty masz lat?

– Prawie siedemnaście.

– Czyż to nie wystarczająco dużo, by wiedzieć, że bicie ludzi nie jest cywilizowanym sposobem na wyładowanie emocji?

Wtuliłam się w oparcie fotela, licząc na to, że dzięki temu poczuję się choć odrobinę pewniej.

– Zwłaszcza ludzi, którzy są rodziną i z którymi wypada utrzymywać stosunki na przyzwoitym poziomie – kontynuował.

– A czy próba przespania się z przyjaciółką siostry zalicza się jeszcze do tego przyzwoitego poziomu?

Vince rzucił Tony’emu trwające ułamek sekundy spojrzenie.

– Hailie, nie próbuję odebrać ci prawa do złości. W tej chwili jednak omawiamy twoje reakcje, które są przez tę złość napędzane. Można ją wyładować na różne sposoby. Powiedziałbym, że ten wybrany przez ciebie to jeden z gorszych.

Znowu zirytowana, wbiłam wzrok w boczną, spowitą mrokiem ścianę gabinetu.

– Okej – zaczęłam, starając się zabrzmieć rozsądnie. Wiedziałam, że tylko w taki sposób mogę liczyć na wyrozumiałość Vincenta. – Nie powinnam była uderzyć... Tony’ego. – Wskazałam na niego otwartą dłonią. – Ale to przecież nie tak, że ja ciągle biję ludzi. Raz mi się zdarzyło stracić nad sobą panowanie. Jeden jedyny. Raz.

– Mam ci gratulować, że nie wdajesz się w bójki każdego dnia?

Patrzyłam na palce, które wykręcałam w nerwach.

– Nie gratulować, ale zrozumieć, że miałam chwilę słabości...

– W porządku, Hailie, jednakże jeśli nie porozmawiamy o tej jednej chwili słabości teraz, to w przyszłości mogą się one zacząć powtarzać. Dlatego przestań się buntować, to szybciej zakończymy tę dyskusję.

Nie podobało mi się, że dostaję ochrzan przy Tonym. Mogłam sobie tylko wyobrażać, jak bardzo satysfakcjonujące musiało być dla niego wysłuchiwanie tego. Z drugiej strony znałam swojego opiekuna na tyle dobrze, by wiedzieć, że im więcej pokory pokażę, tym lepiej cała sytuacja się dla mnie rozwinie i skończy.

Nie mogłam sobie jednak podarować choć odrobiny dramatyzmu.

– Dobrze – przyznałam, wdychając głębiej, niż trzeba było. – Źle zrobiłam. Następnym razem nie wtrąć się do łóżkowych spraw Tony’ego, nawet jeśli miałyby tam z nim być aż dwie moje przyjaciółki. – Zawiesiłam teatralnie głos. – Ach, nie, chwila, nie mam dwóch przyjaciółek. – Zamilkłam znowu i pierwszy raz, odkąd znaleźliśmy się razem w tym pomieszczeniu, wbiłam jadowne spojrzenie w najmłodszego z braci Monet. – Mam tylko jedną. Jedną przyjaciółkę i ze wszystkich dziewczyn na całym świecie, które z jakiegoś niejasnego dla mnie powodu ślinią się do Tony’ego, on musiał sobie wybrać akurat ją.

Nie zrobiłam na nim wrażenia. Gapił się przed siebie i tylko czekał, aż odbębni swoje i będzie mógł stąd wyjść.

– Hailie. – Vince z powrotem skupił moją uwagę na sobie i nachylił się lekko, dłonie wciąż mając rozstawione płasko na blacie biurka. Nie zdawał się bardzo zły, ale patrzył na mnie z zaciśniętymi ustami, tak jakby naprawdę mu zależało, żebym dobrze zrozumiała, co ma na myśli. – Jakkolwiek nie pochwalam wyborów Tony’ego, to chciałbym, żebyś wiedziała, że nie tylko od niego oczekuję dojrzałych zachowań. – Uniósł znacząco brew. – Dałem ci swobodę, bo zaufałem, że jesteś wystarczająco rozsądna, by dokonywać przemyślanych decyzji. Uderzenie twojego brata zdecydowanie takie nie było. Czy zgodzisz się ze mną?

– Tak – mruknęłam.

– Twojej rodzinie, Hailie – kontynuował Vincent niespiesznie – czyli nam, zależy na twoim bezpieczeństwie bardziej niż na czymkolwiek innym. Odpłacanie się policzkiem jest z twojej strony co najmniej nieeleganckie. Zwłaszcza że myślę, iż jesteś doskonale świadoma tego, że żaden z nas nie zdobyłby się na to, by ci oddać.

Znowu spuściłam wzrok. Vince mistrzowsko opanował sztukę dobierania odpowiednich słów, by wywołać pożądane reakcje. Musiałam jednak przyznać, że w jego wypowiedzi było coś nieprzyjemnie prawdziwego. W ciszy pozwoliłam kazaniu Vince’a wsiąknąć w mój mózg, a on milczał chwilę, jakby zachęcał mnie do tego procesu, aż w końcu uznał, że wystarczy, i odezwał się znowu:

– Jako że nie jesteśmy, wbrew pozorom, w przedszkolu, nie zamierzam wymuszać na was wzajemnych przeprosin, które w tym momencie bez wątpienia byłyby nieszczerze – oznajmił łaskawie, wieńcząc nasz spór lekką, acz doskonale słyszalną pogardą w głosie. – Dam wam czas do końca waszego wakacyjnego wyjazdu na dotarcie się i rozwiązanie waszego konfliktu na własną rękę. Możecie sobie chować wzajemną urazę nawet do ostatniego dnia, ale w momencie, gdy znowu was zobaczę, nie chcę słyszeć ani słowa na temat waszych dziecinnych kłótni. Czy ja się wyrażam jasno?

Uparcie milczałam. Byłam pewna, że nie wyciągnę pierwszą rękę na zgodę do Tony’ego, za bardzo zaszedł mi za skórę. Jednocześnie wiedziałam, że on nie jest typem osoby, która odpuściłaby, przełknęła dumę i zebrała się na przeprosiny. Wyglądało więc na to, że już

nigdy się nie pogodzimy.

Poczułam się odrobinę smutna.

– Nie mam całego dnia i nie zamierzam się z wami szarpać, dlatego tę ciszę uznaję za potwierdzenie – warknął chłodno Vince, po czym odetchnął i wyprostował się, a jego spojrzenie, jeśli to możliwe, stało się jeszcze bardziej intensywne. Na szczęście tym razem spoczęło na Tonym. Założyłam, że mój prywatny wykład dobiegł końca i właśnie zaczyna się następny. Sądząc po ostrości głosu Vince'a, miał on być dłuższy i bardziej bezpośredni. – Teraz chciałbym jeszcze wiedzieć, dlaczego Sonny uznał, że podczas waszego małego incydentu bezpieczeństwo Hailie jest zagrożone, i zmuszony był zainterweniować?

Tony się spał. Ciężar ciała przeniósł ostrożnie na wciąż trzymane na oparciu fotela ręce, a jego głowa zawisła w dole, podtrzymywana jedynie przez kciuki na splecionych dłoniach.

– Ta, gównie, do niczego nie był zmuszony – burknął.

– Wyrażaj się. – Temperatura głosu Vincenta spadła poniżej zera. – Znamy Sonny'ego od lat, nieprawdaż? Nie działa impulsywnie. Jego osądy są ostrożnie przekalkulowane i co za tym idzie – trafne. Dlatego jeśli ochroniarz twojej siostry uznał, że powinien zareagować podczas waszej interakcji, to muszę przyznać, że jestem bardzo zaniepokojony. Może i był zaniepokojony, ale jak dla mnie przede wszystkim targała nim wściekłość.

– Nic bym jej nie zrobił! – zdenerwował się Tony, machnąwszy w moją stronę ręką z frustracją, nawet na mnie nie patrząc.

Oczy Vince'a pociemniały. Usta się zacisnęły, a skóra napięła. Powolnym, złudnie spokojnym krokiem obszedł swoje biurko, by stanąć obok brata. Automatycznie zeszytniałam, gdy uświadomiłam sobie, jak blisko mnie jednocześnie się właśnie znalazł.

– Dlaczego Sonny uznał, że bezpieczeństwo twojej siostry zostało zagrożone?

– Nic bym jej nie zrobił – syknął znowu Tony, śmiało patrząc na górującego nad nim Vincenta.

– Dlaczego – powtórzył znowu nasz brat chłodnym i wuzutym z emocji głosem – Sonny uznał, że bezpieczeństwo...

– Nic bym jej... – zaczął mówić przez zęby Tony w tym samym czasie.

– ... twojej siostry...

– ...nie zrobił...

– ...zostało zagrożone?

Obaj toczyli pojedynek na spojrzenia i choć Tony'emu szło naprawdę nieźle, to w tej konkurencji nikt nigdy nie wygra z Vincentem. Najmłodszy z braci odwrócił w końcu głowę w bok, prychnąwszy pogardliwie. A Vince wyprostował się i odezwał się znowu:

– Hailie. Wyjdź, proszę.

Ha, nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Niczym żołnierz po usłyszeniu rozkazu wstałam i wyszłam. Zerknęłam, co prawda, przelotnie na Tony'ego, ale malujący się na jego twarzy wyraz obojętności powoli robił się nudny i tylko mnie rozdrażnił. Współczułam mu tylko odrobinę. Nie mogłam się pozbyć małego, zjadliwego duszka, który ukradkiem skrywał się za moim uchem i szeptał mi, że to bardzo dobrze, iż Tony dostanie za swoje. Należała mu się własna porcja Vincentowej dezaprobaty.

Zirytowana i roztargniona wróciłam do sypialni i pakowania walizki – czynności, od której wcześniej mnie oderwano. Nie, nie planowałam uciec z domu. Leciłam na wczasy, i to już jutro. Zamyślona składałam ubrania w schludne, idealnie zbite kosteczki. Inne, gdy materiał tego wymagał, zawijałam w rulony. Otwierałam też paczki z niedawno zamówionymi przez internet letnimi ubraniami. Ciągle byłam jednak trochę nieprzytomna, rozkojarzona po rozmowie w gabinecie Vince'a. Zastanawiałam się, czy Tony zniechęcał mnie teraz jeszcze bardziej.

Tak umordowana byłam w ogóle od samej imprezy i choć minęły raptem dwa dni, to zdecydowanie nie wystarczyły one, bym poukładała sobie wszystko w głowie i wróciła do normalności. Ciągle dręczyłam się coraz to nowymi przemyśleniami. Nadal miałam ochotę przegryźć sobie wewnątrz policzka do krwi ze wstydu, gdy przypominałam sobie, jaką komedię odstawiłam, i to w samej bieliźnie, przed Leo.

Czułam też bolesne ukłucie w sercu, ilekroć pomyślałam o Monie. Nie odpisałam jej na kolejną wiadomość, jaką wysłała mi dzień po swoich marnych przeprosinach. Ta była już bardziej rozbudowana i emocjonalna, ale ja nie byłam gotowa na takie uzewnętrznianie się. Potrzebowałam wakacji.

Miło byłoby mieć wolne również od braci, zwłaszcza świętej trójcy, ale to z nimi leciałam do Europy. Wizja podróży z Shane'em, Tonym i Dyanem z każdą chwilą coraz bardziej uświadamiała mi, jak wiele ten wyjazd będzie mnie kosztować. Od niedzieli w ogóle z chłopakami nie rozmawiałam, zdecydowana, by potraktować ich oschłością, milczeniem i obojętnością, co zrobi na nich takie wrażenie, że w końcu zrozumieją swoje błędy i, co równie ważne, więcej podobnych nie popełnią. Zapomniałam tylko, że do takich zagrywek trzeba mieć odpowiedni charakter, coś w typie wrednej suki, a nie jak to się miało w moim przypadku, łagodnego labradora, któremu ogon sam z siebie chciał merdać w niemal każdej sytuacji...



25 MAŁY GBUREK

W naszym odrzutowcu zajęłam miejsce na samym tyle, tam gdzie przeważnie zaszywał się Sonny. Miałam nadzieję na odrobinę prywatności, skoro już musiałam kisić się ze swoim rodzeństwem w tej zamkniętej przestrzeni tysiące kilometrów nad ziemią. Byłam gotowa spędzić cały nasz nocny lot, na przemian drzemiąc i czytając. Musiałam też napisać recenzję na swoje książkowe konto.

Poza tym przeglądałam wiadomości, które w ostatnim czasie dostałam od swoich obserwujących i do których nie miałam jeszcze okazji zajrzeć. Na moment poprawił mi się humor, gdy przeczytałam, że zawsze polecam najciekawsze tytuły i robię przepiękne zdjęcia, a moonlight_book sprawiła, że się uśmiechnęłam, bo pochwaliła moje recenzje. Zawsze są szczerze i wiarygodne – tak mi napisała.

Pogrążona we własnym świecie, ignorowałam więc braci. Zamierzałam chować urazę jeszcze długo. Zależeli mi za skórę i nie byłam gotowa im przebaczyć. Obawiałam się, że nigdy nie nauczą się traktować mnie poważnie, jeśli będę im zbyt szybko darowywać ich świństwa wobec mnie. Tak rozpaczliwie chciałam, by uświadomili sobie, że ja też tu z nimi jestem, że żyję, oddycham i czuję, i mam prawo, do cholery, żeby patrzyli na mnie jak na człowieka, a nie chomika, którego mogą sobie trzymać w wypasionej klatce i wsadzać w kołowrotek, kiedy tylko poczują potrzebę rozrywki, a czasem też karać zabraniam mu słońca czy innych ulubionych ziarenek.

Z moich wstępnych obserwacji wynikało, że Shane przejmuje się moim zubożeniem najbardziej. Już w domu i w drodze na lotnisko próbował mnie kilka razy zagadać, a ja odmrukiwałam coś uprzejmie, ale chłodno, nawet mimo tego, iż w głębi serca miałam ochotę wpuścić do niego trochę pogody.

Dylana przyłapałam na paru dłuższych spojrzaniach, jakie rzucał w moją stronę. Zwykle posyłał je spod zmarszczonych brwi, jakby nie do końca zdawał sobie sprawę, że przegiął. Zdawał się nie wiedzieć, o co mi chodzi, a ja denerwowałam się na samą myśl, że miałabym mu tłumaczyć tak oczywistą rzecz. Prawda to jednak, że granicę każdy ma postawioną gdzie indziej. Ta Dylana odleciała najwyraźniej daleko w kosmos.

O Tonym zaś mówić mi się nie chce, bo Tony traktował mnie trochę jak powietrze i to doskwierało mi, wściekało mnie i smuciło najbardziej.

Po trzech godzinach lotu ktoś usiadł obok mnie, a ja poderwałam głowę, by sprawdzić, czy to aby nie ktoś, z kim nie miałam ochoty rozmawiać i na kogo wypadałoby nawarczyć za naruszanie mojej przestrzeni.

Napotkałam błękitne tęczówki Shane'a. Bajeczne miał te oczy, takie przeze mnie niedocenione. Nie mroziły jak te Vincenta ani nie rozgrzewały serca, jak potrafiły oczy Willa, ale miały w sobie taką niewinną figlarność. Zawsze błyszczały na widok dobrego jedzenia, mrużyły się z uznaniem dla ładnych dziewczyn i szybkich samochodów, a w momentach takich jak teraz nabierały bystrości. Bliźniacy mieli też bardzo długie rzęsy, których potajemnie im zazdrościłam.

Otworzyłam usta, żeby wyprosić Shane'a ze swojego kawałka przestrzeni, który sobie nieformalnie zaanektowałam na czas podróży, ale widząc wyraz jego twarzy, szybko je zamknęłam.

– Przypomniałem sobie – wyznał wreszcie, przeczesując rozczochrane włosy.

Uniosłam pytająco brwi.

– No, po imprezie – wyjaśnił i oblizał wargi. – No, że faktycznie mnie budziłaś. Mówiłaś, że dzwoniłaś do Vince'a i że wracasz taksówką.

Spuściłam wzrok na swoje kolana i pokiwałam głową.

– Odpowiedziałeś „Naha”.

– To... to brzmi jak coś, co mogłem powiedzieć – przyznał, po czym westchnął i tym razem potarł czoło. – Słuchaj, przepraszam, jak coś. Byłem taki nie ten po imprezie i wkurzyłem się, jak Vince wsiadł na nas przez telefon, wtedy jak cię szukaliśmy w willi. Ale no zawałem ja, nie ty.

Uśmiechnęłam się smutno.

– Fajnie, że sobie jednak przypomniałeś – wymamrotałam, odwróciwszy głowę w bok. Nie potrafiłam patrzeć na niego zbyt długo, bo czułam, że rana w moim sercu jest za duża, by zwyczajne przeprosiny ją uleczyły. Sama nie wiedziałam, czego oczekuję. Dawno nie czułam się taka zagubiona.

– Nie chcesz ze mną gadać? – domyślił się.

– Chyba nie bardzo.

Shane westchnął, po czym podniósł się powoli i odszedł, a ja dopiero wtedy powiodłam za nim wzrokiem. Część mnie chciała go

zawołać, by wrócił, ale nie mogłam się przemóc. Zrobiło mi się przykro z tego wszystkiego i z powrotem zapadłam się w skórzany fotel, pragnąc, by wessał mnie do środka.

Spodziewałam się, że przyjęcie przeprosin Shane'a zadziałałoby negatywnie na moją psychikę, ale okazało się, że nieprzyjęcie ich w ogóle wcale nie było lepsze.

Oczy zaszyły mi łzami. Zaczęły mnie też trochę szczypać i podniosłam dłoń, by je przetrzeć, gdy znowu usłyszałam jakiś dźwięk tuż nad swoim uchem.

Shane wpakował się z powrotem na siedzenie obok, tym razem z gigantyczną paczką paprykowych chipsów. Po szeleście natychmiast rozbrzmiał znajomy odgłos chrupania. Chłopak odwzajemnił moje spojrzenie ze stoickim spokojem. Uniósł też lekko paczkę, kierując jej otwór w moją stronę.

– Mam chipsy.

Zerknęłam tępo na wściekle pomarańczową zawartość opakowania, a potem z powrotem na niego.

– Próbujesz przekupić mnie jedzeniem? – Chcąc nie chcąc, zaśmiałam się cicho.

– Są kaloryczne, pełne ulepszczy, lekko słodkawe, a jednak pikantne, moje ulubione. No i chrupią jak marzenie.

– Mhm, brzmi smakowicie, zwłaszcza te ulepszacze.

– Nie wiem, o czym mówisz. Glutaminian monosodowy brzmi jak spoko składnik – stwierdził Shane, zerkając przelotnie na skład paczki. – To jak, chcesz się poczęstować?

– Eee... próbuję rozgryźć, czy to aby na pewno mnie zachęca.

Shane wyciągnął z paczki wyjątkowo dużego chipsa i pomachał nim przed moim nosem.

– Jedyne, co powinnaś rozgryzać, to ten ziemniaczek, dziewczynko.

Po czym wcelował nim w moje zamknięte usta. Siłą uroczego-w-Shane'owy-sposób spojrzenia przekonał mnie do rozchylenia ich. Zaciśnęłam zęby na chrupku, odchyliłam głowę i przysłoniłam buzię dłońmi, aby nie poleciał mi na kolana żaden okruc.

Tyle wystarczyło, bym wpadła w pułapkę. Shane został na fotelu obok, a ja już nie chciałam, żeby mnie zostawiał. Pragnęłam zademonstrować swoją krzywdę i odciąć się od chłopaków, ale zamykanie się w swojej skorupie i zaszywanie gdzieś z dala od wszystkich wcale nie było łatwe. Zwłaszcza że na wyciągnięcie ręki miałam perspektywę tak kuszącą, jak komfort u Shane'a. Nie potrafiłam się jej oprzeć.

Shane przyniósł ze sobą też tablet i puścił film, taki o wyjątkowo dziewczynińskiej fabule, więc wybrał go specjalnie z myślą o mnie. Obejrzałam go, przytulając policzek do jego ramienia. On z kolei trzymał brodę na czubku mojej głowy. Nawet nie przeszkadzało mi, że gdy próbował wpakować sobie do ust zbyt wiele chipsów na raz, okruszki czasem spadały mi na nos.



Wakacje z Monetami nie mogły być nudne. Bracia kombinowali na potęgę, żeby swoje prywatne zachcianki ładnie spleść z oficjalnymi planami i dlatego lecieliśmy właśnie do Madrytu. Na początku byłam wyjątkowo niezadowolona z tych ustaleń. Nie żebym miała jakiś wielki problem z Hiszpanią, ale chciałam jak najszybciej odwiedzić tatę. Byliśmy z nim umówieni na przyszły tydzień w nieznaną nam jeszcze lokalizacji, a chłopcy uparli się na rozpoczęcie naszej wyprawy już teraz.

Ostatecznie plan podróży wyglądał tak, że lecieliśmy na noc lub dwie do Madrytu, a potem, jak zostało ustalone, chłopcy wybierali się na parę dni na Ibizę, czego pomysłodawczynią była Martina. Jej kuzyn ponoć miał tam domek wakacyjny i wybierała się do niego z ekipą ze studiów. Dylan był zbyt zazdrosny, żeby puścić ją samą. Nie tylko o nią, ale i o sam fakt, że ominęłoby go kilka dni ostrego imprezowania na jednej z najbardziej sprzyjających takim rozrywkom wysp świata. Bliźniacy oczywiście też nie pogardzili wizją zabawy i tylko ja wyraziłam swój sprzeciw. Zdecydowanie nie miałam ochoty brać udziału w żadnych szalonych imprezach, na których obecni mieli być moi bracia. Choć z chęcią zobaczyłabym Ibizę, to myśl o tym, że miałabym tam jechać i czuć się jak piąte koło u wozu, sprawiła, że zdobyłam się na odrobinę kreatywności i wysłałam do braci z własnym pomysłem na spędzenie tych kilku dni.

Takim oto cudem po nocy w Madrycie miałam polecieć naszym odrzutowcem do Francji, by odwiedzić Mayę i Monty'ego. Cieszyłam się na to niezmiernie, bo naprawdę potrzebowałam odpocząć od chłopaków. Wieczór w Madrycie planowałam poświęcić na zrobienie zdjęcia do recenzji książki. Hotel miał wystarczająco ekskluzywne wnętrza, by zaplanować jakieś ładne ujęcie. Ustawiałam właśnie książkę, gdy zajrzał do mnie Shane.

– O, miałem cię właśnie budzić z drzemki. Zaraz wychodzimy – oznajmił, sam mając na policzku odcisnięty ślad po poduszce.

– Super, dobrej zabawy.

– Chodzi mi o to, żebyś poszła z nami.

– Nie, dzięki, zostanę. Mam co robić – odparłam, wskazując na książkę. – Ale miło, że zaproponowałeś.

Shane nie odwrócił się i sobie nie poszedł, tylko zmarszczył brwi.

– Hailie, serio, chodź. Co będziesz robić sama? Jesteśmy przecież na wakacjach.

Popatrzyłam gdzieś w bok.

– No nie daj się namawiać. Jesteś w Madrycie, wypada choćby na chwilę wyściubić nos z hotelu.

– Dylan i Tony też idą? – zapytałam, doskonale wiedząc, że odpowiedź będzie twierdząca. Chciałam jednak dać Shane'owi do zrozumienia, z czym mam problem.

– Nikt nie będzie się ciebie czepiać, słowo.

To była sytuacja podobna do tej w samolocie. Chciałam pokazać, że jestem obrażona do tego stopnia, że nie chcę iść w ich towarzystwie na miasto, ale perspektywa zobaczenia Madrytu wieczorem z miejsca innego niż balkon mojego pokoju hotelowego była zbyt kusząca.

– Czy tam, gdzie zamierzacie iść, jest basen? – zapytałam, ześlizgując się z łóżka. – Bo jeśli Dylan znowu ma mnie do jakiegoś wrzucić, to wołałabym się przygotować i włożyć strój kąpielowy.

– Ale się z ciebie zrobił uroczy mały gburek – zarechotał Shane, kręcąc głową. – Bądź gotowa za jakieś pół godziny, dziewczynko.

– To wasza wina! – zawołałam za nim. – Kiedyś taka nie byłam!

Drzwi się zamknęły, a ja westchnęłam. Powinnam była być bardziej wytrwała w swoich postanowieniach.

Spojrzałam w okno i w jego odbiciu, na tle powoli budzącego się do nocnego życia miasta zobaczyłam siebie, drobną, rozczochraną i w wyciągniętej koszulce. Przechyliłam głowę w bok i zapatrzyłam się na majaczące w tle budynki oraz światła samochodów.

A potem wzięłam się w garść. Miałam pół godziny na wyszykowanie się i choćbym miała żałować tego wyjścia z różnych powodów, to może przynajmniej wydarzy się coś ciekawego. Może zobaczę jakiś ładny zabytek albo spróbuję czegoś smacznego? Mieliśmy spotkać się z Martiną, a ona zapewne zna Madryt jak własną kieszeń.

Włożyłam długą zieloną spódnicę do ziemi z rozporkami po obydwu stronach. Jej materiał musiałam przytrzymywać obiema dłońmi, bo majtała mi się, gdy schodziłam za chłopakami po marmurowych schodkach, prowadzących od hotelowego wejścia.

Tony uparcie nie zwracał na mnie uwagi, do czego się naprawdę powoli już przyzwyczajałam, ale Shane i Dylan zagapili się na mnie i ku mojej satysfakcji, zgodnie z obietnicą tego pierwszego, ani słowem nie przywalili się do mojego stroju.

Bracia Monet jak zwykle wyglądali nad wyraz wyjściowo – nawet w zwykłych luźnych T-shirtach. Każdy z nich miał swoje ciemne włosy na pozór rozczochrane, a jednak dyskretnie dopięszone. No i wszyscy mieli wygodne sportowe buty. Wiedziałam, że sama dobrze zrobiłam, zakładając białe espadryle na całkowicie płaskiej podeszwie. Zwłaszcza że zdecydowaliśmy się zrobić sobie krótki spacer, zamiast łapać taksówkę.

Chłopcy zabrali mnie do rooftop baru. Tam czekała na nas Martina ze znajomymi. Z zainteresowaniem obserwowałam Dylana, ciekawa jego reakcji na jej widok. Nie spieszył się, by podejść do swojej dziewczyny, ale nie w taki sposób, jakby nie zależało mu na tym, by jak najszybciej ją powitać. Bardziej nadawał podniosłości tej ich chwili. Szedł wolno chodnikiem i uniósł wysoko głowę, przyjrzał się Martinie spod zmrużonych powiek i stopniowo na jego usta zaczął wstępować leniwie szelmowski uśmiech. Dziewczyna nie bawiła się w takie ceregiele. Jak tylko jej spojrzenie na nas padło, jej czarne jak węgielki oczy rozbłysły i utworzyły piękny kontrast z perłście białymi zębami, które pokazała w szerokim uśmiechu. Była o wiele bardziej opalona, niż gdy widziałam ją ostatnio, a w rozpuszczonych ciemnych włosach dostrzegłam dwa drobne warkoczyki. Natychmiast podleciała do mojego brata i rzuciła mu się na szyję, a on objął ją mocno swoimi wielkimi, umięśnionymi ramionami. Najpierw złożył buziaka na czubku jej głowy, a potem wymienili namiętny pocałunek.

Shane wydał z siebie serię niezidentyfikowanych dźwięków i się zaśmiałam.

Dylan oderwał w końcu usta od Marty i rzucił nam drwiący uśmiech. Dziewczyna podeszła, by nas powitać – z każdym z nas wymieniła po dwa buziaki w policzki. Nawet z Tonym. Wtedy zrobiło mi się przykro, bo mnie Tony traktował jak powietrze.

– *Guapa*, wyglądasz absolutnie pięknie – skomplementowała mnie.

– Dzięki, ty też – odparłam uprzejmie, a potem jeszcze doceniłam na głos jej kolczyki, które były ogromne i srebrne, z zielonymi kamieniami, identycznego koloru, jakiego ja miałam spódniczkę. Żartowałyśmy sobie, że mogłybyśmy się powymieniać ciuchami, i taka babska paplanina naprawdę poprawiła mi humor, ale z drugiej strony Martina szła z Dylanem za rękę i ja tak mimochodem co jakiś czas zerkałam na te ich splecione dłonie. To nie tak, że byłam zazdrosna o to, że trzyma mojego brata za rękę. On mógłby nawet nieść ją na barana, a ja miałabym to gdzieś, naprawdę. Chodziło mi bardziej o to przywiązanie i o to, że Dylanowi prawdopodobnie na Martinie serio zależało, a co za tym idzie, szanował ją i tak głupio jak mnie nigdy nie dokuczał. Mogłabym się założyć, że jej nie wrzuciłby do basenu na imprezie na oczach wszystkich za jakieś błahe pyskówki.

Bar mieścił się w budynku luksusowego apartamentowca. Martina żartowała, że czasem chodzi tam ze znajomymi, tylko żeby zrobić sobie ładne zdjęcia na tle panoramy miasta, bo ceny w menu powalały. Dylan i bliźniacy uparli się, że to będzie idealne miejsce do spędzenia dzisiejszego wieczora.

Rozglądałam się po tarasie i miałam mieszane uczucia. Z jednej strony byłam zachwycona panującym tu stylem boho, bo na pierwszy rzut oka słomiane parasole, palmy w doniczkach oraz wiklinowe meble wypoczynkowe obite wzorzystymi, kolorowymi poduchami nadawały temu miejscu niesamowitego klimatu. Jeśli do tego dodać zapierający dech w piersiach widok madryckiego centrum, miejsce to niezaprzeczalnie zaliczało się do jednego z urokliwszych, w jakim kiedykolwiek miałam przyjemność się znajdować.

Robił się już wieczór i choć wciąż było jasno, to powoli rozpalano kolorowe lampki ukryte w każdym kącie. Nieopodal baru muzycy rozkładali swój sprzęt i z tego, co dostrzegłam, niedługo mieliśmy zostać uraczeni dźwiękami saksofonu, kontrabas, chyba też gitary...

Nie szukaliśmy wolnych stolików, bo dołączyliśmy do znajomych Martiny. Większość z nich znała już Dylana, a nawet bliźniaków. Wszyscy byli starsi ode mnie i szybko poczułam się przytłoczona. Niedaleko znajdował się marmurowy stół bilardowy. Kolega Martiny, który zamachał właśnie do mnie i moich braci, szykował bile do gry. Chłopcy oczywiście od razu zadeklarowali swoją chęć do uczestnictwa w rozgrywce, a ja podziękowałam.

Czułam się dziwnie onieśmielona. To zdecydowanie nie był mój dzień na wyjście do ekskluzywnego madryckiego baru i zabawę ze starszymi ode mnie ludźmi. Może potrafiłabym się bardziej wyluzować, gdybym była bez braci. Wszyscy tu byli dla mnie bardzo mili, ale z racji tego, że nie angażowałam się w żadne rozmowy, każdy to szanował i zostawiał mnie w spokoju. Może powinnam była zostać w hotelu?

Może po prostu tak naprawdę w głębi duszy byłam nudziarą i teraz to ze mnie wychodziło?

BOGATA BRYTYJKA NA WAKACJACH

Martina opowiadała coś swoim znajomym, jak zawsze żywo gestykulując, a Dylan nie opuszczał jej boku, przyglądając się jej z uniesionym kącikiem ust. Tony stał obok nich z piwem w jednej dłoni i świeżo odpalonym papierosem w drugiej. Shane natomiast śmiał się z czegoś z jedną z koleżanek Martiny, obracając jedną z bil w palcach.

Zaczynało mi się nudzić i wtedy dostałam wiadomość od Leo. Dopiero to mnie ożywiło.

Miałam jeszcze Leo.

Uśmiechnęłam się do telefonu i rozejrzałam za jakimś ustronnym miejscem. Dostrzegłam nieco odseparowaną, dyskretną część tarasu, która wysuwała się do przodu w miasto niczym jęzor jakiegoś zwierza. Strefa ta była ładnie oświetlona okrągłymi żółtymi żaróweczkami. Znajdujące się tam eleganckie kanapy zwróciły moją uwagę swoją bezkonkurencyjnie zapowiadającą się wygodą. Dałam znać Dylanowi, gdzie będę, i ruszyłam w tamtą stronę. Szybko przekonałam się, dlaczego zapewne są wolne – były zarezerwowane. Plakietka informująca o rezerwacji stała na stoliku, do którego podeszłam. Uznałam, że skoro goście jeszcze nie przybyli, to mogę tam sobie przycupnąć choć na chwilę.

Sonny bezszelestnie przesunął się za mną, ale nawet na niego nie spojrzałam, tylko oparłam się o miękkie poduchy i na chwilę spróbowałam docenić przyjemne aspekty tego wyjścia. Odwiedzam Madryt. Shane jest dla mnie miły. Jestem ładnie ubrana. Znajduję się na dachu luksusowego apartamentowca, w jeszcze bardziej luksusowym barze. Przyleciałam tu prywatnym samolotem. Cieszę oczy pięknymi widokami. Do moich uszu zaczynają dobiegać dźwięki będące efektem pierwszych podrygów jazzowego zespołu...

Ale Tony jest na mnie obrażony, Dylan zdystansowany, Sonny pilnuje, bym nie odfrunęła za daleko ze złotej klatki, cokolwiek się wydarzy, nie przegadam tego z Moną, a Leo jest oddalony o tysiące kilometrów ode mnie, nie wspominając o tym, że przebywa w innej strefie czasowej i dużo pracuje.

Tak mi właśnie napisał, że idzie do pracy, na drugą zmianę. Był z niej naprawdę zadowolony. Cieszyłam się, że mu się podoba i że moi bracia – w tym przypadku Will – zrobili dla odmiany coś, co ułatwiło mu życie, zamiast wiecznie je utrudniać. Opowiedziałam mu o swojej podróży i wysłałam zdjęcie panoramy miasta, która rozpościerała się tuż przed moimi oczyma. Leo też mi jedno przesłał, widniał na nim fragment ulicy przed cukiernią, a on szedł właśnie do samochodu. Chwilkę sobie tak jeszcze popisałiśmy, po czym Leo usiadł za kierownicą i musiał odłożyć telefon. Wtedy ja swój również odłożyłam i na powrót zapatrzyłam się na miasto, rozkoszując się lekką bryzą, która laskotała moją twarz.

– *Hola, señora* – zagadnął mnie jakiś łysiejący mężczyzna, ubrany jak jeden z tych eleganckich barmanów, których widziałam za barem. Nawet gdyby nie miał tej samej koszuli i szelek, co tamci, to po manierze, z jaką się do mnie odniósł, od razu bym poznała, że to pracownik obsługi. Wysunął lekko głowę, żeby zajrzeć mi w twarz, i uśmiechnął się uprzejmie, ale powściągliwie. Odpowiedziałam po hiszpańsku na jego pozdrowienie, przez co chyba uznał, że może mnie teraz zaatakować potokiem zdań złożonych w tym obcym dla mnie języku.

W szkole uczyłam się zarówno francuskiego, jak i hiszpańskiego i choć miałam dobre oceny z obydwu tych języków, to dzięki swoim ostatnim podróżom do tych krajów wiedziałam, że to, czego nauczyłam się na lekcjach, w ogóle nie szło w parze z praktyką.

– Eee, a po angielsku? – zapytałam nieśmiało, gdy mężczyzna skończył. Wtedy zacisnął usta i wskazał na tamten bloczek na stoliku, ten z informacją o rezerwacji, i już wiedziałam, o co mu chodzi. – Ah, *si, si*. Ja sobie tu tylko usiadłam, tak na chwilę. Nie ma problemu? Rozumiem. *Si*.

Zamachałam dłonią, żeby go uspokoić, a on unióśł brwi.

– *Si*?

– *Si* – potwierdziłam znowu.

Wtedy skinął głową, odparł coś kulturalnie, a następnie, już najwyraźniej uspokojony, zapytał, co mi podać. Uznałam, że skoro już tu siedzę, to równie dobrze mogę zamówić sobie coś do picia. Chłopcy też zdążyli już uraczyć się pierwszymi trunkami. Poprosiłam o mojito, oczywiście bezalkoholowe. Drink ten kojarzył mi się z Mayą i naprawdę nie mogłam się doczekać, aż ją zobaczę. Potrzebowałam, żeby naładowała mnie swoją energią.

Co jakiś czas zerkałam na rodzeństwo i Martinę rozproszonych dookoła stołu bilardowego. Widziałam, jak się przekrzykują i sobie żartują. Może i mogłabym tam do nich jednak podejść i spróbować spędzić ten wieczór milej, niż tylko ich obserwując z miękkiej kanapy, ale naprawdę odpychała mnie świadomość, że Dylan zaraz narobi mi siary, Shane nazwie mnie przy wszystkich małą dziewczynką, a Tony ostentacyjnie uda, że jestem przezroczyta jak duch zza grobu.

Najwyżej podejść do nich, gdy wyproszą mnie ludzie od rezerwacji.

W międzyczasie kelner przyniósł mojego drinka i uroczyście postawił go przede mną, a ja dorwałam go w swoje ręce, spragniona nie tyle picia, ile jakiegoś rekwiwytu, który mogłabym trzymać w dłoniach i nie wyglądać tak beczynn timer. Przymknęłam z zadowoleniem

powieki, biorąc pierwsze łyki zimnego, orzeźwiającego napoju. Nawet bez alkoholu smakował fantastycznie, a podany był jeszcze ładniej, w wielkim, pękatym słoju z masywnym uchem, który od środka dekorowały kawałki cytryny i limonki oraz mnóstwo mięty i pokruszonego lodu. Nawet wysłałam Leo kolejne zdjęcie, na które zareagował po kilku minutach. Kazał mi rozkoszować się Madrytem i wszystkimi dobrymi rzeczami, jakie to miasto ma w zanadru, a komplikacjami w osobach braci się nie przejmować, co było mniej więcej czymś, co chciałam i potrzebowałam usłyszeć.

– Uff – westchnął ktoś, kto właśnie walnął się na kanapie obok.

Najpierw byłam pewna, że to Dylan albo Shane, a potem serce zabiło mi mocniej, gdy pomyślałam sobie, że może to Tony korzysta z chwili sam na sam, żeby ze mną porozmawiać. Jednak to nie był żaden z moich braci, tylko jakiś młody chłopak, na oko w wieku bliźniaków czy może Dylana. Hiszpan, sądząc po jego opalonej, ciepłej karnacji, mocno zarysowanych brwiach, czarnych, kręcących się lekko włosach i oczach o takiej samej barwie.

Patrzyłam na niego zadziwiona, że tak bezceremonialnie sobie obok mnie usiadł, a on odwzajemnił moje spojrzenie i błysnął zębami.

– *Hola, guapa. Esta ocupado?* – zapytał. Zrozumiałam, o co pyta, ale spanikowałam i odparłam:

– Nie mówię po hiszpańsku.

– O, okej. A po angielsku?

– Mhm.

– Zajęte?

– Eee, no na razie nie.

Zerknęłam przelotem na braci, którzy jeszcze nie zauważyli, że dosiadł się do mnie jakiś osobnik płci męskiej.

– To ja sobie przycupnę. Tylko na chwilę – powiedział, opierając się o poduszki, a potem zerknął na mnie. – To znaczy jeśli można.

Wzruszyłam ramionami. Zawsze to jakaś rozrywka. Mogła się ona źle skończyć, zwłaszcza dla niego, ale w tamtym momencie kierowałam się samolubnymi pobudkami.

– Siadaj, gdzie chcesz. To nie mój stół – odparłam obojętnie, odgarniając włosy do tyłu i sięgając znowu po drinka, którego wcześniej odstawiłam.

– Jak to nie twój? Siedzisz przy nim.

– Chwilowo. – Wskazałam na kartonik z informacją o rezerwacji. – Jest zabukowany, zaraz pewnie ktoś przyjdzie.

Chłopak patrzył na mnie z uniesionymi brwiami i szeroko otwartymi oczami, a ramiona, które luźno rozciągnął na oparciu kanapy, zaczęły mu drżeć wprost proporcjonalnie do szerokości uśmiechu, który stopniowo mu się powiększał.

– Ale to nie jest informacja o rezerwacji – wydusił z siebie, nieudolnie powstrzymując śmiech. – Tam jest napisane, że ten stół, a raczej łóżko, można zarezerwować za dodatkową opłatą.

Spojrzałam na bloczek raz jeszcze i najpierw zmarszczyłam brwi, a potem je uniosłam.

– Aha – wymsknęło mi się. – Dlatego wszystkie te ładne stołki są wolne? Trzeba za nie dodatkowo płacić?

– Tak, brawo, wyborna dedukcja – zachichotał chłopak.

– Mój hiszpański jest beznadziejny – westchnęłam i opadłam na poduszki, w obydwu rękach ściskając lodowaty słoik, czyli jedyną rzecz, która dawała mi w tym momencie radość. Pociągnęłam kilka łyków przez słomkę, po czym od niechcenia zapytałam: – Ile wynosi ta opłata?

– Sześćset euro.

Wyplułam napój. Nawet nie przejęłam się, jak nieelegancko to wyglądało, bo aż mnie zabolalo.

– Ile?! – powtórzyłam.

– Zajęłaś ten najtańszy, tamte najbardziej wysunięte są chyba za około osiemset.

– Ty sobie chyba żartujesz – warknęłam na niego. – Dlaczego w barze mieliby brać dodatkowe pieniądze za stołki?

– Bo to ekskluzywny bar i jeśli chcesz mieć najwygodniejsze miejsce z najładniejszym widokiem, to musisz zabulić. W klubach też płaci się za specjalne łóżka, nie? – Mrugnął do mnie.

– To jakieś okropne zdzierstwo – oceniłam, kręcąc głową.

Chłopak obserwował mnie zaintrygowany, unosząc jedną brew.

– Co? – mruknęłam, gdy poczułam, że gapi się na mnie za długo.

– Nic – odparł. – Spodziewałem się tylko, że zerwiesz się stąd jak oparzona i polecisz do obsługi wyjaśniać nieporozumienie. A ty... nadal tu siedzisz.

– Już pewnie i tak za późno, by cokolwiek wyjaśniać – mruknęłam, machnąwszy lekceważąco ręką, pamiętając moją niekończącą się litanie *si, si, si*, którą rzuciłam do obsługującego mnie tu mężczyzny. Kto wie, na co ja się ostatecznie zgodziłam. – Szkoda zachodu.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

– No tak, jeśli masz sześć stówek do przewalania, to racja, szkoda zachodu.

Zerknęłam na Dylana. Martina właśnie pukała swoim palcem w jego czoło i tłumaczyła coś ze śmiechem. Ciekawa byłam, czy on się na mnie wkurzy. Pewnie nie wie, że siedzę tu kosztem sześciuset euro.

– Znasz ich? – zapytał, widząc zapewne, komu się przyglądam.

– Nie – odparłam szybko, odwzajemniając jego wzrok, jakby na dowód, że nie jestem zainteresowana w ogóle patrzeniem na tamto towarzystwo. – Dlaczego miałabym ich znać?

– Nie wiem, tak pytam. Wyglądasz, jakbyś mogła się z nimi trzymać.

– Znasz ich w ogóle? – prychnęłam, pociągając kolejny łyk mojito.

– Widzisz tego najwyższego, co ma takie wielkie bicki? – odparł, dyskretnie zerkając na Dylana.

– Mhm.

– Typ kręci z moją kuzynką.

– Mhm. To dlaczego nie jesteś tam z nimi?

– Właśnie przyszedłem. No i zanim do nich dotarłem, przypadkowo zauważyłem samotną, czarującą dziewczynę w luksusowej łoży. Wiesz, nie mogłem przejść obojętnie.

Uśmiechnęłam się do swojego drinka.

– A tak poważnie, to co robisz tutaj sama? – zagaił, przekręcając głowę.

– Jutro lecę do Francji i mam jednodniową przesiadkę w Madrycie. Przyszłam... popodziwiać miasto... – Podbródkiem wskazałam na obraz nocnego Madrytu, za który właśnie buliłam sześćset euro.

Chłopak gwizdnął.

– Oho, mamy tu bogatą Brytyjkę na wakacjach. Ładny akcent, tak w ogóle.

– Dzięki.

Zapatrzyłam się na niego, starając się pohamować oczywisty uśmiech, który próbował wybić się na moje usta. Nie chodzi o to, że podobało mi się, że nazywał mnie bogatą, bo status zamożności mojej rodziny był na tym etapie dla mnie już zbyt oczywisty, ale bardzo pozytywne uczucia budził we mnie sposób, w jaki o mnie mówił. Postrzegał mnie jak dziewczynę czy kobietę. Nie małą Hailie, dziewczynkę, młodszą siostrzyczkę.

W międzyczasie znowu podszedł do nas kelner. Nieznajomy zamówił to samo, co ja, bo wskazał na mój słój mojito. Bardzo pozazdrościłam mu tego, jak łatwo przeskakuje w komunikacji między dwoma językami.

– Wiesz, że to jest drink bezalkoholowy? – upewniłam się, gdy kelner już odszedł.

Chłopak wybałuszył na mnie oczy.

– *Pero hombre!* Dlaczego miałabyś pić drinka bez alkoholu?

– Nie piję alkoholu.

– Dlaczego?

– Nie wolno mi.

– To nie Stany, tutaj możesz pić od osiemnastu lat. Na spokojnie.

– Nie mam osiemnastu lat.

Chłopak zamilkł na chwilę, a potem przykrył twarz dłonią.

– O cholera, czyli podbiłem do nieletniej? – Wzniósł oczy do nieba i pokręcił głową. – Niedobrze. Jak ty w ogóle tutaj weszłaś, co?

– Normalnie – mruknęłam.

Mój rozmówca zmrużył oczy, a ja ignorowałam jego analizę, na spokojnie zajmując się swoim drinkiem.

– Jeśli nie chcesz pić, to w porządku, nie żebym cię namawiał, ale jak coś, to tak tylko powiem, że nikt by cię tu nie wylegitymował, tak czy siak.

– Zapamiętam na przyszłość.

Ze znużeniem popijałam swojego drinka, przy okazji rejestrując moment, w którym Dylan zerka na mnie i uświadamia sobie, że mam towarzystwo. Widziałam, jak mruży oczy i zaciska usta. Wciąż nosząc w duszy stłamszoną złość, wyzywająco, ale i ze znużeniem uniosłam podbródek i tylko czekałam na to, jak zareaguje. Niech tylko spróbuje tu przyjść i coś powiedzieć. Niech tylko spróbuje.

Mruknął coś pod nosem i teraz Shane też patrzył w moją stronę. Nie wiadomo tak naprawdę, czy sprawy nie potoczyłyby się jak zawsze, czyli kończąc się rabanem, gdyby nie wtrąciła się Martina. Szturchnęła Dy lana w ramię i coś do niego syknęła, on jej odpowiedział, a ona syknęła znowu, strosząc brwi. Jakakolwiek uwagę rzuciła, musiała dość zdecydowanie stanąć w obronie mojej i chłopaka, który w końcu był jej kuzynem. Potrafiła wpłynąć na Dylana i za to należały jej się gratulacje, bo on finalnie uniosł ręce w obronnym geście i jej ustąpił.

Nie przestał oczywiście razem z Shane'em zerkać w moją stronę.

– Co, myślisz, że jestem nudna, bo nie piję alkoholu? – zagadnęłam, nieco chętniejsza do rozmów teraz, gdy odkryłam, że mam chwilę spokoju od braci.

– No co ty, nie oceniam ludzi po zawartości ich drinków, nie jestem debilem – odrzekł, po czym dodał wciąż z uśmiechem na ustach: – Bardziej fascynujesz mnie swoją wytwornością.

Zapatrzyłam się na niego zaskoczona tak niespodziewanym komplementem.

– Uważasz, że jestem wytworna? – powtórzyłam. Odstawiając swojego drinka na stolik, starałam się pamiętać, by zrobić to z gracją, skoro już mnie tak pochwalili.

– Poza tym momentem, w którym się oplułaś na wiadomość o cenie stolika.

Przymknęłam powieki, żeby pozwolić momentowi wstydu płynnie przeminąć.

– Żartuję – zaśmiał się znowu. – Ale prawda jest taka, że trochę z ciebie dama. Siedzisz tu sama, tajemnicza, ubrana w długą, powłóczystą spódnicę, spokojnie obserwujesz otoczenie, sączysz drinka...

Pokręciłam z niedowierzaniem głową. Czarne oczy chłopaka zerknęły na mnie zalotnie, niby to niezobowiązująco. Wiedziałam, że to musi być typowy czarodziej, ale nasza luźna konwersacja sprawiała mi sporo frajdy. W końcu rzadko kiedy jakiś chłopak ma szansę do mnie podbić.

Pojawił się kelner i postawił drinka przed moim towarzyszem, który od razu poprosił, by uzupełnić go szotem rumu. Przez chwilę milczeliśmy. W momentach takich jak ten uświadamiałam sobie, że zwyczajnie nie potrafię prowadzić rozmów z obcymi. Społeczny ze mnie dzikus i trudno było się temu dziwić. Nie miałam za wiele okazji do nauki obycia w towarzystwie normalnych, obcych ludzi. Dlatego kolejne pytanie zostało zadane znowu przez mojego rozmówcę i od razu pożałowałam, że na to pozwoliłam.

– To może teraz już powiesz, dlaczego nie przyznajesz się do swojego rodzeństwa?



27 HEDONISTA

Uniosłam na niego oczy i w mojej głowie rozległ się odgłos tłuczonego szkła, jakby wizja sielankowej, nowej znajomości okazała się oparta na kłamstwie i pękła właśnie jak bańka mydlana.

– Skąd ty...? – zająknęłam się, obracając się mimochodem w stronę braci, którzy akurat wyjątkowo nie rzucali mi kontrolnych spojrzeń.

Chłopak przekrzywił głowę z politowaniem w oczach.

– Martina wspominała mi, że Dylan oprócz gromadki braci ma młodszą siostrę. No a on ciągle tutaj zerka.

Westchnęłam, z jakiegoś powodu zawiedziona.

– Czyli wiedziałeś od początku?

– Eee, nie... ale byłem pewny od momentu, kiedy nie przejęłaś się, że zapłacisz kupę pieniędzy za stolik. Poza tym, jak się przyjrzeć, widać po was wszystkich, że jesteście spokrewnieni.

Wywróciłam oczami i znowu westchnęłam. Mój drink zmienił się w wodę z roztopionego lodu i spuściwszy na niego oczy, kopałam słomką w mięcie i cytrynie.

– Szkoda – mruknęłam cichutko.

– Co szkoda?

Uniosłam na niego wzrok.

– Szkoda, że jesteś kolejną osobą, która będzie patrzyła na mnie przez pryzmat moich braci.

Chłopak przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu.

– Ciekawe jest to, co mówisz – oznajmił zamyślony. – Bo podobno macie dobry kontakt...

– Podobno? – prychnęłam.

– Martina opowiadała.

– Martina wie tyle, ile powie jej Dylan – ucieęłam.

– Czyli macie zły kontakt?

– Nie... – zaprzeczyłam, a potem dodałam: – ...wiem.

Zająłem się dopijaniem swojego rozwodnionego drinka, ale zaraz coś mnie tknęło i zmarszczyłam brwi.

– Czemu właściwie Martina ci o mnie opowiadała?

Uśmiechnął się z udawanym poczuciem winy.

– Jak mi ostatnio powiedziała, że zesła się z Dylaniem, to zapytałam ją, czy ona aby czasem nie jest masochistką. – Zerknął na mnie znacząco. – Nie zrozum mnie źle, ale twój brat potrafi być fiutem.

Chciałabym się oburzyć, ale niestety nie mogłam zaprzeczyć, więc słuchałam dalej.

– A Martina jest w nim zakochana od zawsze i daje się mu robić jak plastelina. – Przekrzywił głowę, rzucając spojrzenie swojej kuzynce. – Pytała mnie, czy jest głupia, że znowu się pakuje w ten związek.

– Powiedziałaś pewnie, że tak?

– Że tak, ale że to jej życie i że powinna robić, co chce. Wyjaśniłem jej też, dlaczego według mnie Dylan znowu ją zostawi. – Spojrzał na mnie przepaszająco.

– Też chcę wiedzieć, to ciekawe.

Naprawdę byłam zainteresowana. Może jego analiza Dylana okaże się trafna i pomoże mi samej go lepiej zrozumieć? Albo po prostu potrzebowałam poplotkować trochę o swoim wrednym bracie.

– Myślę, że nie miał odpowiednich wzorców. Wychował się w licznym, męskim gronie. Pamiętam ich za dzieciaka, bo nieraz widywaliśmy się na Kanarach, gdy odwiedzałem Martinę w wakacje. – Chłopak pokręcił głową do swoich wspomnień. – Ci bracia nigdy nie mieli dla siebie litości. U nich to zawsze był hardcore. Z jednej strony im zazdrościłem, że mają siebie nawzajem i nigdy się nie nudzą, a z drugiej współczułem, bo niełatwo im było za sobą nawzajem nadążyć.

Słuchając go, zapatrzyłam się w dal, na spowite bladą czernią sztucznie oświetlone budynki Madrytu. Widok był piękny, choć nadal nie jestem pewna, czy wyceniłabym go akurat na sześćset euro.

Ważne jednak dla mnie było to, że mogłam patrzeć na coś innego niż twarz mojego rozmówcy, bo jeszcze by poznał, jak robi mi się przykro, że obcy człowiek wie więcej o tym, jacy kiedyś byli moi bracia niż ja. Wstyd się przyznać, ale uczucie, które zaczęło łaskotać mnie w brzuchu, na dziewięćdziesiąt procent było zazdrością.

– I tak sobie myślę, że skoro wychowywał się w takich warunkach, to może mu być trudno obchodzić się z dziewczyną.

– Ja wychowywałam się bez mężczyzn w życiu, a wiem, że nie powinno się ich ranić, więc twoja teoria jest średnia – odparłam roztargnionym głosem.

– Nie mówię, że on o tym nie wie, tylko że trudno mu tę wiedzę przełożyć na życie codzienne. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem tak naprawdę nic. Tak sobie gdybam. Chciałaś wiedzieć, to ci powiedziałem. Studiuję psychologię, to lubię analizować ludzi. Takie zboczenie. – Uśmiechnął się. – Mówię ci o tym tylko dlatego, że pytałaś, czemu Martina mi o tobie wspominała.

Przyszedł kelner i nareszcie dostarczył chłopakowi jego upragnione alkoholowe mojito. Ten od razu chętnie zacisnął palce na uchu słoika.

– No więc pogubiłam się. Czemu o mnie wspominała? – wymamrotałam.

– Bo jak jej powiedziałem, że Dylan może nie potrafić obchodzić się z kobietami, bo żadne nie były obecne w jego życiu, nawet w rodzinie, to Martina powiedziała mi o tobie. – Upił łyk, a ja z niecierpliwością oczekiwałam ciągu dalszego. – Powiedziała, że niedawno dowiedział się o tym, że ma młodszą siostrę, i że od tamtej pory jesteś obecna w jego życiu cały czas...

– Brzmi cudownie – uznałam i uniosłam palec. – Ale nie jestem wyjątkiem. Dylan ze mną również nie potrafi się obchodzić, jeśli mam być szczerą.

– Martina powiedziała, że on ma absolutnego fioła na twoim punkcie. Że jest w ciebie zapatrzone i poszedłby za tobą w ogień. Tak to przedstawiła.

Zrobiło mi się ciepło pod skórą. Zapatrzyłam się na nieznanego bez słowa. Jakkolwiek mogłam śmiało podawać w wątpliwość umiejętność obchodzenia się mojego brata ze mną, tak nie zagłębiałam się w kwestię tak skomplikowaną jak jego uczucia względem mnie i fakt, że kuzyn Martiny tak je przedstawił, dosyć mnie zaskoczył.

– Dylan potrafi być... kochany – przyznałam w końcu, wzdychając krótko i cicho. Zerknęłam ukradkiem na brata. Przeczesał właśnie swoje ciemne włosy palcami, jednocześnie biorąc łyk piwa z małej, ciemnej buteleczki. – Ale jest też idiotą. Ma poważny problem z nadopiekuńczością. Martiny nie czepia się tak strasznie jak mnie.

– Martina ma do niego przepotężną słabość, ale nie brak jej charakterku. Potrafi go sobie ustawić, jak trzeba.

– Może powinnam poprosić ją o nauki.

– Co, serio jest aż tak źle? – zachichotał.

– Traktują mnie, jakbym miała pięć lat – poskarżyłam się niechętnie.

– Uroczą dziewczyną zamkniętą w złotej klatce – podsumował chłopak, a w jego ciemnych oczach błysnęło żartobliwe pożądanie. – Nie dziwię się, że tak cię pilnują. Dla niektórych możesz być łakomym kąskiem.

Skrzywiłam się na to śmiałe wyrażenie.

– Dla kogo niby? – prychnęłam.

Okazało się, że chłopak podczas naszej rozmowy trochę przechylał się w moją stronę. Nie wiem nawet, kiedy to się stało, i było bardzo subtelne, a między nami wciąż było sporo przestrzeni, więc jej nie naruszał. Dostrzegłam to tylko dlatego, że na moje pytanie z powrotem się wyluzował i opadł na oparcie kanapy. Wzruszył też ramionami i rozejrzył się niby to przypadkowo.

– Jesteś w Hiszpanii. Mężczyzn gotowych na gorący romans tu nie brakuje, wierz mi.

Również powiodłam wokół (nieco podejrzliwym) spojrzeniem.

– Nie jestem zainteresowana gorącymi romansami – mruknęłam, dyskretnie odblokowując telefon i zerkając na jego ekran, myśląc od razu o Leo i o tym, że nikt inny poza nim nie zawraca mi głowy.

Chłopak również zerknął na moją komórkę i uśmiechnął się lekko.

– Nie? Gorące romanse to najwspanialsze momenty w życiu. Zmysłowy taniec, czerwone wino, pocałunki i rozmowy, od których dostajesz orgazmu intelektualnego – powiedział i uniosł swojego drinka, nie przerywając ze mną kontaktu wzrokowego: – Niech żyje rozkosz i przyjemność.

Przeszły mnie ciarki. Wpatrywałam się w chłopaka z fascynacją.

– Życie to nie tylko przyjemność – zaproponowałam niepewnie. – Nie można się ciągle bawić.

– Można, i mówię to jako pełnoetatowy hedonista.

– Nie wiem, co to znaczy.

Uśmiechnął się znowu.

– Robię to, co chcę i lubię, oraz zwyczajnie czerpię radość z życia... – wymieniał, stopniowo ścisząc głos, po czym znowu zaczął mówić normalnym tonem: – Na przykład, wybacz za uogólnianie, ale mam wrażenie, że wy, Amerykanie, macie zaprogramowane, że po studiach od razu pakujecie się w ślub, dzieci, kredyt hipoteczny i samochód na krechę, zamiast nacieszyć się trochę wspaniałą... egzystencją.

– Bo niektórzy wolą mieć rodzinę i uporządkowane życie.

– Nie ma w tym nic złego. Ja też tego chcę. Będę miał żonę, dzieci, domek i dwa duże psy. Ale po trzydziestce. Teraz jest czas na zabawę. Na wino i seks bez zobowiązań – mówił, a ja słuchałam go w milczeniu.

– Jak... – zaczęłam słabym głosem i odchrząknęłam, żeby kontynuować: – Jak od rozmowy na temat mojego rodzeństwa przeszliśmy do życiowych porad?

– Poskarżyłaś się, że są nadopiekuńczy – przypomniał mi. – Skoro ci się to nie podoba, to warto coś z tym zrobić. Wsadzili cię do złotej klatki? Jesteś drobna, z łatwością prześlizgniesz się między kratami.

Uniosłam kciuk za swoje plecy bez sprawdzania nawet, czy Sonny tam stoi.

– Widzisz kogoś za moimi plecami?

Chłopak bez poruszania głową zerknął we wskazanym kierunku i na powrót spojrzał na mnie.

– Kawałek dalej stoi jakiś facet.

– Blondyn ubrany w ciemne ciuchy i ze zblazowanym wyrazem twarzy? – dopytywałam.

– Lepiej bym go nie opisał.

Pokiwałam głową.

– To mój ochroniarz.

Tym razem chłopak rzucił Sonny'emu dużo bardziej badawcze spojrzenie.

– Nie wyolbrzymiałaś, mówiąc, że twoi bracia są nadopiekuńczy.

– W żadnym razie.

– Nie szkodzi. To tylko dowodzi, że masz jeszcze więcej możliwości, żeby przeżyć swoje życie w nadzwyczajny sposób. – W końcu zmrugał oczy i z majaczącym mu ciągle na ustach uśmiechem rzucił: – Masz na imię... Helen, prawda?

– Hailie.

Chłopak nachylił się znowu.

– No więc baw się, Hailie. Baw się. Ile możesz, póki możesz.

Było coś hipnotyzującego w jego słowach i dopiero po chwili udało mi się zamrunąć i wyrwać z transu.

– Hailie, co tam? – wtrącił się Dylan swoim donośnym, wymagającym uwagi głosem.

Uniosłam głowę, mając nadzieję, że nie widzi gęsiej skórki, która pojawiła mi się na rękach od tej nadzwyczajnej rozmowy.

– A gdzie moja kuzynka? – zagadnął nieznajomy, w luzacki sposób odchylając się na oparcie.

– Poszła do łazienki – odburknął mu Dylan niezbyt uprzejmie.

Mój towarzysz zaśmiał się serdecznie.

– I pewnie dlatego od razu tu przybiegłeś?

– To moja mała siostra. – Wskazał na mnie brodą.

– Wiem, już mi się pożaliła. I okazuje się, że wcale nie jest taka mała. – Chłopak puścił mi ukradkiem oczko.

– Te, zaraz włożę ci do tego oka piść – syknął do niego Dylan.

– Dylan! – upomniałam go z oburzeniem.

– Martina nie będzie zadowolona – odparł ze śmiechem chłopak.

– Przeżyje.

Dylan przysiadł na brzegu kanapy tuż obok mnie, zmuszając mnie, bym się trochę przesunęła.

– Wszystko okej? – zapytał mnie cicho.

Wzruszyłam ramionami, gdyby nie to, że położył mi na nich swoją ciężką rękę.

– Kolega się nie naprzykrzał? – ciągnął.

– Znasz mnie, jestem dżentelmenem – odparł rozbawiony kuzyn Martiny.

– Aha, no właśnie. Znam cię – burknął do niego Dylan.

– Tylko rozmawialiśmy – westchnęłam.

– Podzieliłem się z twoją siostrą kilkoma życiowymi radami.

Dylan zmrużył oczy i nachylił się do mnie, ciągle wrogo go obserwując.

– Cokolwiek ci powiedział, nie słuchaj go.

– Co jest, Dyl, myślałem, że się lubimy. – Kuzyn Martiny rozłożył ręce, udając zranionego.

– Lubimy się na imprezach, a nie wtedy, gdy zagadujesz moją młodszą siostrę.

– Nie kłamałaś, Hailie, gdy mówiłaś, że jest nadopiekuńczy.

– No i jestem, no i co – odwrknął mu Dylan, obejmując mnie nieco mocniej. – Mam swoje powody.

– Dylan, miałeś dać im spokój – jęknęła Martina, podchodząc do nas i patrząc z dezaprobatą na swojego chłopaka.

– Twój kuzyn daje Hailie jakieś durne rady – poskarżył jej się w odwecie.

– Alex – upomniała go Martina, przechylając z niezadowoleniem głowę. – Coś ty jej nagadał? Ona ma siedemnaście lat. Ma siedemnaście lat. Nie zapominaj.

Alex.

– Luz. Rozmawiamy sobie kulturalnie.

– No widzisz, rozmawiają kulturalnie – powtórzyła Martina, tym razem z powrotem do Dylana. – Nie masz się co martwić. Hailie jest mądra dziewczyna.

– Wiem – syknął, po czym dopowiedział oschle, mierząc wzrokiem kuzyna swojej dziewczyny: – Nie o nią chodzi. Lecimy, młoda – mruknął do mnie.

– Już? – zdziwiłam się, ale i ucieszyłam.

– Si, jutro czeka nas aktywny dzień. – Klasnął w ręce i wstał. – My lecimy na Ibizę, ty do Francji.

Ledwo wstałam, unikając patrzenia na Alexa, a już podszedł do mnie kelner z małą srebrną tacą, na której leżał rachunek. Na widok świstka uzmysłowiłam sobie, że nie mam ze sobą nawet swojej karty.

– Możesz? – poprosiłam, dziabiąc go w ramię.

Dylan przejął ode mnie papierek i otworzył szeroko oczy na widok kwoty do zapłaty.

– Jak udało ci się przepierdzielić tu sześćset euro w tak krótkim czasie? – zapytał bardziej pod wrażeniem niż ze złością.

– Eee... – zawahałam się, ale nie musiałam odpowiadać. Dylan zmrużył oczy, by przeczytać, za co ma zapłacić aż tyle pieniędzy, a potem zerknął kątem oka na kanapę, którą zajmowałam, a na koniec na mnie. Uśmiechnęłam się niewinnie, a on wywrócił oczami i ruszył w stronę baru, kręcąc głową i sięgając do kieszeni po portfel.

A gdy wychodziliśmy, napotkałam jeszcze spojrzenie Alexa, który musiał sobie zamówić kolejnego drinka, bo uniósł pełny po brzegi słój do góry i na pożegnanie rzucił do mnie „Baw się”, które bezbłędnie wyczytałam z ruchu jego warg.



SŁODKA TAJEMNICA

Kiedy wynurzyłam się z prywatnego odrzutowca Monetów na lotnisku w Nicei, uderzył we mnie powiew łagodnego wiatru oraz rześkość słodka jak winogrona i miód.

Piloci pożegnali mnie kulturalnie, a Sonny, jeszcze zanim złapał za nasze walizki, wsunął na nos ciemne okulary, aby ochronić oczy przed mocnymi promieniami południowofrancuskiego słońca.

– Hej, gwiazda! Tutaj! – zawołał ktoś głosem, na którego dźwięk na chwilę stanęło mi serce. Brzmiał jak ten należący do ojca i ja, głupia!, musiałam sobie dopiero przypomnieć, że przecież miał mnie odebrać wujek Monty. Łączyło go tak wiele cech wspólnych z Camem, że mimo iż byli rodzeństwem, ciągle mnie to szokowało. Nawet mówili tak samo.

Wujek Monty błyszczał swoim celebryckim uśmiechem. Włosy miał rozdmuchane przez nadmorską bryzę, a dzięki malinowemu kolorowi koszulki był doskonale widoczny.

Uśmiechnęłam się do niego szeroko, a on objął mnie na przywitanie. Za każdym razem, gdy go widziałam, coraz bardziej go uwielbiałam. Monty był takim wesołym, rozrywkowym i wiecznie wyluzowanym wujkiem. Czasami jego czyny i słowa wyprzedzały analizę myśli (jak wtedy, gdy wpadł na to, by wydać mnie za Adriena), ale udowodnił mi już wiele razy, że jego głupiutkie pomysły w zamiarze nie mają wcale być szkodliwe.

Tak było na przykład teraz, gdy zaprowadził mnie do czerwonego, wypieszczonego na błysk kabrioletu. Wrzucił do bagażnika wcześniej przejętą ode mnie walizkę i usiadł rozwalony za kółkiem, z ręką spuszczoną z jednej strony drzwi, czekając, aż Sonny wypóży swoje auto i do nas dołączy. W międzyczasie wypytał mnie o masę rzeczy, a ja zagadnęłam go o Flynna, Mayę i biznes – temat, który zgrabnie spłycił do najbardziej lakonicznej odpowiedzi.

Południe Francji było piękne. Do Saint-Tropez jechaliśmy drogą, która przez długi czas ciągnęła się tuż przy morzu. Jasne, zbiegające skały tworzyły wspaniały kontrast z obrastającą je zielenią. Zaś piękne nadmorskie budynki uwiły sobie swoje własne miejsce w moim sercu. Madryt, jakkolwiek zachwycał swoim własnym urokiem, w mojej opinii nie umywał się do tutejszych rejonów – zapewne z racji braku dostępu do owego morza, za którego obrazem nieskończonego horyzontu tak tęskniłam. Zachwycałam się krajobrazami, a wujek Monty tylko kiwał głową, przyznając mi rację. On również wiedział, że mieszka w raj.

Jazda kabrioletem miała jednak swoje wady i jedną z nich było to, jak bardzo wytarnosiły mi się włosy. Nawet pomimo białej czapeczki z daszką, którą pożyczył mi Monty, a która miała chronić mnie od słońca. Musiałam ją cały czas przytrzymywać, by nie odleciała w siną dal. Dlatego na moim pierwszym spotkaniu z Mayą wyglądałam jak szogun.

Włosy Mai zaplecione były w kłosa, który na jej złocistych włosach wyglądał jak powiększone źdźbło pszenicy. Jego końcówka majtała jej się przy ramieniu i raz po raz łaskotała po główce małego Flynna, którego Maya trzymała na rękach.

– Jak on urósł! – zapiszczałam z ekscytacją, podbiegając do malucha. Wzrok, jakim mnie obdarzył, był już dużo bardziej rozumny niż jeszcze te trzy miesiące temu. Chłopczyk trzymał piąstkę przy ustach, śliniąc ją leniwie, i patrzył na mnie z dystansem, lekko marszcząc swoje ledwo widoczne brewki.

– Twoja kuzynka przyjechała! – Maya zaświergotała mu do ucha, po czym szczerząc się do mnie radośnie, dodała: – Widzisz, Flynn, zapamiętaj: to jedyny Monet, z którego pozwolę ci brać przykład.

Zaśmiałam się, mając ochotę wyrwać malucha z jej rąk i wyściskać go za wszelkie czasy, ale wiedziałam, że u dziecka na takie spoufalanki trzeba sobie zasłużyć, i zamierzałam cierpliwie czekać, aż Flynn mnie zaakceptuje i przestanie się tak dziwnie krzywić na mój widok.

Niebawem nadszedł czas na jego drzemkę, więc wybrałyśmy się z Mayą na mały spacer. Wzięłam szybki prysznic, włożyłam na siebie pierwszą lepszą przewiewną i słodką sukienkę, po czym zameldowałam się u ciotki, która pochylała się nad gondolą i gruchała coś do syna.

Saint-Tropez okazało się dużo bardziej załoczone latem, niż się spodziewałam, ale Maya знаła te mniej uczęszczane miejsca i tam poszłyśmy, po drodze kupując naleśniki na wynos. Kiedy Flynn zasnął, przysiadłyśmy na ławce z widokiem na morze i jadłyśmy, próbując nie ubrudzić się czekoladą.

– Jak tam Monetowskie życie? – zagadnęła Maya.

Chciałam westchnąć ciężko, ale powstrzymałam się przed tą niepotrzebną dawką dramatyzmu.

– Tak ogólnie czy ostatnimi czasy?

– I to, i to.

– Cóż... – zaważałam się, zapatrzony się na błękitne morze. – ...W porządku i nie najlepiej.

– Opowiedz mi.

– Jestem skłócona z Tonym i Dylanem.

Maya cmoknęła, gdy czekolada z naleśnika skapnęła jej na nagie udo. Od razu zgarnęła ją palcem, z którego następnie ją zlizła, wzruszając ramionami.

– To tylko dwie piąte braci. Nawet nie połowa. Czym tu się przejmować?

– To nie taka zwykła kłótnia – wyjaśniłam. Byłam przygotowana, by o wszystkim jej opowiedzieć, bo wiedziałam, że odbędziemy tę rozmowę. Potrzebowałam komuś się wygadać, a Maya była aktualnie najlepszą kandydatką do wysłuchania moich żali. – Tony nawet nie jest na mnie zły. On... udaje, że nie istnieje.

– Cóż ty takiego zrobiłaś, żeby tak urazić majestat?

Zagryzłam wargę i zerknęłam w dół, na swoją dłoń, która była sprawczynią przepelniającego mnie poczuciem winy czynu.

– Uderzyłam go.

Maya uniosła brwi.

– Jak go uderzyłaś?

– No tak, wiesz, tak z liścia, no. – Zamachnęłam się ręką w powietrzu, by jej to zademonstrować.

– Czym sobie zasłużył?

– Nakryłam go, jak próbował przelecieć moją przyjaciółkę.

– Och, rozumiem.

– Nie wydajesz się szczególnie oburzona.

Maya znowu wzruszyła ramionami i wydeła usta.

– No wiesz, jak dla mnie to tylko seks.

– To moja przyjaciółka! – zawołałam z przejęciem, na co ciocia zmarszczyła brwi.

– No ale chwila, co ty mówisz, czy on... – Ostatnie słowa niemal wyszeptala, nagle poważnie zmartwiona.

– NIE! – wykrzyknęłam i natychmiast przykryłam sobie usta, zerkając z lękiem w stronę wózka, gdzie Flynn poruszył się niespokojnie. Ścisłym głosem dodałam: – Nie no, coś ty, nie, nic z tych rzeczy. Mona, moja przyjaciółka, ona... Eee... Leciła na niego już od dawna. Kręciły ją te jego... – Zamachałam ręką z niesmakiem. – Te jego tatuaże i w ogóle. Oczy.

Oczy Tony'ego są głupie. Nie wiem, czym tu się zachwycać.

– To skąd to zaskoczenie, że weszła mu do łóżka?

– Mówiła, że tego nie zrobi. I Tony też tak mówił. Ona myśli, że jest w nim zakochana, a jemu w ogóle na niej nie zależy. Złamałby jej serce, a ja potem patrzyłabym, jak ona wypłakuje oczy.

– Miałaby przynajmniej nauczkę.

Spojrzałam na nią zdegustowana, na co Maya uniosła wolną dłoń w obronnym geście.

– Nie zrozum mnie źle, ja wiem, że to nieprzyjemna sytuacja. Jedna z moich przyjaciółek chciała mi kiedyś uwieść ojca.

– Czekaj, co? – skrzywiłam się ze szczerym przerażeniem.

– Biedaczka była zdesperowana. Jej rodzice tonęli w długach i szukała jakiegoś naiwnego zgredda, który umożliwiłby jej ciągłość życia w luksusie.

Uniosłam brew.

– Udało jej się?

Maya parsknęła.

– Nie no, mój ojciec jest zgreдем, ale nie naiwnym. A ona ostatecznie wyszła za mąż za jakiegoś innego, jeszcze większego starucha, więc, generalnie, wszyscy są zadowoleni.

Pokręciłam głową, nie będąc gotowa na dawkę tak dziwnych informacji. Wróciłam do własnego przykładu, żeby trochę lepiej nakreślić Mai swoje uczucia.

– Wiesz, jestem zła na Monę, że mówi mi jedno, a potem nie myśli, i robi drugie, ale prawdziwy żal czuję do Tony'ego. Jemu nawet

na niej nie zależy, a mimo to zaczął się z nią obściskować. Nie obchodziło go nic a nic, że będzie mi przykro. Trochę to... smutne.

Zamilkłam.

– Nie znam Tony’ego zbyt dobrze – przemówiła znowu, gdy zbliżyliśmy się do brzegu, żeby przemyć poklejone ręce w wodzie – ale nie sądzę, że umyślnie chciał cię skrzywdzić. Zgaduję, że wziął się za twoją przyjaciółkę raczej z bezmyślności.

– W porządku – przytaknęłam jej – jestem w stanie ogarnąć, że Tony się nawalił i uśpił swój zdrowy rozsądek. Ale teraz, na przykład, obraził się na śmierć. – Pokręciłam głową. – No przecież to, co on odwała, to jakiś żart. Ignoruje mnie na każdym kroku. To już z całą pewnością jest umyślne.

– Dajcie sobie trochę czasu – poradziła w odpowiedzi Maya, uśmiechając się do mnie łagodnie. – Może on go potrzebuje. Poza tym niedługo będziecie się widzieć z Camem, nie? Już on was tam wszystkich poustawia.

Sama się uśmiechnęłam na myśl o ojcu, ale zadając następne pytanie, zmartwiłam się tak, że mina mocno mi zrzędała.

– Myślisz, że na mnie też będzie zły? O to, że uderzyłam Tony’ego?

– Może pogrozi ci palcem przed nosem, ale nie masz się co martwić. Nic więcej nie zrobi swojej małej królownie. – Maya wyszczerzyła się do mnie uroczo i natychmiast zarażała mnie swoim optymizmem. Poczułam, że chcę zobaczyć ojca jeszcze bardziej niż przed chwilą. – Chłopakom na pewno mocniej się oberwie. Zwłaszcza Tony’emu.

– I Dylanowi – dodałam. – Dylan wrzucił mnie do basenu. Na tej samej imprezie. Na oczach wszystkich.

– Jezu, ci dranie nie dają ci żyć, co?

– Ciągłe jest to samo – westchnęłam ciężko.

Maya przechyliła głowę, jakby coś oceniała.

– Mhm... ja chyba wiem, Hailie, czego ty potrzebujesz.

– Ta? – mruknęłam, gapiąc się na cudowne morze.

– Ta – odparła Maya. – Ty potrzebujesz się wyluzować.

– Nie da rady. Nie umiem. Nie wiem, co to luz.

– Dobrze, że ja wiem. – Maya uśmiechnęła się i zatarła ręce. – W twoim przypadku, słońce, luz łączy się ze słodką tajemnicą.

– Że tajemnicą przed Dylanem? – Uniosłam brew.

– Przed wszystkimi. Dylanem, Tonym, Shane’em. I Vince’em, oczywiście. A nawet Willem. I Camem. No i, co za tym idzie, przed Sonnym też.

Odwróciłam się w stronę, gdzie stał mój ochroniarz. Znajdował się kawałek dalej, więc na szczęście raczej nie słyszał, o czym rozmawiamy.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

– Mhm... – Maya pokiwała głową, sama nagle zamyślona, jakby w innym świecie. Wreszcie odetchnęła, odwzajemniła moje zaciekawione spojrzenie i wymruczała do mnie cicho: – Zostaw to mnie, kochana Hailie.

Większość reszty dnia spędziłam na zabawach z Flynnem. Dopiero wieczorem wyszliśmy znowu – wujek Monty zrobił dla nas rezerwację w restauracji. Wskoczyłam w kolejną sukienkę, tym razem bardziej obcisłą i na cienkich ramiączkach. Maya bardzo ją komplementowała, sama prezentując się jak prawdziwie atrakcyjna mamuska, a w czasie naszych szybkich przygotowań wujek Monty zadbał o to, by włożyć koszulę i w podobną, tyle że w wersji mini, przebrać Flynną.

Niestety, chłopiec nie był zadowolony z zarządzanego wyjścia. Na początku nawet ze wszystkimi współpracował, ale w restauracji mu się odwidziało i Maya musiała co chwilę zniknąć na dworze albo w łazience, wdychając, że nie zabrała z nami niani. Choć uwielbiałam tego malca, to musiałam przyznać, że wymęczył nas wszystkich.

Wujek Monty zamówił jakiś ekskluzywny zestaw sushi, który podano nam na stole w wielkiej drewnianej łódce. Flynn na chwilę zainteresował się kolorowymi nowościami, które pojawiły się przed nami, ale szybko zaczął się denerwować, że nikt nie pozwala mu złapać ich w rączki. Byłam bardzo wdzięczna swojemu wujostwu za to, że tak bardzo starali się, by dobrze mnie ugościć. Wiedziałam też, że to zupełnie nie ich wina, iż z restauracji mimo wszystko wyszłam z bólem głowy.

Na dodatek w drodze powrotnej Maya głośno westchnęła, że zaczyna pobolewać ją brzuch, i zastanawiała się przez chwilę, czy to możliwe, że zaserwowano nam nieświeżą rybę. Dopytała o samopoczucie wszystkich, nawet Sonny’ego, który na uboczu uraczył się ramenem.

Sama nie miałam mdłości, ale byłam wyrozumiała dla stanu Mai i nie przeszkadzało mi, żeby wieczór spędzić we własnym towarzystwie. Gdy dotarliśmy do mieszkania, zniknęłam za drzwiami swojej gościnnej sypialni, wzięłam prysznic i w luźnych, przewiewnych dresach wdrapałam się na łóżko z laptopem w dłoniach. Odpaliłam sobie film, bardziej skupiona na wymianie kilku wiadomości z Leo. Pytał, jak Francja, oraz przyznał, że nigdy jeszcze nie jadł sushi. Obiecałam mu, że kiedyś się razem na nie

wyberzemy. Pisał też, że widział Willa. Mój ulubiony brat przyszedł na tenisa do klubu sportowego, w którym załatwił Leo pracę. Gdy zapytałam, czy rozmawiali, Leo odparł, że Will był dla niego, cytuję, umiarkowanie uprzejmy.

Pokręciłam głową i zerknęłam na grupę, którą dzieliłam z braćmi. Ostatnio nie byłam na niej aktywna, ale teraz święta trójca wrzuciła na nią trochę randomowych zdjęć z wyjazdu. Wśród nich było kilka zrobionych mi ukradkiem w Madrycie, a dzisiaj wysłali też krótką fotorelację z Ibizy. Miałam ochotę wysłać im kilka klimatycznych ujęć Saint-Tropez, ale opuściłam telefon, bo coś mignęło mi za uchylonymi drzwiami balkonowymi.

Zaalarmowana oraz przewrażliwiona po bogatej historii niebezpiecznych doświadczeń natychmiast cała się spięłam i przyszło mi nawet na myśl, żeby zawołać Sonny'ego, ale zanim zdążyłam otworzyć buzię, rozpoznałam wśród zasłon złote kędziory Mai. Wkradła się do mojej sypialni zwinnie jak kocica i od razu przytknęła palec do ust. Serce zabiło mi najpierw mocniej, bo przestraszyłam się, że stało się coś złego, ale ona uspokoiła mnie, puszczając mi oczko i pomachała na mnie dłonią, abym podeszła.

Maya wskazała jeszcze na mój telefon, który wciąż ścisnęłam w dłoni. Niepewnie i powoli schowałam go pod poduszkę, rzucając jej pytające spojrzenia.

Znowu na mnie pomachała, nieco bardziej niecierpliwie, a ja wtedy bezszelestnym krokiem zbliżyłam się do niej, raz po raz zerkając na drzwi, za którymi pewnie czuwał Sonny. Ciocia wyszła z powrotem na zewnątrz, ode mnie oczekując tego samego, więc walcząc po cichu, by nie zaplątać się w zasłony, wyłoniłam się na spowity już mrokiem, ale i smagany ciepłym, letnim wiatrem taras.

– Co jest? – wyszeptalam.

Mój głos był ledwo słyszalny, ale Maya i tak pokręciła głową, zrobiła wymowną minę i udała się w tył zwrot. Byłam trochę zirytowana tą niepewnością, ale i zaintrygowana, dlatego przemierzałam ciepłe płytki tarasowe na bosaka, pilnując, by stawiane przeze mnie kroki były jak najcichsze.

Taras był spory i bardzo długi, ciągnął się prawie po całej jednej stronie apartamentu. Z niego można było wyjść prosto na ulicę, wystarczyło mieć kluczyk do żelaznej, obrośniętej zielonymi pnączami furtki wciśniętej gdzieś w kąt. A potem uważać, by nie połamać sobie nóg na długich, koszmarnie stromych i wąskich (bo wciśniętych pomiędzy ścianę budynku a skałę) schodkach z kamienia. Z tarasu można też było wejść do prawie każdego pomieszczenia w tym domu, a już na pewno do pokoju Mai i Monty'ego. To do niego zaprowadziła mnie moja tajemnicza ciocia. Tu paliło się już pełne światło, które, razem z falującymi na wietrze kotarami wiszącymi przy rozsuwanych drzwiach, zapraszało do wejścia.

– Maya, co jest? – powtórzyłam półszepem.

Stałyśmy już teraz w środku. Wielkie łóżce z baldachimem było idealnie zasłane i pomyślałam, że Maya skłamała i wcale nie poszła się od razu położyć, jak zapowiadała, że robi, gdy wracaliśmy z restauracji.

– Wciąż musimy uważać, żeby nie narobić hałasu, okej? – odszepnęła ledwo słyszalnie. – Sonny jest bardzo czujny.

– Okej, ale o co chodzi?

Twarz Mai rozpromieniała.

– Idziemy, Hailie, na imprezkę.

Szczęka mi opadła.

– Że co?!

– Najpierw bar, potem klub i heja! – Maya klasnęła w dłonie, a potem zorientowała się, że zrobiła to zbyt głośno, i natychmiast zamilkła, zerkając podejrzliwie w stronę drzwi.

– Chłopcy się dowiedzą i nie będę miała życia – westchnęłam zrezygnowana i ze smutkiem, że muszę odrzucić jej propozycję. – Vincent jest uczulony na kluby. Na mnie w klubach. To nie przejdzie.

– Wszystko przejdzie, tylko trzeba to dobrze zaplanować. Na twoje szczęście jestem bardzo kreatywna.

– Myślałam, że źle się czujesz.

– To oczywiste, że kłamałam. To część planu. – Maya przechyliła głowę. – Hailie, to była jedna z najlepszych restauracji w okolicy... Nie ma szans, żeby serwowali zepsute jedzenie.

– Co z Montym? – Nieśmiało powiodłam dłonią po ramieniu. – Nie naskarży nikomu?

– Nim się nie przejmuj, biorę go na siebie.

– Tacie też nie naskarży?

– Biorę go na siebie – powtórzyła dosadnie Maya. – Wie, jaki mam plan. Nie jest, co prawda, nim zachwycony, ale on akurat nie ma tu nic do powiedzenia. Ma tylko zająć się Flynnem i nas kryć. Da sobie radę.

Nadal wpatrywałam się w nią nieprzekonana. Chciałam docenić jej starania, jednocześnie bałam się kłopotów. Ona to dostrzegła, podeszła do mnie i położyła mi dłonie na ramionach, swoimi oczami szukając kontaktu z moimi.

– Hailie. To prezent. Ode mnie. Twoja słodka tajemnica przed braćmi. Musisz go przyjąć.

Popatrzyłam na drzwi, a potem w podłogę. Biłam się z myślami, gdy poczułam delikatne palce Mai muskające moją brodę i zachęcające mnie do jej uniesienia.

– Jeśli coś nie pójdzie po naszej myśli, wezmę to na siebie. Słowo.

Baw się, Hailie. Ile możesz, póki możesz.

Te słowa Alexa zadźwięczały mi w uszach jak dzwony kościelne, które nakazują wstać z klęczek i wziąć się do roboty. Tak się poczułam nagle, pełna nowej energii. Impreza z Mayą to nie było nic niebezpiecznego. A ja naprawdę potrzebowałam mieć przed chłopakami jakiś sekret. Taki niewinny, który pozwoli mi rozładować balast z mojej obciążonej ostatnimi czasami psychiki.

Zaczęłam kiwać głową, coraz szybciej i pewniej, bo nagle uświadomiłam sobie, że to właśnie tego potrzebuję.

– Pięknie – zaświergotała Maya, a sądząc po uśmiechu na jej twarzy i lekko zmrużonych powiekach, rozpieierała ją też duma.

Następnie zaczęła się jazda bez trzymanki. Gdy tylko moja ciocia dostała ode mnie zielone światło, nic nie było w stanie zatrzymać jej przed dostarczeniem mi obiecanego prezentu.

Jeszcze nigdy, nawet w najśmielszych snach, nie poszłam tak na całość. Maya zrobiła mi mocny makijaż, taki z eyelinerem i kredką, ale w każdym lustrze, w jakim tej nocy miałam okazję się obejrzeć, mój wzrok zawsze przyciągała głównie wściekle czerwona szminka o niezaprzeczalnie uwodzicielskim tonie, którą ciocia wymalowała mi usta. Pierwszy raz miałam też doczepione kępki rzęs i w efekcie nauczyłam się trzepotać nimi kokieteryjnie.

Każda, absolutnie każda dziewczyna wyglądałaby bajecznie, gdyby ciocia Maya wyczarowała jej na twarzy to, co mnie, ale fakt, że to akurat ja miałam szczęście znaleźć się pod jej skrzydłami, napęlał mnie nieskończoną wdzięcznością. Sama chyba nigdy nie potrafiłabym doprowadzić się do takiego stanu. Na początku jeszcze kłębiły mi się w głowie resztki cichych wątpliwości, które wyparowały jak woda, gdy tylko zobaczyłam się w lustrze. Wtedy już zaufałam jej na maksa i byłam bardziej niż chętna na zabawę.

Nigdy jeszcze nie miałam okazji założyć małej czarnej. Mieszkając z mamą i babcią, nie byłam gotowa na noszenie takich rzeczy, a potem poznałam swoich braci i wszelkie pierwsze próby wyrażenia kobiecości zamiast zwykłej dziewczęcości zostały u mnie na dzień dobry stłamszone. To dlatego teraz obracałam się przed lustrem wokół własnej osi tak długo, że aż zaczęło mi się kręcić w głowie.

– Kurczę, jesteś ode mnie wyższa, więc na tobie jest krótsza niż na mnie. – Ciocia Maya oglądała mnie ze wszystkich stron profesjonalnym okiem. – Ale to chyba nie szkodzi. Schyl się tylko, to zobaczę, czy widać ci majtki. Hm, nie, powinno być spoko. Ale na wszelki wypadek, gdy będziesz musiała coś podnieść lub poprawić buta, kucnij.

Z krzywą miną słuchałam jej instrukcji, myśląc sobie, że bracia zamordowaliby mnie gołymi rękoma, gdyby mnie teraz zobaczyli.

Gdy byliśmy już gotowe, z Mayą wymknęłyśmy się z tej samej, balkonowej strony, cały czas kryjąc się przed Sonnym, który myślał, że siedzę w pokoju w dresach i z laptopem w łóżku, gdy tymczasem byłam odstawiona jak na galę Oscarów i biegłam na imprezę w szpilkach wyższych niż iloraz inteligencji Dylana.

Heh, to mu pojechałam.

Dawno nie miałam tak dobrego nastroju. Adrenalina zaczynała powoli wrzeć w moich żyłach i byłam wniebowzięta, że wreszcie robię coś, na co mam ochotę.

Oczywiście byłam przewrażliwiona, dlatego na początku co chwila rozglądałam się za Sonnym i gdy wreszcie wypatrzyłam podążającego za nami mężczyznę, który był jego prawdziwą imitacją, aż przeszły mnie ciarki.

– Spokojnie, to tylko Sacha. No co tak patrzysz, przecież nie wyszłabym z tobą bez ochroniarza. Jestem odpowiedzialna. – Maya mrugnęła do mnie figlarnie. – Nic się nie martw, on pracuje dla mnie. Nie będzie spowiadał się Vincentowi.

Obecność Sachy odczuwałam bardziej niż Sonny'ego, do którego byłam przyzwyczajona i który robił, co w jego mocy, by nie drażnić mnie swoją obecnością.

Jednak już jakieś dwie godziny później było mi wsio ryba, kto za mną łązi.

Najpierw wylądowałyśmy z Mayą w barze. Był to podłużny lokal, urządzony w ciepłych brązach, z okrągłymi lustrami w grubych, podświetlanych na złoto obręczach na ścianach oraz imponującymi kryształowymi żyrandolami gęsto powieszonymi nad głowami barmanów.

Jeden z nich był znajomym Mai, więc już po chwili postawiono przede mną lampkę kształtem przypominającą odwrócony meksykański kapelusz, którego brzegi obtoczone były w czymś białym: soli albo cukrze najprawdopodobniej. Barmanka złapała za dwie butelki czegoś, co soczkiem ani oranżadką na pewno nie było, a potem profesjonalnymi ruchami potrząsnęła szejkerem i już po chwili Maya zachęcała mnie do spróbowania mojego nowego drinka.

– Zdrówko mojej pięknej bratanicy. – Maya uniosła swój kieliszek zwyczajnego białego wina i wskazała nim na mojego wypasionego drinka. – Powiedz mi, jak smakuje ci twoja margarita.

Margarita była kwaśna i słona. Bardzo mocna. Nie było to coś, co piłabym ze smakiem. Preferowałam słodsze trunki. Jednakże to nie o tę słodkość chodziło w koncepcie słodkiej tajemnicy i dobrze o tym wiedziałam, dlatego oblizałam słone usta i odwzajemniłam

oczekujące spojrzenie Mai.

– Smakuje... jak wolność.

– Fenomenalna odpowiedź – odparła ciocia z uznaniem i sama posmakowała swojego wina.

Tej nocy Maya się nie upiła. Wspomniana lampka była jedynym alkoholowym napojem, który skosztowała, bo wciąż karmiła piersią i na więcej nie mogła sobie pozwolić. Nie przeszkadzało jej to w zachęcaniu do zabawy mnie.

Żeby w przeszłości upić się sangrią, potrzebowałam całego jej dzbanka. Margarita działała w sprytniejszy sposób. Sączyło się ją powoli i ostrożnie, a i tak do głowy uderzała nagle i niekontrolowanie. W jednej chwili spokojnie szeptałam coś do Mai, a już w kolejnej łamanym francuskim wołałam do rozbawionych barmanów, że kocham ser.

Nie wiem czemu. Ja nawet aż tak bardzo nie lubię sera.

– Boże, Maya – westchnęłam głośno, opierając ręce na barze – czuję się, jakby ktoś zabrał mi z ramion plecak. Plecak, rozumiesz? Taki wypchany betonem. Czy tam kamieniami. Czymś takim strasznie, bardzo ciężkim w każdym razie. Czuję taki... luz! – Ostatnie słowo wykrzyknęłam, wyrzucając nagle dłonie w powietrze tak gwałtownie, że moja towarzyszka aż podskoczyła.

– Tylko się nie przyzwyczajaj. W taki sposób zabijając stresy, możesz łatwo wpaść w alkoholizm. – Uniosła palec. – Nie wolno zapijać problemów.

Uniosłam brwi, nie w nastroju na umoralnianie, a ona machnęła ręką.

– No co, musiałam to powiedzieć, w końcu jestem odpowiedzialną ciocią. No. – Skinęła głową z poważną miną, po czym ożywiła się i klasnęła w ręce: – A teraz idziemy dalej. Następny przystanek: szoty!



GROŹNY PAN I WŁADCA

Kolejny bar, do którego Maya mnie zabrała, był już typowo zaprojektowany tak, by do niego wejść, przechylić szybko kieliszek i wyjść. Tłoczyło się w nim sporo osób, ale przy samym barze Maya dostrzegła jakieś swoje koleżanki, do których się przepchnęła. Dziewczyny wszystkie miały krótkie spódniczki i wymalowane twarze – przypominały trochę takie podręcznikowe dziunie, a ja dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że wcale tak bardzo nie odstawiam im wyglądem, i od razu poczułam się śmieiej.

Nie żebym na tym etapie była jeszcze nieśmiała. Margarita była magiczna. Dzięki niej natychmiast złapałam wspólny język ze znajomymi Mai, nawet pomimo iż ja kaleczyłam mocno francuski, a znowu one angielski. Nieważne, bo dzisiejszego wieczoru dobrze się czułam sama ze sobą, a to okazało się kluczowe.

Razem wypiliśmy kilka szotów – kieliszków wypełnionych przezroczystym płynem. Były spore, na nim zawsze spoczywało po grubym plastrze limonki. To nim dziewczyny nauczyły mnie pocierać sobie miejsce w zgięciu pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem. Następnie kazały posypać je solą. Jakkolwiek dwuznacznie to nie zabrzmiało, mój język jeszcze nigdy nie zaznał takich wrażeń. Oczywiście zaszyły mi łzami, z buzi nie mogłam się pozbyć mieszanki intensywnych smaków, ale przyjemne ciepło, które poczułam głęboko w gardle, zrekompensowało mi wszystkie niedogodności.

Dziewczyny śmiały się, a ja razem z nimi, i wyszłam z kolejnego baru, tym razem w ich towarzystwie. Chciałam sobie ochoczo przetrzeć wilgotne usta wierzchem dłoni, ale złapałam swoje odbicie w oknie jednego z mijanych, zaparkowanych samochodów i uświadomiłam sobie, że mam na sobie czerwoną szminkę i nie mogę jej rozmasować, bo przecież wyglądam super.

W tej nocy było coś wyjątkowego. Czułam się, jakbym coś wygrała. Szłam przed siebie uliczką, jakbym co najmniej była tu królową z własnym pałacem za wzgórzem. To niezwykle, jak mało potrzeba człowiekowi do podreperowania pewności siebie.

– Laski, uśmiech! – zawołała jedna z dziewczyn i gromadka pań, jak na zawołanie, zatrzymała się i zaczęła przybierać swoje najbardziej fotogeniczne miny. Też znalazłam się w kadrze, ale zanim zdążyłam choćby zastanowić się, jak się ustawić, Maya pociągnęła mnie z dala od zasięgu oka aparatu.

– Żadnych zdjęć – upomniała mnie.

Alkohol miał to do siebie, że usypiał instynkt i zdrowy rozsądek, dlatego dobrze się złożyło, że Maya nie mogła pić. Dobrze też, że nie miałam ze sobą telefonu, bo był taki moment tej nocy, że świetnym pomysłem wydawało mi się zadzwonienie do Vincenta i oznajmienie mu, że potrafię się dobrze bawić bez bezsensownych ograniczeń i że jego zakazy są głupie.

Stanowczo sporą część imprezy przetańczyłam. Maya i jej koleżanki miały specjalne znajomości u ochroniarzy, którzy pilnowali wejścia do najbardziej znanego klubu w okolicy. Kolejka ciągnęła się tu jeszcze dłuższa niż pod Operą. Więcej porównań nie miałam. Ludzie patrzyli na nas zainteresowani, gdy przemykałyśmy bokiem, wymieniając serdeczne pozdrowienia z groźnymi panami bramkarzami.

Przykra myśl mnie naszała, gdy wkraczałam do dudniącego klubu. Po raz pierwszy w podobnym znalazłam się podczas mojej misji samobójczej w poszukiwaniu torebki, którą gwizdnęła mi Winter. A towarzyszyła mi Mona. Wtedy obiecałam sobie coś w stylu, że na następną taką klubową imprezę bez ograniczeń pójde z swoją przyjaciółką. Czy smutno mi, że stało się inaczej? Tak. Czy chciałabym, żeby była tu ze mną? Niekoniecznie.

– Kiedyś imprezowałam tu z Justinem Bieberem – wyznała Maya, gdy znalazłyśmy się w sali głównej pełnej świateł i głośnej muzyki. – Szepnęła mi do ucha, że jestem piękna. Siedzieliśmy w tamtej łóżce.

Klub miał w sobie coś, co sprawiało, że był bardzo podobny do Opery, a jednocześnie zupełnie od niej różny. Wszystko było tu różowo-fioletowe, ale nie byłam pewna, czy to ze względu na barwy wystroju, czy może po prostu świateł. Około godziny pierwszej wszystkim dziewczętom zaproponowano darmowe szoty. Albo drinki. A może drinka kupiła mi Maya, a darmowe były jednak szoty? Nie pamiętałam. Nie pamiętałam w ogóle zbyt wielu szczegółów. Wiem, że byłam na tej imprezie, że raz podczas tańca nadepnęłam jakiejś dziewczynie na stopę moją szpilką, pamiętam też, jak ucieszyłam się, gdy Maya przyniosła mi dla odmiany wodę.

Co jeszcze... Kilka razy miałam okazję zatańczyć z chłopakami. Po prostu podchodzili, wyciągali rękę i pytali, czy się zgodzę, a mnie głupio było odmawiać. Żałowałam, że nie ma tu ze mną Leo. Chciałabym tańczyć tutaj z nim. Wtedy byłoby idealnie.

Od czasu do czasu nachodziła mnie niepokojąca myśl: co, jeśli nagle wleżą tu Dylan i bliźniacy, bo, nie wiem, coś im nie wypali na Ibizie i nastąpi zmiana planów? Myślę, że gdy się ma Monetów za braci, takie obawy są nieuniknione i z całą pewnością uzasadnione.

A ja nigdy nie czułam się tak pijana. Wychodząc z klubu, nie wiedziałam nawet, co się dzieje. Wszędzie stali ludzie, normalnie jak drzewa w lesie. Niektórzy na mnie zerkali, inni zajęci byli rozmowami lub palili papierosy. Wystawiłam twarz do góry, rozkoszując się ciepłą pogodą i powoli jaśniejącym już niebem. Potknęłam się. Nie szkodzi, Maya mnie przytrzymała.

– Patrzcie, co mam – wybełkotała jedna z dziewczyn. Z czarnej nerki wyjęła podłużne pudełeczko i zamachała nim nam przed nosem.

Zmrużyłam oczy, bo ruchy, które wykonała, były zbyt szybkie, by mój mózg je zarejestrował.

– To kubańskie? Skąd je wzięłaś? – zapytała Maya, której należała się szóstka z plusem za cierpliwość i stalowe nerwy, bo nie oszalała, mimo że otoczona była irytująco pijanymi ludźmi już od kilku dobrych godzin.

– Zabrałam staremu – odparła dziewczyna, wzruszając ramionami.

Nigdy nie dowiedziałam się, kogo miała na myśli. Czy męża, chłopaka, czy może ojca? Nie żeby mnie to tak bardzo ciekawiło. Jedyne, co chciałam wiedzieć, to co znajduje się w pudełku, ale tego akurat dowiedziałam się szybko.

Tłuściutkie cygara widziałam już wcześniej w rękach namiętnie palącego je ojca lub chociażby Vincenta. Nigdy się nimi nie interesowałam. Wiedziałam, że są poza moim zasięgiem, nie warto było nawet zaprztać sobie nimi głowy. Tak uważała trzeźwa Hailie. Pijana Hailie natomiast od razu wyciągnęła po nie rękę i zawołała:

– Ja chcę! Mogę?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i podała mi jedno. Powiodłam palcem po jego gładkiej, owiniętej wysokiej jakości bibułką powierzchni. Następnie sięgnęłam po zaproponowaną mi zapalniczkę i nagle zagapiłam się na oba przedmioty, kompletnie zawieszona.

Maya wzniosła oczy ku niebu i spróbowała wyjąć mi je z dłoni, ale wtedy się ożywiłam i przyciągnęłam je prędko do piersi, marszcząc brwi.

– Nie! Nie zabieraj – zaprotestowałam.

– Nie zachowuj się jak mój kilkumiesięczny syn – prychnęła i uniosła dłoń wyżej. – Przecież ci tego nie wyrzucę. Daj, pomogę ci odpalić.

Obserwując nieufnie jej ruchy, podałam jej powoli przedmioty, nie czując ani grama wstydu za swoje dziecinne reakcje. Byłam pijana i nauczona, że pozbawia się mnie tego typu zabaw – miałam prawo przesadzać.

Ciocia jednak mnie nie zawiodła i fachowo odpaliła cygaro. Wypuszczała dym z ust, ostrzegając mnie, bym się nim nie zaciągała do płuc, bo jest za mocne, i tłumacząc mi, że zna się co nieco na cygarach, bo jako nastolatka wiecznie podkładała je ojcu.

Prawdziwa komedia zaczęła się dopiero, gdy to ja w końcu je dorwałam.

Nie wiem, co mi odwaliło, ale znowu przypomniał mi się Vincent, który może nie lubował się w cygarach tak fanatycznie jak ojciec, ale to przez to, jak rzadko po nie sięgał, robił z nimi tak imponujące wrażenie. Już sam dym dodawał jego wizerunkowi niepokojącego mroku.

– Hej, Maya, Maya, zgadnij! – zawołałam, koślawo pakując się w swoich szpilkach na niski murek z boku drogi. – Zgadnij, kim jestem. – Zaciągnęłam się i ściągnęłam twarz, pozwalając, by wydechany przeze mnie dym rozproszył się dookoła mnie, po czym odchrząknęłam i przemówiłam, przesadnie zaniżając głos: – Drogie dziecko, przestań się buntować. Nie wolno. To nieeleganckie.

– Zejdź stamtąd, Hailie, bo zaraz wyrznieś – westchnęła Maya, ale ja zaciągnęłam się znowu.

– Jestem groźny pan i władca. Nie można mi podskakiwać, bo zmrózę cię spojrzeniem – tu zmarszczyłam złowrogo brwi – i zgniotę swoim wypasionym sygnetem. – Uniosłam palec wskazujący wolnej ręki. – A potem jeszcze przydepczę wypastowanym butem. – Podniosłam stopę i się zachwiałam.

Maya nie mogła powstrzymać chichotu.

– No już – wydusiła. – Vince.

Błyskawicznie wycelowałam w nią cygarem.

– To było łatwe. Spróbuj teraz.

– Zejdź stamtąd.

– No już, czekaj, a teraz? – Odchrząknęłam i napięłam rękę, unosząc ją do góry i zginając w łokciu. – Patrzcie na mojego bicka, jaki napakowany. Chcesz dotknąć? O! yeah, jestem taki siln...

– Hailie! – krzyknęła Maya, rzucając się w moją stronę, gdy moja stopa nagle zawisła w powietrzu, a nietrzeźwy mózg nie zdążył temu zaradzić i zleciałam z murku. Dobrze, że był niski. Wylądowałam na czterech łapach. Jak kot. Natychmiast podniosłam się do pozycji siedzącej, rozglądając się wkoło z takim samym zdezorientowaniem, jakbym ledwo co wybudziła się ze snu.

– Nic mi nie jest – zapewniłam od razu wszystkich wkoło, głównie przejętą ciocię. Co prawda, noga mnie trochę piekła, bo zdarłam sobie skórę w dolnej części uda, ale nic poważnego mi się nie stało.

Cygaro wypadło mi z ręki i ktoś już je za mnie podniósł, a Maya uznała, że wystarczy mi wydurniania się i zaczęła bardziej stanowczo zapowiadać powrót do domu. Gdybym była trzeźwa, czytałabym jej aluzje lepiej, ale jako nastolatce pijanej zaledwie po raz drugi w swoim życiu trudno mi było zsynchronizować rozsądne zachowania ze swoim stanem i dopiero po dłuższym czasie udało jej się nakierować mnie w stronę apartamentu.

Nawet nie pamiętam, kiedy pożegnałam się z grupką moich nowych koleżanek. Po prostu w jednej chwili otaczał mnie harmider i śmiechy, a w następnym już subtelna cisza, którą zakłócał stukot szpilek moich i Mai (choć ja, uwieszona na ramieniu cioci, już

raczej powłóczyłam nogami) oraz mój nic nieznaczący bełkot. Nie wiem nawet, co za bzdety wygadywałam, i wolę chyba nie wiedzieć. Maya pewnie nawet nie słuchała. Widziałam po ciężących jej powiekach, że zarwana noc bez kropli alkoholu, który dodałby jej energii, zbiera teraz swoje żniwo.

Ciocia odżyła dopiero przy schodach prowadzących do furtki. Poklepała mnie wtedy po ramieniu i z powagą rozkazała mi zdjąć buty, żeby nie robić hałasu. Wykonałam to polecenie w ślimaczym tempie, ale i z przyjemnością, bo stopy spuchły mi od średnio wygodnych szpilek. Gdy dotknęły chłodnego kamienia, była to dla mnie ogromna ulga i z niemrawą ekscytacją zechciałam podzielić się swoimi odczuciami z Mayą, ale ona kazała mi być cicho.

Maya bezgłośnie otworzyła furtkę. Apartament wujostwa był pogrążony we śnie i ciemnościach, ale nie takich zupełnie przeżartych czernią, bo niebo robiło się już granatowe, obwieszczając powoli zaczątki nowego dnia. Maya zaprowadziła mnie do mojej sypialni, cała spięta, albowiem sukces naszego wymknięcia się mógł zostać łatwo zniweczony właśnie teraz. Nawet ja wiedziałam, że trzeba być ostrożną, dlatego wspięłam się na wyżyny skupienia, żeby po prostu nie zakłócać starań cioci i grzecznie dać jej się doprowadzić do mojego pokoju.

W uszach szumiało mi od alkoholu i głośnych decybeli z klubu, które chyba uszkodziły mi bębenki. W głowie mi się kręciło, a w gardle zaschło, dlatego łąpczywie rzuciłam się na wodę, której butelka stała obok stolika nocnego. Opadłam też na łóżko, trochę się szamocząc podczas przebierania w piżamę, zanim wreszcie przymknęłam powieki. Nie pamiętam, kiedy Maya wyszła, pamiętam tylko, że spotkanie z poduszką okazało się strzałem w dziesiątkę, bo mój wycieńczony i zatruty przez alkohol organizm potrzebował się zresetować jak nigdy.

Mój drugi kac w życiu był gorszy od tego pierwszego, mimo iż tym razem nikt nie kazał mi siedzieć na prywatnych lekcjach. Jakieś trzy godziny po zaśnięciu pobudkę urządziły mi nudności. Jęknęłam cała zestresowana złym samopoczuciem i, niestety, nie potrafiłam sobie pomóc inaczej, jak zerwać się nagle z łóżka i polecieć do łazienki.

– Kretynko, co ty sobie zrobiłaś? – wystękałam do otwartej pokrywy klozetowej, a potem rąbnęłam się nią w czoło.

Moja druga pobudka była nieco dla mnie łaskawsza. Nadal źle się czułam, ale wiedziałam, że nie dam rady jeszcze zasnąć, więc udałam się do łazienki na długi, orzeźwiający prysznic. Zmyłam z siebie resztki makijażu i klubowy brud. Wymyłam włosy. Na ustach wciąż czułam słodkawy smak cygara, który teraz przyprowadzał mnie tylko o kolejne mdłości. Haustami poiłam się lodowatą wodą z kranu, a zanim odważyłam się wyjść z sypialni, rozważałam, czy by nie użyć różu, by nadać koloru mojej poszarzałej twarzy, ale ostatecznie uznałam, że będę wyglądać tylko jeszcze bardziej podejrzanie.

Maya i Monty siedzieli na tarasie, pod rozłożonym parasolem, który lekko powiewał na delikatnym wietrze, i raczyli się tam późną kawą. Ciocia trzymała na kolanach Flynna, do którego mówiła coś cichym, spokojnym tonem, a wujek Monty miał nogę założoną na nogę, a na zgiętym kolanie usadowił sobie tablet, na którym się w czymś zaczytywał.

Unikałam spojrzenia Sonny'ego, który natychmiast zmarszczył brwi na widok mojego wizerunku godnego żywego trupa.

– Hailie, ale pospałaś! Wszystko w porządku? – zagadnęła mnie Maya, gdy tylko dostrzegła, że wyściubiłam swój skacowany nos na zewnątrz. Brzmiała beztrudnie i jakbyśmy wcale nie spędziły razem całej nocy na imprezowaniu.

Wujek Monty zerknął na mnie znad tabletu, ale zacisnął tylko usta i nic nie powiedział, widocznie zestresowany faktem, że został nikkczemnie wmieszany w krycie mojego wyjścia.

– Eee, średnio się czuję – wyjąkałam nieśmiało.

– Panno Monet, czy coś jest nie tak? – wtrącił się Sonny, podchodząc bliżej i marszcząc brwi z zaniepokojeniem.

Natychmiast się złękłam, że mój bystry ochroniarz wyczuje ode mnie coś, co mogłoby być resztkami alkoholu, mimo iż powinnam pachnieć teraz jakimiś stokrotkami czy innymi kwiatkami, które widniały na etykietce mojego żelu pod prysznic.

– Ja... nie, to tylko...

– Mówiłam, że to sushi było nieświeże – zawołała Maya, kręcąc głową ze świetnie zagrany oburzeniem. – Zwracałaś? Mnie zbierało się na wymioty przez pół nocy.

– Eee, w zasadzie to tak.

Maya szturchnęła Monty'ego w ramię.

– Słyszałaś? Musisz skontaktować się z właścicielem, bo to skandal. Hailie ledwo do nas przyjechała, a już się pochorowała.

Monty nie zareagował, uparcie wpatrując się w ekran, czym zmusił Mayę do ponownego pchnięcia go, tym razem w łopatkę.

– Tak – syknął pokonany. – Słyszałem. Zadzwoń tam później.

– Cudnie, dziękuję, kotku. – Maya uśmiechnęła się szeroko i zamachała na mnie. – No nic, co się stało, to się nie odstanie. Podejdz tu, kochana. – Gdy się zbliżyłam, Maya złapała mnie opiekuńczo za rękę, a Flynn obserwował mnie z uniesioną wysoko głową. – Biedactwo, powinnaś coś zjeść. Masz gorączkę?

Pokręciłam głową, a na samą myśl o jedzeniu ponownie zebrało mi się na mdłości. W tym wypadku ciocia zarządziła, że najlepszy dla mnie będzie odpoczynek. Dostałam zimną jak lód w oczach Vincenta butlę wody i wygodny leżak w cieniu, na którym spędziłam większą część tego dnia, drzemiąc i powoli dochodząc do siebie.

Sonny łyknął zaplanowaną misternie historię o zepsutym sushi i nie zadawał więcej pytań. Nie czułam się źle, okłamując go, ale trudno było mi wciskać ściemę Willowi, który zadzwonił do mnie po południu i zmartwił się, słysząc o moim mizernym samopoczuciu.

Prawdopodobnie później mój spostrzegawczy ochroniarz zorientował się, że coś się nie zgadza. Zarejestrowałam długie spojrzenie, jakim obrzucił moją brzydko obdartą na boku nogę, gdy moja luźna spódniczka podwinęła się zbyt wysoko. Natychmiast ją opuściłam, a serce na chwilę zabiło mi mocniej. Złapaliśmy z Sonnym kontakt wzrokowy, który szybko przerwałam, a on nie skomentował w żaden sposób widocznej rany, która sugerowała, że upadłam na czymś chropowatym, czymś, co na pewno nie było podłogą w sypialni ani kafelkami w łazience.

Podejrzewam, że ze względu na brak dowodów Sonny zdecydował się nie podnosić alarmu, ale do końca dnia widziałam, że rzuca mi spojrzenia spod mocno ściągniętych brwi.

Dzień po imprezie odchorowywałam swoją słodką tajemnicę i byłam totalnie do niczego. Dopiero wieczorem odzyskałam siły na tyle, by wrzucić coś konkretnego na ząb i przestać się nad sobą użalać, ale jakkolwiek za pierwszym razem, gdy przeżywałam kaca, zastanawiałam się, jak ludzie mogą twierdzić, że upicie się jest warte przeżywania takiej męki, tak tym razem z ręką na sercu mogłam przyznać, że zdecydowanie było warto.

Wczorajszej nocy dobrze mi było bez obecności braci. Nie martwiłam się obrażonym Tonym, nie myślałam o wkurzającym Dylanie. Nie rozważałam, czy to, co robię, spodobałoby się Vincentowi. Ani czy aby nie zawiodłabym Willa. Po prostu się bawiłam.

Naszła mnie ochota, by ucałować Alexa. W policzek, oczywiście. Rozmowa z nim pomogła mi w przyjęciu prezentu od Mai. Gdyby nie on, możliwe, że bym stchórzyła. Może jego złota rada życiowa naprawdę była złota?

Niech żyje przyjemność.

W klubie i w barach definitywnie rządzi przyjemność.

Długo wspominałam to wyjście, najwięcej następnego dnia, gdy już odchorowałam swoje i byłam w stanie zrobić coś aktywniejszego niż leżenie. Maya zostawiła Flynnę z opiekunką i zabrała mnie do swojego klubu sportowego. Najpierw spociliśmy się na pilatesie z jej prywatną trenerką, potem medytowałyśmy, następnie udałyśmy się na jedną sesję krioterapii, po której od razu wskoczyłyśmy do sauny. Na koniec odprężałyśmy się w pięknym, wielkim basenie.

W centrum był też bar ze zdrowymi fit koktajlami owocowymi, więc zamówiłyśmy sobie po dużej porcji takiego z mango i ananase, po czym rozłożone na leżakach cieszyłyśmy się wspaniale spędzonym czasem z widokiem na basen i morze w tle. Zaczęłyśmy też rozmawiać o minionej imprezie i Maya zapytała, czy to był mój pierwszy raz w klubie. Opowiedziałam jej wtedy dokładnie o swoim doświadczeniu z Opery.

– Poznałaś Grace? – zainteresowała się Maya, po czym dodała szczerze: – Współczuję.

– Wydaje się wredna – przyznałam. – Ale jednocześnie mnie intryguje.

– Nie ma w niej nic ciekawego. Jest nudna jak flaki z olejem. Objija się od ściany do ściany z głową zadartą tak wysoko, że tylko czekać, aż w końcu gdzieś wyrznie.

– Vince chyba nie podziela twojego zdania – zachichotałam.

– Och, proszę cię. Vincent się z nią spotyka, bo wie, że Grace jest jedyną kobietą w zasięgu, która z czasem nie robi sobie nadziei i się w nim nie zakocha – prychnęła, pociągając za słomkę. – Każda inna po pewnym czasie trwania takiego układu by zaczęła sobie wyobrażać nie wiadomo co.

– Skąd wie, że Grace sobie nie zacznie robić nadziei? Może już teraz wyobraża sobie nie wiadomo co – zauważyłam.

Maya pokręciła głową i z całkowitą powagą oraz pewnością siebie powiedziała:

– Nie, bo Grace jest psychopatką.

– Co, proszę? – Zmarszczyłam brwi i zsunęłam okulary przeciwsłoneczne na nos, żeby zobaczyć, czy Maya mówi tak na serio, czy może jednak sobie żartuje.

– Grace jest psychopatką – powtórzyła. – I wcale nie nadużywam tego określenia, żeby zaznaczyć, że jest porąbana – podkreśliła. – Znam ją od dawna. Ona naprawdę ma poważnie uszkodzony mózg. Nie jest w stanie odczuwać empatii. Jest książkowym przypadkiem psychopatki, a wiem to, bo swego czasu zrobiłam na ten temat porządny research. Gdyby nie to, że urodziła się w majątnej rodzinie, to założyłby się, że uwodziłaby mężczyzn, zabijała ich i przejmowała po nich spadki, czy odwaliała jakieś inne chore akcje.

– Jezu, Maya, przestań. – Zatelepałam się, gdy przeszły mnie ciarki, bynajmniej nie od zimnego napoju.

– To wszystko prawda.

– ...Powinnam się martwić o Vince'a?

– *Nah*, on potrafi o siebie zadbać. No i nawzajem z Grace wystarczająco się szanują, żeby się nie pomordować. – Maya się zamysliła, białym paznokciem stukając się po brodzie. – Jakby się zastanowić, to tkwią w tej swojej dziwacznej relacji od lat szkolnych. Musiałam się męczyć w towarzystwie tej dziry przez cały rok. Najgorsze były lunchy.

– Nie rozumiem, nie mogłaś jej po prostu unikać?

– Mogłam... – odparła wolno Maya, wzruszając ramionami – ...ale byłam zbyt zdesperowana. Potrzebowałam być popularna, a z tym wiązała się przynależność do najbardziej vipowskiej paczki w szkole.

– Paczki Grace?

– Raczej Vincenta.

Szarpnęłam głową, żeby oderwać wzrok od morza i spojrzeć na swoją ciocię tak nagle, że aż zabołało mnie ścięgno w szyi.

– Chodziłaś do liceum z Vincentem?!

– Był, tak jak i Grace, w ostatniej klasie, gdy ja przyszłam do pierwszej. To dzięki nim mieliśmy z Willem niezły start w nowej szkole.

– Z Willem?!

– Tak, no przecież Will i ja jesteśmy w tym samym wieku. Znaliśmy się wcześniej, więc, żeby było nam różniej, trzymaliśmy się razem od samego rozpoczęcia. Ale nie wiem, czy odważylibyśmy się ot tak dosiąść do stolika vipów, gdyby nie podjudził nas Adrien.

– Adrien też tam z wami był?!

Will, co prawda, napomknął coś, że oni wszyscy chodzili razem do szkoły, ale słuchając jego opowieści skupiłam się głównie na wątku Vincenta i Grace. Teraz dopiero uświadomiłam sobie, jak wyglądał całokształt. Zamrugałam zafascynowana, odstawiając szklankę z koktajlem na ziemię obok leżaka.

– Usiedliśmy sobie z Willem z boku i główkowaliśmy przy lunchu, co robić. Czy trzymać się z dala od zgiełku, czy może wkroczyć w sam jego środek.

– Dlaczego Vince nie zawołał Willa do siebie? Przecież oni mają dobry kontakt, przecież się lubią... – Zmarszczyłam czoło.

– Hailie, to było jakieś... Ile, dziesięć lat temu? Wtedy ta różnica wieku między nimi dwoma była bardziej odczuwalna. Vince traktował Willa po prostu jak młodszego brata, a sam nie był jakiś nad wyraz czuły, jak sama sobie możesz wyobrazić...

– Właśnie, jaki on był? Czasem się zastanawiam... No bo Vince jako licealista? To mi nie pasuje zupełnie. Prędzej stawiałabym na to, że urodził się za biurkiem, od razu ubrany w garnitur – mówiłam, a Maya w akompaniamencie podśmiewała się pod nosem.

– Wiem i wcale ci się nie dziwię, ale uwierz, on się wcale tak bardzo nie różnił, gdy był młodszy. Też był z niego taki elegancik, tylko wydaje mi się, że trochę bardziej obnosił się ze swoim pochodzeniem. Już wtedy wiedział, że przejmie biznes po ojcu. Pewnie tylko nie zdawał sobie sprawy, że nastąpi to tak szybko, bo gdy tylko to się stało, jednak, jak by nie było, wydorósł.

– Czyli gdy był młodszy, zachowywał się jak reszta? – zapytałam, krzywiąc się. – Jak bardzo podobny był do Dylana i bliźniaków?

Maya się zamyśliła.

– W sumie to odpowiedź brzmi: bardzo i w ogóle.

– Maya, ta odpowiedź to nie odpowiedź.

Maya wyszczerzyła się figlarnie i upiła szczodry łyk smoothie, a potem odetchnęła i dopiero wtedy odparła:

– Dobrze, w takim razie opowiem ci o swoim pierwszym dniu w szkole.



STOLIK NA STOŁÓWCE

Ekscytację, strach i determinację odczuwałam chyba najmocniej ze wszystkich uczuć, jakie towarzyszyły mi przy przekroczeniu progu naszej akademii. Dla mnie to nie był tylko pierwszy dzień w nowym liceum – ja w ogóle nigdy wcześniej nie chodziłam do szkoły. Tak jak zresztą większość osób z naszego środowiska. Tak, wiem, ty jesteś wyjątkiem, Hailie, ale twoja historia jest w ogóle pokręcona. W każdym razie ja zawsze miałam nauczanie domowe. Tato mówił, że nie ma żadnej dobrej i prywatnej podstawówki w okolicy, to dlatego. Nie wiem, czy to prawda, czy jedynie jego fanaberia, ale nie wnikałam.

Pamiętam, że strasznie się wypieściłam na swój pierwszy dzień. Miałam wtedy krótsze włosy, ale jakieś takie mniej podatne na lokówkę, dlatego męczyłam się z nimi każdego ranka. Poważnie, wstawałam godzinę wcześniej, niż powinnam była, tylko po to, by je zakręcić w takie ładne sprężynki. Poświęcałam się tak, bo swego czasu naoglądałam się *Wrednych dziewczyn* i moim celem było zawładnięcie szkołą. Nie patrz tak na mnie, wiem, że to głupotka, ale nastoletnia ja, która czerpała wiedzę o takich instytucjach tylko z filmów, była zdesperowana, by stać się popularną.

Lekcje to nuda, więc przeskoczę do lunchu. Wiadomo, że to najfajniejsza część dnia. No więc weszłam na stołówkę i od razu aż mi się żołądek zacisnął na widok stolika w rogu, tego obok okna. Czy wciąż nazywa się go stolikiem Monetów? Tak myślałam. To teraz już wiesz, że to Vincent to zapoczątkował. Znałam niektóre osoby, które tam z nim siedziały, między innymi właśnie też jego, no i kojarzyłam dobrze Grace, ale oni byli wszyscy ode mnie starsi i niespecjalnie czekali, aż ktoś nowy się do nich dołączy.

Widziałam, Hailie, widziałam doskonale, jak ludzie na nich patrzyli. Na ten stolik i całe towarzystwo go okupujące... Tak strasznie chciałam tam z nimi być. Najgorsze jest to, że wiedziałam, że to wcale nie było takie nieosiągalne, wiesz? No bo zaledwie weekend wcześniej widziałam większość tych ludzi na brunchu golfowym, który organizowały nasze rodziny. Ja już istniałam w ich świecie, potrzebowałam tylko przebić się do środka... Zerkałam na nich i zastanawiałam się, jak u licha to zrobić...

– Raczej nie będą nas tam chcieli – odezwał się przy moim uchu znajomy głos. Odwróciłam się i uśmiechnęłam do Willa, który stanął tuż za mną.

– Mnie może i nie, ale ty masz tam Vincenta – odparłam, przygryzając wnętrze policzka. Trochę zazdrościłam mu takich wtyków.

Will zaśmiał się ponuro i schował dłonie do kieszeni swoich mundurkowych spodni.

– On ma gdzieś, gdzie ja usiądę.

– W takim razie tym bardziej nie będzie mu przeszkadzało, jak usiądziesz z nim – zauważyłam. – Zresztą co, nie ustalaliście nic wcześniej? Nie mówił ci, jak się masz zachowywać w szkole? To on cię tu przywiózł, nie?

Will skinął głową.

– Przywiózł, ale nie odzywał się za wiele, jak zwykle... No dobra, powiedział mi coś, ale dopiero jak zaparkował i wysiadał. Rzucił wtedy, żebym w razie czego powoływał się na niego. No i życzył mi... powodzenia.

– Widzisz? – Uśmiechnęłam się do niego. – Był miły.

On w odpowiedzi wywrócił oczami.

– Tak. Bywa taki, jak mu się zachce.

Poklepałam go po ramieniu, niby to współczująco, choć tak naprawdę udawałam, bo nie było mu wcale czego współczuć. Jego brat wyrobił nazwisku Monet tak wielką renomę, że Will mógłby być największą sierotą świata, a i tak nikt by mu nie podskoczył. Sama zresztą wiesz – jestem pewna, że do tej pory pijasz monetowską śmietankę. A Will przecież sierotą wcale nie był! Fest gorąco prezentował się w mundurku, według mnie w ogóle jest najprzystojniejszym ze wszystkich twoich braci.

W końcu, żeby nie stać jak te siermięgi, zdecydowaliśmy się zająć jakiś pierwszy lepszy stolik i tam przemyśleć, co dalej. Teraz jestem pewna, że Vince widział, jak się czaimy, ale nic nie dał po sobie poznać. Usiedliśmy więc tak sobie razem, w dwójkę, i jak to zrobiliśmy, to już byliśmy o krok dalej od przyłączenia się do nich. Było nam jakoś tak niezręcznie... Stwierdziliśmy, że sami stworzymy sobie swoją paczkę, a Vince za rok i tak kończy szkołę, więc wtedy niepozornie wślizgniemy się na jego miejsce.

Już prawie wszystko sobie zaplanowaliśmy i podjęliśmy decyzję, a nawet zmieniliśmy temat, gdy nagle na krzesło obok opadło kolejne złote dziecko do kolekcji. Mam na myśli, oczywiście, Adriana. Ten to się nie certolił, tylko od razu oznajmił, że on to chce być fajny i popularny, żeby wrywać dziewczyny, i że musimy się wprosić do vipowskiej paczki.

– Należy nam się – mówił z przejęciem, odgarniając z oczu włosy. – Słuchaj, Will, tam jest twój brat. Moja siostra. Co zrobią? Wyproszą nas? Może się skrzywią, że żerujemy na ich prestiżu, ale jeśli ktoś ma prawo tam z nimi siedzieć, to właśnie my.

– Niby tak, ale z drugiej strony to... bez łaski. Ja wcale nie mam potrzeby tam być. – Mówiąc to, Will zerkał w stronę Vincenta, strosząc nieco brwi. Był sfrustrowany i bolało go, że jego starszy brat, w którego sam był tak wpatrzony, obchodzi się z nim tak

obojętnie.

– Myślisz, że gdyby było na odwrót, to Vince siedziałby potulnie i wzruszał ramionami czy wzięłby sprawy w swoje ręce? – podjudał Adrien, nachylając się coraz niżej nad blatem. – Nigdy mu nie zaimponujesz, jeśli nie zrobisz odważnego kroku.

– To tylko stolik na stołówce – warknął Will, powoli zaczynając się złocić, bo Adrien dotknął czułego punktu.

– To aż stolik na stołówce. Od małych rzeczy się zaczyna.

– Skoro jesteś taki odważny, to sam tam idź. Twoja jędzowata siostra na pewno powita cię z otwartymi ramionami – wtrąciłam.

– Chodzi o to właśnie, żebyśmy siedli tam razem. Wtedy to będzie miało sens. Jakby, wiecie, dwa pokolenia. Czemu tak ciężko kojarzycie? Ty – wskazał na mnie – będziesz znaną w całej szkole dziewczyną, za którą każdy się będzie oglądał, a ty – wycelował palcem w Willa – będziesz nie tylko jakimś tam bratem Vince'a, a jego kompanem.

Myślę, że to tym trochę nas przekonał, bo wymieniliśmy z Willem udręczone spojrzenia, aż wreszcie odetchnęliśmy oboje ciężko i niechętnie podporządkowaliśmy się Adrienowi. Miał gadane, przekonał nas i tyle. Zwłaszcza że wcale nie musiał się wysilać, bo w głębi duszy pragnęliśmy tego samego.

Przez chwilę jeszcze szeptałyśmy do siebie nerwowo, aż wreszcie wyklarował nam się jako taki plan i wstałyśmy, by jak jeden mąż skierować się ku szkolnej elicie. Gdy stawiałam kroki, czułam normalnie, jak się pocę i denerwuję. Niektórzy już się na nas gapili, inni mieli gapić się za chwilę.

W ich grupie przeważała płęć męska. Nie wiem czemu, ale podejrzewałam, że to Grace płoszyła wszystkie dziewczyny na dzień dobry. Odstraszała je swoją opryskliwością. Nie potrafiła być miłą. No i była tak ładna, że inne laski wkoło wpadały w kompleksy. Weźmy na przykład szkolne mundurki – niby ich celem jest ujednolicenie wyglądu wszystkich uczniów, żeby nikt nie odstawał, a w rzeczywistości tylko podkreślają walory jednych osób, uwypuklając mankamenty innych. Grace oczywiście należała do tej pierwszej grupy – ona ma chyba z metr osiemdziesiąt, więc jej spódnica leżała na niej idealnie, nogi ciągnęły jej się od ziemi po sufit. Ja zaś musiałam oddać swoją potajemnie do skrócenia, żeby wyglądać jak człowiek.

Wracając do niej – włosy miała wtedy gdzieś dotąd, za obojczyki, ogólnie proste, tylko podkrecone przy końcówkach. Minę napuszoną jak zawsze. Jakby się zastanowić, to ja nigdy chyba nie widziałam, żeby ona się szczerze śmiała. Jedno muszę jej przyznać, nie będzie miała zmarszczek. Wtedy też zaczęłam interesować się psychopatią. Dzięki Grace zrobiłam na ten temat tak wielki research, że normalnie przez chwilę rozważałam, czyby nie zająć się tym zawodowo i nie pójść na psychologię.

Grace jako pierwsza z paczki zauważyła, że zbliżamy się do ich stołu. Wyraz jej twarzy się nie zmienił, gdy lustrowała nas wszystkich spojrzeniem. Najdłużej zatrzymało się ono na mnie. Nikomu z towarzystwa nie powiedziała, że nadchodzimy. Po prostu patrzyła, a gdy byliśmy już blisko, dopiero Vince podniósł głowę znad swojego telefonu i odchylił się na krześle, wpatrując się w nas – a głównie w Willa – z zainteresowaniem.

– Hej – przywitał się Will odważnie, nie tak, jak wcześniej, gdy rozmawiał z nami. Wiedział dobrze, że nie może sobie pozwolić na tchórzostwo.

Dobrze pamiętam rozbawienie, jakie błysnęło w oczach Vincenta. Znasz go, Hailie, teraz, gdy faktycznie ma władzę i jest poważnym człowiekiem. Przez lata nauczył się, że im mniej afiszuje się ze swoją wszechmocą, tym bardziej jest ona realna i odczuwalna dla osób postronnych. A teraz wyobraź sobie, że w liceum był tylko dzieciakiem, władzy miał dużo mniej, a mimo to bardziej się z nią obnosił.

W ogóle strasznie to śmieszne, bo Vince miał taką postawę, że nie robił za bardzo nic, a wszyscy dookoła skakali wokół niego jak marionetki. W sumie nadal tak jest... Ale w szkole było to mocno odczuwalne. Raz upatrył sobie miejsce na parking. Potem nikt nigdy nie odważył się mu go zająć. Ta sama sprawa była ze stolikiem na stołówce. Na lunchu zawsze też kupował swojego ulubionego batonika. Taki muesli z kwaśnymi kawałkami limonki, którego podstawa obłana była czekoladą... Według mnie były paskudne, ale on je lubił i wyobraź sobie, że jak zostawał ostatni, to nikt nie odważył się go wykupić. To było tak, jakby wszystko to, czego Vince dotknął, zostawało z plakietką z jego imieniem. Naprawdę, ten człowiek ma niesamowicie potężną aurę, tak silną!

– Cześć, Will – odparł cicho, przechylając głowę lekko w bok. – Potrzebujesz czegoś?

Miałam ochotę stamtąd uciec. Czułam się jak piąte koło u wozu. Cieszyłam się, że jestem z Willem i Adrienem, bo dzięki nim nikt z pozostałych członków Vincentowej elity nie odważył się na głos zjechać naszej obecności. Każdemu innemu na pewno nieźle by się oberwało za tak bezmyślnie śmiałe podejście. A tak to wszyscy siedzieli cicho, czekając, aż Vince poprowadzi tę rozmowę.

– Nie – odparł jego młodszy brat.

– Trochę tu tłoczno, a wy macie wolne krzesła. – Adrien wskazał na dwa nieokupowane krzeselka. – To co, dosiądziemy się, nie?

– Możesz też wrócić do wolnego stolika, przy którym siedziałeś przed chwilą i przy którym kombinowałeś, jak się wkupić w nasze łaski – odpowiedziała mu Grace.

– To dlatego, że ja wiem, moja piękna siostrzyczko, że rodzina musi trzymać się razem. – Adrien mrugnął do niej i jednym płynnym ruchem zabrał krzesło od stolika obok, aby dosunąć je obok niej. Przy okazji zrzucił z niego czyjaś torbę, którą ktoś tam na chwilę zostawił.

Grace uniosła brwi jeszcze wyżej, ale nie skomentowała słów swojego przyszywanego brata, a tylko odwróciła głowę do Vincenta, który przenosił właśnie spojrzenie z Adriena z powrotem na Willa.

– Przyszedłeś się przysiąść? – zagaił go z lekką tylko drwiną.

– To chyba nie problem? – odparł śmiało Will i odsunął wolne krzesło, by zająć je naprzeciwko brata.

Vince przypatrywał mu się z uniesionym kącikiem ust i wzruszył ramionami w odpowiedzi.

– A ty co, zgubiłaś się? – zagadnęła mnie złośliwie Grace.

Czułam się fatalnie, bo wiedziałam, że jestem tu niechciana, i z naszej trójki to ja pierwsza byłam do odstrzału, jeśli wiesz, co mam na myśli. Chciałam odpowiedzieć jej jakąś błyskotliwą ripostą, ale nagle miałam pustkę w głowie. Wtedy właśnie Adrien wypowie kilka słów, które na tamtą chwilę odmieniły moje życie.

– Nie bądź wredna dla mojej przyszłej żony, Gracie.

Wiem, Hailie, ja miałam podobną minę. Na początku myślałam, że sobie żartuje, ale nikt nie zachowywał się, jakby to miało być coś zabawnego.

– Nie wiem, które z was ma bardziej przejebane – mruknęła Grace i straciła nami zainteresowanie na resztę przerwy.

W taki prosty sposób dołączyliśmy do szkolnej elity. Tyle się czailiśmy, a wystarczyło zdobyć się na odwagę. No i też w ten sposób dowiedziałam się, że ojciec obiecał moją rękę Adrienowi. Na początku nawet się podekscytowałam, bo Adrien mi się podobał, potem zaczął mnie denerwować, bo ciągle oglądał się za innymi dziewczynami, ale gdzieś tam w środku oboje byliśmy pogodzeni z tą perspektywą, że skończymy razem, i żadne z nas nie miało z tym większego problemu. W liceum żyliśmy tak, jakbyśmy byli znajomymi, a nie przyszłym narzeczeństwem. Ja zresztą kochałam się przez większość czasu w Willu. Co, zdziwiona? Mówiłam ci, że Will to przystojniacha, bardzo mi się podobał. Niestety, ja nie byłam w jego typie. Ale to historia na inny raz...



INSTYKNT WOJOWNICZKI

Królewna.

Jak tylko ramiona ojca przyciągnęły mnie do siebie, a w uszach rozbrzmiało mi moje ulubione przezwisko, którym za każdym razem wiernie mi słodził, westchnęłam z nieskrywanym zadowoleniem.

– Cześć, tato – wymamrotałam w jego koszulkę.

Jego objęcia się zacisnęły.

Wylądowałam w Czarnogórze około siedemnastej, co dawało mi jakieś trzy godziny sam na sam z Camem. Potem mieli dołączyć do nas chłopcy, którzy lecieli tu lotem komercyjnym z Ibizy. Nie widziałam ich od kilku dobrych dni i choć możliwe, że byłam troszeczkę ciekawa, co tam u nich słychać, to jednak jeszcze nie zdążyłam porządnie się za nimi stęsknić. Zapewne było tak z powodu intensywnego pobytu u Mai i Monty’ego. Co prawda, z ciocią wyskoczyłam na tylko jedną imprezę, a resztę wyjazdu spędziłam spokojniej: bawiłam się z Flynnem, byłam kilka razy na plaży, chodziliśmy z Mayą na pyszne brunchy i do jej klubu sportowego, a na jeden cały dzień wujek Monty wyszedł z inicjatywą zabrania nas na jacht.

Ja zaś przecież przyzwyczajona byłam raczej do powolnego tempa życia. Pełnego luksusu i udogodnień, to na pewno, ale mimo wszystko powolnego. Kręciło się ono przeważnie wokół szkoły i popołudni w Rezydencji Monetów z nielicznymi tylko rozrywkami. Dlatego wakacje rozpoczęte domówką braci Monet, potem nocą w Madrycie i kilkoma intensywnymi dniami we Francji wyczerpały mnie do granic możliwości i z uśmiechem przytaknęłam ojcu, gdy ten zaproponował prosty relaks z puszką zimnego napoju w dłoni.

Ojciec nie zmieniał się zbyt wiele pomiędzy naszymi spotkaniami. Sporadycznie to tu, to tam przybywała mu nowa zmarszczka, ale tak naprawdę jedynym wskaźnikiem upływającego czasu była jego broda, która zdawała się coraz dłuższa i gęstsza, a jednocześnie, zupełnie w stylu Cama, zawsze starannie przycięta i uczesana.

Najbardziej lubiłam w jego twarzy to, że jego oczy, gdy na mnie patrzyły, nigdy mnie nie zawodziły i zawsze się rozjaśniały, jakby widziały coś fantastycznego i bezcennego – a widziały przecież po prostu mnie.

Po ilości pięknych widoków, jakich naoglądałam się w ciągu ostatnich dni, nadal potrafiłam zachwycić się tym, co zastałam w kolejnej kryjówce ojca. Domek znajdował się na skale, wisząc tuż nad samym morzem. W oddali z jednej i z drugiej strony widać było ciągnący się, porośnięty gęstymi drzewami ląd, który nadawał temu miejscu klimat odosobnienia i dziczy.

Cudowny krajobraz rozciągał się z dachu domku wakacyjnego, na który ojciec od razu mnie zabrał. Był on płaski i ogrodzony rzeźbioną balustradą, taką z uroczymi białymi kolumnkami.

– Piękniejsz w oczach, królewno – westchnął ojciec, gdy usadowiliśmy się na kanapie chronionej przez mały daszek, tak że tuż na wprost mogliśmy cieszyć oczy morską pejzażem.

Uśmiechnęłam się ukradkiem, jednocześnie uświadamiając sobie, ile przyjemności dawały mi jego komplementy. Niesamowite w nich było to, że w ogóle nie wprawiały mnie w dyskomfort. Oparłam głowę o ramię taty i patrzyłam w dal, ciesząc się sielanką.

Mhm, ciesz się nią, póki możesz, Hailie, bo jak on dowie się o twoich ostatnich wybrykach, to nie będzie tak kolorowo.

Aż się w sobie skurczyłam i skrzywiłam na tę wystosowaną przez moją głupią podświadomość pogroźkę.

– Jak w szkole? – zagadnął mnie Cam. – Słyszałem, że miałaś wspaniałe świadectwo.

– Vince ci powiedział?

– Jest z ciebie bardzo dumny. Ja oczywiście też.

– Jesteś ze mnie dumny? – powtórzyłam, nie mogąc powstrzymać uroczego uśmiechu, który sam uparcie wpełznął mi się na usta.

– Żebyś wiedziała jak – odparł i obrócił lekko brodę, by złożyć szybki pocałunek na czubku mojej głowy. – Mam tylko nadzieję, że się nie przepracowujesz, hm?

– Nie, lubię się uczyć.

– Dobrze. Bo chciałbym, byś wiedziała, że mimo iż cieszę się niezmiernie, że tak wspaniale ci idzie w szkole, to oceny nie zawsze są najważniejsze – powiedział. – Dobre wyniki w szkole czasami ułatwiają trochę życie, ale na pewno nie są warte uszczerbków na zdrowiu psychicznym. Dlatego się czasem nie nadwyrężaj, moja królewno.

Przytuliłam się do niego jeszcze mocniej.

– Nie będę – wyszeptalam.

Tak bardzo potrzebowałam tego czasu z nim i chciałam wierzyć, że on też go potrzebował. Na pewno się w ten sposób zachowywał, bo poświęcał mi każdy ułamek sekundy, którą mieliśmy dla siebie. Wypytywał mnie o multum rzeczy, jakby chciał wiedzieć wszystko o każdym aspekcie mojego życia. Opowiadałam mu więc o tych ciekawszych i ważniejszych wydarzeniach. Pytał na przykład, jak mi się jeździ moim porsche, i dodał od razu, że jeśli coś mi nie odpowiada, to można je łatwo wymienić na inny samochód. Mówił, że słyszał, iż jestem bardzo dobrym kierowcą. Zdradziłam mu też, ile frajdy miałam, gdy odwiedziłam wodospad Niagara z Willem, zatajając, oczywiście, szczegóły przeprowadzonej tam rozmowy.

Aż wreszcie większość głównych tematów zdążyliśmy obgadać i zostało nam tylko kilka z tych najważniejszych, których nie poruszyliśmy. Bardzo nie chciałam przyznawać się tacie do tego, że podniosłam rękę na Tony'ego, niepewna, jak on na to zareaguje. Wiedziłam, że ten człowiek ma swoje głęboko zakorzenione wartości i obawiałam się, że moje zachowanie mogło się z nimi kłócić, a ja naprawdę bardzo nie chciałam mu podpadać. Nie chciałam, żeby był zawiedziony.

Zdawałam sobie jednak sprawę z tego, że ukrywanie tej sprawy nie miało sensu. On mógł już coś wiedzieć od Vincenta, a jeśli nawet nie wiedział, to na pewno szybko zorientuje się, że stosunki między mną i Tony'm są napięte. Najlepszy moment, by poruszyć ten ciężący mi temat, trwał właśnie teraz, kiedy nadal byłam z ojcem sama.

– Jest coś, o czym chciałabym ci powiedzieć – wyznałam cichutko, palcami pocierając nieśmiało puszkę.

– Zamieniam się w słuch.

Tłumacząc, co leżało mi na wątrobie, trochę mamrotałam, dlatego Cam przechylał głowę, by nadstawić ucha i wylapać każde z moich wypowiedzianych niemal szeptem słów. Z kołującym mocno sercem powiedziałam mu o imprezie, o tym, że uderzyłam Tony'ego. Nie wspominałam bezpośrednio o nim i Monie, a zamiast tego napomknęłam tylko, że „bardzo mnie czymś zdenerwował”. Nie chciałam go bronić ani nic z tych rzeczy, ale czułam w duchu potrzebę przedstawienia tej sprawy w sposób prosty, decydując się pójść na całość. Nie zamierzałam się przed ojcem usprawiedliwiać, żeby sprawdzić, gdzie mnie to zaprowadzi.

Gdy skończyłam, zagryzłam mocno wewnątrz policzka i czekałam na jego reakcję.

– Vince wspominał mi, żeście się z Tony'm pożarli – przyznał wreszcie, wzdychając.

Spuściłam głowę.

– Jesteś na mnie zły?

On milczał przez chwilę, zwiększając tym mój niepokój, ostatecznie jednak w końcu zabrał głos:

– Nie jestem zachwycony, żeby nie było... – Najpierw uniosł palec do góry, po czym opuścił go i kontynuował łagodnie: – Ale nie jestem zły, Hailie. Na swoją królową? W życiu.

Ścisnął mnie mocniej i poczułam wielką ulgę. Moja sympatia do tego człowieka wyskoczyła poza skalę.

– Vince był zły – poskarżyłam się.

Ojciec skinął głową, bardziej chyba do siebie, i wziął spory łyk coli, po czym zgniótł puszkę i rzucił ją do kosza.

– Wytłumaczył ci dlaczego?

– Eee, nie wiem. Chyba tak. Wiadomo, przemoc jest zła i tak dalej. – Wzruszyłam ramionami, próbując sobie przypomnieć coś z rozmowy z Vincentem, coś poza jego mrozącym krew w żyłach spojrzeniem.

– Zawsze powtarzałam chłopakom, że mają się nawzajem nie łać... – poinformował mnie Cam, a ja prawie uniosłam brwi, bo mieszkając w Rezydencji Monetów, byłam świadkiem braterskich bójek na porządku dziennym. Dobra, może bardziej przepychanek... – Przeszłość naszej rodziny nie jest kolorowa. Nadanie jej pozycji takiej, na jakiej jest teraz, kosztowało naszych przodków dużo potu, łez i... krwi. – Ojciec zacisnął na chwilę szczękę, wpatrując się na wprost, w morze. – Tak, twój dziadek, Hailie, a mój ojciec, był niezłym oszołomem. Ja, za młodu, też miałem swoje za uszami. – Tu palcami zaczesał sobie włosy w tył. – A potem urodziło mi się dziecko, a zaraz potem drugie i zacząłem sobie to wszystko układać w głowie, że chwila, moment, trzeba tym chłopcom pokazać jakieś, nie wiem, wartości. Wychowywanie ich w tak posran... skrzywionym otoczeniu zmusiło mnie do zarysowania jakichś granic. Wprowadzenia zasad. Dlatego zawsze powtarzałam chłopakom, że mają siebie nawzajem szanować. Że mają się nie napażać jak ciołki i traktować nawzajem tak nisko, jak potraktowaliby byle lepszego cwaniaczka, co zadarł z naszą rodziną i potrzebuje lekcji, a zamiast tego mają kochać się i szanować.

– Zadziałało? – spytałam, próbując ukryć wątpliwości.

– A gdzie, ciągle się tłucli. – Cam wywrócił oczami i rzucił mi uśmiech. – Ale przynajmniej tak, żebyśmy nie widzieli.

Zachichotałam.

– Chodzi o to, moja słodka Hailie, że zasiałem im w głowie takie malutkie ziarenko – tu pokazał mi palcami, jak małe mogło ono być – które każe im się w tych przepychankach pilnować i nie pójść za daleko. Myślę, że z racji tego, że nie wychowywałaś się z nimi, Vince przestraszył się, że po takim jednym incydencie w przyszłości pojawi się ich więcej. Dlatego odpowiednio je skomentował, żebyś wiedziała, że to w naszej rodzinie poważna sprawa. – Mówiąc to, ścisnął mi na chwilę prawą dłoń, bezbłędnie odgadując, że to nią uderzyłam brata. Polubiłam ten dotyk, bo przyniósł mi pewnego rodzaju ukojenie, jakbym właśnie dostała rozgrzeszenia.

– Problem Vince’a jest taki, że on zamiast tłumaczyć, straszy – westchnęłam ze zdegustowaniem i nieskrywanym wyrzutem, bo naprawdę sposób, w jaki Cam ze mną rozmawiał, był według mnie nieporównywalnie skuteczniejszy i przynajmniej nie groził mi przedwczesną siwizną.

– Vince ma dużo problemów, wierz mi, królowno – odpowiedział ojciec z westchnięciem akompaniującym mojemu. – Nie chcę go krytykować, rozumiesz, bo nie mogę oczekiwać od swojego młodego syna, żeby wiedział, jak wykonywać całą moją robotę, którą zostawiłem mu na barkach. Użerał się i na pewno wciąż się użera z Dylanem i bliźniakami, prowadzi nasze biznesy, co nie jest spacerkiem w parku, oraz na dodatek opiekuje się teraz moją córką. Jakżeby mógł być tak drobiazgowy, żeby jeszcze zarzucać mu złe metody wychowawcze? Zwłaszcza że wcale nie są najgorsze ani nie różnią się wiele od moich, są tylko bardziej niedoskonałe. Na ich udoskonalenie potrzeba czasu. Ja, jako rodzic, też nie od razu wiedziałem, jak się do tego zabrać.

– Oby udoskonalił je, zanim będzie miał własne dzieci – mruknęłam, po czym dorzuciłam: – O ile będzie je miał.

– Mam szczerą nadzieję, że będzie. W przeciwnym razie, kto inny zdoła topić mu serce, gdy ty już dorośniesz?

Najpierw zamrugałam, wpatrując się w tatę zaskoczona, a potem mimowolnie uśmiechnęłam się delikatnie.

Ojciec puścił mi oczko i machnął ręką.

– No dobrze, idziemy dalej. Powiedz mi, który jeszcze zalał ci za skórę.

Uśmiech natychmiast mi zrzędł.

– Dylan.

– Dylan. – Pokiwał głową, zaciskając szczękę. – Co znowu zrobił Dylan?

Ponownie zaczęłam opowiadać, głównie o tym, co wydarzyło się na imprezie. Ostrożnie wspomniałam o Leo, badając, jaki ojciec może mieć do niego stosunek. Przyprawiłam swoją skargę również kilkoma przykładami z życia codziennego, które fantastycznie opisywały czepliwość wrednego brata.

– O ile Vince ma braki w swojej wiedzy na temat radzenia sobie z nastoletnią siostrą, tak Dylan nie ma takowej wiedzy w ogóle – oznajmił ojciec. – Czasem włącza mu się instynkt opiekuńczy i wtedy próbuje naśladować mnie, a że sam jest jeszcze dzieciakiem, to robi to w tragicznie nieudolny sposób. Przykro mi, że tak się czujesz. Wiem, że chłopcy nie są łatwi w obejściu. Na pewno z nimi o tym porozmawiam, masz moje słowo – obiecał Cam.

Odetchnął cicho, a potem zapatrzył się w dal, na morze, głaszcząc lekko moje ramię. Trwaliśmy tak chwilę w ciszy, co okazało się wcale nie gorsze od rozmowy. Czułam, jakbyśmy właśnie nadrabiali stracone lata zwykłym przebywaniem w swoim towarzystwie i było to absolutnie piękne uczucie. Przymknęłam na chwilę powieki, doceniając dobre rzeczy, które zdarzyły się w moim życiu. Nawet pomimo tych złych.

– Prowadzisz jak pizda.

Otworzyłam oczy i skrzywiłam się, natychmiast przerywając spokojne rozmyślenia i żegnając ostatnie relaksujące momenty z ojcem.

Bo oto przybyło moje rodzeństwo.

– Chyba twoja.

– Co?

– Gównno.

– Weźcie się ogarnijcie, dosyć już was mam.

– Oho – mruknął Cam, do którego uszu również dotarły pierwsze głosy jakże uroczej konwersacji pomiędzy jego synami.

Najpierw wyłonił się Shane, którego ojciec wyściskał po męsku, a następnie przyjrzał się Dylanowi, którego klepnął dodatkowo w ramię. Z Tonym wymienił pozdrowienia na końcu, a mnie aż ścisnął się żołądek na widok brata, z którym aktualnie moja więź była najluźniejsza. Kilka dni na Ibizie zrobiło swoje i chłopcy naprawdę mocno się opalili, jakby wszystkie imprezy odsypiali na plaży, w pełnym słońcu.

Shane wcisnął się na miejsce obok mnie, zarzucając mi rękę na ramię i przyciągając mnie na powitanie do siebie, Tony podszedł do barierek i gapiąc się w horyzont, zapalił papierosa, a Dylan, poczoehrawszy mi włosy, bezceremonialnie dopił sobie mój napój w puszcze, czego normalnie nie chciałoby mi się nawet komentować, ale z racji obecności ojca postanowiłam zaprotestować z wyrzutem, na co ten zmusił mojego wrednego brata do przyniesienia mi nowej puszki prosto z łódówki.

Uwielbiałam nasze spotkania z Camem.

Moi bracia mimo wszystko też je uwielbiali. Dni u boku ojca miały nam wszystkim szalenie szybko i gołym okiem widać było, że chłopcy potrzebują w życiu tego człowieka nie mniej niż ja sama. Cam był kimś, kto dawał nam wszystkim poczucie bezpieczeństwa i stabilności, nawet mimo totalnie niestabilnej sytuacji, w jakiej sam się znajdował. Samą swoją obecnością potrafił po prostu dostarczyć nam nieskończone pokłady wsparcia – takiego tylko, jakie rodzic jest w stanie zapewnić swoim własnym dzieciom.

Nie widziałam, jak ojciec rozmawiał z Dylanem, ale wiedziałam, że na pewno zamienił słowo z Tonym, bo któregoś dnia zaparzyłam

sobie kawę, którą zdecydowałam się rozkoszować na dachu wraz z książką, i stamtąd zobaczyłam w oddali ich dwójkę.

Stali na kamienistej plaży pod domem, pogrążeni w rozmowie. Tony trzymał dłonie w kieszeniach i trochę się garbił. Obserwował czubki swoich sportowych butów, a Cam coś do niego mówił, nachylając się i zaglądając mu z powagą w twarz. Odłożyłam książkę na bok i zmrzyłam oczy, dyskretnie przybliżając się do barierki, by lepiej widzieć, a jednocześnie nie zostać nakrytą.

Tony coś odpowiedział, zapewne burkliwie jak to on, a ojciec pokręcił głową i znowu rozpoczął swoje tłumaczenia. Tak strasznie byłam ciekawa, czy temat, który obecnie poruszali, miał coś wspólnego ze mną.

Przerwałam rozmyślenia, gdy dostrzegłam, jak ojciec łapie Tony'ego za ramię, całkiem gwałtownie, jakby trochę tracił cierpliwość, i nim szarpnął. Rzucił coś do niego, może powtórzył pytanie, na które Tony nie kwapił się odpowiadać, ale w końcu coś odmruknął, a potem wreszcie uniósł wzrok. Razem z ojcem patrzyli sobie w oczy przez chwilę, a następnie Cam objął go ramieniem i poklepał po plecach w zaskakująco uroczo-ojcowski sposób. W pewnym momencie też położył mu dłoń na tyle głowy i ucałował w skroń, szepcząc mu jednocześnie do ucha jakieś słowa. A gdy go puścił, Tony znowu patrzył w dół i wyczułam, że obaj zamierzają wracać do domu, dlatego natychmiast umknęłam, aby żaden z nich mnie nie zobaczył.

Wgapiając się w otwartą książkę, nie mogłam się skupić na tekście. Chciałam wiedzieć, o czym rozmawiali, i nie potrafiłam myśleć o niczym innym, jak tylko tworzyć w głowie scenariusze do rozegranej przed chwilą, podpatrzoną przeze mnie sceny.

Tony nadal był na mnie obrażony, ale przestał się obnosić ze swoimi fochami przy ojcu tak jak wcześniej. Po prostu unikał patrzenia na mnie i bezpośredniego reagowania na to, co mówię, ale robił to tak zgrabnie, że na pierwszy rzut oka nie sposób się było do niego o cokolwiek przyczepić.

Moje poranki z kawą i książką na dachu naszego domku letniskowego były tak błogie, że z lubością oddawałam się im każdego dnia. Dopiero potem, gdy zaczynało się robić dużo goręcej, szłam popływać w morzu. Chyba że Dylan był w pobliżu wody w złośliwym i psotnym nastroju, to wtedy unikałam wchodzenia mu w drogę. No chyba że ojciec też znajdował się gdzieś niedaleko. Jak widać, działało tu wiele zawiłych zależności.

Czarnogórskie niebo zwykle charakteryzowało się całkowitą bezchmurnością, ale zdarzyły się ze dwa lub trzy dni, kiedy pogoda płała figle. Lubiałam taką pogodę, bo dawała odrobinę wytchnienia i o ile nie padało, można było podziwiać piękne obłoki prosto z tarasu na dachu.

Jednego z takich właśnie dni moi bracia urządzili sobie krwawy trening. Tak go nazwałam, mimo iż wcale nikt nie zranił się na tyle, by polecała mu krew. Po prostu gdy patrzyłam na nich, jak bezlitośnie nabijają sobie nawzajem siniaki, poczułam, że nazwa ta idealnie podkreśla brutalność ich aktywności oraz doda jej zawsze mile widzianego dramatyzmu.

To by było na tyle, jeśli chodzi o zakaz stosowania przemocy między rodzeństwem, pomyślałam sobie, choć dobrze wiedziałam, że Camowi na pewno nie chodziło w jego zasadach o treningi, do których sam swoich synów w końcu zachęcał.

Obserwowałam znad książki, jak Dylan stał naprzeciwko Shane'a. Dylan był większy, to na pewno, ale Shane zdawał się sprytniejszy. Robił dobre uniki, a potem niespodziewanie atakował. Dylan zaś nie był tak precyzyjny, ale jego ciosy nadrabiały siłą. Skrzywiłam się, gdy Shane nie zareagował wystarczająco szybko i oberwał tak, że stracił równowagę.

– Co to miało być? – zadrwił Dylan, który, rozpierany energią, podskakiwał, rozciągając ramiona. – Bijesz się gorzej od Hallie.

– Hej! – oburzyłam się, opuszczając książkę na kolana.

Miałam szczęście, że akurat dołączył do nas ojciec. Był u szczytu schodów, gdy zawołał:

– Ta? To podejdź no tu, chłopcze.

Rozłożyłam się w fotelu w oczekiwaniu na dobre show, a Dylan najpierw wznosił oczy do nieba, ale już po chwili z zadziornym uśmiechem przyjął, rzecz jasna, wyzwanie ojca i stanął naprzeciwko niego, tylko po to, aby po kilku ruchach ten powalił go na ziemię. Oglądanie Dylana pokonanego w niecałe pół minuty to było jak Gwiazdka w lecie. A jego zirytowane, przegrane prychnięcie, gdy leżał już tam na podłodze? Cudowne.

– Jestem od ciebie prawie dwa razy starszy, a w dalszym ciągu powalam cię na ziemię z palcem w dupie – rzucił do niego Cam, kręcąc głową.

– Aha, ale jakim kosztem – odezwał się Dylan, powoli zbierając się z ziemi. – Nawet tu na dole słyszę, jak sapiesz, staruszk.

Jeszcze nie zdążył wstać, a znowu leżał.

Zarówno bliźniacy, jak i ja parsknęliśmy śmiechem w tym samym czasie.

– Gówniarz – mruknął Cam, z rozbawieniem kręcąc głową. – Na cholerę siedzisz tyle na siłowni, jak nie potrafisz nawet zrobić dobrego uniku?

– Bo wolę atakować – odparł z psotnym błyskiem w oku Dylan i porzucając próby podniesienia się, rzucił się na ojca z dołu, nareszcie odnosząc sukces i przewracając go.

Było coś przyjemnie niewinnego w oglądaniu tych ich walk. Na Shane'a i Tony'ego też przyszła kolej i musiały przyznać, że byłam pod wrażeniem umiejętności ojca. Choć faktycznie był dużo przecież starszy od swoich synów, to mimo wszystko wciąż nie zostawał w tyle pod względem sprawności fizycznej.

W pewnym momencie przywołał do siebie i mnie. Normalnie nie dałabym się zaciągnąć na środek, żeby tak wystawiać się braciom na drwiny, ale ojcu akurat ufałam w stu procentach, więc odłożyłam książkę, na której i tak od dawna już się nie skupiałam.

– Pokaż mi, co umiesz, królewno – zachęcił mnie Cam.

Stanąłam przed nim, taka ze trzy razy od niego drobniejsza, i nie miałam pojęcia, co zrobić dalej. Nie lubiłam zaczynać walki. Zawsze uczono mnie, jak się bronić, gdy ktoś zaczepiał mnie pierwszy.

– Tylko sobie nie nabij guza, dziewczynko – zawołał do mnie Dylan.

Nie mogąc się powstrzymać i nie bacząc na konsekwencje, pokazałam mu środkowy palec. Już miał zareagować, wyraźnie niezadowolony, gdy to ojciec ruszył w moją stronę i pół żartem, pół serio złapał mnie za dłoń, by jednocześnie powstrzymać mnie od pokazywania wulgarnego gestu i rozpocząć rundę.

Cam zaczął powoli wykręcać moją dłoń, ewidentnie dbając o to, żeby mnie za bardzo nie skrzywdzić.

Ja uznałam, że mogę pójść na całość, bo i tak marne miałam z nim szanse, więc nie przejmowałam się zbyt perspektywą uszkodzenia go. Schyliłam się pod własną ręką i zrobiłam piękny, zwinny obrót. Znowu stałam naprzeciwko ojca, jak przed chwilą, ale mój trik sprawił, że teraz to ja trzymałam jego dłoń. Nikt mnie tego nie nauczył, nawet nie wiem, jak to zrobiłam. To było tak instynktowne, że aż sama zmarszczyłam brwi, nie spodziewając się po sobie tak zręcznego ruchu.

Cam też patrzył zaskoczony na swoją rękę, ale szybko zaczął się uśmiechać. Wyszarpnął dłoń z mojego uścisku i zaatakował mnie znowu, a ja zrobiłam unik, tym razem trochę przestraszona nagle narzuconym tempem. Kuciałam i obracałam się, przechylałam w lewo i w prawo. Zgrzałam się niemiłosiernie i w pewnym momencie, gdy się schylałam, straciłam równowagę i upadłam na kolana, ale tak szybko, jak polecałam, skoczyłam na równe nogi, nie dając za wygraną.

Może i ojciec był ze mną uważniejszy niż z moimi braćmi, by mnie nie zranić, ale nie można było powiedzieć, że dawał mi specjalnie większe fory. Uświadomiłam sobie w pewnym momencie, że atakował mnie szybko i bez przerwy, a ja dzięki zaawansowanym unikom utrzymywałam się w grze o wiele dłużej niż bracia.

W pewnym momencie zastygliśmy na kilka sekund w bezruchu, gdy nareszcie nastąpił punkt kulminacyjny. Nie wiedzieć skąd i jak stałam tuż naprzeciwko Cama i trzymałam dłoń na jego szyi tak, że po jej zewnętrznej stronie łaskotała mnie jego broda. Jego palce zaś zacisnęły się na mojej chudej ręce, tuż pod nadgarstkiem.

Oddychałam szybko, nieprzyzwyczajona do aż takiego wysiłku. Moja kondycja leżała skulona w kącie i płakała, ale nie miałam czasu jej pocieszać, bo za bardzo zadziwiona byłam tym spektaklem, który właśnie z ojcem odegrałam. Oczywiście miałam wielkie jak spodki, a dłoń, którą trzymałam na gardle Cama, nieco mi drżała.

U ojca na twarzy zaś kąciki ust unosiły się wysoko. Ścisnął lekko moją rękę, by zwrócić moją uwagę, i pokręcił delikatnie głową.

– Duszenie to zły wybór – oznajmił wesoło. – Jest powolne i trzeba dobrze wiedzieć, gdzie naciskać, żeby zrobić to skutecznie. – Bez trudu złapał moją dłoń i naprowadził ją w okolice swojej tętnicy szyjnej, żebym mogła poczuć, jak pulsuje. Miejsce, o którym mówił, było niedaleko niej i zdawało się rzeczywiście wrażliwe. Aż drgnęłam z niepokoju. – Podczas walki, gdy trzeba być szybkim, niełatwo jest je odnaleźć.

Zapatrzona na Cama, straciłam orientację i nie byłam gotowa na obrót. Nagle dotykałam plecami jego klatki piersiowej, jak czasami podczas treningów z Dylanem. Tym razem to jego palce dotykały mojej szyi i aż wstrzymałam oddech.

– Poza tym twoim atutem, królewno, jest zwinność – tłumaczył zza moich pleców – Dlatego musisz używać zwinnych trików. Podduszenie zaś jest bardziej odpowiednie dla osób, które polegają na sile.

Na koniec poklepał mnie leciutko po szyi, demonstrując najwyraźniej, że podduszenie jest, na przykład, odpowiednie dla osoby takiej jak on, po czym puścił mnie wolno i aż się zatoczyłam, wciąż oszołomiona wszystkim tym, co tu zaprezentowaliśmy.

Podtrzymując jedną dłonią głowę, ponownie uniosłam wzrok na tatę, który podarował mi małe oklaski.

– Gratulacje, królewno. Spisałaś się na medal – powiedział ze szczerym podziwem.

– Ja ją uczyłem – pochwalił się Dylan, klepiąc się po szerokiej piersi. Podeszedł też i szturchnął mnie w ramię. – Nawet nieźle, dziewczynko.

– Masz instynkt wojowniczkę – dodał Shane, unosząc kciuk w górę.

– Ale kondycja leży.

– Musi więcej trenować.

– No wiadomo i nic by się nie stało, gdyby nabrała trochę mięśni.

Wycofałam się, zbyt zmęczona i w ogóle niezainteresowana wysłuchiwaniami krytyki Dylana i Shane'a. Wołałam napić się czegoś zimnego i odpocząć, a może nawet wskoczyć do morza i trochę się ochłodzić. Nie było też dla mnie zaskoczeniem, że Tony w żaden sposób nie przyłączył się do komentowania mojego treningu, choć jestem prawie pewna, że w trakcie walki przyłapałam go, jak z nieskrywanym zaintrygowaniem jej się przyglądał.

Ogarniała mnie nie lada satysfakcja, bo takie momenty poważnie podbijały moje poczucie własnej wartości – w takich chwilach

czułam się jak Monet.

To był idealny dzień, który mogłabym wspominać naprawdę fantastycznie, gdyby nie to, co wydarzyło się nocą.

32 INNY WYMIAR PODŁOŚCI

W Czarnogórze sypiało mi się wspaniale. Nie wiem, czy to ze względu na panujący tu klimat, czy wygodne łóżko. Może to męczące za dnia słońce zapewniało przynajmniej komfortowe noce? Choć najbardziej byłam w stanie uwierzyć, że to ze względu na obecność ojca jestem tak spokojna i po raz pierwszy od dawna nie zamartwiam się niczym. Tutaj, z Camem, żyło mi się jak w bańce. Nie musiałam myśleć o Monie, Dylan hamował się ze swoją złośliwością, Tony z fochami, a Vince nie miał potrzeby kontrolowania mnie, gdy przybywałam z tatą.

I cóż mogę powiedzieć, nie byłam gotowa, żeby ktoś mi tę bańkę brutalnie przebił.

Coś zaczęło laskotać mnie po twarzy. Mój zaspany umysł wmówił sobie, że to na pewno rój mrówek wtargnął na moje policzki znikąd i tyle wystarczyło, bym natychmiast otworzyła szeroko oczy, sparaliżowana strachem. Zanim jednak zdążyłam zrobić coś głupiego, zobaczyłam już, że to ojciec nachyla się nade mną i składa mi na skroni pocałunek.

– Tata? – wymamrotałam nieprzytomnie, marszcząc brwi. – Co robisz?

– Muszę się zbierać, królewno – odparł zachrypniętym szeptem. – Przyszedłem się tylko pożegnać.

– Nie rozumiem, co? – Zamrugałam ciężkimi powiekami przekonana, że jestem zbyt zaspana, żeby pojąć prawdziwy sens jego słów.

– Zostaniesz tu z chłopakami, dobrze? – mówił cicho, głaszcząc mnie po włosach i policzku. – Dacie sobie radę.

Dopiero zorientowałam się, że jest w pełni ubrany, w bluzę i wygodne buty. Włosy zebrane z tyłu w luźnego kucyka. Oczy zaś bystre i zaalarmowane.

– Nie, czekaj, dlaczego? – Kręciłam głową, zdezorientowana.

– Zrobiło się tu dla mnie trochę niebezpiecznie. Wam nic nie grozi, ale ja muszę uciekać.

– Niebezpiecznie? Co się stało? – pytałam coraz bardziej przejęta. – Czekaj, my pojedziemy z tobą. Przecież możemy uciec z tobą. Czemu...

– Nie, nie, Hailie. Wy zostajecie tutaj – przerwał mi stanowczo Cam.

– Ale ja nie... Ja chcę...

– Hailie – urwał ostro Cam, jednakże patrzył na mnie łagodnie. – Zostajecie tutaj. Nie ma dyskusji.

Broda mi zadrżała i zacisnęłam usta, żeby to ukryć. Ojciec uśmiechnął się do mnie smutno, przyciągnął mnie do swojej piersi i raz jeszcze ucałował we włosy.

– Bardzo cię kocham, królewno – szepnął, po czym wstał i odwrócił się do wyjścia.

Jeszcze nie zdążył opuścić mojego pokoju, a ja już wygrzebywałam się z prześcieradła i zaraz zaczęłam za nim biec, boso i w piżamie. Rzucił do mnie przez ramię, żebym została w łóżku, ale nie posłuchałam.

Wołałam „tato!”, ale więcej się nie odwrócił.

Przy rozsuniętych szklanych drzwiach stali Shane i Tony. Obaj w naprędcie narzuconych koszulkach i z rozczochranymi włosami, normalnie zapewne byliby zaspiani, ale w takich okolicznościach nie było mowy, by na ich twarzach znajdował się choćby cień senności. Czujni i z poważnymi minami, patrzyli, jak ojciec zarzuca dużą czarną torbę na ramię i kieruje się do wyjścia. Widząc, że nikt go nie powstrzymuje przed odejściem, sama się zatrzymałam, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Ostatnią rzeczą, jaką Cam zrobił, zanim wyszedł, było klepięcie Dylana w ramię. Takie męskie i wymowne. Tak, Dylan też tutaj oczywiście był. Stał ojcu na drodze, opierając się o barek z założonymi na piersi rękoma. Nawiązał z nim nawet chwilowy kontakt wzrokowy, ale poza tym Cam jemu również nie poświęcił ani grama uwagi więcej.

Jedynie na sekundę przystanął przed drzwiami, odwrócony do nas plecami, i mruknął na odchodne:

– Trzymajcie się razem, dzieciaki.

Zanim którekolwiek z nas zdążyło się odezwać albo chociaż skinąć głową, on zniknął.

W jednej chwili tu był, a w następnej jakby rozplynął się w powietrzu. Przymknął za sobą lekko drzwi i po tym cichym kliknięciu zaległa cisza. Przez otwarte drzwi tarasowe dochodził do nas jedynie łagodny szum morskich fal, które objęły się leniwie o skały. W pewnym momencie lodówka zaczęła burczeć trochę głośniej. Miałam wrażenie, że ktoś rzucił na mnie zaklęcie i że sterczałam tak

w jednym miejscu godzinami. Chłopcy też się nie ruszali. Powaga sytuacji przytłoczyła nas wszystkich.

Pierwszy do żywych wrócił Dylan. Opuścił ręce, odepchnął się od barku i stanął prosto, rozglądając się wkoło. Następnie odchrząknął i potarł powieki.

– Powinniśmy... – odchrząknął znowu. – Powinniśmy iść spać.

Poruszyłam się, ale tylko po to, żeby spojrzeć na niego z niedowierzaniem. Podobnie zareagował Tony, bo prychnął pod nosem i przeszedł się kilka kroków, przeczesując włosy palcami. Zatrzymał się przed drzwiami tarasowymi i stanął do nas tyłem, gapiąc się na ciemne morze.

– Nikt nie zaśnie – mruknął Shane.

– Jest... – Dylan zerknął na zegarek elektryczny na mikrofalówce – ...czwartą. Jeśli przyjdą i zobaczą, że jesteśmy na nogach, a na dodatek stoimy jak cymbały i wyjemy do księżycy, to od razu będą wiedzieli, co się stało.

– Proponujesz, żeby siedzieć w łóżku do rana i udawać, że mamy zajebiste wakacje? – zakpił Tony.

– Nie proponuję, tylko mówię ci, że tak masz zrobić.

– To sobie spadaj. – Tony złapał coś ze stołu, a potem minął nas i wyszedł na dwór, a do naszych uszu dotarł odgłos pstryknięcia zapalniczki.

– Idiota – mruknął Dylan.

Shane przejechał sobie otwartą dłonią po twarzy, wzdychając ciężko, a ja czułam tylko, jak stopniowo każdy włoszek na moim ciele podnosi się i staje na baczność.

– Przyjdą i zobaczą? Kto? – szepnęłam cichutko.

Dopiero kilka sekund po moim pytaniu Dylan przeniósł wzrok na mnie.

– No powiedz mi! – zawołałam histerycznie, dłonie zwijając w pięści. Wpatrywałam się w niego z wściekłością i żalnością, a w oczach zaczynały mi się formować pierwsze, gorące łzy. Musiała się dowiedzieć, co się dzieje.

– Już. Spok...

– Nawet nie waż się mówić mi: „spokojnie”! – krzyknęłam i zwyczajnie się rozplakałam, zbyt przytłoczona tym, co się działo.

Shane uniósł na mnie wzrok, widziałam też, że nawet Tony wychylił się, by zajrzeć z tarasu do środka i zobaczyć, co się dzieje.

– Ciii, Hailie, musimy być cicho – szepnęłam do mnie Dylan nerwowo. Ale to nie tak, że mnie zignorował, bo od razu do mnie podszedł i mnie objął, dając mi w ten sposób nieco wsparcia – Będzie dobrze. Chcesz usiąść? Chodź, usiądź.

Dałam się mu poprowadzić do kanapy, na którą pozwolił mi delikatnie opaść. Nie chciałam więcej krzyczeć ani też płakać i źle czułam się z tym, że nie potrafię nad sobą panować. Pociągnęłam kilka razy nosem i przymknęłam powieki, a Dylan objął mnie jeszcze mocniej.

– Federalni nabrali podejrzeń. Ojciec musi być bardzo ostrożny i my też, gdy się z nim spotykamy. Ktoś musiał coś zauważyć albo po prostu chcą nas skontrolować. Dlatego jak najszybciej musiał się ewakuować. Mogą nas tu odwiedzić w każdej chwili – wyjaśnił mi cierpliwie.

Słuchałam tego, czując, jak łzy łaskoczą mi policzki.

– Nie macie tam ludzi? Przecież macie ludzi wszędzie. Tam nie macie?

Dylan westchnął.

– Nasze wpływy nie są aż tak nieograniczone, Hailie. Mamy tam ludzi, jasne, to oni dali nam cynk, że coś się szykuje, ale nie wszyscy grają pod nasze dyktando, wiesz? To trochę bardziej skomplikowane.

– Ale tacie nic nie będzie, tak? – zapytałam drżącym głosem. – Uciekł, więc go nie złapią?

– Będzie dobrze. On wie, co robić.

Pokiwałam głową, czepiając się tej myśli. Dopiero wtedy udało mi się odrobinę rozluźnić napięte mięśnie.

Będzie dobrze. On wie, co robić. Cam wie. To stary wyjadacz, on jest inteligentny, sprytny, doświadczony. Wie, co robić.

Wypuściłam powietrze z ust, nie wiedząc nawet, że tak długo je wstrzymywałam.

– Zostaniemy tutaj, w salonie – zaproponował Shane. – Jeśli ktoś tu zaraz wbije, to zawsze możemy udawać, że urządziliśmy sobie maraton filmowy i zasnęliśmy wszyscy przed telewizorem.

Spodobał mi się ten pomysł, bo nie miałam ochoty spędzać teraz samotnych godzin sama w sypialni, rozmyślając o biednym, tułającym się nie wiadomo gdzie ojcu. Na samą taką myśl serce drżało mi z żalu.

– No... dobra. Możemy tak zrobić – westchnął Dylan, zerkając na mnie ostrożnie.

Wszyscy w czwórkę wylądowaliśmy skupieni w swoim gronie i cieszyłam się, że tak się stało, bo inaczej wisząca w powietrzu niepewność przygniotłaby mnie jak mrówkę. Chłopcy co chwilę podnosili się i wychodzili na dwór bądź wyglądali przez okna, by w razie przybycia nieproszonych gości nie dać się zaskoczyć. Zgodnie z przewidywaniami żadne z nas nie zdołało zasnąć nawet na chwilę i wszyscy mogliśmy obejrzeć wschód słońca. Poranek był piękny i niewinny, ze słońcem wspinającym się powoli po bezchmurnym już od początku dnia niebie i błyszczącą pięknie, łagodnie falującą wodą.

Tony wypalił kilkanaście papierosów w ciągu kilku godzin. Shane pochłonął tonę jedzenia, które mu się nawinęło pod rękę, a Dylan przeskakiwał po kanałach telewizora tak długo, że wreszcie zaczął wydłubywać guziki z pilota.

Zadawałam na początku sporo pytań, próbując rozwiać swoje obawy i wątpliwości, ale Dylan polecił mi być cicho. Nie jak zazwyczaj złośliwie, ale na poważnie, bo spoglądał przy tym ze zmarszczonymi brwiami w stronę okien i drzwi, jakby spodziewał się, że lada moment do naszego domku ktoś władauje się nieproszony.

– Spadaj stąd do siebie – warknął na mnie w pewnym momencie zmienionym głosem, nagle i niespodziewanie. Wskazał też w stronę mojej sypialni i pokręcił głową, mrużąc głośno: – Ja pierdołę, co za niemota.

Zamrugałam. Co on właśnie powiedział? Z trudnością przełknęłam ślinę, wpatrując się w Dylana, bo słowa, które wyszły z jego ust, miały po prostu inny wymiar podłości. On był na ogół wredny, zgadza się, nie ma co do tego żadnych wątpliwości, ale nie aż tak. Nie w ten sposób.

Widząc, że zamiast się ruszyć, zastygłam w szoku, uniósł na mnie brwi z tą samą zde gustowaną miną.

– Halo, słyszysz? – podniósł głos, jakby mówił do przygłuchej osoby. – Jesteś jakaś ograniczona, czy co jest z tobą nie tak?

– Już, już. Wystarczy.

Ten nowy głos, który właśnie rozbrzmiał, należał do jednego z dwóch mężczyzn, których obecności z początku nie zauważyłam. Od razu mi ulżyło, że znalazłam prawdopodobne wyjaśnienie okrutnego chamstwa Dylana w stosunku do mnie. Jednocześnie niepokój ścisnął mój żołądek, bo przybysze nie byli z pewnością zagubionymi turystami, którzy przez przypadek natknęli się na nasz domek.

Nie, byli to dwaj faceci ubrani zbyt formalnie jak na poranek na plaży. Jeden z nich miał nawet ciemne okulary na nosie i klasyczną białą koszulę z czarnym krawatem, prezentował się niczym agent wyciągnięty prosto z filmu akcji. Drugi, ten, który przemówił, robił mniej niepokojące wrażenie w swojej koszuli w kolorze brudnego beżu i czerwonym, prążkowanym krawacie. Zdawał się też starszy i bardziej doświadczony, a może i nawet sympatyczniejszy, wnioskując po zbulwersowaniu malującym się na jego twarzy w reakcji na słowa mojego brata.

– A ty kim jesteś, żeby się łądować w nie swoje sprawy? – rzucił do niego Dylan opryskliwie, po czym znowu spojrzął na mnie i warknął: – Wypad.

– Może lepiej, żeby została... – zasugerował sympatyczniejszy z agentów.

– Nie, nie lepiej – syknął Dylan. – Wynocha, Hailie, już.

– Właściwie to nalegałbym, żeby została...

– To moja siostra i będzie robić to, co ja nalegam, żeby zrobiła.

Postawiłam kilka kroków do tyłu, chcąc się posłuchać Dylana, po czym odwróciłam się płynnie na pięcie, gotowa, by jak najszybciej zniknąć z tej przerażającej dla mnie sceny, ale przystanęłam, słysząc:

– Hailie Monet, stój albo zostaniesz aresztowana.



33

ZWYKŁA FORMALNOŚĆ

Uderzyło we mnie uczucie gorąca i odwróciłam się z powrotem, zdezorientowana.

– Przecież nie możesz jej aresztować – oburzył się Shane.

– Tylko ją straszy – warknął Dylan, łypiąc spode łba na mnie przyjaznego z mężczyzn, który wypowiedział groźbę pod moim adresem.

– Cóż, mogę zechcieć ją przesłuchać, a wtedy, jeśli będziecie mi to utrudniać, zabiorę ją ze sobą – powiedział, uśmiechając cierpko.

– Ależ Lorenc – zaczął jego partner, gładząc się po czerwonym krawacie. – Nikt tutaj na pewno nie będzie utrudniał nam pracy.

– To dobrze – odparł i mimo iż miał na nosie ciemne okulary, to wiedziałam, że wpatruje się prosto we mnie. – Bo w rzeczy samej chciałbym zamienić kilka słów z panną Monet.

– Kiedy ona nie ma nic do powiedzenia – syknął Shane.

– Jest głupia – dodał Dylan, a ja naprawdę miałam nadzieję, że obrażanie mnie to tylko jakaś jego pokręcona strategia.

Mężczyzna imieniem Lorenc uniósł brwi, a jego partner swoje zmarszczył.

– Mimo wszystko chcielibyśmy zadać jej kilka pytań – powiedział. – Jest jedyną osobą z waszej rodziny, której nie mieliśmy okazji przesłuchać.

– To chyba logiczne, nie? – zadrwił Dylan. – Węszycie w sprawie ojca, którego nigdy nie poznała.

– To będzie tylko kilka pytań, nic strasznego – obiecał ten miłszy, zwracając się bardziej do mnie niż do niego i starając się brzmieć kojąco, choć nie był właściwą osobą do uspokajania mnie. – Pozwolisz z nami?

– Gdzie? – warknął Dylan, od razu się najeżył.

– Gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać na osobności – odpowiedział mu powoli i rzeczowo agent, po czym się rozejrzał. – Może usiądziemy przed domem, hm? Powinno być tam odpowiednio... ustronnie.

Lorenc wzruszył ramionami, bo jemu najwyraźniej było wszystko jedno, gdzie odbędzie się przesłuchanie. Ja za to spanikowałam na samą myśl, że mam znaleźć się z tymi dwoma mężczyznami sam na sam, bez żadnego brata w pobliżu. Zerknęłam z niemym przestraszaniem na Dylana, który nie odwzajemnił mojego spojrzenia, ale widocznie krew aż w nim wrzała, bo zagryzał wargę i zaciskał dłonie w pięści.

– Pozwól tutaj, panno Monet – zachęcił mnie partner Lorenca, wskazując na wyjście. Uśmiechał się do mnie przyjaźnie, ale byłam zbyt podejrzliwa, by docenić jego uprzejmość.

Shane prychnął i kręcił głową, a Tony opierał się o ścianę i wpatrywał się w naszych gości z odrazą. W pewnej chwili, na sekundę, nasze oczy się spotkały. Po raz pierwszy chyba od feralnej domówki. Nic dziwnego, że poczułam, jakby prąd przeszedł mi przez kręgosłup. Zanim miałam jednak czas wyczytać coś z jego wzroku, zostałam ponaglona przez agentów.

– To ma być prywatna rozmowa – powtórzył ten sympatyczniejszy, tym razem zwracając się do Sonny'ego, który natychmiast podążył za mną, gdy wreszcie na miękkich jak wata nogach ruszyłam na dwór.

– To jej ochroniarz.

– Nic jej przy nas nie grozi.

– Więc obecność ochroniarza nie powinna wam przeszkadzać – klócił się Dylan.

Lorenc otwierał usta, by coś powiedzieć, ale jego partner machnął ręką.

– Niech im będzie, nieważne. To nieważne.

Ucieszyłam się, że mogę zatrzymać przy sobie Sonny'ego.

Niezwykle stresowałam się tym, co miało teraz nastąpić. Nie dość, że czułam się fatalnie, bo było mi przykro z powodu tak nagłej ewakuacji taty, to jeszcze teraz dwójka poważnych agentów federalnych chciała ze mną rozmawiać nie wiadomo o czym.

Sympatyczniejszy z mężczyzn przysiadł sobie na wiklinowym krzeselku, tyłem do morza. Ja przycupnęłam na brzegu kanapy, rozpamiętując przez ułamek sekundy, jak jeszcze niedawno tuliłam się na niej do Cama. Jak ja mam patrzeć tym mężczyznom w oczy

i udawać, że nigdy nie poznałam człowieka, który był aktualnie jedną z najważniejszych osób w moim życiu?

Lorenc stanął obok swojego partnera i oparł się o barierkę. Gapił się na mnie, pocierając sobie brodę. Wywierał na mnie okrutną presję i starałam się unikać odwzajemniania jego spojrzenia. Odwróciłam się nawet, by upewnić się, że Sonny na pewno do nas tu dołączył. Czaił się kawałek dalej, ale tu był.

– Agent Ronnie Warren – przedstawił się siedzący naprzeciwko mnie, ten miłszy, zza pazuchy wyciągnąwszy swoją srebrną odznakę, tak bym mogła ją obejrzeć. Skore do psot promienie porannego słońca natychmiast się od niej odbiły i mnie osłepiły, ale wygrawerowany na odznace napis FBI był nie do przegapienia.

Formalność tej chwili bardzo mnie przytłoczyła. Przypomniał mi się najgorszy dzień w moim życiu, gdy policjanci poinformowali mnie o śmierci mamy. Wtedy to nawet nie zadawali mi za wiele pytań, raczej ze współczuciem próbowali poradzić sobie z czternastolatką, której zawałił się świat. Pamiętam, jak mimo wszystko mnie stresowali. Dorośli mężczyźni, w mundurach. Tym razem czułam się gorzej, bo ci tutaj byli bardziej podejrzani oraz podejrzliwi. Ronnie uśmiechał się do mnie łagodnie, ale w duchu czułam, że wystarczy jeden fałszywy krok, bym się tu przed nim pogrążyła.

A przy okazji całą swoją rodzinę.

– To mój partner, Lorenc Di Moze – przedstawił Ronnie kompana, gestykulując powoli. – Mam nadzieję, że nasza rozmowa to nie problem. Nie chcemy przeszkadzać w urlopie.

– W porządku – mruknęłam cichutko.

– Cieszę się. – Ronnie uśmiechnął się do mnie ciepło, tak że na twarzy pojawiło mu się dużo zmarszczek. Nachylił się lekko do przodu i odchrząknął. – Proponuję, żebyśmy przeszli na ty. Co ty na to? Mogę ci mówić Hailie? Ty mów mi Ronnie. Miło mi się będzie trochę odmłodzić – zaśmiał się.

Zmusiłam się do sztywnego uniesienia kącików ust, choć wcale nie podzielałam jego rozbawienia.

– Świetnie – ucieszył się. – Nie masz się czym martwić, tak naprawdę ta nasza rozmowa to taka zwykła formalność. W przeszłości przeprowadziliśmy ją z każdym członkiem twojej rodziny. Ciebie w niej wtedy jeszcze, jak wiadomo, nie było. Eee, no tak. Ale teraz... teraz po prostu szybciotko to nadrobimy. Wiesz, żeby nam się wszystko zgadzało w papierkach. – Ronnie uśmiechał się i na koniec machnął ręką, podkreślając nieistotność całego zagadnienia.

– Nie wiem, co mogę panom powiedzieć... – zawahałam się zmieszana.

– Ronnie, mów mi Ronnie – przypomniał mi Ronnie. – Po prostu odpowiedz na kilka naszych pytań. Mówię: zwykła formalność, nic więcej. Dasz radę?

Skinęłam głową, czując, jak każdy mięsień w moim ciele napina się jak struna.

– Nie wydarzyło się dziś nic... nadzwyczajnego, jak mniemam?

Jak tylko usłyszałam to pierwsze pytanie, to wiedziałam już, że trudno będzie mi przebrnąć przez tę rozmowę i nie oszaleć.

Pokręciłam głową, udając, że wcześniej musiałam się chwilę zastanowić.

– Czyli płacze pani każdego ranka? – zapytał Lorenc, ręce zakładając sobie na piersi.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– S-słucham?

– Przestań – upomniął go Ronnie, unosząc dłoń, po czym zwrócił się do mnie: – Wybacz, Hailie, mojemu partnerowi brakuje nieco kultury. Zapewne miał po prostu na myśli, że masz bardzo zaczerwienione oczy. I nos, nos trochę też. Może to alergia?

– Ja... – Obaj mężczyźni wpatrywali się we mnie. Ronnie mrugał przejmie, czekając, aż dokończę, czym bardzo mnie peszył. – Tak. Ja płakałam.

Spuściłam wzrok na kolana, szukając w głowie dobrej wymówki. Musiałam przyznać się do łez, ponieważ ślad po nich widoczny był na mojej twarzy. Powinnam była to przewidzieć, przecież sporo ryczałam po wyjściu ojca. Na pewno musiałam być też blada i wymizerowana. Nie tak wygląda człowiek, który budzi się rano w pięknym miejscu, będąc na wakacjach.

– Och, przykro mi to słyszeć. Musiało wydarzyć się coś smutnego...? – Miałam wrażenie, że Ronnie nachylił się nieco w moją stronę, a Lorenc jeszcze bardziej zmrzył oczy. Wiedziałam to nawet pomimo okularów.

Wpatrywałam się w nich, a w moim sercu rosło przerażenie. Oni się zaraz dowiedzą. Oni już wiedzą. Dlatego się tak dopytują, wiedzą, że to za ojcem tak płakałam. Jezu, co ja mam powiedzieć. Co ja mam...

– Panowie się zapominają – odezwał się szorstko Sonny, a za plecami usłyszałam drobny szelest, sugerujący, że mój ochroniarz się zbliżył. – Przesłuchujecie młodą dziewczynę, a nie kryminalistę. Trochę empatii. – Podszedł do nas jeszcze bliżej, tym razem tak, że widziałam go kątem oka. Nachylił się do nas i zniżył głos, niby to ukradkiem wskazując na dom. – Panna Monet nie ma tu łatwego życia. Sami słyszeliście, jak się do niej odnoszą. Myślę, że wyjaśnia to wszelkie łyzy. Nie ma potrzeby gnębić jej jeszcze bardziej.

Mój wybawiciel Sonny. Odetchnęłabym głośno, gdyby nie mus zachowania twarzy przy agentach. Oni, na marginesie, zaciskali obaj

usta, lypiąc na mojego ochroniarza, wyjątkowo niezadowolony z jego ingerencji.

– Przykro mi to słyszeć – rzekł Ronnie, w mig płynnie powracając do swojej roli dobrego gliny. Zmarszczki znowu zagościły na jego twarzy, gdy ponownie przybrał dobrotliwą maskę. – Nie zasługujesz na takie traktowanie. Powiedz mi tylko, jeśli mogę coś dla ciebie zrobić. Chętnie ci pomogę. Jesteś taką bystrą młodą kobietą...

Powoli zaczynałam marszczyć brwi.

– Niby jak chce pan... jak chcesz mi pomóc?

Wiklinowe krzesło zatrzeszczało, gdy Ronnie się na nim poprawił.

– Masz skończone szesnaście lat, Hailie, a w wyjątkowych sytuacjach tyle wystarczy, by uzyskać prawo do podejmowania samodzielnych decyzji. Mogłabyś mieszkać, gdzie chcesz, z kim chcesz i... nie byłabyś uzależniona od swojego obecnego opiekuna prawnego.

– Vincenta Monet – syknął Lorenc.

– Przede mną dwa lata liceum i studia. Jak miałabym się sama utrzymać? – prychnęłam kpiąco.

– Mogłabyś, na przykład, zrobić użytek ze swojego szwajcarskiego konta.

– Słucham?

– Cóż to, nie wiesz o nim? Ach, no to... No tak, konto. W każdym razie jesteś zabezpieczona.

Przymknęłam lekko powieki i odetchnęłam.

– Co chcecie w zamian?

– Prawdy, Hailie. Takiej, która pomoże nam zamknąć akta rodziny Monet raz na zawsze. Raz na zawsze.

To nie mogło oznaczać nic dobrego. Pomyślałam od razu o swoim ojcu. Jeśli FBI faktycznie wierzy, że on jednak żyje, i szuka tylko na to dowodu, to na pewno nie wróży to dla niego nic dobrego. Musiałam go chronić, a przynajmniej zrobić, co w mojej mocy, by go kryć. Byłam mu to winna. On dla nas zrobiłby wszystko.

Pokiwałam wolno głową.

– Powiem wam prawdę – rzekłam zamyślona, po czym nieco trzeźwiej omiotłam ich spojrzeniem. – Ale obawiam się, że się panowie rozczarują. Moja rodzina jest pokręcona, ale poza tym zupełnie nudna.

– Twój ochroniarz powiedział...

– Że pokłóciłam się z braćmi – dokończyłam i rozłożyłam ręce. – Tak. Tak, przyłapaliście mnie. Wyzywam się z Dylanem, a czasem, w gorsze dni, doprowadza mnie do płaczu. Odkryliście Amerykę w relacjach siostrzano-braterskich.

– Naprawdę moglibyśmy ci pomóc.

– Nie potrzebuję pomocy.

Ronnie westchnął zawiedziony. Ja zaś, zdeterminowana, oczekiwałam na pierwsze pytanie, które już zaraz padło, jednakże z ust chłodnego Lorenc:

– Kiedy po raz pierwszy dowiedziałaś się o istnieniu swojej rodziny od strony ojca?

– Dzień po śmierci mamy.

– Co wcześniej mówiła ci o Camdenie Monecie?

– Nic.

– Przepraszam, ale muszę to wyjaśnić... – wtrącił Ronnie, drapiąc się po głowie i wpatrując w ziemię, jakby próbował sobie coś poukładać. – Jako mała dziewczynka nie interesowałaś się ojcem? Nie pytałaś o niego? Nie zastanawiałaś się, kto nim jest?

– Zastanawiałam się. I zapytałam. Po reakcji mamy bałam się pytać znowu.

– Wściekła się? Zdenerwowała? – pytał Lorenc.

Wdech, wydech, Hailie. Nie zmieniaj wyrazu twarzy.

– Zasmuciła.

– Jak myślisz, co ją zasmuciło?

– Nie wiem.

– Na pewno masz jakieś domysły – uśmiechnął się Ronnie.

Uważaj, Hailie, żeby czasem nie zacząć obgryzać warg.

– Nie chciałabym marnować czasu agentów federalnych, opowiadając im o swoich domysłach. W końcu zajmujecie się głównie faktami, prawda?

Ronnie odchylił się i pociągnął nosem.

– Oczywiście, masz świętą rację, Hailie. To może powiesz nam, co w takim razie wiesz o Camdenie Monecie?

– Nic oprócz tego, że zginął w wypadku.

Lorenc uniósł brew.

– Mieszkasz w jego domu, z jego synami.

Nie baw się rękoma. Trzymaj je prosto, na kolanach.

– W jego domu, poza przesadnie drogim wyposażeniem, nie ma nic nadzwyczajnego. A jego synowie nic mi nie mówią.

– Nie pytałaś?

– Pytałam, ale. Nic. Mi. Nie. Mówią – wycedziłam, powoli tracąc cierpliwość.

– Wydajesz się zirytowana – przemówił dla odmiany Ronnie.

– Bo irytują mnie te pytania.

– Dlaczego? Jest coś, czym się stresujesz?

– Niczym się nie stresuję. Proszę nie wkładać mi do ust nie moich słów. – Zaciśnęłam dłoń w pięści i natychmiast je rozluźniłam. – Jestem po prostu zirytowana, jak mówiłam.

– Skąd ta irytacja? – zapytał Lorenc i miałam ochotę strącić mu z nosa te jego okulary. Był taki podejrzliwy...

Wzięłam głębszy wdech.

– Bo go nienawidzę, okej? – skłamałam, a żal aż ścisnął mi serce. – Nienawidzę tego człowieka. Nie obchodzi mnie. Nie chcę o nim słyszeć. Dlatego też nie chcę o niego pytać. Straciłam mamę i nie mam zamiaru teraz jeszcze ubolewać nad śmiercią kolejnego rodzica, którego nawet nie poznałam. Który się mną nie interesował! – Pociągnęłam nosem i wbiłam spojrzenie w swoje dłonie. Leżały idealnie płasko na udach. Dodałam też cicho: – Który wolał moich braci ode mnie.

Sam fakt, że wypowiedziałam takie okropne rzeczy na głos o człowieku, który był dla mnie tak ważny, rozdzierał mnie od środka. Chciałam mówić o nim dobre rzeczy. Takie, na jakie zasługiwał. Czyli że jest wspaniały, że jest dla mnie wyrozumiały i zawsze opiekuńczy. Chciałam powiedzieć, że go kocham, a nie dość, że właśnie uświadomiłam sobie, że gdy zegnał się ze mną w sypialni, ja mu nie odpowiedziałam tym samym, to jeszcze teraz musiałam na głos wypowiedzieć słowa, które były totalnym zaprzeczeniem czystej i niewinnej miłości, jaką darzyłam Cama.

Do oczu napłynęły mi łzy i całe szczęście nie musiałam ich ukrywać, bo idealnie wpasowały się w scenę. Ronnie ewidentnie poczuł dyskomfort i zerkał na Lorenca, który też zaczął nieco miotać się w swojej twardej skorupie.

– Bardzo nam... Bardzo nam przykro – mruknął Ronnie, zezując gdzieś w bok.

Federalni mieli swoje podejrzenia co do ojca, to było oczywiste. Nie przyjechali tu bez powodu. Widocznie trudno więc było im uwierzyć w moją wersję, ale nie mieli też pojęcia, czy ja w rzeczywistości kłamię. Wszak na większość pytań odpowiadałam zgodnie z prawdą. Gdyby podłączyli mnie do wykrywacza kłamstw, przyłapałoby mnie na niewielu.

– Hailie, czy czujesz się na siłach, by odpowiedzieć nam jeszcze na kilka pytań? – zagadnął mnie znowu Ronnie łagodnie.

Bardzo chciałam zaprzeczyć, a następnie wstać i odejść, ale jednocześnie wiedziałam, że muszę doprowadzić to przesłuchanie do końca. Dlatego pokiwałam głową i przetarłam oczy wierzchem dłoni.

– Czym zajmuje się twój najstarszy brat?

Och, odpowiedź jest banalna.

– Nie wiem.

– Nigdy cię to nie interesowało?

– Interesowało i interesuje dalej, ale nikt mi nie chce nic powiedzieć. – Wzruszyłam ramionami, jeszcze trochę pocierając, tym razem nos, po czym zerknęłam na agentów niewinnie. – Może panowie coś wiedzą?

Nie byli raczej zadowoleni z tej odpowiedzi.

– Co wiesz o Organizacji?

– Jakiej znowu organizacji?

Agenci wymienili spojrzenia.

Ja natomiast zmarszczyłam brwi, zapominając chwilowo o smutku, i poprawiłam się na kanapie.

– Hej, naprawdę chcę wiedzieć.

Lorenc niecierpliwie odepchnął się od barierki i stał teraz tak po prostu z rękami wciąż założonymi na piersi, widocznie spięty.

– Charles Geras, Rodric Retter? Adrien Santan i jego ojciec Egbert Santan? Ricardo Sanchez? Mówią ci coś te nazwiska?

– Eee... – Zastanowiłam się przez chwilę, czy mogę odpowiedzieć twierdząco, ale uznałam, że to akurat nie powinno być szkodliwe. To żaden sekret. – Kojarzę Adriena Santana, to na pewno... To chyba tyle...

Charles to mógł być ojciec Mai, ale nie byłam pewna nazwiska. Zdawało mi się też, że Vince kiedyś wspominał coś o tym całym Ricardzie, ale nie byłam przekonana na sto procent.

– Skąd znasz Adriena Santana? – zapytał agent.

Uważaj, żeby czegoś nie wygadać. Pilnuj się!

– Hm, widziałam go na jakimś wydarzeniu fundacji. Jest bardzo nieuprzejmy.

– Fundacji Monetów? Co to było za wydarzenie?

Rozłożyłam ręce.

– Charytatywne. Co jakiś czas zbieramy pieniądze dla dzieci z rodzin mniej uprzywilejowanych. W internecie można znaleźć broszurki. – Uśmiechnęłam się cierpko.

– Adrien Santan też wpłaca darowizny?

– Wszyscy wpłacają. To uroczystość charytatywna, nikt nie przychodzi po to, żeby tylko się najeść.

Lorenc pocierał sobie właśnie czoło, a Ronnie odchyłał się do tyłu, wzdychając. Chyba przyszedł czas na ostatnie pytanie, bo rzucił je niedbale.

– Czy w domu nic nigdy cię nie zaniepokoiło? Może znalazłaś coś podejrzanego?

Najpierw się zdziwiłam, że zadał takie pytanie na sam koniec. Przez chwilę je analizowałam, bo o rzeczach, które zaniepokoiły mnie w rezydencji Monetów, mogłabym napisać książkę dłuższą niż chiński mur. Pomyślałam chociażby o tych wszystkich pistoletach, na które się natknęłam, a potem o tym, że za długo nie odpowiadam i Ronnie oraz Lorenc gapią się na mnie podejrzliwie wyczekująco, dlatego aż poczułam uderzenie gorąca. Byłam pewna, że się od niego zarumieniłam, tak się zestresowałam. Głupim, randomowym pytaniem. Nie wiem nawet czemu.

– Hailie? – ponaglił mnie Ronnie, zainteresowany moją reakcją.

Boże, mam już dosyć, nie dam rady, nie mam siły na przesłuchanie, niech mnie ktoś stąd zabierze! Przeraziłam się sama siebie. Nie wiem, co się wydarzyło, tak dobrze mi szło...

– Możesz nam powiedzieć, Hailie. Czy znalazłaś w domu coś podejrzanego? – drążył Ronnie obłudnie uspokajającym tonem.

Uspokój się, Hailie, dasz radę to zrobić. Dasz sobie radę.

– Powiedz nam, cokolwiek to było, Hailie. To może być bardzo istotne.

Szukałam w głowie czegoś sensownego, czegoś, czym mogłabym wybrnąć z tego poślizgu...

– Hailie? – ponaglił mnie Ronnie, razem z Lorencem nachylając się lekko w moją stronę.

Odwzajemniłam ich spojrzenie, na powrót już pozbierana i gotowa zrobić z siebie idiotkę na potrzeby zakamuflowania tej chwili dekoncentracji.

– Raz... – zaczęłam szeptem i pochyliłam się do przodu, unikając wzroku agentów. – Raz znalazłam... – ciągnęłam dalej, grając zażenowanie najlepiej, jak potrafiłam. Było w nim dużo realizmu, więc myślę, że wyszło całkiem przekonująco. – Raz znalazłam prezerwatywy.

Lorenc i Ronnie zagapili się na mnie w bezruchu. Ja starałam się utrzymać neutralny wyraz twarzy, z boku tylko dosłyszałam stłumiony chichot Sonny'ego.

– Bardzo się wtedy zestresowałam – dokończyłam niewinnie.

Lorenc odszedł. Po prostu odwrócił się i odszedł. Ronnie zamrugał i znowu potarł sobie twarz, a ja pokiwałam głową, jakbym

przytakiwała ich reakcjom.

– Dziękuję... za rozmowę, Hailie – westchnął Ronnie, zawiedziony i zniechęcony. – Bardzo nam... pomogłaś.

– Bardzo się cieszę, że mogłam być użyteczna – odparłam grzecznie.

Ronnie uśmiechnął się do mnie, tym razem bardzo wymuszonym uśmiechem, i podniósł się, czekając kulturalnie, aż wstanę i ja, co szybko chętnie zrobiłam.

– Jeśli coś sobie przypomnisz, odezwij się do nas, dobrze? – mruknął do mnie, wsuwając mi do ręki wizytówkę, na którą nawet nie spojrzałam, tylko pokiwałam głową i schowałam ją do kieszeni spodni.

Zeszliśmy po schodach i weszliśmy do pomieszczenia, w którym Dylan i bliźniacy stali widocznie podenerwowani i łypali z irytacją na Lorenca, który właśnie zaczął chodzić po domu, bezceremonialnie zaglądając do pomieszczeń.

– Już? – burknął nieuprzejmie Dylan, gdy mnie zobaczył.

Ronnie skinął sztywno głową.

– Tak. Tak, wszystko już nam się zgadza.

– Możecie w takim razie sobie iść. A ty – zwrócił się do mnie – zejdz mi z oczu i idźże wreszcie do siebie.

Unikając patrzenia na niego, posłusznie i cichutko podreptałam sobie do pokoju.

– Do widzenia, Hailie – zawołał do mnie Ronnie, chyba na koniec znowu trochę mnie żalując.

– Do widzenia – odparłam, a zanim udało mi się dostać do swojego pokoju, musiałam przecisnąć się obok Lorenca, który obserwował mnie uważnie, nadal nie ściągając swojej maski sceptyka.

Wymieniłam z nim ostatnie spojrzenie i zanim zniknęłam w sypialni, usłyszałam, jak mówi:

– Do widzenia, perełko.

Drzwi zamknęły się za mną w tej samej chwili, w której przełknęłam głośno ślinę. Odwróciłam się do nich natychmiast, a serce w piersi zaczęło mi galopować.

Ten facet, agent federalny, nazwał mnie właśnie perełką. Przez pół rozmowy próbowałam przekazać im, jak trudno żyje mi się z braćmi. Stanął za mną Sonny. I Dylan, tyle się mnie nawzywał, żeby tylko zrobić odpowiednie wrażenie. A Lorenc jednym, cierpko wypowiedzianym słowem przekazał mi właśnie, że w to wszystko nie uwierzył.

Zacząłam się cofać, aż wreszcie tyły moich ud klapnęły o łóżko, w którym następnie zawinęłam się w rozkopane prześcieradło. To, co się wydarzyło, było ponad moje siły. Sama myśl o ojcu napawała mnie smutkiem tak niewyobrażalnym, że równie dobrze mogłabym postanowić już z tego łóżka nie wychodzić i nie zrobiłoby mi to różnicy. Potem ci agenci, przesłuchanie, pożegnanie Lorenca, które osobiście zinterpretowałam jako zapowiedź, iż nie łyknał ani jednej historyjki, którą próbowaliśmy mu sprzedać...

Leżałam, a oczy zamykały mi się ze zmęczenia, lecz umysł nie chciał i nie mógł spać. Nie wiem, ile trwałam w takim stanie. Godziny, a może tylko minuty. Nie zareagowałam nawet, gdy Dylan wszedł do mojego pokoju i podleciał do łóżka, po czym przysiadł na jego brzegu.

Patrzyłam bez życia w jego ciemne oczy. Takie jak taty i moje.

– Hailie, słyszysz? Słyszysz mnie?

Moje myśli okazały się tak głośne, że zagłuszały słowa Dylana. Dopiero po chwili zamrugałam powoli, wracając do żywych.

Dylan złapał mnie najpierw za ramiona. Potem musnął mnie palcami po policzku, a zaraz znowu wróciły one na ramiona i nagle podciągnął mnie do pozycji siedzącej, na co mocno się skrzywiłam. Chciałam leżeć. I dryfować na swoim łożu bólu i rozpacz.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – mówił mi do ucha Dylan i nagle odnalazłam się w jego ramionach, przytulana przez niego mocno.

W pewnym momencie położył mi dłoń z tyłu głowy i przyciągnął ją do swojej klatki piersiowej, tak jak to się robi z małutkimi dziećmi, żeby dać im jeszcze więcej bliskości. Ja też jej potrzebowałam, bo nie protestowałam. Przytuliłam policzek do jego ramienia.

– Przepraszam – powtórzył.

– Za? – mruknęłam ledwo słyszalnie, oczami wodząc po jasnej ścianie.

– Za to, że jestem chujem – wyszeptał. – Za to, co powiedziałem przed chwilą. Wiesz, że to było celowo, nie? Nie odezwałbym się tak do ciebie na serio. Nikomu nie pozwoliłbym się tak do ciebie odezwać. Wiesz o tym, prawda?

Wzruszyłam obojętnie ramionami.

– Przepraszam – dodał znowu. – Za inne rzeczy też. Za ten basen. Za wszystko. Czasem przeginam, wiem, ale nigdy bym cię świadomie nie skrzywdził, wiesz to?

Odetchnęłam przeciągle i drżąc, po czym pokiwałam słabo głową.

– Dylan – zaczęłam po chwili, a mój głos niespodziewanie zabrzmiał okropnie płaczliwie. – Co z tatą?

– Nic mu nie będzie, dobrze się spisałaś. Sonny nam powiedział. Nic nie mają. Dałaś sobie radę. Rozwaliłaś ich, mała dziewczynko.

– Na pewno? – Poruszyłam się, by podnieść głowę i spojrzeć mu w twarz.

– Na stówę.

Przytuliłam się do niego z powrotem, o dziwo naprawdę uspokojona. Dylan był niesamowity, gdy się starał. Pragnęłam, by jego wredna strona nigdy nie wróciła. Nie chciałam się od niego oderwać. On też zresztą nie naciskał. Nawet zaniósł mnie do salonu, gdzie spędziliśmy wszyscy razem cały dzień, objadając się pizzą, którą wstawił Shane, trochę rozmawiając, choć ja mówiłam bardzo mało, oraz bezskutecznie próbując skupić uwagę na jakimś filmie.

Wszyscy byliśmy przemęczeni, zmartwieni i zestresowani, ale siedzieliśmy razem, we własnym towarzystwie, i to zdecydowanie był najlepszy sposób na radzenie sobie z tymi fatalnymi chwilami.



34 TAK JEST, SZEFIG

Jesteście bezpieczni?

Pytał o to Vincent, w którego głosie chłód dało się dosłyszeć nawet przez telefon. Urządzenie leżało na niskim stoliku kawowym na środku małego saloniku w naszym domu letniskowym. Dylan wrzucił to połączenie na głośnik, żeby cała nasza czwórka mogła usłyszeć to, co najstarszy z rodzeństwa Monet ma do powiedzenia.

– My tak, tylko powiedz nam, co z... – zaczął Shane niecierpliwie, ale Vince bezceremonialnie wszedł mu w słowo:

– Sprawdziliście podsłuchy?

– Ta, czysto – odpowiedział Tony.

Dylan parsknął.

– A byłem pewien, że coś podrzucą.

– Wiedzą, że to nie ma sensu – stwierdził Shane i zamachał jakimś ustrojstwem wielkości cegły, które aktualnie trzymał w dłoni. – Nie tylko oni mają drogie zabawki.

Przysiadł na brzegu kanapy, którą ja sama zajęłam chwilę wcześniej, gdy tylko skończyłam już szukać pocieszenia u Dylana. Choć tak naprawdę to kłiwą chwilę z moim starszym, wrednym bratem przerwał nam właśnie telefon od Vince'a. To wtedy niechętnie pozwoliłam mu przestać szeptać co jakiś czas słowo „przepraszam”, wyswobodzić się z jego objęć i przyprowadzić tutaj, na naradę rodzinną.

Shane odłożył dziwną konsolę, bo tak wyglądał ten przedmiot, o którym mówił, na bok. Przyglądałam mu się z zaciekawieniem. Był koloru szarego, z kilkoma okrągłymi guzikami na środku i niewielkim ekranem, a także małą antenką wystającą z tyłu.

– Wykrywacz – rzucił do mnie cicho, widząc moje zainteresowanie. Puścił mi oko, po czym pociągnął nosem i odezwał się głośnie, zadając Vincentowi pytanie, które zapewne chciał wypowiedzieć wcześniej, zanim nasz najstarszy brat mu przerwał. A było to bardzo ważne pytanie, na które wszyscy chcieliśmy znać odpowiedź: – Co z ojcem?

– Nie odzywał się. Zakładam, że wszystko idzie zgodnie z planem – odparł krótko Vincent. – Nie myślcie na razie o nim. Skupcie się na sobie. Chcę wiedzieć, jak przebiegło wasze spotkanie z FBI.

Dylan odchylił głowę i wziął wdech.

– No... weszli ci co zwykle. Przesłuchali Hailie. Tak, jak mówiłeś, że zrobią.

Zmarszczyłam brwi i wbiłam wzrok w Dylana.

– Jak poszło?

– Dała radę.

– Do...

– Chwila, co? – wtrąciłam się, poprawiając opadającą mi z ramienia chustę. Przykrywałam się w nią, bo w środku od promieni ciepłego słońca chroniły nas pozasuwane zasłony, przez co panował tu chłód. Przez to, no i przez klimatyzację. – Wiedzieliście, że będą chcieli ze mną rozmawiać?

– No to było pewne – mruknął Shane. – Próbują się do ciebie dostać, od kiedy z nami zamieszkałaś.

– Vince zawsze blokował ich próby kontaktu z tobą – dodał Dylan.

– Czemu nie zablokowałaś tej? – zapytałam z irytacją, nachylając się w stronę telefonu, by lepiej mnie słyszał. Zdenerwowałam się na myśl, że ta stresująca rozmowa z federalnymi mogła się tak łatwo nie odbyć.

– Bo uznałem, że nadszedł czas, by cię przesłuchali.

– Vince, serio? Nie mogłeś mnie ostrzec? – zawołałam i rozejrzałam się po twarzach reszty braci, ignorując jedynie siedzącego w ciszy Tony'ego. – Wy też nie mogliście? Skoro wiedzieliście? Co jest z wami nie tak?

– I co by ci to dało? – prychnął Dylan. – Zrozum, tylko byś się zestresowała jeszcze bardziej. Tak to nie miałaś o niczym pojęcia i zarąbiście ci poszło.

– Prawie dostałam tam zawału! – wykrzyknęłam. – Co, gdybym przypadkiem się wygadała? Pytali, dlaczego płakałam. Gdyby Sonny się nie wtrącił, zagięliby mnie już na samym początku.

Mówiąc to, wskazałam na czającego się w kącie ochroniarza. Stał przy drzwiach tarasowych i co jakiś czas wyglądał na zewnątrz, nie reagując na to, że o nim wspomniałam.

– W takim razie dobrze się składa, że Sonny był z tobą, nieprawdaż? – odpowiedział sztywno Vincent. – Hailie, musisz przyjąć stan rzeczy takim, jakim jest. Rozumiem, że przesłuchanie było dla ciebie stresujące i żałuję, że nie mogłem ci go oszczędzić, ale było to coś, przez co musiałaś wreszcie przejść.

Odetchnęłam z frustracją, starając się uspokoić.

– Dlaczego akurat teraz uznałeś, że to dobry moment, by dopuścić do mnie FBI?

Milczenie w słuchawce jasno wskazywało na to, że Vince nie jest w nastroju na tłumaczenie mi zawiłej sytuacji, w jaką wpakowana była nasza rodzina, ale nie obchodziło mnie to. Na tym etapie musiałam się czegoś dowiedzieć. Czegokolwiek.

Wpatrywałam się w telefon, jakby siłą umysłu próbując zmusić osobę po drugiej stronie do odpowiedzi.

– Odpowiedz jej, Vince – przemówił kolejny głos. Rozpoznałam po nim, że to Will stanął po mojej stronie. Jak zawsze, zresztą, no bo kto inny? Mój ulubiony brat musiał zajmować swoje stałe miejsce u boku Vincenta i teraz namawiał go do tego, żeby rzucić dla mnie nieco światła na bieżące wydarzenia.

Uśmiechnęłam się lekko.

– Nasze stosunki stają się coraz mniej... oficjalne – zaczął Vincent grobowym tonem. – FBI teoretycznie przestało się interesować naszą rodziną, ale tych dwóch konkretnych agentów wciąż ma na nią oko i nie odpuszczają. Co jakiś czas się uaktywniają i działają coraz śmielej. Coraz mniej przejmują się też zasadami. Przykład twojego dzisiejszego przesłuchania potwierdza moje słowa. Nikt się ze mną nie kontaktował. A to do mnie jako twojego prawnego opiekuna powinni byli się zgłosić najpierw, zanim chociaż słowem odezwali się do ciebie, Hailie.

– Dlaczego więc mówisz, że celowo zgodziłeś się na to przesłuchanie, skoro nawet nie zapytali cię o zdanie? – spytałam, unosząc brew.

– Wciąż moglibyśmy się im postawić – odparł Dylan. – Moglibyśmy powiedzieć im coś w stylu, że nie mają prawa z tobą gadać i że dzwoniłyśmy do Vince’a. Myślę, że na tym etapie jeszcze taka groźba by zadziałała.

– No ale że my się nie postawiliśmy, to oni zdecydowali się skorzystać z okazji, olać prawo i naprawdę cię przesłuchać – dodał Shane.

– Grozili, że mnie aresztują! – poskarżyłam się, znowu opatulając się chustą.

– Próbowali cię zastraszyć – powiedział Dylan.

– Idioci. – W głosie Willa wyraźnie było słyhać złość. – To kolejny dowód na to, że coraz mniej interesują ich działania w świetle prawa.

– Są coraz bardziej zdesperowani, to chyba dobrze, nie? – mruknął Tony.

– Z desperacji staną się bezwzględni, a to wcale nie jest dobrze – zaproponował Will.

– Musieli po prostu dostać wiarygodny cynk, że ojciec żyje – zasugerował Dylan.

– Tak – zgodził się Vince. – Plus są sfrustrowani niepowodzeniami, dlatego coraz więcej są w stanie poświęcić, żeby dotrzeć do prawdy. Nawet swoje wartości.

– To chyba mają głównie warte te swoje wartości – prychnął Tony.

– Najwyraźniej znaczą dla nich mniej niż sama duma – zauważył Will. – Wierzą w to, że śmierć ojca została sfingowana i że zrobiliśmy z nich idiotów.

– Bo zrobiliśmy – mruknął Shane.

– Totalnie – zgodził się Dylan.

– Mhm, tylko ich nie lekceważcie – ostrzegł nas Vince surowo. – Nie chcę, żebyście się ich bali, ale miejcie się na baczności. Na wszelki wypadek.

– Tak jest, szefie – mruknął Shane, a Dylan i Tony parsknęli.

– Hailie, słyszysz? – Vince zwrócił się do mnie, ignorując młodszych braci. – Bądź ostrożna. Nie powinni nic więcej od ciebie chcieć, ale trudno przewidzieć, jaki będzie ich następny krok. Pamiętaj, że jedyne, czego potrzebują i szukają, to fakty.

– Mogą próbować wydobyć je nielegalnie, jak dziś, ale żeby kogokolwiek pociągnąć do odpowiedzialności w świetle prawa, będą potrzebowali twardych dowodów czy zeznań. Jeśli tego nie dostaną, będą tylko błędzić – dorzucił Will.

Pokiwałam głową, zapominając, że Vincent i Will mnie nie widzą. Zamyśliłam się i obserwując otoczenie, nagle poczułam się bardzo dziwnie. To chyba pierwszy raz, gdy uczestniczyłam w tak poważnej debacie rodzinnej ze swoimi braćmi. Był tutaj Vincent, który wydawał rozkazy, Will, który go w tym wspierał, oraz Dylan, Shane i Tony, którzy dorzucali swoje trzy grosze. A ja siedziałam wśród nich i nareszcie wtajemniczano mnie w bieżące wydarzenia. Może nie wiedziałam wszystkiego, ale to wciąż był dla mnie duży postęp. Nie do tego dotychczas przyzwyczajali mnie bracia Monet.

Oczywiście wciąż towarzyszyła nam masa napięcia. Odejście ojca i fakt, że potencjalnie znajduje się w niebezpieczeństwie, bardzo nas wszystkich martwiły. Jednocześnie czułam ogromne wsparcie, będąc w otoczeniu braci. Wszyscy znajdowaliśmy się na tej samej łódce. Miałam wrażenie, że dzielimy swoje obawy, a dzięki temu łatwiej nam jest sobie z nimi poradzić.

Opatuliłam się chustą jeszcze bardziej. W tej sytuacji czułam się, że jestem po tej samej stronie nawet z Tonym. Obejrzałam się też na Sonny'ego. Stał teraz prosto jak rzeźba, profesjonalny jak zawsze. W pomieszczeniu panował półmrok, ale od czasu do czasu wiatr trzącał lekko zasłonę wiszącą w przejściu na taras i mogłam wtedy dostrzec rąbek błękitnego nieba.

Towarzyszył mi spokój i niepokój jednocześnie. Strach i ulga. Moje otoczenie było przytulne i zimne. Wtajemniczano mnie w sprawy rodzinne, jednocześnie wciąż ograniczając wiedzę, którą otrzymywałam. Ależ rozdarła byłam.

Ktoś szturchnął mnie lekko w ramię. Dylan. Spojrzałam na niego i zorientowałam się, że wszyscy milczą, czekając, aż odpowiem na pytanie, którego nie usłyszałam.

– Wszystko okej? – szepnął do mnie wredny brat.

– Tak – potwierdziłam, zbierając się w sobie. – Zamyśliłam się.

– Chciałem wiedzieć, Hailie, o co cię jeszcze pytali. Poza śmiercią ojca, oczywiście – powtórzył Vincent jasno i wyraźnie.

– Uhm... No to... Pytali, co wiem o... Organizacji?

Bliźniacy parsknęli.

– Co oni myśleli, że niby im powiesz? – mruknął do siebie Dylan, kręcąc głową.

– Zdawali się zawiedzeni, gdy okazało się, że nic. – Wzruszyłam ramionami. – A o co chodzi z tą Organizacją?

– O co jeszcze pytali? – kontynuował Vince.

– Najpierw mi odpowiedz, chcę wiedzieć.

– To nieistotne.

– Skoro wypytuje mnie o to FBI, to chyba jednak całkiem istotne, prawda? – zachnęłam się.

Miałam ochotę wskoczyć do telefonu i szarpnąć Vince'a za koszulę, w którą na pewno był dziś ubrany.

– Skoro wypytuje cię o to FBI, to chyba lepiej, żebyś pozostała w niewiedzy, nie sądzisz? – odparł zimno Vincent.

Przygryzłam wewnątrz policzka, trochę naburmuszona, ale jednocześnie przez chwilę mnie zagiął i nie wiedziałam zwyczajnie, co mu odpowiedzieć.

– Pomyśl, malutka, ile kosztowało cię utrzymanie w tajemnicy faktu, że nasz tato żyje – przypomniał mi łagodnie Will. – To nie czas na dokładanie ci ciężaru. Na razie te informacje są ci niepotrzebne, a tylko skomplikują ci życie.

Milczałam przez chwilę, patrząc w dół, aż wreszcie znowu się odezwałam.

– Pytali, czy znam jakieś nazwiska. Na pewno wspominali Adriana. I jego ojca też. Także Charlesa jakiegoś tam. Czy to ojciec Mai? Nie pamiętam nazwiska. Eee, no i Ricardo coś tam. I nie wiem...

– Ciągłe wałkują to samo – zakpił Shane, wznosząc oczy do góry.

– Bo nic nie mają – zawtórował mu drwiąco Dylan.

– Pytali też, czy wiem, czym się zajmujesz, Vince. I czy kiedykolwiek... znalazłam w domu coś podejrzanego. – Ostatnie słowa wypowiedziałam z zażenowaniem, przypominając sobie swoją głupią odpowiedź. Mogłabym też przysiąc, że usłyszałam ciche parsknięcia Sonny'ego, które ten nieudolnie stłumił.

– Co odpowiedziałas?

– Że nic – mruknęłam szybko.

– Dobrze – rzekł Vince i pewnie pokiwał głową. – Dobrze ci poszło, Hailie.

– Wcale nie dobrze – zaprotestowałam. – Jeden z tych agentów, Lorenc, prawda, zwrócił się do mnie na pożegnanie... „perełko”...

Dylan uniósł kącik ust w nieco złośliwym uśmiechu.

– Co, dziewczynko, nie podoba ci się twoje przezwisko?

Zrobiłam, co w mojej mocy, by się nie zaczerwienić.

– Dylan, no! Chodzi o to, że przez całe przesłuchanie próbowałam ich przekonać, że ryczałam rano przez ciebie, że mi z wami źle, a on teraz jawnie przyłapał mnie na kłamstwie.

– No i co z tego? – Shane wzruszył ramionami.

– Nie przejmuj się tym za bardzo. To nic nie znaczy – uspokoił mnie Will. – To kolejna próba zastraszenia cię i zestresowania. Pamiętaj, nieważne, co im mówisz. Ważne, czego im nie mówisz.

– Właśnie tak, możesz im wciskać największą ściemę, a oni nie muszą w nią wierzyć. Ważne, żeby zgadzało się to z naszą wersją – dodał Dylan. – Na przykład... pytali nas, czemu jesteśmy w Czarnogórze.

– A czemu nie? Wakacje to wakacje. – Wzruszyłam ramionami.

– Ale przywalili się, że nasza czwórka poleciała sama na wakacje do Czarnogóry, do domu letniskowego na wypizdowie. Nie chcieli wierzyć, że to sposób, jaki wybraliśmy, żeby spędzić lato. Szczególnie z naszym budżetem.

– Dlatego nasza wersja jest taka, że jesteśmy wszyscy debilami i żremy się tak strasznie, że Vince postanowił wysłać nas tu za karę, żebyśmy pomieszkali przez kilka tygodni razem, przepracowali własne konflikty i nauczyli się żyć pod jednym dachem jak cywilizowani ludzie – wytłumaczył Shane.

Uniosłam brew.

– To brzmi... idiotycznie – wyduśliłam nawet trochę rozbawiona, choć w dalszym ciągu unikałam patrzenia na Tony'ego, bo w przypadku obecnego statusu naszej relacji taki sposób mógłby być właściwie całkiem skuteczny.

W sensie, gdybyśmy wylądowali w takim odseparowanym domku sami we dwójkę i zmuszeni byli do koegzystencji, jest szansa, że wreszcie z braku laku byśmy się pogodzili, nie?

Albo Tony olewałby mnie całymi dniami i zniknął o wschodzie słońca, a pojawiał się z powrotem o zachodzie, pozbawiając nas szansy nawiązania jakiegokolwiek kontaktu.

– O to chodzi. Brzmi idiotycznie, ale wciąż mimo wszystko jest wystarczająco wiarygodne i trzyma się kupy. A to jest najważniejsze.

Odetchnęłam, czując tylko trochę ulgi. Wciąż nie podobał mi się sposób, w jaki Lorenc się ze mną pożegnał. To był tekst jak w zwiastunie jakiejś hollywoodzkiej produkcji. Taki sugerujący, że fabuła się tak prosto nie zakończy. Że przed nami jeszcze ze trzy części, co najmniej.

– Czy to wszystko, co masz nam do przekazania, Hailie? – zapytał Vincent, jak zwykle podążając głównie ku konkretnym.

– Właściwie jest coś jeszcze – zapowiedziałam z wahaniem, a potem zdradziłam braciom, jak to agenci zaproponowali mi usamodzielnienie się w zamian za pożądane informacje.

– Co za łajzy – skwitował Dylan.

– Małe chujki – dodał od siebie Shane.

Nawet Tony pokręcił lekko głową, widocznie zdegustowany.

– Obiecują ci, Hailie, cokolwiek, co według nich chcesz usłyszeć – powiedział Vince. – Jeśli opowiadałaś im, że ci z nami źle, to logiczne, że spróbowali zaproponować ci samodzielność. To jednak nie takie proste. A kontrolę nad wspomnianym kontem otrzymasz w wieku dwudziestu czterech lat. Nie wcześniej. Taki jest warunek i nawet oni tego nie obejdą.

– Czyli to konto naprawdę istnieje? – zainteresowałam się.

– Oczywiście, że istnieje.

– Każdy z nas ma swoje – dodał Dylan.

– Ojciec nas zabezpieczył, dziewczynko. – Mrugnął do mnie Shane.

– A skąd to ograniczenie? Dwadzieścia cztery lata?

– Żebyśmy nie zaczęły przewalać swojego hajsu od razu po osiemnastce, tak mi się wydaje.

– Dokładnie tak – potwierdził Vince.

Cóż, z moich obliczeń wynika, że najmłodsza trójka z moich braci również nie ma jeszcze dostępu do swoich kont, a żadne z nich nie wyglądało, jakby cierpiało na deficyt funduszy, dlatego sama wywnioskowałam, że nasze szwajcarskie konta to muszą być finanse, które nie podlegają jurysdykcji Vincenta. Myśl, że kiedyś będę mogła wydawać pieniądze bez proszenia się go lub jego całkowitej kontroli, bardzo mi się spodobała. Nawet jeśli będę musiała poczekać na to jakieś niecałe osiem lat.

– W porządku więc. Jeśli to wszystko, to chciałbym teraz przedstawić wam plan, którego będziecie się trzymać – zapowiedział

Vincent tonem nieznośnym sprzeciwu.

Każde z nas milczało posłusznie.

– To ważne, żeby wasze wakacje przebiegły tak, jak zostały zaplanowane. Zostały wam cztery dni na Bałkanach, a następnie macie uzgodniony przelot do L.A. Zgadza się?

– Mhm.

– Ta.

Patrzyłam na chłopaków, mrużąc oczy.

– Zaraz, chwila, naprawdę? Lecimy do Los Angeles?

– To pomysł Dylana – poinformował mnie Shane.

Mój wredny brat odetchnął, coś widocznie go gryzło.

– Sprawa wygląda tak – zaczął – że planowałem zabrać z nami do Stanów Martine. Dostała się na wymianę w Nowym Jorku i obiecałem jej, że zabiorę ją naszym samolotem, gdy będziemy wracać z wakacji.

– Dlaczego więc Los Angeles? – zapytałam.

– Strasznie marzy, żeby tam pojechać, więc nie wiem no, chciałem ją tam zabrać, nie? Przy okazji wszyscy przedłużylibyśmy sobie wczasy.

– Nawet słodko, Dylan – skwitowałam, szturchając go lekko.

Rzucił mi spojrzenie spode łba na moment przed tym, jak odezwał się Vince.

– Cóż, teraz będziecie musieli polecieć do LA bez tej dziewczyny.

Zmarszczyłam brwi, nie rozumiejąc, a Dylan milczał, jakby spodziewał się, że padnie taki warunek.

– Ale dlaczego? Dylan już jej obiecał.

– W świetle obecnych wydarzeń macie się trzymać razem, bez niepotrzebnych świadków. Przynajmniej dopóki wrócicie do domu. To nie podlega dyskusji – uciął szorstko, po czym dorzucił: – Słyszałeś mnie, Dylan?

– Tak, słyszałem – odburknął. Patrzył gdzieś w bok, unikając naszych spojrzeń.

– W Los Angeles spędzicie pięć dni, tak jak to zostało zaplanowane, a następnie wylądujecie w Nowym Jorku. Tam z kolei będziecie przez dwa pełne dni, a wtedy wrócicie do domu. Czy ktoś ma coś do dodania? – Vince zawiesił głos na jakieś dwie sekundy, po czym kontynuował: – W takim razie rozłączmy się teraz i jesteśmy w kontakcie. W razie problemów macie dzwonić do mnie od razu, rozumiano?

– Tak – mruknęliśmy całą czwórką.

Vincent następnie przerwał połączenie i w naszym domku letniskowym zapadła cisza. Mózg parował mi od tych wszystkich informacji i planów.

Pierwszy poruszył się i odezwał Shane:

– Vince uroczy jak zawsze.

Parsknęliśmy wszyscy niemrawym śmiechem, co cudownie rozładowało choć trochę tak mocno zgęstniałą atmosferę.

– Dobra no, przynajmniej wiemy, co robić – rzucił Dylan.

– Co, opierdzielać się? – zakpił Tony.

– Ta, dokładnie, czyli to, co ty robisz zawsze – dopiekł mu Shane.

– Odezwał się, kurwa, pracuś.

W następnej chwili bliźniacy zaczęli się przepychać, dlatego odwróciłam się do Dylana, który stał prosto, wgapiając się w rozświetlony ekran swojego telefonu.

– Hej – szepnęłam do niego miękko, podchodząc bliżej. – Zupełnie nie rozumiem, czemu Vince nie chce, żeby Martina leciała z nami.

Wzrok Dylana napotkał mój.

– Dla naszego komfortu. Nikt z nas nie ma ochoty udawać, że jest okej. Przed nią byśmy musieli.

– Dalibyśmy radę – upierałam się, a Dylan uniósł brwi.

– Co ci tak zależy?

Spojrzałam najpierw w dół, zanim ponownie odwzajemniłam jego spojrzenie.

– No bo jej obiecałeś, nie? Nie chcę, żebyś musiał ją zawieść – wymamrotałam. – Nie chcę, żeby źle o tobie myślała.

Dylan uśmiechnął się lekko i przyciągnął mnie do siebie.

– No już, mała dziewczynko, wiesz przecież, że jestem cholernie czarujący. Dam sobie z nią radę.

– Dylan, weź – zachichotałam, po czym spowaźniałam. – Chcę tylko, żebyś wiedział, że jeśli to ode mnie zależy, to ona może lecieć z nami.

– Mhm, doceniam to, ale wyobraź sobie, że dostajemy informację, że tacie stało się coś złego. – Patrzył na mnie znacząco. – Dałabyś radę udawać przed nią, że wszystko jest okej i świetnie się bawisz?

Spuściłam wzrok.

– No właśnie. – Dylan pokiwał głową. – Przylecę po Martinę później, sam, gdy już wszystko się wyklaruje. Wynagrodzę jej tę wpadkę.

– Przykro mi, Dylan – powiedziałam szczerze.

– To nic – mruknął, lekceważąco machnąwszy ręką, po czym dodał: – Ona nie należy do rodziny.

Te jego ostatnie słowa zadźwięczały mi w uszach i później co jakiś czas sobie o nich przypomiinałam. Miały taki intensywnie gorzki wydźwięk.



TONY WATY CUKROWEJ

Przez następne cztery dni postępowaliśmy zgodnie z instrukcjami Vincenta. Tak, agenci federalni odebrali nam cztery dni z ojcem. Całe szczęście, że nie zawitali wcześniej, bo spędzilibyśmy z nim jeszcze mniej czasu. Mimo wszystko były to bardzo smutne dni. Bardzo odczuwaliśmy brak Cama. Sami nie mieliśmy za bardzo co tu robić. Nie starczało nam też chęci na poszukiwanie jakichś ciekawych atrakcji w okolicy. Za bardzo udzieliły nam się smętne nastroje. Odczuwaliśmy po ojcu tak ogromną pustkę, że sami, w czwórkę, nie wiedzieliśmy za bardzo, co ze sobą począć.

Codziennie któryś z braci (przeważnie Tony) jeździł do najbliższego miasteczka po jedzenie na wynos. Głównie jakieś fast foody bądź ryby. Bliźniacy dwa razy odwiedzili też supermarket po zapasy, żeby nie brakło nam wody, kawy, piwa oraz przekąsek i mleka z płatkami cynamonowymi na śniadanie. Dylan wtedy skarżył się, że nie kupili czekoladowych, co dosyć mnie rozbawiło.

Prawie przestaliśmy też wychodzić na dach. Większość czasu spędzaliśmy z ojcem właśnie tam i teraz nikogo z nas nie ciągnęło, by wspinać się tam i przypominać sobie, że jeszcze niedawno towarzyszył nam tu człowiek, za którym tak strasznie teraz tęskniliśmy.

Najciekawsze jednak było to, że trzymaliśmy się tak strasznie, mocno razem. Nigdy, ale to nigdy jeszcze nie spędzałam ze swoimi braćmi aż tak dużo czasu bez przerwy. Nigdy nie czułam, że aż tak bardzo ich potrzebuję i nigdy nie czułam się od nich tak zależna. Nawet od Tony'ego, pomimo iż wciąż bezpośrednio ze sobą nie rozmawialiśmy. Raz tylko podał mi rolkę ręczników papierowych, gdy nie mogłam jej osiągnąć, bo stała na najwyższej półce.

Jestem prawie pewna, że to on sam ją tam wcześniej odłożył.

Oglądaliśmy masę filmów, zasypialiśmy przed telewizorem i tak jak pierwszego dnia samotności rozłożyliśmy narożnik, żeby nas wszystkich pomieścić, tak już nie składaliśmy go do końca pobytu.

Dylan starał się, jak mógł, żeby nie zepsuć swoich przeprosin kolejną kłótnią, ale kilka razy nie mógł się powstrzymać i wydarł się na mnie, że za daleko wypływam na materacu i że mam tak więcej nie robić, bo jak zacznę się topić, to on na pewno nie będzie mnie ratował.

Gdy nadszedł czas powrotu do Stanów, szczerze cieszyłam się w duchu, że Martina z nami nie leci. Nie wiem, czy tak rozleniwiona ostatnimi dniami byłabym w stanie znosić jej wesołą i pełną życia osobę. Rzeczywiście wolałam pozostać w towarzystwie braci, w którym czułam się, o dziwo, bardzo swobodnie. Do tego stopnia, że gdyby Hailie sprzed roku mnie teraz usłyszała, puknęłaby się palcem w czoło, nie dowierzając.

Przed samym wylotem dostaliśmy informację od Vincenta, że ojciec jest bezpieczny i zdołał uciec. Nie jestem w stanie opisać, jak wielką ulgę poczuliśmy. W samolocie świętowaliśmy. Tak, jak zwykle, gdy lecimy razem, rozwalamy się po całym pokładzie, tak dziś wszyscy skupiliśmy się w jednym miejscu. Pozwoliłam sobie rozłożyć się nawet na ramieniu Shane'a, pamiętając, jak wygodnie mi się ostatnio podróżowało u jego boku. Żadne z nas też nie zdecydowało się odciąć od grupy, zakładając słuchawki. Chyba nawet podświadomie nikt z nas nie chciał łamać tego pięknego kręgu wzajemnego wsparcia, jaki chwilowo sobie tak niespodziewanie stworzyliśmy.

A dobrze, że tym razem tak wyborne znosiliśmy swoje towarzystwo, bo lot do Los Angeles był długi. W momencie kryzysu straciłam nadzieję, że kiedykolwiek tam dotrzemy, i już pogodziłam się z myślą, że zamieszkałam na fotelu w samolocie, otoczona braćmi i przykryta kołdrą, od czasu do czasu tylko podnosząc się, by przejść się do toalety lub rozprostować kości.

Nie powiem, z racji tego, iż ojciec był bezpieczny, ulżyło mi na tyle, by dopuścić do siebie, choć ułamek zainteresowania naszą nową destynacją. Na początku przeklinałam to głupie Los Angeles za to, że musimy tam lecieć, bo wolałabym jak najprędzej jednak znaleźć się w domu, ale z czasem przekonałam się, że może nie będzie tak źle, jak się pierwotnie nastawiałam.

Na lotnisku wypożyczyliśmy jakiś wypasiony samochód, oprócz tego Tony uparł się na motocykl. Wielki i hałaśliwy. Zatrzymaliśmy się w luksusowym hotelu w samym sercu Santa Monica. Po rozpakowaniu i odświeżeniu zjedliśmy kolację w hotelowej restauracji, a potem poszliśmy na spacer po znanym moło. Przejechaliśmy się nawet kolejką górską i fizycznie wtedy poczułam, że cały stres i napięcie z poprzednich dni nareszcie powoli znikają. Poczułam się znowu lekka i byłam w stanie odetchnąć pełną piersią. A także wykrzyzczyć się za wszystkie czasy. Oczywiście część mnie nadal zamartwiała się o ojca, ale nareszcie supeł, który zaplątał mi się na jelitach, zaczął powoli puszczać.

Ciemnogrnatowe niebo, czarne wody oceanu oraz kolorowe moło tworzyły tak wspaniałą, klimatyczny widok, że na koniec usiedliśmy na piachu na plaży i podziwialiśmy go, dopóki prawie nie pousypialiśmy jedno na drugim, skubiąc watę cukrową, której chorymi ilościami się wcześniej beżmyślnie obkupiliśmy.

To znaczy, skubaliśmy moją, bo Tony nie przepadał za tego typu słodkościami i spasował, Dylan pożarł własną w dwie minuty, a Shane popęnił rekord i rozprawił się ze swoją w pięć sekund, po prostu ubijając z puchu wielką, cukrową kulę, którą następnie połknął prawie na raz. Mhm, tak właśnie zrobił. Prawie się porzygał.

Całe następne popołudnie bujałam się z chłopakami po mieście. Szczególnie napalona byłam na Aleję Gwiazd i chciałam zdjęcie

z prawie każdą gwiazdką wrytą na chodniku, czym niezłe braci wymęczyłam. W wyniku tak wysysającego energię spaceru, gdy wróciliśmy do hotelu, Shane i Dylan odłączyli się w lobby, mając w planie odkryć hotelowy bar i zrelaksować się nad kuflem piwa.

Ja za to rozłożyłam się na kanapie w naszym apartamencie z książką w ręku – byłam z powrotem w stanie skupić się na czytaniu po raz pierwszy od wiadomej sytuacji. Ślęczałam nad nią chyba z godzinę, gdy nagle stało się coś niesamowitego.

Tony, który od naszego powrotu nie wyściubił nosa ze swojego pokoju, teraz wyszedł z niego i przeszedł się w stronę kuchni, zwalniając nieco kroku, gdy przechodził obok mnie.

Początkowo nawet nie zwróciłam na niego uwagi, przyzwyczajona, że w mojej obecności jest jak duch. Nie zastanawiałam się nawet, dlaczego nie poszedł się napić z resztą braci. Podejrzewałam, że zaplanował sobie na ten czas po prostu drzemkę.

Wróciłam do czytania, a on wyszedł z kuchni. Słyszałam jego kroki. Nie odwróciłam się, by na niego zerknąć. Drzwi od sypialni się zamknęły. Cisza. Przerzuciłam stronę w książce.

Nie minęło pięć minut, a chyba nawet i nie dwie, a on wyszedł znowu. Znowu też skierował się do kuchni i zdążył naprawdę mnie zirytować tym, że tak się kręci w tę i w tę, przy okazji mnie dekoncentrując. Toż człowiek nie może nawet w spokoju zrelaksować się i zatopić w lekturze, co z...

– Ej.

Minęło kilka bardzo długich sekund, zanim zrozumiałam, że to właśnie Tony się odezwał. Uniosłam podejrzliwie wzrok znad książki, pewna właściwie, że Dylan i Shane bezszelestnie zmaterializowali się w salonie i to do nich zwrócił się mój obrażony brat. Nikogo więcej jednak nie było w pobliżu, a gdy w takim razie spojrzałam na Tony'ego, okazało się, że w rzeczy samej patrzy prosto na mnie.

On zwracający się do mnie to było na tym etapie coś tak nienaturalnego, że aż odwróciłam głowę, by upewnić się, że aby na pewno nikt inny za mną nie stoi.

– No tak, mówię do ciebie – potwierdził, ledwo powstrzymując się od wywrócenia oczami.

Zamrugałam.

– Ty mnie widzisz? – zdziwiłam się.

Tony zacisnął usta, ale nie odpyskował, tylko zastanowił się, jak ubrać w słowa swoje myśli i zamiary.

– Jadę. Na przejażdżkę.

Zamrugałam znowu. I po chwili odchrząknęłam.

– Eee... no to fajnie masz.

Tony prychnął z frustracją.

– Chcesz się zabrać? Ze mną w sensie?

– Ja... – zawahałam się. – Nie.

– Chodzi o to, że... – Interakcja ze mną widocznie wcale nie przychodziła mu łatwo. – Chcę, okej? Żebyś ze mną pojechała.

– Okej – przytaknęłam wolno, na chwilę uśmiechając się w duchu. Nie złośliwie, a raczej z sympatią, bo to, co mówił Tony teraz, było na swój sposób urocze. Byłoby jednak bardziej urocze, gdyby wcześniej nie olewał mnie przez wieczność. W związku z tym jego propozycja niestety prawie w ogóle mnie nie ruszyła. Dlatego odrzekłam, spokojnie i rozważnie: – Rozumiem. Z mojej strony chodzi o to, że ja nie chcę nigdzie z tobą jechać.

– Okej.

Tony odwrócił się i odszedł. Zamknął się z powrotem w swojej sypialni.

Odetchnęłam.

Przykro mi, ale no nie mogłam. Nie mogłam mu się tak łatwo dać.

Próbowałam wrócić do czytania, ale nagle nie potrafiłam skupić się na składaniu liter w słowa. Po kilku minutach sapnęłam z frustracją i odrzuciłam książkę na bok. Zerknęłam na drzwi prowadzące do sypialni Tony'ego. Głupek, miał mnie gdzieś przez ponad połowę wakacji, a teraz nagle mam paść mu w ramiona, bo łaskawie do mnie przemówił? Niedoczekanie.

Znowu sięgałam po książkę, planując zmusić się do dobrnięcia chociaż do końca rozdziału, ale trzymając ją w dłoni, nawet na nią nie spojrzałam. Bo on jest serio niemożliwy. Zagaduje mnie teraz, znikąd, jak gdyby nigdy nic... No chwila, moment, on musi wiedzieć. Trzeba to wyjaśnić, zanim pomyśli sobie, że to ja jestem tą złą, bo nie chcę się z nim pojednać, gdy on „wyciąga dłoń”. O nie, niech on nawet nie próbuje sobie tak pomyśleć. Niech nie próbuje przekazać tego w ten sposób Vincentowi.

Wstałam i ruszyłam w stronę jego pokoju, po czym wpadłam do środka z impetem, nawet nie zastanowiwszy się nad pukaniem. Wleciałam normalnie jak przeciąg, ignorując hałas, jakiego narobiłam, szarpiąc drzwiami.

Tony leżał na plecach na łóżku, jak gdyby nigdy nic, ze szkicownikiem w dłoni. Odłożył ołówek na bok, zupełnie zaskoczony moim wtargnięciem. Skrzywił się następnie, wyrażając swoją dezaprobatę dla takiego naruszenia swojej prywatności, ale to zignorowałam.

– Prawie półtora miesiąca! – krzyknęłam na niego.

– Co? – Tony zmarszczył czoło i unióśł górną wargę, zachowując się, jakby miał do czynienia z idiotką.

– Nie odzywasz się do mnie już od prawie półtora miesiąca!!! – wydarłam się i rzuciłam w niego książką, którą nawet nie wiedziałam, że przytaczałam tu ze sobą.

Tony schylił przed nią głowę i patrzył na mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

– Ignorujesz, nie patrzysz na mnie, nic nie mówisz – wymieniałam, kręcąc z niedowierzaniem głową. – I co, nagle chcesz jechać ze mną na przejażdżkę? Prędzej zeżrę trzy tony waty cukrowej, niż pojedę z tobą gdziekolwiek!

I wybiegłam z jego pokoju, po czym z powrotem rzuciłam się na kanapę w salonie. Zanim zdążyłam zorientować się, że nie mam teraz już co czytać, Tony zerwał się ze swojego łóżka i wyskoczył z pokoju za mną.

– Sama też się chyba nie odzywałaś, nie?! – warknął, zaciskając dłonie w pięści. – Bo jakoś sobie nie przypominam, żebyś specjalnie mnie zagadywała.

Aż zaśmiałam się z niedowierzaniem.

– Ja miałabym cię zagadywać? Wielce obrażonego królewicza? I zastanawiać się, czy łaskawie mi odpowiesz?

– Odezwała się mała, obrażona królowna.

– Jak ostatnio sprawdzałam, to ty groziłeś mi w kuchni. – Wycelowałam w niego palcem, podskakując na równe nogi.

– Bo żeś tłukła naczynia!

– Słucham?! Słukałam jeden talerz, i to dopiero po tym, jak wyszedłeś!

– No dobra, ale wcześniej rysowałaś widelcem po powierzchni. Po to, żeby mnie zdenerwować. Mała. Złośliwa. Królowno.

– Aha, no jasne, ciebie zdenerwować, oczywiście. – Wyrzuciłam ręce do góry w akcie złości i rozpaczy naraz. – Boże, jaki ty jesteś... rozpuszczony! Ty myślisz, że cały świat się kręci wokół ciebie?

Tony się zaśmiał.

– Uwielbiam to, uwielbiam. – Pokręcił głową, ciągle się szczerząc takim bardzo nieprzyjemnym uśmiechem. – Właśnie tak, mała dziewczynko, ja jestem rozpuszczony, ty za to co, myślisz sobie, że jakaś święta jesteś? Dostajesz wszystko, co chcesz. Wszyscy głaszczą cię po główce i całują po rączkach. Pilnujemy, żebyś sobie nie nabiła guza. A jak już nabijesz, to każdy staje na rżęsach, żeby ci to wynagrodzić. A ty w międzyczasie co? Krzyczysz, ryczysz, robisz wyrzuty, rzucasz książkami, talerzami, a nawet, kurwa, nożami.

W oczach stanęły mi łzy. Pojawiły się same z siebie, a Tony natychmiast machnął na mnie ręką.

– O tym właśnie mówię.

– Nigdy – zaczęłam drżącym głosem – nie powiedziałam, że jestem święta! Nie jestem! Ale nie rozumiem, jak możesz robić ze mnie tą złą. Naprawdę masz mnie za taką okropną? Naprawdę, Tony?!

– Ty nie masz problemu z robieniem złego ze mnie, co nie?

– Chciałeś uwieść moją przyjaciółkę! Jak oczekiwałeś, że zareaguję, co? Miałam ci pogratulować zaliczenia kolejnej panny?

Tony przejechał rękoma po twarzy.

– Ogarniasz, że nikogo nie „uwodziłem”? Ty się zachowujesz jakbym ją tam, nie wiem, brał siłą!

– Ty za to zachowujesz się, jakbyś miał gdzieś moje uczucia. I co ja mam sobie myśleć?

– Uderzyłaś mnie.

Na chwilę zapadła cisza. Tony patrzył na mnie wyzywająco, po czym powtarzając po mnie, dodał:

– Co ja mam sobie myśleć?

Przełknęłam lepką gulę, która uformowała mi się w gardle, i wpatrywałam się prosto w oczy swojego brata, gdy, nie dbając już o łzy, które zaczęły spływać mi po policzkach, wyszeptalam:

– Gdyby nie Sonny, też byś mnie uderzył.

Tony opuścił ręce. Cały się trząsł. Na dodatek coś w jego oczach mignęło i nie byłam pewna, czy się nie przewidziałam, ale wyglądało mi to na ślad bólu. Tym razem to we mnie coś drgnęło i aż wstrzymałam oddech.

Zrobił w tył zwrot i zniknął na ułamek sekundy w swoim pokoju, po czym wynurzył się z niego z powrotem, w pośpiechu zarzucając na ramiona swoją czarną skórzaną kurtkę na motor.



36 HOLLYWOOD

Zmarszczyłam brwi i zrobiłam krok do przodu, obserwując jego nerwowe, niedokładne ruchy.

– Ej! – warknęłam cicho, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę, ale nawet na mnie nie zerknął, więc odchrząknęłam i zawołałam, tym razem dużo głośniejszym głosem: – Ej, Tony, co robisz?!

– Wychodzę – burknął, nie zaszczycając mnie spojrzeniem.

– Dokąd niby?

Milczał, irytując się, gdy zahaczył rękawem kurtki o uchwyt szafki.

– Odpowiedz mi! – ponagliłam go piskliwie.

– Przejechać się – rzucił i kładł już rękę na klamce od drzwi wyjściowych apartamentu, gdy szarpnęłam go za ramię.

– Żartujesz sobie?!

– Odczep się.

– Nie odczepię, co z tobą?! Nie wsiądziesz na motor w takim stanie.

– W jakim znowu stanie?

– No w takim, że cały buzujesz.

– Puść mnie.

Wyszarpnął się z moich objęć i zacisnął palce na klamce, a ja spanikowałam i dałam nura w dół, uwieszając się tym razem na jego nodze. Przyłgnęłam do niej rękami i nogami, trzymając się jej tak mocno, jakby od tego zależało moje życie. Bo kto wie, może zależało od tego życie Tony’ego?

Otworzył drzwi, jednocześnie patrząc w dół, na czubek mojej głowy, i denerwując się z blokady, jaką założyłam mu swoim ciałem. Zawzięcie nawiązywałam z nim kontakt wzrokowy, lustrując jego wściekłe spojrzenie swoim własnym. Gapiliśmy się tak na siebie w nieskończoność, dopóki ktoś nie odchrząknął.

Tony odwrócił głowę, a ja swoją uniosłam na mężczyznę, który stał w korytarzu, tuż przed naszymi drzwiami. Opuszczał właśnie dłoń, jakby zamierzał zapukać do naszych drzwi sekundę przed tym, jak same otwarły mu się przed nosem.

Był ubrany w białą koszulę z dużymi złotymi guzikami oraz białe spodnie. Miał też rękawiczki i śmieszoną białą czapkę. Na jego prawej piersi lśniła wąska prostokątna plakietka z imieniem „Timothy”. Krzaczaste brwi miał ściągnięte, dopóki nie zerknął w dół i nie zobaczył mnie, przyklejonej do nogi Tony’ego. Wtedy jego brwi się uniosły.

– Ekhem – odkaślnął cichutko i na powrót odważemnił wzrok Tony’ego, który wpatrywał się w niego z całą skumulowaną i aktualnie towarzyszącą mu złością. Na miejscu tego mężczyzny zwiąłabym w siną dal. Sam Timothy zdawał się rozważać wycofanie.

– Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam. Otrzymaliśmy skargę od innego gościa na niecodziennie podniesione głosy dobiegające z państwa apartamentu. Chciałem sprawdzić, czy wszystko u państwa w porządku.

– To nie u nas – burknął Tony, gapiąc się na niego spode łba.

Boy hotelowy patrzył przez chwilę na Tony’ego, a potem zerknął w dół, na mnie. Wtedy wyszczerzyłam się do niego sympatycznie i kompletnie niewinnie, policzek przytulając do nogi Tony’ego, co najmniej jakbym miała ze trzy latka i wyglądała zza postaci swojego starszego brata jak ciekawski dzieciak, który chce zobaczyć, kto nas odwiedza.

– Właściwie to jestem przekonany, że skargi dotyczyły państwa apartamentu...

– Nie sądzę – uciął drętwo Tony, odwracając się teatralnie, jakby chciał zaprezentować, jaki to perfekcyjny spokój u nas panuje. – Przecież nikt tu nie krzyczy.

– Rozumiem. – Mężczyzna podrapał się po skroni, przekrzywiając nieco swoją czapkę, po czym odchrząknął raz jeszcze i uśmiechnął się cierpko. – W takim razie ja tylko powiem, że wrócę tu, gdy tylko ktoś znowu zacznie krzyczeć. Spokój i bezpieczeństwo naszych gości jest dla nas priorytetem...

Tony zatrzasnął drzwi tuż przed jego nosem. Westchnął też z irytacją, a następnie zerknął w dół. Oderwałam już policzek od nogawki jego spodni, a potem zaraz niepewnie poluzowałam uścisk.

Tony nie komentował moich ruchów, tylko obserwował, jak wstaję. Wodził za mną oczami, aż pokracznie stanęłam na nogi i byłam w stanie odwzajemnić jego spojrzenie jak równy z równym. No, prawie równy z równym. Tony urósł, czy mi się wydawało? Dawno nie stałam tak blisko niego.

Mrużył oczy, lustrując mnie spojrzeniem, aż w końcu się odezwał:

– Nie uderzyłbym cię.

Zmarszczyłam brwi, przez chwilę nie nadążając za jakże dynamicznym tempem naszej rozmowy.

– Nie uderzyłbym cię, Hailie – powtórzył.

Pokręciłam głową, wzdychając.

– Dobra, już, Tony...

– Mówię poważnie. Słyszysz? – warknął, wchodząc mi w słowo i wpatrując się we mnie intensywnie. – Nie uderzyłbym cię.

Spuściłam wzrok, bo nie mogłam wytrzymać jego uporczywego spojrzenia.

– Wiem, jak to wyglądało – ciągnął. – Ale nie zrobiłbym ci krzywdy.

Pokiwałam głową, wodząc oczami po jasnym parkiecie.

– Okej, rozumiem – mruknęłam.

– Nie rozumiesz.

Drgnęłam, gdy poczułam palce jego wytatuowanej dłoni na swoim podbródku. Ledwo mnie nimi musnął, a jednak był to ruch na tyle stanowczy, że udało mu się unieść moją głowę i z powrotem nawiązać ze mną kontakt wzrokowy. Jego błękitne tęczyówki świdrowały mnie z taką mocą, że odczuwałam niemal fizyczny dyskomfort.

– Widzę po tobie, że nie rozumiesz i mi nie wierzysz.

– Tony... – westchnęłam ciężko, starając się odchylić i uciec od nadmiaru powagi, która trochę mnie przerażała.

– Nieważne, jak napruty bym był, nieważne, jak naćpany. Prędzej bym zrobił krzywdę sobie niż tobie.

Czułam pod skórą zimno. Diabelnie straszyl mnie takimi tekstami. Powoli sięgnęłam dłonią w górę i zacisnęłam ślepo palce na jego nadgarstku.

– Tony, nikomu nie musisz robić krzywdy – przemówiłam cicho i łagodnie. Tym razem odważyłam się zajrzeć mu w oczy, bo zależało mi, żeby te słowa do niego dotarły. – Wszystko jest dobrze, nic się nie stało.

Delikatnie zmusiłam go, by opuścił swoją wyciągniętą rękę, po czym zdecydowałam się sama objąć go na wysokości ramion w bardzo niespiesznym tempie.

Na początku stał w bezruchu, trochę zgarbiony i jakby zawieszony. Nie wiem nawet, na co wtedy patrzył. Jego skórzana kurtka za to zaskrzypiała cicho, gdy wreszcie zgodził się odwzajemnić uścisk. Zdawał się robić to niechętnie, ale nie brałam tego do siebie, bo Tony to Tony. Poza tym, gdy już trzymał mnie w objęciach, to długo mnie z nich nie wypuszczał, a i ja się nie wyrывałam.

Nadrabiałam teraz cały ten długi czas, gdy Tony był dla mnie chłodniejszy niż lodowiec. Tęskniłam za nim. Może i nigdy nie był uczuciowy, ale zawsze gdzieś tam jednak trwał i wiedziałam, że go mam. Ostatnimi tygodniami nie byłam już tego taka pewna i teraz rozkoszowałam się naszym pojednaniem.

Co prawda, jeszcze nie padły żadne oficjalne przeprosiny, ale i w tym było coś pięknego. Że mimo trwania w kłótni zebrało nam się na przytulanie.

– Muszę się przejechać – wymamrotał w końcu, bardziej do siebie niż do mnie, a utwierdziwszy się w tej decyzji, zaczął powoli zabierać ode mnie ręce.

– Czekaj... – zaprotestowałam, znowu przejęta.

– Wrócę później.

– Czekaj, pojedę z tobą. – Niechętnie opuściłam ręce, pozwalając mu się wyprostować i odsunąć.

– Nie wolno ci jeździć motocyklem.

– Jeszcze przed chwilą proponowałaś mi wspólną przejażdżkę.

– Odmówiłaś – zauważył Tony, przysuwając się znowu do drzwi, gotów do wyjścia.

– Zmieniłam zdanie. – Czmychnęłam szybko tak, żeby stanąć mu na drodze. Oparłam się o drzwi plecami i patrzyłam na niego wyczekująco.

Ostatecznie wywalczyłam z Tonym, by mnie zabrał ze sobą. Przejazdka motocyklem to nie było coś, czego wyczekiwałam z zapartym tchem, ale nie ufałam Tony'emu na tyle, by pozwolić, żeby pojechał gdziekolwiek sam. Oczywiście wyobraźni widziałam już, jak pakuje się w kłopoty. Nie chciałam mieć go na sumieniu. Poza tym mieliśmy jeszcze sporo do przegadania. Przed chwilą nastąpił niezaprzeczalny progres w naszej relacji, ale to wciąż był tylko wierzchołek góry lodowej, która pozostała nam do przepracowania.

Pośpiesznie założyłam własną, zbłąkaną w garderobie skórzaną kurtkę i pobiegłam za Tonym, wymijając milczącego Sonny'ego. Nie wyglądał na uradowanego, mimo iż słyszałam, jak mój brat przekazuje mu, żeby wziął sobie wolny wieczór i że teraz to on będzie miał na mnie oko. Najwyraźniej Tony miał pełne prawo dawać mu takie instrukcje, bo mój ochroniarz nie protestował, tylko powściągając własną opinię na ten temat, posłusznie wycofał się w cień.

Spuściłam wzrok na ziemię ze wstydu, gdy uświadomiłam sobie, że Sonny słyszał zapewne wszystko, co sobie z Tonym wykrzyczyliśmy. W takich chwilach nienawidziłam posiadania obstawy. Nie mogłam się nawet w spokoju i bez świadków pożreć z bratem.

Dobrze jednak się stało, że Sonny nie zabrał się z nami, bo nie wiem, jak by za nami nadążył. Motocykl Tony'ego robił sporo hałasu i przyciągał niemało spojrzeń. Wieczór był dość ciepły, chociaż nie oddałabym teraz swojej kurtki i długich dżinsów za żadne pieniądze, bo gdy śmigaliśmy ulicami, nieźle wiało. Chłonełam wzrokiem mijane budynki i samochody, zupełnie nieprzyzwyczajona do miejskiej jazdy. Podobała mi się bardziej niż ta wśród pensylwańskich lasów, bo otoczona ludźmi czułam się bezpieczniej niż na pustkowiu.

Zdecydowanie też Kalifornia miała swój niepowtarzalny urok. Wszystko było tutaj tak różne, szczególnie dla kogoś, kto właśnie przyleciał tu z Europy. Najbardziej podobały mi się te chude i zadziwiająco wysokie palmy. Amerykańskie samochody, które mijaliśmy, też były inne: większe i masywniejsze.

Po drodze Tony zajeżdżał do restauracji fastfoodowej i zamówił w okienku zestawy z apetycznie pachnącymi hamburgerami, a następnie, wpakowawszy je do kufra bagażnika, wystrzelił ze mną wiszącą mu na plecach tuż w stronę wzgórz Hollywood. Gdy wjechaliśmy w ulicę, która ciągnęła się w dolinie tak, że tuż na wprost widzieliśmy majaczący w oddali słynny napis, oczarowana patrzyłam na niego, dopóki nie skręciliśmy w schludną dzielnicę pełną porażająco luksusowych butików. Sama zgadłam, że to Beverly Hills lub jego okolice, bo Dylan już zdążył mi obiecać, że pod koniec wyjazdu zabierze mnie tu na zakupy.

Domy, które tu mijaliśmy, były coraz bardziej imponujące. Przyłapałam się na tym, że zaczęłam się zastanawiać, czy na moim tajemniczym szwajcarskim koncie znajduje się wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić sobie jakąś piękną willę w tej okolicy. Teren stawał się coraz bardziej górzysty, jak to na wzgórzach Hollywood, a imponujące, ale w większości szczelnie osłonięte rezydencje mijaliśmy coraz rzadziej, co oznaczało tyle, że mieszkali tu ludzie tak bogaci, że stać ich było na działki o kolosalnej wielkości.

Tony w pewnym momencie niespodziewanie zszedł z trasy i wjechał w wydeptaną dróżkę, nachylając się nad kierownicą, by w panującym mroku lepiej widzieć, dokąd jedzie. Zaczęłam się trochę martwić, że zaraz się stoczymy, jako że znajdowaliśmy się na dość masywnym wzgórzu, ale na szczęście mój brat już zaraz wyłączył silnik i zszedł z motocykla, pomagając w tym również mnie. Gdy rozglądałam się niepewnie po pogrążonym w mroku otoczeniu, on wyciągnął nasze jedzenie i ponaglił mnie ruchem głowy, bym szła za nim.

– Tylko nie wyrznij – ostrzegł i poszedł przodem, oświetlając sobie drogę telefonem.

Było tu dużo wyschniętej trawy i dużych krzewów, ale gdy Tony się przez nie przedał (torując również drogę dla mnie), dotarliśmy do urwiska. Półka skalna była na tyle szeroka, byśmy mogli bezpiecznie się na niej rozsiaść. A naprawdę było warto tam przycupnąć, bo przysięgam, widok zapierał dech w piersiach.

Robiło się coraz ciemniej i Los Angeles zdążyło już rozblysnąć światłami. W ścisłym centrum miasta znajdowały się wieżowce, które migotliwie górowały nad okolicą, ale generalnie miasto charakteryzowało się raczej niską zabudową i najlepsze było to, że było tak rozległe, iż zdawało się nieskończone. Nawet nie widziałam dokładnie, gdzie zaczyna się ocean ani gdzie widnieją granice miasta. Z lewej strony z kolei, tam gdzie znajdowały się wzgórza, panował już większy mrok i odznaczał się tu praktycznie jedynie rozświetlony reflektorami, dumnie prezentujący się ogromny napis „Hollywood”.

– Tony, tu jest pięknie! – westchnęłam z zachwytem. – Skąd znasz to miejsce?

– Kiedyś bujaliśmy się tu z Shane'em takim zajebistym kabrioletem – zdradził mój brat zachrypniętym głosem, klikając zapalniczką, gdy odpalał sobie papierosa. – Byliśmy tu na wakacjach, szukaliśmy chaty Kim Kardashian. Zamotaliśmy się w akcji i rozładował nam się akumulator. – Wydmuchnął dym. – Shane prowadził, to wiadomo. Zepchnęliśmy auto na pobocze, a czekając na Willa, znaleźliśmy tę miejscówkę. – Dłonią poklepał kawałek ziemi obok siebie. – W sumie spoko, że nic się tu nie zmieniło.

– Jest cudownie. – Pokręciłam głową, znowu rozplývając się nad niezwykłym widokiem poniżej i w oddali. – Co za niesamowite miasto.

– Jest okej.

– Nie myśleliście, żeby tu zamieszkać? – zagadałam tylko na w pół żartem.

– Nasz dom jest w Pensylwanii. – Tony wzruszył ramionami, znowu się zaciągając. W mroku widoczna była tylko żarząca się końcówka papierosa. – A Vince by tu nie przetrwał. Tutaj trzeba się wyluzować, a on prędzej zejdzie, niż wyjmie kija z dupy.

Otworzyłam szeroko oczy, zaskoczona jego bezwstydnym komentarzem o naszym najstarszym bracie. Musiałam też zdusić chichot, bo sekretnie bawiły mnie przytyki rodzeństwa w stronę Vincenta.

– Tony? – zagadnęłam po chwili zadumy.

– Co.

– Uważasz, że... mój dom też jest w Pensylwanii?

Towarzyszyła nam głucha cisza, którą przecinały jedynie delikatne szumy falujących na lekkim wietrze krzewów. To niesamowite, że przed nami rozciągał się obraz tak wielkiego, żywego miasta, a my tutaj nie słyszeliśmy właściwie żadnych miejskich odgłosów.

– No... nas wszystkich, nie? – Zmarszczył brwi.

– Czyli mój też? – naciskałam.

– O co ci chodzi?

Zaczęłam skubać rosnącą obok kępkę trawy.

– Tak pytam.

Tony milczał, a ja wreszcie, aby zmienić trochę temat, sięgnęłam do papierowej torby i wyciągnęłam burgera. Zaczynałam się robić głodna, a poza tym potrzebowałam zająć czymś usta, żeby nie powiedzieć słowa za dużo. Tony jednak nie dał się zwieść.

– Czemu o to zapytałaś?

– Tak o, po prost...

– Jak już rozmawiamy, to mogłabyś mówić szczerze, co? – wtrącił nieuprzejmie.

Zirytowałam się jego zachowaniem, więc gapiąc się na nadgryzionego teraz już hamburgera, przemówiłam cicho:

– Słyszałam kiedyś, jak mówiłeś do Shane'a, że... – zawahałam się.

Może jednak nie powinnam tego wyciągać. Lepiej nie.

– Że co? – ponaglił mnie, niecierpliwiąc się. – Co powiedziałem? Akurat do Shane'a gadam dużo śmieci. Mów, co słyszałaś.

– Nieważne, to było dawno temu.

Głupia byłam, że tak to teraz rozgrzebuję. W jednej ręce trzymałam burgera, a palcem wskazującym drugiej z nerwów ryłam dziurę w ziemi.

– No i jak widać, dalej ci to siedzi w głowie. – Tony odkaslnął. Nogi w kolanach miał zgięte i podkurczone, a na nich spoczywały mu luźno nadgarstki, którymi poruszał na zmianę, tylko gdy chciał raz wrzucić sobie do ust frytkę, a raz wziąć gryza kanapki. Widocznie też napiął się w oczekiwaniu, aż wreszcie wyduszę z siebie, co leży mi na wątrobie.

– Powiedziałeś, że wasz dom to nie miejsce dla mnie – wyszeptałam cichutko.

Kątem oka widziałam, jak Tony'ego zmroziło. Przeszał przeżuwać, przełknął ślinę, a frytkę, którą trzymał w ręce, wrzucił z powrotem do pudełka. Potarł palce o siebie, by pozbyć się z nich soli i tłuszczu, po czym jego dłoń powędrowała do czoła, by podtrzymać je, gdy on wdychał ciężko.

– Kiedy? – wyszczał przez zaciśnięte zęby, ciągle nie unosząc spojrzenia ani nie odkrywając twarzy.

– Nieważne, Tony – powiedziałam szybko.

– Kiedy tak powiedziałem? – powtórzył z naciskiem.

Westchnęłam.

– Na samym początku, jak tylko z wami zamieszkałam. Byliście na balkonie, a ja wtedy na tarasie – wymamrotałam. – Ale to nic takiego Tony, ja wiem, że to było dawno temu...

Tony parsknął bez rozbawienia.

– I czemu nic nie powiedziałaś? – Zabrał dłoń z twarzy, ale wciąż unikał mojego spojrzenia, gapiąc się na swoje jedzenie, już jakby bez apetytu.

– A co niby miałam powiedzieć? – Pokręciłam głową. – Zresztą byłeś dla mnie okropnie nieprzyjemny, nie pamiętasz?

– Ja? – Tony zmarszczył brwi, jakbyśmy mówili o dwóch różnych sprawach. – Normalny byłem.

– No tak... normalny. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że normalnie jesteś nieuprzejmy.

– A na ciebie wystarczyło spojrzeć nie tak i już ryczałaś.

– To w ogóle nieprawda.

– A na dodatek ty nawet nie wiesz, jak to było. Will i Vince nas ciągle stresowali, że trzeba z tobą uważać, i tak dalej. Ocipieć można

było.

– Naprawdę?

– Od kiedy tylko nam o tobie powiedzieli, w domu na jakiś czas zrobiła się trochę... chujowa atmosfera. Tak wyszło, że akurat na twój przyjazd.

– A no popatrz, nie odczułam tego ani trochę.

Tony uniósł jeden z kącik ust w górę.

– Nieźle namieszalaś.

– Jak to w ogóle było? Jak zareagowaliście, gdy dowiedzieliście się o mnie?

– Sorry, młoda, ale jeśli mam być szczery, to... – Tony wrzucił sobie frytkę do ust. – Nie skakaliśmy z radości.

Uśmiechnęłam się kwaśno, z powrotem przenosząc wzrok na jarzące się światła miasta.

– To nie twoja wina, żeby nie było.

– Jasne – ucięłam, kiwając głową.

– Na serio – bronił się Tony, wyciągając szyję, by dostrzec moją twarz. – Co ty, płaczesz?

– Nie płaczę! – zaprotestowałam, oglądając się na niego, żeby mu udowodnić, że w moich oczach nie pojawiła się ani jedna łza. – Wcale tak często nie płaczę, odczep się.

Tony zaśmiał się pod nosem i wrzucił sobie do ust ostatni kawałek swojego burgera. Następnie popił colą, beknął, przeprosił, po czym beknął znowu. Kolejną chwilę przesiedzieliśmy w ciszy, aż rozdzwonił mu się telefon.

Jeść kończyłam w akompaniamencie jego kłótni z Dylanem. Że mnie zabrał z hotelu bez uprzedzenia i na dodatek zostawił Sonny'ego. Że mamy wracać, bo coś tam. Że tak w ogóle to gdzie my niby jesteśmy.

W końcu Tony kazał mi „złuzować dupę”, po czym się rozłączył, obiecując, że zaraz wracamy. Następnie rozsiadł się nawet wygodniej i odpalił sobie papierosa, ewidentnie nigdzie się jeszcze nie wybierając. Zapalniczka rozświetliła w ciemności na sekundę jego opaloną twarz, ciemne brwi i błękitne oczy.

– Tony – zagadnęłam go po jakimś czasie, wrywając go z zadumy.

– Hm?

– Mówiłeś, że jak się o mnie dowiedzieliście, to w domu była... zła atmosfera. – Oblizalam wargi. – Czy to wróciło już do normy?

– Ale że co?

– No, chodzi o to, czy... przeze mnie dalej jest... chujowa atmosfera.

Tony trącił mnie łokciem.

– Nie przeklinaj – upomniał mnie. – I o co ci chodzi, teraz jest już normalnie. Było słabo nie przez ciebie, tylko przez to, że Will, Vince i ojciec założyli sobie swoje prywatne kółko różańcowe i przez długi czas nic nam o tobie nie powiedzieli. Wygadali się dopiero na dwa dni przed twoim przyjazdem, gdy już nie mogli dłużej ściemniać.

– Mhm – mruknęłam.

– Co jest z tobą? – warknął na mnie Tony z irytacją. – Czemu pytasz ciągle o takie rzeczy? Czy coś stało się przez ciebie, czy jesteś częścią rodziny... O co ci chodzi?

– O nic.

– Kurwa, Hailie, jak z tobą się ciężko gada... – Odetchnął, przymykając powieki i wydychając dym.

– I vice versa – mruknęłam urażona.

Tony pokręcił głową i spojrzał na mnie z zagadkowym wyrazem twarzy, a potem mnie zaskoczył, mówiąc:

– Przepraszam, okej? Przepraszam za to, co pieprzyłem do Shane'a. Nie miałaś tego słyszeć. O ile dobrze pamiętam, to byłem na ciebie wkurzony, bo wygadałaś się Vince'owi o pistolecie. To nie znaczy, że od razu cię znienawidziłem. – Znowu przymknął oczy. – Nie wierzę, że tak długo trzymałaś to w sobie. Mogłaś mnie ochrzanić, tobym się wytłumaczył, a nie.

– Sorry, Tony, ale nie jesteś najbardziej przystępną i komunikatywną osobą, jaką znam. Prędzej wtedy skoczyłabym z mostu, niż zdecydowała się cokolwiek z tobą „wyjaśnić”.

– Nie mów o skakaniu z mostu – upomniał mnie znowu. – I dobra, okej, niech będzie. To teraz postawię sprawę jasno: jesteś naszą siostrą, jesteś Monet i jesteś częścią naszej rodziny. I jeśli w przyszłości kiedykolwiek, nie wiem, przeprowadzisz się do tego Los

Angeles, to lepiej już teraz się przygotuj i zacznij odkładać na własny prywatny samolot, bo będziemy się widzieć na cotygodniowych obiadkach u Vincenta.

Parsknęłam śmiechem, który idealnie zamaskował moje rozczulenie.

– Obiadki u Vincenta? – wydusiłam.

Tony uśmiechnął się lekko.

– To pomysł Willa.

– Uwielbiam Willa.

– Wszyscy to wiemy.

Kolejna już chwila klimatycznej, lekko mrocznej ciszy, którą nareszcie zdecydowałam się przerwać, zadając to jedno, interesujące mnie niezmiernie pytanie:

– Powiesz mi, jak to było, gdy się o mnie dowiedzieliście?

Zerknął na mnie i znowu się zaciągnął. Przekrzywił też głowę, jakby rozważał, czy jestem godna tego, by strzepił sobie język. Nasza obecna rozmowa i tak zdawała się ponad jego siły. Zwykle przecież utożsamiałam go z cichymi, burkliwymi pyskówkami i obecnie byłam nieźle zaskoczona tym, że da się z nim poprowadzić całkiem przyzwoitą dyskusję. Przyzwoitą, jeśli nie liczyć przytyków i momentów, w którym puszczały nam nerwy do tego stopnia, że podnosiliśmy głos.

I za moment znowu mnie zaskoczył. Bo opowiedział.



37 DZIEWCZYŃKA

Według moich informacji i obliczeń scena ta działa się dosłownie tuż po śmierci mojej mamy. Gdy ja właśnie trafiałam pod skrzydła opieki społecznej, zapłakana i zdeorientowana, w tym samym czasie Vincent otrzymał telefon, że jego młodsza siostra została sierotą.

Cam ustalił wcześniej, przed sfalszowaniem własnej śmierci, że w razie, gdyby coś stało się mojej mamie, opiekę nad mną przejmie mój najstarszy brat. Zapewne załatwił to nawet bez konsultacji z nią. Nie żeby po śmierci miała jeszcze coś do powiedzenia. Przecież też trzeba, że najprawdopodobniej nie przykładał wielkiej wagi do tych ustaleń, jako że w życiu by nie podejrzewał, że matkę jego córki spotka tak tragiczny los.

Tony nie widział reakcji Vince'a na sam telefon. Podobno jednak wezwał do siebie od razu Willa, a jakiś czas później, gdy zebrał się w sobie, wysłał reszcie braci wiadomość na grupie, w pasywno-agresywnym tonie zwołując ich do salonu.

Shane i Tony zaplanowali sobie tego wieczoru, że będą zamulać przy grze na konsoli, więc leżeli już rozwaleni na kanapie. Niezmiernie się ucieszyli po odczytaniu wezwania, że nie muszą się fatygować i ruszać z miejsca. Dylan natomiast zjawił się w salonie z ogromną łaską i grymasem na twarzy, cały wypachniony i z uczesаныmi, nażelowanymi włosami. Wybierał się na imprezę i nie na rękę były mu żadne nagłe rodzinne narady.

– Co jest? Ktoś wie? – zapytał bliźniaków na powitanie, nie kryjąc nawet poirytowania.

– Nie.

– Nie.

Dylan podszedł do braci i zapatrzył się na ekran telewizora, na którym brutalnie tłukły się dwie sterowane przez nich postacie. Szturchnął Tony'ego, by ten się posunął, i przysiadł na krawędzi kanapy, prychając, gdy Shane prostym trikiem, korzystając z chwili dezorientacji przeciwnika, powalił jego postać.

– A ty gdzie się tak wypindrzyłeś? – zapytał Shane, rzucając mu spojrzenie od stóp do głów, w oczekiwaniu na kolejną rundę.

– Megan przyjechała.

– Co za Megan?

– Dobra?

– Zajebista – potwierdził Dylan, a jego twarz od razu rozpromienił łobuzerski uśmiech. – Najlepsze jest w niej to, że uczy się gdzieś w jakiejś szkole z internatem i zawsze pojawia się tu tylko na chwilę.

– Idealnie – docenił Shane. – Żadnych dram. Nie to co z Marge.

– Dokładnie.

Tony też pokiwał głową z uznaniem.

– Pokaż ją.

Dylan zaczął grzebać w swoim telefonie, coś tam mamrocząc pod nosem, więc Tony spróbował mu go wyrwać, wtedy Shane znowu skorzystał z zamieszania i wygrał kolejną walkę.

A sekundę później do salonu wszedł Vincent i śmiechy chłopaków stopniowo ucichły. Któryś z nich rzucił śmiało „nareszcie”, ale został zignorowany. Poważny wyraz napiętej twarzy Vince'a sugerował, że sprawa, z której powodu zwołał rodzinną naradę w piątkowy wieczór, musi być niecierpiąca zwłoki.

Jakby potwierdzając to założenie, za jego plecami stał Will. Składał ręce na piersi i zaciskał usta, ale podobno po jego pobladłej twarzy i przejętych oczach widać było, jak wiele kosztuje go trzymanie fasonu.

Wtedy figlarne uśmiechy dość szybko spełzyły z ust młodszych braci. Zastąpiło je to samo napięcie, co na twarzach tych starszych. Napięcie, skupienie i powaga.

– Co z wami?

– Co jest?

– Coś z ojcem?

Vince nie odezwał się od razu, dlatego młodszy z braci Monet zaczęli marszczyć brwi jeszcze bardziej.

– Ojciec jest bezpieczny – odpowiedział Will zza pleców Vincenta. – Nic mu nie jest.

Chłopcy odetchnęli z wyraźną ulgą, ale wiedzieli, że mimo wszystko coś jest nie tak. Mocno pobiła twarz Willa wciąż nie nabierała kolorów. Jego oczy nadal lśniły intensywnie.

Vincent nadal przypominał kamienny posąg.

– No to mówcie, do cholery jasnej! O co chodzi?! – warknął głośno Dylan, nie wytrzymując. Mechanizm obronny jego ciała kazał mu napinać mocno wielkie mięśnie, co też czynił, w każdej chwili gotów do fizycznego rozładowania napięcia.

O ch, a napięcia z pewnością wtedy tam w powietrzu nie brakowało.

– Nic mu się nie stało, ale ta sprawa... bardzo go dotyczy.

Will ważył słowa, ale kosztowało go to chyba zbyt wiele, bo finalnie zerknął na Vincenta. Tym razem jego wzrok tak wymownie nakłaniał go, by w końcu zabrał głos, że najstarszy z braci Monet podniósł głowę jeszcze wyżej i nareszcie zgodził się przemówić.

– Nasz ojciec ma córkę.

Cisza odbiła się echem w salonie, gdy braciom odebrało mowę. Mrugali, marszczyli brwi, unosili je. Każdy przetrwał tę rewelację po swojemu, ale wszystkie reakcje łączyło zdezorientowanie. Vince patrzył na młodszą Monetów z twarzą wypraną z emocji, jakby czuł się odpowiedzialny za bycie jedyną zrównoważoną osobą w pomieszczeniu. Will za to chyba sam już nie wytrzymał, bo gdy spuścił wzrok na podłogę, przez chwilę miał spory problem, by unieść go znowu.

– Jak to: ma córkę? – wymamrotał w końcu Shane, jako pierwszy zebrał się na odwagę, by się odezwać. Pada odłożył na bok i siedział teraz zgarbiony pod ciężarem nowych informacji. Jego jasne oczy błyszczały trochę od emocji, trochę może i bólu. Jego niewinnie wyidealizowany obraz ojca teraz nagle się przekrzywił.

– Zaraz po śmierci mamy spotykał się przez chwilę z inną kobietą – wyjaśnił Vince.

– Zaraz po śmierci mamy? – Dylan zmarszczył brwi. – Czyli kiedy?

– Dziewczynka ma obecnie czternaście lat – odparł Will.

Wszyscy bracia przyjmowali tę wieść z zakłopotaniem.

– Jakoś... jakoś tak mało strasznie – wymamrotał w końcu Shane.

– Niewiele mniej od was – zauważył Will.

Dylan prychnął.

– No nie wiem, jak dla mnie czternaście lat to w cholerę czasu, żeby poinformować nas o istnieniu naszej siostry. – Ostatnie słowo mocno zaakcentował.

Shane i Tony pokiwali głowami, demonstrując pełną zgodę.

– Tak właściwie – zaczął Tony – to od kiedy wy wiecie?

Will zerknął na Vince'a, widocznie woląc po stokroć, aby to on odpowiedział na to pytanie.

– Ojciec powiedział nam przed swoim odejściem. – Vince nie miał problemu ze szczerością i wyzywająco odwzajemniał spojrzenie Dylana. W takich momentach doskonale widać było, jak pewien jest swojej pozycji w tej rodzinie.

– Że co? – Dylan niemal splunął. – Żartujesz sobie? Ojciec odszedł jakieś co, dwa lata temu?! Nie pomyślałeś, że wypadałoby podzielić się z nami tą informacją jakoś wcześniej?

– Takie było jego polecenie... – odparł Vincent beznamiętnie, ale Dylan wszedł mu w słowo.

– Weź się nie pograżaj, nagle grzecznie wykonujesz polecenia? Idiotę ze mnie chcesz zrobić czy c...

– Sam robisz z siebie idiotę – odpowiedział mu lodowato Vince, unosząc brodę wyżej i mrużąc powieki. – Nie zapominaj się i uważaj, jak się do mnie odzywasz.

Zrobił też wyzywający krok do przodu. Na Dylana podziałało to jak płachta na byka, bo sam zerwał się na równe nogi.

– Za kogo ty się uważasz? – warknął Dylan. – Myślisz, że kim ty jesteś, co?

– Dobrze wiesz, kim jestem. I radzę ci nie przeginać. – Głos Vince'a rzadko brzmiał aż tak złowrogo.

– Dylan, przestań się rzucać – upomniął go ostrożnie Will, obserwując starcie braci w napięciu.

– Stary, wyluzuj – mruknął do niego Shane, podnosząc się i próbując szarpnąć Dylana za ramię, ale ten wyrwał mu się, nawet się nie oglądając.

– I co mi zrobisz, jak przegnę? He?

– Przegnij, to się przekonasz.

Trzeba było przyznać, że Vince też miał nie lada odwagę. Dylan był od niego o wiele bardziej napakowany.

– Tak myślałem – skwitował Vince z pogardą, widząc chwilę zawahania na twarzy swojego młodszego porywczego brata.

Nie docenił go jednak, bo dolewając oliwy do ognia, umyślnie go sprowokował tak, że zdrowy rozsądek uleciał z głowy Dylana. Ruszył więc na Vincenta z pięściami, na co Shane i Will natychmiast zerwali się w jego stronę, a Tony’emu oczy niemal wyskoczyły z orbit, tak szeroko je otworzył.

Vince uniósł kącik ust, bezwstydnie patrząc w twarz Dylanowi, którego z obu stron powstrzymywali bracia. Ostudzili jego pierwszy zryw, ale Dylan wciąż kipiał wściekłością i pragnął wyładować się na głowie rodziny Monet.

– Jeśli już skończyłeś zachowywać się jak gówniarz, to chciałbym przedyskutować sprawę, z której powodu was tu wezwałem – przemówił Vince, niby trochę z drwiną odbijającą mu się na twarzy, ale głównie z oschłością i – nic zaskakującego – z chłodem.

– Dylan, opanuj się – syknął Will, mało delikatnie szarpiąc młodszym bratem. Razem z Shane’em niemal zmusili go do zajęcia miejsca na fotelu. Dylan, ochłonawszy z największej furii, która pojawiła się tak szybko, jak właśnie zniknęła, oddychał przez nos.

– No, powiedz nam coś więcej... – zaproponował spokojnie Shane, próbując załagodzić sytuację. Patrzył na Vince’a, ale wciąż trzymał się z blisko Dylana, w razie gdyby znowu trzeba było go hamować.

– Dlaczego mówicie nam o niej teraz? – zapytał Tony.

Will spuścił wzrok.

– Dziewczyna właśnie straciła matkę – poinformował ich Vince grobowym tonem. – Oznacza to, że zgodnie z wolą ojca oficjalnie zostałem jej prawnym opiekunem.

Bracia najpierw chyba nie zrozumieli i potrzebowali chwili, aby przetrwać tę nową i szokującą informację. Rozległ się trzask, gdy Tony upuścił nieświadomie swojego pada. Zaskoczył samego siebie, bo spojrzął w dół i dopiero po chwili schylił się, by go podnieść, mrużąc jakieś przekleństwo.

– No to, krótko mówiąc, ma przejebane – podsumował Dylan.

– Ale chwila, czyli co... – Shane marszczył brwi. – Ona teraz tu zamieszka czy jak?

– Nie no, Vince ją pewnie wyśle do jakiejś szkoły z internatem, nie? – zasugerował Tony.

– Nawet nie ma takiej opcji – zaprotestował od razu Will. – To nasza siostra i tak, zamieszka z nami.

– Siostra? – parsknął Dylan.

– Sorry, ale dla mnie to żadna siostra – dodał Tony.

– To dla nas jakaś obca dziewczyna... – zgodził się Shane, przygryzając wargi.

Will zrobił krok do przodu, ściągając uwagę wszystkich na siebie.

– To nasza siostra. Jedna z nas. To nie jej wina, że jej rodzice podjęli takie, a nie inne decyzje. Nie jej wina, że pozawierali jakieś dziwne układy jeszcze przed jej narodzinami.

– Nasza też nie – mruknął Dylan.

– Oczywiście, że nie – przyznał Will, zerkając na niego. – A jednak to jej życie się właśnie zawaliło. Straciła mamę, a zaraz dowie się o tym, że jej rodzina jest dużo większa, niż do tej pory myślała. Będzie musiała się przeprowadzić. Czeka ją tyle zmian... – Pokręcił głową z widocznym bólem, błyszczącym w jego błękitnych oczach. – Nawet nie chcę myśleć, jak przytłoczona ona musi teraz być. To jeszcze dziecko.

Chłopcy błędzili spojrzeniami po bokach, gdy trafiał do nich sens słów Willa.

– Czyli to już postanowione? – zapytał cicho Shane. – Zamieszka tu, z nami?

– W momencie, gdy zgodziłem się na przejęcie nad nią opieki, oficjalnie stała się częścią naszej rodziny – rzekł Vince. – Już wkrótce wszyscy będą o niej wiedzieć. A nie jestem w stanie zapewnić jej wystarczającego bezpieczeństwa na odległość. Dlatego chcę ją mieć tutaj.

– Może dzięki temu uda nam się nadrobić trochę straconych lat – zasugerował Will.

– Co ja mam niby robić z czternastolatką? – prychnął Dylan. – Bawić się lalkami?

– Zabrać na siłownię i zrobić jej trening – odpowiedział mu Shane, chichocząc.

– Ta, na strzelnicę – prychnął Tony.

– Co ważne – ciągnął Vince, ignorując komentarze – ojciec nie życzy sobie, żeby wiedziała cokolwiek o biznesie i o naszych rodzinnych sekretach. Będę więc oczekiwał od was ostrożności i dyskrecji.

– To żart? Nie będziemy mogli czuć się swobodnie we własnym domu? – oburzył się Tony.

– Żadnej broni na wierzchu, żadnych rozmów na wrażliwe tematy...

– Chwila, co jest – zbulwersował się Shane. – Mamy się kryć?

– Na razie powinniśmy pozwolić jej myśleć, że ojciec nie żyje... – wymieniał Vince.

– To są jakieś jaja, nie no, naprawdę. – Dylan unosił brwi.

– Dlaczego ojciec jej nie wziął do nas od razu? Czemu się z nami nie wychowywała? – pytał Shane.

– Właśnie? – połapał Dylan. – Jak ja mam ją niby brać na serio?

– Ojciec tyle gada o rodzinie, a sam odwalił taki numer. – Tony pokręcił głową zdegowany.

– Ojciec może wam odpowiedzieć na wasze pytania sam, gdy się spotkacie – odparł Vince. – I oczekuję, że wszyscy będziecie ją brali na poważnie. Nie zmuszę was do pokochania jej, ale wszyscy macie ją zaakceptować i nie ma tu pola dyskusji.

– Pokochania – parsknął prześmiewczo Dylan, po czym położył dłoń na piersi – Już widzę, jak oddają jej serce.

Tony wpatrywał się w Vince'a z niedowierzaniem, jakby podejrzewał, że coś musi być nie tak z jego zdrowiem psychicznym.

– Jak w ogóle... – zaczęła Shane, drapiąc się po skroni ze zmieszaniem. – W ogóle to jak ona ma na imię?

Vince'owi nie drgnął żaden mięsień na twarzy, gdy unosił brodę wyżej, i odparł:

– Hailie.

Will odchrząknął, zrobił kolejny krok w przód, tym samym stając na środku salonu, po czym, z każdym z braci nawiązując osobno kontakt wzrokowy, przemówił:

– Hailie Monet.

LEPIEJ PÓŹNO NIŻ WCALE

Wpatrywałam się w rozświetlony reflektorem znak „Hollywood” pustym wzrokiem, wciąż przetwarzając retrospekcję Tony’ego.

Oboje milczeliśmy. Potrzebowałam chwili, by oswoić się z myślą, że początkowa nieuprzejmość, jakiej zaznałam w rezydencji Monetów ze strony chociażby Dylana czy właśnie Tony’ego, nie była spowodowana jedynie czymś tak płytkim jak zły nastrój, ale i poważniejszym uczuciem prawdziwej niechęci do obcej dziewczyny, która wywróciła spokojne i na swój sposób uporządkowane życie rodzeństwa do góry nogami. I choć mogłam się tego spodziewać, a nawet i to zrozumieć, to i tak było mi trochę przykro.

Możliwe, że Tony to wyczuł, bo nagle przerwał ciszę i swoim wciąż zachrypniętym głosem zapytał:

– Jak ty zareagowałaś?

Przeniosłam na niego roztargnione spojrzenie.

– Hm?

– Jak ty zareagowałaś? – powtórzył, odwzajemniając moje spojrzenie. – Na to, że masz braci.

Patrzyliśmy sobie w oczy, co wciąż było dla mnie nowością. Rzadko kiedy nawiązywałam z Tonym kontakt wzrokowy na dłużej niż sekundę czy tam dwie. Nigdy nie poświęcał mi szczególnie dużo uwagi, a już na pewno nie zagadywał mnie o moje reakcje czy odczucia, zaglądając mi głęboko w duszę.

– Ja... – zawałałam się, zmarszczywszy brwi, aby wysilić się i udzielić mu w miarę sensownej odpowiedzi, co wcale nie było proste. Usiadłam wygodniej i odgarnęłam włosy na jedno ramię, żeby zyskać więcej czasu na zastanowienie się, co mu powiedzieć. – Ja, nie wiem, wiesz, nie pamiętam za bardzo. – Westchnęłam pokonana i rozłożyłam ręce. – Byłam... załamana. Bo umarła mi mama. Niespecjalnie obchodziło mnie wtedy cokolwiek. – Pokiwałam głową, drżąc lekko na wspomnienie czarnej dziury, która w tamtym czasie mnie pochłonęła. – W tamtym momencie moje życie jakby się skończyło, to wszystko było tak abstrakcyjne... Mogli mi wtedy równie dobrze powiedzieć, że mam i dwudziestu braci, a także że dwa kucyki i w ogóle że jestem syrenką, a moja reakcja byłaby podobna, czyli właściwie żadna.

Wzruszyłam ramionami.

– Kucyki? – Tony uśmiechnął się lekko, a ja porozumiewawczo wyszczerzyłam do niego zęby, chociaż szybko oboje spowaźnialiśmy. Odchrząknął. – W sumie nie myślałem tak za bardzo, ale to musiało być dla ciebie słabe...

Znowu uniosłam kąciki ust, tym razem w dość smutnym uśmiechu.

– No, było.

– Will mówił ciągle, że dużo przeszłaś, ale jakoś tak nigdy nie sądziłem, że...

– W porządku – wtrąciłam szybko. – Nie musiałeś.

Nie przepadałam, gdy osoby w moim otoczeniu czuły się źle z mojego powodu.

Po chwili ciszy Tony odezwał się znowu:

– A kiedy wprowadziłaś się do nas, to co sobie myślałaś?

Z racji tego, że zdawał się naprawdę szczerze zainteresowany, postanowiłam odpowiedzieć mu zgodnie z prawdą, więc westchnęłam cicho i objęłam kolana, które podwinęte już miałam pod samą brodę.

– Niewiele. Chciałam... – Odetchnęłam znowu. – Chciałam tylko, żebyście mnie nie nienawidzili.

Tony spojrzał na mnie.

– Chciałam wam nie przeszkadzać, być miła i pokazać, że nie będę problemem – dokończyłam.

– Słabo wyszło na początku, wtedy z tym pistoletem – mruknął.

– No słabo.

– Naskarżyłaś na mnie Vincentowi – wypomniał mi.

– Wystraszyłam się, bo byłeś wredny i miałeś broń. Myślałam, że jesteś jakimś nastoletnim gangsterem – odburknęłam.

Tony prychnął z rozbawieniem.

– A wtedy jak zabrałaś mi papierosa?

– O ile dobrze pamiętam, wtedy to ty naskarzyłaś Vincentowi na mnie.

Kolejna chwila ciszy.

– Jak się zastanowić, to Vincent ma przerąbane – stwierdził Tony i oboje parsknęliśmy cicho.

Szybko jednak znowu się uspokoiłam i oblizałam wargi, zanim dorzuciłam:

– Osłoniłaś mnie też przed strzałem.

Tony patrzył w bok i pokręcił głową, jakby chciał wyrzucić z niej to wspomnienie.

– To była pokręcona akcja – mruknął tylko.

Ten wieczór okazał się niezwykle odświeżający. Siedzenie na wzgórzu, gdzie w zasięgu wzroku majaczy wielka, znana na cały świat nazwa najbardziej gwiazdorskiej dzielnicy na tej planecie, a także posiadanie tak naprawdę u stóp rozciągającego się w nieskończoność oświetlonego Miasta Aniołów dawało mi dziwne poczucie mocy. Jakbym sama jednym z tych aniołów była. To jednak fakt, że prowadziłam tu tak ważną, szczerą i potrzebną rozmowę z Tonym, nadawał prawdziwej wyjątkowości temu miejscu.

Mój brat odpałił sobie właśnie trzeciego już tego wieczora papierosa, niezbyt umiejętnie próbując odchylić się nieco w bok, by nie leciał na mnie dym.

– Sorry za tę twoją koleżankę – powiedział cicho. – Jakoś nie ogarnąłem, że robi się taka drama.

Szybko uniosłam dłonie w polubownym geście i pokręciłam powoli głową, żeby jak najszybciej przekazać mu, że w ostatnich tygodniach pracowałam ciężko nad przetrwaniem tej sprawy.

– Nie, Tony. – Przymknęłam powieki i odetchnęłam głęboko. – Myślałam o tym dużo i wiesz co, jeśli chcesz, to przecież możesz robić z nią cokolwiek, to twoja sprawa, wasza. Mnie się to nie podoba, ale nie musi. Kto wie, może się polubicie? Może będziecie kiedyś w związku, mo...

– Nie będziemy – przerwał mi Tony stanowczo, wydychając dym z płuc i kręcąc głową.

– Nie wiesz tego, może się w sobie zakoch...

– Nie – powtórzył i zamknął oczy, a ja kontynuowałam w tym czasie:

– Może za jakiś czas...

Otworzył je z powrotem i spojrzał na mnie intensywnie.

– Chciałem tylko seksu.

Zamilkłam i od razu opuściłam ramiona, czując się jak balon, z którego upływa nadzieja na ułożenie sobie tej sprawy. Zamknęłam też usta, zaciskając je lekko.

– Chciałem ją przelecieć i tyle. Rano pewnie bym tego nie pamiętał. Chciałem zwykłego, pijackiego seksu na jedną noc. A twoja koleżanka po prostu się nawinęła. Była zainteresowana, no i ma spoko cycki.

Spuściłam wzrok na ziemię.

– Czemu tak robisz, Tony? – wymamrotałam.

Zaciągnął się i wzruszył ramionami.

– Lubię seks, nie lubię związków.

– Widzisz, z tym mam problem. Ty wiesz, czego chcesz, a Mona nie. Ona nie wie, co to seks, ona chce związku. Takiego jak z książek, w których chłopak mający wszystkie dziewczyny gdzieś, nagle zwróci na nią uwagę. Wyobraża sobie, że będzie tą jedną na milion.

– Nie będzie – mruknął Tony lekceważąco.

– To nie rób jej nadziei! – Aż podniosłam głos, zmęczona i zirytowana.

– Dobra, no okej. – Tony uniósł dłoń, żeby mnie uspokoić, ale jednocześnie dodał: – Po prostu sądziłem, że skoro jest już legalna, to chyba jednak podejmuje świadome decyzje.

– O, a to ciekawe – zauważyłam, krzywiąc się cierpko. – Jestem w identycznym wieku, co ona, a od kiedy się znamy, zachowujesz się, jakbym nie była zdolna podjąć nawet jednej najprostszej decyzji.

– Ty... – Tony też się skrzywił, jakbym swoje argumenty wyssała sobie z palca. – Ty to co innego przecież. Ty jesteś moją siostrą.

– I co, gdyby ktoś traktował mnie tak jak ty Monę?

– Obiłbym mu mordę, proste chyba?

– Tak, świetnie. – Skinęłam głową z udawaną wesołością. – Widzisz, tu chodzi o to, że Mona nie ma nikogo, kto obiłby mordę tobie.

– To dlatego ty mnie uderzyłaś?

Spuściłam głowę. Nieważne, ile razy mi to wypomni, zawsze już chyba będę czuła się źle.

– Tak myślałam – zaczęłam, starając się brzmieć na opanowaną – a przynajmniej tak chciałam myśleć... – zawahałam się. – Bo dobrze to brzmi, że ją przed tobą broniłam. Jakbym była taka wspianiałomyślna i idealna...

– Mała, idealna siostra – zakpił Tony. – Już do tego przywykłem.

– Ano widzisz, a ja strasznie dużo o tym zająci rozmyślałam i doszłam do smutnego wniosku. – Westchnęłam, patrząc na miasto. – Uderzyłam cię z bardziej egoistycznych pobudek. Tak, Tony, mówię serio. Uświadomiłam sobie, że uderzyłam cię ze złości, że zabierasz mi przyjaciółkę, jedyną osobę, która jest moja i tylko moja. Nie nasza, wasza. Jedyną osobę w moim otoczeniu, którą lubię i z którą jestem blisko, której wy nie kontrolujecie. Leo jest w ciągłym kontakcie z Willem, Maya jest żoną wujka Monty’ego... Połowa osób, które znam, się was boi, inna nienawidzi. A Mona była zawsze taka neutralna... Dopóki mi się w tobie nie zakochała.

– Nie może być we mnie zakochana – westchnął znużony. – Gównno o mnie wie.

– Jezu, Tony, zakochana, zauroczona, nieważne. Ważne, że kolejna osoba okazuje się od was zależna.

– Ty jeszcze tego nie ogarnęłaś?

Spojrzałam na niego spod zmarszczonych brwi, zadziwiona jego nagłym, ponurym rozbawieniem.

– Czego?

– Wszyscy są zależni od naszej rodziny. A już na pewno każdy, kto się do niej zbliży.

– Co to ma niby znaczyć? – prychnęłam. – Uważasz, że to jest okej?

– Nic nie uważam i nie krzyw się tak, bo nie ty jedna w tym siedzisz, rozpieszczona królowo. – Tony uniósł znacząco brwi.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Myśmy z chłopakami już dawno ogarnęli, że wszystkich dookoła trzeba trzymać na dystans – kontynuował lekceważąco. – Spoko mieć znajomych, tak żeby popierdzielić o niczym i pobawić się na imprezkach, ale jakieś wielkie, kurwa, przyjaźnie aż po grób, czy coś, to u nas nie działają.

– Według mnie każdy zasługuje na przyjaciela – mruknęłam.

– Trzymamy się blisko w rodzinie, nie? To nasza przyjaźń. Przynajmniej wiem, że Shane nie zadaje się ze mną dla hajsu, wpływów albo popularności. – Tony zerknął na mnie. – Musisz nauczyć się, młoda, że mieć na nazwisko Monet to supersprawa, ale kosztowna. Uniósł wolną od papierosa dłoń i potarł kciuk o resztę palców, zerkając na mnie znacząco.

– Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie będę miała przyjaciółki?

– Nie wiem, czy będziesz miała, czy nie – westchnął po raz kolejny. – Może będziesz. Chodzi o to, że zmęczysz się w końcu i przestaniesz ufać ludziom, a wtedy to już naprawdę trudno nawiązać normalną relację. Wszyscy przez to przechodziliśmy.

– Chcesz mi powiedzieć, że to dlatego żaden z moich braci nie potrafi stworzyć normalnego związku?

– Przestań zgadywać, co chcę powiedzieć. – Tony wyrzucił oczami. – Ale coś w tym jest. Trudno znaleźć normalną laskę.

– To dlatego Dylan jest z Martiną? – domyśliłam się.

– Nie wiem, może. To dobry przykład, bo poznali się jako dzieciaki. To taka znajomość, którą się docenia po latach, dlatego teraz biega za nią jak debil.

– Przykro mu się zrobiło, że nie mógł jej tu zabrać, chociaż wszystko dla niej zaplanował... – rzuciłam bez celu.

– Kolejna sprawa – podłapał Tony. – W naszej rodzinie trudno jest być po prostu w związku. Tutaj albo masz dupy na jedną noc, albo od razu małżeństwo. Albo nic lasce nie mówisz, albo wtajemniczasz ją od razu w prawie wszystko. To jest tak powalone...

– Jakby się zastanowić, to nawet nigdy nie widziałam, żeby któryś z was przyprowadził dziewczynę do domu...

– Bo tego nie robimy. Mamy zakaz, wielki i czerwony.

– Tak? – zdziwiłam się. – Trochę przesada...

– Nasza rezydencja pełni już funkcję domu i biura, jeśli do tego dorzucić jeszcze jakąś jebaną klubokawiarnię, to zrobi się za ciasno.

– Strasznie dużo przeklinasz jak na kogoś, kto burzy się za każdym razem, gdy ja to zrobię.

– No bo tobie nie wolno.

– Podwójne standardy w naszej rodzinie aż krzyczą.

– Żebyś wiedziała, masz największe fory z nas wszystkich.

– Ja mam fory? – zaśmiałam się zaskoczona. – Z której strony?

– Z każdej, wszyscy się z tobą cackają.

– Wszyscy mi wszystkiego zabraniają.

– Dramatyzujesz.

Zamilkliśmy na chwilę znowu, ale ja wiedziałam, że ten wieczór nie będzie trwał wiecznie, a rozmowa z Tonym dostarczała mi tyle przyjemności, że bardzo chciałam ją kontynuować, dlatego zagadnęłam go znowu:

– Czyli jesteśmy pogodzeni?

– Zależy, czy będziesz się dalej buldoczyć.

Szturchnęłam go.

– Hej, to ty się buldoczyłeś – odpyskowałam, po czym dodałam po kilku sekundach: – Co to w ogóle za słowo?

– Jak tak z tobą pogadać, to jesteś nawet śmieszna – mruknął Tony.

– W takim razie fajnie, że w końcu pogadaliśmy – odparłam, mrużąc oczy. – Po dwóch latach.

– Mhm – potwierdził Tony, odchylając się wygodnie, także wpatrzony w widok miasta nocą.

– Co prawda, gdybyśmy odbyli podobną rozmowę na samym początku, życie byłoby prostsze, nie sądzisz?

Tony wzruszył ramionami.

– Lepiej późno niż wcale – mruknął.

Położyłam się obok niego, opierając się o tę samą skałę, i nigdy jeszcze nie czułam tak wielkiego komfortu w towarzystwie tego konkretnego brata.

– Nie uderzyłbym cię – szepnął znikąd.

Przymknęłam powieki, nieco już przytłoczona jego definitywnym poczuciem winy.

– Wierzę ci, Tony – odpowiedziałam i przytuliłam się do jego boku.

Chyba go zaskoczyłam, ale raczej nie negatywnie, chociaż napiął się i nie odwzajemnił gestu.

– Wiem, że przez to, że Sonny zareagował, mogło to wyglądać inaczej. I wiem, że i tak przegiąłem, że w ogóle doprowadziłem do takiej sytuacji. Ale na pewno nie podniósłbym na ciebie ręki – tłumaczył. – Przepraszam, że, wiesz, w ogóle dopuściłem do tego, że coś takiego się wydarzyło.

– Czy to o tym rozmawiałeś z tatą na plaży? – zagadnęłam.

Tony zerknął na mnie zaskoczony, ale skinął głową.

– Pytał, czybym cię uderzył – przyznał, obserwując teraz swoją dłoń, którą napiął mocno. – Tak no, szczerze, czy czułem, że gdyby nie Sonny, tobym cię uderzył. I ja naprawdę wiem, że bym tego nie zrobił. To mu powiedziałem. I on mi uwierzył.

– Tato jest najlepszy – westchnęłam cicho.

Tony pokiwał głową na znak zgody, trochę zamyślony.

– Przepraszam – wyznałam nagle i uniosłam głowę, by na niego spojrzeć. – Przepraszam, że ja cię uderzyłam. Też nie powinnam była tego robić.

– Przeżyję, jesteś dziewczyną. – Tony machnął lekceważąco ręką.

– Dziewczyny nie mają prawa bić chłopców tak samo jak chłopcy dziewczyn – wyrecytowałam, przełykając ślinę. – Poza tym czuję, że cię zawiodłam. Ty byś mnie nie uderzył, a ja to zrobiłam. W tak głupim przypiływie złości. Jestem jakaś, ja nie wiem...

– No już, młoda, tylko nie rycz znowu. – Tony uśmiechnął się, bo demonstracyjnie wznosił oczy do nieba, ale na jego usta przypałał się też uroczy uśmiech, który tylko utwierdził mnie w przekonaniu, że dobrze zrobiłam, tak się przed nim otwierając.

On też potrzebował przeprosin. Co więcej, one mu się należały. Co jeszcze więcej, ja także potrzebowałam go przeprosić. No i z mojej strony należało go przeprosić.

– To było tylko durne nieporozumienie – powiedział.

Pokiwałam energicznie głową, z policzków wierzchem dłoni ścierając łzy. Bardzo chciałam zatrzymać w sobie to uczucie lekkości w klatce piersiowej, które pojawiło się po tym, jak pozbyłam się z niej ciężkiego balastu.

– Jest okej, należało mi się, nie przesadzaj – mówił cicho Tony, pragnąc mnie uspokoić. – I tak przez ten cały czas od imprezy bardziej byłem wkurzony na siebie niż na ciebie.

– Tony – wychlipałam, próbując się uspokoić, ale mój płacz nie odpuszczał, bo oto moje emocje, których multum uzbierało się od tygodni, teraz znalazły ujście. – Tony, nast-następnym raz-zem po prostu p-pogadajmy, oke... j? Ja nie mogę, nie mog-gę się tak nie odzywać...

– Tak, tak, następnym razem pogadamy, no przestań już, poważnie mówię, Hailie. – Tony podniósł się nieco, żeby może pomóc mi trochę nad sobą zapanować, bo aktualnie drżałam i rozpłakałam się na dobre. Wtedy dopiero przytulił mnie swoim wydziaranym ramieniem i przyciągnął, próbując mówić do mnie cokolwiek. – Jakby wiesz, ja nie jestem jakiś zajebicie dobry w uczucia i te sprawy, okej? Z chłopakami wszystko jest łatwiej. Bo, wiesz, my wszyscy wiemy, że jesteśmy rodziną i że ten, no jesteśmy dla siebie ważni, nie? I nie trzeba o tym ciągle pieprzyć. Z tobą jest jakoś inaczej.

– Ja się z wami nie wychowywałam, Tony – wydusiłam przez łzy. – Dla mnie nie wszystko jest oczywiste.

Tony pokiwał głową, a potem palcami wolnej dłoni potarł jedną ze swoich brwi.

– No to, jak coś... to też jesteś ważna. – Odetchnął i dorzucił niby to lekceważąco: – I kocham cię, dobra?

Uniosłam głowę wysoko, by wbić w niego załzawione spojrzenie i zaniemówiłam, a moje usta mocno się rozdziawiły. Nie patrzył na mnie, oczywiście, bo to byłoby dla niego już zbyt dużo, ale sam fakt, że te piękne słowa zostały wypowiedziane właśnie przez niego, sprawił, że jakoś tak zadrżało mi wszystko w środku.

– Kocham cię bardzo, Tony – wyszeptalam przez zaciśnięte gardło i nauczona, że słowa te zawsze poprzedza się gestem, przylgnęłam do niego jeszcze mocniej, ściskając go z całej siły.

Tony obejmował mnie, a od czasu do czasu nawet zdobył się na pogładzenie mnie lekko po plecach, ale generalnie czekał cierpliwie, aż się uspokoję. Nie trwało to bardzo długo, bo jego objęcia budowały idealne warunki do zrelaksowania się i odetchnięcia. Przytulając policzek do jego ukrytej pod koszulką umięśnionej klatki piersiowej, gapiłam się na napis „Hollywood”, a jedyny konkretny dźwięk, jaki co jakiś czas dało się dosłyszeć, to ten, który tworzył się w momencie, gdy nasze skórzane kurtki pocierały się o siebie, jak któreś z nas się lekko poruszyło.

Później, gdy już przestałam się trząść i zalewać łzami, cieszyłam się po prostu wygodą, jakiej zaznawałam w ramionach brata. Zmieniałam wtedy trochę pozycję, tak że opierałam się o niego plecami, i wtedy mogłam się skupić na jego ręce, która mnie podtrzymywała. To był chyba pierwszy raz, gdy z tak bliska przypatrywałam się uważnie jego tatuażowi.

– Podoba się? – zapytał cicho Tony, gdy przyłapał mnie na dłuższym wgapieniu się. Nawet marszczyłam brwi, tak skupiona byłam na rozróżnianiu kształtów i mrocznych wzorów, zwłaszcza że po ciemku nie było to proste.

– Zawsze mnie przerażał, ale teraz tak patrzę i widzę, że... jest niesamowity.

– Ma przerażać – mruknął Tony.

– Naprawdę sam go zaprojektowałeś?

– Każdy jeden.

– Tony, to jest... to jest sztuka! – westchnęłam z zachwytem, teraz z jeszcze większą dokładnością podziwiając jego dzieło.

– Dobry jestem w takie pierdoły. Szkice i te sprawy.

– Pierdoły! – zachnęłam się. – Nie wierzę! – Wskazałam na jego ramię. – To jest dzieło sztuki!

– Bazgroły – mruknął skromnie Tony, ale z widocznym zadowoleniem zerkając na swoją rękę.

– Powiedz mi więcej, chcę wiedzieć. Czym się inspirowałeś? – pytałam, trochę się podciągając, by stabilniej usiąść.

– Różnymi rzeczami. Najbardziej *Alicją w Krainie Czarów*.

Oczy prawie wyszły mi z orbit.

– Alicją! Naprawdę?

– Ta, ale taką jej psychodeliczną wersją. – Tony uśmiechnął się upiornie. – Taką, co ma problemy psychiczne, lata z nożem w zakrwawionej sukience, zabija króliki i gra w pokera. W internecie można znaleźć dużo takich motywów. Zajebista sprawa.

– Powinam się o ciebie martwić? – Zagryzłam niepewnie wargę.

Jego mroczny uśmiech się pogłębił, ale akurat tutaj w jasny sposób celowo próbował mnie zastraszyć. Szturchnęłam go, żeby przestał tak robić, bo dostałam gęsiej skórki.

– Tony? – zapytałam po chwili.

– Hm?

– A zaprojektowałbyś kiedyś tatuaż dla mnie? – zagadnęłam niewinnie.

– Nie – odparł od razu. – Nie ma mowy.

– Hej no, ale dlaczego?

– Chcesz powodów? – Tony prychnął, unosząc najpierw kciuk do góry, a potem rozwijając kolejne palce, w miarę jak wymieniał: – Vince. Will. Dylan...

– Kiedyś, mówię, nie teraz. – Wywróciłam oczami. – Jak będę dorosła, nie będą mieli nic do powiedzenia. Och! Albo wiem, zrobię sobie jeden gdzieś, gdzie go nie zobaczą. Na pośladku na przykład.

– Ja pierdołę. – Tony przykrył sobie oczy dłonią, po czym zaczął zabierać ode mnie rękę. – Koniec, idziemy.

– Tonyyy, ja chcę tatuaż – zawołałam przeciągle, trochę robiąc sobie z niego żarty.

– Cisza już – burknął na mnie, a zanim się podniósł, wyciągnął z kieszeni papierosa.

– Tony? – zagadnęłam znowu na widok trucizny, którą tak chętnie się karmił.

– Co? – W jego głosie usłyszałam zmęczenie.

– A rzucisz palenie?

Mój brat zamilkł na chwilę, po czym przechylił głowę.

– Czemu?

– Nie chcę, żebyś umarł.

– Wyluzuj, młoda, nie jestem uzależniony.

Uniosłam brew.

– To twoja czwarta fajka tego wieczora.

– Dużo dziś palę, bo mnie stresujesz tymi swoimi całymimi płaczami.

– To się nazywa życie, Tony, a w życiu obecne są emocje. Nie zwalaj wszystkiego na mnie.

– Nieistotne. – Machnął ręką. – W każdym razie i tak palę fest słabe fajki.

Uniosłam brew jeszcze wyżej, a podbródek obniżyłam. On podniósł ręce w obronnym geście.

– Serio mówię, te mocne są obłeśne i śmierdzą.

Westchnęłam.

– A ograniczysz je chociaż na początek? – zapytałam przymilnie. – Dla mnie? Naprawdę nie chcę, żebyś dostał raka płuc.

– Pomyślę – przytaknął, odpalając sobie wyciągniętego wcześniej papierosa. Gdy napotkał wzrokiem moje spojrzenie, wzruszył ramionami. – No co, będę ograniczał je stopniowo, wiesz, jak jest.

Parsknęłam, kręcąc głową i gdy staliśmy, gotowi powoli do opuszczenia tego cudownego miejsca, oparłam jeszcze czoło o jego pierś. Fajnie było z Tonym, nie spodziewałabym się tego. W ogóle jakby się zastanowić, to moi bracia, mimo iż oczywiście byli wkurzający bardzo często i bardzo mocno, to i tak każdy z nich co jakiś czas odkrywał swoją wartościową, piękną stronę i była ona zawsze tak wspaniała i magiczna, że aż trudno mi było uwierzyć w jej istnienie.

Gdy wracaliśmy do domu, oboje czuliśmy się wspaniale. Mój konflikt z Tonym nie tylko został wyjaśniony i zażegnany, ale i zacieśnił naszą więź, co pozostawiło nas w genialnym nastroju. Jadąc przez rozświetlone, coraz mniej już zatłoczone ulice Los Angeles, poczułam tak niewysłowioną wolność, że aż odchyliłam lekko głowę i wyciągnęłam jedną z rąk do góry, obejmując przez chwilę Tony'ego tylko jednym ramieniem. Nie trwało to długo, bo gdy tylko on się zorientował, że świruję, szybko sięgnął do tyłu, by odłożyć moją rękę z powrotem na swoją talię.



W OKU PAPROCH

Dylan i Shane byli mniej rozdrażnieni, niż się spodziewałam. Piwo pozwoliło im się trochę zrelaksować, a gdy zobaczyli, że się z Tonym nareszcie pogodziliśmy, to odpuścili już całkowicie.

Następne dwa dni spędziliśmy na plażowaniu – w Malibu, gdzie piliśmy pyszne koktajle na białych leżakach, rozkoszując się błękitnym niebem i ciepłą wodą. Pokochałam bezalkoholową piña coladę, której smak już do końca życia miał mi się kojarzyć z latem.

W Venice Beach spróbowałam surfingu. Bracia, którzy byli już doświadczeni, wykupili mi prywatne lekcje i gdy szaleli na falach, ja uczyłam się podstaw na brzegu.

Ostatniego dnia wybraliśmy się na całodzienną wycieczkę do parku rozrywki połączonego ze studiem filmowym Universal Studios. Ile myśmy tam mieli frajdy! Rozstanie z ojcem odbiło się na nas fatalnie, ale tutaj mogliśmy na chwilę o tym zapomnieć. Chłopcy co jakiś czas dokuczali mi tak samo, jak i sobie nawzajem, ale ja nie pozostawałam im dłużna. Stawałam się coraz śmielsza i śmielsza.

Po atrakcjach poszliśmy na obiad i właśnie wycelowałam frytką w Dylana, który rżał najgłośniej na wspomnienie tego, jak Tony próbował okrutnie wmówić mi, że wrzucając go w ziemie do basenu, zniszczyłam mu telefon.

– Jeszcze zobaczycie – zapowiedziałam. – Pokonam was waszą własną bronią.

Chłopcy parsknęli śmiechem, pochyleni nad swoimi hamburgerami.

– Mówię serio. Będę tak nieznośna jak wy.

– Dobrze już – mruknął lekceważąco Dylan, wymieniając z bliźniakami porozumiewawcze spojrzenia.

Szturchnęłam go.

– Co to za koszulka? – syknęłam. – Jest o wiele za obcisła, widać ci każdy mięsień, trochę przesada, nie uważasz? Chyba lepiej, żebyś się przebrał, chłopczyku.

Bliźniacy ryknęli jeszcze głośniejszym śmiechem, zwracając na siebie uwagę ludzi w restauracji. Tony nawet zrobił się czerwony.

– Nieźle, mała dziewczynko – pochwalił mnie Dylan z przekąsem.

– Nie żartuję, to nie przystoi – ciągnęłam, a potem mój wzrok padł na Shane'a. – A ty co, nie za dużo tego żelu we włosach?

– Z tym akurat to ma trochę racji – przyznał Tony, a Shane przestał na chwilę przeżuwać i rzucił mu mordercze spojrzenie.

– Tony, jeszcze raz wsiądziesz na motor, to sobie inaczej pogadamy.

– *Nah*, to jest słabe – ocenił Dylan tonem znawcy. – Groźba musi być konkretna, inaczej nie będziesz brana na poważnie.

– Właśnie – zgodził się Shane. – Na takie „inaczej sobie pogadamy” to może sobie pozwolić co najwyżej Vince. Ty jesteś za mało straszna, żeby te słowa zrobiły odpowiednie wrażenie.

Przez następne dwie minuty kłóciłam się z chłopakami, na ile procent straszna jestem, a na ile mogę być, aż niedaleko nas usiadły jakieś młode dziewczyny. Chichocząc, zerkwały co chwilę na nasz stolik. Wykalkulowały sobie na pewno, że one są dwie, a moich braci jest trzech, a ja znowu jestem jedna, więc czemu by się do nich nie pouśmiechać i nie puścić oczka raz czy dwa razy.

Gdy jedna z nich mrugnęła jednak trzeci raz, straciłam cierpliwość.

– Przepraszam – rzuciłam uprzejmie, nachylając się w jej stronę – czy masz może w oku paproch?

Tak, zamrugła znowu, tym razem jednak z zaskoczeniem i zmieszaniem.

– Eee... co?

– Hailie – upomniał mnie cicho Dylan, jednak szczyrzył się też, rozbawiony moim pytaniem. Nawet ramiona mu wibrowały, tak bardzo próbował stłumić śmiech.

– Tak trzepoczesz tymi rzęsami, że zaraz nam stąd odfruniesz.

Dziewczyna wpatrywała się we mnie zszokowana.

– Hailie, przestań – mruknął do mnie Shane, szturchnąwszy mnie stopą pod stołem, mimo iż kąciki ust mu drgały. Tony aż ukrył twarz w dłoniach, a łokcie opierał o blat stołu.

– Niefajne uczucie, co? – warknęłam na bra ci, każdego z nich częstując spojrzeniem. – To moja codzienność, gdy jesteście niemili dla osób, chłopców, którzy są mili dla mnie.

– Sorry – rzucił Shane do dziewczyn, które totalnie już speszone i lekko zarumienione sztucznymi ruchami i w pełnej napięcia ciszy zajęły się swoim jedzeniem.

– Nie wiedziałem, że potrafisz być taka wredna – powiedział do mnie Dylan z pewnym uznaniem.

– Uczę się od mistrzów – odparłam.

To nie byłam ja, oczywiście że nie. Czułam się okropnie w roli takiej zołzy, ale na tym etapie byłam gotowa zamienić się w nią od czasu do czasu na potrzeby rozstawienia moich braci po kątach. W wyraziście błyszczącej aurze Monetów, która nigdy nie opuszczała moich braci, mogłam sobie na to pozwolić.

Wieczór zwieńczyliśmy pokazem delfinów. Shane kupił też sobie na deser wielkiego pączka o średnicy dwudziestu centymetrów, który nie tylko obłany był karmelowym lukrem, ale i znalazł się na nim bekon. Pozostawiłam ten przysmak bez komentarza, kręcąc tylko głową na te amerykańskie dziwactwa.

Kolejne dwa dni, zgodnie ze ścisłymi wytycznymi, spędziliśmy w Nowym Jorku, do którego dotarliśmy oczywiście naszym prywatnym samolotem. Zatrzymaliśmy się w manhattańskim apartamencie należącym do Vincenta. Jak się okazuje, nasz najstarszy brat bywał w Nowym Jorku częściej, niżbym się tego spodziewała. Miał tu swoją sprawiedliwą pulę biznesów, które wymagały jego częstych wizyt. Do tego stopnia, że kupił sobie wycackane mieszkanie z widokiem na Central Park.

Chodziłam w tę i z powrotem po tych eleganckich wnętrzach, próbując wyobrazić sobie w nich Vincenta. Były bardzo designerskie i minimalistyczne. Kuchnia lśniła nowością, sugerując, że nigdy nie była używana. A żeby w ogóle wejść do budynku, trzeba było najpierw minąć podejrzliwego portiera.

Poza tym o Nowym Jorku nie mam za dużo do powiedzenia. Spędziliśmy tam tylko krótkie dwa dni, w czasie których nawet nie wyściubiliśmy nosa poza Manhattan. Jadaliśmy w ekskluzywnych kawiarenkach, relaksowaliśmy się w parku i nawet udało mi się zaciągnąć chłopaków do muzeum historii naturalnej. Musiałam przyznać, że byli nawet kochani, że tak zgadzali się na wszystko, co wymyśliłam. Marudzili tylko trochę.

Do domu jechaliśmy wypożyczonym samochodem, gotowi w maksymalnie kilka godzin znaleźć się w naszej rezydencji. Był to wielki jeep, w którym wszyscy mieliśmy sporo miejsca na wygodną podróż. Problemem był korek tuż pod miastem, w którym utknęliśmy na prawie dwie godziny. Wszyscy byliśmy nim niezłe poirytowani, dlatego gdy Shane zaproponował przerwę na kawę, przytaknęliśmy mu ochoczo.

Chłopcy doskonale wiedzieli, gdzie się zatrzymać. W jednej z niewielkich miejscowości tuż pod Nowym Jorkiem znajdowała się kawiarnia, pod którą zaparkowaliśmy. Dookoła było pusto i wyobrażałam sobie, że największy ruch mógł być tutaj z rana, kiedy ludzie z okolic przychodzili zamówić sobie kawę, przed wyjazdem do miasta, do pracy.

Na pewno gdy wkraczałam do środka z braćmi, nie zastaliśmy tu nikogo oprócz pracownicy. Wnętrze zdawało się przytulne, było tu kilka kwiatków doniczkowych, które wyglądały, jakby parę razy już zwiędły, a potem zostały ledwo odratowane. Było też parę stolików, niektóre otoczone zwykłymi drewnianymi krzeselkami, a inne wygodnymi kolorowymi fotelami. To w kierunku tych drugich się udaliśmy, uprzejmie przywitawszy się najpierw z kelnerką, która stała za barem, oparta o jego blat, i chyba nie była zachwycona naszą wizytą.

Pochylała się nad jakąś lekturą, a ja jako rasowa ksiązkara podpatrzyłam, że był to jakiś podręcznik naukowy. Dziewczyna musiała być studentką.

Przeszłam się do łazienki, a gdy wróciłam, czekała już na mnie na stoliku kawa. Chłopcy zamówili sobie jeszcze po toście i jakoś dopiero w rozmowie, którą prowadziliśmy, oczekując na resztę zamówienia, wyszło, że kawiarnia ta należy do naszej rodziny.

– Ojciec miał słabość do takich lokali z dupy. Swego czasu kupił ich całkiem sporo. Nie zdziw się, jak gdzieś kiedyś wejdiesz i okaże się, że to nasze – rzucił zwyczajnie Dylan, mieszając swoją kawę.

– No i trzeba mu przyznać, że miał nosa, bo na przykład to miejsce jest super. Spoko lokalizacja, idealnie ustronna – ocenił Shane.

– Ta, spoko lokalizacja jak na pralnię pieniędzy i ciemne interesy – prychnął Tony.

Natychmiast nadstawiłam ucha, ciekawa dalszych informacji, ale Dylan spojrzął na Tony'ego spode łba i puknął się drewnianym mieszańcem do kawy w czoło.

– Weź się przymknij, co?

Kelnerka przyniosła chłopakom jedzenie, a potem odeszła bez słowa, nie zdając się specjalnie przejęta faktem, że ma do czynienia z Monetami. Mogła być na tyle nieobecna, że zwyczajnie nie przyswoiła tej informacji, ale trudno mi było w to uwierzyć, bo w tak pustej i cichej kawiarni głosy moich braci odbijały się od ścian w natrętny wręcz sposób. A oni nie próbowali utrzymać swoich rozmów w ściszym tonie.

Zachowywali się, jakby byli u siebie.

Zwłaszcza gdy, gotowi do dalszej drogi, podnieśliśmy się z foteli i ruszyliśmy do wyjścia.

– Halo – odezwała się za nami kelnerka zza baru. Popijała kawę i nadal wisiała znudzona nad tą samą książką. Przyszło mi wtedy do

głowy, że jak na studenckie warunki, to wyrwała sobie całkiem niezłą fuchę. A może na ogół niezłą, poza momentami, w których musiała użerać się z trudnymi klientami, jak na przykład teraz. – Nie zapomnieliście o czymś?

Włosy sięgały jej do ramion i miały odcień jasnobłond, ale to duże okrągłe szare chyba oczy były w niej najbardziej charakterystyczne. Ładna to była dziewczyna, tylko aktualnie wykrzywiła z niechęcią twarz, wpatrując się w nas wyczekująco.

– Kartą czy gotówką? – zapytała, unosząc terminal.

– To nasza knajpa, my tu nie płacimy – prychnął Dylan i machnął lekceważąco ręką.

– Mało mnie obchodzi, czyja to knajpa – odpyskowała. – Co mnie obchodzi, to żeby rachunki i pieniądze w kasie się zgadzały. Jak nie zapłacisz, to nie będą się zgadzały i na koniec dnia będę musiała dołożyć z własnej kieszeni. A nie przypominam sobie, żebym oferowała wam wyżerkę na własny koszt.

Dylan najpierw wpatrywał się w nią zaskoczony, a po chwili dopiero, jak to on, otworzył usta, żeby się kłócić, zupełnie bez sensu. Ja zrozumiałam argumenty kelnerki i co więcej, uznałam je za sensowne, dlatego bez słowa podeszłam do niej i z torebki przewieszanej przez ramię wyjęłam swoją ekskluzywną kartę kredytową.

– Ja zapłacę – zaoferowałam łagodnie. – Nie pomyśleliśmy, że to będzie problem, przepraszamy.

Kelnerka przyjęła moją kartę bez słowa, rzucając niechętne spojrzenie w stronę Dylana i bliźniaków, niezbyt przekonana co do szczerości moich przeprosin, albo po prostu uznała je za absurd w tej sytuacji. Chyba nawet nie doceniła wielkiego napiwku, jaki jej zostawiłam w ramach wynagrodzenia nietaktu moich braci.

Pamiętam, że gdy wsiadaliśmy do samochodu, Dylan mruzczał pod nosem, że powinna dostać jakieś upomnienie, bo tak w ogóle to chyba nie najlepiej wykonuje swoją pracę, i pewnie wtrąciłabym się, żeby stanąć w jej obronie, gdyby nie to, że za jakieś dwie minuty zapomniał o całej sprawie.

Ja też zresztą o niej zapomniałam. Na bardzo długo, ale nie na zawsze. Ależ byłabym zaskoczona, gdybym wtedy wiedziała, że w przyszłości usiądę z tą właśnie dziewczyną przy jednym stole i będziemy się razem śmiać z tego wspomnienia.



Serce mi zmiażdżyło, gdy wreszcie dotarliśmy z braćmi do domu i zobaczyłam Vincenta. Jakoś tak się za nim stęskniłam i możliwe, że uczucie to spotęgował fakt, że musiałam przedwcześnie rozstać się z tatą. Vincent, jak by nie było, trochę mi na swój pokręcony sposób wynagradzał jego nieobecność.

Mój opiekun prawny objął mnie, gdy przyłgnęłam do niego na przywitanie, i nie umknęło mojej uwadze, jak od razu zerknął na Tony'ego, próbując pewnie wyczuć, jak się aktualnie mają nasze stosunki.

Mogłabym trwać w jego ramionach dłużej, ale zaraz na horyzoncie pojawił się Will i prawie na niego wbiegłam. Boże, jak ja tego człowieka uwielbiałam.

Ten wieczór spędziliśmy w komplecie, trochę opowiadając o wakacjach, na początku skupiając się przede wszystkim na ojcu, i znowu przemieliśmy wizytę agentów federalnych. Vincent potwierdził, że Cam jest bezpieczny i ma się dobrze i że na razie wszystko wygląda stabilnie.

Powrót do rzeczywistości zajął mi jakieś dwa dni. To był okres tak zwanego odpoczynku po wczasach. Dużo czasu spędzałam w ogrodzie, relaksując się na leżaku i w basenie oraz doglądając roślin w ogrodzie. Byłam bardzo wdzięczna za możliwość tego słodkiego lenistwa, bo wiedziałam, że nie każdy jest na tyle uprzywilejowany. Dobrym przykładem byłby tutaj Leo, który na żadne wczasy nie pojechał i zadawała się po prostu tym, że w trakcie wakacji może pracować na pełny etat i odłożyć więcej pieniędzy, czyli coś, o czym ja w ogóle nie musiałam myśleć.

Martwiłam się o pracoholizm przyjaciela, bo aktualnie, z tego, co mi pisał, brał wszystkie zmiany, jakie mógł, ale z drugiej strony nie czułam się odpowiednią osobą, by go upominać lub mu doradzać w tej kwestii, dlatego po prostu zaakceptowałam fakt, że trudno będzie nam się spotkać przed rozpoczęciem roku szkolnego. Nie oznaczało to jednak, że nie szukałam sposobu na chociaż chwilową rozmowę z nim twarzą w twarz, dlatego gdy tylko odpowiedni plan wyklął mi się w głowie, poczłapałam do Willa, aby wcielić go w życie.

Mój ulubiony brat od początku podejrzewał, co kombinuję, ale wielką zaletą Willa jest jego słabość do mnie, dlatego gdy poprosiłam go, żeby zabrał mnie do centrum sportowego na zajęcia, z miejsca się zgodził.

Will nie od razu przystał na to, bym prowadziła po tak długiej przerwie, ale mój błagalny wzrok go przekonał. Prowadzona przez jego wskazówki, zajechałam do centrum sportowego bez żadnych komplikacji.

Na miejscu ledwo się powstrzymałam, by nie wpaść Leo w ramiona. Wiedziałam, że muszę się hamować. On był w pracy, przy moim boku stał Will, a samo ekskluzywne centrum nie było odpowiednie do tak melodramatycznych scen.

W lobby znajdowała się szklana ściana, odgradzająca salę z długim basenem olimpijskim, a na piętrze znajdowała się siłownia. Z obydwu pomieszczeń rozciągał się też widok na las, co dodawało temu miejscu aury świeżości i ukojenia. Wnętrza urządzone tu były w kolorze bieli. Pomykający po strefie spa ludzie w białych szlafrokach idealnie tu pasowali.

Na widok blondwłosego chłopaka moja buzia sama się uśmiechnęła. On wiedział, że tu dziś będę, i spodobało mi się, jak jego kąciki ust też uniosły się, gdy mnie zobaczył. Zignorowałam nawet fakt, że razem z nim za ladą siedzi jakaś dziewczyna, która paplała coś do niego podekscytowana, nieświadoma, że on przestał jej słuchać.

– Hej – rzucił do mnie miękko, wstając.

– Hej – odparłam, czując, jak coś łaskocze mnie w żołądku.

– Hej.

Ton Willa był chłodny. Unosił lekko brwi i wpatrywał się w mojego przyjaciela wyczekująco.

Trochę zażenowana taką surowością brata spuściłam wzrok, a Leo szybko się zreflektował. Dziewczyna, która siedziała obok, zamilkła i wyprostowała się na nasz widok.

– Nie sądzę, żebym musiał wam to specjalnie komunikować, ale lepiej uniknąć w przyszłości ewentualnych nieporozumień – zaczął formalnym głosem Will, trochę za bardzo przypominając mi w tym momencie Vincenta. Wskazał na mnie, stojącą grzecznie u jego boku. – To moja siostra, to całe centrum w ułamku należy również do niej, a co za tym idzie, nie ma potrzeby jej legitymować. Zaprogramujcie dla niej kartę z nielimitowanym dostępem do każdej aktywności.

– Tak jest – odpowiedziała dziewczyna za ladą, a Leo natychmiast zabrał się do wyrabiania mi wejściówki.

– Tam są szatnie – zwrócił się do mnie Will, wskazując w odpowiednim kierunku, i od razu brzmiał o niebo milej. – Dasz sobie radę, malutka? Zobaczmy się za niecałe dwie godziny.

– Tak, tak – potwierdziłam. – Do zobaczenia.

Will dyskretnie wycelował we mnie palcem i ściszył głos.

– Żebym się tylko później nie dowiedziała, że cały ten czas przestałaś tutaj – zastrzegł, a potem ten sam palec wycelował gdzieś w prawo. – Sonny jest z tobą.

– Przecież przyszedłam tu na jogę – mruknęłam. – Kocham jogę.

Mój ulubiony brat uśmiechnął się drwiąco, a potem odszedł, złapawszy za torbę i raketę do tenisa. To wtedy pozwoliłam na wywrócenie oczami, a Leo zaśmiał się cicho, podając mi gotową kartę. Zamieniłam z nim kilka słów i musiałam uciekać na zajęcia, bo nie chciałam podpaść Willowi.

Całkiem nieźle radziłam sobie na jodze, zwłaszcza że treningi z Dylanem przyzwyczyły już moje ciało do testowania granic wytrzymałości. Moim największym problemem było to, że byłam niezbyt rozciągnięta, ale to tylko zmotywowało mnie, żeby pod koniec zajęć, gdy nadszedł czas na relaks, zastanowić się nad wprowadzeniem jogi do swojej codzienności. To nie byłoby takie głupie, bo wtedy mogłabym widywać Leo jeszcze częściej.

Zajęcia trwały wystarczająco krótko, żebym po nich miała czas pokręcić się jeszcze trochę po lobby, i gdy wychodziłam z szatni, wywróciłam w duchu oczami, bo pierwsze, co dotarło do moich uszu, to znowu gadulstwo tamtej dziewczyny, która pracowała z Leo.

– Jak joga? – zagaił, gdy przystanąłam przy ladzie, wchodząc jej w słowo.

– Nawet przyjemnie – odparłam, szczerząc się. – Jak praca?

– Niczego sobie.

– Mały tutaj ruch – zauważyłam, rozglądając się.

– Prawie zawsze taki jest. – Leo wzruszył ramionami. – Zwykle jest całkiem miło, można sobie coś poczytać... Chociaż dzisiaj trochę trudno mi się skupić – mruknął i rzucił szybkie spojrzenie swojej rozmownej towarzyszce.

– Co masz do czytania? – zapytałam i wychyliłam się trochę, żeby zajrzeć, co trzyma pod ladą. Gdy tylko zobaczyłam tytuł *Chemia zaawansowana*, aż jęknęłam. Nawet ja się tyle nie uczę, słowo daję. – Leo, są wakacje!

– Kończą się, a poza tym... – Jego oczy rozbłysły. – Podjąłem decyzję. Będę próbował dostać się na medycynę na topowych uczelniach.

– Leo, to cudownie!

– Cudownie trudne, bo będę potrzebował stypendium, co oznacza, że muszę być najlepszy z najlepszych.

– Jesteś najlepszy z najlepszych.

– Bo ja wiem – mruknął, uśmiechając się do mnie zaczepnie – siedzisz mi na ogonie.

– Ja kompletnie nie myślę o college'u, bo to sprawa, którą będę pewnie musiała przedyskutować z Vincentem i szczerze mówiąc, nie spieszy mi się do tej rozmowy.

– Bez problemu dostaniesz się, gdziekolwiek będziesz chciała – powiedział z pełnym przekonaniem Leo.

Oczywistość, której nie wypowiedział na głos, jest taka, że w przeciwieństwie do niego ja nie będę musiała martwić się o bycie ekstradobłą, żeby dostać stypendium. Natomiast inna myśl nie dawała mi spokoju – czy w moim przypadku w ogóle jest sens rozważania uniwersytetu w takiej, na przykład, Kalifornii? Czy Vincent pozwoli mi tam jechać? Mogłabym się zbuntować, bo przecież

będę już wtedy pełnoletnia, i zrobić, co mi się żywnie spodoba, ale z drugiej strony nie chcę się kłócić z braćmi, a Vince, jak go znam, najprawdopodobniej nie zasponsoruje mi studiów, które wybiorę bez jego aprobaty. Jak widać, każdy ma swoje problemy w życiu. Dobrze, że miałam o rok więcej niż Leo na rozwiązywanie swoich.

Z nutką niezdrowej satysfakcji zauważyłam, że dziewczyna siedząca obok Leo słuchała nas z dosyć zabawną miną. Miała zmarszczone brwi i patrzyła na nas, jakbyśmy spadli z księżycy. Ta jej reakcja napęliła mnie siłą. Trudno mi było to opisać. Czułam się wyjątkowo, zwłaszcza przy Leo, i nie byłam do końca przekonana, czy to dobrze.

Delektowałam się naszą rozmową, podczas której podrzucaliśmy sobie nazwy różnych uczelni, do których chcielibyśmy aplikować, i komentowaliśmy je na podstawie plotek, które tu i ówdzie udało nam się usłyszeć. Byłam tak pochłonięta rozmową, że pierwotnie nawet nie zwróciłam uwagi na osobę, która właśnie stanęła przy ladzie. Jej obsługą zajęła się towarzysząca Leo. Przez to, że go zagadywałam, większość pracy spadła na jej barki, ale najwyraźniej nie miała śmiałości zwrócić mu na to uwagi.

– Chciałbym przedłużyć rezerwację sali szermierczej – odezwał się głęboki głos, który od razu zabrzmiał znajomo. Jeszcze zanim go rozpoznałam, moje ciało zareagowało napięciem.

– Oczywiście, już patrzę – odparła dziewczyna, klikając coś w komputerze, a Leo przestał na chwilę mówić, zdezorientowany moją nagłą dekoncentracją. – Eee, chyba będzie z tym problem, proszę pana, sala jest już zarezerwowana na następną godzinę.

– Nie szukaj problemu, tylko rozwiązania – pouczył ją mężczyzna lekceważąco. – Odwołaj tamtą rezerwację.

– Ja... No d-dobrze... – Dziewczyna zamotała się i sięgnęła najpierw po telefon, a potem po myszkę od komputera, i zawisła tak nad dwoma urządzeniami na chwilę, mocno wybita z rytmu.

A ja strasznie nie chciałam się odwracać, ale ciekawość jednak wygrała i kątem oka zerknęłam na stojącego nieopodal tak wymagającego klienta. Na jego widok aż zacisnęłam mi się żołądek, chociaż przecież od początku wiedziałam, że to Adrien Santan pojawił się tuż obok mnie.

– O – zaśmiał się krótko i serdecznie, szybko mnie rozpoznawszy. – Kogo my tu mamy. Hailie Monet.

Adrien ubrany był od stóp do głów w biały kostium. Nie miał ze sobą szabli ani maski, które pewnie zostawił na sali, ale i tak musiałam przyznać, że prezentował się dość ciekawie w takim wydaniu. Strój delikatnie podkreślał jego umięśnioną i wyprostowaną sylwetkę. Był atrakcyjny jak na młodego mężczyznę, nie zaprzeczę, ale nie omieszkalam też obrzucić go pełnym niechęci spojrzeniem.

– Coraz częściej na siebie wpadamy – zauważył.

– To chyba znak, że muszę dwa razy zastanowić się, zanim gdzieś pójde – mruknęłam.

– Albo że nareszcie chodzisz w miejsca, w które powinnaś.

Wpatrywałam się w niego spode łba, zmęczona faktem, że on zawsze znajdzie błyskotliwą odpowiedź. W jego ciemnych oczach zatańczyły ogniki zwycięstwa, gdy zamilkłam. Mogłabym mu powiedzieć coś w stylu, że jest dorosłym już facetem i wciąż triumfuje nad głupotami takimi jak zagięcie nastolatki, ale szkoda mi było słów.

Adrien chyba dobrze się bawił, męcząc mnie, bo nagle ni stąd, ni zowąd brodą wskazał na Leo. Jego zęby, które pokazywał w drwiącym uśmiechu, pasowały jak ulał do jego smukłego kostiumu.

– Flirtujesz z tym chłoptasiem?

– Nie sądzę, żeby to była twoja sprawa – zachnęłam się oburzona, że śmie zadawać mi takie pytania.

– Oczywiście, że nie jest. – Wzruszył obojętnie ramionami. – Jestem po prostu ciekawy, jak w tych czasach w waszym wieku wygląda podryw. – Tutaj mrugnął do Leo i zwrócił się do niego teatralnym szeptem: – Wysyłasz jej niegrzeczne zdjęcia na Snapchacie?

Razem z Leo się skrzywiliśmy.

– Trochę nie na miejscu te żarty, panie Santan – wtrącił się sucho Sonny, który się do mnie zbliżył.

– Witaj, Sonny – zwrócił się do niego uprzejmie Adrien. – Na posterunku jak zawsze.

– Chciałby pan może powtórzyć swoje wypowiedzi w obecności pana Moneta?

– Nie lubię się powtarzać. – Adrien uśmiechał się kpiarsko, choć jasne było, że przy moim bracie, zwłaszcza tym najstarszym, inaczej dobierałby słowa.

– Sala została przedłużona, panie Santan – odezwała się współpracownica Leo, a tym razem jej głos brzmiał cicho i nieśmiało.

– Świetnie, moja droga – rzucił do niej Adrien, po czym skinął głową na mnie. – Do niechybnego zobaczenia, Hailie Monet.

Odwrócił się i odszedł, a ja natychmiast uciekłam od niego spojrzeniem, żeby go nim nie odprowadzać.

– Dzięki, Sonny – mruknęłam do ochroniarza, który w milczeniu wycofał się, by z powrotem wpasować się w tło mojego życia.

– Dobrze znasz tego gościa? – zapytał Leo, który w przeciwieństwie do mnie nadal patrzył w kierunku, w którym zniknął Adrien.

– Nie, ale to wspólnik Vincenta, więc co chwilę wyskakuje w moim życiu znikąd... Czemu pytasz?

– To ma sens. Powiedziano nam, że jest tu jednym ze specjalnych gości. Podobno to miejsce należy również do niego, w jakimś tam procencie.

– No, nieźle masz znajomości – rzuciła do mnie dziewczyna, która dopiero teraz ochłonęła po interakcji z Adrienem. Chyba próbowała zabrznieć po kumpelsku, ale nie potrafiłam podzielić jej nagłej sympatii. Czy ona jest dla mnie miła tak po prostu, czy próbuje mi się podlizać?

Cholerny Tony oczywiście miał rację. Zaczynałam podawać w wątpliwość każdą, nawet najmniej znaczącą dla mnie relację.

A to miał być dopiero początek.



40 CHOP-CHOP

Niecałe trzy tygodnie – tyle zostało do końca wakacji. Mimo iż na pozór moją główną aktywnością było przechadzanie się z kąta w kąt wielkiej Rezydencji Monetów, wcale się nie nudziłam. Ostatnimi czasy szczególnie lubiłam spokój. Rozkoszowałam się brakiem afer i incydentów.

Dużo czytałam, oczywiście. W tajemnicy nawet zaczęłam przeglądać sobie podręczniki na nowy rok szkolny, tak żeby żaden z moich braci mnie nie przyłapał i nie zaczął wywracać oczami. Trenowałam też z Dylanem, a nawet z Shane'em, i pamiętam, że przez pół godziny wgapiałam się w lustro, gdy zobaczyłam na swoim brzuchu pierwszy zarys mięśnia. Zniknął po dwóch dniach, ale potem zaczęłam trenować więcej i pojawił się znowu. Byłam nim niezwykle podekscytowana i zmotywowana do dalszych ćwiczeń, a jednocześnie frustrowała mnie myśl, że jak tylko zacznie się rok szkolny, prawdopodobnie trudno mi będzie bywać na naszej siłowni regularnie.

Oprócz tego chodziłam z Tonym na strzelnicę i muszę przyznać, że nasza relacja niesamowicie się poprawiła od czasu wycieczki do Los Angeles. Tony wciąż był Tonym, trochę gburowatym, wiecznie znudzonym i często złośliwym, jednak inaczej mi się go znosiło teraz, gdy wiedziałam skrycie w sercu, że on mnie kocha.

Vincent też był zadowolony z naszego pojednania. Chyba naprawdę nie potrzebował kolejnych problemów na głowie, zwłaszcza tak irytująco błahych jak kłótnie młodszego rodzeństwa. Ciągłe był taki zajęty. To dlatego trochę się czałam, zanim się odważyłam odwiedzić go w jego gabinecie i poprosić o przysługę.

Spacer zakazany niegdyś korytarzem bez obstawy ani bez braci był satysfakcjonującym uczuciem. Zwykle przemykałam tędy z Tonym, gdy kierowaliśmy się na strzelnicę, i zawsze wtedy rozpamiętywałam, jak to kiedyś w ogóle nie wolno mi było tu wchodzić. W sumie dalej nie powinnam się sama kręcić po skrzydle pracowniczym, ale Vince ostatnimi czasy przymykał na to oko. Szczególnie gdy przychodziłam z jakąś sprawą do jego biura.

Tak było i dzisiaj. Ledwo wyłoniłam się zza winkła, a jego ochroniarz, stojący jak zawsze przed drzwiami, już informował go o moim przybyciu. Wywróciłam na to oczami. Czasem miałam wrażenie, że z moim bratem jest trudniej się ot tak zobaczyć niż z prezydentem.

Dziś Vince przyjął mnie od razu i miał chyba nawet nie najgorszy humor. Był to weekendowy wieczór, a on siedział za biurkiem i tonął w papierzykach, ale dla przyjemności też popijał sobie whisky z rzeźbionej szklaneczki, a z ukrytego głośnika leciała cicho muzyka klasyczna. Miłą atmosferę dopełniał złocisty odbłask lampki na jego biurku, która była tu jedynym źródłem światła. Biuro mojego opiekuna jeszcze chyba nigdy nie sprawiło wrażenia tak przytulnego.

– W czym mogę ci pomóc, Hailie? – zapytał, a ciepłe światło intrygująco mieszało się z chłodem zakutym na zawsze w jego bladoniebieskich oczach.

– Zastanawiałam się... – zaczęłam melancholijnie, wolnym krokiem mijając fotele naprzeciwko jego biurka. Nie zamierzałam w nich siadać. Niepozornie splołam z tyłu ręce, wcześniej odrzucając tam też swój długi warkocz. Vincent obserwował w miarę łagodnym spojrzaniem, jak się przechadzam.

– Tak? – zapytał, gdy stanęłam tuż obok niego.

Jedną dłoń na drugiej ułożyłam na oparciu jego fotela, czając się ze swoją niewinną prośbą, a on zerkał na mnie teraz kątem oka i mogłabym przysiąc, że moje podchody trochę go bawiły.

– Co byś mi odpowiedział, Vince, gdybym cię bardzo, bardzo poprosiła, żeby... żebyś, tak jak ostatnio, mogła odwiedzić grób mamy? I babci?

Vince odwrócił swoją twarz w moją stronę, teraz już w pełnej okazałości. Delikatnie okręcił się na obrotowym fotelu, zmuszając mnie do opuszczenia rąk z oparcia, ale finalnie tylko jedna opadła wzdłuż mojego tułowia. Na drugiej zacisnął bardzo delikatnie swoje chłodne palce, tak delikatnie, jakby bał się, że mi je pokruszy.

– Hailie, oczywiście, że mogę to zaaranżować.

Uśmiechnęłam się lekko, bo jego głos zawsze brzmiał tak szorstko i zimno, że czułam się wyjątkowo, bo wiedziałam, że należałam do garstki osób, które potrafiłyby rozpoznać, że Vince w tym momencie przemówił z uczuciem. Bardzo głęboko ukrytym, ale uczuciem.

– Wiem, że jesteś zajęty, i nie chcę ci przeszkadzać – mówiłam dalej, zachęcona jego zgodą. – Dlatego w razie czego mogę polecić sama. Z Sonnym, wiadomo. Ale nie musisz zmieniać dla mnie planów.

– Naprawdę wierzysz – zaczął Vincent – że puszcze cię samą do Anglii?

– Leciłam już sama do Francji – przypomniałam mu.

– Mhm, z Madrytu. Nocowałaś też u rodziny. Nie zostaniesz sama w hotelu, nawet z ochroniarzem – powiedział Vincent i był w tych

swoich protestach tak stanowczy, że wiedziałam, iż sprawa ta nie podlega dyskusji. Właściwie to nie zależało mi, żeby podróżować samej. Jasne, fajnie byłoby zasmakować trochę wolności, ale w tym wyjeździe chodziło o spotkanie z mamą.

Wzruszyłam ramionami.

– Chciałam ci tylko ułatwić życie.

– Ułatwianie mojego życia nie jest twoim zmartwieniem. – Ścisnął mocniej moją dłoń, zanim ją puścił. – Jutro spojrzę w kalendarz i poprzekładam spotkania. Możliwe, że uda nam się polecieć jeszcze w tym tygodniu, ale nie obiecuję.

Skinęłam głową i uśmiechnęłam się, a potem podziękowałam mu cicho, odwróciłam się na pięcie i opuściłam jego gabinet, odprowadzana przez ciche dźwięki pianina.

Następnego dnia po południu siedzieliśmy już w samolocie Monetów.

Od kilku godzin męczyło mnie *déjà vu*. Nasz pierwszy wspólny wyjazd do Anglii wyglądał podobnie: lot sam na sam z Vincentem, turbulencje też się zgadzały. Wzięliśmy taksówkę i zatrzymaliśmy się w tym samym hotelu. Nawet kolację zjedliśmy w tej samej restauracji.

Rozmawialiśmy niewiele, bo Vince wisiał na telefonie, co było ceną, jaką musiał zapłacić za tak nagłe oderwanie się od codziennych obowiązków, a ja też go nie zagadywałam, bo czułam się trochę słabo. Wmuszałam w siebie jedzenie na siłę, jedynie dlatego, że wiedziałam, iż Vince, zanim zapłaci, rzuci mojemu talerzowi kontrolne spojrzenie, i chciałam oszczędzić sobie i jemu zbędnej gadaniny.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że moje nie najlepsze samopoczucie nie było spowodowane zmęczeniem, jak pierwotnie założyłam, a początkami paskudnego przeziębienia, które już następnego dnia niezłe dało mi w kość.

Obudziłam się obolała i z początkami bólu gardła, ale wygrzebałam się z łóżka i poszłam do łazienki, żeby doprowadzić się do porządku. Przez pierwszą część dnia udawało mi się trzymać nawet niezłe. Niewiele zjadłam na śniadanie, bo trochę mi się cofało na sam widok szwedzkiego stołu, czego tym razem Vince nie omieszkła skomentować, ale w końcu jakoś się wykręciłam, wiedząc dobrze, że w takim wypadku nie ominie mnie koniecznie syty obiad.

Na cmentarzu zapomniałam o chorobie, bardzo przejęta emocjonującymi dla mnie chwilami. Vince kroczył przy moim boku ubrany w ciemny garnitur i gdybym go nie znała, pomyślałabym, że wyszykował się tak na pogrzeb. Ja ubrałam się w czerwoną sukienkę i czarne balerinki, a ciemne włosy rozpuściłam i jakoś tak, gdy zobaczyłam nasze wspólne odbicie w lustrze w hotelowej windzie, uznałam, że tworzę z nim ładny kontrast.

Ostatnio moja wizyta na grobie mamy i babci była niefortunna. Policzki zaróżowiły mi się na samo wspomnienie ataku hysterii, którego tu dostałam. Pamiętam, że kopnęłam Vincenta, a także szarpałam się i rzucałam w deszczu na brudnej ziemi. Byłam zdeterminowana, by tym razem trzymać tak skrajne emocje na wodzy i odwiedzając grób swojej ukochanej mamy, zachować więcej klasy.

Dziś czułam się dojrzała i bardziej zrównoważona, choć w głębi ducha wiedziałam, że to nic nie znaczy, bo jeśli coś uruchomiłoby moje najgłębiej skrywane, najboleśniejsze smutki, potrafiłabym odstawić jeszcze większe show niż ostatnio. Wiek i dojrzałość chyba nie grały tu znaczącej roli.

Udało mi się jednak nie przeżyć powtórki z rozrywki. Cmentarz był wietrzny, jak zapamiętałam, ale mimo to świeciło słońce. Uderzenia wiatru rozwiewały mi włosy na plecach i bawiły się rąbkiem mojej spódnicy, ale na tyle grzecznie, by nie podwiewać mi jej zbyt wysoko. Stałam, obejmując się ramionami, i wgapiałam się w szary kamień. Dużo rozmyślałam o dacie – mama i babcia umarły prawie dwa lata temu. Wciąż za nimi tęskniłam, wciąż mnie bolało, że je straciłam. Nic się nie zmieniło. Czas nie okazał się skutecznym lekiem na żalobę, tak jak ostrzegął mnie Vincent.

W pewnym momencie przykucnęłam obok kamienia, trochę też poprawiłam kwiaty, które tu przynieśliśmy. Wodziłam palcem po zimnej płycie. A przy tym prowadziłam dziesiątki monologów w głowie. Gdy opowiadałam mamie o ojcu, starałam się zdusić wszelkie wyrzuty, które podświadomie trochę wobec niej czułam. Powiedziałam jej o swojej głupiej kłótni z Tonym i wspaniałych dniach spędzonych w Kalifornii. Upewniałam się, że się nie gniewa za to, co odstawiłam z Mayą w Saint-Tropez. Z gęsią skórką opowiadałam jej o wydarzeniach z Ryderem, a z motylkami w brzuchu opisywałam jej Leo.

Nim się obejrzałam, minęły trzy godziny i Vince delikatnie zasugerował, że czas wracać, bo nadchodzi pora obiadowa, a ja zjadłam niewielkie śniadanie, i miałam ochotę wyrzucić oczami na te jego wieczne gadki na temat żywienia. Wiem, że był przewrażliwiony przez moją przeszłość, no ale ludzie, przecież nie umrę z głodu w kilka godzin.

– W porządku? – zapytał Vince, widząc, że zadrzałam się, gdy tylko wsiedliśmy do auta.

Pokiwałam głową, wciąż zbyt rozkojarzona, przygnębiona i osowiała spotkaniem z bliskimi mi zmarłymi. On zaś zdawał sobie sprawę z trudów sytuacji, jakim musiałam stawiać w tej chwili czoła, i z pełnym szacunkiem do moich uczuć pozostawił mnie samej sobie. Doceniłam to tak bardzo, że siedząc z nim na tylnym siedzeniu w taksówce, w pewnym momencie oparłam skroń o jego ramię.

Vince zaproponował, że na obiad zajedziemy do tej samej chińskiej restauracji, którą ekscytowałam się ostatnio ze względu na dobre, tanie jedzenie i masę wspomnień. Uznałam jego ofertę za przekochaną i mimo iż wciąż nie paliłam się do jedzenia, to posiliłam się swoją porcją *pad thai* bez protestów. Głupia popiłam to zimną colą. Co z tego, że przed przełknięciem próbowałam przetrzymać płyn trochę w buzi, by go ogrzać. Zimny gazowany napój nie pomógł na moje puchnące gardło. Vince zerkał na mnie swoim bystrym wzrokiem, ale starał się obchodzić ze mną delikatnie i nie był na tyle pewien mojego samopoczucia, by wmawiać mi chorobę. Ja za to nie chciałam się przyznać do jej załączków, bo wtedy od razu dostałoby mi się za milczenie na ten temat, no i za bezmyślne picie

zimnych napojów.

Desperacko próbowałam wmówić swojemu mózgowi, że wymyśla, że czuję się dobrze i że łamanie w kościach to tylko chwilowa reakcja związana z emocjonalnie wyczerpującym wyjazdem. Nie udało mi się jednak zwalczyć choroby siłą umysłu i gdy z moim bratem wróciliśmy do hotelu, niemal ślaniałam się na nogach.

– Hailie, czy ty się źle czujesz? – zagadnął znowu Vincent, gdy zobaczył, jak niebezpiecznie się zachwiałam podczas ściągania balerinek.

– To zmęczenie – odparłam szybko. – Chyba muszę się położyć.

Skinął głową, pełen poparcia dla tego pomysłu. Umknęłam z zasięgu jego uważnego wzroku do swojej sypialni i odetchnęłam ciężko, niezadowolona i trochę wystraszona objawami. Nie chorowałam często. Zdarzało mi się to o wiele częściej, gdy byłam młodsza. Jakoś wcale nie tęskniłam za gorączką i bólem głowy, a teraz, przebijając się w jedyne dresy, które tu ze sobą wzięłam, czułam, jak zaczyna mnie w niej łupać.

Ostatnią deską ratunku był sen. Wierzyłam, że jak się obudzę, będę się czuła już lepiej, ale gdy zakopałam się w kołdrę i zamknęłam oczy, otworzyłam je dopiero wieczorem, i to szturchana delikatnie przez Vincenta.

Jęknęłam, zacisnęłam pięści na pierzynie i jeszcze mocniej się nią opatuliłam, gdy uświadomiłam sobie, jak bardzo mi zimno. Pulsowanie w głowie nie zelżało, a urosło jeszcze bardziej. Mięśnie bolały mnie zaś od samego stykania się z materacem.

– Rozchorowałaś się, Hailie – poinformował mnie Vincent, teraz nie mając już co do tego najmniejszych wątpliwości.

Nie miałam siły nawet na zmianę pozycji, więc tylko rozchyliłam lekko powieki, żeby dostrzec kawałek jego bladej, poważnej twarzy. Wciąż był w czarnej koszuli, zapewne pracował cały ten czas, gdy ja drzemałam. Drgnąłam, kiedy znikąd poczułam na czole muśnięcie jego lodowatej dłoni, która następnie płynnym ruchem osunęła się na skroń i aż do policzka.

– Dlaczego nie powiedziałeś wcześniej, że się źle czujesz?

Nie odpowiedziałam. Zasnęłam, a gdy się obudziłam, był jeszcze późniejszy wieczór, bo zasłony w oknach zaciągnięto, a pokój jasno oświetlało sztuczne światło. Zmarszczyłam czoło, niezadowolona z dyskomfortu, w które wprawiało ono moje zmęczone oczy. Chciałam je przykryć dłonią, ale nie miałam siły unieść ręki. Wydałam więc z siebie przeciągły jęk i przycisnęłam buzię do kołdry.

– Dobry wieczór, Hailie – przywitał mnie kobiecy, przyjazny dla ucha głos. Nieznajoma kobieta przedstawiła mi się, ale nie zapamiętałam jej imienia. Nie zapamiętałam też jej twarzy. Zapamiętałam jedynie swoją negatywną reakcję, gdy poinformowała mnie, że jest lekarką.

Chodziło mi o to, że nie potrzebowałam żadnych lekarzy, bo po prostu źle się poczułam. Jutro miało już być lepiej, nie ma potrzeby robić zamieszania.

– Nic się martw, twój brat jest tutaj, w pobliżu.

Też mi uspokojenie.

Moje protesty były zbyt słabe, żeby pani doktor brała je na poważnie. Łagodnym głosem tłumaczyła swoje poczynania. Przez większość czasu powieki trzymałam zamknięte i chowałam się w kołdrze, gdy zaglądała mi do gardła czy badała mnie stetoskopem. Usłyszałam też melodyjkę termometru.

Dostałam leki, które przyjąłam tylko na wpół świadoma, i wreszcie zgaszono światło i pozostawiono mnie samą. W nocy przebudziłam się, bo potrzebowałam iść do toalety. Czułam się tak fatalnie, że nie było mowy, abym o własnych siłach zdołała się podnieść, ale swoim kręceniem się obudziłam drzemiącego, jak się okazało, obok Vincenta. W mig rozbudzony i zaalarmowany, wyciągnął ode mnie przyczynę pobudki i dosłownie zaniósł mnie na rękach do łazienki. Krzywiłam się, bo każdy ruch powodował u mnie bóle mięśni i kości, a także łupanie w czaszce, ale ostatecznie zaznałam ulgi. Zostawił mnie samą, uwieszoną całym ciałem na uchwycie dla niepełnosprawnych, i wrócił, gdy usłyszał szum wody z kranu, kiedy już myłam ręce.

Ledwo utrzymywałam się na nogach i mimo iż nad umywalką wisiało lustro, ja nie widziałam w nim swojego odbicia – nie poznawałam znajdującej się w nim osoby. W pewnym momencie bezmyślnie chlusnęłam sobie zimną wodą w twarz, rozchlapując ją wkoło. Słyszałam, jak Vincent cmoknął z irytacją, ale chyba nic nie powiedział, tylko pomógł mi osuszyć się ręcznikiem i zaprowadził z powrotem do łóżka.

Rano wciąż byłam jak zombie. Leki pomagały jedynie zbić gorączkę. Jak przez mgłę pamiętałam Vincenta, który przychodził do mnie podać mi środki przepisane przez lekarkę, a także próbował wcisnąć we mnie jedzenie, którego mu bez oporów odmawiałam. Przez chorobę nie współpracowałam z nim tak jak zawsze i zaskakująco dobrze to znosił. Pomagał mi też chodzić do łazienki i robił pyszne herbatki.

Dopiero dwa dni później zaczęłam wracać do świata żywych i lepiej funkcjonować. Tego dnia po porannej dawce leków czułam się nareszcie jak człowiek. Na tyle, że Vince uparł się, żebym zjadła zupę, którą zamówił z restauracji wyżej.

– Ciągłe tylko jedzenie i jedzenie – poskarżyłam się, zadowolona, że potrafię już wyraźnie mówić.

– Cóż, z posiłkami jest tak, że należy je przyjmować regularnie – wyjaśnił sucho. – Zrobisz to sama czy mam cię nakarmić?

Z westchnięciem podciągnęłam się na poduszkach. Vincent pomógł mi usiąść na łóżku tak, żeby kołdra się nie zsunęła. Przed chwilą przetransportował mnie do swojej sypialni, żeby wpuścić do tej mojej trochę świeżego powietrza, i zniemacka zaatakował mnie tym

naczyniem gorącej zupy.

Trzymał miskę dla mnie pod nosem i jadłam posiłek nawet ze smakiem. Podobało mi się ciepło, jakie zupa rozbudzała w mojej klatce piersiowej. W milczeniu oglądałam sygnet Vincenta, który był wyeksponowany dla moich oczu, bo znajdował się na palcu ręki, którą Vince podtrzymywał dla mnie naczynie.

Nie byłabym prawdziwym pacjentem, gdybym nie marudziła na ohydny smak niektórych leków, i to było kolejne pole, na którym nieugięty Vincent nie pozostawiał mi nic do powiedzenia. Może i zachowywałam się jak dziecko, ale skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie zdarzało mi się robić tego celowo. Choroba mnie męczyła i pragnęłam poczuć się zaopiekowana, a bycie zaopiekowaną przez samego Vincenta było wyjątkowo cudowne.

Oczywiście nie obyło się bez gróźb.

– Jeśli będziesz marudzić i odmawiać przyjmowania leków doustnie, to przetrzucimy się na zastrzyki. – Trochę żartował, ale w jego oczach błyskała powaga.

– Przestań mnie straszyć – upomniałam go, zerkając na niego niewinnie, po czym dodałam rozżalona: – Jestem chora.

– I właśnie dlatego bierzesz leki, czyż nie? – zauważył, po czym podał mi kubek z jakimś paskudnym roztworem i dodał bez emocji: – No już, wypij to, *chop-chop*.

Parsknęłam głośno na śmiesznie sztywny sposób, w jaki wypowiedział te energicznie zwykle brzmiące słowa. Dobrze, że moja infekcja przebiegała bez kataru, bo bym się pewnie posmarkała. Vince uniósł lekko kącik ust w uśmiechu, może zadowolony, że wraca mi humor, ale przypilnował, bym opróżniła zawartość kubeczka.

– Vince, czy my czasem nie powinniśmy już wracać do domu? – zagadnęłam, biorąc chwilę przerwy od popijania leku.

– Nie. Dopóki nie poczujesz się lepiej, nie – odparł.

– Czuję się lepiej.

– Mhm, wciąż ledwo potrafisz się podnieść z łóżka o własnych siłach.

– Nie chcę, żebyś musiał przekładać przeze mnie jeszcze więcej spotkań.

– Nie interesuj się moimi spotkaniami. Zostaniemy tutaj, dopóki nie powiem inaczej – uciął i wskazał na kubek w moich rękach. – Dopij to, już.

Dyskusje z Vincentem miały to do siebie, że nie warto ich było prowadzić, bo startowało się zawsze z przegranej pozycji i na takiej pozycji się też lądowało na koniec, dlatego zamilkłam i niedługo potem zwinęłam się w kulkę na jego łożu, które wciąż okupywałam, ponownie zasypiając.



41

UPARTY DZIECIUCH

Następnego dnia czułam się na tyle dobrze, że już samodzielnie wygrzebałam się z łóżka i zawitałam do salonu, w którym mój najstarszy brat składał właśnie telefoniczne zamówienie na śniadanie. Na mój widok nastroszyły mu się brwi, a gdy zakończył połączenie, oberwało mi się za chodzenie boso.

Przysiadłam na kanapie, odkrywając, że mała wycieczka z pokoju do salonu kosztowała mnie absurdalnie dużo energii, i natychmiast okryłam się leżącym tam schludnie złożonym kocem, a policzek przytuliłam do oparcia, zerkając nieśmiało na Vincenta. Chciałam pobyć chwilę w jego obecności, bo miałam już dość tkwienia w sypialni.

– Jesteś trochę jak moja babcia – wyznałam, rzucając ukradkowy uśmiech, gdy Vince przyniósł mi hotelowe kaptcie.

– Ach tak? – mruknął. Przysiadł po drugiej stronie, na powrót łapiąc w ręce telefon. Równie dobrze mógłby przykleić go sobie do dłoni, skoro zawsze tak strasznie pilnował, by mieć go w jej zasięgu. – Która?

Przez chwilę nie pamiętałam, że mam dwie babcie. Miałam. Najpierw miałam jedną, potem ona umarła i nie miałam żadnej, a potem odkryłam, że mam drugą, tak więc aktualnie znowu mam tylko jedną. Chyba lepiej, żebym nigdy nie musiała nikomu tego wyjaśniać.

– Nie Blanche – odparłam, po czym się namyśliłam. Przypomniały mi się jej przerażające oczy i się poprawiłam: – Chociaż co ja mówię, ją w sumie też. Ale w tym kontekście chodziło mi o babcie Bonnie. Ona też zawsze upominała mnie, żebym zakładała kaptcie.

– Zachichotałam cicho na samo wspomnienie.

Moja ukochana babcia straciła przeze mnie mnóstwo nerwów w dzieciństwie. Byłam grzecznym dzieckiem, ale czasami roztrzepanym.

– Ją również ignorowałaś? – zapytał Vince, unosząc brew.

– Ciebie nie ignoruję – zaprotestowałam. – Gdzieżbym śmiała?

– No ja myślę, że byś nie śmiała – mruknął i odłożył telefon, a potem wstał. – Czas na leki.

Przechylając głowę, wodziłam spojrzeniem za jego ruchami. Jak sięga po szklankę, wyciąga łyżkę z szuflady. Każdy jego gest był sprawny i płynny, jakby dziesiątki razy opiekował się już chorymi siostrami. Udało mu się nie pozostawiać po sobie bałaganu. Potrafił być niesamowicie minimalistyczny w swoich działaniach.

– Myślę, że byłbyś dobrym ojcem – wyznałam znikąd szczerze, gdy podawał mi szklankę ze znienawidzonym przeze mnie lekiem i nasze spojrzenia się skrzyżowały.

– Nie sądzę.

Wydułam usta, słysząc tę jego krótką i gorzką odpowiedź.

– Dlaczego nie?

– Za dużo pracuję – odparł, sięgając po telefon i rzucił mi znaczące spojrzenie. – I za dużo wymagam.

– Brzmi trochę jak typowy rodzic.

– Nie jestem typowy. Każde dziecko by mnie znienawidziło.

Zmarszczyłam brwi.

– To nieprawda.

– Nie? Czyżbyś sama tego nie przerabiała? – zapytał z tym swoim kącikiem ust uniesionym w uśmiešku, za którym coraz bardziej przepadałam.

– Ja ciebie przecież nigdy naprawdę nie nienawidziłam... – zaoponowałam. – Czasem mnie denerwujesz, przyznaję, ale na ogół jesteś w porządku... – Zamyśliłam się. – Choć jeśli mam być szczerą, rzadko się zdarza, żebyś prowadził w moim rankingu braci.

– Czym takim?

– Ale – kontynuowałam pospiesznie, starając się, by mój głos brzmiał krzepiąco – ale to nic, przeważnie masz takie solidne trzecie miejsce.

– Hailie, o czym ty mówisz? – Vince uniósł brew. – Czy wraca ci gorączka?

– Nie, czekaj, aktualnie wyprzedził cię Tony, bo był dla mnie strasznie miły w LA. Hm, jak by to zrobić... – Marszczyłam brwi, a w międzyczasie on podniósł się, by sięgnąć po termometr.

– Już, odgarnij włosy z czoła.

– Tak właściwie – zaczęłam znowu, posłusznie zaczesując kosmyki – to ty chociaż lubisz tę Grace?

Zimne, jasne oczy Vince spojrzały na mnie twardo, ale i z zaskoczeniem.

– Dlaczego o nią pytasz?

– Bo się spotykacie, prawda? – Zerkłam na Vince’a jednocześnie onieśmiewiona i zaciekawiona.

Stałam się odważniejsza, ale to nie oznaczało, że żelazna aura Vincenta przestała mnie płoszyć. Sztynnym ruchem zabrał termometr, zerknął na niego i odłożył go na bok bez komentarza, a następnie dopiero wbił spojrzenie we mnie.

– To nie są sprawy, którymi powinnaś się zajmować.

– No przecież jesteś moim bratem. – Nawet spróbowałam się słodko uśmiechnąć.

– Przede wszystkim, Hailie, jestem twoim opiekunem, i niech tak zostanie.

Mina mi zrzedła.

– Wolę brata – wymamrotałam.

– Masz wielu braci.

– Chcę ciebie.

Posmutniałam i może byłam nieco melodramatyczna, ale to choroba namieszała mi w głowie i po prostu nad niektórymi słowami nie panowałam. Przede wszystkim mój mózg pracował na zmniejszonych obrotach, dlatego nie filtrował dobrze moich słów.

Usłyszałam, jak Vincent wzdycha, by zaraz potem usiąść tuż obok mnie.

– Tak naprawdę brat czy opiekun nie robi tutaj różnicy. Istotne jest to – zaczął cierpliwie – że taki mam charakter i taką mamy relację. Jesteśmy rodzeństwem, prawda, dlatego też sporo uchodzi ci na sucho, ale jednocześnie jestem od ciebie dużo starszy – tłumaczył, jego spojrzenie było intensywne, a czoło zmarszczone. – Dlatego w moich oczach, droga Hailie, jesteś i prawdopodobnie zawsze będziesz dzieckiem. Co za tym idzie, nie będę z tobą rozmawiał o Grace.

Odchyliłam głowę, a potem spojrzałam na niego z wyrzutem.

– Sam nie wiesz, co tracisz – fuknęłam. – Nie masz nawet pojęcia, jak fajnie można sobie ze mną pogadać.

Vincent uśmiechnął się lekko.

– Nie wątpię w to.

Naburmuszona zerknęłam w bok, czując, jak obserwują mnie jego rozbawione oczy.

– Czternaście lat, Hailie – oznajmił, z powrotem ściągając na siebie moją uwagę. – Miałem czternaście lat, gdy ty przyszłaś na świat. To spora różnica. Gdybyśmy wychowywali się razem, prawdopodobnie zmieniałbym ci pieluchy.

– Przystań – pisnęłam. Szturchnęłam go, na co on się cicho zaśmiał. Lubiałam, gdy był tak wyluzowany. Szkoda, że aktualnie działa się to moim kosztem. – A bliźniakom? Im niby też zmieniałeś pieluchy?

– O Lordzie uchowaj, nigdy w życiu. – Vince udał przerażenie. – Wszyscy mieliśmy opiekunki.

– Więc u was to one pilnowały, żebyście nie chodzili boso? – zapytałam zamyślona.

– Nie wiem, Hailie, jak sobie wyobrażasz dzieciństwo pięciu chłopaków pod jednym dachem, ale na pewno znacznie różniło się ono od dzieciństwa małej, słodkiej jedynaczki, która truchtała sobie po domu bez skarpetek. Nie, nasze opiekunki całą energię poświęcały na to, żebyśmy się nie pozabijali.

Zaśmiałam się tym razem ja.

– My? W sensie, że ty też? No co ty, ty, taki dużo starszy, odpowiedzialny brat na pewno byłeś najbardziej ułożony – wytknęłam mu z przekąsem.

– Taki właśnie byłem – przyznał – ale przez większość życia byłem też z tej całej dzieciarni najsilniejszy i nigdy nie dawałem sobie wejść na głowę. – Vince uśmiechnął się do swoich wspomnień, tym razem nieco mroczniej, jak na mój gust. – Zalety bycia najstarszym.

– Nigdy się nie dowiem, jak to jest – mruknęłam z żalem.

– To prawda, nie dowiesz się.

– Czy naprawdę byłeś wredny dla Willa?

– Kto ci tak powiedział?

– Byłeś czy nie byłeś?

Wzruszył ramionami.

– Vince! – zawołałam z dezaprobatą.

– Jestem jego starszym bratem, można by powiedzieć, że to mój obowiązek. – Puścił mi oko.

– Vince, nie wolno ci – zaatakowałam go natychmiast. – Will jest najlepszy, masz być dla niego miły.

– Dziecko drogie, ty się lepiej martw o swoje własne relacje – zadrwił Vincent, a w tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi, więc wstał, rzucając pod nos, że to śniadanie.

Zjedliśmy je wspólnie, a potem zostałam odesłana do łóżka, w którym przeleżałam kolejny dzień choroby i może to dzięki temu następnego ranka obudziłam się wreszcie dużo zdrowsza. Nawet bez porannej dawki leków bez trudu odwiedziłam łazienkę, a nawet pofatygowałam się, by pościelić łóżko przed wyjściem do salonu. Spodziewałam się zobaczyć w nim Vincenta tradycyjnie sterczącego nad swoim laptopem już od bladego świtu, w towarzystwie kawy.

Przystanąłam zdezorientowana, gdy odkryłam, że salon jest pusty. W zasięgu wzroku nie znajdował się też ani komputer brata, ani zbłąkany kubek, ani nic, co świadczyłoby o jego dzisiejszej tu obecności.

Przeszłam się obok kanapy, nie przysiadając na niej, tylko kierując się do kuchni, gdzie rozejrzałam się bez sensu i podeszłam do wielkiego okna. Moje rodzinne miasto już obudziło się do życia i z góry zerkałam na formujący się na ulicy poniżej korek. Obserwując samochody, biłam się przez chwilę z myślami, aż wreszcie zdecydowałam się zajrzeć do sypialni Vincenta.

Zapukałam do drzwi, ale nie usłyszałam żadnego zaproszenia, co podwoiło moje z każdą chwilą narastające obawy. Taki brak odzewu nie był w jego stylu. Trochę już wystraszona nacisnęłam na klamkę, czując, jak po moim ciele rozlewa się ulga, gdy zobaczyłam jego na wpół przykrytą kołdrą sylwetkę.

W sypialni panował półmrok i Vincent najwyraźniej wciąż pogrążony był we śnie, ale ucieszyłam się, że tu jest. Jak widać, nawet jemu zdarza się czasem pospać dłużej.

Nie chciałam go budzić, ale jednocześnie musiałam upewnić się, że wszystko z nim w porządku, dlatego ruszyłam na paluszkach w jego stronę. Dziwiłam się, że jego zwykle wręcz nienaturalnie wyczulone instynkty jeszcze się nie połapały, że ktoś mu wtargnął do pokoju.

Na początku widziałam tylko jego plecy odziane w ciemną satynową koszulę do spania oraz prawie czarne włosy, które nawet po nocy zaczesywały mu się posłusznie w tył. Gdy obeszłam jego łóżko, zobaczyłam jego bladą twarz. Nawet pogrążona we śnie zdawała się czujna, ale tym razem ewidentnie zmysły mojego brata potrzebowały chwili, by zorientować się, że ktoś mu się przygląda. Otworzył oczy dopiero po kilku chwilach. Tyle spędziłam na wpatrywaniu się w oszołomieniu w jego drzemiącą buzię o wciąż surowych rysach.

Po przebudzeniu najpierw przeanalizował sytuację, czyli zdziwił się, że nad nim wiszę, a potem od razu wyraźnie zmartwił, więc przemówiłam szybko.

– Nic się nie dzieje, jest tylko trochę późno, to przyszedłam sprawdzić, czy wszystko dobrze...

Vince mrużył oczy i zaczął podnosić się do pozycji siedzącej, sięgając w międzyczasie po swój zegarek na rękę, który leżał złożony na stoliku nocnym. Nie udało mu się chwycić go w swoje ręce, bo westchnął nagle i tę samą dłoń pokierował jednak do swojej skroni. Mruknął coś pod nosem, może nawet przekleństwo, ale nie byłam pewna. Obserwowałam go ze zmarszczonym czołem, bo to nie był Vincent, którego znam, a potem nagle wydałam cichy okrzyk i zasłoniłam usta dłonią, czując, jak w sekundę zalewa mnie fala winy.

– Och, nie! – zawołałam. – Jesteś chory! Zaraziłam cię, prawda?

– Nie – odparł szorstko Vincent, ale oczywistym było, że nie czuł się najlepiej. Zrobił ruch, jakby chciał wstać, ale podeszłam do niego natychmiast i dotknęłam jego ramienia.

– Musisz odpocząć, to ci przejdzie – powiedziałam tonem mądrali. – Musisz leżeć. Tak jak ja leżałam.

– Nic mi nie jest, to ty masz leżeć. Idź do łóżka, już. – Odkaslnął. – Zadzwoń po śniadanie.

– Ja już jestem zdrowa, to ty masz leżeć – kłóciłam się. – Ja zadzwonię po śniadanie.

Vincent był niezwykle trudną do zaopiekowania osobą. Jako głowa rodziny i ktoś, kto zawsze ma wszystko pod kontrolą, nie lubił oddawać się w ręce innych ludzi, szczególnie młodszej siostry.

Nie posłuchał mnie. Poszedł do salonu i kazał mi się przykryć kocem, podczas gdy on szykował dla mnie leki. Widziałam po jego pozbawionej koloru twarzy i podkrążonych oczach, że czuje się źle, ale za każdym razem, gdy chciałam zasugerować mu, żeby odpoczął, zbywał mnie.

Wmuszał w siebie śniadanie, zapewne chcąc dać mi dobry przykład, no i był o wiele ode mnie dojrzały, bo wiedział, że mimo chwilowego wstrętu jeść musi. Nawet czarna jak noc kawa nie postawiła go na nogi. Nie pił jej z przyjemnością. Nie mrużył

z lubością oczu, jak zwykle robił przy pierwszych łykach. W końcu też sam, na szczęście, zgodził się przyjąć niektóre z moich leków. A żeby wysłać go do łóżka, musiałam się poświęcić i ogłosić, że sama wybieram się na spoczynek. Wtedy Vince nie musiał zgrywać przede mną twardziela i sobie również podarował drzemkę.

Jak się okazuje, nawet mój najstarszy brat – dorosły facet, właściciel potężnego imperium Monetów, poważny biznesmen, prawny opiekun nastolatki – miał w sobie coś z upartego dzieciucha.

Później spędziłam kilka godzin w salonie. Jeszcze trudno mi było skupić się na czytaniu, ale zaczęłam oglądać nowy serial. Dbałam o to, żeby dźwięk był przyciszony, bo wiedziałam, że Vince drzemie w pokoju obok. Odpowiedzialnie wzięłam swoje leki, kiedy przyszła na to pora, i zaczęłam szykować oddzielne dla niego. Zaparzyłam mu też herbaty z miodem, a potem wszystko to załadowałam na tacę i ruszyłam do jego pokoju.

– Vince – szepnęłam, gdy odstawiałam tacę na jego nocny stolik. – Vince, powinienesz wziąć lekarstwa.

Patrzyłam trochę zmartwiona, jak unosi powieki i rusza dłonią, by przeczesać włosy.

– Hailie – westchnął najpierw rozkojarzony, a dopiero po chwili wrócił do rzeczywistości i brwi mu się zmarszczyły, gdy przybierał groźny wyraz twarzy. – Ty powinnaś wziąć lekarstwa.

– Wzięłam – zapewniłam go prędko, bo już zaczynał się podnosić. – Wzięłam wszystkie, przysięgam. Teraz twoja kolej.

Przymknął powieki i pomasaował sobie skroń, gdy oparł się z powrotem o poduszki. Zerknął następnie na tacę i jej zawartość.

– Nie powinnaś mi usługiwać, Hailie.

– Nie usługuję, tylko pomagam – odparłam, łapiąc się pod boki. – Najpierw pomagałeś mnie, a skoro ja czuję się już dobrze, to pomagam teraz tobie. Tak się robi w rodzinie, wiesz?

– Mhm, dobrze, ale chciałbym, żebyś wróciła do łóżka. Sama jeszcze nie wyzdrowiałaś.

– A mogę położyć się z tobą? – zapytałam, składając ręce.

– Nie.

– Proszę, nie chcę być sama.

W życiu nie przyznałabym przed nim, że nie chodziło tu tylko o potrzebę socjalizacji. Ja się przede wszystkim bałam o niego. Chory Vincent to była dla mnie abstrakcja i chciałam, aby jak najszybciej wyzdrowiał. Vince w moich oczach miał być niezniszczalny. To trochę jak oglądanie Tony’ego po postrzale i później, gdy leżał w szpitalu. Albo Shane’a, gdy waliło mu się życie, bo myślał, że zostanie ojcem.

Moi bracia wykreowali się w moich oczach na wszechmocnych. Do tego stopnia, że im w to uwierzyłam, a w momentach, gdy byłam świadkiem ich bezbronności i chwil słabości, nachodzili mnie potworne myśli, takie, od których zaczynałam się aż trząść.

– Hailie... – Vince westchnął. – To nie jest dobry pomysł. Czuję się... inaczej. Może tak być, że się lekko przeziębilem, dlatego nie powinnaś tu zostawać. Cieszę się, że tobie się polepszyło, i nie chciałbym powtórki z rozrywki.

– Ale co ty mówisz, przecież zachorowałeś przeze mnie. A nie możesz mnie zarazić moimi własnymi zarazkami, nie?

– Hailie...

– Nie będę gadać ani ci przeszkadzać. Ani zabierać twojej przestrzeni – obiecałam, obchodząc łóżko, by wdrapać się na nie z drugiej strony.

Vince odetchnął, ale najwyraźniej nie miał siły na kłótnie, więc odchylił z powrotem głowę na poduszkę, przymykając znowu powieki. Pokręcił też lekko głową, jakby nie dowierzał, że jego organizm miał czelność złapać infekcję.

– Wow – mruknęłam, sprawdzając godzinę na ekranie swojej komórki. – Jest już piętnasta, a ty jeszcze nie w koszuli.

– Czy ty chciałabyś dostać szlaban na wyjścia? – zapytał bez otwierania oczu.

– O nie, Vince, tylko nie to! – zawołałam z udawaną grozą. – Będę musiała odwołać swoje wszystkie nieistniejące spotkania!

– Mhm, z wizytami w centrum sportowym na czele.

Rozchylił na chwilę powieki tylko po to, żeby rzucić mi znaczące spojrzenie, a gdy zobaczył, że wreszcie postanowiłam zagryźć język i zamilknąć, przymknął je znowu, usatysfakcjonowany, że mnie uciszył. Gdy już nie patrzył, wtargnął mi na usta nikczemny uśmiezek i wraz z nim zapadłam w sen, z którego wybudził mnie dźwięk dzwonka.

Nie dzwonił mój telefon, a Vincenta, który z wysiłkiem sięgnął po urządzenie i odebrał je z przywitaniem wypowiedzianym najtwardszym głosem, na jaki mógł się zdobyć w chorobie. Kimkolwiek był rozmówca, mój brat szybko się rozluźnił, na tyle, na ile pozwolił mu na to jego sztywny styl bycia, a ja w międzyczasie spróbowałam rozstrzygnąć, jak długo drzemaliśmy. W sypialni zrobiło się już prawie zupełnie ciemno, a zegarek w mojej komórce informował, że nastał już wieczór.

Słyszałam rozmowę Vince’a, ale nie skupiałam się na niej w ogóle, dopóki nie podał mi słuchawki. Zdziwiłam się w pierwszej chwili,

bo nigdy tak nie robił, w drugiej pomyślałam sobie, że to pewnie któryś z braci, może nawet Will, a potem znowu powróciło zdziwienie, gdy przelotnie dojrzałam rozświetlony ekran telefonu, na którym widniała informacja, że dzwoni numer zastrzeżony.

– Słucham? – zapytałam, odwzajemniając mało wyraźne przez panujące wokoło ciemności spokojne spojrzenie Vincenta.

– Witaj, królewno.

Poczułam ciepło w klatce piersiowej i byłam pewna, że rysy twarzy wręcz rozmyły mi się z radości. Nagle patrzyłam już w sufit, a telefon brata przyciskałam do ucha tak, jakby był to mój największy skarb.

– Tata? – szepnęłam z zachwytem.

– Jak się czujesz? – zapytał mężczyzna, którego ostatni raz słyszałam, gdy zegnał się ze mną w bolesny sposób. – Vince mówi, że się rozchorowałaś.

– Nic mi nie jest, już mi przeszło – zbyłam go. – A ty, co u ciebie? Gdzie jesteś? Jesteś bezpieczny, prawda?

– Wszystko jest w porządku, ty się nie bój o nic. Nie mogę za długo rozmawiać. Chciałem tylko cię usłyszeć. Powiesz mi, tak szybko, coś jeszcze?

– Tęsknię za tobą.

– Jeszcze się zobaczymy, królewno – obiecał mi Cam. – Na razie dbaj o siebie, tak?

– Mhm.

– Cudownie. Podaj mi jeszcze na chwilę Vincenta, dobrze? – poprosił, po czym dodał prędko: – Ach, i powodzenia w nowym roku szkolnym.

Podziękowałam i niechętnie przekazałam telefon z powrotem bratu, który prawie musiał odkleić go od mojej dłoni. Ta dołująco krótka, niespodziewana rozmowa z ojcem ożywiła mnie, a także jednocześnie zasmuciła. Niesprawiedliwe to życie, że tak daje mi rodziców i zabiera, non stop.

– Często do ciebie dzwoni? – zapytałam brata, gdy wreszcie się rozłączył i zaczął podnosić się z materaca.

– Rzadko – odparł. – Za każdym razem, gdy to robi, musi zachować szereg środków ostrożności.

Pozazdrościłam Vincentowi nawet takich rzadkich telefonów od taty. Dużo bym dała, żeby samej takie otrzymywać. Chociażby dlatego, że działały jak magiczne zaklęcie – ten błyskawicznie sprawił, że poczułam się jakoś tak lepiej, na duszy i sercu. Zagadnęłam też brata o to, kiedy będzie możliwe ponowne zobaczenie ojca, ale niestety jego odpowiedź sugerowała, że plany na najbliższą przyszłość na razie nie uwzględniają takiego spotkania.

– Najprędzej zobaczycie się zapewne znowu we Francji albo u Blanche na Kanarach. Ale trzeba dać mu czas – powiedział Vincent, starając się chyba mnie pocieszyć, gdy zobaczył, jak posmutniałam.

Przetransportowaliśmy się oboje do salonu, gdzie zamówiliśmy obiadokolację do apartamentu i zaczęliśmy ustalać, kiedy to najlepiej będzie wrócić do domu. Vincent dobrze po mnie widział, że doszłam już do siebie, ale za to ja widziałam po nim, że choroba się u niego dopiero rozwija. Z tego powodu skłamałam, że od czasu do czasu kręci mi się trochę w głowie, i zrobiłam to celowo, żebyśmy zostali w moim rodzinnym mieście o dzień lub dwa dłużej. Robiłam to dla Vincenta, który zdawał się skrycie dbać o zdrowie każdego dookoła oprócz swojego własnego, i uznałam, że w takim razie to ja muszę być osobą, która po cichu zajmie się nim.

Nie było to łatwe. Vincent miał trudny charakter. Był rozpuszczony w inny sposób niż na przykład Dylan i bliźniacy. W ciągu całego swojego życia zdążył przyzwycząić się do swojej pozycji najstarszego brata przywódcy i trudno było go przekonać, by wziął sobie chociażby chwilowy urlop od tej roli. Okazał się strasznie uparty, a kilka razy przyłapałam go z laptopem, gdy powinien był odpoczywać. Dostawał też sporo telefonów i przez większość czasu walczyłam z nim, by wyciszył dzwonek przynajmniej na parę godzin. Strasznie trudno się z nim pertraktowało. Zwłaszcza gdy było się jego młodszą siostrą.

Ale radziłam sobie.



DIABEŁ I PIENIĄDZE

Do domu wróciliśmy z prawie pięciodniowym opóźnieniem i przez to prawie od razu rzuciłam się w wir przygotowań do innego wydarzenia, które miało odbyć się na koniec wakacji.

Z okazji zakończenia lata zorganizowany został bal charytatywny. Impreza podobna do innych tego typu, w których miałam okazję brać udział. Czyli dużo przepychu, wykwintne przystawki, kobiety w eleganckich sukniach i drogiej biżuterii oraz panowie w szytych na miarę garniturach i z designerskimi zegarkami na nadgarstkach. Tak sobie wyobrażałam to wydarzenie, bazując na wcześniejszych doświadczeniach, i wcale za bardzo się nie pomyliłam.

Moja suknia została zamówiona nie wiadomo skąd, uszyta przez nie wiadomo kogo i dostarczona przez Willa, który zapukał do drzwi mojej sypialni z wielkim pudłem w dłoni. Z uśmiechem odłożył je na moje łóżko.

Nie miałam słów na tę cudowną kreację. W dniu balu pomogła mi ją włożyć Eugenie. Góra sukni była całkiem prosta, bo rękaw trzy czwarte i niewielki dekolt nadawały jej wyglądu zwykłej bluzeczki. No, może nie tak zupełnie zwykłej, bo jednak delikatny jasnoniebieski materiał przyozdobiony był delikatnymi złotymi kwiatami, co już samo w sobie tworzyło niezwykłe wrażenie. Bardziej problematyczny, ale i efektowny, okazał się dół sukni, który składał się z błękitnego, pożądanego tiulu, mieniącego się z każdym moim ruchem. Obracałam się przed lustrem, wpatrując się w niego jak zahipnotyzowana.

Suknia pasowała do mojej wciąż opalonej po wczasach cery. Włosy upięłam sobie do tyłu z małą pomocą niezastąpionej gosposi, która cały czas przeżywała, że wyglądałam jak księżniczka. Chyba nawet uroniła łzę.

Schodziłam na dół, jedną ręką kurczowo chwytając się balustrady, a drugą podtrzymując tiul. Bracia gapili się na mnie jak oniemiały. Skomplementowaliśmy się wszyscy nawzajem i uśmiechnęłam się do nich, myśląc sobie, że to niezłe, że ta piątka wycackanych elegancików w klasycznych czarnych garniturach to moja obstawa.

Żałowałam, że wśród tego małego tłumu mężczyzn w moim domu nie mogło być jeszcze jednego, który robiłby za moją osobę towarzyszącą, ale gdy zasugerowałam wcześniej Willowi, że może dałoby się to zaaranżować, on stanowczo zaprzeczył i wymówił się tym, że impreza jest zamknięta.

Przypomniało mi się to, co opowiadał mi Tony – że w naszej rodzinie trudno jest mieć partnera, jeśli w planach od razu nie ma małżeństwa. To niesamowite, jak hermetycznym kręgiem była nasza rodzina.

Jechałam samochodem z Vincentem, Willem i Shane'em. Ten ostatni siedział z tyłu i gdy ostrożnie ładowałam się na miejsce obok niego, nachylił się, by dzielnie pomóc mi z sukienką. Układał jej warstwy tak, by się nie pogniosły, ani żeby nie przytrzasnęły jej drzwi, które wreszcie Will za mną zamknął. Doceniłam to wsparcie, bo po raz pierwszy miałam na sobie tak bajkowy strój i nie wiedziałam, że jest z nim tyle zachodu. Księżniczki w filmach biegają w takich balowych sukniach i robią w nich fikołki, a ja ledwo potrafiłam usiąść i nie podrzeć materiału.

– Ale mam piękną siostrę – szepnął do mnie Shane i puścił mi oko, a ja spuściłam wzrok na kolana, wcześniej tylko rzucając mu mały, nieśmiały uśmiešek.

– Załóż to – odezwał się Will z przedniego siedzenia. Podawał mi jakiś kawałek koronki, po który automatycznie sięgnęłam. Była to gruba, beżowa podwiązka z małą kieszonką z siateczki.

Uniosłam głowę z pytającym wyrazem twarzy.

– Włóżysz tam telefon – wyjaśnił Will.

– Mam torebkę.

– To bal, nie będziesz wszędzie chodziła z kopertówką pod pachą. Na przykład na parkiecie, jeśli zechcesz zatańczyć.

– Po co mi telefon na parkiecie?

Chyba wszyscy trzej moi bracia obecni w aucie rzucili mi nieznośnie znaczące spojrzenia. Vince swoje zrealizował w lusterku, ale też się liczyło. Westchnęłam. No tak.

– Chwila, ja... ja chyba nawet nie wzięłam telefonu. – Dla pewności zerknęłam do torebki, w której znajdowało się tylko kilka kosmetyków i jakieś chusteczki. Nie miałam zielonego pojęcia, co się bierze ze sobą na bal.

Kiedy wszyscy już na swój sposób wyrazili dezaprobatę dotyczącą mojego zapominalstwa, Vince, nie odrywając oczu od jezdni, podał mi swoją komórkę.

– Serio? Czekać, to znaczy, że też masz tam nadajnik? Co ty, śledzisz sam siebie? – zdziwiłam się.

– Oczywiście, że mam nadajnik we własnym telefonie, Hailie – odparł, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

– A co, jeśli ktoś będzie do ciebie dzwonił?

– Każdy, z kim tego wieczora chcę rozmawiać, będzie na balu – uciał. – Telefon jest wyciszony, nie będzie ci przeszkadzał.

Z odrobiną wahania zaczęłam kopać w sukience, starając się sięgnąć do swojej nagiej nogi i jednocześnie nie wyglądać pokracznie, gdy wsuwałam na nią podwiązkę.

Pod hotelem drzwi otworzył dla mnie Will. Chętnie złapałam jego dłoń i przyjąłam pomoc w wygramoleniu się z auta i naprostowaniu sukni, a potem zostałam już tak uwieszona na jego ramieniu, rozglądając się wkoło i sama zarabiając setki spojrzeń od innych. Przejechałam wolną dłońią po brzuchu, okrytym chropowatym z zewnątrz materiałem sukni, w którym z nerwów poczułam skurcz. Myślałam sobie, że będę musiała być dodatkowo uważna tej nocy, żeby się nie ośmieszyć, czego ta skomplikowana kiecka na pewno mi nie ułatwi. Dobrze, że chociaż telefon Vince’a w podwiązce mi nie zawadzał.

Niedługo po naszym przybyciu u boku Vincenta pojawiła się Grace. Jej suknia była czarna, z ogromnym dekoltem w kształcie litery V i zupełnie gołymi plecami, ale za to grzecznie sięgała parkietu, jakby jej dół miał nadrobić skromności, której zabrakło na górze. Wyglądała zjawiskowo, ale już zaczynałam rozumieć, że ta kobieta po prostu naturalnie ma w sobie ten rodzaj boskiego uroku. Dla własnego spokoju warto było po prostu to zaakceptować i tolerować.

Widziałam, jak rzuca mi sądne spojrzenie od stóp do głów i patrzy na mnie z wyższością, ale to był stanowczo inny rodzaj wyższości niż ten podły, z którym wpatrywała się na przykład w Ruby, która zniecka pojawiła tuż przede mną.

Ucieszyłam się na jej widok, bo ona zawsze poprawiała mi nastrój na takich przyjęciach pełnych bogatych drapieźników. Ruby miała na sobie kremową sukienkę, która odkrywała jej ramiona, dzięki czemu dowiedziałam się, że na jednym z nich ma tatuaż. Jakieś kwiaty i zegary. Tuż po naszym powitaniu i serdecznym uścisku chciałam o niego zapytać, ale zaraz przywołał mnie do siebie Vincent, aby przedstawić mi jakimś nudziarzem w garniturach.

Chciałam znaleźć Ruby później, gdy już się od nich uwolniłam, dlatego stałam z boku sali i skanowałam ją wzrokiem, gdy poczułam, jak ktoś dziabie mnie w tali, i drgnęłam.

– Idziesz z nami do bufetu, dziewczynko? – zapytał mnie Shane. Kawałek za nim stał Tony. Poprawiał właśnie krawat, a zza kołnierza koszuli wystawały mu tatuaże. Z widocznym znużeniem rozglądał się po sali.

Przypomniałam sobie, jak na ostatnim bankiecie w trójkę łądowaliśmy sobie do ust roladki z łososem, i miałam ochotę walnąć się w czoło. Nie, dzisiaj miałam na sobie piękną sukienkę i chciałam być choć raz jak dama. Co za tym idzie, musiałam trzymać się z daleka od bliźniaków, którzy nie mieli podobnych ambicji.

– Później – mruknęłam, a Shane wzruszył ramionami i odszedł.

Stałam przez chwilę sama, aż wreszcie zaczęłam przechadzać się bez sensu po sali. Zastanawiałam się przy okazji, czy Sonny też tu jest i czy się na mnie złości, że musi przedzierać się za mną przez ten gąszcz, bo zachciało mi się spacerów.

Tutejsze ściany w wielu miejscach pokryte były lustrami i co chwilę dostrzegałam gdzieś swoje odbicie, a wtedy nie mogłam przestać się dziwić, że naprawdę wyglądam jak żywcem wyciągnięta z baśni. W pewnym momencie przystanęłam przed jedną z nich i patrzyłam na swoją błyszczącą suknię, aż poczułam, że ktoś za mną staje.

– Mogę? – zapytał Will, wyciągając do mnie dłoń, a ja odwróciłam się natychmiast, obdarzając swojego ulubionego brata uśmiechem.

Will był dobrym tancerzem, prowadził delikatnie, ale pewnym krokiem, i oferował potrzebne wsparcie. Z nim nie bałam się, że się wywrócę lub go zdepczę i ośmieszę. Na koniec utworu uklonił się przede mną i podziękował za towarzystwo, a potem jeszcze objął mnie na chwilę i zaraz przeprosił, bo ktoś go zawołał.

Patrzyłam rozpromieniona, jak odchodzi, gdy mój wzrok przypadkiem padł na stojącego obok Adriena, który też schodził właśnie z parkietu. Nie chciałam wdawać się z nim w absolutnie żadne, nawet najmniejsze interakcje, ale zanim zdążyłam się odwrócić, on złapał moje spojrzenie.

Dobrze wiedziałam, co zaraz od niego usłyszę, jeszcze zanim zdążył nawet otworzyć usta.

– Hailie Monet.

Wymu szony uśmiech rozświetlił moją twarz, gdy mężczyzna zatrzymał się obok mnie.

– Adrien... Santan – przywitałam go ciepło, niby celowo, acz niechętnie dając się wciągnąć w tę jego głupią gierkę ze zwracaniem się do siebie nawzajem po imieniu i nazwisku, co on odebrał oczywiście opacznie.

– Czyżby nie podobało ci się moje nazwisko?

– Twoje nazwisko kojarzy mi się z diabłem.

– Mnie twoje z pieniędzmi.

– U mnie się zgadza, jestem bogata.

– U mnie też, lubię grzeszyć.

Zagapiłam się na niego zdębiała i nie wiedziałam, czy lepiej byłoby się skrzywić, czy wybuchnąć śmiechem. On, jako osoba lubiąca mieć sytuację pod kontrolą, postanowił nie przedłużać ciszy, widząc, że nie zamierzam ciągnąć jego słownych potyczek. Zamiast tego wskazał dłonią na kobietę u swego boku, którą, przysięgam, dopiero teraz zauważyłam. Miała długie pofalowane włosy w kolorze ciemnoblonde oraz bladoróżową sukienkę. Taką obcisłą i z rozcięciem. Z jakiegoś powodu nie wyglądała mi na kogoś należącego do tej śmietanki towarzyskiej, o której zawsze mówił Adrien.

– Poznaj, proszę, Noemi.

– Naomi – poprawiła go z irytacją, odgarniając kosmyk z twarzy.

– Właśnie tak, Noemi – przytaknął Adrien.

– Naomi?! – Dziewczyna rozłożyła ręce, gapiąc się na niego z niedowierzaniem, po czym pokręciła głową i odeszła urażona.

– Jesteś okropny – oceniłam, wpatrując się w plecy znikającej w tłumie dziewczyny.

– Tylko pokręciłem imiona. – Wzruszył ramionami. – Zawsze mówię do niej „skarbie”, to dlatego.

Uśmiechnęłam się drwiąco.

– Mojego nigdy nie przekręcasz – zauważyłam. – Powinam się czuć wyjątkowo?

– Może, aczkolwiek... – Adrien ściszył głos – ty nie jesteś żadnym moim skarbem.

– I Lordowi za to dziękuję – mruknęłam do siebie cichutko.

Adrien uniósł brew, a ja po raz pierwszy ucieszyłam się z nagłego pojawienia się Dylana, który wyrósł znikąd obok mnie. W jednej ręce trzymał drinka w podłużnym kieliszku, w której na wykałaczkę znajdowały się nabite dwie czarne jeżynki.

– Chcesz o czymś porozmawiać z moją siostrą? – zagaił całkiem zwyczajnie, ale wpatrywał się w Adriena nad wyraz intensywnie.

– Nie – uciełam szybko, widząc, że Adrien, gotowy na prowokację i przekomarzania, otwiera usta. Natychmiast zwróciłam się więc do brata: – Właśnie szłam się czegoś napić. Pójdiesz ze mną, Dylan? – Złapałam go za ramię. – No chodź.

– Lepiej słuchaj młodszej siostry. – Adrien mrugnął do mojego brata, któremu dużo nie trzeba było, by naprężyć mięśnie.

– A ty może lepiej poszukaj swojej partnerki? Naomi? – zasugerowałam nieco opryskliwie.

– Noemi – poprawił mnie Adrien, ale rzeczywiście zaczął się za nią rozglądać, a wtedy mi udało się pociągnąć Dylana za sobą.

Nie dotarliśmy od razu do baru, bo najpierw, gdy przedzieraliśmy się przez parkiet, muzyka zmieniła się na nieco zwawszą. Dylan zaskoczył mnie, bo zdążył odłożyć gdzieś swojego nadbitego drinka i nagle zatrzymał się, złapał za moją rękę i obrócił mnie tak, że moja sukienka aż zawirowała. Potem zaskoczona znalazłam się na kilka sekund w pozycji, w której moje plecy opierały się o jego klatkę piersiową. A potem kolejny obrót i ni stąd, ni zowąd zaczęliśmy tańczyć.

Totalnie nie spodziewałam się tego po Dylanie. Myślałam, że on nadaje się tylko do dokuczania. Faktycznie, prowadził mnie w tańcu z ciągle majaczącym mu na ustach drwiącym uśmiechem, ale nie przejmowałam się tym, bo jego układ był tak energiczny, że nawet jeśli jakiś krok postawiłam źle czy niedokładnie, to nie było nawet czasu tego skomentować ani wyśmiać. Dopiero pod koniec Dylan pozwolił naszemu tańcowi przybrać nieco wolniejsze tempo. Trzymałam wtedy jedną rękę na jego ramieniu i trudno mi było uwierzyć, że jestem tak blisko niego bez ryzykowania życia. Zwykle pozwalał mi tak siebie podejść głównie na treningach, gdzie dostawałam od niego w kość. To, co się działo dzisiaj, to była stanowczo miła odmiana.

Gdy wreszcie dotarliśmy do baru, tym razem naprawdę potrzebowałam czegoś do picia. Dostałam szklanek wody i popijając ją, obserwowałam otoczenie, przynajmniej szczerze przed samą sobą, że nawet nie najgorzej bawię się na tym całym balu.

Przy okazji moich obserwacji zauważyłam dwie rzeczy. Pierwsza to Ruby, która rechotała głośno, rozmawiając z jakimś starszym panem, a w rękę trzymała podobnego drinka do tego, którego wcześniej degustował Dylan. Drugą był Vincent, czający się w kącie i rozmawiający z nie mniej czającym się Adriemem.

Adrien gładził sobie brodę w zamyśleniu, a wtedy w oczy rzucił mi się jego sygnet. Często zapomniałam, że go ma. Vincent natomiast mówił coś do niego, zapewne przyciszonym głosem, wnioskując po tym, jak blisko siebie stali. Adrien w pewnym momencie mu coś odpowiedział i obaj panowie skinęli do siebie głowami, jakby coś zostało między nimi właśnie postanowione.

Szkoda, że nie słyszałam, o czym rozmawiali. Może zaoszczędziłoby mi to wielkiego błędu, który popełniłam jeszcze tego samego wieczora.

Po balu byłam we wspaniałym nastroju. Dylan trochę się upił drinkami, przez co wpadł w zabawną fazę i ciągle mnie roześmiał tak bardzo, że wciąż chichotałam, gdy wsiadałam do samochodu. Will pomagał mi ogarnąć suknię, a Shane na tylnym siedzeniu podzielił się ze mną babeczkami z owocami, których całą tacę bezwstydnie wyniósł sobie z hotelu.

Zanim dojechaliśmy do Rezydencji Monetów, zdążyłam już się objeść i ochłonić, więc dopadło mnie szybko zmęczenie i jedyne, o czym marzyłam, to wydostanie się z mojej efektownej, acz na dłuższą metę mało wygodnej sukni. Pożegnałam się z chłopakami i Sonnym, a następnie, wspiąwszy się po schodach do swojej sypialni, zorientowałam się, że w podwiązkę wciąż wciśnięty mam telefon Vincenta i wypadałoby może mu go oddać, dlatego wyłowiwszy urządzenie spod kłębow tiulu, zmieniłam kierunek i ruszyłam w stronę zakazanego korytarza.

Niby zapukałam niedbale do drzwi gabinetu brata, ale bezceremonialnie weszłam do środka prawie od razu i skierowałam się do biurka.

– Vince, oddaję twój telefon... – powiedziałam na głos, ale bez sensu, jak się okazało, bo mimo palącej się lampki jego miejsce było puste. Nie powinnam być zaskoczona. Nawet w korytarzu nie sterczał ten jego irytujący mnie zawsze ochroniarz. Wpatrując się w wysprzątny blat mahoniowego biurka, zastanawiałam się, czy zostawić mu tutaj telefon, czy może wrócić później.

Uniosłam komórkę do oczu, by sprawdzić godzinę, i wtedy zobaczyłam, że Vincent miał aż dwadzieścia nieodebranych połączeń. Zmarszczyłam brwi. Może to było dla niego dużo, a może wcale nie – pewnie bym się za długo nad tym nie zastanawiała, gdyby wśród wielu połączeń od nieznanego numeru, nie znajdowały się też dwa od numeru zastrzeżonego, które natychmiast przykuły moją uwagę, z wiadomych przyczyn. A potem dostrzegłam, że z kolei tamten nieznanany numer zaczyna się od kierunkowego we Francji. Byłam tego prawie pewna. W końcu odwiedziłam ten kraj, pamiętałam to.

Nie trzeba być Einsteinem, żeby połączyć kropki, tak jak ja to zrobiłam.

Czy to możliwe, że tata wydzwaniał do Vincenta? Planował wyjazd do Francji lub Hiszpanii, tak twierdził mój brat. Tylko po co telefonowałby do niego tyle razy? Nagle poczułam, że bardzo chcę znaleźć Vince'a i jak najszybciej oddać mu jego własność. On będzie wiedział, co zrobić. Gdy zastanawiałam się, czy lepiej go poszukać, czy może poczekać na niego tutaj, na ekranie pojawiło się kolejne połączenie.

Znowu ten sam francuski numer.

Dłoń, w której trzymałam telefon, tak mi się spociła, że to cud, iż mi się z niej nie wyslizgnęła. Automatycznymi ruchami przeciągnęłam przycisk „Odbierz” i drżałam, gdy wciąż stojąc w miejscu, przyłożyłam słuchawkę do ucha.

– V–Vincent? – mruknął głos po drugiej stronie, jakby zaskoczony, że któraś z kolei próba połączenia zakończyła się sukcesem. Rozmówca od razu się ożywił: – Vincent, cholera, dzwonię tyle, Vince, słuchaj... mam słaby zasięg, wsiałam do samolo... słuchaj, potrzebuję pomocy, potrzebuję pomocy, on mi, ja nie wiem, ten...

– Tato? – wymamrotałam do słuchawki, przerażona, gdy usłyszałam znajomy, lekko zmieniony głos. Palce na telefonie zacisnęłam jeszcze mocniej, próbując coś zrozumieć z jego chaotycznej, przerywanej wypowiedzi. – Tato, to ty?

– Hailie? – Po drugiej stronie zapadła chwila ciszy, która szybko minęła. – Gdzie Vince... potrzebuję Vincenta, zaw... go, Hailie, zawołaj, Vincenta, powiedz mu, że to sprawa...

– Tato, tato, czekaj, już, już go wołam! – zapewniłam go prędko, gotowa puścić się biegiem wzdłuż całej rezydencji, byle tylko znaleźć któregośkolwiek z braci. Przyciskałam telefon do ucha tak mocno, że zaczęło mnie ono boleć. – Tato? Jesteś tam?

Cisza. Oddychając głośno, spojrzałam na ekran, ale połączenie zostało przerwane. Poczułam ciarki na całym ciele. Przyciskając telefon do piersi, odwróciłam się, by wybiec z gabinetu, i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że ja wcale nie byłam w nim sama.

Mimo iż w głowie pędziło mi milion myśli na sekundę i rwałam się do akcji, moje ciało zastygło, bo w gabinecie Vincenta, na czarnej, skórzanej kanapie w kącie, gdzie ledwo docierała luna światła od lampki, siedział i zapewne czekał na niego jego wspólnik.

– Adrien – wyszeptalam.

Zrobiłam gwałtowny krok w jego stronę i równie nagle się zatrzymałam. Moja klatka piersiowa opięta ozdobnie błyszczącym materiałem sukni unosiła się i opadała nienaturalnie szybko. Gdyby moje strojne ubranie nie sięgało samej ziemi, widać by było, jak dygocą mi kolana. Dreszcze przebiegały mi pod skórą od głowy w dół, ale najgorsze uczucie kłębiło się w mojej jamie brzusznej, gdzie żołądek skurczył mi się i opadł nisko.

Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby wyluzowany, często rozbawiony i zawsze pewny siebie Adrien Santan miał tak zszokowaną minę. Poblady i z rozchylonymi ustami, wgapiał się we mnie i w telefon, który ścisakałam w palcach. Żrenice jego ciemnych oczu, mimo iż ledwo odróżniały się od tęczy, teraz zauważalnie się rozszerzyły.

Mogłam tylko zgadywać, że zanim odebrałam telefon, na jego usta wpełzł ten jego cwaniacki uśmieszek i gdy nieświadoma wtargnęłam do gabinetu swojego brata, na pewno szykował się do kolejnej jakże wyszukanej wymiany zdań. Teraz jednak psotny humor go opuścił. Wytrzeszczał oczy, a ja drgnęłam, gdy nagle zerwał się na równe nogi z kanapy, przy okazji trącając szklankę z whiskey, którą jeszcze przed chwilą zapewne w spokoju sobie popijał.

Alkohol rozlał się po podłodze, a szklanka gdzieś poturłała – nikogo aktualnie nie obchodziło gdzie.

Powiedz coś, Hailie. Broń ojca!

Z drżącym sykiem nabrałam powietrza do płuc.

– Adrien, to nie...

– On żyje – powiedział bardzo cicho Adrien.

Tak cicho, że słowa te właściwie wyczytałam z ruchu jego warg.

– To nie...

– Camden Monet żyje – powtórzył odrobinę głośniejsze, po czym powoli zaczął kręcić głową, a oczy znowu skupił na mojej twarzy,

jakby widział mnie po raz pierwszy. Nie uszło mojej uwadze, że mimo spokojnego głosu ciągle bladł, jego ramiona się napięły, a kciuki pocierały palce w nerwowym geście.

– To nieprawda, to nie on, to... – Staralam się, naprawdę starałam wybrnąć z tej beznadziejnej sytuacji, ale nie potrafiłam wymyślić nic sensownego. To tak jakby ktoś wyłączył pstryczkiem myślenie w mojej głowie.

A nie dość, że przejmowałam się z powodu Adriena, to jeszcze paniczny głos ojca w słuchawce tak samo rozbudził we mnie upiornie nieprzyjemne wizje i uczucia.

– A kto? – syknął Adrien wyzywająco, po czym dodał kpiarsko, ale nie tak jak zawsze, w żartach, lecz ze słyszalną wściekłością i napięciem w głosie: – Ilu masz tatuśków, Hailie Monet?

– To nie tak... – zaskomlałam.

– Którzy na dodatek dzwonią do Vincenta po pomoc?

Oddychaj, oddychaj – mówiłam sobie, bo wiedziałam, że jeśli zaraz nie wezmę porządnego wdechu, to zacznę hiperwentylować.

Adrien pokręcił głową, patrząc na mnie z coraz większym niedowierzaniem i trochę też niechęcią.

– Cholerni Monetowie – powiedział i serce zatrzymało mi się, gdy zobaczyłam, że zza pazuchy marynarki wyciąga telefon.

– Adrien, nie, czekaj – zawołałam i zrobiłam kilka kolejnych kroków do przodu, tak że miałam go teraz na wyciągnięcie ręki. Skorzystałam z tej dogodności i złapałam go za nadgarstek. Oczywiście nie mocno, ale tak, aby zwrócić na siebie i swoje błagalne spojrzenie jego uwagę. – Czekaj, proszę...

Nie wiedziałam, co dokładnie chcę zrobić, ale czułam, że należy go pohamować.

Mężczyzna popatrzył na mnie spojrzeniem pełnym niedowierzania, a ja zeszytniałam na widok złości, która z bliska tak szczególnie widoczna była w jego oczach. Płomienie furii rozpałał w nich sam diabeł.

Adrien wyszarpnął rękę z mojego lekkiego uścisku i wycelował we mnie smukły palec.

– Ty najwyraźniej naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, kim jestem, więc pozwól, że uświadomię cię chociaż w tej jednej kwestii: nie masz żadnego prawa mnie dotykać, Hailie Monet, a ja nie jestem twoim kolegą – powiedział ścisłym, złowrogim głosem i prychnął: – Czas, żebyś nauczyła się naszych zasad.

Byłam tak oszołomiona niespodziewanie gorzkim kierunkiem, jaki obrał dzisiejszy wieczór, że Adrien ledwo skończył artykułować swoje ostrzeżenie, a ja, wciąż ściskając telefon brata, najpierw uniosłam bezradnie ręce, a następnie... dotknęłam go znowu.

Opuszkami drżących palców wyczułam, że miękki materiał jego drogiej marynarki skrywa pod spodem onieśmiałą twarzą twardego bicepsa.

– Proszę – wyszeptalam bezradnie, a dłoń na jego ramieniu zacisnęłam jeszcze mocniej. – Zrobię wszystko, przysięgam. Proszę.

Adrien najpierw wpatrywał się we mnie z jeszcze większym niedowierzaniem. Pewnie sądził, że ma do czynienia z amebą umysłową, która nie rozumie prostych słów, ale prawda była taka, że napędzała mnie czysta desperacja.

– Co to znaczy wszystko, hm? – zapytał, nagle jakby zmieniając podejście. Niebezpiecznie przekrzywił głowę i zanim spojrzał mi w oczy, wpatrywał się przez kilka sekund w moje dłonie.

– Ja... wszystko – powtórzyłam pusto.

Tym razem Adrien mi się nie wrywał. Wręcz przeciwnie, patrzył na mnie intensywnie z góry, wyprostowany i napięty, nawet nie drgnąwszy. To nie był kpiarski Adrien, którego znałam, na którego wpadałam i który mnie irytował. W tym momencie czułam, że mam do czynienia z jego zupełnie inną wersją. Obecnie bardziej przypominał Vincenta niż Dylana i ta przemiana zdecydowanie nie była dla mnie korzystna.

– Dlaczego wyobrazasz sobie, że mógłbym od ciebie cokolwiek chcieć? – zapytał mrocznym i surowym głosem.

Zanim odpowiedziałam, przełknęłam ślinę i wygrzebałam resztki pewności siebie, unosząc przy tym wysoko brodę, żeby choć udać, że rozmawiamy jak równy z równym.

– Bo jestem Hailie Monet.

W jego oczach coś błysnęło, coś bliskiego dezaprobaty, jeśli miałabym zgadywać. Poczułam gęsią skórę, gdy jego wzrok powędrował na chwilę niżej, aż do moich stóp, a potem nagle szybko wrócił do góry, by w dalszym ciągu odwzajemnić moje spojrzenie. Uniósł brew.

– Więc mówisz, że wszystko? – upewnił się, jego oczy były wyzywające jak nigdy.

Powstrzymałam chęć przełknięcia śliny i pokiwałam energicznie głową. Chodziło o tatę. Mało kto byłby w stanie naprawdę pojąć, jak ogromnie zdesperowana w tamtym momencie byłam.

Adrien uśmiechnął się bardzo cierpko. Wciąż był bladej i bardzo, bardzo widocznie rozszłoszczony.

– W takim razie, proszę... – przemówił cicho, robiąc maleńki krok w moją stronę, niezwykle maleńki, bo przecież i tak staliśmy bardzo blisko siebie. Jego żrenice nadal były rozszerzone, a ramię, które ścisnęłam, napięło się jeszcze mocniej, gdy rzucił piekielnie wyraźnym szeptem: – ...na kolana.

Drżenie mojego ciała, jakie wywołały jego słowa, były przez kilka długich sekund jedynym dowodem na to, że nie zostałam zaklęta w kamień, bo tak mnie zamurowało, że nie byłam w stanie ruszyć się przez dłuższą chwilę. Aż mnie zmroziło w środku i pierwsze, co zrobiłam, gdy odzyskałam panowanie nad samą sobą, to oderwałam dłonie od ręki Adriena. Upuściłam też telefon Vincenta.

Tata, myśl o tacie.

Ciemne oczy Adriena nie błyszczały żartobliwie. Zamiast tego wyzywały mnie, a ja zachwiałam się na nogach, jakby zmuszając je do ugięcia się, ale one nie słuchały. Nie słuchały, bo strach i rozsądek podpowiadały mi, że to jest porąbana sytuacja, że to bez sensu, to koszmar. Nawet w tak fatalnej sytuacji byłam zbyt dumna, by klęknąć.

– Co jest? – zapytał prześmiewczo, przekrzywiając głowę. – Jednak nie wszystko?

Zaczęła drzeć mi broda. Nienawidziłam się za słabość, jaką pokazałam przez Adrienem. Nienawidziłam się. Brzydziłam się sobą. A w mojej głowie rozbrzmiał spanikowany głos ojca. Nigdy nie słyszałam, żeby zwracał się do kogokolwiek w tak desperacki sposób. Obecna sytuacja przerastała mnie tak bardzo, że najchętniej opadłabym jednak na te kolana, ale po to, żeby zalać się łzami, które i tak zgromadziły się już w moich oczach.

– Tak czy nie? – drążył Adrien, dalej przechylając głowę, żeby spojrzeć mi w twarz.

Zaprzeczyłam bardzo lekkim ruchem głowy, czując, jak pęka mi serce.

Nie potrafisz pomóc ojcu, jesteś beznadziejna.

Po co odbierałaś ten telefon, nic niewarta idiotko?

– Nie? – cmoknął Adrien na pozór łagodnie, po czym jego brwi się nastroszyły, a on, będąc już od początku naszej rozmowy widocznie tykającą bombą, wybuchnął, grzmiąc mi w twarz: – To kogo ty udajesz?!

Odchyliłam się, zaskoczona i wystraszona jego podniesionym głosem. Wpatrywałam się w niego oszołomiona, nie starając się nawet pozbyć z oczu łez, a on kontynuował przepehionym jadem głosem:

– Masz jakieś, co, piętnaście lat? – Pokręcił głową. – Powinnaś bardziej uważać na to, jakim słowem pozwalasz opuszczać własne usta – przerwał na chwilę, patrząc na mnie ze złością i dezaprobatą, a potem dodał ściszym, szorstkim głosem: – Ktoś kiedyś może je wziąć na poważnie, a wtedy nie będzie odwrotu.

Łzy zaczęły spływać po moich zaczerwienionych zapewne policzkach. Poczułam ich słoność, gdy kilka z nich zbłądziło i wtoczyło mi się na usta. Adrien patrzył na mnie surowo, z zaciśniętą szczęką, i warknął:

– Szanuj się, Hailie Monet. Inaczej nikt nie będzie cię szanował.

Udręczonym spojrzeniem powiodłam za jego telefonem, który trzymał w uścisku tak mocnym, że aż zbieleły mu kłykcie. Tak niewiele obchodziło mnie w tym momencie, że jego słowa jedynie odbiły się od moich uszu.

– Nic nie rób, proszę.

Jego palce zacisnęły się na komórce jeszcze mocniej. Odchylił też głowę i ze wściekłym sykiem wypuścił powietrze z ust, przymykając powieki.

– Cholerni Monetowie! – warknął do siebie znowu z frustracją.

Wyglądała, jakby bił się z myślami, jakby stał przed jakimś wielkim dylematem, a ja odebrałam to jako szansę na ubłaganie go sama nie wiem nawet o co. Utrzymanie w sekrecie, że śmierć Camdena Moneta, bardzo ważnej, jeśli nie kluczowej w ich światku osoby, była sfingowana? Adrien nie należał do naszej rodziny, dlaczego miałby to zrobić? Sam prawdopodobnie, jeśli nie na pewno, czuł się oszukany.

Nic mi innego nie pozostało, jak wpatrywanie się w niego z niesłabnącą, bardzo wymowną prośbą i rzucenie od czasu do czasu słowa „proszę” na wydechu.

On odetchnął kilka razy, aż w końcu potarł sobie czoło i przymknął powieki. Otworzył je po chwili i kolejne spojrzenie, jakie mi rzucił, zdawało się bardzo zmęczone:

– Idź do braci – polecił mi sztywno, bardzo formalnym i wypranym z emocji głosem. – Poinformuj ich o tym, co się wydarzyło.

Zawahałam się, na początku nie rozumiejąc, czy Adrien idzie mi na rękę, czy nie. Jeszcze raz spojrzałam na jego telefon, swoje ramiona ciałniej oplatając wokół klatki piersiowej.

– Nic nie zrobisz? – zapytałam cichutko, oczekując od niego jakiegokolwiek zapewnienia, jakby od tego zależało moje życie. Cóż, może nie moje, ale czyjeś na pewno zależało.

Znowu ogarnęła go furia, bo zacisnął mocno szczękę i zbliżył się do mnie, nawet trochę się nachylając.

– Powiedziałem, żebyś... – zaczął wściekle, ale nagle zamilkł, a w gabinecie rozbrzmiał dobrze mi znany, lodowaty głos:

– Adrien.

You&YA

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz

